



ELIZABETH CHADWICK



PIEŚŃ
KRÓLOWEJ



Prószyński i S-ka



ELIZABETH CHADWICK

PIEŚŃ
KRÓLOWEJ

Przełożyła
Magdalena Moltzan-Małkowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

THE SUMMER QUEEN

Copyright © Elizabeth Chadwick 2013

First published in Great Britain in 2013 by Sphere

Projekt okładki

Michał Andruch

Agata Zielińska

Zdjęcie na okładce

© Ivan Bliznetsov/iStockphoto.com

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Joanna Habiera

Korekta

Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-876-8

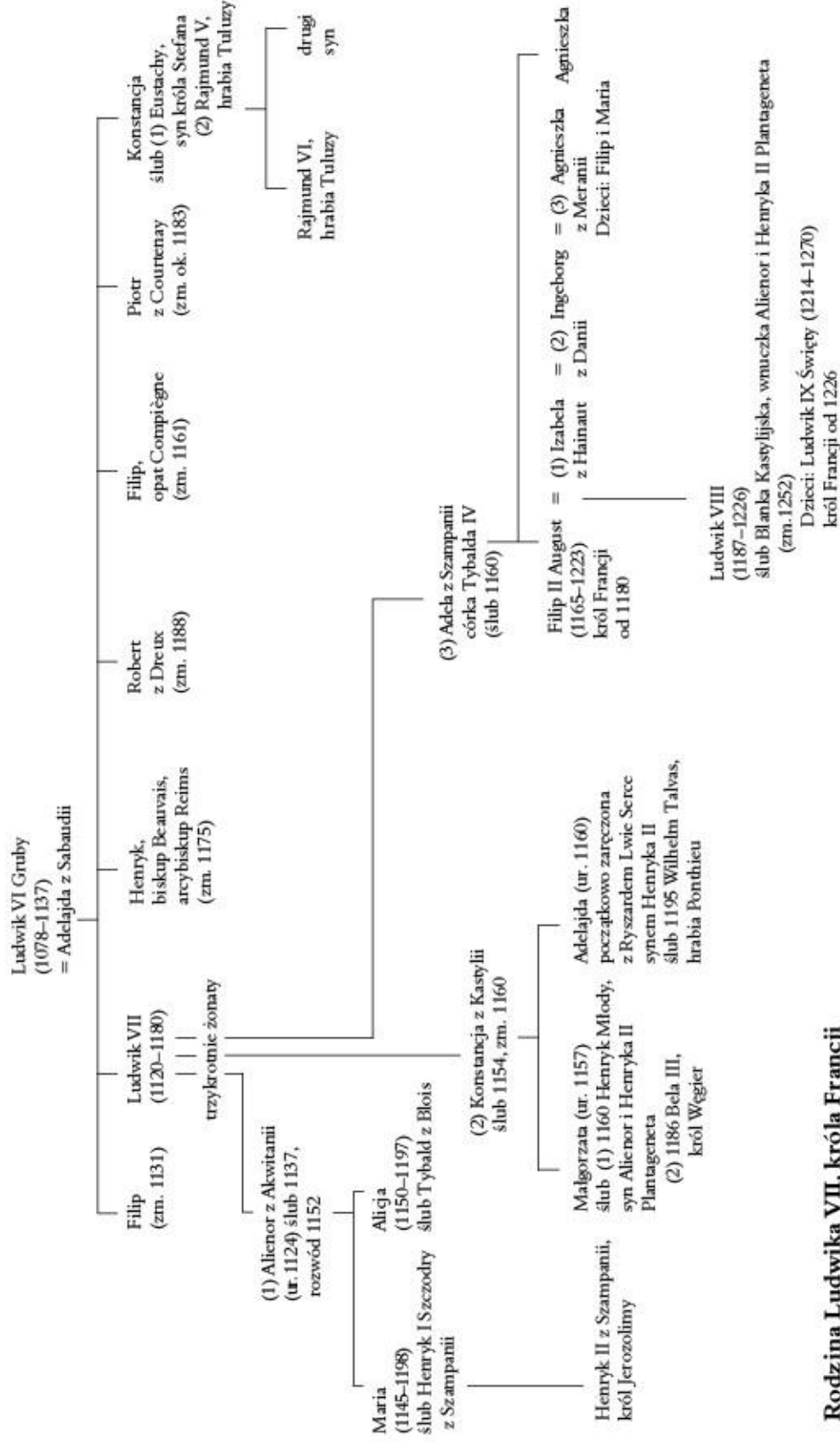
Warszawa 2017

Wydawca

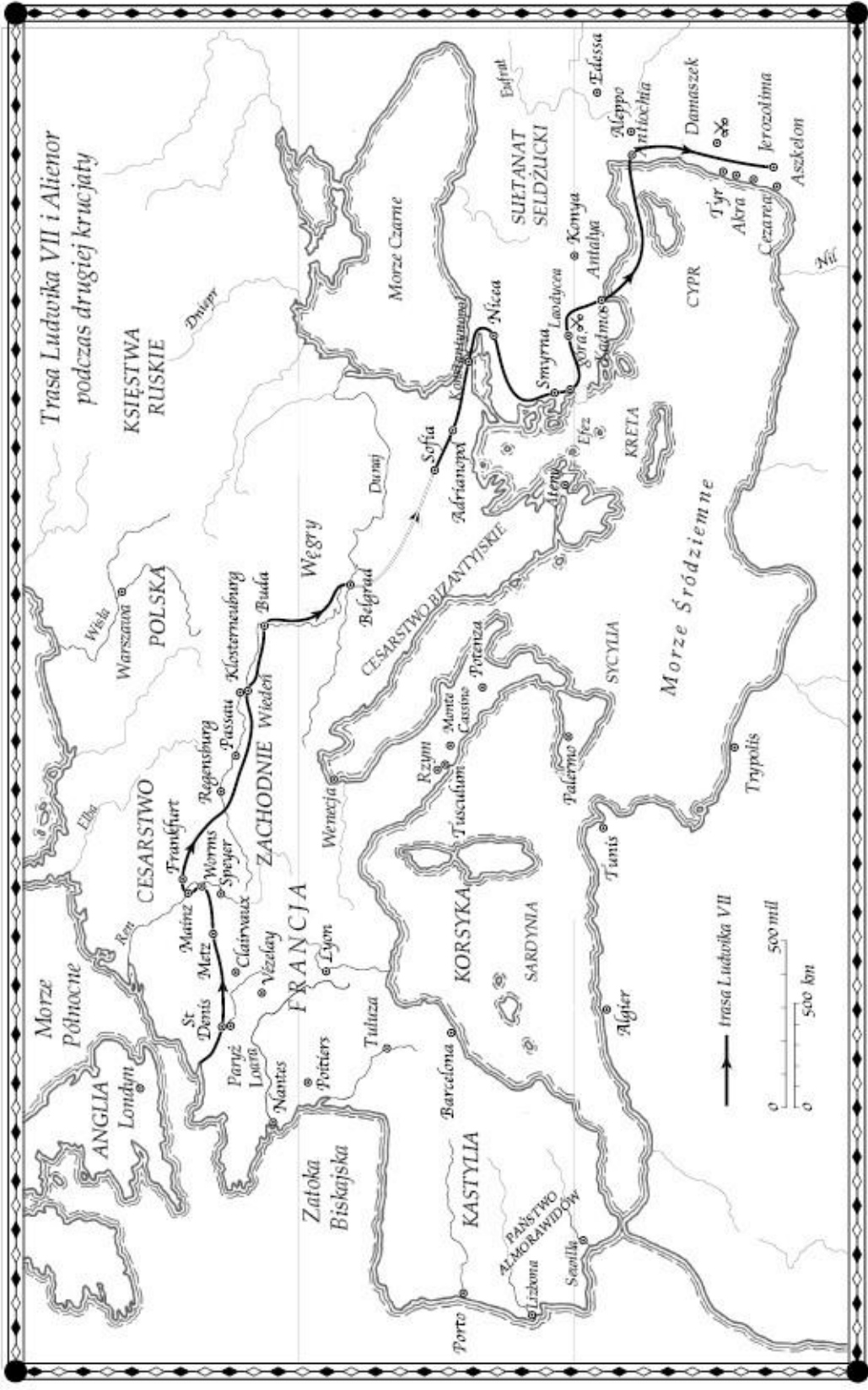
Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

www.proszynski.pl

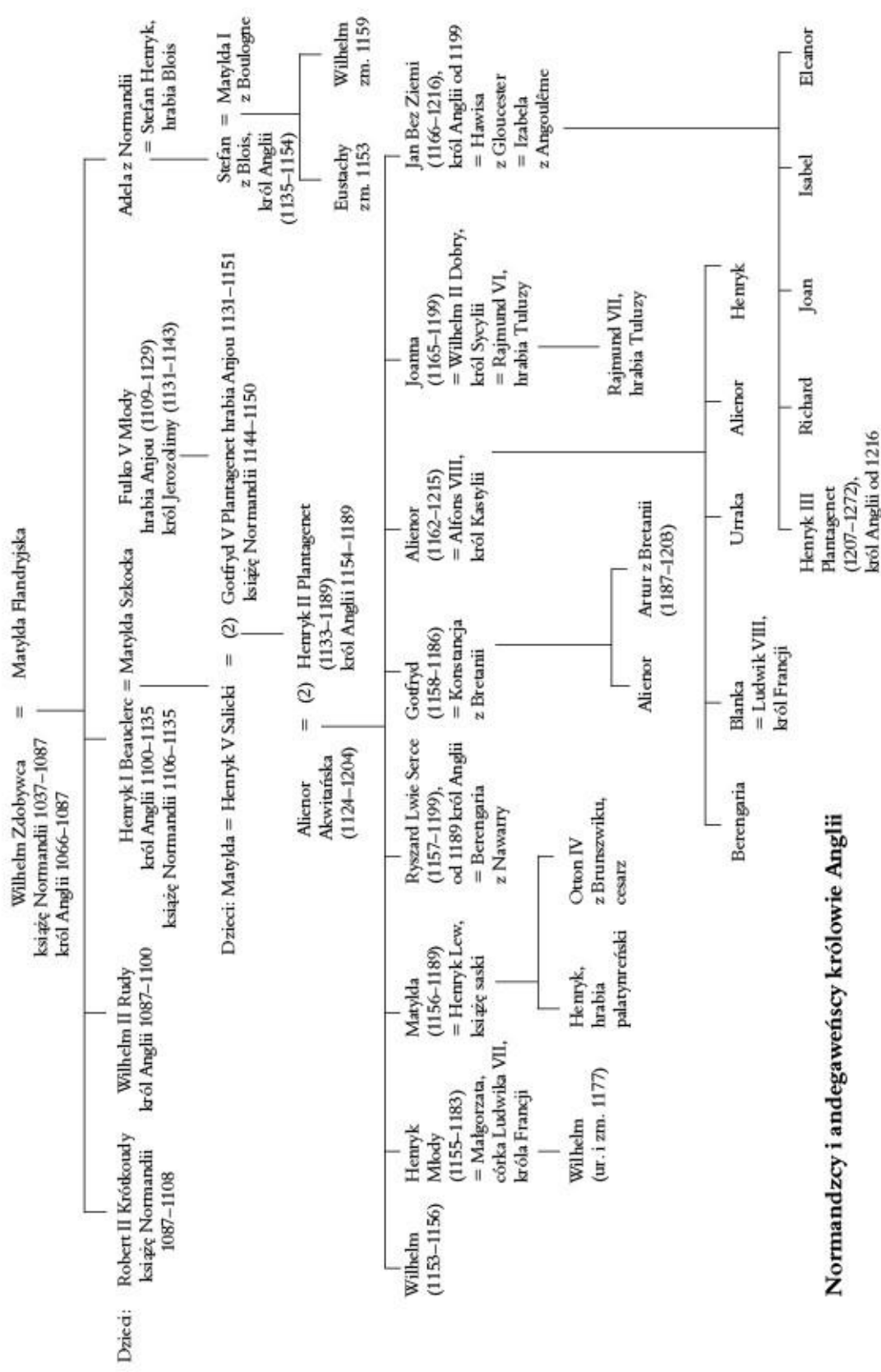


Trasa Ludwika VII i Alienor
podczas drugiej krucjaty



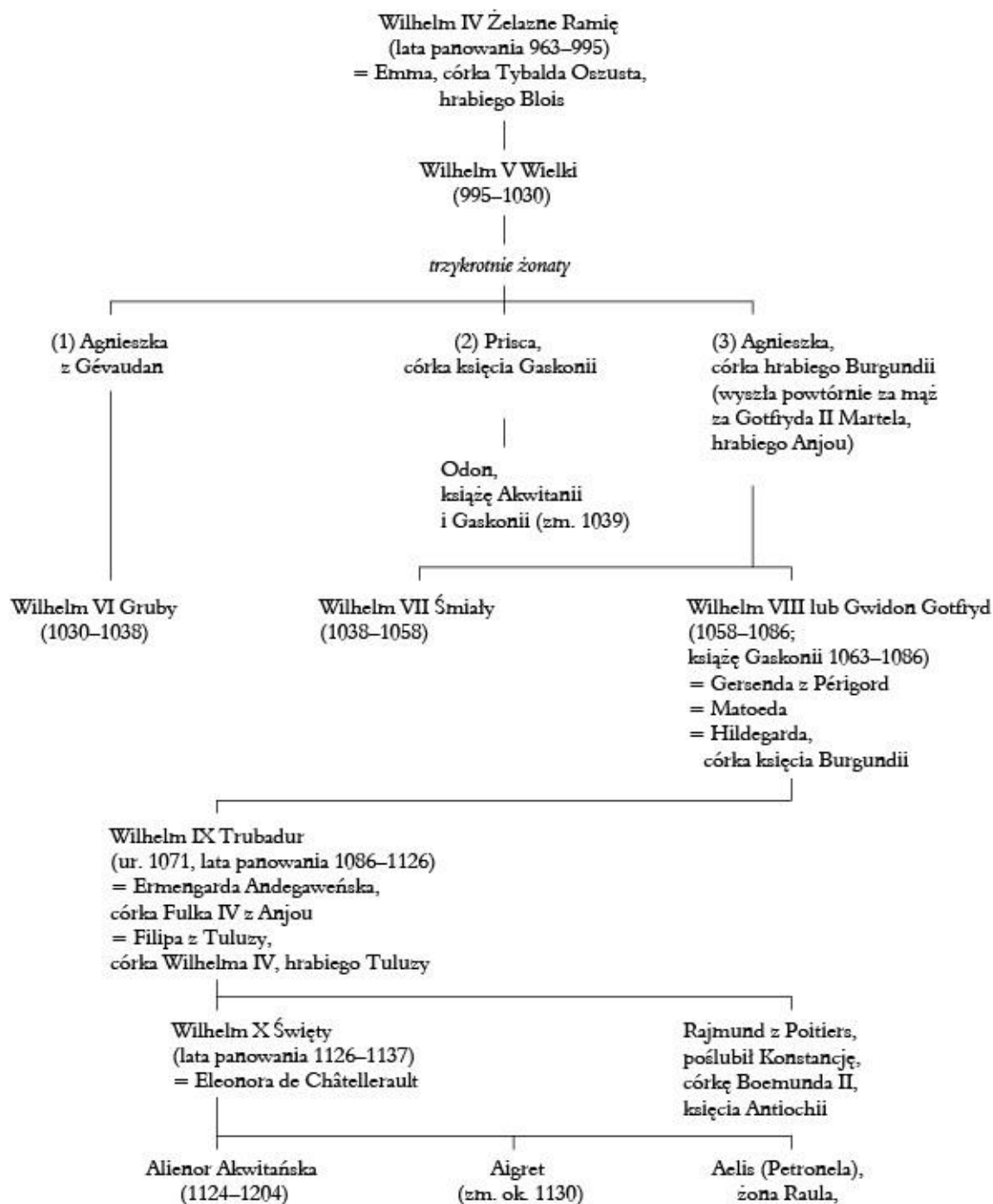
→ trasa Ludwika VII
0 500 mil
0 500 km





Normandzcy i andegawefscy królowie Anglii

Hrabiowie Poitou, księżta Akwitanii



Do Czytelnika:

W powieści nazywam Eleonorę Alienor, gdyż tak mówiłaby o sobie i tak nazywano ją w kronikach. Uznałam, że należy to uszanować.

Pałac w Poitiers, styczeń 1137

Alienor przebudziła się o świcie. Wysoka świeca, którą pozostawiono na noc, wypaliła się prawie do cna, a zza zamkniętych okiennic dochodziło pianie kogutów na grzędach, płotach i kupach gnoju; budziły swoim wrzaskiem całe Poitiers. Petronela spała skulona pod pierzyną, z ciemnymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Alienor ostrożnie wysliznęła się z posłania, żeby nie zbudzić młodszej siostry i uniknąć jej narzekania. Pragnęła mieć tę chwilę wyłącznie dla siebie. Nastął nowy dzień, inny niż pozostałe, więc długo nie nacieszy się spokojem.

Włożyła suknię leżącą na skrzyni, wsunęła stopy w miękkie pantofle z cielecej skórki i uchyliwszy okiennicę, wdychała rześkie powietrze poranka. Lekki, wilgotny wiaterek przywiał znajomą woń dymu, zmurszałego kamienia i świeżego pieczywa. Zaplatając włosy zręcznymi palcami, podziwiała przecinające się wstęgi grafitu, perłowej szarości i złota na wschodzie, po czym z westchnieniem cofnęła się od okna.

Bezszelestnie zdjęła okrycie z kołka na ścianie i na palcach wyszła z komnaty. W sąsiednim pomieszczeniu niemrawo budziły się służki. Alienor przekradła się obok nich jak lisiczka, a następnie lekkim krokiem zbiegła po schodach wielkiej wieży Maubergeon, gdzie mieściła się część mieszkalna książęcego pałacu.

W wielkiej sali jadalnej zaspany młodzieniec rozstawiał kosze z chlebem i dzbany z winem. Alienor porwała jeszcze ciepły bochenek i wyszła na zewnątrz. W niektórych chatkach i zagrodach wciąż płonęły latarnie. Posłyszała z kuchni brzęk naczyń i okrzyki kucharki, która łajęła kogoś za rozlanie mleka. Znajome, krzepiące odgłosy, mimo nieuchronnych zmian.

W stajniach przygotowywano konie do podróży. Rącza, jej cętkowana klacz, i Morello, lśniący czarny kucyk siostry, stały jeszcze w swoich boksach, gdy resztę zaprzęgnięto do wozów, które miały powieźć bagaż sto pięćdziesiąt mil na południe z Poitiers do Bordeaux, gdzie wraz z Petronelą spędzi wiosnę i lato w pałacu de l'Ombrière z widokiem na Garonnę.

Podawała klaczy kawałek chleba na rozpostartej dłoni i pogłaskała ją po ciepłej, szarej szyi.

– Tatusz nie musi jechać aż do Santiago de Compostela – powiedziała. – Dlaczego nie może z nami zostać i pomodlić się w domu? Nie lubię, kiedy wyjeżdża.

– Alienor.

Podsłuchiwała, przyłapaną na gorącym uczynku, i odwróciwszy się do ojca, uświadomiła sobie, że wszystko słyszał.

Był wysoki i długonogi, z brązowymi włosami przetykanymi siwizną przy uszach i na skroniach. Miał zmarszczki w kąciakach oczu i zapadnięte policzki pod rzeźbionymi kośćmi policzkowymi.

– Pielgrzymka to hołd złożony Bogu – oznajmił. – A nie głupia zachcianka powzięta pod wpływem kaprysu.

– Tak, ojcze. – Wiedziała, jak ważna jest dla niego ta pielgrzymka, wręcz niezbędna dla spokoju jego duszy, ale wołała, by został. Ostatnimi czasy zmienił się, zdawał się nieobecny duchem i czymś przytłoczony, a ona nie wiedziała, czemu tak się dzieje.

Uniósł jej podbródek palcem wskazującym.

– Jesteś moją dziedziczką, Alienor, więc zachowuj się, jak przystało na córkę księcia Akwitanii, a nie nadąsane dziecko.

Odsunęła się z urazą. Miała trzynaście lat, od roku była pełnoletnia i uważała się za dorosłą, mimo że ojcowska miłość i obecność wciąż zapewniały jej upragnione poczucie bezpieczeństwa.

– Widzę, że się rozumiemy. – Zmarszczył czoło. – Pod moją nieobecność władza nad Akwitanią spoczywa w twoich rękach. Nasi wasale przysięgli poprzeć cię jako moją następczynię i nie możesz ich zawieść.

Alienor przygryzła wargę.

– Boję się, że nie wrócisz... – Głos jej zadrżał. – I że już cię nie zobaczę.

– Ależ moje dziecko! Oczywiście, że wrócę, jeśli taka wola boska. – Czule ucałował ją w czoło. – Poza tym jeszcze nie wyjechałem. Gdzie Petronela?

– Śpi, ojcze. Nie chciałam jej budzić.

Przyszedł stajenny, aby zająć się końmi dziewcząt. Ojciec pociągnął Alienor na dziedziniec, gdzie blada szarość brzasku ustępowała miejsca cieplejszym odcieniom. Delikatnie pociągnął ją za gruby, złocisty warkocz.

– Biegnij po siostrę. Wypadałoby, abyście odbyły część pielgrzymki na własnych nogach.

– Tak, ojcze. – Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie i odeszła z godnością, wyprostowana jak struna.

Wilhelm westchnął. Jego starsza córka niepostrzeżenie stawała się kobietą. Urosła w ciągu ostatniego roku, jej figura nabrała krągłości. Była tak olśniewająca, że jej widok nappełniał go bólem. Była olśniewająca i o wiele za młoda na to, co miało nastąpić. Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

Kiedy Alienor wróciła do komnaty, Petronela już nie spała, pakowała

pospiesznie do miękkiego woreczka ulubione błyskotki na drogę. Floreta, ich piastunka i przyzwoitka, zdążyła już wpleść niebieskie wstążki w jej lśniące, brązowe włosy, odsłaniając pokryty meszkiem zarys policzka.

– Gdzie byłaś? – spytała dziewczynka.

– Nigdzie... spacerowałam. Jeszcze spałaś.

Petronela zacisnęła sznurek i trąciła chwosty na jego końcach.

– Tatuś obiecał nam przywieźć święte krzyżyki z sanktuarium Świętego Jakuba.

„Jak gdyby święte krzyżyki mogły nam wynagrodzić jego nieobecność”, pomyślała Alienor, lecz ugryzła się w język. Petronela miała jedenaście lat, ale zachowywała się jak dziecko. Pomimo łączącej je bliskości dwuletnia różnica wieku stanowiła czasem istną przepaść. Alienor była dla Petroneli nie tylko starszą siostrą, ale częstokroć zastępowała jej zmarłą matkę.

– A kiedy wróci po świętach wielkanocnych, wyprawimy wielką biesiadę, prawda? – Petronela utkwiała w niej wyczekujące spojrzenie brązowych oczu. – Prawda?

– Ma się rozumieć – zapewniła Alienor i przytuliła siostrę, równie złąkniona pociechy.

Orszak książęcy wyruszył do Bordeaux przed południem, po mszy w kościele Świętego Hilarego, o ścianach zdobionych orlim herbem panów Akwitanii.

Zza chmur prześwitywały skrawki błękitnego nieba, a nagle, zwinne promienie słoneczne odbijały się od sprzączek i uprzęży. Pochód ciągnął się drogą jak tęczowa wstęga, przetykana srebrem zbroi oraz soczystymi barwami kosztownych tkanin w odcieniach fioletu, szkarłatu i złota, na tle stonowanych brązów i szarości przyodziewków służby i furmanów. Wszyscy podążali pieszo, nie tylko książę Wilhelm. Pierwszego dnia pokonają dwadzieścia mil, które dzieliły ich od Saint-Sauvant, gdzie mieli zanoć.

Alienor maszerowała przed siebie, trzymając jedną ręką dłoń Petroneli, a drugą unosząc suknię, żeby się nie zabrudziła. Niekiedy młodsza z sióstr podskakiwała niesfornie. Żongler zaintonował pieśń przy akompaniamencie małej harfy i Alienor rozpoznała słowa swojego cieszącego się złą sławą dziadka Wilhelma IX Akwitańskiego. Napisał wiele sprośnych pieśni, których nie godziło się śpiewać w alkierzu, lecz ta tchnęła słodyczą i melancholią, aż Alienor przeszły ciarki po plecach.

Nie wiem, czy nie śpię, czy śnię,

Aż ktoś mi to powie.

Serce mało mi nie pęknie,

Lecz jest mi to obojętne.

Ojciec jakiś czas szedł z nimi, ale miał dłuższy krok i niebawem zostawił je z tyłu, w towarzystwie dwórek. Alienor patrzyła, jak odchodzi, utkwiała wzrok w jego dłoni zaciśniętej na lasce pielgrzymiej. Książęcy pierścień z szafirem mrugał do niej swym ciemnoniebieskim okiem. Siłą woli próbowała go skłonić, żeby się obejrzał, lecz uparcie patrzył przed siebie. Miała wrażenie, że odgradzał się od niej celowo, by po chwili zniknąć, pozostawiając jedynie ślady, po których będzie mogła podążać.

Nie rozchmurzyła się nawet, kiedy dołączył do nich ojcowski seneszał, Gotfryd z Rancon, hrabia Gençay i Taillebourga. Niespełna trzydziestoletni, miał ciemnobrązowe włosy, głęboko osadzone piwne oczy i uśmiech, który niezawodnie podnosił ją na duchu. Znała go od urodzenia, gdyż był jednym z głównym wasali i dowódców ojca. Żona odumarła go przed dwoma laty, lecz nie kwapił się do powtórnego ożenku. Miał dwie córki i syna z pierwszego małżeństwa, więc nie potrzebował dziedzica.

– Skąd ta ponura mina? – Zajrzał jej w twarz. – Deszcz zaklinasz?

Petronela zachichotała, a Gotfryd puścił do niej oko.

– Nie bądź niemądry. – Alienor zadarła podbródek i przyspieszyła kroku.

Gotfryd nie dał za wygraną.

– Powiedz, co się stało.

– Nic – odpowiedziała. – Nic się nie stało. Co się miało stać?

Spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Może to, że twój ojciec wybiera się do Santiago de Compostela i zostawia cię w Bordeaux?

Ścisnęło ją w gardle.

– Oczywiście, że nie – burknęła.

Potrząsnął głową.

– Masz rację, jestem niemądry, ale czy mi wybaczysz i zgodzisz się, bym

przez chwilę dotrzymał ci towarzystwa?

Alienor wzruszyła ramionami, ale w końcu niechętnie skinęła głową. Gotfryd wziął ją za rękę, a w drugą ujął dłoń Petroneli.

Po jakimś czasie Alienor niemal bezwiednie poprawił się humor. Gotfryd nie mógł zastąpić jej ojca, ale jego obecność działała kojąco. Szła naprzód, podniesiona na duchu.

Bordeaux, luty 1137

Wilhelm X Akwitański siedział przy kominku w swojej komnacie w pałacu de l'Ombrière i popatrzył na dokumenty, które miał opatrzeć pieczęcią. Potarł dłonią bok.

– Czy nadal obstajesz przy tej podróży, panie?

Przeniósł wzrok na arcybiskupa Bordeaux, który grzał się przy ogniu; ciężkie, podbite futrem szaty przytłaczały jego wysoką, chudą postać. Od lat przyjaźnił się z Gotfrydem z Louroux i jego wyznaczył na preceptora obu córek.

– Owszem – odpowiedział. – Chcę zawrzeć pokój z Bogiem, dopóki jeszcze mam czas, a Santiago de Compostela nie leży zbyt daleko, jak sądzę.

Gotfryd rzucił mu zatroskane spojrzenie.

– Jest coraz gorzej, prawda?

Wilhelm westchnął ze znużeniem.

– Wmawiam sobie, że w sanktuarium Świętego Jakuba dokonało się wiele cudów i będę modlił się o następny, ale po prawdzie odbywam tę pielgrzymkę przez wzgląd na moją duszę, a nie w nadziei na wyleczenie. – Ścisnął palcami grzbiet nosa. – Alienor boleje nad tym, że nie ratuję duszy w Bordeaux, bo nie rozumie, że w takim wypadku nie zostałbym oczyszczony. Tu potraktowano by mnie łagodnie, gdyż jestem panem. Na drodze, podążając pieszo z laską i węzełkiem, jestem tylko jednym spośród tłumu pielgrzymów. Przed Bogiem wszyscy stajemy nadzy, bez względu na pozycję, dlatego muszę powziąć takie kroki.

– Ale co z ziemią w czasie twojej nieobecności, panie? – zapytał Gotfryd z troską. – Kto będzie rządził w twoim imieniu? Alienor dorosła do małżeństwa i choć zmusiłeś do posłuchu wszystkich wasali, każdy baron chciałby pojąć ją za żonę lub wydać za swego syna. Tylko czekają na okazję, jak zapewne zauważyłeś. Weźmy Gotfryda z Rancon. Szczerze opłakiwał żonę, przyznając, podejrzewam jednak, że nie bez kozery zwleka z powtórным ożenkiem.

– Nie jestem ślepy. – Wilhelm wzdrygnął się z bólu, gdy zakłuło go w boku. Nalał sobie źródlanej wody z dzbanka na stole. Ostatnio stronił od wina: żywił się głównie suchym chlebem i pozbawionym smaku jedzeniem, chociaż niegdyś był człowiekiem o nieposkromionym apetycie. – Oto mój testament. – Podsunął arcybiskupowi zwój pergaminu. – Zdaję sobie sprawę z zagrożeń, jakie czyhają na moje córki, jak również z realnej groźby wojny, dlatego podjąłem kroki, aby temu zaradzić.

Patrzył, jak Louroux odczytuje testament i zgodnie z jego przewidywaniami unosi brwi.

– Powierzasz swoje córki Francuzom – stwierdził Gotfryd. – Czyż to nie równie ryzykowne? Zamiast zdziczałych psów zapraszasz lwy pod strzechę?

– Alienor też jest lwicą – odparł Wilhelm. – Umie sprostać wyzwaniu. Kształcono ją w tym kierunku, a ona okazała się pojętną uczennicą, o czym ci doskonale wiadomo. – Machnął ręką. – Plan ma pewne braki, ale jest bezpieczniejszy od pozornie bardziej obiecujących. Ogniwem łączącym cię z Francuzami jest Kościół, pokładam też wielką wiarę w twoją roztropność i elokwencję. Doskonale wyszkoliłeś moje córki; darzą cię sympatią i zaufaniem. W razie mojej śmierci powierzam ich dobro twojej opiece. Wiem, że staniesz na wysokości zadania.

Odczekał, aż Gotfryd ze zmarszczonymi brwiami ponownie odczyta testament.

– Ze świecą szukać lepszego rozwiązania. Na próżno się głowiłem. Oddaję córki, a tym samym całą Akwitanie, Ludwikowi Francuskiemu, ponieważ nic innego mi nie pozostaje. Gotfryd jest honorowym człowiekiem, lecz jego ślub z Alienor doprowadziłby do krwawej wojny domowej. Skłonić ludzi do posłuszeństwa seneszalowi a wynieść go nad pozostałych jako księcia małżonka Akwitanii – to dwie zupełnie różne sprawy.

– Istotnie – przyznał Gotfryd.

Wilhelm się skrzywił.

– Musimy też wziąć pod uwagę Gotfryda z Anjou, który chętnie połączyłby swój ród z moim, za sprawą skojarzenia Alienor ze swoim małoletnim synem. Poruszył tę kwestię w ubiegłym roku podczas kampanii w Normandii, ale zbyłem go obietnicą, że rozważę to, kiedy chłopiec podrośnie. Jeśli umrę, może skorzystać z okazji, co również przyniosłoby katastrofalne skutki. W życiu trzeba nam ponosić ofiary dla dobra wspólnego, czego Alienor jest świadoma. – Wysilił się na żart: – Jeśli grona trzeba deptać, któż zna się na winie lepiej aniżeli my w Bordeaux? – Ale żaden z nich się nie uśmiechnął. Wilhelma zemdliło z bólu. Długa wędrówka z Poitiers nadszarpnęła jego wątłe siły. Boże miłosierny, był taki wykończony, a zostało mu jeszcze tyle do zrobienia.

Gotfryd nadal miał zatroskaną minę.

– Może zapobiegiesz bratobójczym walkom, obawiam się jednak, że wszyscy zwrócą się przeciwko Francuzom jako wspólnemu wrogowi.

– Nie, jeśli ich księżna zostanie królową. Spodziewam się niepokojów z tych źródeł, co zawsze, a także drobnych niesnasek, lecz nie sądzę, aby doszło do otwartego buntu. Ufam, że twe zdolności dyplomatyczne utrzymają statek na właściwym kursie.

Gotfryd szarpnął za brodę.

– Pokażesz to jeszcze komuś, panie?

– Nie. Wyślę zaufanego posłańca do króla Ludwika z kopią, lecz pozostali na razie nie muszą nic wiedzieć. W razie najgorszego niezwłocznie powiadom Francuzów i do ich przyjazdu strzeż dziewcząt jak oka w głowie. Powierzam ci dokument, ukryj go w bezpiecznym miejscu.

– Wedle rozkazu, panie. – Spojrzał z obawą na Wilhelma. – Poprosić medyka o miksturę nasenną?

– Nie. – Twarz Wilhelma stężała. – Wkrótce zapadnę w sen wieczny.

Gotfryd z ciężkim sercem wyszedł z komnaty. Wilhelm umierał, zapewne zostało mu już mało czasu. Inni trwali w niewiedzy, ale Gotfryd dobrze go znał. Było jeszcze wiele do zrobienia, tym bardziej bolało go, że ich sprawy zostaną jak niedokończony gobelin, którego druga część nie będzie pasowała do pierwszej, a wówczas cały trud pójdzie na marne.

Pomyślał ze smutkiem o Alienor i Petroneli. Przed siedmiu laty zimnica odebrała im matkę i braciszka. Teraz stanęły w obliczu utraty ojca. Były takie bezbronne. Wilhelm zabezpieczył ich przyszłość w testamencie, jednakże Gotfryd żałował, iż nie są starsze i bardziej doświadczone. Nie chciał patrzeć, jak zło tego świata bezcześci ich niewinną naturę, lecz wiedział, że to nieuniknione.

Alienor zdjęła płaszcz i przerzuciła go przez ojcowskie krzesło. W komnacie wyczuwało się zapach i obecność księcia, gdyż wyruszył z katedry odziany tylko w szorstką szatę pokutną i sandały, z suchym chlebem w węzélku, a tutaj pozostawił wszystko na starym miejscu. Wraz z Petronelą towarzyszyły mu przez kilka mil, po czym wróciły do Bordeaux z arcybiskupem. Petronela paplała przez całą drogę, wypełniając pustkę ożywionym głosem i gestykulacją, lecz Alienor jechała w milczeniu, a w domu oddaliła się samotnie do komnaty ojca.

Obeszła komnatę, dotykając różnych przedmiotów. Herbu z orłem na oparciu krzesła, szkatułki z kości słoniowej z paskami pergaminu oraz niewielkiego pojemnika z rogu i srebra na przybory do pisania. Przystanęła obok ojcowskiego płaszcza, miękkiego, niebieskiego, z podszewką z wiewiórczej skórki. Na kołnierzu załśnił pojedynczy włos. Uniosła połą i przycisnęła ją do twarzy, żegnając się z nim tak, jak nie pożegnała się na drodze, kiedy ją objął, taka była na niego oburzona. I odjechała, nie obejrzawszy się ani razu. Za to Petronela wyściskała go w dwójnasób, za siebie i za siostrę.

Oczy ją zapiekły, wytarła je w połą płaszcza. Zobaczy ojca dopiero po świętach wielkanocnych. Często wyjeżdżał: nie dalej jak w ubiegłym roku walczył w Normandii z Gotfrydem le Bel, hrabią Anjou, co było po stokroć bardziej niebezpieczne od pielgrzymki.

Usiadła na krześle i oparła ręce na poręczach, wyobraziła sobie, że jest panią

Akwitanii, sprawiedliwą i roztrofną. Od wczesnego dzieciństwa uczono ją sztuki myślenia i panowania. Lekcje przędzenia i tkania, czysto kobiece zajęcia, stanowiły jedynie tło poważniejszych zagadnień. Ojciec lubił widzieć ją odzianą w piękne stroje i klejnoty, pochwalał kobiecość i czynności z nią powiązane, lecz zarazem traktował jak syna. Objeżdżała z nim rozległe ziemie Akwitunii, od pogórza Pirenejów do nizin u zachodniego wybrzeża aż po gwarny port Niort. Od winorośli Cognac i lasów Poitou, do wzgórz, bujnych dolin rzecznych i terenów jeździeckich Limousin. Towarzyszyła mu, gdy pobierał daninę od swoich wasali, z których wielu było narowistymi pieniaczami, dbającymi jedynie o własną korzyść, niemniej jednak uznawali zwierzchnictwo jej ojca. Pokazywał jej, jak z nimi postępować. Język władzy to zarówno słowa, jak również myśl i obecność, gest i wyczucie czasu. Oświecał jej drogę i nauczył ją lśnić własnym blaskiem, dzisiaj jednak czuła, jakby wkroczyła do krainy cieni.

Drzwi się otworzyły i wszedł arcybiskup. Zastąpił strojną mitrę zwykłą czapką filcową, a szatę brązowym habitem przewiązanym sznurkowym paskiem. Pod pachą niósł rzeźbioną szkatułkę z kości słoniowej.

– Domyśliłem się, że cię tu zastanę, córko – oznajmił.

Alienor poczuła lekką urazę, ale nic nie powiedziała. Nie mogła tak po prostu odprawić arcybiskupa Bordeaux; mała, osamotniona część jej istoty chciała się do niego przytulić, chociaż w istocie pragnęła bliskości ojca.

Postawił szkatułkę na stole przy jej krześle i uniósł wieko.

– Twój ojciec prosił, żebym ci to dał – powiedział. – Być może pamiętasz go z czasów dzieciństwa. – Na miękkiej wyściółce z białego filcu spoczywał gruszkowaty flakonik z przezroczystego górskiego kryształu, z powierzchnią o strukturze plastra miodu. – Mawiał, że jest taki jak ty, bezcenny i niepowtarzalny. Gdy odbija światło, przydaje uroku wszystkiemu, co go otacza.

Alienor przełknęła ślinę.

– Pamiętam – odrzekła. – Ale nie widziałam go od bardzo dawna.

Żadne z nich nie wspomniało, że cacko było ślubnym darem ojca dla matki, a po jej śmierci złożono je w skarbcu katedry w Bordeaux i rzadko wyjmowano.

Zamknęła flakonik w złożonych dłoniach i delikatnie odłożyła do szkatułki. Światło z okna przebiło kryształ, rozsiewając tęcze refleksy na tle bieli. Aż dech jej zaparło na tę niespodziewaną feerię kolorów. Łzy zamgłyły jej wzrok i stłumiła szloch.

– Cii, już dobrze. – Gotfryd obszedł stół, żeby ją objąć. – Wszystko się ułoży, masz moje słowo. Jestem tutaj, będę się tobą opiekował.

To samo mówiła zawsze Petroneli, te słowa były niczym balsam na jej duszę, pomagały znieść ból. Oparła mu głowę na piersi i pozwoliła sobie na łzy, ale w końcu się odsunęła i uniosła podbródek. Słońce wciąż migotało na kryształach; przyłożyła rękę i kolory zatańczyły na jej nadgarstku: cynober, błękit oraz purpura.

– Bez światła piękno pozostaje w ukryciu – stwierdził Gotfryd. – Ale wciąż tam jest. Tak jak miłość Boga albo rodziców. Pamiętaj o tym, Alienor. Jesteś otoczona miłością, nawet jeśli tego nie dostrzegasz.

W trzecim tygodniu po Niedzieli Wielkanocnej nastąpiła piękna pogoda; o poranku, gdy słońce pięło się po niebie, Alienor i Petronela z dwórkami wyniosły robótki do pałacowych ogrodów. Muzykanci przygrywali cicho na harfie i citoli, opiewając odrodzenie, wiosnę i nieutuloną tęsknotę. Woda pluskała w marmurowych fontannach, szemrała sennie pośród złocistego ciepła.

Dwórki, ośmielone nieobecnością Florety, szczebiały jak wróble harcujące w krzewach morwy. Ich paplanina działała Alienor na nerwy. Nie interesowały jej plotki, kto do kogo robi słodkie oczy, a dziecko, którego spodziewa się żona zarządcy, jest prawdopodobnie owocem romansu z młodym giermkim. Kiedy Alienor była mała, na dworze babci ze strony matki w Poitiers aż huczało od tak błahych, ale niszczących pogłosek, i nie znosiła, gdy przekazywano je sobie z podobną niefrasobliwością. Dangerousa z Châtellerauld nie była żoną jej dziadka, lecz jego nałożnicą: żył z nią jawnie, postępował wedle własnego mniemania, toteż często zarzucano mu nieobyčajność. Raz puszczona w ruch plotka parła do przodu niczym taran; wystarczyło kilka złośliwych szeptów, aby okryć człowieka niesławą.

– Dosyć tego – burknęła władczo. – Chcę w spokoju posłuchać muzyki.

Kobiety wymieniły spojrzenia, ale umilkły. Alienor sięgnęła po kandyzowaną gruszkę z półmiska i wgrzyzała się w słodki miąższ. Były to jej ulubione przysmaki i nigdy ich sobie nie odmawiała. Ich słodycz podnosiła ją na duchu, a świadomość, że w każdej chwili może po nie sięgnąć, dawała jej poczucie władzy, w które wkradał się jednak cień niezadowolenia, gdyż na co komu władza nad ploteczkami służby i tacą ze smakołykami? To nie była prawdziwa władza, lecz zaledwie namiastka, toteż nie mogła jej usatysfakcjonować.

Jedna z kobiet pokazała Petroneli specjalny ścieg do haftowania stokrotek. Alienor porzuciła własną robótkę i ruszyła na przechadzkę po ogrodzie. Tępy ból głowy opasywał jej skronie, diadem na czole tylko pogarszał sprawę. Zbliżał się dzień miesiączki i bolał ją brzuch. Źle spała, dręczyły ją koszmary, których po przebudzeniu nie pamiętała, jednakże zawsze towarzyszyło jej poczucie, że tkwi w potrzasku.

Przystanąła przed młodą wisienką i musnęła dłonią zielone kulki dojrzewających owoców. Do czasu powrotu ojca staną się ciemnoczerwone, na granicy czerni. Słodkie, soczyste i dojrzałe.

– Córko.

Tylko dwoje ludzi tak ją nazywało. Odwróciwszy się, stanęła na wprost

arcybiskupa Gotfryda i z góry wiedziała, co usłyszy, gdyż jego zatroskana, współczująca twarz mówiła wszystko.

– Przynoszę złe wieści – oznajmił.

– Chodzi o mojego ojca, prawda?

– Lepiej usiądź, dziecko.

Patrzyła na niego nieustępliwie.

– On nie wróci, tak?

Zrobił zdziwioną minę, ale zaraz odzyskał rezon.

– Z bólem donoszę, że zmarł w Wielki Piątek nieopodal Santiago de Compostela i pochowano go u stóp Świętego Jakuba. Od jakiegoś czasu niedomagał. – Mówił chrapliwym głosem. – Pan Bóg go wezwał do siebie i uwolnił od ziemskiego cierpienia.

Rozpacz przepęliła jej serce. Od dawna przeczuwała coś złego, ale nikt nie raczył jej uświadomić, zwłaszcza ojciec.

Gotfryd podał jej pierścień z szafirem, który ścisnął w rękę.

– Przesłał ci to, żebyś wiedziała, z przykazaniem, byś jak zawsze stanęła na wysokości zadania i słuchała rad swoich opiekunów.

Spojrzała na pierścień i przypomniała sobie, jak jeszcze niedawno lśnił na ojcowskim palcu. Czowała, jakby ziemia rozstąpiła się pod nią i pochłonęła wszystko dokoła. Uniosła głowę, by popatrzeć na siostrę, która w ogrodzie zaśmiewała się ze słów dwórki. Jeszcze chwila i ten śmiech ustanie, ustąpi miejsca łzom i rozpacz. Świat Petroneli też runął w gruzy, a było to jeszcze trudniejsze do zniesienia niż jej własne męki.

– Co z nami będzie? – Siłowała się na opanowanie, ale nie zdołała ukryć drżenia w głosie.

Gotfryd zacisnął jej palce na pierścieniu.

– Będziecie pod dobrą opieką, nic się nie martw. Ojciec zadbał o was w swoim testamencie. – Chciał ją objąć ze współczuciem, ale odsunęła się i zacisnęła zęby.

– Nie jestem dzieckiem.

Gotfryd opuścił rękę.

– Ale wciąż jesteś jeszcze bardzo młoda – zauważył. – Twoja siostra... – Przeniósł wzrok na grupkę kobiet.

– Sama jej powiem – oznajmiła stanowczo. – Tylko ja, nikt inny.

Ustąpił, chociaż jego twarz zmarszczyła się w wyrazie troski.

– Jak sobie życzysz.

Alienor wróciła do towarzyszek z Gotfrydem u boku. Kiedy dziewczęta dygnęły przed nim, odprawiła go i usiadła obok siostry.

– Patrz, co wyszyłam! – Petronela uniosła robótkę. W jednym rogu widniały białe stokrotki ze złotymi supełkami pośrodku. Oczy dziewczynki zaśmiały. –

Podaruję tatusiowi, kiedy wróci do domu!

Alienor przygryzła wargę.

– Petro – objęła siostrę ramieniem – posłuchaj uważnie. Mam ci coś do powiedzenia.

Zamek Béthizy, Francja, maj 1137

Ludwikowi przerwano modły i wezwano do komnaty chorego ojca, położonej w górnej części zamku. Rozwarte na oścież okiennice wpuszczały do środka lekki powiew i odsłaniały bliźniacze łuki błękitnego, wiosennego nieba. W misach rozstawionych na stołach płonęły kadzidła, które nie zdołały jednak zamaskować smrodu gnijącego, spuchniętego ciała. Ludwik ukląkł przy łożu i powstrzymał odruch wymiotny. Prawie się wzdrygnął, kiedy ojciec dotknął czubka jego głowy w geście błogosławieństwa.

– Powstań. – Głos Ludwika seniora był ochryply od flegmy. – Niech na ciebie spojrzę.

Ludwik z trudem opanował lęk. Ciało ojca wprawdzie było obrzmiałą ruiną, lecz lodowato błękitne oczy wciąż zdradzały bystry umysł i niezłomną wolę zapalonego łowczego, rycerza i króla uwięzione w konającej powłoce. Ludwik w obecności ojca zawsze czuł się niepewnie. Był drugim synem, przeznaczonym Kościołowi, lecz – gdy jego starszy brat zginął podczas przejażdżki konnej – musiał przerwać nauki w Saint-Denis i został następcą tronu. Tak chciał Bóg, a Ludwik wiedział, że jego obowiązkiem jest podporządkowanie się woli Najwyższego, jednakże nie z własnego wyboru – a już na pewno nie z wyboru jego rodziców.

Matka stała przy kotarach po prawej stronie łoża z rękami zaciśniętymi przed sobą i ustami zasznurowanymi w znajomym wyrazie, z którego jasno wynikało, że ona wie najlepiej, a on nie wie nic. Po jej lewicy zamarła garstka najbliższych doradców króla, w tym jej dwaj bracia, Wilhelm i Amadée, a także Tybald, hrabia Blois. Obawy Ludwika przybrały na sile.

Ojciec prychnął przez nos niczym handlarz koni, nie do końca zadowolony z oferty, ale świadomy, że nie będzie mu dane nic lepszego.

– Otrzymasz zadanie, które uczyni z ciebie mężczyznę – wycharczał.

– Panie? – Z zaciśniętego gardła Ludwika dobył się piskliwy głos.

– Śluby małżeńskie. Suger ci wyjaśni; ma więcej powietrza w płucach i uwielbia dźwięk własnego głosu. – Ojciec kiwnął ręką i drobny, podobny do wiewiórki opat z Saint-Denis odłączył się od pozostałych ze zwojem w chudych palcach i wyrazem dezaprobaty na twarzy wobec królewskich drwin.

Ludwik zamrugał. Śluby małżeńskie?

– Panie, mamy dla ciebie ważne i wspaniałe wieści. – Suger przemówił szczerym, melodyjnym głosem. Był nie tylko jednym z najbliższych powierników

króla, ale przy tym preceptorem i mentorem Ludwika, który kochał go bardziej niż rodzonoego ojca, ponieważ Suger pomagał mu zrozumieć świat oraz własne potrzeby. – Wilhelm Akwitański zmarł w czasie pielgrzymki do Santiago de Compostela, świeć, Panie, nad jego duszą. – Suger uczynił znak krzyża. – Przed podróżą przesłał do Francji swój testament z prośbą, ażeby twój ojciec roztoczył opiekę nad jego córkami w razie jego śmierci. Starsza skończyła trzynaście lat i dojrzała do małżeństwa, młodsza ma jedenaście.

Ojciec Ludwika dźwignął się na wałkach i poduszkach podpierających jego rozdęty tułów.

– Trzeba wykorzystać sposobność – zaświszczal. – Akwitania i Poitou po stokroć zwiększą nasze wpływy i prestiż. Nie dopuścimy, by wpadły w ręce innych. Gotfryd z Anjou z chęcią zagarnąłby księstwo dzięki małżeństwu swego syna ze starszą. Niedoczekanie jego! – Z wysiłku posiniał na twarzy i, ciężko łapiąc oddech, przykazał Sugerowi kontynuować.

Opat odchrząknął.

– Ojciec twój życzy sobie, abyś na czele armii udał się do Bordeaux, objął władzę nad regionem i poślubił starszą córkę, która przebywa obecnie pod strażą w pałacu de l’Ombrière. Arcybiskup oczekuje twojego przybycia.

Pod Ludwikiem ugięły się kolana, jakby ktoś wymierzył mu kuksańca w brzuch. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia będzie musiał się ożenić i spłodzić dziedziców, niemniej jednak uważał to za mgliście nieprzyjemny obowiązek w przyszłości bliżej nieokreślonej. Tymczasem właśnie dowiedział się, że musi poślubić dziewczynę, której nigdy nie widział na oczy, pochodzącą z ziem, gdzie mieszkańcy uchodzili za ludzi dość swobodnych obyczajów.

– Dopilnuję, by dziewczęta otrzymały staranne wykształcenie – wtrąciła jego matka, aby zaznaczyć swoją rolę w przebiegu wydarzeń. – Od lat nie zaznały matczynej opieki i trzeba nimi odpowiednio pokierować.

Raul z Vermandois, konstabl króla, wystąpił naprzód.

– Natychmiast rozpocznę przygotowania do wyjazdu, panie. – On również był bliskim doradcą króla, kuzynem Ludwika na dodatek. Skórzana opaska skrywała pusty oczodół po oku straconym w czasie oblężenia przed ośmiu laty. Był niestrudzonym wojakiem, a przy tym wytwornym, charyzmatycznym dworzaninem niezmiernie faworyzowanym przez damy, których zdaniem przepaska dodawała mu uroku.

– Byle szybko, Raulu – wychrypiał król. – Nie ma czasu do stracenia. – Uniósł ostrzegawczo palec. – Nie szcędźcie rozmachu, mieszkańcy Poitiers cenią go sobie, a za wszelką cenę trzeba zaskarbić sobie ich przychylność. Wysoko wzniescie proporce i zawiążcie wstążki na hełmach. I miejcie na uwadze, że zjawiacie się tam z darami, a nie wzniesionym orężem.

– Niech Wasza Wysokość zostawi to mnie. – Raul z Vermandois skłonił się

i wyszedł z komnaty, powiewając płaszczem jak żaglem.

Ludwik ukląkł, by raz jeszcze przyjąć ojcowskie błogosławieństwo, i cudem zdołał opuścić cuchnącą komnatę, nim gwałtowne torsje zgięły go w pół. Nie chciał się zenić. O dziewczętach wiedział jedynie, że ich miękkie krągłości, chichot i piskliwe głosy napełniają go odrazą. Jego matka była inna, jak wykuta z żelaza, lecz nigdy nie okazała mu miłości. Jedyne uczucie na tym świecie otrzymał od Boga, który najwyraźniej mówił mu teraz, że ma wstąpić w związek małżeński. Może to kara za jego grzechy, więc winien przyjąć ją pokornie na chwałę Bożą.

Służba rzuciła się po nim sprzątnąć, a z komnaty ojca wyszedł Suger i czym prędzej znalazł się u jego boku.

– Och, Ludwiku, Ludwiku. – Krzepiąco objął chłopaka ramieniem. – Wiem, że to dla ciebie wstrząs, ale taka jest wola boska i musisz ją przyjąć. Bóg daje ci wielką szansę, a za żonę dostaniesz dziewczę w wieku zbliżonym do twojego. Zaiste, masz powody do radości.

Słowa Sugera podziały na Ludwika kojąco. Jeśli istotnie taka jest wola boska, nie pozostaje mu nic innego, jak jej sprostać.

– Nawet nie znam jej imienia – zauważył.

– Zdaje się, że ma na imię Alienor, panie.

Ludwik powtórzył je bezgłośnie. Było jak owoc, którego dotąd nie smakował. Wciąż zbierało mu się na wymioty.

Bordeaux, czerwiec 1137

Jadąc obok arcybiskupa Gotfryda, Alienor czuła, że Rącza rwie się do galopu. Ona też najchętniej ruszyłaby na wyścigi z wiatrem. Upłynęło kilka dni, odkąd ostatnio opuściła pałac, zawsze pod strażą. Tego ranka czuwał nad nią sam arcybiskup. Jego rycerze wprawdzie zachowywali czujność, lecz trzymali się nieco na uboczu, by nie przeszkadzać w rozmowie.

W ciągu dwóch miesięcy od śmierci ojca ciepła, południowa wiosna ustąpiła miejsca skwarnemu latu i dojrzałe czereśnie na drzewach w pałacowym sadzie przybrały odcień lśniącej czerni. Ojciec spoczywał w grobie w Santiago de Compostela, a ona żyła w zawieszeniu, dziedziczka z mocą wpływania na ludzkie losy z racji swojego pochodzenia, a zarazem bezsilna wobec własnego, no bo jakież wpływ ma trzynastoletnia dziewczynka na mężczyzn, którzy kupczyli jej przyszłością?

Wyjechali na otwartą przestrzeń i Alienor spięła Rączą, popuszczając wodze. Gotfryd również przyspieszył, żeby za nią nadążyć, i znad spieczonej ziemi wzbił się obłok kurzu niczym biały dym. Alienor czuła ciepły wiatr na twarzy, wciągnęła w płuca ostry zapach dzikiego tymianku miazdzonego pod kopytami. Słońce ją oślepiało, a euforia wyścigu, czysta radość życia oraz szum tętniącej w żyłach krwi na chwilę przyćmiły troski. Wszystko, co było w niej dotąd zduszone i skrępowane, otworzyło się teraz i napełniło ją falą emocji gorących jak samo słońce.

Zatrzymała się na poboczu przed zrujnowanym rzymskim posągami i poklepała spoconą szyję klaczy. Ojciec opowiadał jej o Rzymianach. Przed tysiącem lat podbili i zasiedlili Akwitanie, mówili łaciną, używaną dziś przez światłe umysły, której nauczyła się wraz z francuskim obowiązującym w Poitou i na północy, jakże różnym od *lenga romana* Bordeaux.

Posąg wznosił prawą rękę jak wyrocznia i wbijał puste oczy w horyzont. Jego napierśnik oraz frędzle pasa zdobiły gwiazdki złocistego porostu.

– Nikt nie wie, co to za jeden – oznajmił Gotfryd. – Czas zatarł inskrypcję. Wielu pozostawiło swój ślad na tej ziemi, lecz zarazem sami zostali naznaczeni. Tutejsi bardzo źle znoszą jarzmo i ucisk.

Alienor wyprostowała się w siodle. Świadomość, że jest księżną Akwitanii, wzbierała w niej niczym nieubłagane fale przyływu, które coraz śmielej lizaly piaszczysty brzeg.

– Nie budzą we mnie strachu – oznajmiła.

Ostry blask słońca pogłębił zmarszczkę między brwiami arcybiskupa.

– Powinnaś jednak mieć się na baczności. Lepsze to, aniżeli dać się zaskoczyć. – Po chwili wahania dodał: – Przynoszę wieści, córko, toteż pilnie nadstaw ucha.

Spojrzała na niego czujnie. Mogła się domyślić, że pod pozornie niewinną przejażdżką coś się kryło.

– Jakie wieści?

– Ojciec twój, wiedziony miłością i niepokojem o ciebie i swoje ziemie, miał wobec ciebie wielkie plany, które zapisał w testamencie.

– „Wielkie plany”? Dlaczego dopiero teraz się o nich dowiaduję? – Poczowała ukłucie gniewu i strachu. – Dlaczego sam nie wspomniał mi o tym?

– Ponieważ wszystko musi dojrzeć, zanim wyda owoce – odparł uroczyście Gotfryd. – Dowiedziałybyś się od ojca, gdyby wrócił. Nieroztropnie było przedwcześnie o tym mówić, lecz teraz nadeszła właściwa chwila. – Nachyliwszy się, nakrył ręką jej dłoń. – Ojciec pragnął dla ciebie męża ku chwale twojej i Akwitanii. Pragnął też zapewnić bezpieczeństwo tobie, a swoim ziemiom spokój. Przed wyjazdem poprosił króla Francji o opiekę nad tobą i wyraził życzenie, abyś poślubiła jego najstarszego syna Ludwika. Kiedyś zostaniesz królową Francji i – jeśli Bóg pozwoli – zapoczątkujesz ród, którego wpływy obejmą ziemie od Paryża aż po Pireneje.

Jego słowa uderzyły Alienor jak obuchem, oniemiała wbiła wzrok w swego nauczyciela.

– To wielka szansa – podjął Gotfryd, bacznie ją obserwując. – Spełnisz oczekiwania ojca, a w nagrodę dostaniesz koronę. Dzięki sojuszowi Francja i Akwitania będą znacznie silniejsze niż w pojedynkę.

– Ojciec nie zrobiłby tego w tajemnicy przede mną. – Wbrew odrętwieniu wzbierało w niej straszne poczucie zdrady.

– On umierał, dziecko – zauważył ze smutkiem Gotfryd. – Nie pozostawało mu nic innego, jak zatroszczyć się o twoją przyszłość w sposób najlepszy z możliwych. Ta sprawa nie mogła wyjść na jaw przedwcześnie.

Zadarła podbródek.

– Nie zostanę żoną francuskiego księcia. Poślubię Akwitańczyka.

Ścisnęła jej rękę i poczuła, jak biskupi pierścień boleśnie wbija się w skórę.

– Musisz zaufać mnie i swemu ojcu. Uczyniliśmy, co należało. Ślub z rodakiem doprowadziłby do zatargów i wojny, która przypieczętowałaby los Akwitanii. Ludwik przybędzie za kilka tygodni i wasz ślub odbędzie się w katedrze w należytym oparciu, tak jak życzył sobie tego twój ojciec, a twoi wasale przysięgną wam posłuszeństwo. Nie możesz jechać do Paryża, gdyż jesteś zbyt smacznym kąskiem, a dopóki nie wyjdiesz za mąż, amatorów twojej ręki nie zabraknie.

Alienor zadrzała. Każde jego słowo spychało ją w coraz głębszą otchłań. Chciała oponować, lecz nie mogła wykrztusić ani słowa.

– Słyszysz? Będiesz wielką królową.

– Ale nikt nie pytał mnie o zdanie. Uknuliście to za moimi plecami. – Ścisnęło ją w gardle. – A jeśli nie wyjdę za Ludwika Francuskiego? Jeśli... jeśli wybrałam innego?

W jego oczach malowało się współczucie, lecz był nieubłagany.

– To niemożliwe. Nawet nie bierz tego pod uwagę. W myśl panującego zwyczaju ojciec wybiera męża dla córki. Nie ufasz jego decyzji? Mnie nie ufasz? Tak będzie najlepiej dla ciebie, najlepiej dla Akwitanii i Poitou. Ludwik jest młody, przystojny i wykształcony. To będzie udane małżeństwo, musisz spełnić swoją powinność.

Alienor czuła, jakby ktoś wepchnął ją do trumny i przybił wieko, pozbawił życia i dopływu światła. Nikt nie raczył jej uprzedzić, jak gdyby była tylko cenną przesyłką, przekazywaną z rąk do rąk. Jakież pożytek z bycia królową, jeśli podadzą ją na tacy Francuzom? Czuła się zdradzona i dotknięta, bo jej preceptor wiedział o wszystkim i słowem się nie zdradził, natomiast ojciec nosił się z tym zamiarem na długo przed wyjazdem. Zaiste, chyba nie pozostaje jej nic innego, jak zajadać kandyzowane owoce i wysłuchiwać głupich plotek, na jedno wychodzi.

Zawróciwszy, spięła klacz i na chwilę zatraciła się w szaleńczym galopie, ale gdy wierzchowiec zaczął słabnąć, zwolniła ze świadomością, że nie ucieknie od przeznaczenia będącego owocem spisku ludzi, którym bezgranicznie ufała.

Gotfryd nie popędził za nią, więc jechała sama polną drogą, ze wzrokiem utkwionym w horyzont jak anonimowy Rzymianin na omszałym cokole. Arcybiskup nazwał to małżeństwo „udanym”, lecz nie podzielała jego optymizmu. Nigdy nie powstało jej w głowie, że może zostać królową Francji: do niej należała rola księżnej Akwitanii, nic innego się nie liczyło. Jeśli po cichu marzyła o małżeństwie, widziała u swego boku Gotfryda z Rancon, pana Taillebourga i Gençay; czuła, że odwzajemnia jej uczucia, choć nigdy o tym nie wspomniał.

Z bolącym sercem ponownie zawróciła i pojechała do preceptora z poczuciem, że ostatnie iskielki jej dzieciństwa padają na drogę, migoczą i gasną.

W pałacu udała się prosto do komnaty, którą dzieliła z Petronelą, żeby się przebrać przed głównym posiłkiem, chociaż nie czuła głodu, a żołądek miała ściśnięty. Pochyliła się nad mosiężną miednicą, zaczerpnęła w dłonie chłodnej, pachnącej wody i ochlapała rozpaloną od skwaru twarz.

Petronela siedziała na łóżku i skubała płatki stokrotki, nucąc bezwiednie pod nosem. Ciężko zniosła śmierć ojca. Zrazu nie przyjmowała tego do wiadomości i cały ciężar jej wściekłości i żalu spadł na siostrę. Miała się już nieco lepiej, ale wciąż ulegała łzawym, ponurym nastrojom i była bardziej drażliwa niż zazwyczaj.

Alienor zaciągnęła kotary, żeby służące nie usłyszały. I tak wkrótce się

dowiedzą – może już plotkowano – lecz wolą rozmawiać z siostrą w cztery oczy.

– Mam ci coś do zakomunikowania – zaczęła.

Petronela zeszywniała na te słowa: ostatnim razem były zapowiedzią katastrofy.

– Arcybiskup oznajmił – podjęła Alienor szeptem – że mam poślubić Ludwika, następcę francuskiego tronu. Podobno tatuś ustalił to przed... przed wyjazdem.

Petronela spojrzała na nią pustym wzrokiem i oderwała łodyżkę stokrotce.

– Kiedy? – spytała beznamiętnym głosem.

– Niebawem. – Alienor skrzywiła się mimowolnie. – Jest już w drodze.

Petronela bez słowa odwróciła się w drugą stronę, rozplątując koronkowe tasiemki.

– Daj, ja to... – Alienor wyciągnęła rękę, ale siostra ją odtrąciła.

– Sama potrafię! – burknęła. – Wcale cię nie potrzebuję!

– Petro...

– Wyjedziesz sobie i mnie zostawisz, jak pozostali. Nic cię nie obchodzi.

Nikogo nie obchodzi!

Alienor poczuła, jakby siostra wbiła jej nóż w serce.

– Nieprawda! Kocham cię całą sobą. Myślisz, że tego pragnę? – Odwzajemniła jej gniewne, rozżalone spojrzenie. – Myślisz, że ja nie cierpię? Mamy tylko siebie na świecie. Zawsze będziesz dla mnie najważniejsza.

Petronela zamarła, a następnie z płaczem zarzuciła siostrze ręce na szyję.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

– Nie wyjadę. – Alienor pogłaskała Petronelę po włosach, łzy płynęły jej po twarzy.

– Przysięgnij.

Alienor się przeżegnała.

– Przysięgam na moją duszę. Nic nas nie rozdzieli. Pokaż. – Siąkając nosem, pomogła Petroneli rozwiązać supeł.

– Jak... jak wygląda ten Ludwik Francuski?

Alienor wzruszyła ramionami i wytarła oczy.

– Nie mam pojęcia. Do śmierci brata kształcił się na duchownego, więc ma chociaż trochę oleju w głowie. – Wiedziała też, iż jego ojca zwano Ludwikiem Grubym, więc wyobraźnia podsuwała jej obraz tęgiego wyrostka o ziemistej twarzy. Westchnęła płaczliwie. – Tatuś życzył sobie tego, więc zapewne miał swoje powody. Musimy robić, co do nas należy, i postąpić wedle jego woli. To nasz obowiązek.

Bordeaux, lipiec 1137

Zpoczątkiem upalnego miesiąca rozpoczęto przygotowania do przyjazdu francuskiego oblubieńca i jego eskorty. Do Bordeaux nadeszły wieści, że Ludwik dotarł do Limoges w samą porę na dzień Świętego Marcjalisa, obchodzony trzydziestego czerwca. Przyjął hołd hrabiego Tuluzy oraz baronów Limousin, którzy zjawili się po tym, jak pogłoska o nadchodzącym ślubie rozeszła się po ziemiach Alienor. W asyście jej wasali francuski orszak rozpoczął teraz ostatni etap swej podróży.

Jak Bordeaux długie i szerokie, wszędzie przygotowywano się na przyjazd młodego księcia. Sprzątano obozowiska, przystrajano je proporcami i girlandami. Do miasta zjeżdżały wozy pełne towarów, pędzono stada na rzeź. Szwaczki ślęczały nad kilometrami złotej tkaniny, szyjąc suknię ślubną godną młodej księżnej i przyszłej królowej Francji. Tren ozdobiono setkami pereł, rękawy zaś złotymi haftkami, aby je podpiąć, gdyby zawadzały.

O świcie skwarne lipcowego dnia Alienor udała się do kościoła na spowiedź. Po powrocie odziano ją w suknię z adamaszku w odcieniu kości słoniowej, po czym mocno zawiązano złote tasiemki, aby podkreślić smukłą talię. Na głowie miała czepek wyszywany koralikami, a w jej lśniące włosy wpleciono metaliczne wstążki. Paznokcie wypolerowano na wysoki połysk. Alienor sama czuła się wypolerowana, niczym srebrna czara przeznaczona na weselną ucztę.

Niebo za oknami przybrało odcień czystego błękitu. Gołębie kołowały ponad czerwonymi dachówkami, a rzeka migotała w słońcu jak otwarta skrzynia ze skarbami. Alienor spojrzała na francuskie namioty na drugim brzegu, rozsiane jak skupiska egzotycznych grzybów. Ludwik ze swą żoną zjawili się poprzedniego dnia tuż przed zmierzchem, rozbili obóz, gdy słońce tonęło w przejrzystych wodach Garonny. Białe płótna wojskowych namiotów stały po zewnętrznej, środek zaś mienił się tęczowymi jedwabiami oraz złotymi kwiatonami szlachty i duchowieństwa. Utkwiła wzrok w najokazalszym: niebiesko-złotym z czerwoną chorągwią, która powiewała na gorącym wietrze. Widziała wchodzących i wychodzących mężczyzn, lecz nie miała pojęcia, który z nich jest jej przyszłym mężem.

Wzdłuż linii brzegowej, na małych łodziach i barkach handlowano różnymi towarami, a następnie wożono napitek i prowiant do gospodarza na drugi brzeg. Delegacja łodzi sunęła w stronę obozowiska Francuzów, wiosła znaczyły taflę białym ściegiem. Proporce ozdabiały pierwszą barkę, którą osłonięto

markizą, by ochronić płynących przed słońcem, i wzrok Alienor padł na arcybiskupa Gotfryda nieopodal dziobu. Wyruszyli, by powitać francuskich przybyszów i sprowadzić Ludwika z dworzanami do miasta, gdzie miał oficjalnie poznać przyszłą oblubienicę.

„Na pewno nie będzie gruby”, pocieszała się w duchu. „To wszystko w imię wyższego dobra”. Ale żołądek wiedział swoje i niemiłosiernie ścisnęło ją w dołku. Czowała, jakby grunt usuwał się jej spod nóg.

Przybiegła Petronela. Tańczyła na czubkach palców, Alienor nie widziała siostry tak ożywionej od śmierci ojca. Początkowe wzburzenie wieścią o ślubie ustąpiło miejsca ekscytacji przygotowaniami. Kochała piękne stroje, zabawę i zamieszanie, była w swoim żywiole.

Arcybiskup z jej stryjem wysiedli na przeciwległym brzegu i sługa pospieszył do wielkiego niebiesko-złotego namiotu, z którego po chwili wyszła grupa jaskrawo ubranych dworzan.

– Który z nich to Ludwik? Który? – Petronela wyciągnęła szyję.

Alienor potrząsnęła głową.

– Skąd mam wiedzieć?

– Tamten... niebieski! – Petronela pokazała palcem.

Alienor widziała duchownych w lśniących szatach oraz wielu baronów, wśród nich kilku ubranych na niebiesko, ale z daleka nie mogła im się dobrze przyjrzeć.

Kiedy łódź ruszyła w drogę powrotną, markiza zasłoniła ludzi na pokładzie, Alienor zaś, w przeciwieństwie do siostry, widziała w nich raczej intruzów aniżeli radosny orszak pana młodego.

* * *

Gdy barka zacumowała pod wysokim murem pałacu de l’Ombrière, Ludwika ze strachu aż zemdlilo. Posłowie zapewniali go, że narzeczona jest piękna, skromna i pełna wdzięku, ale on wiedział, że często łgali jak z nut. Trzymał się w ryzach, z nadzieją, że nie widać po nim strachu. Ojciec powierzył mu ważną misję, musi więc stanąć na wysokości zadania.

Skwar utrudniał oddychanie. Słońce doskwierało nawet przez markizę, paliło go w gardle. Arcybiskup Gotfryd z Bordeaux wyglądał, jakby się topił, pot spływał mu po czerwonej twarzy spod gęsto haftowanej mitry. Przyjął Ludwika z powagą i szacunkiem i okraszył powitanie uśmiechem pod adresem opata Sugera, starego znajomego i sojusznika.

Seneszał Ludwika, Raul z Vermandois, wytarł kark kraciastą chustką z jedwabiu.

– Nie pamiętam równie upalnego lata – zauważył, ostrożnie osuszając twarz wokół skórzonej przepaski na oku.

– Odetchniecie w pałacu, moi panowie – obiecał arcybiskup. – Wzniesiono go dawno temu dla osłony przed letnim skwarem.

Ludwik zerknął na strzeliste mury. Pałac Cienia, Pałac Cieni. Ta nazwa kryła w sobie wiele znaczeń.

– Chłód będzie mile widziany, arcybiskupie – przyznał. – Często podróżowaliśmy po zmroku i przy blasku księżycy w celu uniknięcia spiekoty.

– W rzeczy samej – odparł Gotfryd. – Jesteśmy wam zobowiązani, że nie traciliście czasu.

Ludwik skłonił głowę.

– Ojciec mój jest świadomy, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Księżna nie może się doczekać.

– Ja także – zapewnił drętwo Ludwik.

Raul z Vermandois cisnął do wody garść srebrnych monet i teraz patrzyli, jak młodzi chłopcy o lśniących, ogorzałych ciałach nurkują, by je wydobyć.

– Twój ojciec zalecił nam uprzejmość i szczodrość wobec tutejszych – zaznaczył, uśmiechając się na widok uniesionych brwi Ludwika.

Ludwik wątpił, czy ojcu rzeczywiście chodziło o ludzi z nizin, lecz Raul słynał z wesołych, spontanicznych gestów, a przecież nie ma nic w złego w rzuceniu chłopcom monet do wody, nawet jeśli to frywolne i mniej dostojne od wręczenia jałmużny w kościele.

Na ładzie powitała ich grupa duchownych i mężów wysokiego rodu, a następnie ruszyli z wolna w stronę katedry Saint-André, gdzie następnego dnia młodzi mieli zawrzeć związek małżeński.

Wszedł pod zdobionym łukiem przedsionka i stanął w świętej obecności Boga. Chłodne wnętrze przynosiło wytchnienie po gorączce na zewnątrz. Wciągnąwszy w płuca zmieszane zapachy kadzidła i wosku, Ludwik westchnął z ulgą. Tutaj był na znajomym gruncie. Ruszył wysadzaną kolumnami nawą, a kiedy dotarł do schodów ołtarza, przeżegnał się i legł twarzą ku ziemi.

Dobry Boże, jestem Twoim sługą. Daj mi siłę, abym wypełnił Twoją wolę i nie zawiódł. Obdarz mnie łaską i poprowadź ścieżkami prawości.

To właśnie tutaj on i Alienor zostaną mężem i żoną. Nadal z trudem wypowiadał jej imię, a jej wygląd przerastał jego wyobraźnię. Mówiono mu, że jest piękna, lecz uroda to rzecz względna. Najchętniej znalazłby się w Paryżu, w bezpiecznym zaciszu grubych murów Notre Dame albo Saint-Denis.

Dźwięk fanfar kazał mu odwrócić głowę. Kolumny tworzyły tunel złotych łuków, prowadząc jego wzrok ku jasności płynącej z rozwartych wrót. Z tej jasności wyszła dziewczyna otoczona świtą i ruszyła w jego kierunku, na chwilę go oślepiło, bo z owej grupy zdawała się bić wręcz nieziemską światłość. Dziewczyna była wysoka i smukła, jej ciemnozłote włosy spływały lśniącą kaskadą aż do pasa, lecz głowę skromnie przysłaniał dziewiczy czepek wyszywany koralikami. Twarz

miała bladą, o doskonałym owalu, może niezbyt kobiecą, lecz widoczna w niej siła i delikatność nasunęły Ludwikowi skojarzenie z aniołem.

Uklękła, by ucałować pierścień arcybiskupa, a kiedy pomógł jej wstać, wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli nawą w stronę Ludwika.

– Panie – powiedziała, po czym znów przyklękła i podniosła na niego oczy o zmiennej barwie oceanu, szczerze i rozumne, a Ludwik poczuł, jakby rzucono jego serce na kowadło i zmieniono mu kształt jednym uderzeniem.

– *Demoiselle* – wykrztusił. – Jestem zaszczycony, mogąc cię poznać i pojąć za żonę w celu zjednoczenia naszych ziem. – Słowa popłynęły bez jego udziału, ponieważ ćwiczył je z Sugerem w namiocie poprzedniego wieczoru, pocąc się niemiłosiernie przy wtórze brzęczenia komarów. Ich mocne brzmienie przywróciło mu równowagę, chociaż serce wciąż biło jak szalone.

– Ja też jestem zaszczycona, panie – odrzekła, spuszczać rzęsy, a następnie dodała zmienionym tonem – przyjmując twoje oświadczyzny, jak życzył sobie tego mój ojciec.

Ludwik zrozumiał, że też wyuczyła się swoich słów na pamięć i jest, podobnie jak on, stremowana. Poczuł ulgę, a potem tkliwość i pewność. Była doskonalsza, niż śmiał oczekiwać. Bóg odpowiedział na jego wątpliwości i pokazał mu, że wszystko toczy się właściwym torem. Małżeństwo to naturalny krok w życiu mężczyzny i króla, gdyż król potrzebuje małżonki. Podniósł ją z posadzki, ucałował w oba policzki, po czym cofnął się z uciskiem w piersi.

Nieśmiało przedstawiła dziewczynę stojącą obok jako swoją siostrę Petronelę. Było to jeszcze dziecko, mniejsze, o brązowych włosach, twarzy w kształcie serca i zmysłowych, różanych usteczkach. Dygnęła przed Ludwikiem i, rzuciwszy mu jedno baczne spojrzenie, spuściła wzrok. Odnotował w przelocie, że nadawałaby się na żonę któregoś z jego baronów, po czym przestał zaprzętać sobie nią głowę. Odwrócił się wraz z Alienor do ołtarza i wypowiedział słowa oficjalnej przysięgi, a dłonie zdrząły mu, kiedy wsuwał złoty pierścień na środkowy palec jej prawej ręki. I aż ugiął się pod naporem łask, które otrzymał.

W pałacu de l’Ombrière wyprawiono ucztę weselną. Na ogrodowym krużganku ustawiono nakryte stoły, aby goście mogli zasiąść w cieniu na świeżym powietrzu i w czasie posiłku słuchać muzyki.

Alienor uśmiechała się i odpowiadała, kiedy ją zagadywano, lecz myśli miała zajęte czym innym i rozmowa sprawiała jej trudność. Przybycie Ludwika ciążyło jej kamieniem na sercu i zdręczała się poczuciem, że zmiany, które właśnie dokonują się w jej życiu, mają charakter nieodwołalny. Otaczało ją zbyt wielu ludzi, jakże różniących się w mowie i zachowaniu od tych, których znała. Posługiwali się dialektem północnej Francji, który wprawdzie rozumiała, gdyż był

powszechnie używany w Poitou, ale paryska intonacja drażniła jej uszy. Nosili odzież z grubszych, ciemniejszych tkanin i brakowało im poloru miejscowych. Ale bądź co bądź mieli za sobą długą, uciążliwą podróż, więc może powinna zdobyć się na wyrozumiałość.

Jej obawy, że Ludwik okaże się nieokrzesanym grubasem, rozwiały się teraz. Był wysoki i wąski w biodrach niczym chart. Miał przepiękne srebrzyste włosy do ramion i duże, niebieskie oczy, usta zaś wąskie, lecz ładnie ukształtowane. Jego zachowanie wydało jej się sztywne i wymuszone, choć zapewne należało to przypisać zdenerwowaniu. Rzadko się uśmiechał – w przeciwieństwie do swojego seneszała, Raula z Vermandois, któremu uśmiech wręcz nie schodził z twarzy. Właśnie popisывał się przed Petronelą sztuczką z chowaniem szklanej kulki pod jednym z trzech kielichów, a ona odgadywała, pod którym. Chichotała z jego błazeństwa, oczy jej błyszczały. Reszta strony francuskiej odznaczała się czujnością i powściągliwością, jakby nosili kije pod szatami. Tybald, hrabia Blois i Szampanii, spoglądał na Raula z rozdrażnieniem i zaciskał zęby. Zastanawiało ją to napięcie między nimi. O tylu rzeczach nie miała pojęcia, tyle się musiała nauczyć.

Dobrze chociaż, że Ludwik, mimo całej swej rezerwy, nie okazał się gburem, pewnie zdoła owinąć go sobie wokół palca. Ze starszymi będzie trudniej, zwłaszcza z Sugerem oraz wujami Ludwika, Amadéem de Maurienne i Wilhelmem z Montferratu, lecz umiała postępować z ojcem i z pewnością nie zabraknie okazji, gdy znajdzie się z mężem sam na sam, z dala od wścibskich oczu i podszeptów. Byli w podobnym wieku, na pewno znajdą wspólny język.

Kiedy wszyscy najedli się już i napili, Ludwik oficjalnie przekazał Alienor dary przywiezione z Francji. Były to księgi w oprawach z kości słoniowej, relikwiarze, szkatułki wysadzone klejnotami, srebrne kielichy mszalne, szklane czary z warsztatów w Tyre, wzorzyste dywany, zwoje cudnych tkanin. Niezliczone pudła, kufry i worki. Od takiej hojności rozboleły ją oczy. Ludwik podarował jej pectorał wysadzany rubinami niczym kroplami krwi.

– Należał do mojej babki – objaśnił. Powiesił go narzeczonej na szyi i cofnął się z przyspieszonym oddechem.

– Wspaniały – odrzekła Alienor zgodnie z prawdą, choć nie przypadł jej specjalnie do gustu.

Ludwik dotąd miał niepewną minę, ale teraz wyprostował się z dumą.

– Dałaś mi koronę Akwitanii – rzekł. – Godzi się, abym w zamian ofiarował mojej oblubienicy skarby Francji.

Alienor poczuła cień urazy. Wprawdzie była mu winna hołd jako wasalka, lecz Akwitania należała do niej i tak zostanie, bez względu na to, czy Ludwik włoży po ślubie koronę władcy. Dobrze, że w myśl umowy przedmałżeńskiej ziemie Alienor nie miały zostać włączone do Francji, ale pozostać osobnym

księstwem.

– Ja też mam coś dla ciebie. – Na jej znak szambelan zbliżył się z rzeźbioną szkatułką z kości słoniowej. Alienor ostrożnie wyjęła wazę z miękkiej wyściółki. Żłobiony kryształ chłodził jej palce, kiedy oficjalnie wręczyła go Ludwikowi.

– Mój dziadek przywiózł ją z wojny w Hiszpanii – oznajmiła. – Jest bardzo stara.

Waza wyglądała niepozornie na tle przepysznych darów, tym bardziej jednak przykuwała uwagę. Ludwik złożył na czole narzeczonej pocałunek.

– Jest taka jak ty – stwierdził. – Doskonała, czysta i jedyna w swoim rodzaju. – Odstawił wazę delikatnie na stół i śnieżnobiały obrus rozkwitł dziesiątkami tęczyowych diamentów. Twarz Ludwika zastęła w nabożnym zachwycie. Alienor uśmiechnęła się i pomyślała, że jej dar światła zamkniętego w kryształach przebił wszystkie cenne podarunki od niego.

– Moge? – Nie czekając na pozwolenie, opat Suger skwapliwie porwał wazę ze stołu, aż mu się ręce trzęsły. – Przepiękna – westchnął. – W życiu nie widziałem równie mistrzowskiej roboty. – Z zachwytem powiódł palcami po wypukłościach. – Taka przejrzysta, a przy tym odbija wszystkie kolory witrażu. Zaiste dzieło Boga, nie człowieka.

Alienor powściągnęła pokusę, żeby mu ją odebrać. W końcu przyjaźnił się z arcybiskupem Gotfrydem, jego podziw powinien jej schlebiać.

– Abbé Suger uwielbia takie cacka – oświadczył z uśmiechem Ludwik. – Zgromadził w Saint-Denis imponującą kolekcję. Zobaczysz sama, kiedy wrócimy do Paryża.

Suger ostrożnie odłożył wazę do szkatułki.

– Nie wzbogacam jej dla własnych korzyści – odparł tonem przygany. – Lecz ku chwale Pana naszego.

– Zaiste, ojcze. – Ludwik poczerwieniał jak skarcony chłopiec.

Alienor spuściła wzrok. Nie uszło jej uwagi, jak często Ludwik zerkał na Sugera w poszukiwaniu wsparcia i aprobaty. Ten człowiek mógł być jej sprzymierzeńcem albo śmiertelnym wrogiem, miał Ludwika na każde skinienie. Musiała postępować bardzo ostrożnie.

* * *

Po południu, kiedy słońce stygło na rzece i pałac de l’Ombrière zasnuły cienie, nadszedł czas powrotu Ludwika do obozowiska za rzeką. W miarę upływu czasu zachowywał się z coraz większą swobodą, toteż pożegnał się z uśmiechem, musnął kciukiem pierścien, który uprzednio wsunął jej na palec, i pocałował ją w policzek. Miał ciepłe, jedwabiste wargi, a miękki zarost połaskotał jej twarz.

– Jutro znowu przyjdę – zapewnił.

Coś się w niej otworzyło. Perspektywa ślubu nabrała namacalnych kształtów,

stając się rzeczywistością zamiast mglistej wizji. Ludwik sprawiał wrażenie zacnego człowieka; dotąd zachowywał się należycie, a przy tym był przystojny. Mogło być znacznie gorzej.

Wypływając na taflę płynnego złota, wznosił rękę na pożegnanie, a ona z półśmiechem odwzajemniła jego gest.

– A zatem? – odezwał się arcybiskup Gotfryd, stając u jej boku. – Rozwiałaś swoje obawy?

– Tak, ojciec – odpowiedziała, bo tego oczekiwał.

– Ludwik to dobry, pobożny młodzieniec. Wywarł na mnie ogromne wrażenie. Abbé Suger dobrze go wyuczył.

Alienor ponownie skinęła głową. Jeszcze nie zdecydowała, czy Suger jest wrogiem, czy przyjacielem, bez względu na jego zażyłość z Gotfrydem.

– Cieszę się, że podarowałaś mu wazę.

– Nic innego nie równałoby się z prezentami od niego – odrzekła. Zastanawiała się, czy jej preceptor wydobyl wazę ze skarbcza właśnie w tym celu. Zasznurowała usta. – Dobrze, że nie przyjechał z nimi Bernard z Clairvaux.

Gotfryd uniósł brwi.

Alienor skrzywiła się z niechęcią. Świątobliwy opat Bernard dwukrotnie odwiedził jej ojca, zabiegając o jego wsparcie dla opozycji podczas schizmy papieskiej. Za pierwszym razem była bardzo mała, pamiętała jedynie, jak poklepał ją po głowie. Był chudy jak patyk i załatywało od niego wilgocią, jak od starych gobelinów. Przy drugiej wizycie, kiedy liczyła sobie lat dwanaście, ojciec starł się ostro z Bernardem w kościele La Couldre. Było to na początku jego choroby i opat Bernard, celując weń sękatym palcem i ciskając z oczu gromy, groźbą wiecznego potępienia na ustach rzucił Wilhelma na kolana przed ołtarzem i oświadczył, że to kara dla grzesznika. Alienor obawiała się, że ujrzy Bernarda pośród francuskich duchownych, i kamień spadł jej z serca, kiedy tak się nie stało.

– Upokorzył mojego ojca – powiedziała.

– Bernard z Clairvaux to święty człowiek – upomniał ją łagodnie Gotfryd. – Nade wszystko poszukuje najczystszej drogi do Boga, a jeśli bywa nadgorliwy lub surowy, czyni to w imię wyższego dobra, i nie nam to oceniać, tylko Panu naszemu. Jeżeli go spotkasz w Paryżu, ufam, że postąpisz z rozwagą godną swej pozycji.

– Tak, ojciec – odrzekła potulnie Alienor, choć w duchu się buntowała.

Gotfryd musnął wargami jej czoło.

– Jestem z ciebie dumny. Twój ojciec także byłby.

Alienor przełknęła ślinę, żeby się nie rozplakać. Gdyby jej ojciec żył, nie musiałyby wychodzić za mąż. Byłaby bezpieczna i kochana, wszystko by się ułożyło. Wolalała się nad tym nie zastanawiać, w przeciwnym bowiem razie miałyby mu za złe, że umarł i zostawił ją z tym ciężarem.

Pod nieobecność Alienor dary od Ludwika przeniesiono do jej komnaty i ułożono na stole, aby w wolnej chwili mogła się im przyjrzeć. Wiele spośród z nich znalazło się u niej na chwilę: będzie musiała oddać je Kościołowi bądź członkom ważnych, wpływowych rodów. Był tam relikwiarz z odłamkiem kości Świętego Jakuba: oprawę odlano z pozłacanego srebra wysadzanego perłami i kamieniami szlachetnymi, a za drzwiczkami z górskiego kryształu znajdowała się złota szkatułka z bezcenną relikwią. Alienor dostrzegła też dwa szkliwione świeczniki, dwa srebrne trybularze oraz szkatułkę wypełnioną płowymi grudkami aromatycznego kadzidła.

Na swój osobisty użytek dostała diadem wysadzany klejnotami, a także brosze, pierścienie i naszyjniki, a Petronela wianek z przepięknych złotych różyczek przetykanych perłami i szafirami. Miała go teraz na głowie, przypięty do brązowych loków, kiedy bawiła się kolorowymi szklanymi kulkami od Raula z Vermandois.

Alienor rozejrzała się po komnacie. Omiotła wzrokiem liczne pakunki i poczuła się jak na obfitej uczcie złożonej ze zbyt wielu dań. Ten przepych ją dusił, sprawiał, że czuła się jak w potrzasku. Pospiesznie przebrała się w prostą, płócienną suknię i zamieniła wyszywane pantofelki na buty do konnej jazdy.

– Idę do stajni – oznajmiła.

– Pójdę z tobą. – Petronela schowała szklane kulki do pudełka. Gdy siostra poprosiła ją o zdjęcie wianka, potrząsnęła głową i wydeła usta. – Chcę go nosić – oświadczyła. – Nie zgubię.

Alienor rzuciła jej poirytowane spojrzenie, ale zaniechała dalszej dyskusji. Jeszcze tego brakowało, żeby miały się wyklócać o taki drobiazg.

Rączka powitała swoją panią cichym rzeniem i łąpczywie pochłonęła przyniesiony kawałek chleba. Alienor głaskała ją, podniesiona na duchu słodkim zapachem końskiej sierści i siana.

– Nic się nie martw – wyszeptała. – Pojedziesz ze mną do Paryża, nie zostawię cię, masz moje słowo.

Petronela stała oparta o drzwi i bacznie przyglądała się siostrze, jakby te słowa były skierowane do niej. Alienor przymknęła oczy i przycisnęła czoło do gładkiej końskiej szyi. W świecie, który stanął na głowie, czerpała otuchę z tego, co swojskie i bliskie jej sercu. Z ochotą położyłaby się w stajni na słomie, zamiast wrócić do komnaty i spać w otoczeniu weselnych kosztowności.

Gdy zapadł zmrok, Petronela pociągnęła ją za rękaw.

– Chodźmy do ogrodu – poprosiła. – Chcę zobaczyć świetliki.

Alienor dała się poprowadzić przez dziedziniec, gdzie wcześniej ucztowali. Było teraz znacznie chłodniej, choć z murów wciąż biło ciepło. Służba ustawiła

stoły pod ścianą i uprzątnęła białe obrusy oraz zastawę. Rybki w sadzawce pluskały leniwie, nurkując za okruchami w ostatnich przebłyskach światła. Powietrze zgęstniało od wiekowej woni spieczonych murów. Serce ciążyło Alienor w piersi: nie dość, że straciła ojca i miała poślubić człowieka, którego jej narzucano, to jeszcze musi opuścić dom i wyjechać do Paryża w otoczeniu obcych ludzi, w tym własnego małżonka.

Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie bawiły się tutaj w berka i biegały pośród kolumn. Obrazy, kolory i echa śmiechu splatały się z rzeczywistością jak przejrzysta wstążka i rozwiewały bez śladu.

Naraz Petronela objęła ją mocno.

– Myślisz, że wszystko będzie dobrze? – spytała, kryjąc twarz w zagłębieniu jej ramienia. – Czy to prawda, co powiedziałaś Rącej? Strasznie się boję.

– Oczywiście, że prawda! – Alienor przytuliła siostrę i aż przymknęła oczy pod ciężarem nieznośnego uczucia. – Ma się rozumieć, że będzie dobrze! – Pociągnęła Petronelę na starą, kamienną ławkę przy sadzawce, gdzie często siadywały w dzieciństwie i patrzyły, jak świetliki migoczą i gasną, niczym isierki nadziei w ciemności.

Ludwik spoglądał na wazon. Ustawił go na ołtarzyku w swoim namiocie, obok krzyża i figurki Matki Boskiej z kości słoniowej. Prostota i wartość daru wprawiły go w zdumienie, podobnie jak dziewczyna, od której go dostał. Jakże dalece przewyższała jego oczekiwania! Jej imię, które do niedawna zostawiało w ustach przykry, obcy posmak, dziś spływało miodem po języku. Wypełniała go bez reszty, a zarazem nadal czuł się pusty w środku i nie rozumiał, jak to możliwe. Kiedy blask wazonu rozlał się na obrus, Ludwik uznał go za znak boskiego błogosławieństwa. Ich związek przypominał to naczynie, trwał w oczekiwaniu, aż napełni go światłem, by rozbrzysnął na chwałę Pana.

Ukląkł przed ołtarzykiem, przycisnął czoło do złożonych rąk i podziękował Stwórcy z całego serca i duszy.

Bordeaux, lipiec 1137

Alienor czuła, że się dusi, kiedy ponownie wkroczyła do katedry Saint-André. Tym razem szła za dwoma rzędami chórzystów oraz kapłanem krocącym z krzyżem uniesionym wysoko. Ślubów udzielano zwykle przy drzwiach, ale ona i Ludwik mieli zawrzeć swój wewnątrz kościoła, przed ołtarzem, aby dodatkowo uświęcić związek przed Bogiem.

Zaczerpnęła tchu i postawiła stopę na wąskim kobiercu z zielonej trzciny, usianym ziołami i różowymi pączkami róż. Kwiaty doprowadziły ją długą nawą pod schody ołtarza. Ministranci zakołysali srebrnymi kadzielnicami na brzęczących łańcuchach i woń kadzidła wzbijała się do góry i zawirowała pod sklepieniem sufitem w postaci chmury bladego dymu, zlewając się z głosem chóru. Petronela wraz z trzema innymi dziewczętami dźwigała tren wyszywany perłami, a wuj Alienor, Raul z Faye, w zastępstwie ojca prowadził ją do ołtarza. Suknia wybrzuszała się i szeleściła z każdym krokiem. Alienor czuła niekiedy zgniecioną różę pod stopą, co brała niemal za zły znak.

Wierni po obu stronach przejścia uklękli i skłonili głowy, kiedy przechodziła obok. Nie widziała ich twarzy, nie wiedziała, czy się uśmiechają, czy też marszczą brwi. Cieszyli się z sojuszu między Francją i Akwitanią, czy może już knuli spisek? Czy ich serca się radowały, czy wzbierały obawą? Spojrzała na nich, po czym uniosła podbródek i odwróciła głowę, by skupić wzrok na rozjaśnionym ołtarzu, gdzie czekał na nią Ludwik w asyście opata Sugera i swoich baronów. Nie pozostawało jej nic innego, jak iść naprzód, pocieszając się myślą, iż czyni to z własnej woli.

Na błękitnej, jedwabnej tunice Ludwika wyszyto lilijki, a pod wpływem jego przyspieszonego oddechu tkanina zdawała się wręcz iskrzyć. Miał na czole koronę wysadzaną perłami i szafirami, a gdy Alienor stanęła obok, wpadające przez okno słońce opromieniło oboje snopami przejrzystego złota. Ludwik wyciągnął bladą, smukłą dłoń i na powitanie uniósł kąciki ust w lekkim uśmiechu. Po chwili wahania podała mu rękę, a następnie oboje uklękli i pochylili głowy.

Gotfryd z Louroux, olśniewający w gęsto haftowanych i wysadzanych klejnotami szatach kapłańskich, z namaszczeniem odprawił mszę i udzielił im ślubu. Młodzi z udawanym spokojem udzielali mu odpowiedzi, ale ich zaciśnięte dłonie zwilgotniały ze strachu. Mszalne wino lśniło niczym mroczny rubin w czarze z górskiego kryształu, którą Ludwik dostał od narzeczonej w prezencie ślubnym. Jej widok zdziwił i zaniepokoił Alienor. Poczuli się zmuszona do tego

małżeństwa, a łyk krwi Zbawiciela i obietnica posłuszeństwa mężowi wzmogły w niej poczucie, że dobrowolnie oddaje się w niewolę.

Czując jeszcze metaliczny posmak wina na języku, usłyszała, jak arcybiskup Gotfryd kończy ceremonię i ogłasza ich mężem i żoną, czym przypieczętował jej los. Jedno ciało. Jedna krew. Ludwik ucałował ją w oba policzki, a potem w usta, zaciśniętymi, suchymi wargami. Biernie się temu poddała, nieco odrętwiała i w oderwaniu od własnego ciała, jakby sytuacja dotyczyła nie jej osoby, lecz kogoś innego.

Poślubieni przed obliczem Boga, odwrócili się od ołtarza, po czym ruszyli z powrotem w stronę wyjścia, i ponownie, w otoczeniu pochylonych z czcią głów, Alienor nie umiała wskazać wroga ani przyjaciela.

Słodką pieśń chóru odprowadziła ich do wyjścia bez mała jak oklaski. Czuła, jak Ludwik u jej boku prostuje się i wypina pierś, jakby muzyka wypełniała go od środka. Dostrzegła w przelocie jego natchnioną minę oraz łzy w oczach. Sama nie czuła równie gwałtownych emocji, lecz nim dotarli do rzeźbionych wrót katedry, przezornie skryła się za uśmiechem.

Po miłym chłodzie świątyni rozgrzane powietrze na zewnątrz uderzyło ich jak obuchem. Aż ją oczy rozboleły od blasku mężowskiej korony.

– Żono – powiedział władczo, a na jego twarzy rozlał się triumfalny rumieniec. – Wszystko dzieje się zgodnie z wolą Boga.

Alienor spuściła wzrok na nową obrączkę połyskującą w świetle i zachowała milczenie, tak na wszelki wypadek.

Weselnicy wyruszyli z Bordeaux do Poitiers, po drodze odwiedzali twierdze i opactwa, aby wszyscy mogli powitać księżną i jej małżonka. Trzeciego dnia dotarli do wielkiego, ponoć nie do zdobycia zamku w Taillebourgu nad rzeką Charente, należącego na mocy dziedziczenia do seneszali Poitou. Taillebourg był ostatnim przystankiem, nim rzeka wpadała do oceanu, i bez przerwy ciągnął tędy sznur pielgrzymów w drodze do sanktuarium świętego Jakuba w Santiago de Compostela.

Przyjął ich Gotfryd z Rancon, możny wasal, przyjaciel rodziny i człowiek, którego poślubiłaby Alienor, gdyby dano jej prawo głosu. Nie stawił się na uroczystościach w Bordeaux, pochłonięty sprawami na miejscu, z radością jednak powitał oblubieńców i udzielił im noclegu na noc poślubną, którą w myśl wieloletniej tradycji odłożono do dnia trzeciego.

Na powitanie ukląkł na dziedzińcu i przysiągł im posłuszeństwo. Alienor patrzyła, jak blask słońca odbija się w jego gęstych, brązowych włosach. Serce pękało jej z bólu, ale głos nie zdradzał żadnych uczuć, kiedy poprosiła, aby powstał. On sam miał na twarzy uprzejmy, neutralny wyraz, a z jego ust nie

schodził dworny uśmiech. W wyniku zaistniałej sytuacji on także musiał pożegnać się z wieloma nadziejami oraz ambicjami i wytyczyć sobie nowe.

Wielu baronów, którzy nie mogli zjawić się na ślubie w Bordeaux, przybyło do Taillebourga ślubować wierność Alienor i Ludwikowi, a dzięki Gotfrydowi wszystko przebiegło bez uchybień. Wyprawiono ucztę, na której państwo młodzi zasiedli jako goście honorowi, a zarazem gospodarze. Później, w czasie nieoficjalnego spotkania, Ludwik mógł porozmawiać z baronami oraz członkami duchowieństwa, których nie miał okazji wcześniej poznać.

W pewnej chwili pośród zamieszania Gotfryd zagadnął Alienor.

– Przewidziałem na jutro polowanie – oznajmił. – Mam nadzieję, że książę nie wyrazi sprzeciwu.

– Wspomniał, że lubi łowy, byle nie przypadały na dzień święty.

– To doskonała partia, pani – rzucił ściszym tonem, nachyliwszy się w jej stronę. – Byłaby marzeniem każdego ojca dla swojej córki.

Spojrzała na dzieci Gotfryda, stojące w drugim końcu komnaty ze swymi piastunkami. Najstarsza Burgundia liczyła sobie lat siedem, Gotfryd, imiennik ojca, sześć, a najmłodsza Berta cztery.

– Życzyłbyś sobie tego samego dla swoich? – zapytała.

– Dla nich i dla mego rodu uczyniłbym, co w mojej mocy. Skorzystałbym z takiej sposobności.

– A twoje serce? Czy jemu byłbyś wierny?

Uniósł brwi.

– Czy nadal mowa o moich córkach?

Zarumieniona, odwróciła wzrok.

– Dziś wiem, że bez względu na moje nadzieje czekałoby mnie rozczarowanie, nawet gdyby ojciec twój żył. Przerastał mnie rozumem. Kierował się dobrem Akwitanii, naszą powinnością jest zaś... Spójrz na mnie, Alienor.

Utkwiła w nim wzrok, choć wiele ją to kosztowało. Doskwierała jej świadomość świdrujących zewsząd spojrzeń: wystarczyła chwila nieuwagi i strzęp podsłuchanej rozmowy, a skutki będą oplakane.

– Życzę wam wszelkiej pomyślności, tobie i twemu mężowi – podjął. – Ilekroć zajdzie potrzeba, stawię się na twoje usługi. Możesz mi zaufać, zawsze i bez względu na okoliczności. – Skłonił się, po czym gładko nawiązał rozmowę z Raulem z Vermandois.

Alienor ruszyła dalej i rozdawała uprzejme słówka oraz uśmiechy, podkreślając ruchami ręki złotą podszewkę rękawa i blask pierścienia z topazem, jednego ze ślubnych darów Ludwika. W tej pełnej wdzięku, uroczej księżnej Akwitanii nikt nie domyśliłby się cierpienia ani zamętu, jaki czuła w środku.

Po cichu weszła do małżeńskiej komnaty na szczycie wieży. Nastąpiła noc, zamknięto okiennice. Zapalono liczne świece i lampy, w komnacie migotały miękkie, bursztynowe światła i cienie w odcieniu umbrzy. Uciekła, ale nie na długo. Niebawem zjawia się kobiety i przygotowują ją do nocy poślubnej.

Ktoś, zapewne Gotfryd, powiesił na ścianie tarczę herbową jej ojca, na znak jej przynależności rodowej, a zarazem ojcowskiego błogosławieństwa. Alienor przełknęła ślinę na wspomnienie z dzieciństwa: biega z nią za ojcem i udaje jego paza, a on zanosi się śmiechem.

Wielkie łoża, które ze sobą przywieźli, przykryto czystą, lnianą pościelą, pledami z wełny oraz jedwabną kołdrą haftowaną w orły. W fałdach czerwonych, wełnianych kotar kryły się cienie. Łoże pamiętało czasy nie tylko jej rodziców i dziadków, ale i wcześniejszych władców tej ziemi, nawet syna Karola Wielkiego, króla Akwitania w czasach, gdy Akwitania miała królów. Przez stulecia stanowiło scenę nocy poślubnych, poczęć, narodzin i śmierci. Dziś przypieczętuje więź pomiędzy Francją i Akwitaniją, zadzierzgniętą w katedrze przed trzema dniami.

Wiedziała, czego się spodziewać. Kobiety wyjaśniły jej, na czym polega powinność małżeńska, zresztą nie była ślepa i miała pewne rozeznanie. Widziała kopulujące zwierzęta i bywała świadkiem czulego obściskiwania się po kątach, gdy pogoda w zimowe wieczory uniemożliwiała schadzki pod gołym niebem. Niejeden raz słyszała sprośne wiersze dziadka, co wystarczyło samo w sobie. Od roku miesiączkowała regularnie, niewątpliwy znak, że jej ciało osiągnęło dojrzałość. Ale wiedza to nie to samo co doświadczenie, toteż dręczyły ją obawy. Czy Ludwik będzie potrafił się odnaleźć, jeśli do śmierci brata dorastał w klasztorze? Czy ktoś go wtajemniczył?

Petronela otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

– Tu jesteś! Wszyscy cię szukają!

Alienor odwróciła się z lekką urazą.

– Chciałam chwilę pobyć sama.

– Powiedzieć im, że cię nie znalazłam?

Alienor potrząsnęła głową.

– Narobiłybyśmy niepotrzebnego zamieszania. – Zmusiła się do uśmiechu. –

Wszystko będzie dobrze, Petro, przecież ci obiecałam, prawda?

– Ale wyglądasz, jakbyś tak wcale nie myślała. Wolałabym, żebyś nadal spała ze mną, a nie z nim.

Alienor podzielała jej pragnienia.

– Jeszcze przyjdzie na to czas. Zawsze będzie tu dla ciebie miejsce. – Objęła Petronelę, sama szukając pocieszenia.

Petronela gorąco odwzajemniła uścisk i rozdzieliły się, dopiero kiedy przyszły kobiety, nie szczędząc Alienor wyrzutów za zniknięcie. Wyobraziła sobie, jak przepędza je ojcowską tarczą, po czym dumnym i władczym tonem

zamaskowała lęk i bezsilność. Popijając korzenne wino, pozwoliła się przebrać w koszulę z miękkiego, białego płótna i rozczesać sobie włosy, by spłynęły do pasa złocistą kaskadą.

Dźwięk męskich okrzyków wznoszonych na chwałę Bożą obwieścił nadejście mężczyźni. Alienor stanęła prosto, twarzą do drzwi, jak rycerz na placu boju.

Arcybiskup Gotfryd wszedł pierwszy dostojnym krokiem, a tuż za nim abbe Suger i dwunastu chórzystów z pieśnią pochwalną na ustach. Dalej kroczył Ludwik w asyście Tybalda z Blois i Raula z Vermandois oraz baronowie Francji i Akwitanii ze świecami. Dziś nie będzie hulanki, tylko cicha uroczystość, podczas której zebrani ujrzą przyszłego króla Francji wraz z młodą księżną Akwitanii na łożu małżeńskim.

Ludwik miał na sobie długą, białą koszulę nocną, podobną do koszuli Alienor. Rozszerzone oczy pociemniały mu w blasku świecy, a twarz wyrażała niepewność. Gotfryd kazał im stanąć obok siebie i wziąć się za ręce, następnie pomodlił się nad nimi z prośbą o Boże błogosławieństwo i pomyślność dla ich małżeństwa. Tymczasem towarzysze Ludwika rozstawili przy łóżku przenośny ołtarzyk.

Samo łoże hojnie skropiono wodą święconą, po czym zaprowadzono Ludwika na lewą stronę, Alienor zaś na prawą, co miało zapewnić poczęcie syna. Poczuli pod nogami chłód szeleszczącej pościeli. Wpatrywała się w haftowaną kołdrę, włosy opadły jej do przodu, zasłaniając twarz. Wiedziała, że Gotfryd z Rancon znajduje się wśród świadków, lecz nie ośmieliła się na niego spojrzeć, nie miała też pojęcia, czy on patrzy na nią. Niech ta chwila się skończy. Niech już będzie rano.

Wreszcie szambelani wyprowadzili wszystkich z komnaty, biskupi i chór wyszli jako ostatni, ze śpiewem na ustach. Zatrzęsnięto drzwiami, głosy ucichły i Alienor została sama z Ludwikiem.

Podparł się na łokciu i wbił w nią badawczy wzrok. Nie zmieniając pozycji, Alienor poprawiła poduszki za plecami. Ludwik wygładził drugą ręką pościel i obrysował palcami kształt jednego z orłów. Miał długie i delikatne, piękne palce. Na myśl o jego dotyku zadrżała ze strachu – i poczuła dreszcz pożądania.

– Wiem, co mamy robić – powiedziała zduszonym głosem. – Kobiety objaśniły mi moją powinność.

Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów.

– Ja także znam swój obowiązek. – Musnął palcami twarz żony. – Ale nie uważam tego za przymus. Myślałem, że tak będzie, ale nie jest. – Zmarszczył brwi. – Może powinienem.

Zamarła, kiedy się nad nią pochylił. Sądziła, że rozmowa się przeciągnie, jednakże Ludwik zdawał się pochłonięty czymś innym, widać niepotrzebnie

martwiła się jego niedoświadczeniem.

– Nic ci nie zrobię – zapewnił. – Nie jestem zwierzęciem, lecz następcą tronu. – W jego głosie zabrzmiała duma. Z niemal nabożną delikatnością pocałował ją w policzek i skroń. Był podniecony, ale się powstrzymywał. – Kościół udzielił nam swojej zgody, to rzecz święta.

Alienor zebrała się w sobie. Małżeństwo musiało zostać skonsumowane, rano przyjdą szukać potwierdzenia. To nie może być takie straszne, inaczej ludzie nie dążyliby tak często do zbliżenia i nie opiewano by go w poezji w lubieżnych szczegółach.

Ludwik pocałował ją z zaciśniętymi ustami i ostrożnie przystąpił do rozwiązywania jej tasiemek pod szyją. Dłonie mu drżały, oddech rwał się w piersi. Alienor zrozumiała, że on też się boi, i to podniosło ją na duchu. Odwzajemniła pocałunek i wsunęła mu palce we włosy. Miał gładką, jędrną skórę, a oddech przesycony zapachem wina i kardamonu. Rozebrali się wśród zdyszanych, niezdarnych pocałunków. Ludwik naciągnął na nich prześcieradło jak namiot i położył się na niej. Ciało miał mokre od potu i gładkie niczym jej własne. Czowała pod palcami jedwabisty dotyk jego włosów. Mogłaby tak leżeć całą noc, pieścić się i całować, spleciona w czułym uścisku, i nie posuwać się ani o krok dalej, jednak Ludwikowi się spieszyło, więc po chwili rozsunęła nogi.

To było tajemne miejsce, gdzie dzieci zostawały poczęte z zespolenia mężczyzny i kobiety, i skąd po dziewięciu miesiącach wydostawały się na świat. Źródło wstydu i grzechu, lecz także rozkoszy. Dzieło Boga, dzieło szatana. Jej dziadek został ekskomunikowany, gdyż uległ żądzy do tej części ciała swojej kochanki, i nie wyrzekł się jej, choć była poślubiona innemu mężczyźnie. Pisał peany na cześć spółkowania.

Ludwik wymamrotał coś, co brzmiało jak obietnica, lecz po chwili zrozumiała, że prosi Boga, aby go nie odstępował i dopomógł mu spełnić powinność. Alienor poczuła ostry, przeszywający ból, kiedy w nią wszedł, następnie wygięła plecy w łuk i zacisnęła zęby, aby nie krzyknąć. Poruszył się raz i drugi, po czym nabral gwałtownie tchu, zadrgał po raz ostatni i znieruchomiał.

Wreszcie westchnął głęboko, wysunął się z niej i położył obok. Alienor złączyła nogi. Nastąpiła długa cisza. To wszystko? Czy na tym to polegało? Ma coś powiedzieć? Naszła kiedyś kochanków, którzy odpoczywali w pustej stajni po miłosnych zmaganiach: rozmawiali i wymieniali czułe, leniwe pieszczoty, ale czy przystoi to jej i Ludwikowi?

W końcu pogłaskał ją po ramieniu i odsunął się, po czym wciągnął koszulę. Następnie wstał, ukląkł przy ołtarzyku i odmówił modlitwę dziękczynną. Zdumiała ją to zachowanie, ale w blasku świecy wyglądał tak pięknie, że poczuła również podziw.

Odwrócił się w jej stronę.

– Dołączysz do mnie w modlitwie, żono? – zapytał ze zmarszczonymi brwiami.

Alienor się wyprostowała.

– Skoro tego sobie życzysz – odpowiedziała.

Zmarszczka pogłębiła się na jego czole.

– Powinnaś to robić dla Boga, bez żadnych zastrzeżeń. Oboje winniśmy mu dziękować i prosić, aby pobłogosławił nas potomstwem.

Alienor stwierdziła w duchu, że przecież już to uczynili, ale dla świętego spokoju ubrała się, przyklękła u jego boku i też odmówiła modlitwę. Spięte barki Ludwika rozluźniły się, jego spojrzenie złagodniało. Raz jeszcze pogładził ją po włosach, jakby go fascynowały. Następnie odchrząknął i podjął przerwane modły.

Kiedy wrócili do łoża, kolana Alienor płonęły, podobnie jak miejsce między nogami. Drżała. Pośrodku prześcieradła wsiąkła mała czerwona plama. Ludwik popatrzył na nią z mieszaniną odrazy i zadowolenia.

– Dowiodłaś swojej czystości – oznajmił. – Abbé Suger i arcybiskup będą jutro świadkami. – Wskazał jej miejsce obok siebie. Alienor weszła na łożo i wyciągnęła rękę, by zaciągnąć kotary. – Zostaw – dorzucił pośpiesznie. – Lubię widzieć światło, pomaga mi zasnąć.

Uniosła brwi z myślą, że Ludwik zachowuje się podobnie jak Petronela. Przy świetle czuł się bezpieczniej. Lekko dotknęła jego ramienia.

– Jak sobie życzysz, panie – odrzekła. – Rozumiem.

Uściskał jej dłoń, ale nic nie powiedział.

Alienor przymknęła oczy. Świeca po jej stronie łoża ledwo się tliła, plama krwi pod spodem ziębiła skórę. Poczula lekki zawód. Pocałunki i pieszczoty były rozkoszne, lecz sam akt, jakże dziwny i nieprzyjemny, zostawił po sobie gorzki posmak bólu i rozczarowania.

Ludwik wyglądał na zadowolonego. Alienor zastanawiała się, czy Bóg też jest zadowolony i czy poczęła dziecko. Przeraziła ją ta myśl, więc czym prędzej ją od siebie odsunęła i odwróciła się na drugi bok, by odgrodzić się od niego. Niebawem Ludwik zasnął, jego oddech stał się głęboki i miarowy, lecz ona długo nie mogła zmrużyć oka: zbyt wiele rzeczy ją pochłaniało, w tym ta, co począć z obcym człowiekiem, który zmieszał jej nasienie z własnym i połączyli się w jedno ciało.

Pałac Poitiers, lato 1137

Ubrana w czerwoną suknię, z diademem Akwitanii w rękach, Alienor siedziała samotnie nad stawem w pałacowych ogrodach. Słońce prażyło niezmordowanie przez cały dzień, ale ponad miastem stopniowo rozciągał się siny całun zmierzchu.

Jeszcze nikt jej nie szukał, lecz wkrótce zaczną. Przestała być panią swego czasu. Przez ostatnie dwa tygodnie pochłaniały ją obowiązki i ciągłe podróże, była nieustannie otoczona służbą, wasalami i członkami rodziny. Rozliczano ją z każdej minuty życia, jakby czas, którym dysponowała, był nie przymierzając paciorkami liczydła na straganie drobiazgowego handlarza. Nawet gdy klęczała w kościele lub ślęczała nad robótką, czuła na sobie baczny wzrok członków męzowskiej świty bądź samego Ludwika. Nie mógł oderwać od niej oczu ani rozstać się z nią ani na chwilę, jak gdyby była bezcennym klejnotem przyszytym do jego tuniki.

Przywykła do conocnych powinności i obecnie sprawiały jej mniej bólu, były nawet przyjemne, jeśli tylko Ludwik poświęcał więcej czasu na wstępne pieśszoty. Wolałaby jednak, aby za każdym razem nie musiał klękać i prosić Boga o błogosławieństwo, a potem Mu dziękować i oczekiwać od niej tego samego. W piątki i niedziele nie dzielił z nią łoża, gdyż – jak twierdził – powinni zachować czystość dla Boga, więc spędzała te wieczory z Petronelą, lecz nie były już takie jak dawniej. Ślub i pokładziny na zawsze odcięły ją od dzieciństwa. Siostra domagała się szczegółów na temat sypiania z mężczyzną i Alienor zbywała ją wymijającym stwierdzeniem, iż jest to część małżeńskich obowiązków.

Nadal nie wiedziała, co sądzić o Ludwiku. Czasami był wyniosłym następcą tronu i traktował ją z góry, na ogół jednak zachowywał się przy tym jak dziecko i dawał sobą sterować dworzanom, którzy toczyli nieustanną walkę o wpływ na niego. Bywał też kapryśny i uparty jak dziecko. Do tego dochodziła przesadna pobożność zrodzona z wychowania na łonie Kościoła i rozkwitła na gruncie wybujałego upodobania do dyscypliny oraz porządku. Bywał przy tym przemiły i czarujący. Cenił kontakt z przyrodą, kochał drzewa i niebo, a także lubił podróż w miłym towarzystwie, podczas której porzucał wyniosłe maniery i obdarzał ją uśmiechem, czułym i zniewalającym. I podobał się jej, ze swoją smukłą sylwetką, jasnymi, błyszczącymi włosami i ciemnoniebieskimi oczami.

Tego dnia koronowano go na księcia Akwitanii, a wyraz dumy i zadowolenia na jego twarzy wzbudził w Alienor niechęć i urazę. Pomyślałby kto, że korona mu się należała, bo Bóg tak chciał. Nie dała nic po sobie poznać, jednakże widok męża

zasiadającego na książęcym krześle z pełną wyższości miną obudził w niej poczucie dotkliwego żalu po śmierci ojca i samotności współ z przekonaniem, że Ludwik nigdy nie dorosnie Wilhelmowi do pięt.

– Tutaj jesteś! – Na ogrodowej ścieżce wyrosła zdyszana Floreta. – Szukają cię wszędzie, już prawie zmrok.

– Myślałam o ojcu. Chciałabym, żeby tu był – westchnęła żałośnie Alienor.

– Wszyscy byśmy tego chcieli, pani – stwierdziła ze współczuciem Floreta, ale zaraz dodała energicznie: – Ale trzeba cieszyć się tym, co mamy. Staraj się zapewnić ci spokój i bezpieczeństwo.

Alienor podniosła się z westchnieniem i otrzepała suknię. Ponad murami rozbłysły pierwsze gwiazdy, lecz powietrze nie ochłodziło się ani odrobinę.

– I myślałam o matce – dorzuciła. – Za nią również tęsknię.

– Dostałaś po niej imię. – Floreta ją przytuliła. – Zawsze będzie przy tobie. Na pewno czuwa nad tobą z nieba.

Zawróciły w stronę pałacu. Niebo niebem, ale to matczynej obecności jej brakowało. Chciała, żeby matka ją objęła i utuliła do snu, jak małe dziecko. Chciała, żeby ktoś zdjął ciężar z jej barków, aby mogła spokojnie zasnąć. Floreta, mimo swej troskliwości, nigdy nie zdołała pojąć ogromu tej potrzeby. Ani ona, ani nikt inny.

Wieczorem Ludwik święcił triumfy również w sypialni, gotów do podboju na wszystkich polach jako świeżo upieczony książę Akwitanii. Alienor nie pozostała mu dłużna, wyszła bowiem z założenia, że uległość pozbawi ją tożsamości, toteż gdy w końcu legli zdyszani, czuła, jakby przeszła przez oko cyklonu. Ludwik zachowywał się jak rażony gromem, a kiedy później się modlili, długo klęczał przy ołtarzyku, twarz zasłaniały mu wilgotne kosmyki, a złożone ręce aż zbieleły.

– Pomyślałam, byśmy odwiedzili opactwo w Saintes – zagaiła Alienor po powrocie do łóża. – Moja ciotka Agnes jest tam przeoryszą. To siostra mojego ojca, nie mogła przybyć na ślub. Jestem księżną, więc chciałabym ją wspomóc.

Ludwik sennie pokiwał głową.

– Pochwalam ten pomysł.

– Pragnę też odwiedzić grób matki i przekształcić jej kaplicę w opactwo z prawdziwego zdarzenia.

Kolejny pomruk aprobaty.

Alienor pocałowała go w bark.

– Może zostaniemy trochę dłużej w Akwitanii.

Poczuła, że zeszywniał.

– Po co?

– Część wasali wciąż nie złożyła nam hołdu. Jeśli wyjedziemy, gotowi pomyśleć, że dostali wolną rękę. Potrzebujemy ich wsparcia, a im dłużej zostaniemy, tym większą ich lojalność sobie zapewnimy. – Obsypała delikatnymi, kuszącymi pocałunkami jego obojczyk i szyję. – Wszak możesz odesłać Sugera i pozostałych z powrotem do Francji, i sam wówczas podejmować decyzje, bez ingerencji z ich strony.

Milczał przez chwilę, przyswajając jej słowa.

– Jak długo mielibyśmy zostać?

Ponownie musnęła wargami jego szyję. „Tak długo, jak zdołam cię tu zatrzymać”, brzmiałyby szczerą odpowiedź.

– Tylko trochę – zapewniła wymijająco. – Do czasu, aż nieco się ochłodzi, aby łatwiej znieść podróż, a wśród wasali zapanuje spokój.

Chrząknął, po czym odwrócił się na drugi bok i nakrył kołdrą.

– Muszę się zastanowić – odmruknął.

Alienor nie naciskała. Niech się z tym prześpi. Wróć do tematu w drodze do Saintes. Im dłużej zabawią w Akwitanii, tym lepiej dla niej.

Nocą obudziło ją gwałtowne walenie do drzwi, zgrzyt zawiasów i błysk pochodni. Rozbudzona usiadła na łóżku i krzyknęła z przestrachu, kiedy Raul z Vermandois szarpnięciem odsunął kotarę. Z uznaniem omiół spojrzeniem jej zmierzwione włosy i nagość, po czym przeszedł na drugą stronę łoża, gdzie Ludwik właśnie mrużył oczy w blasku pochodni jego pazia.

– Co się dzieje? – wymamrotał.

– Panie, nadeszły smutne wieści z dworu. – Raul opadł na jedno kolano i zwiesił głowę. – Stan twego ojca nagle się pogorszył pięć dni temu w Béthizy, o zmierzchu oddał duszę Bogu. Musisz niezwłocznie wracać do Francji.

Ludwik wbił w niego pusty wzrok. Alienor przycisnęła rękę do ust, gdy dotarła do niej powaga sytuacji. Boże miłosierny, przecież to oznacza, że Ludwik został królem Francji, a ona królową. Jej plan pozostania w Akwitanii spalił na panewce. Muszą jechać do Paryża, nie tylko po to, aby stawić się na królewskim dworze, ale zasiąść na tronie.

Ludwik chwiejnie wstał z łóżka i ukląkł przy ołtarzyku z głową spuszczoną nad złożonymi dłońmi.

– Błogosławiony Święty Piotrze, racz wstawić się za moim ojcem, by dostąpił Królestwa Niebieskiego. Zlituj się, Boże, zlituj się, Boże – powtarzał jak litanie, kołysząc się w przód i w tył.

Seneszał spojrział na niego zaniepokojony.

– Panie?

Alienor narzuciła koszulę i zwróciła się do Raula. Miał tunikę na lewą

stronę, a gęste, siwe włosy sterczały mu na głowie, jakby właśnie zerwał się z łóżka.

– Czy powiadomiono opata Sugera?

Raul skrzywił się lekko.

– Posłałem do niego sługę. Miał jeść kolację z arcybiskupem i zostać u niego do rana.

Napięcie między Raulem z Vermandois i opatem już wcześniej nie uszło jej uwagi. Mężczyźni wyraźnie za sobą nie przepadali, choć obaj zaprzeczyliby temu solennie.

– Mój panie, musimy się ubrać i zdobyć na spokój.

Raul utkwiał w niej wzrok, jakby nagle wydała mu się bardziej godna uwagi, niż mniemał początkowo.

– Zawołam wasze sługi.

– Nie – oznajmiła. – Za chwilę sama to uczynię. Mój pan mąż jest poruszony, nie trzeba, aby oglądali go w takim stanie. I popraw tunikę, panie, nim zjawi się wielebny abbé.

– Tunikę? – Spojrzał po sobie i szarpnął za wystające szwy. Uśmiechnął się krzywo. – Postaram się temu zaradzić i dopilnuję, by wam nie przeszkadzano, póki nie będziecie gotowi. – I wyszedł szybkim, zdecydowanym krokiem. Alienor przypuszczała, że z chęcią zagrozi drogę opatowi Saint-Denis, choćby na chwilę.

Podeszła do Ludwika i przyklękła u jego boku. Wiedziała, jak to jest stracić ojca, ale nie trwoniła czasu na długie modlitwy. Świat czekał za drzwiami i jeśli nie wyjdą mu naprzeciw, on przyjdzie do nich, a wówczas będą zdani na jego łaskę i niełaskę.

– Ludwiku? – Otoczyła go ramionami. – Ludwiku, podzielam twój ból, ale niech żałoba i modlitwa nastąpią, gdy czas będzie ku temu właściwy. Nie bierz wszystkiego na siebie tu i teraz. Powinniśmy ubrać się i opuścić komnatę, oczekują nas.

Mamrotanie Ludwika ucichło. Obrzucił ją nieprzytomnym spojrzeniem.

– Wiedziałem, że choruje i jego dni są policzone, lecz nie miałem pojęcia, że czasu zostało mu tak niewiele i nigdy więcej go nie zobaczę. Co pocznę?

Przykazała mu napić się wina, a sama przyniosła z kufra odzież, którą służba złożyła tam wieczorem.

– Musisz odzyskać spokój i się ubrać – poleciła. – Raul z Vermandois zajmie się resztą, a po Sugera posłano.

Ludwik kiwał głową, ale wiedziała, że nic do niego nie dociera. Pamiętała ten początkowy stan odrętwienia po śmierci ojca. Słowa nie miały znaczenia. Przytuliła go i pogłaskała po włosach, jakby pocieszała Petronelę albo była matką, a on jej dzieckiem. Obrócił się do niej z cichym jękiem i ukrył twarz w jej szyi. Uciszyła go, w odpowiedzi przywarł do niej całym ciałem. Naraz podniósł głowę

i pocałował ją rozchyłonymi ustami. Przyjęła to ze zdziwieniem, lecz odwzajemniła pocałunek i mu się oddała.

Po wszystkim leżał obok niej i dyszał jak rozbitek wyrzucony na brzeg. Delikatnie głaskała go po plecach i szeptała kojące słowa, sama bliska łez. Połączyło ich coś niezwykłego. Za jej pośrednictwem dał upust rozpaczy i odzyskał spokój.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła.

– Tak naprawdę wcale go nie znałem. – Ludwik usiadł i schował twarz między zgięte kolana. – Kiedy byłem dzieckiem, oddał mnie Kościołowi, opuściłem klasztor dopiero po śmierci brata. Zadbął o moje dobro i wykształcenie, lecz za cudzym pośrednictwem. Jeśli miałbym kogoś nazwać ojcem, byłby to abbe Suger.

Alienor przyjęła to bez zdziwienia.

– A ja sądziłam, że dobrze znam mego – odpowiedziała. – Od szóstego roku życia byłam jego dziedziczką, jednakże gdy umarł, odkryłam, że prawie go nie znałam... – Ugryzła się w język, aby nie powiedzieć nic, czego mogłaby później żałować.

Z holu dobiegł dźwięk władczych głosów. Przybył Suger, słyszała też arcybiskupa Gotfryda. Czym prędzej przekonała Ludwika, żeby się ubrał.

– Pomimo żałoby musisz pokazać wszystkim, że sprostasz roli króla – oznajmiła, wkładając mu buty. – Jesteś wybrańcem Boga. Czemu miałbyś się bać?

Spojrzał na nią przytomniejszym wzrokiem, jakby trochę spokojniejszy.

– Chodź ze mną – poprosił, kiedy zakładała mu pas.

Pospiesznie wciągnęła suknię i ukryła włosy pod złotą siatką. Serce tłukło jej w piersi, mimo to zadarła podbródek i bez śladu tremy bądź strachu wsunęła mu dłoń pod ramię i pociągnęła do drzwi. Czuła, jak cały drży.

Za drzwiami tłumnie zebrali się dworzanie i wszyscy jak jeden mąż z szelestem padli na kolana, nie wyłączając Sugera. Na widok zwartych rzędów głów Alienor nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż patrzy na brukowaną kamieniami drogę, którą wyruszy świeżo upieczony król z małżonką.

Paryż, wrzesień 1137

Adelajda z Sabaudii, królowa wdowa, szorstko machnęła bladą, kościstą ręką.

– Zapewne chcesz się przebrać i odświeżyć po długiej podróży.

Alienor dygnęła.

– Dziękuję, pani. – Teściowa przemówiła do niej rzeczowym, beznamiętnym tonem, jakby zwracała się do stajennego w sprawie konia, który wymaga pieczy po wyczerpującym galopie. Zmierzyła Alienor zimnym, krytycznym spojrzeniem szarych oczu. Suknię też miała szarą, pod kolor futrzanej podszewki pelisy. Od całej postaci wiało chłodem. Niedawno oficjalnie powitała synową w wielkim holu kompleksu pałacowego wymuszoną przemową i lodowatym cmoknięciem w policzek. Teraz stały w komnacie, którą przydzielono Alienor, wysoko w Wielkiej Wieży.

Komnatę urządzono z przepychem, na ścianach wisiały piękne obrazy, solidne meble cieszyły oko, a ciężkie kotary wokół wielkiego łóża wydzielaly intensywną woń owiec. Okiennice zamknięto i poskąpiono świec, w związku z czym w kątach zalegał cień, ale w dziennym świetle z łukowatych okien roztaczał się widok na pełną życia Sekwanę, tak jak okna pałacu de l'Ombrière wychodziły na Garonnę.

Pod nadzorem Adelajdy służba przyniosła wodę do mycia, wino oraz półmiski z chlebem i serem. Służące Alienor przystąpiły do rozpakowywania, strzepywały odzież, by następnie zawiesić ją na wieszakach lub złożyć w skrzyniach. Adelajda wydeła nozdrza na widok tęczy, zdobionych fatałaszków dobywanych z kufrów podróżnych.

– Przekonasz się niebawem, że cenimy tu większą prostotę – oświadczyła sztywno. – Stronimy od rzeczy frywolnych, a mój syn jest zwolennikiem umiaru.

Alienor wysiliła się na niewinną minę, stwierdzając w duchu, że gdyby Adelajda wiedziała, jak jej skromny syn poczynił sobie przez całą drogę powrotną, pewnie dostałaby białej gorączki. Jak widać, nawet on miał inne wzorce oprócz Kościoła.

Petronela zadarła główkę.

– Ja lubię żywe kolory – oznajmiła. – Przypominają mi o domu. Tatuś je kochał.

– Zgadza się. – Alienor pospieszyła na odsiecz i objęła siostrę w talii. – Zaproponujemy nową modę! – Uśmiechnęła się do świekry, która nie

odwzajemniła uśmiechu.

Kilka młodych kobiet ze świty Adelajdy wymieniło spojrzenia; była wśród nich Konstancja, siostra Ludwika, zbliżona wiekiem do Alienor, a także Gizela, młoda królewska krewniaczka o płowych włosach i zielonych oczach. Ktoś stłumił chichot i Adelajda gestem nakazała ciszę, nie patrząc w tamtym kierunku.

– Widzę, że musisz się sporo nauczyć – stwierdziła surowo.

Alienor nie dała się zastraszyć. Nieznajomość miejscowych reguł to jeszcze żadne przewinienie: będzie bronić swego, bowiem nikt tutaj nie jest lepszy od niej.

– Zaiste, pani – odpowiedziała. – Ojciec wpoił nam, że nauka to rzecz święta.

Aby przechytryć wrogów, człowiek musi uprzednio poznać ich gierki.

– Cieszę się – ucięła Adelajda. – Słuchaj starszych, a wyjdzie ci to na zdrowie. Miejmy nadzieję, że wpoił wam też dobre maniery.

* * *

– Nie lubi nas – stwierdziła Petronela, kiedy Adelajda wreszcie sobie poszła.
– A ja na pewno nie lubię jej!

– Masz być dla niej uprzejma – ostrzegła Alienor przyciszonym głosem. – Jest matką Ludwika i trzeba ją traktować z należnym szacunkiem. Tu panują inne zwyczaje i musimy je uszanować.

– Ani mi się śni. – Petronela zasznurowała usta wypisz wymaluj jak Adelajda i skrzyżowała ręce na piersi. – Nie podoba mi się tutaj.

– Bo jest późno i ledwo stoisz na nogach. Kiedy się wyśpisz, za dnia zobaczysz wszystko w jaśniejszych barwach.

– Nieprawda – burknęła uparta siostra.

Alienor stłumiła westchnienie. Nie miała siły na utarczki z Petronelą, bo sama też była w podłym nastroju. Nie ulegało wątpliwości, że Adelajda jest do nich wrogo nastawiona i są dla niej solą w oku. W czasie choroby męża jej rola na królewskim dworze nabrała znaczenia, chciała teraz tę władzę utrzymać, musiała więc owinąć sobie syna wokół palca. I widocznie uznała, że Alienor może jej w tym przeszkodzić.

Ludwik niechętnie mówił o matce, lecz Alienor odniosła wrażenie, iż więź między nimi sprowadza się do dominacji i brak w niej miłości, której Ludwik łaknął, a matka twardo mu odmawiała. Alienor spostrzegła już, jak łatwo ulegał wpływom i z jakim uporem obstawał przy decyzji podjętej za czyjąś radą. Nadworne frakcje biły się o niego jak psy o kość, więc jej obowiązkiem było go chronić, a tym samym dbać o bezpieczeństwo własne i siostry. Jeżeli musiał spać przy zapalonych świecach, to вина tych, którzy powinni byli zadbać o jego dobro, a tego nie uczynili.

Przejechała dłonią po mlecznobiałej skórze na jego plecach. Spał na boku i wyglądał przy tym tak słodko i bezbronne, że poczuła przyływ tliwości. W drodze do Paryża musiał stłumić bunt w Orleanie. Działał za radą zaprawionych w boju Raula z Vermandois i Tybalda z Szampanii, niemniej jednak przejął inicjatywę i powstanie upadło. Powodzenie dało mu niespotykaną dotąd pewność siebie, której łaknął jak powietrza.

Przesunęła rękę niżej, by pogłodzić zagłębienie pleców. Otworzywszy oczy, przeciągnął się i zwrócił do niej z zaspanym uśmiechem, po czym przyciągnął ku sobie i pocałował.

– Jesteś taka piękna – powiedział.

– Ty również, mój mężu. – Miał erekcję, więc dosiadła go z figlarnym błyskiem w oku.

Żachnął się zrazu i gwałtownie nabrał powietrza, ale jej nie odepchnął. Poruszała się na nim z poczuciem panowania nad sytuacją. W ciągu dwóch miesięcy od ślubu oswoiła się z tym aktem, nauczyła się czerpać z niego przyjemność, wręcz za nim tęsknić. Na razie starali się bezskutecznie, byli jednakże pewni, że im się powiedzie. Kiedy Ludwik naprężył się pod nią i oddał jej swe nasienie, zacisnęła ręce na jego ramionach i krzyknęła z rozkoszy.

Potem leżeli obok siebie, odpoczywali, a ona gładziła jego bark. Wiedziała, że za drzwiami służba pospieszyła donieść Adelajdzie, iż młody król z królową jeszcze nie wstali i spełniają obowiązek małżeński. Uśmiechnęła się krzywo. Adelajdę skręcało z niecierpliwości, kiedy spłodzą dziecko, a zarazem rozsadzała ją zazdrość o ich wspólny czas, na który nie ma wpływu.

Nadal zabiegała o dominację pod pretekstem wpajania synowej francuskiej etykiety i przygotowywania jej do oficjalnej koronacji w grudniu w Bourges, lecz chodziła zła jak osa, besztala Alienor i krytykowała jej ubiory, maniery, sposób chodzenia, a także czas poświęcany przystrajaniu komnaty oraz zabawie zamiast modlitwie. Alienor okazywała teściowej nienaganną uprzejmość i miała się przy niej na baczności, ale nie mogła jej darować ciągłego wtykania nosa w nie swoje sprawy.

Ludwik usiadł.

– Muszę iść – rzucił z ociąganiem. – Abbé Suger mnie oczekuje. Opuściłem już pierwszą modlitwę.

– Wiecznie ktoś czegoś chce – odparła ze zniecierpliwieniem. Oparła mu dłoń na plecach, żeby jeszcze nie odchodził. – Może po koronacji rozważymy powrót do Poitiers.

Rzucił jej rozdrażnione spojrzenie.

– Mamy tam swoich ludzi, tutaj zbyt wiele nas trzyma.

– Niemniej jednak powinniśmy się zastanowić – nie ustępowała Alienor. –

Jesteśmy nie tylko królem i królową, ale księciem i księżną, zresztą zostalibyśmy tam dłużej, gdyby nie konieczność nagłego powrotu do Paryża. Mój lud gotowy pomyśleć, że o nim zapomniałam.

Unikał jej wzroku.

– Zapytam Sugera, niech on się wypowie.

– A czy to od niego zależy? Ma służyć ci radą, a wciąż traktuje cię jak swojego wychowanka, a nie króla Francji. Możesz robić, co ci się podoba.

– Słucham jego rad, lecz decyzje podejmuję sam – uciął obronnym tonem. Sięgnął po rzeczy i zaczął się ubierać.

– Zdecyduj więc, aby po koronacji jechać do Poitou. Przecież to nie jest takie trudne, prawda? – Rzuciła głową i włosy okryły jej nagie ciało złotą kaskadą.

Ludwik omiótł ją pożądlivym wzrokiem i jego blada twarz poróżowiła.

– Nie – przyznał. – Myślę, że to nie byłoby takie trudne.

– Dziękuję, najdroższy. – Posłała mu skromny, przymilny uśmiech. – Tak bardzo chciałabym znów zobaczyć Poitiers. – Jak na oddaną małżonkę przystało, uklękła u jego stóp, aby włożyć mu buty.

– Tak bardzo cię kocham – wypalił, jakby chodziło o wstydlive wyznanie, po czym zerwał się i spieszenie opuścił komnatę.

Alienor odprowadziła go wzrokiem, przygryzając dolną wargę. Wciąż musiała walczyć o swoje; zaczynała ją to nużyć, zamiast stanowić ekscytujące wyzwanie.

Weszły służące, żeby ją ubrać. Wybrała nową suknię z rudobrunatnego i złotego adamaszku z szerokimi rękawami i kazała upiąć swoje bujne włosy pod złotą siatką wysadzaną klejnocikami. Wzięła od Florety lusterko. Z zadowoleniem oglądała własne odbicie; choć nie przywiązywała wagi do urody, zdawała sobie sprawę z jej mocy, którą zamierzała wykorzystać. Twarz nie wymagała upiększenia, nałożyły odrobinę różu na usta i policzki, na przekór zgrzebnej surowości teściowej.

Szambelan oznajmił przybycie zamówionych przez nią malowanych kufków, a także nowych zasłon przy łóżku oraz dwóch lakierowanych kandelabrow, co również poprawiło jej humor. Powoli zamieniała swoją komnatę w namiastkę Akwitanii w sercu Paryża. Północna Francja miała wprawdzie swój urok, ale brakowało jej przesyconej słońcem atmosfery rodzinnych stron młodej królowej. Francuski pałac uginał się pod brzemieniem stuleci, nie bardziej jednak aniżeli pałace w Poitiers i Bordeaux. Lecz surowy, ponury gust Adelajdy dawał się zauważyć na każdym kroku, dlatego nawet wysoka wieża, wzniesiona przez ojca Ludwika, sprawiała wrażenie budynku znacznie starszego, z epoki dawno przebrzmiałej.

Weszli służący z nowymi sprzętami i Alienor zabrała się do przemeblowania. Kazała postawić jedną skrzynię u stóp łóża, drugą zaś,

przedstawiającą grupę tancerzy, pod ścianą. Następnie poleciła zdjąć stare kotary z łoża i zawiesić nowe, ze złotego adamaszku. Służące rozłożyły narzutę haftowaną w orły.

– Kolejne nabytki, córko? – odezwała się od progu Adelajda głosem pełnym lodowatej dezaprobaty. – Wszak to, co miałaś, było bez zarzutu.

– Ale sama tego nie wybrałam, pani – odpowiedziała Alienor. – Pragnę się czuć jak w Akwitanii.

– Nie przebywasz już w Akwitanii, lecz w Paryżu, jesteś żoną króla Francji.

– I księżną Akwitanii, matko – podkreśliła z naciskiem Alienor.

Adelajda zmrużyła oczy i weszła do środka. Omiotła niezadowolonym spojrzeniem nowe skrzynie i kotary, po czym jej wzrok padł na rozrzuconą pościel i wydeła nozdrza na wciąż unoszący się w powietrzu charakterystyczny zapach tego, co się przed chwilą zdarzyło.

– Gdzie mój syn?

– Poszedł do opata Sugera – odrzekła Alienor. – Czy napije się matka wina?

– Nie, nie napiję – burknęła Adelajda. – W życiu są ważniejsze rzeczy aniżeli picie wina i szastanie pieniędzmi. Skoro znajdujesz na to czas, może zbyt szybko popuszczono ci cugli.

W powietrzu aż zaiskrzyło od wrogości Adelajdy i urazy jej synowej.

– Cóż więc miałabym robić, pani? – zapytała Alienor.

– Przestrzegaj etykiety. Te rękawy wołają o pomstę do nieba: niemalże wleciesz je po ziemi! A ta siatka wcale nie zakrywa ci włosów! – Adelajda rozkręcała się coraz bardziej, pomagając sobie gwałtowną gestykulacją. – Twoja służba ma nauczyć się francuskiego Północy, zamiast obstawać przy niestworzonym języku, którego nie pojmujemy. Ty i twoja siostra jazdoczecie jak wróble.

– Wróble w klatce – stwierdziła Alienor. – To nasza mowa ojczysta, językiem Północy posługujemy się w towarzystwie. Księżna Akwitanii powinna przestrzegać tradycji swojej ojczyzny.

– A królowa Francji i towarzyska życia mego syna nie powinna zachowywać się jak trzpiotka. Jaki dajesz przykład innym?

Alienor zacisnęła zęby. Dalsza kłótnia z tą zrzędliwą jędzą nie miała sensu. Wprawdzie ostatnio Ludwik chętniej słuchał „trzpiotki” niż gderliwej matki, ale od ciągłych docinków i krytycyzmu zbierało jej się na płacz.

– Przykro mi, matko, że się zdenerwowałaś, lecz mam prawo urządzić swoją komnatę wedle własnego uznania, a moja służba będzie mówić, jak chce, dopóki nikomu nie uchybia.

Po wyjściu Adelajdy nastąpiła krótka, niezręczna cisza. Alienor przerwała ją klaśnięciem dłoni i raźno zawołała do służby w *lenga romana* Bordeaux. Skoro jest wróblem, będzie ćwierkać do upadłego, na przekór wszystkim i wszystkiemu.

Dwa dni później Alienor wyszła do ogrodu w towarzystwie swoich dam dworu. Przepadała za zielonym, wonnym zakątkiem kompleksu pałacowego, z jego bujną zielonością i obfitością roślin oraz kwiatów. U schyłku lata pachnące róże wciąż znajdowały się w pełnym rozkwicie, a zieleń cieszyła oko dłużej niż w Akwitanii, ponieważ tutaj słońce mniej dawało się we znaki. Ogrodnicy znali się na swoim fachu i ogród, pomimo zamkniętej przestrzeni, otwierał wrota do innego, rzeńskiego świata zapewniającego miłe wytchnienie od intryg i układów dworu.

Wrześnie słońce rzucało miękkie, przejrzyste cienie na trawę i drzewa wciąż skąpane w zieleni lekko ozłoconej na brzegach. Rosa połyskiwała na źdźbłach i Alienor poczuła nieodpartą pokusę, aby poczuć jej kryształowy chłód pod bosymi stopami. Bez namysłu zrzuciła trzewiki i pończochy, a następnie wyszła na połyskliwy kobierzec z trawy. Petronela niezwłocznie podążyła jej śladem, a za nią, po chwili wahania, pozostałe damy, nawet Konstancja, siostra Ludwika, stroniąca od śmiałych, frywolnych zachowań.

Alienor postąpiła kilka tanecznych kroków i zakręciła się wokół własnej osi. Ludwik nie tańczył. W przeciwieństwie do niej nigdy nie nabył tej umiejętności i nie miał okazji w niej zasmakować. Pod przymusem wykonywał poszczególne ruchy z morderczą precyzją, lecz nie potrafił czerpać z tego przyjemności i nie mógł pojąć, jak inni tego dokonują.

Petronela przyniosła piłkę i młode kobiety zaczęły ją sobie rzucać. Alienor wsunęła rąbek sukni za pasek. Niebawem zapomniała o przygnębieniu i całym sercem oddała się zabawie, rozkoszując się wilgocią chłodnej trawy między palcami stóp. Suknia przesiąkła rosą i plątała się wokół gołych kostek. Alienor podskoczyła, odbiła piłkę brzuchem, po czym ze śmiechem rzuciła ją do Gizeli, jednej z jej osobistych dwórek.

Ostrzegawczy krzyk Florety, któremu towarzyszyło gorączkowe wymachiwanie rękami, przykuł królową do ziemi i sprawił, że obejrzała się przez ramię. Jedną ze ścieżek podążała ku nim grupa mężczyzn w habitach, ze stołkami i poduszkami do siedzenia. Na czele kroczył wychudzony mnich i przemawiał do nich podniesionym głosem.

– Bo czyż jest coś bardziej sprzecznego z wiarą, niż odrzucać to, czego umysł nie zdoła ogarnąć? Zważcie na słowa mędrca, który rzecze, iż ten, kto wierzy pochopnie, nie grzeszy rozumem. – Urwał i jego wzrok padł na kobiety, a na twarzy odmalował się wyraz zdziwionej irytacji.

Alienor zamarła. Był to wielki Bernard z Clairvaux, przywódca duchowy i religijny, intelektualista, asceta i nauczyciel. Poważano go za bogobożność, był też człowiekiem sztywnych zasad, nieprzejednanym wobec tych, którzy nie zgadzali się z jego poglądami na Boga i Kościół. Przed czterema laty spał się z jej ojcem

w kwestii polityki papieskiej, dlatego znała jego nieustępliwość. Nie miała pojęcia, skąd się tu wziął, on najwyraźniej myślał to samo o niej. Przypomniała sobie o butach i pończochach ciśniętych obok fontanny i zalała ją fala gniewu, że przyłapano ją w takiej sytuacji.

Dygnęła przed nim, a on odpowiedział jej lekkim skinieniem, ciemne oczy miał pełne przygany.

– Pani, król był łaskaw oddać dziś rano ogrody na użytek moich słuchaczy.

– Nic mi o tym nie wspomniał, ale niech ojciec sobie nie przeszkadza – odrzekła Alienor, po czym dodała z nutką wyzwania: – Może się przyłączymy.

Zacisnął usta.

– Jeśli istotnie łakniesz wiedzy, córko, jestem skłonny cię nauczać, aby jednak usłyszeć słowo Boga, trzeba najpierw odetkać uszy.

Usiadł sztywny, jakby kij połknął, a uczniowie otoczyli go kołem i udawali, że nie zauważają kobiet, lecz rzucali im ukradkowe, zgorzone spojrzenia.

Opat Cîteaux, poprawiwszy szatę, wsparł kościstą dłoń na kolanie i wznosił drugą, w której trzymał trzcinę.

– A zatem – podjął – rozmawialiśmy wcześniej o wierze i za chwilę powrócimy do tej kwestii, lecz oto przypomniałem sobie o mym liście skierowanym do pobożnej dziewicy na temat ziemskich rozkoszy. – Zerknął w stronę Alienor i jej dwórek. – Powiadają, że jedwab, fiolet, pomada i róż mają swój urok. Wszystko to zdobi ciało, lecz piękno opada wraz z nim i grzeszna powłoka zostaje bez niczego. Radziłbym, byście nie brali przykładu z ludzi nikczemnego usposobienia, którzy dążą do powierzchownej urody, gdy do cna są pozbawieni walorów duchowych. Bez opamiętania stroją się w błyskotki i szukają uznania w oczach głupców. Nie godzi się poszukiwać piękności w skórach zwierząt oraz dziełach owadów. Czy królewskie klejnoty mogą dorównać skromnym rumieńcom na liczku prawdziwej dziewicy? – Świdrował wzrokiem Alienor. – Widzę kobiety tego świata obwieszane, nie przystrojone, srebrem i złotem. W sukniach, których treny zamiatają podłogę. Lecz wiedzcie, że afektowane córki Beliala nie będą miały czym okryć swych dusz, gdy śmierć przyjdzie po nie, jeśli nie odkupią win swoich!

Gniew i upokorzenie aż się w niej zagotowały. Jak ten kościotrup śmie ją obrażać? Nawet nie krył pogardy i aluzji. Potępił ją i skazał, mimo że wcale jej nie zna. Nawet jej ojciec musiał ugiąć kolano pod naciskiem Bernarda. Pragnęła z dumą reprezentować Akwitanię i pokazać mu, ile jest warta, lecz teraz zrozumiała bezcelowość tych starań, gdyż bez względu na to, czego dotyczyła rozmowa, on zawsze będzie miał ostatnie słowo. Zwołała damy i wyszły z ogrodu.

– Wstrętny staruch! – Petronela zadrzała. – Kto to jest córka Beliala?

Alienor skrzywiła się pogardliwie.

– Grzesznica, jak mówi Biblia. Ale dobry opat nazwałby tak wszystkie

niewiasty, chyba że noszą włosiennicę i żebrzą na kolanach o odpuszczenie grzechu bycia kobietą. Wszystkich osądza, chociaż nie jest Bogiem i nie przemawia w Jego imieniu. – Narastał w niej bunt. Będzie się ubierać, jak chce, gdyż wygląd i szata to część kobiecego oręża na tym świecie, czy się to podoba Bernardowi z Clairvaux, czy nie. Bo czy ma znaczenie dla duszy, co nosi jej ziemską powłoka?

W drodze powrotnej spotkały Adelajdę, która musiała wiedzieć o pobycie Bernarda w ogrodach, bo właśnie posyłała szambelana do kuchni, żeby zamówił poczęstunek dla gości. Na widok dziewcząt wytrzeszczyła oczy ze zgrozą.

– Boso? – wykrztusiła. – Jak wieśniaczki! Co wy wyprawiacie? To nie do pomyslenia! – Ależ pani matko – sprostowała niewinnie Alienor. – Czcigodny opat jasno się wyraził: mamy nosić się jak wieśniaczki i ćwiczyć w pokorze.

– Abbé Bernard wam kazał? – Brwi Adelajdy powędrowały aż pod czepiec.

– Jego słowa nie pozostawiały wątpliwości – uzupełniła Alienor i, skłoniwszy się głęboko, ruszyła po schodach do swojej komnaty, świecąc gołymi stopami i kostkami.

Słyszała za plecami gderanie Adelajdy. Petronela wydawała stłumione odgłosy, maskujące śmiech, ale dźwięk był tak zaraźliwy, że udzielił się pozostałym damom, chociaż chichot Konstancji brzmiał najciszej. Nim dotarły do komnaty, ślaniały się na nogach i czepiały siebie nawzajem. Lecz na przekór ogólnej wesołości Alienor była bliska płaczu. Adelajdę aż ścisnęło w gardle ze złości i rozgoryczenia postępowaniem młodych kobiet, w tym własnej córki. Zuchwałość ich bladych, bosych stóp! Niestosowność tego zachowania nappełniła ją zgrozą i niepokojem. Gdyby wciąż była królową Francji, natychmiast zrobiłaby z tym porządek. Ta mała głuptaska z Akwitanii usiłuje zaprowadzić tu własne porządki. Adelajda ani przez chwilę nie wierzyła, że dobry opat z Clairvaux kazał Alienor i jej damom biegać boso – już ona wyciągnie prawdę z Konstancji albo Gizeli. Nie puści tego płazem. Potarła skronie. Poczwała się stara, zmęczona i znękana.

– Pani?

Wyprostowała się i spojrzała na Mateusza Montmorency'ego, jednego z nadwornych zarządców.

– Pani, rozmawiałem z szambelanem, posłał chleb i wino abbé Bernardowi i jego podopiecznym. – Rzucił jej znaczące spojrzenie. – Kazałem je podać w zwykłych naczyniach, bez obrusa.

Adelajda przytaknęła. Bernard z pewnością doceni poczęstunek wraz z jego skromną oprawą. Mateusz stanął na wysokości zadania, zresztą jak zawsze.

– Dziękuję – odrzekła z westchnieniem. – Mądrze pomyślałeś. Mam ostatnio wiele obowiązków.

– Jestem na twoje rozkazy, pani. – Montmorency się uklonił. Adelajda

patrzyła, jak oddała się zdecydowanym krokiem do swych zadań, i zrobiło jej się lżej na sercu. Gdyby wszyscy byli tak układni.

9

Bourges, Boże Narodzenie 1137

Dwór zebrał się w mieście Bourges dla uczczenia świąt i koronacji Ludwika i Alienor przed wielkim zgromadzeniem dworzan oraz wasali. Miasto pękało w szwach od możnych panów oraz ich orszaków i obrosło namiotami tych, dla których zabrakło miejsca na zamku lub w okolicznych oberżach.

Alienor zamierzała włożyć na uroczystość swoją suknię ślubną, lecz wymagała ona poprawek, gdyż od tamtego czasu królowa urosła, a jej ciało nabrało bardziej kobiecych kształtów.

Po kolejnej przymiarce udały się z Petronelą do sali gościnnej, gdzie wyprawiono nieoficjalną ucztę dla starszych baronów i wasali. Jutro każdemu zostanie wskazane przypisane miejsce, teraz jednak goście, których wciąż przybywało, mogli siadać, gdzie dusza zapragnie.

– Założę się o złoty pierścionek, że matka Ludwika znajdzie wymówkę, aby spędzić czas w towarzystwie Mateusza Montmorency'ego – szepnęła Petronela, nim weszły do środka.

– Nigdy się nie zakładam, jeśli z góry wiem, że przegram – odpowiedziała Alienor. Ona również zwróciła uwagę na poruszenie Adelajdy, kiedy zarządca znajdował się w pobliżu, zauważyła też ich częste rozmowy, które jednak nigdy nie uchybiały względom przyzwoitości. – Życzę im jak najlepiej. Cokolwiek odwróci jej uwagę ode mnie, jest ze wszech miar mile widziane.

Jakiś mężczyzna zaszedł im drogę i obie strony musiały przystanąć, by uniknąć zderzenia. Nabrał powietrza, aby dać upust niezadowoleniu, lecz omiótł wzrokiem ich strojne szaty oraz świętę dwórek, i zamiast tego się uklonił.

– Racz mi wybaczyć, pani. Niechaj wszyscy ustąpią z drogi nieźrównanej urodzie królowej Francji.

Alienor jeszcze nie widziała równie przystojnego mężczyzny. Był wysoki, z gęstą czupryną lśniących, rudozłotych włosów. Miał alabastrową cerę i przejrzyste niebieskozielone oczy, których odcień podkreślały czarne źrenice. Krótko przycięty kasztanowy zarost okalał zuchwę i uwydatniał zdecydowany zarys ust. Nos miał prosty jak strzała, o doskonałym kształcie.

– Nie znam twojego imienia, panie – odpowiedziała w lekkim popłochu.

Ponownie się uklonił.

– Jestem Gotfryd, hrabia Anjou. Rok temu brałem udział w kampanii

w Normandii u boku twego ojca, świeć, Panie, nad jego duszą. Łączyło nas wiele wspólnych interesów. – Mierzył ją drapieżnym, rozbawionym wzrokiem.

– Jesteś tutaj mile widziany, panie – odrzekła, usiłując nie dać po sobie poznać, jak bardzo to spojrzenie zbija ją z tropu.

– Cieszy mnie to. – Jego głos nabrał znaczących tonów. – Różnie z tym bywa, lecz oby nam było sielsko na miarę świątecznej atmosfery. – Skłonił się po raz ostatni i odszedł, rzuciwszy jej przez ramię pożegnalny uśmiech.

Petronela zachichotała w garść i trąciła Alienor łokciem.

– Przystojny!

Alienor czuła, jakby Gotfryd z Anjou rozebrał ją przy wszystkich do halki, choć wymiana zdań miała jedynie towarzyski charakter. Dotkliwie odczuwała teraz jego obecność; stała się przewrażliwiona na punkcie własnego zachowania i oceniających ją spojrzeń innych.

– Zachowuj się, Petro – syknęła.

– Ma żonę?

– Tak, cesarzową Matyldę, córkę starego Henryka, króla Anglii. – Naszło ją kolejne wspomnienie – rozmowy w ojcowskim pałacu, kiedy hrabia Gotfryd przysłał list z propozycją, aby wydać ją za jego nowo narodzonego syna. Ojciec tylko się zachnął na andegaweńską bezczelność. Niemniej jednak w innych okolicznościach Gotfryd mógł być jej teściem, a jego niespełna pięcioletni syn – mężem.

Petronela ponownie trąciła ją w bok.

– Ciągle się gapi.

– Zatem nie patrz na niego. – Alienor złapała siostrę za rękę i pociągnęła przez tłum w stronę arcybiskupa Gotfryda; tam będzie bezpieczna i odzyska rezon. Mimo to wciąż czuła na sobie spojrzenie Gotfryda i nie miała odwagi stanąć oko w oko z nim i jego znaczącym uśmiechem.

– Gotfryd z Anjou... – Ludwik miotał się po sypialni jak ryba w sieci. – Nie mam do niego zaufania pomimo jego rzekomo dobrej woli.

Nieformalna uczta skończyła się późną porą, w komnatach i wśród namiotów na zewnątrz murów zamkowych nadal panował rwetes. Alienor siedziała przy kominku w nocnej koszuli i zaplatała włosy. Na samą myśl o Gotfrydzie zalała ją fala gorąca, jakby na widok pięknego, narowistego ogiera, który pręży grzbiet i wywija ogonem na dziedzińcu przed stajnią. Charyzmatyczny, żywotny i niebezpieczny. Jak by to było, okiełznać go – ujeździć?

– Dlaczego? – zapytała.

– Bo jest zmienny – warknął Ludwik. – Dla własnych korzyści byłby gotów złamać przysięgę wierności. Łaknie wpływów i władzy. Pożąda Normandii tak

samo jak ta jego sekutnica żona – Anglii. A gdyby ją zdobył? Myślisz, że nie wyciągnąłby łap po Francję? – Doszedł do ściany i zawrócił. – Słyszałem, że chciał cię wyswatać ze swoim synalkiem.

– Mój ojciec się nie zgodził.

– Owszem, ale to tylko dowód, że Gotfryd wykorzysta każdą sposobność, jaka się nadarzy.

Alienor nie odpowiedziała. Pobudki ojca Ludwika też mogły budzić wątpliwości.

– Myśli, że wpływami i aparycją zwojuje świat, ale grubo się myli. A to, że jego ojciec jest królem Jerozolimy, nic dla mnie nie znaczy.

– O co mu chodzi? – Wzburzenie Ludwika świadczyło, że uciał sobie pogawędkę z Sugerem i Tybaldem z Blois, nie piekliłby się tak. Odłam Blois był naturalnym przeciwnikiem hrabiego Anjou, na dodatek Gotfryd toczył boje ze Stefanem, bratem Tybalda, o Normandię.

Ludwik prychnął.

– O małżeństwo. Teraz chce zeswatać syna z Konstancją.

Alienor zdziwiła się lekko, lecz świadomość konsekwencji takiego obrotu spraw natychmiast wyparła myśl o bladej, jasnowłosej siostrze Ludwika, która w pierwszej chwili jej się nasunęła.

– Odmówiłem – uzupełnił Ludwik. – Dawanie mu takich forów przeczyłoby naszym interesom, zresztą nie powierzyłbym Konstancji ani jemu, ani jego jędzowatej żonie.

Alienor podejrzewała, że Gotfryd z Anjou i tak znajdzie drogę na szczyt, a z tego, co słyszała o cesarzowej Matyldzie, łączyło ją pewne podobieństwo z Adelajdą.

– Jak zareagował?

Ludwik spojrział na nią spode łba.

– Że rozumie, lecz ma nadzieję, iż rozważę jego propozycję, gdyż okoliczności często się zmieniają.

– Zapewniłeś, że rozważysz?

Ludwik rzucił jej poirytowane spojrzenie.

– Dałem do zrozumienia, że sprawa nie podlega dyskusji. Mam ważniejsze zajęcia niż marnowanie czasu na rudego, andegaweńskiego parweniusza.

– A jeśli jego żona zostanie królową Anglii?

– Boże uchowaj – warknął Ludwik. – Lecz wątpię. Są z góry na przegranej pozycji. Wolalbym oddać Konstancję dziedzicowi Stefana i wżenić ją w ród już będący u władzy.

Alienor pogrążyła się w zadumie. Wydawało się, że to rozsądna decyzja, miała jednak wrażenie, że Ludwik nie docenia Gotfryda.

– Z ulgą pozbędę się go z dworu – dodał. – To mąciwoda. Masz się do niego

nie zbliżyć, i pozostałe kobiety również, zrozumiano?

– Przecież moim obowiązkiem jest rozmawiać z twoimi wasalami i należycie odgrywać rolę gospodyni – zaoponowała.

– Rozmawiaj zatem ze starymi wasalami oraz z biskupami. Gotfryda z Anjou zostaw w spokoju, mówię poważnie. – Stał nad nią z rękami na biodrach. – Ludzie mielią ozorami. Królowa Francji musi być poza wszelkim podejrzeniem.

Tak jawna zazdrość wywołała w niej dreszcz podniecenia.

– Nie ufasz mi? – Wstała i znaleźli się tuż naprzeciw siebie.

– Jemu nie ufam, tak jak ci powiedziałem. – Ludwik przyciągnął ją i pocałował. – Możesz mi to obiecać?

Odwzajemniła pocałunek i wygładziła palcami zmarszczkę na jego czole.

– Obiecuję mieć się na baczności. Idziesz do łóżka?

W ciągu kolejnych dni była wierna danemu słowu, gdyż czuła się nieswojo na samą myśl o Gotfrydzie z Anjou. Rozmawiała ze starszymi wasalami i z biskupami i dotrzymywała towarzystwa żonom oraz córkom. Tylko raz sprzeniewierzyła się obietnicy, kiedy Gotfryd wziął ją za rękę podczas tańca bożonarodzeniowego, a na koniec ucałował po wewnętrznej stronie nadgarstka i lekko musnął zębami skórę – jakby na znak, że jest do schrupania – po czym skłonił się i odszedł. Była to jedynie igraszka, acz dość śmiała z jego strony. Przeszył ją dreszcz, ale zaraz zmrużyła oczy. Miała wiele do nadrobienia, lecz posiadzie tę wiedzę i któregoś dnia zyska nad nim przewagę, a wtedy to ona pokaże mu, gdzie raki zimują.

Paryż, wiosna 1138

Alienor łapała oddech i przygryzła wargę, kiedy Ludwik wyszedł z niej i legł na plecach, ciężko dysząc z wysiłku. Czuła się sponiewierana, ale zaczynała rozumieć, że jego namiętność w sypialni znajduje odzwierciedlenie w tym, co dzieje się poza nią. Niedawno zakończyła miesięczne krwawienie i obcowali ze sobą po raz pierwszy od ośmiu dni. Stronił od niej, dopóki krew czyniła ją nieczystą. Poświęcał się kontemplacji i modlitwie.

Minęło dziewięć miesięcy od ślubu, a ona wciąż nie była brzemienna. Krwawienie spóźniło się w okolicy Bożego Narodzenia, jednakże alarm okazał się fałszywy. Co miesiąc Adelajda nie szczędziła jej uszczypliwości, przypominając o obowiązku wydania na świat następcy tronu. Ona sama urodziła ojcu Ludwika sześciu zdrowych synów oraz córkę, kiedy była królową Francji.

Alienor nawinęła na palec kosmyk srebrzystych włosów Ludwika.

– Ojciec zabierał mnie i Petronelę do Le Puy na obchody święta Najświętszej Pani – powiedziała. – Mój dziadek podarował opactwu pas, który należał do matki Zbawiciela. Mówią, że obdarza Ona płodnością pary, które przyjeżdżają się do niej modlić. Powinniśmy tam pojechać i poprosić Ją o błogosławieństwo.

Uniósł brwi, wykazując ostrożne zainteresowanie.

– Sam Karol Wielki był w Le Puy – dodała. – Obiecałeś, że po koronacji pojedziemy do Akwitanii.

– Obiecałem – przyznał. – Ale byłem zajęty innymi sprawami. Masz jednak rację, powiem Sugerowi.

Alienor zachowała spokój. Przynajmniej odpowiedź Ludwika brzmiała „powiem Sugerowi”, a nie „zapytam Sugera”, co stanowiło pewien postęp.

Usiadł i delikatnie potarł jej policzek, po czym obejrzał swój kciuk.

– Co się stało? – spytała. Przestraszyła się, że ma na twarzy smugę od sadzy.

– Matka twierdzi, że ubierasz się niestosownie i malujesz twarz. Kazała mi uważać. Ale ty wysłuchujesz mnie i pocieszasz. Czy ona choć raz zrobiła to dla mnie? Nie ma znaczenia, czy mówi prawdę.

Alienor spuściła wzrok, dusząc w sobie gniew i rozdrażnienie. Nadal użerała się z teściową o władzę nad Ludwikiem. Zażyłość z mężem zapewniała jej przewagę, lecz Adelajda nie dawała za wygraną.

– Czy uważasz, że powinnam ubierać się i zachowywać jak twoja matka?

Ludwik lekko się wzdrygnął.

– Nie – odpowiedział. – Nie chcę, żebyś się do niej upodobniła.

Nadała głosowi ton ubolewania.

– Wiem, że trudno jej wyrzec się władzy i pozycji, którą tak długo budowała. Bardzo ją szanuję, lecz nie mogę być taka jak ona.

– Masz rację – uciał. – Pojedziemy do Le Puy i pomodlimy się razem.

Rzuciła mu się na szyję.

– Dziękuję, mężu! Przysięgam ci, że tego nie pożałujesz! – Zeskoczyła z łóżka w nocnej koszuli i zakręciła się wokół własnej osi, aż włosy pofrunęły na wszystkie strony, a Ludwik się roześmiał. Kiedy była taka miękka i uległa, czuł, że może przenosić góry, i rozpierała go taka miłość, że podarowałby jej gwiazdkę z nieba. Czuł się jednak osobliwie rozdarty, zwłaszcza gdy inni okazywali zastrzeżenia. A jeśli faktycznie dawał sobie mydlić oczy?

Alienor przywołała się do porządku.

– Chodźmy razem do Sugera i zapytajmy, co należy zabrać w ofierze. – Gdy zyskają wsparcie Sugera, Adelajda nie będzie miała nic do powiedzenia.

Odmówili modlitwę przed figurą Najświętszej Pani z Dzieciątkiem w sanktuarium Matki Boskiej w katedrze w Le Puy i złożyli ofiarę w postaci kadzidła i mirry w złotej szkatule wysadzonej drogimi kamieniami. Alienor pomodliła się też nad złotym pasem Maryi i na cześć Świętej Trójcy oplótła nim kibić, by jej łono wydało owoce.

Na miejscu roiło się od pielgrzymów, był to bowiem ważny przystanek w drodze do Santiago de Compostela. Królewska para rozdała jałmużnę i przebyła kawałek drogi z pielgrzymującymi. Alienor oczy zaszły łzami na wspomnienie wyjazdu ojca z Poitiers, gdy towarzyszyły mu z Petronelą. Ludwik mylnie wziął jej wzruszenie za religijny zapał i mało nie pękł z dumy i uwielbienia.

Ponieważ wszystkie domy pielgrzyma pękały w szwach, nocowali w królewskim namiocie pod niebem obsypanym gwiazdami. Ciepłej, wiosennej nocy kochali się z boskim przyzwoleniem, a ich zbliżenie było pełne czułości i doskonałe.

Ludwik wpadł do komnaty, kiedy Alienor siedziała na łóżku, a teściowa stała nad nią. Wrócili do Paryża przed blisko trzema miesiącami i życie toczyło się jak dawniej, ale od czterech dni Alienor co rano wymiotowała i Adelajda wezwała królewskiego medyka, żeby ją zbadał.

– Panie – odezwał się ten ostatni, dyplomatycznie skrywając flaszkę z uryną, którą właśnie oglądał pod światło. – Z radością donoszę, że młoda królowa jest przy nadziei.

Ludwik wytrzeszczył na niego oczy.

– Naprawdę? – Odwróciwszy się, popatrzył na żonę.

Mimo nudności uśmiechnęła się szeroko, kipiąc ze szczęścia i triumfu.

– Najświętsza Panienska wysłuchiwała naszych modłów w Le Puy! – Błada twarz Ludwika spłonęła rumieńcem zachwyty. – Będzie następca tronu, moja kochana, dzielna żono!

– To dopiero początek. – Jego matka ostrzegawczo wzniosła palec. – Alienor musi odpoczywać i unikać wszystkiego, co mogłoby zaszkodzić jej lub dziecku.

Alienor ukryła grymas niechęci. Przejrzała plan teściowej i nie miała najmniejszego zamiaru przez całą ciężą siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Nieśmiało zerknęła na Ludwika.

– Chciałabym pójść do kościoła i podziękować Matce Przenajświętszej za Jej szczerść.

Jej słowa sprawiły mu przyjemność, ale miał wątpliwości.

– Czy rozsądnie jest wstawać z łóżka?

– Przecież modlitwa nie zaszkodzi. – Alienor wyczekująco spojrzała na medyka, który po chwili wahania skinął głową.

– Modlitwa zawsze jest wskazana, pani.

Za kotarą kazała się ubrać w suknię z błękitnej wełny i zakryła splecione włosy chustą z cienkiego, białego płótna wyszywanego perełkami. Kiedy się wyłoniła, wyglądała kubek w kubek jak Madonna, o co właśnie jej chodziło, a Adelajdy już nie było.

Ludwik oczu nie mógł od niej oderwać.

– Jestem z Ciebie taki dumny. – Ucałował ją w obie dłonie i w czoło.

Uklękli ramię w ramię przy ołtarzu w wiekowej bazylice Notre Dame. Wciąż dokuczały jej mdłości, ale były do wytrzymania. Nosiła w łonie następcę francuskiego tronu i przyszłego władcę Akwitanii, co dało jej poczucie siły i władzy jako płodnej kobiecie, przyszłej matce. Oto stawała się prawdziwą królową, odrębną jednostką.

Gdy wyszli z ciemnego, skąpanego w blasku świec starego kościoła Merowingów, natknęli się na posłańca. Miał brudną odzież, pachniał zajeżdżonym koniem i niemytym ciałem.

– Panie. Pani. – Padł na kolana i zwiesił głowę. – Przynoszę niedobre wieści z Poitiers.

– Co się stało? – spytała Alienor, nim Ludwik zdążył się odezwać. – Mów.

Mężczyzna dźwignął się chwiejnie.

– Pani, ludzie powstali i ogłosili się komuną. Odmawiają posłuszeństwa władzy książąt Akwitanii i króla Francji. Zajęli pałac i właśnie się obwarowują. – Sięgnął do sfatygowanej skórzanej torby i wyjął pogniecione pismo.

Alienor wyrwała mu list i złamała pieczęć, a gdy odczytała treść, przycisnęła rękę do ust. Ujrzała swoje ziemie w czarnej otchłani. To zdarzenie mogło przekreślić jej dziedzictwo, odebrać wszystko, co miała i kim była – zostanie z niczym, niezdolna zachować swoją pozycję i godność na królewskim dworze.

Jako księżna Akwitanii mogła się postawić innym, także Adelajdzie, i miała ku temu niepodważalne argumenty. Bez swoich ziem znajdzie się na łasce wilków.

Ludwik odebrał jej list i przeczytał go z zaciśniętymi ustami.

– Musimy coś przedsięwziąć – oznajmiła. – Jeśli wieść się rozniesie... – Aż strach pomyśleć. – Trzeba to zdusić w zarodku, nie ma chwili do stracenia. Każę spakować bagaż.

Zdumiony Ludwik rzucił jej zaniepokojone spojrzenie.

– Nie możesz, jesteś brzemienna. Wiesz, co powiedział medyk. – Wziął ją za rękę. – Ja się tym zajmę. To również moi poddani; występując przeciwko tobie, występują przeciwko nam obojgu.

Łatwo mówić, pomyślała Alienor. Incydent wskrzesił całą rozpacz, niepokój i strach, jakie dopadły ją po śmierci ojca. Najpierw rodzina doznała straty, potem musiała opuścić dom, a teraz bunt zagroził istocie jej tożsamości.

– Idź odpocząć w komnacie, a ja wszystkiego dopilnuję. – Ludwik pociągnął ją w stronę Wielkiej Wieży.

Zdołała mu się wyrwać.

– Dzisiaj. Niezwłocznie rozpocznij przygotowania.

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Dobrze, dzisiaj, skoro nalegasz.

Chciała wskoczyć na konia i pogalopować do Poitiers, ogarnęła ją bezsilność, że nie może sobie na to pozwolić. Gdyby nie spodziewała się dziecka...

– Napiszę listy do moich wasali w Poitou i biskupów. – Potarła obolałe ramię. – Mieszkańcy liczą się z ich zdaniem. – Chociaż tyle mogła zrobić. Co do reszty, musi zawierzyć Ludwikowi.

Miesiąc później, nękana przez mdłości, stała w kościele opactwa Saint-Denis na mszy z okazji dnia patrona. Dworzanie tłoczyli się w nawie, wszyscy wystroili się i przynieśli dary, aby złożyć je na stopniach ołtarza. Odprawiający mszę abbe Suger wznosił wazon, który Alienor podarowała Ludwikowi w dniu ślubu. Czarę wypełniało wino ciemne jak krew. Suger poprosił o pozwolenie użycia jej podczas mszy ku czci patrona, a zarazem króla, będącego wyznawcą Świętego Dionizego. Ludwik wyruszył do Akwitanii pod patronatem świętego sztandaru opactwa.

Nie każdy z francuskich hrabiów do niego dołączył. Tybald z Blois oznajmił sztywno, iż żadne zobowiązania feudalne nie zmuszają go do wyjazdu, i odmówił udziału w kampanii, a do królewskiej pary zwracał się strofująco jak do niesfornych szczeniąt, toteż Ludwik wyruszył do Poitiers w złym nastroju, na czele dwustu rycerzy, z oddziałem łuczników i machinami oblężniczymi, gotów wykazać się jako król i dowódca. Postawa Tybalda nie uszła uwagi Alienor. Należało na niego uważać, gdyż ze swoimi wpływami mógł wprowadzić wiele zamętu, a jego

ród niejeden raz stawał okoniem.

Żałowała teraz, że pozwoliła Sugerowi na wykorzystanie wazonu jako kielicha mszalnego, bo na widok wina przewracało jej się w żołądku. Dusiła się, jakby ludzie wokół kradli jej powietrze z płuc. Ściany napierały ze wszystkich stron i miała wrażenie, że gnijący dawni królowie Francji gromią ją wzrokiem przez kamienne nagrobki.

Petronela z troską dotknęła jej ramienia.

– Siostró?

Alienor mocniej ścisnęła różaniec i potrząsnęła głową. Nie śmiała otworzyć ust, żeby nie zwymiotować, nie mogła też wyjść, by nie wzbudzić podejrzeń o brak szacunku, a nawet herezję. Była królową Francji i musiała spełnić swój obowiązek. Przymknęła oczy, z wolna wdychała i wydychała powietrze; uzbroiła się w cierpliwość, lecz czas ciągnął się jak wosk z topniejącej świecy.

Kiedy msza dobiegła końca, wierni opuszczali kościół uroczystym szeregiem, zdążając w ślad za wielkim, wysadzonym klejnotami krzyżem, trzymanym wysoko za złożony trzon przez Sugera odzianego w przetykane srebrem śnieżnobiałe szaty. Alienor z wysiłkiem wlokła nogę za nogą. Jeszcze tylko chwila, jeszcze jeden krok.

Przed kościołem jakiś mężczyzna wybiegł z tłumu i rzucił się jej do stóp, by nabożnie ucałować rąbek sukni.

– Litości, pani! Mieszkańcy Poitiers błagają o twoje wstawiennictwo. Przynoszę straszne wieści!

Strażnicy go odciągnęli, a kiedy szarpał się w ich żelaznym uścisku, Alienor rozpoznała stajennego z pałacu w Poitiers, dawniej posłańca jej ojca.

– Znam tego człowieka. Puśćcie go – rozkazała. – Jakie wieści? Mów!

– Pani, król zdobył Poitiers i ukarał mieszkańców grzywną, wielu uwięził. Żąda zakładników spośród dzieci najznakomitszych rodów. Chce je zabrać do Francji i umieścić w swoich zamkach jako rękojmię uległości ich rodziców. – Nie spuszczać czujnego oka ze strażników, mężczyzna wyjął z torby plik dokumentów z pieczęciami na różnobarwnych sznurkach. – Ludzie błagają cię o wstawiennictwo i litość. Drżą, że już nigdy nie zobaczą swoich córek i synów. Chryste, niektóre spośród nich to, nie przymierzając, oseski.

Alienor przełknęła zółć.

– Zapragnęli niezależności, a teraz błagają mnie o litość? – Wykrzywiła wargi. – A czego się spodziewali?

– Pani? – Suger stanął obok w swoich migoczących szatach.

– Król wziął zakładników w Poitiers. – Pokazała mu listy, w żołądku burzyło jej się jak w rozgrzanym kotle. – Zasługują na karę za bunt, lecz to tylko zaogni sprawę. Muszę tam jechać, to moi ludzie...

Suger wziął od niej papiery.

– W pełni podzielam twój niepokój, pani, ale to wykluczone. Jeżeli mogę coś radzić... – Urwał i zatroskany wbił w nią wzrok.

Zimny pot oblał Alienor. Petronela złapała ją za rękę i krzyknęła ze strachu. Ludzie stłoczyli się wokół, niemal odcięli jej dopływ powietrza, a pod Alienor ugięły się kolana. Zanieśli ją z powrotem do kościoła i położyli na okryciach leżących na stole. Wdychała w nozdrza zapach kadzidła i słyszała rozmodlone głosy mnichów, a przed oczami stanęła jej wzniesiona wysoko kryształowa czara wraz z krwistą zawartością.

Zanieśli ją do Paryża w wyściełanej lektyce i posłali po medyków, ale dostała skurczy i niebawem straciła dziecko w kałuży krwi i skrzepów. Adelajda usiłowała wyprowadzić Petronelę z komnaty, lecz dziewczyna odmówiła i wytrwała u boku siostry, ściskając ją za rękę, kiedy akuszerki usuwały krew i ciało chłopczyka wielkości kobiecej dłoni. Adelajda zachowała spokój, ale zacisnęła usta w wąską kreskę, a z całej jej postaci biło przeświadczenie o winie synowej.

– Suger wyrusza do Poitiers rozmówić się z Ludwikiem – rzuciła szorstko. – Mój syn będzie srodze rozczarowany. Jakby nie dość miał utrapienia z twoimi krnąbrnymi wasalami.

– To może nie powinien był się ze mną żenić – mruknęła Alienor i odwróciła się do ściany, bo nie chciała rozmawiać z Adelajdą, a do tego, zdruzgotana i osłabiona upływem krwi, nie miała siły na słowne utarczki.

Raul z Vermandois popatrzył na roztrzęsioną, zapłakaną Petronelę, która wyłoniła się z komnaty starszej siostry. Przyszedł osobiście zapytać o zdrowie młodej królowej, zamiast posłać służącego, którego byłoby łatwiej zbyć lub odprawić.

– Małeńka – rzucił łagodnym tonem. – Co się stało?

Petronela potrząsnęła głową.

– Alienor straciła dziecko – odrzekła łamiącym się głosem. – To było straszne, a ta stara jędza jeszcze ją sponiewierała.

– Masz na myśli królową Adelajdę?

Petronela spojrzała na niego przez łzy.

– Nie znoszę jej.

Pogroził jej palcem.

– Niemądrze tak mówić – ostrzegł, trawiąc otrzymaną wiadomość. – Dobro twojej siostry bardzo leży jej na sercu.

– Ona nie ma serca – ucięła Petronela i siąknęła nosem.

– Nawet jeśli czasem się nie zgadzają, królowa Adelajda dołoży wszelkich starań, aby pomóc jej w powrocie do zdrowia, gdyż ma w tym swój interes. –

Otoczył ramieniem jej wąskie barki. – Powinnaś bardziej uważać. Mnie możesz wszystko powiedzieć i zachowam to w tajemnicy, lecz inni, mniej godni zaufania, mogą ci narobić kłopotów. Ejże, *doucette*, osusz łzy. – Delikatnie otarł jej twarz miękkim rękawem koszuli i ujął ją pod brodę, aż posłała mu błądy uśmiech.

– Wróć lepiej do siostry. – Petronela pociągnęła nosem. – Nie chcę, żeby się obudziła i zobaczyła, że się mażę. – Znow zatrząsł jej się podbródek. – Oprócz niej nie mam nikogo.

– Ejże – powtórzył Raul i obrysował jej twarz palcem wskazującym. – Nie jesteś sama, nawet tak nie myśl. Możesz na mnie liczyć, ilekroć coś cię trapi.

– Dziękuję, panie. – Petronela spuściła rzęsy.

Kiedy odprowadzał ją wzrokiem, zalała go dziwna fala czułości. Na dworze miał opinię kobieciarza: bywało, że nie ograniczał się do wymiany spojrzeń i przekomarzania, miał na sumieniu kilka miłostek – dość, aby stryj jego żony, pruderyjny Tybald z Szampanii, zarzucał mu rozwiązłość. Może i był rozwiązły, ale nie miał złych zamiarów; stanowiło to część jego natury, podobnie jak zgryźliwość Tybalda czy obsesyjna pobożność Ludwika. Petronela była za młoda na tego rodzaju względy. Wzbudzała ojcowskie uczucia, ale drzemiący w nim drapieznik czujnie zadzierał łeb, wietrząc okazję. W niedalekiej przyszłości dziewczyna rozkwitnie w piękną młodą kobietę, pożądaną z wielu względów. Ktokolwiek pojmie ją za żonę, zasłuży na miano prawdziwego wybrańca losu.

11

Poitiers, jesień 1138

Stojąc w wysokim oknie z widokiem na pałacowy dziedziniec, Ludwik z rozdrażnieniem omiół wzrokiem zebrany tłum. Zawodzenia kobiet i dzieci drażniły mu uszy. Zgromadzeni mieszkańcy oraz wasale zamieszani w bunt mieli zostać przez niego osądzeni; przypuszczali, że zamierza odebrać im dzieci. Był wściekły, że wyprawili do Paryża posłańca z błaganiem o wstawiennictwo Alienor, a przybycie Sugera, który uznał za stosowne się wmieszać, też wyprowadziło go z równowagi.

– Powiedziałem tak, żeby ich przestraszyć – warknął do opata przez ramię. – Myślisz, że mam czas i środki, aby rozsiać ich potomstwo po całej Francji? Niech jeszcze potrząsą portkami, a wkrótce okażę im łaskę w zamian za obietnicę poprawy. Z tej wdzięczności będą mnie po rękach całować. – Łypnął spode łba. – Jak mogłeś we mnie zwątpić?

Suger złączył dłonie czubkami palców.

– Panie, powiedziano nam, że zamierzasz wziąć zakładników,

a wiedzieliśmy, że spowodowałoby to zamieszki i wielkie poruszenie.

– Nie dasz mi wolnej ręki, co? – burknął Ludwik. – Postępujesz jak wszyscy. Próbujesz mnie ograniczać, jakbym nadal był dzieckiem, a Bóg mi świadkiem, że nie jestem.

– Zrozum, panie – zapewnił Suger ze spokojem. – Wszyscy wielcy książęta słuchają doradców. Ojciec twój słuchał, a ze świecą było szukać wśród ludzi większego od niego.

Ludwik nie znosił porównań do ojca; wiedział, że zdaniem wielu nie dorasta mu do pięt, że jest za młody.

– Bóg sam mnie wybrał i zostałem namaszczoney za Jego aprobatą – oznajmił i wyszedł na zewnątrz, by ogłosić swoje postanowienie.

Ponieważ nie miał donośnego głosu, Wilhelm, biskup Poitiers, ogłosił akt łaski z Ludwikiem i Sugerem u boku. Tłum na dziedzińcu odpowiedział wiwatami oraz okrzykami wdzięczności. Kobiety szlochały, przyciskając dzieci do piersi. Mężczyźni z ulgą obejmowali żony i synów. Ludwik patrzył na nich bez entuzjazmu. Przybycie Sugera oznaczało, że przypisano mu wszelkie zasługi, a Ludwik został zepchnięty w cień, mimo że chwała jemu się należała.

Wysłuchiwał zaklęć i obietnic mieszkańców, których dzieci wielkodusznie oszczędził, a zły humor ciążył mu niczym korona z ołowiu i przerodził się w tępy ból głowy. Gdy dziedziniec opustoszał, ruszył do swojej komnaty w nadziei na chwilę odpoczynku, lecz Suger podreptał za nim i zamknął drzwi od środka.

– Nie chciałem wcześniej cię rozpraszać – wyznał poufnym tonem. – Musisz jednak wiedzieć, że królowa nie czuła się dobrze, kiedy wyjeżdżałem.

Ludwik zaniepokojony poderwał głowę.

– Co jej dolega?

– Po mszy z okazji dnia Świętego Dionizego zaniemogła. – Suger umilkł, a następnie wziął głęboki oddech. – Panie, ze szczerym żalem donoszę, że straciła dziecko.

Ludwik podchwycił jego zasmucony wzrok i aż się wzdrygnął.

– Nie. – Z mocą potrzęsął głową. – Najświętsza Matka nas pobłogosławiła!

– Wybacz, że przynoszę złe wieści. Naprawdę, z całego serca żałuję.

– Nie wierzę!

– To prawda. Wiesz, że nie ośmieliłbym się ciebie okłamać.

W Ludwiku coś pękło, jak gdyby ktoś oburącz rozwarł mu żebra i wyciągał serce.

– Dlaczego?! – krzyknął i skulony opasał się ramionami, jakby to miało go powstrzymać od upadku. Jego doskonały świat legł w gruzach. Z nieznanym Ludwikowi pobudek Przenajświętsza Paniienka odebrała mu dar, jaki otrzymał od Niej w Le Puy. W dniu Świętego Dionizego w jego własnym opactwie – to na pewno był znak. Starał się wypełniać wolę boską i być dobrym królem, a więc

zawiniła Alienor. Lecz przecież była piękna i czysta jak kryształ. Aż go zemdliło. Suger cały ranek dusił prawdę w sobie, zanim w końcu go powiadomił.

Opat usiłował go pocieszyć, ale jego słowa brzmiały pusto i Ludwik wprost nie mógł na niego patrzeć.

– Wynoś się! – krzyknął. – Zejdź mi z oczu! – Rozejrzał się za czymś, czym mógłby rzucić, ale najbliżej stała drewniana figurka Maryi, więc chwycił ją i tylko potrząsnął Sugerowi przed nosem. – To nie powinno się wydarzyć! – załkał.

– Nie możesz, panie... – Suger urwał i odwrócił się, bo weszli posłańcy z wieścią, że wasal Alienor, Wilhelm z Lezay, odmówił złożenia hołdu i wykradł białozory książąt akwitańskich z ich terenów myśliwskich. Ptaki były symbolem dostojeństwa, władzy i męskości rządzącego rodu, więc dopuścił się zarówno zniewagi osobistej, jak również rzucił tym jawne wyzwanie.

Ludwik wyprostował się, ciężko dysząc, jakby chciał zagarnąć dla siebie całe powietrze w komnacie. Wieść dołała oliwy do ognia, gniew go zaślepił.

– Jeżeli Wilhelm z Lezay nie przybędzie i nie złoży nam hołdu – rzucił ochryplym głosem – my pójdziemy do niego. Przed śmiercią będzie pełzał przede mną i przeklinał dzień, w którym się urodził.

Alienor odpoczywała w swojej komnacie; patrzyła, jak Petronela uczy swego białego pieska Śnieżkę siadać i prosić o smakołyki. Suczka była prezentem od Raula z Vermandois.

– Czyż nie jest mądra?! – zawołała Petronela do siostry, kołysząc skrawkiem sarniny przed ruchliwym, czarnym nosem psa. Śnieżka tańczyła chwilę na tylnych łapach, po czym Petronela rzuciła jej mięso, rozpluwając się w pochwałach.

– Najmądrzejsza. – Alienor zmusiła się do uśmiechu. Minął miesiąc, odkąd straciła dziecko. Miała młode i silne ciało, toteż rychło wróciła do siebie, wciąż jednak nękała ją melancholia i napady płaczu. Wprawdzie dziecko było za małe, aby mieć duszę, ale dotkliwie odczuła tę stratę i zadręczała się poczuciem, że zawiodła.

Kapłani towarzyszyli jej w codziennej modlitwie, przyszedł też Bernard z Clairvaux z radą i wyrazami ubolewania. Wciąż budził w niej żywą niechęć, lecz świadoma jego wpływów nie śmiała otwarcie mu się przeciwstawić; nadal łączyły ich oziębłe stosunki i wciąż traktował ją jak płytką młodą kobietę, którą przy każdej okazji należy pouczyć.

Kiedy nie zostało już ani kawałka mięsa, Śnieżka ziewnęła i położyła się przy kominku. Petronela nie miała ochoty wyszywać, w rzadkim u niej przypływie wielkoduszności zaproponowała siostrze, że pomasuje jej stopy, Alienor rozluźniła się i przymknęła oczy, kiedy Petronela zsunęła z jej stóp buciki z miękkiej skórki i przystąpiła do delikatnego ugniatania. Cieszyła się chwilą bliskości z siostrą,

rzadko jej doświadczała ostatnio. Obecność Ludwika bez reszty ją pochłaniała; jego potrzeby i oczekiwania nie sprzyjały pogłębianiu więzi między dziewczętami.

Petronela westchnęła.

– Chciałabym, żeby już tak zostało – powiedziała. – Chciałabym, żebyśmy były w Poitiers.

– Ja także – odmruknęła Alienor, nie otwierając oczu.

– Myślisz, że jeszcze tam pojedziemy?

– Ależ naturalnie. – Błogość się rozwiła, lecz Alienor nie otworzyła oczu. – Teraz nie mogłyśmy, byłoby zbyt niebezpiecznie, poza tym w moim stanie... – Odsunęła tę myśl czym prędzej. – Obiecuję, że niedługo odwiedzimy Poitiers i Bordeaux, zapolujemy w Talmont...

Petroneli rozbłysły oczy.

– Będziemy brodzić w morzu i zbierać muszelki!

– Zrobię z nich naszyjnik i powieszę ci na szyi! – Alienor wybuchnęła śmiechem na myśl o minie Adelajdy, gdyby zobaczyła je wchodzące do wody w podkasanych sukniach jak dwie rybaczkę. Na wspomnienie zamku na cyplu w Talmont, złocistej plaży i migoczących fal ścisnęło ją w gardle. Spacerowała tam na pikniku z Gotfrydem z Rancon i brodziła boso po piasku.

Jej ojciec miał w Talmont tereny łowieckie, trzymał tam swe bezcenne białozory, symbole książąt akwitańskich i najdziksze ptaki drapieżne w całym świecie chrześcijańskim. Przypomniała sobie, jak stała w półmroku między stajniami z jednym z ptaków na nadgarstku; ścisnął skórzaną rękawicę ostrymi szponami, a jego oczy lśniły jak rozżarzone węgielki. Potem wyniosła go na otwartą przestrzeń, gdzie rozpostarł białe skrzydła i poderwał się do lotu z brzękiem srebrnych dzwoneczków. Czowała się wtedy panią świata.

Naraz Petronela przerwała masaż i wciągnęła powietrze.

– Alienor...

Otworzyła oczy i przez chwilę musiała przywyknąć do światła. Zdumiona ujrzała nadchodzącego Ludwika z białozorem na nadgarstku i zrazu wzięła go za wytwór wyobraźni, mając świeżo w pamięci swoje rozważania. Zerwała się na równe nogi, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Wyrwana ze snu Śnieżka swoim przeraźliwym jazgotem spłoszyła ptaka.

– Zabierz psa – warknął Ludwik i uchylił się przed bijącym skrzydłem.

Petronela porwała Śnieżkę i wyszła, obrzuciwszy szwagra jadowitym spojrzeniem.

Alienor utkwiała w nim wzrok. Odzież miał przybrudzoną i zmiętą, wyraźnie schudł, a jego rysy wyostrzyły się w nieznaną jej dotąd sposób.

– Nie wiedziałam, że wróciłeś. Nikt mnie nie uprzedził. Co robisz z moim białozorem?

– Sam chciałem ci powiedzieć. – Wyjął zza pasa rękawicę sokolniczą i jej

podał. – Twój wasal z Lezay obrócił się przeciwko tobie i wykradł ptaki. Tego znalazłem w komnacie, w której zabiłem zdrajcę. Od tamtej pory trzymam go przy sobie na dowód tego, jak daleko jestem zdolny się posunąć dla ciebie. Spójrz, wciąż ma na piórach jego krew.

Ścisnęło ją w żołądku. Dziwna aura otaczała Ludwika, jakby gotowy był dobyć miecza i kogoś nim zakłuć, tylko dlatego, że mógł. Nagle ucieszyła się, że Petronela wyszła z komnaty.

– Zabiłeś Wilhelma z Lezay? – Wsunęła palce do rękawicy.

– Nie pozostawił mi wyboru – rzucił szorstko. – Obraził mnie. Byłem łaskawy dla mieszkańców Poitiers, zatem w Talmont musiałem wykazać się surowością. – Spojrzał na nią spode łba. – Suger nie miał czego szukać w Poitiers. Świetnie sobie radziłem, jego przyjazd podważył mój autorytet. Wszyscy uważają mnie za nieudacznika i słabeusza, ale im pokazałem, pokazałem wszystkim. – Jego twarz przeciął grymas. – Wilhelm z Lezay okazał nieposłuszeństwo i znieważył nas kradzieżą białozorów. Chcesz wiedzieć, co zrobiłem?

Alienor skinęła głową, czujnie świdrując go wzrokiem.

– Ku przestrodze odrąbałem mu dłonie i stopy swoim mieczem i kazałem je przybić do wrót zamku. Niech nikt się nie waży sięgać po cudze i wodzić mnie za nos. – Miał tak rozszerzone źrenice, że jego oczy wyglądały na prawie czarne, i Alienor poczuła strach, bo nie wiedziała, do czego byłby jeszcze zdolny. To już nie był pobożny, bojaźliwy młodzieniec, lecz dziki i nieobliczalny człowiek. Wyciągnęła ku niemu dłoń w rękawiczce.

– Daj mi go – poprosiła.

Ludwik podał jej ptaka, oboje musieli uchylić się przed bijącymi skrzydłami. Alienor poczuła siłę i ciężar zwierzęcia na nadgarstku. Białozory to najwięksi, najokazalsi przedstawiciele swojego gatunku. Tylko orzeł przedni mógł się z nimi równać.

– *Suau, mea reina. Suau* – odezwała się łagodnie Alienor w południowym języku. „Uspokój się, ma królowo, uspokój”. Przemawiając czułym tonem, pogładziła miękkie, białe pióra na piersi sokoła. Powoli przestał się szamotać i przestępować z nogi na nogę, aż znieruchomiał, wczepiony szponami w rękawicę. Miał na czubku głowy brunatną plamkę, której nie zdołał dotrzeć.

Ludwik wpatrywał się w żonę i pierś mu falowała, po chwili jednak on także ochłonął i z jego oczu zniknęło szaleństwo.

– Zrobiłeś, co musiałeś zrobić – stwierdziła.

Przytaknął sztywno.

– Tak, musiałem to zrobić. – Zacisnął pięści. – Wiem od Sugera, że straciłaś dziecko.

Zalał ją żal i poczucie winy, ale zachowała opanowanie przez wzgląd na ptaka.

– Widocznie tak musiało być.

– Ponoć stało się to w dniu Świętego Dionizego – ciągnął niemal oskarżycielskim tonem. – Bóg okazał swoją dezaprobatę. Musieliśmy Mu uchybić, skoro łaska została nam odebrana. Modliłem się i odprawiłem pokutę w katedrze w Poitiers.

– Ja też się modliłam. – Myśl o zmarłym dziecku przejęła ją chłodem. Odczuwała tę stratę, jakby to jej własna życiodajna iskra zgasła. Co złego uczyniła? To pytanie ją prześladowało.

Ludwik odchrząknął.

– Usłyszałem w Poitiers z ust duchownego, że nasze małżeństwo nie zostanie pobłogosławione dziećmi, gdyż łączy nas pokrewieństwo.

Alienor spojrzała na niego z rozgoryczeniem.

– Księża często mówią z ludzkiego, nie boskiego natchnienia. Czy sam Kościół nie związał nas świętym sakramentem? Czyżby teraz chciał się z tego wycofać? – Z naciskiem wyrzekła te słowa, na co sokół rozpostarł skrzydła i zatrzepotał nimi. Alienor ponownie go uspokoiła i opanowała gniew.

– Owszem. – Na twarzy Ludwika odmalowała się ulga. – Masz bezwzględną słuszość. – Potarł czoło.

– Każę sokolnikowi zamontować tu drążek – oznajmiła.

Ludwik odetchnął i zwiesił ramiona. Zobaczyła w jego oczach znużenie i gestem nakazała mu się położyć.

– Odpocznij – powiedziała. – Rozjaśni ci się w głowie.

Padł na łoże i zasnął niemal natychmiast. Alienor popatrzyła na jego długie kończyny, jasne włosy i piękne rysy, a następnie przeniosła wzrok na La Reine, brunatne plamy na jej białym upierzeniu, i zadrżała.

Paryż, wiosna 1140

Alienor od rana nie mogła narzekać na brak zajęć: najpierw była z Ludwikiem na mszy, później odpisywała na listy z Akwitanii i przyjmowała interesantów, aż wreszcie znalazła trochę czasu dla Petroneli, która właśnie miała przymiarke.

Najpiękniejsza suknia powstała z myślą o dniu Świętej Petroneli, który przypadał na ostatni dzień maja. Uszyto ją z różowego jedwabiu, który podkreślał ciepły odcień brązowych włosów i nadawał oczom barwę leśnego miodu. Wiele mówiono o podobieństwie Petroneli do jej babki, Dangerosy z Châtellerault, ognistej piękności, która porzuciła męża i uciekła z kochankiem, Wilhelmem Dziewiątym Akwitańskim. Sam skandal dyplomatycznie przemilczano, rozmowy sprowadzały się do tego, że Petronela wyrasta na prawdziwą piękność.

Suknię wyszyto setkami perełek, do kompletu z szarfą i pierścieniami na palcach dziewczyny. Perły zdobiły również jej warkocze oraz brzeg welonu. Dla Alienor było to coś więcej niż strojenie młodszej siostry: święciła w ten sposób kobiecość Petroneli i dawała do zrozumienia, że chroni ją władza i przepych, czyniąc nietykalną. Ubiór stanowił broń i osłonę na miarę rycerskiej tarczy oraz miecza.

Petronela zaszeleściła sutą halką, ukazując kostki w jedwabnych pończoszkiach i haftowane pantofelki.

– Nasz ojciec byłby z ciebie dumny – oznajmiła Alienor.

– Żałuję, że go tu nie ma. – Uśmiech Petroneli zgasł, ale zaraz rozblęsnął na nowo, gdy jej wzrok padł na Raula z Vermandois, który właśnie stanął w progu. – I co myślisz, Raulu? – Podskoczyła ku niemu i zakręciła się w kółko.

Popatrzył na nią jak rażony gromem.

– Chyba śnię – oświadczył. – Jesteś cudną zjawą.

Petronela ze śmiechem zatańczyła wokół niego lekko jak piórko.

– Jestem żywą istotą. Sam zobacz! – I podała mu rękę.

Ujął jej palce i skłonił nad nimi głowę.

– A zatem cudną młodą damą – poprawił się z ukłonem. Wyjął zza pleców plecioną obrożę ozdobioną rzędami perełek. – Doszły mnie słuchy o pewnej nowej sukni – dorzucił. – I pomyślałem, że Śnieżka powinna pasować do swojej pani.

Petronela klasnęła w dłonie i z okrzykiem zachwytu zarzuciła mu ręce na szyję, a następnie pocałowała w policzek. Potem oderwała się od niego i pochyliła nad pieskiem, aby wymienić starą skórzaną obrożę na nową.

– Doskonale – stwierdził Raul. – Teraz wszystko do siebie pasuje. – Raz jeszcze skłonił się dwornie i wyszedł.

Alienor odprowadziła go wzrokiem, wdzięczna za jego gest. Zastępował Petroneli ojca, poświęcał jej wiele uwagi i studził zapędy młodych absztyfikantów.

Pozostawiwszy siostrę pod opieką szwaczek, Alienor ruszyła na poszukiwanie Ludwika. Ostatnio był nieobecny duchem i zamknął się w sobie, więc musiała bardzo się postarać, by zachować jego względy. Odkąd straciła dziecko, nie doszło do powtórnego poczęcia, Ludwik zaś kilkakrotnie nie sprostał zadaniu, toteż biegał do kościoła i bił się w pierś za grzech będący przyczyną jego niemocy. Udane próby również spełzły na niczym, gdyż jej comiesięczne krwawienia powracały regularnie, więc sępy krążyły nad głowami młodych, wyczekując sposobnej okazji.

Drzwi komnaty były uchylone i ze środka dobiegł podniesiony głos teściowej. Alienor się skrzywiła. Odkąd Ludwik przystał na ślub swojej siostry z dziedzicem angielskiej korony, Eustachym, Adelajda stała się wręcz nie do wytrzymania. W lutym Konstancja wyjechała do Anglii, do nowego domu. Po stracie kolejnego sojusznika, nieodłącznej towarzyszkii, a do tego jedynej córki, Adelajda snuła się po zamku jak struta i wszczyniała kłótnie.

Właśnie wierciła dziurę w brzuchu Ludwikowi, a jej głos aż świdrował w uszach.

– Nie daj się zwodzić tym, którzy odciągają cię od twego nadrzędnego obowiązku, jakim jest panowanie. Gdy pomyślę o tym wszystkim, co ojciec poświęcił dla ciebie... Twoi poprzednicy w pocie czoła wynieśli cię na tron i dźwigasz na barkach cały ich trud, marzenia i nadzieje. Nie lekceważ tego i nie czekaj, aż ktoś poniesie za ciebie ten krzyż. Słyszysz, co mówię? – Zapadła cisza i Adelajda powtórzyła pytanie ostrzejszym tonem. Rozległ się trzask, jakby rzuciła coś na stół.

– Tak, matko – odpowiedział Ludwik ze spokojem.

– Nie jestem pewna. Mam wątpliwości, czy rozumiesz, iż rządysz tym krajem dla siebie, a nie pod cudze dyktando.

– Czyje konkretnie? – zapytał Ludwik. – Podasz mi nazwiska? Pod twoje dyktando też rządzić nie będę. Widzę, jak mnie obserwujesz na obradach, jak próbujesz się wtrącać, tak jak wtrącałaś się w działania ojca. Widzę, jak patrzysz na Alienor i jej siostrę, wечно szukasz dziury w całym.

– Cóż w tym dziwnego, skoro zachowują się jak chłopczyce i depczą nasze tradycje? Uważasz je za niewiniątka, ale ja wiem swoje. Knują jak młode lisice, lecz ty tego nie widzisz, bo dajesz się wodzić za nos! Ja się w ogóle nie liczę. Nie okazują mi należytego szacunku, a pieniądze przeciekają im przez palce jak woda. Czy ty masz pojęcie, ile kosztują suknie dla młodszej? Same perły starczyłyby na utrzymanie zakonu! I czy wiesz, ile twoja żona wydaje na wonną oliwę do lamp?

– I ty nie szukasz dziury w całym? Znam gorsze przewinienia. Alienor mnie kocha, do czego ty nigdy nie byłaś zdolna.

– Robi z ciebie głupca!

– A ty mnie za niego bierzesz – odparował.

– W tym wypadku owszem, i bardzo nad tym boleję. Ale niechaj tak będzie. Umywam ręce. Tylko nie wracaj do mnie z płaczem, kiedy twój świat legnie w gruzach.

Adelajda wypadła z pokoju i Alienor cofnęła się o krok.

– Szpiegujesz przez dziurkę od klucza? – zapytała ze wzgardą starsza kobieta. – To do ciebie podobne.

Alienor dygnęła.

– Pani – odrzekła obojętnie.

– Zdaje ci się, że wygrałaś – wyszczała tamta. – Ale o niczym nie masz pojęcia. Całe życie harowałam dla Francji. Byłam żoną jednego króla i matką drugiego, i spójrz, na co mi przyszło. Doświadczysz podobnego upadku, moja mała, bo wszystko to nicość. Przekazuję ci moją garść prochu. Weź ją i zasiej na swojej ziemi, która nie wyda żadnych plonów. Ja tu skończyłam.

I już jej nie było. Alienor zaczerpnęła tchu, zebrała się w sobie i podeszła do męża.

– Szukałam cię – oznajmiła. – Nie wiedziałam, że jesteś zajęty.

Wykrzywił wargi.

– Słyszałaś, co mówiła?

Alienor potwierdziła.

– Uczepiła się tronu i nie chce puścić. Moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby na razie wyjechała do swoich posiadłości. – Oparła mu dłoń na ramieniu. – Przykro mi, że ma o nas złe mniemanie. W niczym jej nie uchybiłyśmy. Nie jest sobą, odkąd twoja siostra wyjechała do Anglii.

– Mojej matce nigdy nie dogodzisz. – Jego oczy pociemniały z bólu. Utkwił w niej twarde spojrzenie. – Czy ona ma rację, Alienor? Robisz ze mnie głupca?

– Wiesz, że to nieprawda.

– Niczego już nie jestem pewien. – Przyciągnął ją do siebie, zamknął w uścisku i obsypał niezdarnymi pocałunkami. Alienor aż zaniemówiła na taką napaść, ale nie zważając na to, popchnął ją na łożo i wziął siłą, w biały dzień i w ubraniu. Opętanym szalem napierał na nią i zanosił się przy tym od płaczu, jakby dawał upust całej swojej frustracji w nagłym przypiływie żądz – jakby przelewał na nią wszystkie złe emocje i chciał przywrócić przez to równowagę we własnym świecie.

Po wszystkim porzucił ją na łożu i udał się na modlitwę. Przewróciwszy się na bok, objęła ramionami i wbiła wzrok w ścianę, wykorzystana i obolała.

Ludwik rozejrzał się po dawnej komnacie matki, która opuściła dwór przed blisko dwoma miesiącami. Alienor kazała otynkować ściany fryzem delikatnych zawijasów w odcieniach czerwieni oraz zieleni, a następnie ozdobiła je barwnymi gobelinami, z przepychem, ale w granicach dobrego smaku. Wykusze wyściełano poduszkami wyszywanymi złotą nicią, a na stołach ustawiono wazony ze świeżymi kwiatami. Zapach lilii i róż uderzał do głowy.

– Widzę, że nie próżnowałaś – stwierdził Ludwik.

– Podoba ci się?

Potwierdził z wahaniem.

– Bardzo się zmieniło. To już nie jest komnata mojej matki.

– To prawda. Łaknęła powietrza i światła.

Ludwik podszedł do okna i wyjrzał na błękitne niebo.

Alienor nie spuszczała z niego wzroku. Adelajda i pan Montmorency ogłosili swoje zaręczyny. Nowina nie zdziwiła nikogo na dworze, jednakże Ludwik jak dotąd nie przyswoił sobie faktu, że matka na drugiego męża wybrała człowieka niższego stanu. Jakby wszystko, co się dotąd liczyło, nagle straciło ważność – bądź ustąpiło pola na rzecz czegoś innego.

– Mianuję go konstabłem Francji – oznajmił, po czym podniósł poduszkę i obejrzał haft. – Tak będzie najlepiej.

Alienor przytaknęła. Było to honorowe wyjście z sytuacji, dzięki któremu Adelajda zachowa twarz w oczach rodziny.

– Musi być do niego bardzo przywiązana – stwierdziła.

Ludwik odchrząknął.

– Ma go na każde skinienie. Nigdy nie wstąpiłaby do zakonu, a mąż zapewni jej zajęcie.

Alienor nie kryła zadowolenia z takiego obrotu spraw. Przynajmniej teściowa nie będzie się wtrącać w sprawy dworu. Niech sobie siedzą na tej prowincji jak najdłużej.

Podeszła do męża.

– Zastanawiałeś się może nad sytuacją w Bourges?

– Co masz na myśli?

Zachowała spokój.

– Arcybiskupa Alberica. Siły go opuszczają, po jego śmierci trzeba będzie wybrać nowego arcybiskupa.

Ludwik niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Wybiorą, kogo im wskażę. Decyzja należy do mnie.

– Ale czyż nie byłoby roztropnie przedstawić im nowego kandydata jeszcze za życia Alberica? Wiem, że bierzesz pod uwagę kanclerza Cadurca.

Wydął nozdrza.

– Zajmę się tym w swoim czasie. Wybiorą, kogo im wskażę.

Dostrzegła upór na jego twarzy i westchnęła w duchu. Jak na człowieka, który przestrzegał w życiu sztywnych zasad, Ludwik miał dar do komplikowania ponad miarę najprostszycy spraw. Naciskiem nic u niego nie wskóra. Władza króla była absolutna i na tym koniec.

Paryż, wiosna 1141

Tuluza – powiedziała Alienor do Ludwika. – Należała do Filipy, mojej babki od strony ojca, ale wpadła w ręce uzurpatorów, którzy siłą wywalczyli do niej prawo. Gdyby żył mój ojciec, zabiegałby o przywrócenie jej naszej rodzinie.

Była późna noc, siedzieli z Ludwikiem na łóżku, pili wino i rozmawiali w blasku lampki zapachowej. Okoliczności sprzyjały staraniom o dziecko, nie był to dzień święty ani zakazany, Alienor nie miała miesiączki. Wszyscy pragnęli usłyszeć, że im się udało, wiedziała jednak, że te oczekiwania wzmagają w Ludwiku lęk przed porażką. Był zdania, że współzycie to grzech, i że działają wbrew woli Boga, który za karę nie dopuszcza do poczęcia. Teraz też wyczuwała jego napięcie.

– Urodził się w Tuluzie – dodała. – Ale ja nigdy jej nie widziałam.

– Dlaczego teraz o tym mówisz?

Odstawiła wino i pochyliła się w stronę męża.

– Bo zbyt długo zwlekałam. I muszę jechać do Akwitanii, z tym także czekałam zbyt długo.

– Źle ci w Paryżu?

Alienor w porę ugryzła się w język, w przeciwnym razie wyznałaby mu, że w Paryżu czuje się jak na wygnaniu z ciepłych, południowych ziem swojego dzieciństwa. Po wyjeździe Adelajdy wreszcie się rozgościła, umeblowała komnaty wedle własnego uznania i efekt nawet przypadł jej do gustu. Gwarty i postępowy Paryż poruszał zmysły i inspirował, ale nie był domem i do niej nie należał.

– Francja to kraj mojego małżeństwa – wybrnęła gładko. – Akwitania to moja ziemia ojczysta i włości, więc muszę tam jeździć. – Przeciągnęła po wargach koniec warkocza. – Pomyśl, jak wyruszysz na czele armii na podbój Tuluzy. Pomyśl, jaką to przyniesie ci chwałę. Pokażesz, kto tu rządzi, i naprawisz wyrządzone krzywdy.

Wizja wzbudziła w nim dreszcz pożądania: usłyszał brzęk uprzęży i poczuł rytmiczne kołysanie konia pod sobą. Wyobraził sobie Alienor u swego boku, z La Reimą na nadgarstku. Pomyślał o obozowaniu pod gwiazdami wśród niesionych letnim wiatrem zapachów łąk i dopisaniu Tuluzy do listy swoich podbojów, pokazaniu wszystkim, nie tylko żonie, jaki zeń król i waleczny wojownik.

Obsypała pocałunkami jego szyję i obojczyk, musnęła skórę czubkiem języka.

– Zgódź się, Ludwiku – szepnęła, a jej oddech połaskotał go w ucho. –

Zgódź się, proszę. Dla mnie. Zrób to dla mnie... i dla kraju.

Przymknął oczy, rozkoszując się erotyczną treścią jej słów i motylim dotykiem ust. Jego męskość stwardniała. Odepchnął Alienor z jękiem i wszedł z mocą między jej rozrzucone nogi.

– Niech ci będzie – wykrztusił. – Zrobię to. Jeszcze zobaczysz, na co stać Francję! – I eksplodował, rozpalony wizją bohaterskich czynów na życzenie żony, którą właśnie przemocą posiadł.

Południowe słońce muskało twarz Alienor, która czuła się, jakby wróciła z wygnania. Oprócz krótkiej wizyty w Le Puy nie widziała Akwitanii cztery lata i powrót był wytchnieniem jak deszcz po długiej suszy. Czuła, że odzyskuje siły. Znow mogła się śmiać i rozkwitła na nowo.

W Poitiers przetańczyła przez pałacowe komnaty, aż jej suknia wirowała.

– Dom! – Chwyciła Petronelę w objęcia. – Jesteśmy w domu! – I wiedziała, że gdyby to od niej zależało, zostałyaby tu na zawsze i bywała w Paryżu jedynie z obowiązku.

Jej wasale przyłączyli się do Ludwika na czas kampanii przeciwko Tuluzie, wśród nich znajdował się Gotfryd z Rancon, który skrzyknął ludzi z Taillebourga, Vivant i Gençay. Gdy ukląkł przed Alienor i Ludwikiem, serce zabiło jej mocniej, jak zawsze w jego obecności, czas i odległość niczego nie zmieniły.

Był uprzejmy wobec Ludwika i bez reszty zaangażowany w przygotowania armii do wymarszu na Tuluzę. Doszło między nimi do serdecznej, rzeczowej wymiany zdań; ich komitywa wzbudziła wrogość i dezaprobatę części baronów z Północy.

Kiedy nadarzyła się sposobność rozmowy z królową, odniósł się do niej z taką samą życzliwością, lecz wyczuła między nimi napięcie, jakby stali tuż nad podziemną rwącą rzeką, z której istnienia tylko oni zdawali sobie sprawę.

– Król uczynił mi zaszczyt i wyznaczył mnie na swego chorążego – oznajmił Gotfryd z dumą.

– Wie, że może liczyć na moich wasali – odrzekła. – Człowiek twego pokroju ma pełne prawo na tym skorzystać.

– Niektórym to nie w smak – stwierdził z rozgoryczeniem. – Powodzenie zawsze rodzi zawiść. Cieszę się, że mogę się przysłużyć tobie i królowi, pani.

Pierwszego wieczoru zabawiał ich trubadur wysokiego rodu, Jaufre Rudel, syn kasztelana z Blaye; po tym jak odśpiewał obowiązkowe pieśni wojenne i ballady, uderzył w smętną nutę i wykonał utwór o niespełnionej miłości i tęsknocie.

Niechaj Pan sprawi, że miłość swą ujrzę,

Co przebywa w oddali. Los nas rozdzielił,

I serce z tęsknoty łka, bo daleko, tak daleko,

Mieszka miła ma, gdzie, ach, gdzież jej szukać mam?

Wstanę i pójdę w świat, może kiedyś zobaczę

Strudzonego wędrowca w jej pięknych oczach!

Alienor poczuła ucisk w gardle. Zerknęła na Gotfryda; wymienili przelotne spojrzenia i na jedną krótką chwilę rzeka u ich stóp zawrzała i wezbrała.

Kiedyś ganiała się z nim w pałacowych ogrodach i ze śmiechem mu umykała. Jeździła z nim na polowania, śpiewali razem pieśni i tańczyli. Ćwiczyła z nim słodką sztukę flirtu ze świadomością, że jest bezpieczna, bo z jego strony nic jej nie grozi. Był radością jej dzieciństwa, obiektem westchnień, kiedy stawiała się kobietą. Tamto należało do przeszłości, ale pociąg i wspomnienia pozostały. Pragnęła wzniesć z nich most nad przepaścią, która ich rozdzieliła, ale nie mogła, przez wzgląd na nich oboje. Już nigdy nie będzie z nim flirtowała, gdyż ten jeden flirt byłby podszyty prawdziwym uczuciem.

Następnego ranka rozochocony wizją podbicia Tuluzy Ludwik wyruszył z Poitiers na czele własnego francuskiego oddziału oraz wojsk wasali, którzy stawili się na wezwanie. Pozostali mieli na niego czekać po drodze. Alienor, z diademem Akwitanii na głowie, objęła go na pożegnanie, a gdy dosiadł konia, podała mu tarczę.

– Bóg z tobą – powiedziała. Kątem oka dostrzegła Gotfryda z chorągwią Ludwika, obok zaś orła Akwitanii. Spoglądał na wprost z zaciśniętymi zębami. – Z wami wszystkimi – dodała.

– Przyniosę ci w darze Tuluzę, jeśli taka będzie wola Boga – zapewnił Ludwik.

Alienor cofnęła się i zasiadła na ojcowskim tronie, który wyniesiono z pałacu i umieszczono na podeście pod baldachimem z jedwabiu. Wzięła od sokolnika rękawicę i posadziła sobie La Reinę na nadgarstku. W lewej dłoni trzymała wysadzone klejnotami berło zwieńczone wizerunkiem gołębic. Przewodnicząc ceremonii jako księżna Akwitanii, odprowadziła wzrokiem śmiały, barwny pochód. Ludwik był w swoim żywiole, pewny siebie i przystojny jak nigdy. Serce wezbrało jej dumą z niego i z mężczyzny, który z siodła skłonił się królowej i wyprowadził chorągwie.

Poitiers, lato 1141

Ludwik powrócił do Poitiers ze swej kampanii tak, jak na nią wyruszył, z błyskiem upręży i wśród powiewających proporców, z wieścią, że zawarł rozejm z Alfonsem Jordanem, hrabią Tuluzy, na mocy którego ten drugi miał zachować miasto w zamian za hołd złożony francuskiej koronie. Próby podboju speliły na niczym, podobnie jak wysiłki mające na celu skuteczne oblężenie miasta. Wskórał jedynie rozejm i obietnicę posłuszeństwa.

– Miałem za mało ludzi – obwieścił żonie, kiedy sługa ukląkł przed nim, żeby zdjąć mu buty i obmyć stopy. – Za mało wojsk i oręża.

– Zawinił temu głównie hrabia Szampanii – wtrącił Raul z Vermandois, obecny przy tej rozmowie jako doradca. – Dwukrotnie odmówił ci wsparcia, panie. Z jego armią, nie mam wątpliwości, Tuluza byłaby nasza. – Napił się wina z kielicha, który podała mu Petronela.

Alienor przeniosła wzrok na męża.

– Tybald z Szampanii nie odpowiedział na twoje wezwanie? – Liczono na jego obecność, ale najwidoczniej się nie wywiązał.

Ludwik skrzywił się z niesmakiem.

– Przysłał posłańca z wiadomością, że się nie stawi, ponieważ wojna z Tuluzą wykracza poza zakres jego zobowiązań wobec mnie, a poza tym nie szuka waśni z jej hrabią.

Alienor odprawiła służącego i sama zajęła się myciem nóg, bo lepiej słuchać z pochyloną głową i bez świadków. Tybald z Szampanii wyraźnie działał według własnego zamysłu. Podważył autorytet Ludwika na korzyść własnego, a ponieważ był wpływowym, zamożnym i spokrewnionym z rodziną królewską, stanowił poważne niebezpieczeństwo. W Tuluzie nie powiodło się po części przez niego. Uzyskali tylko rozejm i hołd bez pokrycia.

– Nie daruję temu lisowi – warknął Ludwik. – Dostanie nauczkę, kiedy wrócimy do Francji.

– Ale nie zapomnisz o Tuluzie?

Rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

– Nie – uciał.

Jego ton zniechęcał do dalszej rozmowy, więc Alienor postanowiła poczekać na lepszą okazję, przy tym chciała przekonać męża do przedłużenia pobytu w Akwitanii. Nie mogła znieść myśli o powrocie do Paryża.

– Zostało wiele do zrobienia, z korzyścią dla naszych relacji z poddanymi

i Kościołem.

Ludwik odpowiedział niezobowiązującym pomrukiem.

Raul odchrząknął.

– Wzywają mnie pilne sprawy, jeśli wasza wysokość pozwoli.

Król odprawił go ruchem ręki. Alienor spojrzała znacząco na Petronełę, która uniosła brwi i zrazu udawała, że nie rozumiała, lecz w końcu dygnęła i wyszła z komnaty, zabierając ze sobą służące.

Alienor delikatnie osuszyła stopy Ludwika płótnem.

– Poczyła pewne plany, na wypadek gdybyś nie wezwał mnie na triumfalną ucztę w Tuluzie.

Znieruchomiał.

– Spodziewałaś się mojej porażki?

– Ojciec mawiał, iż roztropnie jest chować w zanadrzu drugi plan, w razie niepowodzenia pierwszego, na przykład odzież na zmianę na wypadek deszczu. – Odłożyła ręcznik i usiadła mężowi na kolanach.

– I co wymyśliłaś? – Otoczył ramieniem jej kibić.

– Pomyślałam, że moglibyśmy najpierw udać się do Saint-Jean-d'Angély i pomodlić przy relikwiach Jana Chrzciciela. A później do Niort, by sprawować sądy. Chciałabym też nadać królewski status kościołowi w Nieuil, gdzie pochowano moją matkę, a następnie wyprawilibyśmy się do Talmont na polowanie. – Pogłaskała go po twarzy. – Zgadzasz się?

Zmarszczył brwi z niechęcią.

– Talmont?

– Winniśmy pokojowo umocnić tam nasze panowanie ze względu na wcześniejsze zajścia.

– Chyba masz rację – przyznał, nadal posępny. – Ale obyśmy się nie zasiedzieli.

Zmilczała tę uwagę, bo wiedziała już, kiedy go naciskać, a kiedy dać spokój. Zyskała jego zgodę. Tymczasem niczego więcej nie potrzebowała.

Alienor jeździła po swych rozległych ziemiach z Ludwikiem u boku. Wysłuchiwali skarg, rozstrzygali spory i przyjmowali wasali, zawsze z zastrzeżeniem, że dokumenty podpisane przez króla opatrywano dopiskiem „za zgodą i w obecności królowej Alienor”.

Wielkim przeżyciem była dla niej wizyta na grobach matki Aenor i brata Aigreta w Saint-Vincent. Wraz z Petronełą złożyły kwiaty na prostych płytach z wyrytymi krzyżami i wzięły udział w uroczystej mszy w intencji zmarłych. Zgodnie z życzeniem Alienor, kościołowi nadano status królewskiego opactwa.

Wczesnym wieczorem wróciła na groby i chwilę dumiała w samotności. Jej

towarzyszki stały w oddaleniu, ze spuszczoneymi głowami, aby zapewnić jej intymność. Wspomnienie matki wyblakło i rozmyło się z czasem. W chwili jej śmierci Alienor miała zaledwie sześć lat; zapamiętała jedynie ulotny zapach lawendy i brązowy odcień matczynych włosów, tak długich, że córka bez trudu sięgała grubych warkoczy. To oraz cichą aurę melancholii, splecioną z nią nierozzerwalnie. Brata pamiętała jeszcze słabiej; ot, mgliste wrażenie brzdąca, który dokazywał po zamku z zabawkowym mieczem, wrzeszczał i wzbudzał zamieszanie ku ogólnej uciechu, bo był dziedzicem. Zapłonął jak iskra i zgasł szybko, strawiony gorączką. Umarł, ledwie rozpoczynając życie. Zapewniła obojgu godne miejsce spoczynku i stałą modlitwę za ich nieśmiertelne dusze. Wypełniła swoją powinność. Amen. Przeżegnała się i odwróciła do wyjścia.

– Pani?

Gotfryd z Rancon podszedł bezszelestnie i stał między nią a dwórkami.

Serce podskoczyło jej w piersi.

– Coś się stało?

– Nie, zauważyłem tylko, że idziesz w tę stronę, kiedy zaglądałem do wartowników. Jeśli mam odejść...

Potrząsnęła głową i wskazała na groby.

– Ledwie ich pamiętam, a wciąż boleję po stracie. Jak potoczyłyby się moje losy, gdyby żyli?

Musnął płaszczem jej rękaw.

– Nauczyłem się tak nie myśleć po stracie Burgundii i dziecka w jej łonie – odpowiedział. – To nie prowadzi do niczego dobrego.

Boleśnie ścisnęło ją w gardle. Zapewne wiedział, że nie to miała na myśli. Gdyby nie śmierć brata, nie musiałaby poślubić Ludwika, śmierć matki zaś ostatecznie przekreśliła szanse na drugiego męskiego potomka. I to o wszystkim przesądziło.

– Twoja matka była wspaniałą kobietą, pani, niech spoczywa w pokoju wraz z twym bratem. Chwalebnie, że uhonorowałaś ich mogiły.

– Tak – odrzekła. – Bardzo mi na tym zależało.

Nie było między nimi takiej bliskości, odkąd wrócił po nieudanej kampanii w Tuluzie. Widywała go prawie codziennie, lecz zawsze przy świadkach i w związku z piastowanym przezeń stanowiskiem. Skrzętnie unikali chwil na osobności, ich rozmowy zaś na ogół miały oficjalny charakter, przez wzgląd na obserwatorów, lecz podziemna rzeka huczała w najlepsze. Alienor nie wierzyła ani przez moment, że dzisiejsze spotkanie było jedynie dziełem przypadku.

Gotfryd odchrząknął.

– Pani, proszę cię o zgodę na powrót do Taillebourga. Moja ziemia wymaga troski, a przy tym trzy miesiące nie widziałem dzieci.

Poczuła, jakby wbił jej nóż w serce.

– Zostałbyś, gdybym o to poprosiła?
– Postąpię wedle twego życzenia, lecz wiem, co uznałbym za rozsądne.
– Rozsądek – powtórzyła z gorzkim uśmiechem. Nadciągał zmierzch, cienie stopniowo wypierały światło. – Cóż poczęlibyśmy bez niego? Masz moją zgodę.
– Pani – odpowiedział. Pod osłoną płaszcza ucisnął jej dłoń i odszedł żwawym krokiem ku drzwiom. Alienor wróciła do kobiet, wciąż czując na palcach jego dotyk.

Dwór spędził w Talmont trzy dni; właśnie szykowano wyprawę na polowanie, gdy nadeszła wiadomość, że Alberic, arcybiskup Bourges, w końcu dokonał żywota.

– Świeć, Panie, nad jego duszą. – Alienor przeżegnała się i spojrzała na Ludwika. – Spodziewam się, że wyznaczysz na jego miejsce Cadurca.

– Naturalnie – odrzekł. – Cadurc wiernie mi służył i zasługuje na awans. Jest najlepszym kandydatem do tego zadania.

– I dobrze mieć kogoś oddanego Koronie – uzupełniła. Stwierdziła, że zajmą się tym później, na zgromadzeniu rady. Teraz czekał ją dzień pełen przyjemności.

Petronela leżała na jedwabnej poduszce w cieniu kasztanowca. Słońce przeświecało przez ciężkie listowie i konary obwieszane kiśćmi zielonych, kłujących pancerzy, które za miesiąc uwolnią lśniące, brązowe orzechy, w sam raz do pieczenia na ogniu albo zrobienia pysznego deseru. Petronela ubóstwiała sezon na kasztany i miała nadzieję, że do tego czasu zostaną w Poitou.

Towarzystwo polowało cały ranek w lasach Talmont i właśnie zrobiło sobie przerwę, aby posilić się i odpocząć w wyznaczonym miejscu, gdzie służba rozpałała ogniska i rozłożyła w cieniu poduszki oraz koce. Wszyscy korzystali z chwili wytchnienia, popijali wino schłodzone w pobliskim strumieniu i raczyli się przysmakami: świeżą rybą złowioną w zatoce za murami zamku, korzennym plac-kciem, wyśmienitymi serami i daktylami z migdałowym nadzieniem. Sokoły, w tym białożór Alienor, La Reina, przycupnęły na swoich żerdziach i odpoczywały z główkami wsuniętymi pod skrzydła.

Muzykanci przygrywali na lutniach i harfach, śpiewając pieśni o bohaterskich czynach, śmiałych łowach i nieodwzajemnionej miłości. Jeden z nich, młody trubadur o złotych lokach i pięknych niebieskich oczach, od dłuższego czasu zerkał na Petronelę, a ona flirtowała w najlepsze, udając zainteresowaną, lecz niedostępną damę wysokiego rodu. Było to śmiałe zachowanie, lecz nie dbała o konwenanse, bawiła się doskonale. Alienor była zbyt pochłonięta własnymi troskami, aby poświęcić siostrze uwagę, której dziewczyna

łaknęła. Młodzi rycerze z królewskiego orszaku nie byli obojętni na jej powaby, a wzrok muzykanta wyrażał najwyższe uznanie. Może pośle mu ukradkiem jakąś pamiątkę – na przykład haftowaną chustkę albo złoty paciorek z sukni. Jeśli ją najdzie fantazja, da się przyłapać Raulowi z Vermandois, co zapewniłoby jej także jego uwagę oraz upragniony dreszczyk emocji. Przysnęła, ukołysana szumem wiatru wśród liści i szeptem palców trubadura na strunach lutni.

– Oto słodycz dla pani słodszej od samego miodu – wyszeptał męski głos, po czym coś gęstego i lepkiego dotknęło jej warg. Petronela otworzyła oczy i wciągnęła powietrze. Raul pochylał się nad nią i miodem z garnuszka kapał jej prosto do ust.

Oblizawszy się, usiadła i trzepnęła go figlarnie.

– Zawsze tak nachodzisz śpiące damy, panie?

Raul się zaśmiał i uniósł brew.

– Damy, które nachodzę, na ogół nie śpią – odpowiedział. – A jeśli tak, to bardzo szybko się budzą. – Musnął palcem wskazującym czubek jej nosa. – Przyniosłem ci miód, póki coś jeszcze się uchowało. Te łasuchy zaraz wszystko pożrą. Oczywiście jeśli nie chcesz, tym lepiej dla nich. – Wskazał na pozostałych biesiadników, którzy kończyli ucztę owocami maczanymi w miodzie.

Petronela wzięła od niego garnuszek, zanurzyła w nim palec i zlizwała miód. Następnie ponowiła czynność, ale tym razem wpakowała palec jemu do ust. Raul mruknął z rozbawieniem, po czym ją zlizywał miód delikatnymi muśnięciami języka, aż ciarki przeszły jej po plecach i zapomniała o młodych rycerzach i trubadurze. Nikt się nie zorientował, bo trzymała palec w jego ustach.

– Do czysta – oznajmił, odsuwając jej dłoń od swoich ust.

Obrzuciła go kokieterijnym spojrzeniem.

– Jeszcze? – zapytała.

– Oto jest pytanie. – Roześmiał się cicho. – Nie sposób igrać z ogniem i się nie poparzyć, sama dobrze wiesz. – Spojrzał na nią badawczo. – Sporo wody w rzece upłynęło, odkąd byłaś przestraszona dziewczynką w Bordeaux, która łypała podejrzliwie na dziwnych Francuzów... zwłaszcza na mnie. – Wskazał na przepaskę na oku.

– Francuzi nadal budzą moją podejrzliwość – odparła Petronela. – I wciąż uważam ich za dziwnych.

– Wzbudzam w tobie podejrzenia? Czyż zawsze nie miałem na uwadze twojego dobra?

– A skąd miałabym to wiedzieć, mój panie? Może dbasz o własną korzyść.

– Gdy o ciebie chodzi, na pewno. Nie sposób tego inaczej nazwać. – Palcem wskazującym prawej dłoni przejechał jej delikatnie po policzku. – Przypominasz starym wydze, jak to jest być żywym i młodym.

Trubadur zaintonował kolejną pieśń. Petronela zmieniła pozycję i zamiast na

poduszce, oparła się o ramię i pierś Raula.

– Nie jesteś dla mnie za stary – zaproponowała. – Młodzi rycerze i pазie są jak dzieci, ale ty jesteś mężczyzną... a ja nie jestem już małą dziewczynką.

Nie odpowiedział, więc odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Nie jestem! – podkreśliła.

– W rzeczy samej – przytaknął z uśmiechem, choć nie bez żalu. – Jesteś prześliczną młodą kobietą, a ja pszczołą pijaną nektarem.

– Jak straciłeś oko? – Wyciągnęła rękę i obrysowała palcem kontur przepaski.

Wzruszył ramionami.

– W czasie oblężenia. Trafił mnie odłamek skały, to wystarczyło.

– Boli?

– Czasami. Początkowo zmogła mnie gorączka i ból, ale wytrzymałem, bo cóż innego mi pozostawało? Nie zwykłem mizdrzyć się przed zwierciadłem. Wygląd i przyodziewek rzecz ważna, lecz blizna po ranie odniesionej w boju nie przynosi mi ujmy, nie przeszkadza w czasie wojaczki ani na dworze. A ponieważ nie walczę już w pierwszym szeregu, brak jednego oka mi nie wadzi.

Spodobało jej się, że rozmawia z nią jak z dorosłą, a bliskość jego silnego ciała sprawiła jej przyjemność. Niezawodnie poprawiał jej humor, umiał ją rozśmieszyć i rozproszyć troski. Zrazu traktowała go jak przybranego ojca, z czasem jednak doceniła jego urok. Wprawdzie miał żonę, ale daleko, więc się nie liczyła; ba, przydawało to jedynie smaczku całej sytuacji.

Zasłoniła ręką jedno oko i spróbowała to sobie wyobrazić. Raul obserwował ją z uśmiechem.

– A teraz wyobraź sobie, że tak jest cały czas – rzucił z nutką uszczypliwości.

– Wybacz – powiedziała ze skrucą. – Nie chciałam tego bagatelizować.

– Wiem, *doucette*, lecz nie pojmujesz wielu spraw, które mnie dotyczą.

– Mogłabym spróbować, gdybyś zechciał mi je wyjaśnić.

– Niewykluczone. – Wstał i odszedł do innych. Petronela poczuła ssanie w dołku i naszała ją obawa, że uraziła go swą nieczułością. Przystawał to tu, to tam, zagadywał, śmiał się z żartów i sam żartował, lecz nie wrócił do niej. Zachowywał się swobodnie, z każdym znalazł wspólny język. Czas odcisnął może piętno na jego twarzy, lecz nie pozbawił wdzięku, a ciało zachowało młodzieńczy wigor.

Młody rycerz usiadł obok i rozmyślnie flirtowała, obserwując przy tym Raula kątem oka. Co rusz z rozbawioną miną zerkał w jej stronę, lecz kontynuował swój obchód.

Dwór zaczął szykować się do powrotu, więc Petronela podeszła do swojej kłaczy, lecz cofnęła się ze zmarszczonymi brwiami, gdy stajenny chciał ją podsadzić.

– Ona kuleje na przednią nogę – oznajmiła, wskazując palcem. – Chyba nie powinnam jej dosiadać.

Stajenny przejechał ręką po nodze konia, po czym obejrzał kopyto od spodu.

– Na moje oko nic jej nie dolega.

– Zapewniam cię, że okulała – powtórzyła niecierpliwie Petronela. – Śmiesz się ze mną spierać?

– Nie, pani. – Wbił wzrok w swoje stopy.

– Co się stało? – Podjechała Alienor z La Reiną na nadgarstku.

– Stella kuleje – oświadczyła Petronela. – Muszę usiąść za kimś.

Alienor uniosła brwi.

– Dobrze wiem, co knujesz – stwierdziła. – Może po tobie tego nie widać, ale nie da się tego powiedzieć o Aimerym z Niort. – Zerknęła w stronę młodego rycerza, który z zadowoloną i wyczekującą miną czekał już w gotowości.

– Lady Petronela może pojechać ze mną – zaproponował Raul. – Barnaba na swoim szerokim grzbiecie z łatwością uniesie nas oboje.

Alienor posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Dziękuję. – „Odechce się Petroneli głupich pomysłów”, pomyślała. Aimery z Niort wycofał się, pokonany.

Petronela spuściła głowę, lecz łypnęła triumfalnie na Raula, z dłońmi splecionymi na plecach jak niegrzeczne dziecko.

Raul potrząsnął głową.

– Mam nadzieję, że Stella wydobrzeje.

– To z pewnością nic poważnego, a z tobą będę bezpieczna, wszak jesteś doskonałym jeźdźcem.

Usta mu drgnęły.

– Mam wprawę.

Stajenny przytrzymał siwka, a Raul podsadził Petronelę, po czym zasiadł z przodu i chwycił wodze. Petronela objęła go w pasie, czując pod palcami silne mięśnie. Wyobraziła sobie dotyk jego skóry. Znajdowała się blisko, lecz ona pragnęła jeszcze bliżej. W nim... i poczuć go w sobie.

Talmont, lato 1141

Alienor poczuła znajomy skurcz w dole brzucha, a strużka krwi między udami świadczyła, że starania o dziecko nie powiodły się po raz kolejny. Poprosiła Floretę o miękkie gałganki, których używała przy takich okazjach, i udawała, że nie dostrzega litości w oczach kobiety.

Znów musi oznajmić Ludwikowi, że nie jest brzemienna. Jego odwiedziny w sypialni były jednak tak przypadkowe i zależne od dozwolonej pory, iż szanse na powodzenie niemalże równały się zeru. Skąd dziecko, jeśli nie ma nasienia?

Ból dawał się we znaki, lecz nie zwykła się nad sobą uzalać, więc usiadła z robótką przy oknie. Ledwie zdążyła sięgnąć po igłę, kiedy wpadł rozplómoniony Ludwik. W oczach błyszczą mu łzy wściekłości.

– Sprzeciwili mi się! – warknął. – Jak śmieli?

– Kto się sprzeciwił? – Alienor odłożyła robótkę i spojrzała na niego z niepokojem.

– Mnisi z kapituły w Bourges. – Potrząsnął listem, który trzymał w zaciśniętej pięści. – Odrzucili kandydaturę Cadurca i wybrali własnego arcybiskupa, niejakiego Piotra z Châtre. Ośmielili się zakwestionować wolę i prawo króla, wybrańca Bożego! Tak okazują wdzięczność za moją lojalność wobec Kościoła?

Alienor poprowadziła go do wnęki okiennej, nakłoniła, by usiadł, i napełniła jego kielich winem.

– Spokojnie – powiedziała. – Ich kandydat nie został jeszcze konsekrowany.

– I nie zostanie! – Ludwik porwał kielich i wychylił do dna. – Nie pozwolę, aby ci szubrawcy postawili na swoim. To moje prawo i nikt mi go nie odbierze. Przysięgam na Świętego Dionizego, że nie ustąpię.

– Wiedziałam, że do tego dojdzie. – Zaciśnęła usta. Prosiła, by pojechał do Bourges i jasno wyraził swoje zdanie, lecz on w swej naiwności był pewien, że tamci dostosują się na odległość.

– Napiszę do papieża, by potępił ich wybór, i nie wpuszczę Piotra z Châtre do Bourges.

– Papież Innocenty jest zwolennikiem wolnego wyboru prałatów – przypomniła. – Bardzo możliwe, że podtrzyma ich decyzję.

– Nic mnie to nie obchodzi. Obcy mnich nie zostanie moim arcybiskupem. Będę bronił swojego prawa do wyznaczania duchowieństwa w moim królestwie, póki sił mi starczy! – Ludwik zgniótł pergamin i cisnął nim o ścianę.

– Powinieneś napisać do papieża w duchu pojednawczym – upomniała.
– Napiszę, gdy uznam za stosowne. Nie jestem sprawcą tego zamieszania. –
Zerwał się na równe nogi.

– Mam krwawienie miesięczne. – Woląa mieć to z głowy.
– Dlaczego wszystko jest takie trudne?! – Ludwik wydał z siebie jęk frustracji. – Co ja uczyniłem złego, że wszystko i wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie? Usiłuję wieść przykładowy żywot i co z tego mam? Niesfornych klechów i bezpłodną żonę! – Wypadł z komnaty, kopnąwszy po drodze stołek.

Alienor oparła pulsującą głowę o chłodny kamień wykuszu. Nie doszłoby do kryzysu w Bourges, gdyby od początku postępował z tamtejszym duchowieństwem wedle jej rady. Teraz dojdzie do waśni i Ludwik będzie się miotał, zatruwając wszystkim życie. Niby dorosły, a do tego król... Rozpacz ją brała na myśl o jego naiwności.

Było późno, Petroneli szumiało w głowie po nadmiarze wina do kolacji. W przyszłym tygodniu dwór wracał do Poitiers, a potem do Paryża, sielanka dobiegała końca. Tańczyła w pantofelkach z cienkiej skórki, aż rozboleły ją stopy. Raul twierdził, że nie lubi tańczyć, lecz poruszał się z wdziękiem i szybko zniechęcił młodych absztyfikantów, którzy zabiegali o jej względy. Śmiała się z trefnisiów do rozpuku i śpiewała do wtóru z trubadurami, klaszcząc w ręce. Teraz biesiada miała się ku końcowi i wszyscy udawali się na spoczynek, Alienor do swej komnaty, a Ludwik na wieczorne modły.

Raul siedział z nią przy stole na podeście, wśród okruchów i pełgających ogarków. Dolał sobie wina i kapnął nieco do jej kielicha. Służba sprzątała pozostałe stoły i ustawiała je pod ścianą, ale do głównego się nie zbliżała.

– Za co wypijemy? – zapytał.
– Skąd mnie to wiedzieć, mój panie? – odrzekła z zalotnym uśmiechem. –
Masz większą wprawę w wygłaszaniu toastów.

– W takim razie za wyborny trunek i akwitańskie ślicznotki. – Wzniósł kielich.

Zmarszczyła brwi.

– Jakie ślicznotki?

– Jedną ślicznotkę – uściślił. – Za doskonałą siostrzyczkę królowej.

– Powiedz moje imię – zażądała.

– Petronela.

Tembr jego głosu sprawił, że zadrżała. Również uniosła kielich.

– Za wyborny trunek i silnych mężczyzn – powiedziała. – Oraz niedoskonałego kuzyna króla. – Wypiła duszkiem.

– Powiedz moje imię – poprosił.

– Powtarzam je raz po raz, do poduszki. – Obrysowała koniuszkiem palca krawędź pucharu. – Przekonałbyś się, gdybyś leżał obok mnie.

Ściszył głos i potoczył wzrokiem dokoła.

– Byłoby to bardzo ryzykowne.

Spojrzała na niego wyzywająco. Pragnęła tego mężczyzny i zdobędzie go, tak jak jej babka, nomen omen Dangerous, zdobyła jej dziadka. Ryzyko dodawało jedynie smaczku. Będą ze sobą pod nosem całego dworu i nikt niczego nie zauważy, nawet siostra, która myśli, że zjadła wszystkie rozumy.

– Owszem – przyznała. – Jest bardzo późno i powinienesz odprowadzić mnie do komnaty.

Wymienili wymowne spojrzenia, a Petronela poczuła żar w dole brzucha. Płonęła z lęku i podniecenia. Nie wierzyła, że to robi, a przy tym zachodziła w głowę, czy Raul podchwyci, czy się wycofa. Zbliżali się do cienkiej granicy, za którą nie będzie odwrotu. Gdy wstała, niemal ugięły się pod nią kolana.

Raul ją podtrzymał. Służba widziała jedynie, jak królewski konstabl pomaga siostrze królowej, która przedobrzyła z winem, i nikt nie zaprzętał sobie tym głowy.

Zamiast odprowadzić Petronelę do komnaty, pociągnął ją do ogrodu. Szła oparta o niego, trącała go biodrem i chichotała. Nocny wietrzyk muskał skórę jak ciepłe, upierzone palce pachnące różami ze słoną nutą oceanu. Wydało się Petroneli, że słyszy ryk fal, a może był to jedynie szum jej własnej krwi w żyłach. Księżyc w pełni wisiał nad nimi obrzmiały jak srebrzysta kula na rozgwieżdżonej połaci granatu.

Raul zaprowadził ją do ławki w altanie na wpół zasłoniętej orlikiem i różami, następnie posadził sobie na kolanach. Zarzuciła mu ręce na szyję i zadarła głowę, żeby ją pocałował. Zniżył usta do ust dziewczyny i rozchyliwszy jej wargi, pokazał, co ma robić.

Pożądanie musowało jej we krwi jak wino. Przywarła do niego, poddając się rozkosznym doznaniom za sprawą jego ust i palców. Naraz znieruchomiał. Miał rękę pod jej halką, na miękkiej skórze nagiego uda, które głaskał w sposób prawie nie do zniesienia.

– Jeszcze – wydyszała, kołysząc biodrami. – Jeszcze!

– Jeśli to zrobię – rzekł – wiesz, że nie będzie odwrotu. Będziemy zdani na kaprysy losu.

Petronela czuła się nabrzmiała od żądz, a zarazem pusta w środku, złażniona jego miłości i uwagi – jego twardego, męskiego ciała. Tylko to się liczyło. O konsekwencjach pomyśli później.

– Jeśli będziemy ostrożni, nikt się nie dowie! – odparła bez tchu.

Raul znał się na ostrożności. Doskonalił ją przy okazji swoich niezliczonych romansów. W przypadku Petroneli gryzło go sumienie, lecz nie na tyle, by stłumić

żądze bądź instykt niepoprawnego kobieciarza. Była piękna, pociągająca i dzika, a przy tym niewinna i dręczona głodem, który rozpoznawał, bo sam często go doświadczał.

Posadził ją na sobie okrakiem.

– Powoli – rzekł. – Ostrożnie, najdroższa. Krok po kroku.

Petronela przymknęła oczy i przygryzła wargę. Ból był do wytrzymania, w przeciwieństwie do rozkoszy, która niemal przywiodła ją do utraty zmysłów. Nie miała wątpliwości, że Ludwik i Alienor nigdy nie zaznali czegoś podobnego. To było jej własne i dlatego jeszcze wspanialsze. Na wskroś złe, lecz czy mogło być złe, gdy wydawało się takie słuszne? Potem przestała myśleć i dała się ponieść, złączona z nim dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. A kiedy zadrgała, przygryzła kołnierz jego tuniki, żeby nie krzyknąć. Raul chwycił ją w pasie i po trzech mocnych pchnięciach uniósł, aby skończyć poza jej ciałem.

Gdy osunęła się na niego, zdyszany odchylił głowę. Serce tłukło mu o żebra. Nie czuł tak dzikiego podniecenia, odkąd był żółtodziobem z pierwszą kobietą.

Petronela zaśmiała się bez tchu.

– Chcę jeszcze – oznajmiła z roziskrzonym wzrokiem.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, ale się roześmiał.

– Nie dzisiaj, *doucette*. Będą nas szukać. Spacer w blasku księżyca nie powinien trwać do świtu, musimy się zbierać. Zresztą nie wiem jak ty, ale ja muszę odpocząć.

– Ale jutro...? – Nachyliła się i pocałowała go na dowód, jak szybko się uczy.

Objął ją i odwzajemnił pocałunek z powolnym rozmysłem.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Miał przy sobie serwetkę z uczyty, którą stał z ud i spomiędzy nóg Petroneli ślady występku.

– Daj – powiedziała. – Spalę ją.

Podał jej serwetkę i pomógł wstać. Strzepnęła suknię i znów go pocałowała, rozkoszując się jego zarostem na swojej delikatnej skórze oraz mocnym uchwytem jego dłoni w pasie.

– Chodź – ponaglił. – Czas udawać skromną młodą damę na użytek dworu.

Petronela udawa, że ziewa.

– Spacer w blasku księżyca dobrze mi zrobił, będę dzisiaj smacznie spała.

Raul odprowadził ją do schodów prowadzących do jej komnaty. Upewniwszy się, że nikt nie widzi, pocałował ją na pożegnanie, po czym skłonił się i wtopił w mrok.

Petronela westchnęła cicho i rozmarzona weszła do komnaty. Floreta czekała na nią w stanie najwyższego wzburzenia.

– Gdzieś ty się podziewała?! – zawołała. – Ze strachu od zmysłów

odchodziłam!

Petronela zawirowwała na środku komnaty.

– Poszłam na spacer. Księżyc taki cudowny.

– Sama? – zmartwiała Floreta.

– Nie nudź – ucięła Petronela. – Jesteśmy w Talmont, wszyscy mnie tu znają. Kim ja jestem, więźniarką?

– Co tam masz? – Floreta wskazała podejrzliwie na serwetkę.

– Nic – skłamała gładko Petronela. – Zemdliło mnie i nie chciałam zniszczyć sukni. – Lekceważąco machnęła ręką. – Kręci mi się w głowie. Idź spać, ja też się położę. Sama sobie poradzę.

Floreta ustąpiła po chwili wahania, dygnęła i wyszła z komnaty. Petronela rzuciła serwetkę w nogi łóżka. Kominek nie był rozpalony, więc nie mogła dziś spalić dowodu. Nawet nie chciała, gdyż stanowił pamiątkę, jak prześcieradło z nocy poślubnej. Może i Raul jest żonaty, ale to nie miało znaczenia. Będzie go miała, za wszelką cenę. Należy już do niej, i nikogo innego.

Zdjęła suknię i buty, po czym wskoczyła do łóżka, zdmuchnęła świecę i długo leżała bezsennie, rozpamiętując niedawne zdarzenia i rozkoszując się wspomnieniem. Przed zaśnięciem sięgnęła po serwetkę i wsunęła ją pod poduszkę.

Po mszy i śniadaniu Alienor poszła porozmawiać z Petronelą o rychłym powrocie do Poitiers. Jak zwykle zastała siostrę w łóżku, nie spała jednak, tylko siedziała, z zaspanyimi oczami i włosami w nieładzie. Właśnie zjawiała się Floreta z miednicą ciepłej wody na poranne ablucje oraz chlebem i dzbankiem maślanki.

Alienor bezsilnie potrząsnęła głową.

– Jesteś jak kwiat, który rozkwita nocą – stwierdziła. – Rano przywiędła, ożywasz wraz z nadejściem zmroku.

Petronela obrzuciła ją przebiegłym, zagadkowym spojrzeniem.

– Rozchyłam pączki, kiedy inni je stulają – przyznała i przeciągnęła się, a w powietrzu rozszedł się szczególny zapach, który Alienor знаła, lecz nie umiała nazwać. Petronela wstała z łóżka, aby obmyć twarz i ręce.

Wzrok Alienor padł na szmatkę wystającą spod siostrzanej poduszki. Nie zwróciłyby na nią uwagi, gdyby nie widoczne plamy krwi. Na ten widok aż struchlała.

– A cóż to znowu? – zapytała.

– Nic takiego – burknęła Petronela, czerwona jak burak. – Krew mi z nosa leciała, to wszystko.

Alienor rozłożyła serwetkę i dostrzegła na niej plamy innego rodzaju, sama szmatka była zaś lekko wilgotna. Uniosła ją do nosa i wówczas nie miała już wątpliwości co do zapachu. Spojrzała na osłupiałą Floretę.

– Zostaw nas – poleciła. – I nikomu ani słowa.

Floreta odłożyła ubranie Petroneli na łóżko i wyszła z komnaty, zerknąwszy z niepokojem przez ramię. Alienor poczekała, aż drzwi się zamkną, po czym przygwoździła siostrę wściekłym wzrokiem.

– Co ty sobie wyobrażasz, głupia? Chcesz zgubić nas obie? Kto to był? Mów!

Petronela założyła ręce na piersi.

– Nikt – odpowiedziała.

– Nie kłam! Powiedz prawdę!

Petronela zadarła podbródek i odwzajemniła spojrzenie, na tle zaróżowionej skóry jej brązowe oczy przybrały niemal złocisty odcień.

– Nic ci nie powiem, bo nie ma o czym mówić. – Odwróciwszy się plecami, urwała kawałek chleba przyniesionego przez Floretę i wepchnęła sobie do ust.

Zdjęta bólem i gniewem Alienor złapała ją za ramię i przemocą obróciła do siebie.

– Przecież ja próbuję cię chronić, głuptasie! Czy ty w ogóle masz pojęcie, na co się narażasz?

– Chronisz własną skórę. Co ty możesz wiedzieć? Nic cię nie obchodzi! – Petronela wyszarpnęła rękę, pierś jej falowała.

– Obchodzisz mnie bardziej, niż ci się zdaje. Ktoś cię wykorzystuje. Dowiem się, kto to taki, a wtedy marny jego los.

Petronela nie odpowiedziała. Urwała kolejny kawałek chleba i go przeżuła, bezczelnym wzrokiem patrząc na siostrę.

Zdruzgotana Alienor ruszyła w stronę wyjścia z serwetką w dłoni, lecz zaraz przystanąła. Nie śmiała zrobić awantury na zewnątrz, gdyż Petronela pograżyłaby się w oczach całego dworu i ściągnęła hańbę również na nią. A przecież trzymała na dystans Gotfryda z Rancon, skrzętnie unikała sytuacji, które mogłyby doprowadzić do skandalu, tymczasem siostra swoją głupotą i lekkomyślnością naraziła na szwank reputację ich obu. Rzuciła w nią szmatkę.

– Pozbądź się tego plugastwa – warknęła. – Zdradziłaś i zhańbiłaś mnie i całą naszą rodzinę. Przemyśl to, jeśli zostały ci resztki sumienia poza samolubną gonitwą za flirtem i przyjemnością. – Głos jej zadrżał. – Ufałam ci... Pojęcia nie masz, co narobiłaś.

Petronela wciąż uparcie milczała. Alienor wyszła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Przejęta Floreta stała na zewnątrz i załamywała ręce.

– Co wiesz o tej sprawie? – spytała królowa. – Odpowiadaj!

Floreta potrząsnęła głową.

– Ależ nic, pani, przysięgam! Wieczorem jak zwykle przygotowałam komnatę. Kiedy nie przychodziła, zaczęłam się niepokoić, ale potem się zjawiała ze szmatką w dłoni i zapewniała, że źle się poczuła i myślała, że zwymiotuje.

Powiedziała, że musiała zaczerpnąć świeżego powietrza.

Mało powiedziane, pomyślała posępnie Alienor.

– Przyszła sama? Nikogo z nią nie było?

– Nie, pani.

Alienor świdrowała Floretę wzrokiem.

– Nic nikomu nie mów. Jeśli wieść się rozniesie, strach pomyśleć o konsekwencjach i wszyscy na tym ucierpią.

– Przysięgam na moją duszę, pani. – Floreta się przeżegnała.

– Znajdę tego, kto jest za to odpowiedzialny. Dopilnuj, żeby Petronela nie ruszyła się dziś z komnaty. Nie chcę jej widzieć na dworze. Gdyby ktoś pytał, źle się poczuła. I zawiadom mnie, jeżeli powie coś, o czym powinnam usłyszeć.

Floreta wróciła do komnaty, Alienor zaś poszła się pomodlić, nie tylko błagać Boga o pomoc, ale zaplanować dalsze kroki. Zastanawiała się, czy zdoła zażegnać kryzys bez wtajemniczenia w sprawę Ludwika, który z pewnością wpadłby w gniew. Z poczuciem winy ścisnęła różaniec. Należało poświęcić Petroneli baczniejszą uwagę. Siostra zawsze była bezbronna i miała wygórowane potrzeby, więc zapewne szukała upragnionej uwagi w niewłaściwych miejscach. Alienor żywiła podejrzenia co do osoby winowajcy: Aimery z Niort od dawna nie krył się ze swoimi zamiarami. Jako zwykły rycerz z dworskiego orszaku nie nadawał się jednak na męża dla Petroneli.

Dobry Boże, a jeśli będzie z tego dziecko? To trudniej ukryć niż utracony wianek. Jeśli Petronela zajdzie w ciążę, trafi do zakonu, przynajmniej do rozwiązania. Mężczyzna mógł do woli płodzić bękart, lecz kobietę ich stanu okrywało hańbą, która kładła się cieniem na całym rodzie. Ich babka, Dangerosa z Châtellerault, jawnie cudzołożyła ze swym kochankiem, dziadkiem Alienor, co wywołało skandal, który na zawsze napiętnował Alienor i Petronelę. Jako wnuczki rozpustnika i dziwki musiały starać się w dwójnasób ze świadomością, że ludzie bacznie im się przyglądają w poszukiwaniu oznak zepsutej krwi.

Oparła głowę na zaciśniętych dłoniach w poczuciu, że wszystko się wokół niej wali, ale jeśli wykaże się sprytem, może zdoła naprawić szkody, kawałek po kawałku? I nikt niczego nie zauważy.

Alienor spojrzała z obrzydzeniem na młodzieńca, którego rzuciło jej do stóp dwóch zaufanych rycerzy. Ujęty po powrocie z przejażdżki, Aimery z Niort wciąż miał na sobie strój jeździecki, na butach ostrogi, a na ramionach opończę spiętą broszą z drogim kamieniem.

– Zostań na klęczkach – rozkazała. – Ani się waż wstawać w mojej obecności.

– Czym cię uraziłem, pani? – Z oczu młodego rycerza biło bezbrzeżne

zdumienie.

– Dobrze wiesz – ucięła, dopiero teraz z gniewem skonstatowała, jaki jest przystojny. – Myślałeś, że się nie dowiem?

– Ależ pani, ja nic nie zrobiłem! – Potrząsnął głową. – Doprawdy nie wiem, o czym mówisz.

– Doprawdy? – Alienor rozważyła chłostę. Strach młodzieńca świadczył jej zdaniem o winie. – Mam wspomnieć o mojej siostrze Petroneli?

Poczerwieniał i zauważyła, że przełknął ślinę.

– Widzę, że rozumiałeś – dodała. – Mogłabym kazać cię wychłostać i powiesić za to, co zrobiłeś.

– Naprawdę nic nie zrobiłem – odrzekł łamiącym się głosem. – Poprosiłem tylko lady Petronelę o pamiętkę. Nie wiem, co mi zarzucasz, lecz jestem niewinny.

– Słyszałam już takie wymówki – skwitowała lodowato.

– Jestem gotów przysiąc na kości moich przodków. Cokolwiek słyszałaś, to bezecne kłamstwo!

Na jego twarzy malował się taki szok i niedowierzanie, że Alienor na chwilę zachwiała się w swojej pewności. Może był po prostu świetnym kłamcą. Grunt to pozbyć się go niezwłocznie.

– Zwalniam cię ze służby. Zabieraj konia i żebym cię tu więcej nie widziała. – Pstryknęła palcami i rycerze wywlekli z komnaty chłopca, który wciąż zapewniał o swej niewinności.

Alienor przymknęła oczy. Jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem.

Raul z Vermandois zajrzał do środka.

– Posłałaś po mnie, pani?

Przywołała go ruchem dłoni.

– Owszem. Chcę cię prosić o radę, a zarazem przysługę.

Spojrzał na nią czujnie i spiął barki.

– Jestem do twoich usług.

Wskazała mu ławę. Wprawdzie go wezwała, lecz nie miała pewności, czy może wyjawić mu całą prawdę.

– Chodzi o Petronelę – zaczęła.

Twarz Raula niczego nie wyrażała.

– Pani?

Alienor przygryzła wargę.

– Jesteś dla niej autorytetem jak niegdyś nasz ojciec – podjęła. – Lubi cię, a ty okazujesz jej serce.

Raul chrząknął i bez słowa skrzyżował ręce na piersi.

– Martwię się o nią. Flirtuje z paziemi i młodymi rycerzami, czego zapewne jesteś świadom, gdyż sam niejedną raz kładłeś temu kres. Nie myśli o konsekwencjach. Trzeba ją okiełznać, ale dyskretnie, żeby ludzie nie gadali.

Chciałabym, byś miał ją na oku w drodze powrotnej do Paryża. I uważaj na młodych zalotników, którzy za dużo sobie wyobrażają.

Raul odwrócił wzrok.

– Nie jestem godzien twego zaufania – odmruknął.

– Moje i Ludwika perswazje puszcza mimo uszu, ale ciebie posłucha.

– Pani, ja...

Dotknęła jego rękawa.

– Wiem, że jest trudna, ale bardzo cię proszę, uczynić to dla mnie.

Zmierzył swoje gęste, siwe włosy i westchnął z rezygnacją.

– Wedle twego życzenia, pani.

– Dziękuję. – Alienor odetchnęła z ulgą. – Wolałabym, żeby Ludwik się nie dowiedział, bo to niczemu nie służy; wiesz, jaki on jest. Dlatego proszę cię o dyskrecję.

Raul skłonił głowę.

– Ode mnie się nie dowie, daję ci moje słowo, pani.

Po jego wyjściu Alienor spróbowała się rozluźnić i przymknęła oczy. Miała gorącą nadzieję, że opanowała sytuację.

Jej następnym krokiem było wezwanie Petroneli do swojej komnaty, gdzie mogła jej pilnować.

– Musimy się spakować na powrót do Poitiers i Paryża – oznajmiła. – Czeka nas mnóstwo pracy. Aimery z Niort opuścił dwór i nie wróci. Nie wracajmy już do tego tematu, zrozumiano?

Petronela posłała jej zdziwione spojrzenie i bez słowa usiadła we wnęce okiennej.

Alienor poszła za nią.

– Petro... – Chciała przytulić siostrę, a zarazem porządnie przetrzepać jej skórę. – Porozmawiaj ze mną. Dawniej nie miałyśmy przed sobą tajemnic.

– To nie ja się odsunęłam – stwierdziła Petronela. – Dbasz jedynie o to, co ludzie pomyślą. Ja jestem ci obojętna, trzęsiesz się ze strachu przed skandalem, utratą pozycji i krytyką Ludwika.

– Nieprawda!

– A właśnie, że tak! Jestem tylko denerwującą młodszą siostrzyczką, kulą u nogi. Mówiłaś, że się mną zaopiekujesz, ale się nie zaopiekowałaś. – Petronela natarła na nią z błyskiem w oku. – Nie liczy się dla ciebie nic oprócz bycia królową. Ja się nie liczę.

– Mylisz się. Bardzo się mylisz. Oczywiście, że jesteś dla mnie ważna. – Zalała ją fala poczucia winy, bowiem w słowach Petroneli było sporo prawdy, a przy tym zabolęły ją do żywego.

– Nie liczę! – Petronela poderwała się z miejsca i przeszła obok. – Mam to w nosie, bo ty też już się dla mnie nie liczysz! Nie dotrzymałaś słowa. Nienawidzę

cię! – wykrzyczała, po czym dopadła do podróżnego kufra i zaczęła rozrzucać jego zawartość. Służące spuściły wzrok i dalej robiły swoje, jak gdyby nigdy nic.

Alienor stłumiła mdłości. Petronela do złudzenia przypominała ich babkę Dangerosę, kobietę o tak zmiennych nastrojach, że w dzieciństwie nigdy nie wiedziały, jak się zachowa. Zwykle emocje wybuchały w namiętności, a Petronela z wiekiem chyba przejmowała tę niepokojącą cechę. Dlatego musiała zapewnić jej zajęcie i ostudzić zapędy, nim narobią jeszcze większej szkody. Kochała siostrę i jej ostre wyrzuty sprawiły jej ból.

Kilka następnych dni Alienor spędziła w nerwowym napięciu, lecz stopniowo odzyskiwała spokój, kiedy minęło zagrożenie, że wybryk Petroneli przerodzi się w większy skandal. Cały dwór rzucił się w wir przygotowań do długiej podróży, Ludwik zaś był zbyt pochłonięty modlitwą i rozsierdzony sprawą arcybiskupa Bourges, by zaprzętać sobie głowę innymi sprawami.

Alienor z ulgą przyjęła fakt, że Petronela wzięła sobie jej ostrzeżenie do serca. Po wizycie w kościele i spowiedzi wyciszyła się i spokorniała, wciąż jednak nie odzywała się do Alienor, a kłótnia wisiała między nimi i nie dawała o sobie zapomnieć, niczym rana, która mimo opatrzenia nadal się jątrzy.

Raul dotrzymał słowa i gdy Petronela wychodziła ze swojej komnaty, asystował jej w oficjalny, szarmancki sposób. Tańczył z nią, towarzyszył w czasie posiłków i jechał u jej boku, kiedy dwór wyruszał na łowy w ostatnich dniach pobytu.

Uprzejma rezerwa Raula doprowadzała Petronelę do szału. Kłaniał się i uśmiechał niczym obcy dworzanin, udając, że nie zauważa jej spojrzeń. Nie mogła znieść myśli, że ich jedyna schadzka w ogrodzie była dlań tylko kolejnym podbojem potwierdzającym jego reputację, w myśl której uwodził kobiety i je porzucał. Postanowiła wymusić na nim jakąś reakcję i ostrzec, że nie pozwoli się ignorować. Mijając go w korytarzu wśród ludzi, otarła się o niego lubieżnie i posłała mu śmiałe spojrzenie. Osiągnęła swój cel, gdyż w odpowiedzi popatrzył na nią z mieszaniną żądz i wyrzutu. Tylko udawał obojętnego. Kiedy później siedzieli obok siebie w czasie obiadu, pod osłoną obrusa przycisnęła stopę do jego stopy.

Raul odsunął się jak oparzony i lekko potrząsnął głową.

Służba zносиła z kuchni półmiski i rozstawiała na głównym stole potrawy, w tym kruchą dziczyznę oraz szaszłyki z marynowanych owoców, z pikantnymi sosami do maczania. Był tam złocisty sos korzenny, fioletowy z jeżyn, a także rozgrzewający z nutą imbiru.

Raul podał Petroneli dwa szaszłyki, jeden z mięsem i jeden z owocami.

– Wyglądają jak rząddek dworzan – zachichotała. – Tutaj Teodoryk Galeran, a ten gruby obok niego to Wilhelm z Montferratu. A tamten wygląda zupełnie jak Ludwik. Spójrz, jest w tym samym kolorze, co jego szata. Mam go zjeść? Przytrzymaj mi szaszłyk.

Raul uniósł ostrugany jesionowy patyczek, a Petronela chwyciła zębami kawałek złocistej, marynowanej gruszki i zsunęła go w zmysłowy, niemal wyzywający sposób. Następnie pogryzła i przełknęła.

– Prawda, że byłoby wspaniale pozbyć się w ten sposób wszystkich wrogów? – spytała.

– Mam nadzieję, że nie chcesz przez to powiedzieć, iż uważasz króla za swojego wroga?

Wzruszyła ramionami.

– Mówiłam ogólnie. Czekaaj, teraz ja potrzymam szaszłyk. Kogo miałbyś ochotę schrupać? Ten mi wygląda jak Tybald z Szampanii, nie uważasz?

Raul potrząsnął głową, lecz nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Niegrzeczna z ciebie dziewczynka.

Petronela posłała mu mroczne, znaczące spojrzenie.

– Nie bardziej niż ty – stwierdziła, oblizując wargi.

– Sza. – Rozejrzał się niespokojnie. – Nie czas i miejsce na takie zachowanie. – Miał ochotę złapać ją i uciszyć, ale strach mieszał się w nim z pożądaniem i najchętniej uciszyłby ją pocałunkiem, mocno przyciskając ciało do jej ciała. Potoczywszy wzrokiem, sprawdził, czy ktoś zauważył ich szepty, i podchwycił spojrzenie jednego z królewskich kapelanów, obserwującego ich z obojętnością, która w każdej chwili mogła ustąpić miejsca dezaprobacie.

– W takim razie gdzie i kiedy – odparła z przyspieszonym oddechem. – Dotrzymujesz mi towarzystwa, ale mnie ignorujesz, więc już nie wiem, co myśleć.

– *Doucette*, nie zdajesz sobie sprawy, co czynisz.

Zerknęła na niego spod oka.

– A niedawno odniosłam wrażenie, że jesteś innego zdania.

Raul przełknął ślinę w poczuciu narastającej bezradności.

– Opanuj się, bo nas nakryją. Czy ty w ogóle masz pojęcie, czym to grozi? – Skrzywił się do niej. – Trzeba znaleźć sposób. A teraz pozwól, że nałożę ci kawałek pysznego łososia, milady. – Przywdział maskę układnego dworzanina i sięgnął po leżący na wprost nich srebrny półmisek.

– A może porwał się z motyką na słońce, mój drogi panie hrabio z Vermandois – odrzekła z nieznacznym uśmiechem.

Wolno pokręcił głową i zrozumiał, że się od niej nie uwolni.

– Aimery z Niort – rzekł Ludwik do Alienor.

Alienor, która właśnie chowała pierścienie do szkatułki, znieruchomiała, serce podskoczyło jej w piersi.

– Tak?

– Jego starszy brat domaga się zadośćuczynienia. Twierdzi, że zwolniłaś Aimery’ego bez powodu i postąpiłaś z nim niehonorowo, choć w niczym ci nie uchybił. Zechcesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

Alienor bawiła się pierścieniem wysadzonym małymi, czerwonymi kamykami podobnymi do pestek granatu.

– Zdradzał nadmierne zainteresowanie Petronelą i musiałam interweniować.

Ludwik uniósł brwi.

– Zwolnienie ze służby wykracza poza zwykłą interwencję.

– To było konieczne, zaufaj mi.

Rzucił jej posępne spojrzenie.

– Na pewno go zachęcała.

– Dlatego złażałam ją za lekkomyślność, lecz trafiła na podatny grunt. Zajął się sprawą i nie ma o czym mówić.

Ludwik odchrząknął z rozdrażnieniem.

– Najwyższy czas wydać ją za mąż – oznajmił. – Zadbam o to po powrocie do Paryża.

– Póki nie urodzę dziecka, jest moją dziedziczką, więc trzeba jej znaleźć odpowiedniego kandydata – odparła Alienor. – Ale masz rację. Nie ma sensu dłużej z tym zwlekać.

Poitiers, schyłek lata 1141

Ubrana w opończę z kapturem Petronela rozejrzała się dyskretnie, trzykrotnie zastukała w drzwi, a następnie wślizgnęła się do komnaty na szczycie wieży. Raul czekał na nią przy rozpalonym piecyku, z którego unosił się wonny dym. Jego łoże podróżne stało w rogu, z zachęcająco odrzuconą kołdrą w czystej powłoczce. Na widok Petroneli wstał, podszedł do niej, ujął w obie dłonie jej twarz i pocałował w usta. Łapczywie odwzajemniła pocałunek, cicho przy tym pojękując. Następnie wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i rzucił na siennik, gdzie zadarła suknię, spragniona jego bliskości. Zdyszany zsunął spodnie, po czym chwycił Petronelę za biodra i natarł na nią z werwą młokosa, który dopiero odkrywa uroki igraszek cielesnych.

Byli tak sobie głodni, że już po chwili padli bez tchu, wciąż nienasyчени, mimo fizycznego zaspokojenia. Raul myślał, że serce wyskoczy mu z piersi. Pełen czułości, wciąż pulsujący żądzą, pochylił się nad Petronelą i obsypał pocałunkami jej powieki, usta i nos. Oczy jej pociemniały, wzrok miała przymglony. Wyglądała rozkosznie. Zaczął ją rozbierać, tym razem powoli, a ona z uśmiechem podjęła grę, ucząc się jego dotyku i smaku.

Potem kochali się niespiesznie, a kiedy oboje zaznali rozkoszy, leżeli ciasno spleceni. Petronela przymknęła oczy i napawała się pieśzczotą, kiedy delikatnie odgarniał jej włosy ze skroni. Tylko jego chciała, nikogo innego. Ojca, kochanka, silnego, wpływowego mężczyzny, który podzielał jej pragnienia i potrzeby. Nie zniosłaby rozłąki.

– Co z nami będzie? – zapytała. – Chcę być z tobą bez przerwy. Nie dbam o politykę ani o to, że jestem siostrą królowej. Poszłabym za tobą na koniec świata, boszo i w samej koszuli.

– Nie wymagałbym tego od ciebie – zapewnił szarmancko, chociaż skóra mu ścierpła na myśl o takim losie. Życie na bosaka i w biedzie było romantyczne tylko w przenośni, nigdy na jawie.

– Nie szkodzi. – Wstała, podeszła do stołu i wzięła kiść winogron z misy pełnej owoców. Długie, ciemne włosy sięgały jej poniżej pasa. Raul popatrzył na nią z uznaniem i sięgnął po koszulę.

Wróciła do niego i w zębach podała mu winogrono.

– Legat papieski niegdyś kazał mojemu dziadkowi wyrzec się mojej babki, która była jego kochanką, na co dziadek odpowiedział, że prędzej loki wyrosną legatowi na łysej głowie, niż on uczyni zadość jego żądaniu. Postąpiłbyś tak samo?

Czy sprzeciwiłbyś się państwu i Kościołowi, aby zatrzymać mnie przy sobie?

Raula ścisnęło w piersi na widok jej żarliwości. Stała przed nim drżąca jak sarna.

– Najdroższa – powiedział i przyłożył dłoń do jej policzka. – Przestań się trapić. Coś wymyślimy po powrocie do Paryża.

Dała mu kolejne grono.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam. – Poklepał ją po pośladku. – Ubierz się wreszcie.

– Pomóż mi – odparowała z figlarnym błyskiem w oku.

Raul z uśmiechem sięgnął po jedwabną pończochę.

– Z przyjemnością, choć nieco mniejszą od rozbierania ciebie, ale nadal z przyjemnością. – Ująwszy kostkę dziewczyny, potarł ją kciukiem, a następnie ucałował jej palce u stóp i przejechał między nimi językiem, aż pisnęła.

Na koniec dnia, przed zapadnięciem zmroku, Alienor wybrała się z Ludwikiem na spacer po ogrodach. Zerwał się chłodny wiatr, więc oboje włożyli miękkie, wełniane peleryny obszyte futrem. Stanęli obok siebie nad stawem, spoglądając na pociemniałą wodę. Alienor przypomniała sobie, jak kiedyś tutaj się kochali, spleceni jak driady. Wspomnienie wydało jej się bardzo odległe. Na przestrzeni kilku krótkich lat stali się kompletnie innymi ludźmi od chłopca i dziewczyny, którzy odkrywali swoje ciała i oddawali im wzajemny hołd. Nie miała odwagi zapytać, czy pamięta, obawiała się jego odpowiedzi. Zmrok niósł aurę melancholii, jak gdyby nie tylko wieczór się kończył. Były to ich ostatnie godziny w Poitiers; nie wiedziała, kiedy znowu tu zawitają.

– Powiniennem pójść się pomodlić – oznajmił Ludwik, rzuciwszy okiem na niebo, i poczuła, jak oddała się od niej.

– Stąd widać Boga tak samo jak w kościele – odrzekła. – Nie zachwycasz się cudami Jego stworzenia? Czy dzieło człowieka może się z nim równać? – Wskazała na ciemną obręcz purpurowych obłoków podszytych wstęgą nasyczonego szkarłatu. – Nawet abbé Suger musiałby się z tym zgodzić. Sam nie wymyśliłby piękniejszego witrażu.

– To prawda – przyznał Ludwik, ujmując jej dłoń, co rzadko czynił ostatnimi czasy. Podała się temu i pogłaskała go po włosach, najpiękniejszym, co miał, gęstych i w srebrzystym odcieniu. Lubiła, kiedy okalały jego smukłą szyję.

– Ludwiku... – zaczęła ściszonego tonem, z nadzieją, że może jeszcze nie wszystko stracone.

– Panie? – Chwila rozwiała się niczym ostatnia smuga cynobru na zachodzie, kiedy odwrócili się i ujrzeli Odon z Deuil, kapelana Ludwika.

– O co chodzi? – burknął Ludwik. – Dlaczego nam przeszkadzasz?

Kapłan odchrząknął z zakłopotaną miną.

– Jaśnie państwo wybaczą, że przynoszę złe wieści, ale dopóki się nie rozniosą, może zdołamy jeszcze temu zaradzić.

– Jakże znowu złe wieści? Czemu zaradzić? – wybuchnął Ludwik. – Skończcie z tymi zagadkami, człowieku. Mów, z czym przyszedłeś!

– Sprawa dotyczy lady Petroneli i jej powiązań z jednym z dworzan – odrzekł Odon, zerkając przy tym na Alienor.

Zniecierpliwiony Ludwik wyrzucił ręce do góry.

– Znowu plotki! Mam szczerze dosyć czczego gadania.

Alienor struchlała. Sądziła, że kryzys został zażegnany i zostawiła siostrę pod czujnym okiem dwórek. Na miłość boską, co Petronela znowu narozrabiała?

– Którym? – spytała.

– Pani... chodzi o konstabla, pana z Vermandois.

Ludwik gwałtownie wypuścił powietrze, jego oczy nabrały twardego wyrazu.

– Ludzie mielią ozorami. Królowa i ja doskonale wiemy, jak wygląda relacja między naszą siostrą a hrabią z Vermandois.

Na twarzy kapłana odmalował się wyraz bezbrzeżnego niedowie-rzania.

– Z całym szacunkiem, ale śmiem wątpić, panie.

Alienor zmrużyła oczy.

– Dobrze zatem – odpowiedział Ludwik i potarł czoło. – Mów, ale potem skończmy temat raz na zawsze. Mamy na głowie ważniejsze sprawy niż takie banialuki.

– Panie, Raul z Vermandois przyjmuje w swej komnacie siostrę królowej w wysoce niestosowny sposób. Mój skryba podsłuchał, jak planują schadzkę, i patrzył, dokąd się udają. To wszystko prawda, przysięgam. Paż hrabiego czatuje na schodach, aby w razie niebezpieczeństwa ich ostrzec.

Alienor zemdlilo. Skryba Odon nie podejrzalby Raula i Petroneli bez podstaw. Nadworni szpiedzy musieli miec pełne ręce roboty.

Ludwik zbladł jak ściana.

– Prowadź – polecił.

Kapłan skłonił się sztywno i z rękami pod habitem powiodł ich w stronę wyjścia z ogrodu. Czekalo tam więcej kleryków i Alienor zaczęła się bać, gdy Ludwik wezwał strażę, by im towarzyszyły. Zanosilo się na coś strasznego, lecz ona nie mogła temu zapobiec.

Odon z Deuil wszedł pierwszy do pałacu i ruszył krętymi schodami na wieżę Maubergeon, gdzie mieściły się prywatne komnaty. Usłyszeli, jak paż popędził na górę uprzedzić swego pana. Strażnicy Ludwika minęli kapłana i rzucili się w pogoń za chłopakiem, schwytali go i rzucili na posadzkę przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami, ale zdążył wykrzyknąć ostrzeżenie. Zdyszany wspinaczką ojciec Odon

chwycił za klamkę i otworzył drzwi na oścież.

W piecyku trzaskał ogień. Obok stała wyściełana ława, a na pobliskim stole dzban wina i dwa kubki. Dalej znajdowało się łóżko, a na nim Petronela w samej koszuli z rozwiązanymi tasiemkami i piersiami na wierzchu. Raul z Vermandois stał nad nią w koszuli i kalesonach, ale bez tuniki, gotów bronić jej wyciągniętym mieczem.

Ludwik wydał zduszony odgłos. Alienor osłupiała ze zgrozy, dowody bowiem były namacalne, w dodatku sama wpuściła lisa do kurnika. Petronela w pierwszej chwili pisnęła z przestachu, lecz teraz toczyła wokół bezczelnym wzrokiem, nie próbując nawet się okryć.

– Rzuć miecz! – warknął Ludwik. – Śmiesz podnosić go na swojego króla?

Raul przełknął ślinę i, odrzuciwszy miecz, padł na kolana.

– Panie, pozwól, że wyjaśnię...

Ludwikiem wstrząsnął dreszcz.

– Wyjaśnienia to twoja specjalność – rzekł lodowato. – A ja w swojej naiwności zawsze cię słuchałem i darzyłem zaufaniem, podczas gdy ty zdradzałeś mnie i Boga. Nie zamierzam słuchać, co masz do powiedzenia, twoja obłuda jest jasna jak słońce. Uznaję to za zdradę stanu. Wkrótce zdecyduję, co z tobą począć. – Z nieskrywaną furią zwrócił się do żony: – Zajmij się siostrą, pani. – Następnie wycelował palcem w żołnierzy. – Pan z Vermandois do odwołania pozostanie w areszcie domowym, wolno mu rozmawiać jedynie ze spowiednikiem. Macie tego dopilnować. – Obrócił się na pięcie i wymaszerował z komnaty.

Alienor zmroziła Raula wzrokiem.

– A ja ci ufałam – oznajmiła z bezbrzeżną pogardą. – Prosiłam, byś chronił Petronelę, a ty ją zbezczeszczyłeś. Obyś szczeł w piekle. – Zrobiła krok, żeby spojrzeć na siostrę, która wciąż się nie zasłoniła. – Tobie też ufałam.

Twarc Petroneli stężała w wyrazie uporu.

– Ja go kocham. – W jej głosie pobrzmiwała zawziętość. – Ale co ty możesz wiedzieć o miłości?

– Ależ sporo – odpowiedziała z goryczą Alienor. – Bo cię kocham, a ty właśnie zламаłaś mi serce.

Petroneli zadrżał podbródek, a z gardła dobył się zdławiony, żalony odgłos. Raul odwrócił się do niej i delikatnie narzucił jej opończę na ramiona.

– Nie możesz tu zostać, najdroższa – powiedział. – Oni na to nie pozwolą, zresztą sprawa musi zostać wyjaśniona. Idź z królową. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. – Popatrzył na Alienor. – Wybacz jej, pani. To moja wina.

Alienor nie czuła się na siłach odpowiedzieć, bo w gardle dławili ją wstyd i gniew, głównie za sprawą własnego niedopatrzania. Że też tego nie przewidziała. Gdzie ona miała oczy?

– Chodź – burknęła do siostry. – Jeśli nie pójdziesz po dobroci, każę

strażnikom cię stąd wywlec.

Petronela dygotała na całym ciele, ale zebrała się w sobie, wstała z łóżka i opuściła komnatę, minawszy z uniesioną głową duchownych. Alienor podążyła za nią, również nie zaszczyciwszy ich spojrzeniem. Byli jak wygłodniałe sępy, które tylko czekały na okazję do żerowania.

– Wiesz, co narobiłaś? – spytała Alienor, gdy znalazły się za zamkniętymi drzwiami komnaty. – Jak uczymy taki skandal? Och, chciałabym tobą potrząsnąć!

– Ja go kocham – rzekła ponownie Petronela, obejmując się ramionami pod płaszczem. Głos jej się załamał. – A on mnie.

– Tylko ci się zdaje, że go kochasz – fuknęła Alienor szorstko. – Jesteś dzieckiem, a on cię zbałamucił.

Głos Petroneli nabrał piskliwych tonów.

– Wcale tak nie było! I nie nazywaj mnie dzieckiem!

– Nie zachowuj się zatem jak dziecko! Jak długo się ukrywaliście? Od kiedy prowadzisz swoje gierki? Wtedy w Talmont... tamta serwetka... Byłaś z nim, prawda?

– A jeśli nawet? – Petronela zadarła podbródek. – To była najcudowniejsza noc w moim życiu. Zależę mu na mnie. Ty dbasz jedynie o własne interesy.

Ostatnie słowa uderzyły Alienor jak obuchem.

– Darzyłam Raula z Vermandois zaufaniem, ale je zawiódł, a przy tym zszargał twój i swój honor. Mógłby być twoim dziadkiem, a co dopiero ojcem. Pozwoliłaś, abym niesłusznie oskarżyła Aimery'ego z Niort i ukarała go za coś, czego nie zrobił. – W głosie Alienor zabrzmiał niesmak. – Co powiedziałyby nasz ojciec? Myślisz, że by cię pochwalił?

– Umarł i nas zostawił! A skoro mowa o przodkach, dziadkowie nie przejmowali się opinią. Żyli i kochali się tak, jak sami uznali za słuszne!

– A inni za to płacą, nie wyłączając ciebie, ponieważ poszłaś w ich ślady.

– Wolę być taka jak oni, niż zarosnąć mchem.

Wymierzony policzek był jak szokujący wykrzyk na koniec tej gwałtownej wymiany zdań. Alienor aż zabolęła ręka, a ślad na twarzy siostry z białego stał się czerwony. Petronela patrzyła na nią rozdygotana, z oczami pełnymi nienawiści, rozpacz i brawury, jak ranne, osaczone zwierzę, które w akcie skrajnej desperacji rzuca się na swojego prześladowcę.

– I na co nam przyszło? – wyszeptwała Alienor. – Kim my jesteśmy, siostrami czy wrogami? Chyba dosyć ich mamy, bez skakania sobie nawzajem do gardeł.

Wojownicze światło w oczach Petroneli przygasło. Wydała z siebie przejmujący szloch, a potem drugi i jeszcze jeden, jakby ktoś rozrywał ją po kawałku.

– Petro... – Alienor nie mogła patrzeć na takie cierpienie. Mocno objęła siostrę, łzy popłynęły jej z oczu. Jej mała siostrzyczka, taka bezbronna, taka pokrzywdzona. Kastracja to zbyt litościwa kara dla Raula z Vermandois.

Gdy emocje opadły, Alienor posadziła Petronelę przy kominku, dała jej serwetkę do wytarcia oczu i naląła wino do dwóch kielichów.

– Co ty sobie wyobrażałaś? – spytała. – Prędzej czy później to musiało się wydać. Łudziłaś się, że utrzymasz to w tajemnicy?

– Żyliśmy chwilą. – Petronela pociągnęła nosem. – Przyszłość się nie liczyła.

– Przyszłość zawsze się liczy.

Petronela uniosła prawą rękę i wyciągnęła ją błagalnie do siostry.

– Dlaczego nie zostawicie nas w spokoju? Przecież możemy wyjechać, osiąść gdzieś w Akwitanii. Ktoś zatroszczy się o nas. Nikt nie musi o niczym wiedzieć.

Alienor westchnęła w przypiływie bezsilności.

– Nie musi, ale się dowie. Bujasz w obłokach. Możesz zapomnieć o bożym świecie, ale świat nie zapomni o tobie. Ty i Raul z Vermandois nie zaszyjecie się tak po prostu na prowincji niczym para wieśniaków.

– Jesteś królową Francji, dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych – odrzekła buńczucznie Petronela. – Masz swoje życie i swojego męża. Ja mam prawo do tego samego.

Alienor spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Raul nie może się ożenić, bo został poślubiony bratanicy Tybalda z Szampanii. Ma dziecko. Dopuszciliście się zdrady i cudzołóstwa.

– Nie kocha żony, nigdy jej nie odwiedza.

– Życie u boku Raula to nie jest droga do szczęścia.

– A co ty wiesz o szczęściu? – odparowała Petronela. – Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że jesteś szczęśliwa z Ludwikiem.

– Moje małżeństwo nie ma tutaj nic do rzeczy.

– Aha! – Petronela wstała i krążyła po komnacie, pocierając ramiona. – Rób, co chcesz, ja nigdy nie zmienię zdania.

„Okropny zamęt powstał”, westchnęła w duchu Alienor. Początkowo sądziła, że ma do czynienia z małym skandalem, lecz sprawa rozrosła się do monstrualnych rozmiarów. Pewnie mogłaby odesłać Petronelę do zakonu w Saintes, lecz równałoby się to wpuszczeniu kota do gołębnika. Jak mogła być taka ślepa? Ale co się stało, to się nie odstanie.

Paryż, jesień 1141

Po tygodniu monotonnej podróży jesiennym gościńcem dwór w ponurych nastrojach zawitał do Paryża. Raula trzymano pod strażą, mógł jechać na własnym koniu, ale popadł w niełaskę. Pierwszego wieczoru w Poitiers wymienili kilka ostrych słów, a konkretnie Ludwik wrzeszczał, Raul zaś milczał zawstydzony, i od tamtej pory nie rozmawiali. Dworzanie brali przykład z króla i traktowali Raula jak powietrze, więc – choć podróżował wśród nich – równie dobrze mógł być nieobecny – on, dotychczas serce i dusza długich wypraw, które ożywiał anegdotą i humorem. Petronela podróżowała w lektyce pod obstawą, z dala od kochanka.

Po przybyciu do Paryża Raul znalazł się w areszcie domowym, a Petronelę ulokowano w apartamencie królowej, uniemożliwiając kontakt z ukochanym. Nadal wykazywała upór i brak skruchy, lecz Alienor słyszała nieraz płacz zza zasuniętych kotar łoża, i mimo solennego postanowienia, że nie ustąpi, serce wrywało jej się do siostry.

– Ludwiku, możemy zamienić słowo na osobności? – poprosiła.

Uniósł głowę znad dokumentu, który właśnie czytał.

– W jakiej sprawie?

– Niecierpiącej zwłoki.

Po chwili wahania rozkazał wszystkim opuścić komnatę.

Alienor podeszła do okna i wskazała na wnękę wyściełaną poduszkami.

– Usiądziesz przy mnie? – Nieopodal stała karafka, więc naląła wino do dwóch czar.

Z westchnieniem rzucił zwój pergaminu na stół.

– O co chodzi? – Stanął z założonymi rękami i nie ruszył się z miejsca.

Napiła się wina. Przywieźli je z podróży, smakowało Bordeaux.

– Zastanawiałam się, co począc z Raulem i Petronelą. Nie będziemy przecież trzymać ich pod kluczem przez resztę życia.

Ludwik wzruszył ramionami.

– A dlaczego mam ustąpić? Ciężko zgrzeszyli i zdradzili nas oboje. Jeżeli przysłaś ich usprawiedliwiać, marnujesz czas.

Zirytowała ją ta obłudna odpowiedź.

– Obwinianie ich niczego nie wnosi. Zgadzam się, że powinni odpokutować,

ale moim zdaniem należy im pozwolić na powrót do życia. Potrzebujesz Raula w radzie, a Petronela nie może mieszkać w wieży.

Ludwik obejrzał swoje paznokcie, po czym westchnął głęboko, wstał z krzesła i usiadł obok żony.

– Jeżeli się wyświadcą, przemyślą swój czyn i odpokutują, zobaczę, co da się zrobić.

– Dziękuję. – Alienor spuściła wzrok. Wiedziała, że dobrze udawać potulną, aby go udobruchać. Podejrzewała, że Petronela nie ma zamiaru niczego żałować, ale mogłaby chociaż poudawać. Po chwili z namysłem dodała: – Gdybyśmy nie byli na świeczniku, sprawa byłaby łatwiejsza. Mogliby się pobrać i po krzyku.

Ludwik popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Raul ma żonę. Drugiej sobie nie weźmie.

– Był łaskaw o tym zapomnieć, kiedy uwiódł moją siostrę – zauważyła cierpko. – Może i ma żonę, ale od dawna żyją z dala od siebie.

– Jest bratanicą Tybalda z Szampanii.

– Owszem, a Tybald dwukrotnie cię znieważył i ma za nic. Gdyby się pobrał, Petronela byłaby bezpieczna u boku ukochanego, a ty nie musiałbyś odsyłać Raula. Oczywiście podniosą się głosy protestu, ale w końcu ludziom nie pozostanie nic innego, jak się z tym pogodzić.

Ludwik przygryzł kciuk.

– Należy uzyskać jedynie unieważnienie jego ślubu – uzupełniła cichym, przekonującym tonem. – I pozbędziemy się problemu.

Zmarszczka na czole Ludwika się pogłębiła.

– Niewykluczone – przyznał z wolna. – Ale trzeba znaleźć biskupów skłonnych unieważnić jego dotychczasowe małżeństwo.

– Wzięłam to pod uwagę. Biskup z Noyon jest kuzynem Raula, Laon i Senlis również będą skorzy do pomocy. – Innymi słowy, biskupi, których można przekupić albo ci, którzy dostrzegą w tym własny interes. Ta świadomość zawisła między nimi jak brzydki zapach, lecz Alienor postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Niełatwe zadanie, ale kiedy Ludwik podejmie decyzję, bez wątpienia doprowadzi sprawę do końca. Zapewne bardziej przemawia do niego utarcie nosa Tybaldowi z Szampanii aniżeli troska o przyszłość szwagierki, ale najważniejszy jest efekt.

– Napiszę do nich – stwierdził krótko. – Ale nikomu ani słowa, dopóki nie mamy pewności. Niech twoja siostra i Raul dostaną nauczkę.

– Oczywiście.

– Wszystko sobie zaplanowałaś, jeszcze zanim tu przyszłaś, prawda?

Spojrzała na niego i oparła mu ręce na piersi.

– Tylko trochę – przyznała. – Bardzo się martwiłam i chciałam z tobą porozmawiać. Wiedziałam, że znajdziesz na to radę.

Z błyskiem w oku objął żonę i ją pocałował. Myśl o upokorzeniu Tybalda

z Szampanii za pośrednictwem jego bratanicy wzmogła w nim poczucie władzy i królewskiej praworządności, któremu dał upust w postaci nagłej i niepohamowanej żądz. Poza tym musiał przywołać żonę do porządku.

Alienor nie oponowała, ponieważ dopięła swego: rozwiązała problem Raula i Petroneli, i może tym razem zdoła zająć w ciążę.

Zimne ulewy zamieniły ruchliwe ulice Paryża w cuchnący potok. Nie sposób było się ruszyć, żeby nie ubrudzić butów i odzieży. Nawet gdy się omijało lub przeskakiwało kałuże, ktoś zawsze został ochlapany.

W pałacu otwarto okiennice, aby wpuścić światło dzienne, wraz z którym sączył się smród miasta wspólnie ze stęchłą wonią starych murów, zawilgłych o tej porze roku.

Otulona ciepłą pelisą podszytą skórkami rosyjskich wiewiórek Alienor siedziała przy kominku w swojej komnacie i trzymała w ręku dokument opatrzony kilkoma pieczęciami na sznurkach. I mimo ponurej aury oraz smrodu, na jej twarzy rozkwitł anielski uśmiech.

Drzwi się otworzyły i weszła Petronela w asyście dwórek, z których wszystkie były poważnymi matronami. Rzuciła pelerynę na kufer i zdjęła czepiec, ukazując długie, brązowe warkocze.

– To już koniec! – Oczy jej błyszczały. – Do czysta obmyłam się z grzechu, jak nowo narodzona owieczka. Cały ranek szorowałam nogi biedaków, którzy brodzili w tym brudzie. Ofiarowałam im chleb oraz jałmużnę i dotykałam ich ran. – Skrzywiła twarz w grymasie. – Wdychałam ich smród i wydychałam go w modlitwie. Korzyłam się i błagałam o wybaczenie. – Posłała siostrze wyzywające spojrzenie. – Nie błagałam o wybaczenie za miłość do Raula, po prostu mam dosyć tego, że ludzie traktują mnie jak zarazę. Jestem taka jak zawsze, a wszyscy mnie znienawidzili.

– Wcale cię nie nienawidzą. – Alienor zdobyła się na cierpliwość. – Chodź, usiądź obok mnie.

Petronela z westchnieniem spełniła prośbę siostry i sięgnęła po robótkę, którą zajmowała się przed wyjściem do kościoła. Był to rąbek tuniki, wyszywany zielonym jedwabiem we wzór akantu.

– Posłuchaj – zaczęła Alienor. – Sprawdzaliśmy z Ludwikiem prawdopodobieństwo unieważnienia małżeństwa Raula i sądzimy, że to możliwe.

Petronela opuściła robótkę.

– Unieważnienie? – spytała z niedowierzaniem.

– Postanowiłam ci nie mówić, dopóki nie nabraliśmy pewności, zresztą miałaś swoją pokutę, ale udało nam się znaleźć trzech biskupów, którzy wyrazili zgodę. – Postukała w pergamin. – Jeśli wszystko się powiedzie, będziecie mogli się

pobrać, gdy tylko dopełnimy formalności.

Petronela przycisnęła rękę do piersi jakby w obawie, że jej serce wyskoczy. Kiedy siostra z troską nachyliła się ku niej, potrzęsła głową i wybuchła radosnym śmiechem.

– Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz! Przecież jesteśmy siostrami. Cud! Cud prawdziwy! Modliłam się i błagałam o to na kolanach w kościele, kiedy myślałam stopy potrzebującym! – Rzuciła się siostrze na szyję. – Dziękuję ci, kochana, dziękuję!

Alienor odwzajemniła uścisk ze łzami w oczach, bo miłość do siostry była bezwarunkowa, bez względu na wybryki Petroneli.

– Odtąd obiecuję być grzeczna. Będę najlepszą żoną na świecie! – przysięgła dziewczyna. – Możemy być siostrami tak jak kiedyś!

Lecz Alienor wiedziała swoje: za dużo się zmieniło, zbyt wiele się zdarzyło i zostało powiedziane. Ale uścisk Petroneli ją pokrzepił i utwierdził w przekonaniu, że siostrzana więź, chociaż nadszarpnięta, mimo wszystko ocalała.

– Czy Raul wie? – spytała Petronela.

– Ludwik go zawiadomi. Czekaliśmy na wieści od biskupów. – Alienor ostrzegawczo uniosła palec. – Pamiętaj, to wzbudzi protesty. Tybald z Szampanii nie uzna waszego małżeństwa, potraktuje je jako osobisty afront. Poróżnił się już z Ludwikiem z powodu Tuluzy, a to znacznie pogorszy ich stosunki. Podejrzewam, że skrzyknie własnych kapłanów, którzy potępiają naszą decyzję.

– Niech potępiają – ucięła z mocą Petronela. Ponownie przytuliła siostrę. – Przysięgam o nic więcej nie prosić! Dostanę wszystko, na czym mi zależy!

Uśmiech Alienor nie sięgnął oczu, bo „wszystko” jest mieczem obosiecznym. Mieć wszystko to mieć znacznie więcej do stracenia.

Raul z obawą wszedł do królewskiej komnaty. Od razu spostrzegł, że odprawiono służących. Wewnątrz zastał opata Sugera, Roberta z Dreux, brata Ludwika, a także jego wujów, Wilhelma z Montferratu i Amadégo de Maurienne.

– Panie. – Raul ukląkł i skłonił głowę. Nie widział Ludwika od kilku dni. Nadal go pilnowano, pomimo zniesienia ścisłego aresztu domowego. Czuł otaczającą go dezaprobatę: został wykluczony z nadwornych kręgów i zdawał sobie sprawę, że nic go nie chroni. Ludzie w niełasce rzadko kiedy żyli długo i szczęśliwie.

Ludwik kazał mu wstać.

– Wezwałem cię w sprawie twojego postępowania z siostrą królowej – oznajmił lodowato.

Raul skłonił się jeszcze niżej.

– Moje życie jest w twoich rękach, panie. Nie liczę na pobłażanie. Zrobię

wszystko, co w mojej mocy, aby naprawić swój błąd.

Na twarzy Ludwika odmalował się wyraz pogardy.

– Nie wątpię. Zawsze miałeś dar wymowy, ale miejmy nadzieję, że tym razem czyny nie zaprzeczają słowom.

Raul odchrząknął.

– Nie, panie.

– To więcej niż tylko sprawa rodzinna, to również sprawa wagi państwowej – ciągnął Ludwik. – Konsekwencje każdej mojej decyzji wykrócą daleko poza te cztery ściany. Zaczniemy od tego, że musisz ożenić się z moją szwagierką.

Raul wpatrywał się w niego w osłupieniu.

– Znalazłem trzech biskupów, w tym twojego kuzyna, skłonnych unieważnić twoje małżeństwo z Leonorą, dzięki czemu będziesz mógł poślubić lady Petronelę.

– Ludwik wykrzywił usta. – Nie powiem, bym o tym marzył, ale raczej nie znajdę lepszego rozwiązania.

Raul przełknął ślinę.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie.

– To musi być dla ciebie nowe doświadczenie – wtrącił złośliwie Robert z Dreux.

Ludwik łypnął na niego ostrzegawczo.

– Ślub odbędzie się niezwłocznie po ogłoszeniu unieważnienia, bez zbędnej zwłoki. Tymczasem udasz się z opatem Sugerem do Saint-Denis, gdzie odpokutujesz za grzechy.

Raula ścisnęło w żołądku. Wolałby tego uniknąć, ale nie miał wyjścia. I tak był skończony, Ludwik już dawno mógł kazać go zabić. Starsi mężczyźni spoglądali na niego z nieskrywaną pogardą.

– Panie, jesteś bardzo łaskawy – odrzekł.

– Bynajmniej – uciał Ludwik. – Kieruje mną jedynie konieczność oraz względy praktyczne. Łaska nie ma tutaj nic do rzeczy.

Raul opuścił królewską komnatę w stanie oszołomienia, ale z wolna zaczynały do niego docierać konsekwencje unieważnienia. Z roku na rok widywali się z Leonorą coraz rzadziej, a nawet wówczas prawie ze sobą nie rozmawiali. Ona zapewne też ucieszy się z takiego obrotu spraw. Utraci jednakże pozycję, co jej się nie spodoba. Temu nie potrafił zaradzić, choć myśl mocno go zaniepokoiła.

Na osłodę pomyślał o Petroneli. Naprawdę ją kochał i bardzo go pociągała, a do tego była siostrą królowej; jeśli Alienor nie doczeka się potomstwa, Akwitania przypadnie Petroneli, ich wspólne dzieci zaś będą miały prawa do księstwa. Prawdę powiedziawszy, mimo ostatnich problemów oraz trudności, jakie go jeszcze czekały, nabrał wiary, że być może wszystko ułoży się po jego myśli.

Raul i Petronela wzięli cichy ślub między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, w kaplicy Świętego Mikołaja w pałacu królewskim; w świątecznej atmosferze przeszedł prawie niezauważony. Petronela włożyła ciemnoczerwoną suknię z wełny, obszytą gronostajem. Raul był bez reszty oczarowany ponętą, młodziutką oblubienicą, co uznano za całkiem zrozumiałe, w przeciwieństwie do jej fascynacji jednookim pięćdziesięciolatkiem, niemniej jednak sprawiała wrażenie równie zauroczonej jak jej wybranek.

Po ślubie młoda para wyjechała do posiadłości Raula na północ od Paryża, nacieszyć się sobą i przeczekać, aż skandal przycichnie. Ale burza dopiero się rozpętała. Tybald z Szampanii uniósł się gniewem w imieniu znieważonej bratanicy i nazwał Raula cudzołożnikiem i rozpustnikiem, który deprawuje młode dziewczęta. Bernard z Clairvaux opowiedział się po jego stronie i obaj poskarżyli się papieżowi. Tybald obraził Ludwika, udzielając wsparcia i schronienia Piotrowi z La Châtre, prawnie wybranemu, ale odrzuconemu arcybiskupowi Bourges.

Ludwik niezwłocznie zagroził, że zetnie Piotrowi głowę i zatkie ją na kiju na paryskim Petit-Pont, z głową Tybalda dla towarzystwa. Złożył publiczną przysięgę przed ołtarzem w Saint-Denis, że dopóki jest królem, dopóty noga Piotra z La Châtre nie postanie w katedrze w Bourges. Papież Innocenty w rewanżu nałożył na Francję interdykt, na co Ludwik odpowiedział wściekłym listem, w którym napisał, że zawsze popierał Kościół i czczył papieża, a całą winę za zaistniałą sytuację zrzucił na spiskujące duchowieństwo w Bourges z Tybaldem do spółki.

Cisza, która potem nastąpiła, wieszczyla kolejną burzę. Ludwik trwał w stanie nerwowego napięcia, wybuchał z byle powodu, a cały dwór bał się głośniej odetchnąć.

Alienor siedziała u siebie i przeglądała swoje pierścienie. Zamierzała podarować część z nich ludziom, którzy jej wiernie służyli. Jeden zalśnił na dnie szkatułki, wsunęła go na palec. Wyszadzany rubinami przypominającymi pestki granatu, należał kiedyś do jej babki Filipy. Kamienie symbolizowały kobiety z jej rodu, sam pierścień zaś przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Wyciągnęła rękę, aby mu się przyjrzeć, i zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek przekaze go własnemu dziecku. Ludwik nadal nieregularnie odwiedzał jej sypialnię, bez powodzenia. Czerwone kamienie mogły w zasadzie symbolizować jej zmarnowaną krew, gdy kolejne miesiące nie przynosiły postępu w wiadomej sprawie.

W jej rozmyślania wdarło się gorączkowe pukanie. Gizela otworzyła drzwi rozplómonionemu i zdyszanemu paziowi.

– Pani, król chce cię natychmiast widzieć!

Wstała.

– Co się stało?

– Przyszedł list od papieża. Król prosi, byś przyszła.

Alienor wyczytała z miny młodego człowieka, że wieści nie są pomyślne. Poprosiwszy Gizełę, aby jej towarzyszyła, udała się za paziem do komnaty Ludwika.

Zastała go przy pulpicie, z posępną miną i zwojem pergaminu w zaciśniętej pięści. Kiedy Alienor weszła, wbił w nią wściekle spojrzenie.

– Tybald z Szampanii zwołał synod w Troyes za moimi plecami, w obecności legata papieskiego. Zobacz, co on znowu narobił! – Rzucił jej pergamin.

Alienor przeczytała i struchlała. Papież podtrzymał protest Tybalda w imieniu bratanicy. Nie uznał związku Raula i Petroneli i zawiesił biskupów, którzy unieważnili pierwszy ślub Raula. Jakby tego było mało, Innocenty zażądał, by Raul i Petronela rozstali się pod groźbą ekskomuniki, i wyraził ubolewanie, że Ludwik poparł taki układ.

– Wścibskie klechy nie będą mi rozkazywać – warknął. – Nie przemawiają w imieniu Boga i nie zdzierzę dalszego wtrącania się Tybalda i papieża!

– Musisz coś z tym zrobić – stwierdziła Alienor, dumając, na kogo mogliby wpłynąć, aby wstawił się za nimi w Stolicy Apostolskiej.

– Mam taki zamiar. Zniszczę to gniazdo os w Szampanii. Kiedy owad cię żądli, trzeba go zdeptać.

Później w sypialni wziął ją z całym impetem swojej furii, nie bacząc na ból, który jej sprawiał, jakby przelewał na nią odpowiedzialność za to, co zaszło. Zniosła to z zaciśniętymi zębami, ponieważ wiedziała, że ochłonie, kiedy się zaspokoi, a wtedy ona sobie z nim poradzi. Przypominał dziecko w ataku złości. Gdy skończył, poprawił ubranie i bez słowa wymaszerował z komnaty. Wiedziała, że idzie się pomodlić: spędzi noc na klęczkach, bijąc się w pierś i błagając Boga, aby unicestwił jego wrogów.

Obolała po jego napaści, zadowolona, że poszedł, objęła poduszkę, obmyślając rozwiązanie papieskiego dylematu, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Innocenty był starym, upartym osłem, których słuchał jedynie mącieli pokroju Bernarda z Clairvaux, sojusznika Tybalda. Koniec końców wstała, zapaliła świecę i uklękała, żeby się pomodlić, lecz choć rytuał ten pomógł jej zasnąć, nie przyniósł upragnionych odpowiedzi.

Szampania, lato 1142

Ludwik wziął łyk wina, przepłukał usta, po czym wychylił się z siodła i wypluł, w przeciwnym bowiem razie by z wymiotował. Od kilku dni cierpiał na niestrawność, ale nadal mógł jeździć konno, toteż podbój i niszczenie Szampanii trwały nadal. Przekraczał granice, zarówno w sensie geograficznym, jak i moralnym. Odkąd mnisi z Bourges wybrali własnego arcybiskupa wbrew jego woli, wzbierały w nim gniew i frustracja, dolewając oliwy do ognia negatywnych uczuć, które pielęgnował od dawna. Lęków małego chłopca, odebranego piastunce i rzuconego na pastwę surowej dyscypliny Kościoła. Ran zadanych przez zimną, nieustępliwą matkę, która nie szczędziła mu dezaprobaty. Furii z powodu kłamstw i dwulicowości ludzi, którym zawierzył. Czerwona mgła rozpierała mu czaszkę. Dręczyły go koszmary o demonach uczepionych jego stóp i ciągnących go w przepaść, gdy na próżno czepiał się śliskich krawędzi. Nawet sen przy zapalonych świecach nie dawał mu wystarczająco dużo światła, więc kapelan i templariusz musieli przy nim czuwać od wieczora do białego rana.

Między codziennymi przemarszami przez Szampanię modlił się na klęczkach do Boga, ale umysł nadal miał zamglony, a Bóg objawiał mu się pod postacią kolejnych zwycięstw, gdy posuwał się doliną Marny. Jego armia nie napotykała oporu, toteż grabiła i plądrowała, deptała winnice i puszczała z dymem pola uprawne, pozostawiając za sobą pobojuwisko. Każde podbite i złupione miasto było triumfalnym ciosem wymierzonym w grzbiet hrabiego Tybalda i mnichów z Bourges. Ludwika napędzała żądza zemsty za mocno nadwerżony honor swojej rodziny i dawne zniewagi ze strony panów Szampanii. Tak dalece zboczył z obranej ścieżki, że przyświecała mu jedynie własna królewskość z boskim prawem do władania wszystkimi, ci zaś mieli bez szemrania się przed nim ukorzyć.

Na wprost rozciągało się Vitry, leżące nieopodal rzeki Saulx. Ludność wzniosła prowizoryczne barykady z pni drzew oraz przewróconych wozów i wysypała gruz pod murami, jednakże była bezradna w obliczu ataku, jaki Ludwik kazał przypuścić na miasto.

Napaść przeprowadzono błyskawicznie. Ogień rozkwitł na dachach i objął stodoły, żwawo skacząc między budynkami, niesiony rozgrzanym letnim wiatrem. Ludwik patrzył z bezpiecznej odległości, jak jego wojska dokonują dzieła zniszczenia. Spośród kłębow dymu i pożogi dobiegały bojowe okrzyki oraz szczęk oręża. Ból pulsował mu w skroniach, a ołowiany ciężar w brzuchu nasuwał

poczucie, jakby całe zebrane w nim plugastwo miało zaraz rozlać się lśniąca, ciemną masą. Wyobraził sobie, że jego kolczuga to brzemień grzechu, ciągnące go ku ziemi.

Podjechał jego brat Robert, siedział lekko w siodle, ale trzymał krótko wodze. Słońce załśniło na jego kolczudze i hełmie, śląc ogniste punkciki.

– Tak wieje, że do rana z miasta nic nie zostanie.

– Tybald z Szampanii sam ściągnął taki los na swoją głowę – odpowiedział Ludwik ponuro.

Robert wzruszył ramionami.

– Pytanie tylko, co my na siebie ściągniemy.

Między braćmi zapadło posępne milczenie. Ludwik ostro ściągnął wodze i wrócił do namiotu, rozstawionego na czas oblężenia.

Płótno pochłaniało część uprzykrzonego żaru. Ludwik kazał wszystkim wyjść i ukląkł przy swoim ołtarzyku. Chłodne złoto i marmur skrywające święte relikwie dały mu chwilę wytchnienia od dudniącej szkarłatnej ciemności w czeluściach jego umysłu. Bernard z Clairvaux ostrzegał, że Bóg może zatrzymać oddech królów; był dotkliwie świadomy każdego wdechu, a także ciężaru zbroi, pancerza grzechu. Liczył paciorki różańca pomiędzy palcami i usiłował czerpać otuchę z dotyku chłodnych, gładkich agatów, odmawiając przy tym Modlitwę Pańską.

Kłapy namiotu załopotwały i Robert zająrzył do środka.

– Kościół płonie – oznajmił. – Większość mieszkańców schroniła się w środku, w tym kobiety i dzieci.

Ludwik ze zgrozą utkwiał w nim wzrok. Chociaż mnisi z Bourges zasłużyli sobie na wszystko, co im zgotował, Kościół w szerszym rozumieniu tego słowa nadal był domem Boga. Owszem, nie miał litości dla ziem Tybalda, jednakże przy założeniu, że ich mieszkańcy zdążą uciec lub poszukać schronienia.

– Nie wydałem takiego rozkazu. – Poderwał się gwałtownie.

– Wiatr przeniósł ogień z sąsiednich domów.

– Zostawcie ludziom wolną drogę. – Ludwik zdjął miecz do modlitwy, ale teraz ponownie go przypasał. – Niech nasi się cofną.

– Za późno, bracie.

Zmartwiały Ludwik wyszedł w ślad za Robertem na punkt widokowy. Kościół faktycznie stał w ogniu: dach, ściany, wszystko. Wiatr zmienił kierunek i płomień buchnął ku niebu jak łakome języki tysiąca demonów. Nikt nie zdołał ująć żywy z takiej pożogi.

– Ugasić! – rozkazał Ludwik. Tłumione emocje zniekształciły mu twarz. – Niech nabiorą wodę z rzeki! – Niemal poczuł, jak kolczuga rozgrzewa mu się do czerwoności, i ujrzał oczyma wyobraźni, jak ogień pełga na broni i pozostawia na niej niezatarte plamy.

Robert zerknął na niego spod oka.

– A kazałbyś dziecku sikać na ognisko, aby je ugasić? Nie zdołamy tam podejść.

– Rób, co powiedziałem!

Robert odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Ludwik zażądał konia, a gdy giermek przyprowadził mu spoconego siwka, chwycił uprząż i wskoczył na siodło. Gdy pogalopował ścieżką w stronę miasta, pozostali ledwo za nim nadążali. Otaczały go płonące budynki, kłęby dławiącego dymu zasłaniały widok. Gnał przez arkady ognia, szpony płomieni wysuwały się ku niemu, jak gdyby chciały go wciągnąć i unicestwić. Wierzchowiec zaparł się kopytami w ziemię i stanął dęba, toteż Ludwikowi nie pozostawało nic innego, jak zawrócić. Wiadra i studnie spłonęły, więc nawet z dostępem do rzeki los kościoła i zgromadzonych w środku był przesądzony.

Ludwik wrócił do obozowiska z głową odrzuconą w tył, po jego spieczonych policzkach spływały łzy. Miał spalone brwi, paskudne oparzenie na wierzchu dłoni niczym stygmat, a w jego umyśle szalała pożoga.

Noc spędził na klęczkach przy swoim ołtarzyku, nie pozwolił opatrzeć sobie ran. W bladym świetle jutrzeńki, wśród dymów nad pogorzeliem i oparów mgły znad rzeki, odwiedził zwęglone ruiny kościoła: stos pogrzebowy ponad tysiąca mężczyzn, kobiet i dzieci. Ogień wprawdzie zgasł, lecz osmolone drewno nadal parzyło. Choć starał się nie patrzeć, dostrzegał kątem oka szerniałe, poskręcane kształty, sterczące niczym konary z trzęsawiska. Mało nie udławił się od smrodu spalonego ciała, drewna i kamienia. Padł na kolana w popielisku i zapłakał, wznosząc głos ku Bogu, przepelniony skrucą i strachem. Ale jego złość na Tybalda z Szampanii i mnichów z Bourges jeszcze się wzmogła, bo to oni, tylko oni, ponosili winę za to świętokradztwo.

Paryż, lato 1142

Alienor rozejrzała się po komnacie przygotowanej na triumfalny powrót Ludwika z Szampanii. Służący podgrzali wodę i szykowali balię na kąpiel. Wywietrzyli i zaścielili łóżko najlepszą pościelą. Zawiesili kotary ze złotego brokatu, a w kominkach płonęły bryłki pachnącego kadzidła. Na odświętnie nakrytych stołach czekały wyśmienite potrawy. Pieczone ptactwo, tarty serowe, migdałowe kulki nurzane w miodzie, jabłka w cieście i paszteciki, pachnące białe pieczywo oraz misy pełne krwistoczerwonych czereśni.

Pod nieobecność Ludwika docierały do niej same ogólniki. Kampania przebiegała pomyślnie. Napotykali niewielki opór ze strony hrabiego Tybalda i na przekór jego buńczucznej postawie Szampania odsłoniła miękkie podbrzusze, a jej siły nie dorównywały francuskim. Kościół potępił działania Ludwika. Na mocy korespondencji Bernarda z Clairvaux ze Stolicą Apostolską w imieniu Tybalda Ludwik otrzymał rozkaz zaprzestania ataków pod groźbą potępienia duszy. Osobiście zastosował się do polecenia i zawrócił, ale jego armia pozostała w Szampanii, gdzie dopełniała dzieła zniszczenia. Ludwik robił, co musiał, by skłonić Tybalda do posłuchu, i jego strategia się sprawdzała. W oczekiwaniu na triumfalny powrót męża ubrała się stosownie do okazji w suknię ze złotymi lilijkami, zaplotła włosy w misterne warkocze i nałożyła diadem wysadzany perłami i górskimi kryształami.

Kiedy szambelan obwieścił przybycie króla, serce zabiło jej mocniej w piersi. Rozpaczliwie za nim tęskniła, za jego rośłym, muskularnym ciałem oraz kaskadą srebrzystych włosów. Wyobraziła sobie, jak pada mu w ramiona i wita pocałunkami. Mogliby zacząć od nowa, udać, że spotykają się po raz pierwszy jako mężczyzna i kobieta, a nie chłopiec i dziewczyna. Wraz z dwórkami opuściła komnatę i udała się do sali tronowej, aby powitać małżonka w domu.

Ludwik ze świtą wkroczył do środka przy wtórze fanfar. Alienor zwróciła wzrok ku niemu, ale nie dostrzegła blasku lnianych włosów ani lśnienia złotego jedwabiu, w pierwszej chwili w ogóle go nie poznała. Tam, gdzie spodziewała się ujrzeć męża, stał brudny, umęczony podróżą zgarbiony mnich. Zrazu wzięła go za jednego ze sługusów Bernarda z Clairvaux, ale kiedy podniósł głowę i na nią spojrzał, uświadomiła sobie ze zgrozą, że widzi własnego męża. Boże miłosierny, co mu się stało? Zamienił się w starca! Siłąc się na opanowanie, dygnęła i spuściła głowę. Podszedł, szurając nogami, aby ją podnieść i ucałować, co wydało jej się dotykem śmierci. Miał lepkie dłonie, oddech zaś tak cuchnący, że z wysiłkiem

stłumiła odruch wymiotny. Zalatywał potem i chorobą. Czubek głowy miał wygolony, a włosy dokoła tłuste i przyklepane, bez śladu dawnej urody. Przyszczyżone niemalże do skóry utraciły swój złoty połysk i poszarzały.

Alienor zorientowała się, że wszyscy wlepili w niego zadziwiony wzrok. Podchwyciła spojrzenie Roberta z Dreux, który ledwie dostrzegalnie potrząsnął głową. Odzyskawszy rezon, dotknęła rękawa Ludwika i omal nie krzyknęła, gdy pchła skoczyła na wierzch jej dłoni.

– Panie – zaczęła – widzę, że jesteś znużony. Zechcesz udać się do swej komnaty, a ja ci usłużę?

Po chwili wahania ruszył za nią na chwiejnych nogach. Gdy dotarli do komnaty w Wielkiej Wieży, dostrzegł rozstawione potrawy i grdyka mu podskoczyła. Następnie zerknął na balię oraz parujące cebrzyki z gorącą wodą i pokręcił głową.

– Jeśli coś zjem, zwymiotuję – oznajmił. – A mój wygląd nie ma najmniejszego znaczenia.

– Ależ ma! Musisz zjeść i obmyć się po podróży, ciało potrzebuje wytchnienia.

– Bynajmniej. – Ludwik opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Alienor uklękła, żeby zdjąć mu buty, i aż się wzdrygnęła od smrodu jego stóp. Były brudne ponad wszelkie wyobrażenie, czarne między palcami i pod długimi paznokciami, a do tego oblażyły ze skóry. Zemdliło ją. Dostrzegła kątem oka, jak Raul z Vermandois i Robert z Dreux wymieniają spojrzenia.

– Przynies miszkę z ciepłą wodą różaną i ręcznik – warknęła na służącą, która stała z boku i wybałuszała oczy.

– Już ci mówiłem, że nie potrzebuję twoich zabiegów – oświadczył sztywno Ludwik.

– Umyć stopy strudzonemu pielgrzymowi to świętość – odrzekła z uporem. – Chcesz odmówić mi tej powinności?

Ustąpił, zrezygnowany. Kiedy służąca wróciła z miską, Alienor z samozaparciem przystąpiła do niewdzięcznego zadania. Zachodziła w głowę, co mu się stało. Wyruszył jako wspaniały książę na czele armii, dumnie powiewając sztandarami, gotów zdeptać Tybalda z Szampanii, a powrócił jako święty asceta, który głodził się i umartwiał do granic obłędu.

Zawzięcie odmawiał wina i strawy, dopóki nie przyniosła mu wody źródlanej w chalcedonowej czarze.

– Oczyszczy krew – zapewniła.

Drżącymi rękami podniósł czarę do ust i wypił, a ona uklękła, by dokończyć zadanie. Następnie wstała i dotknęła jego czoła, czy nie ma gorączki, ale ją odepchnął. I zaraz zrobił minę, jakby tego pożałował.

– Muszę odpocząć – mruknął. – To wszystko.

– Nie możesz się położyć w takim stanie. Przebierz się chociaż w odzież godną komnaty, a nie stajni.

– Nie dbam o to – odpowiedział Ludwik, ale dał z siebie zdjąć brudne ubranie. Alienor ponownie oniemiała ze zgrozy. Jeśli miał ubrudzoną wierzchnią szatę, odzież pod spodem przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Skórę miał usianą ugryzieniami owadów, a cuchnący brud wypełniał każdą fałdę i zagłębienie ciała. Zatracił mięśnie i stał się kościsty jak starzec. Zastanawiała się, kiedy ostatnio jadł przyzwoity posiłek, i poczuła mieszaną niepokojem, współczuciem i odrazą.

– Teraz ja się o ciebie zatroszczę – rzekła kojącym tonem, obmywając różaną wodą jego wynędzniałą postać.

Potrząsnął głową.

– Strata czasu.

Nie chciał włożyć lnianej koszuli, którą dla niego przygotowała, obstawał przy szorstkiej, jednej z uszytych przez jej dwórki dla biedoty. Przynajmniej była czysta, więc Alienor dała za wygraną. W końcu namówiła go, żeby się położył. Nie pozwolił zdmuchnąć świec i wezwał kapelanów, by modlili się przy łóżku za jego duszę.

Alienor zaniepokojona wyszła z komnaty. Przy wsparciu silnego męża mogła się czuć bezpieczna, jeśli jednak Ludwik utracił tę siłę, co ją teraz czeka?

– Co mu się stało? – zapytała Raula z Vermandois i Roberta z Dreux. – Dlaczego taki jest? Mówcie!

Raul potarł zmęczonym palcem opaskę na oku.

– Od jakiegoś czasu był nieswój, ale Vitry przepelniło czarę. Od tamtej pory prawie nie jadł i nie spał, na krok nie rozstaje się też z kapelanami, jak sama widziałaś, pani.

– Ale co tam zaszło? W listach nie było o tym wzmianki.

– Spłonął kościół, a w nim mieszkańcy – odpowiedział Robert. – Ponad tysiąc mężczyzn, kobiet i dzieci. – Odwrócił wzrok i przełknął. – Nie chciałbym ponownie tego doświadczyć za żadne skarby. Boję się, że to pomieszało mi w głowie. Obwinia Tybalda z Szampanii i mnichów z Bourges, ale ma poczucie, że sam rzucił pochodnię.

– Powinniście byli mnie uprzedzić – wypomniała. – Lepiej bym się przygotowała.

– Sądziliśmy, że ochłonie i pogodzi się z sytuacją – odrzekł Raul. – Być może tak się właśnie stanie. – Przeszył ją wzrokiem. – Wołał cię nocami... i swoją matkę.

Alienor przygryzła wargę. Sytuacja ją przerosła – żadną miarą nie mogła przewidzieć takiego obrotu spraw – ale musi przywołać Ludwika do porządku. W przeciwnym razie inni skorzystają ze sposobności, a na francuskim dworze sprzymierzeńców miała niewiele.

Zamek w Arras, październik 1143

Alienor siedziała z siostrą w wykuszu okiennym w domu Raula w Arras. Liście na zewnątrz oblekły się złotem i rdzą. Petronela wyczekiwała tutaj porodu, gdyż kilka miesięcy po powrocie Raula z Szampanii zaszła w ciążę.

– Dziecko nie ma jak kopać – oznajmiła z pretensją. – Oby to długo nie potrwało, bo pęknę! – Oparła rękę na wielkim brzuchu. – Prawie nie mogę chodzić.

– Dobrze wyglądasz – stwierdziła Alienor. Siostra faktycznie wyglądała kwitnąco, miała piękną cerę i lśniące jak jedwab włosy.

Petronela napuszyła się trochę.

– Raul też tak mówi.

– Teraz, po śmierci papieża Innocentego, może zdołamy rozwiązać problem arcybiskupstwa Bourges i twojego małżeństwa. Papież Celestyn wykazuje pojednawcze nastawienie. Obiecał już, że zniesie interdikt nałożony na Francję.

Petronela wysunęła podbródek.

– Niech papież sobie mówi, co chce. Jestem żoną Raula i nic tego nie zmieni.

– Podniosła robótkę. – Jak samopoczucie Ludwika?

Alienor się skrzywiła.

– Lepiej niż po powrocie z Szampanii, ale bardzo się zmienił... Nosi się i mówi jak mnich. – Niecierpliwie machnęła ręką. – Bóg chce tego, Bóg chce tamtego. Już nie nadażam za tymi zachciankami! Czasem nie widuję go przez kilka dni, a kiedy się pojawia, nie sposób się z nim porozumieć. Ty i Raul tak świetnie się dogadujecie, całujecie się i żartujecie, a zostaliście wyklęci przez Rzym i Kościół. Kiedy ja usiłuję zbliżyć się do Ludwika, ucieka przede mną jak przed zarazą. Ty spodziewasz się dziecka: pytam, jak mam urodzić następcę tronu, skoro sypiam sama? Od powrotu z Vitry nie był ze mną ani razu.

– Podaj mu miłosną nalewkę – poradziła Petronela. – Albo dosyp do wina kilka ziarenek Raju.

– Próbowałam, ale wszystko na nic.

– Przebierz się za zakonnice lub mnicha... albo templariusza. Tego też próbowałaś?

Alienor pogroziła jej palcem.

– Wystarczy. Za daleko się posuwasz.

– Tak? – Petronela obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem i wstała, podpierając rękami dół pleców. – Ja wykorzystałabym każdą możliwość w razie potrzeby. Kto wie, może wam się spodoba?

Alienor przygryzła wargę. Petronela była niepoprawna, ale jej słowa trafiły w sedno, zwłaszcza wzmianka o templariuszu. Ludwik zasięgał rad templariusza Teodoryka Galerana, który należał również do grona doradców jego ojca. Był eunuchem, ale wykastrowano go w dorosłym wieku, dlatego wciąż rozciągał aurę siły i męskości. Wywierał osobliwy wpływ na Ludwika, zwłaszcza odkąd zaczął czuwać przy jego łóżku, co miało ponoć odpędzić demony prześladowające króla nocą. Kiedyś przyszła do Ludwika wczesnym rankiem i ujrzała Teodoryka w samej bieliźnie, myjącego się przy królewskiej miednicy. Podejrzewała, że śpią w jednym łóżu, platonicznie lub nie, lecz nie czuła się na siłach dążyć do tematu.

Alienor spojrzała na wykąpane dziecko w powijakach, które trzymała na rękach. Zgodnie z tradycją rodu Vermandois, dziewczynka miała dostać na imię Izabela. Miała skórę miększą od kwiatowych płatków, złocisty puszek na głowie i była przepiękna.

Poród odbył się gładko i Petronela siedziała w świeżej pościeli, popijając wino wzmocnione ziołami i rozkoszując się powszechną uwagą.

– Pani, twój mąż pyta, czy może zobaczyć ciebie i dziecko – oznajmiła pokojowa, wracając od drzwi.

– Daj mi ją – poleciła siostrze Petronela. Odstawiła kielich i wyciągnęła rękę po dziecko. Alienor ostrożnie podała jej zawiniątko i z ukłuciem zazdrości patrzyła, jak Petronela mości się niczym Madonna. – Przekaż mojemu panu, że przyjmę go z miłą chęcią – dorzuciła pod adresem pokojowej.

Raul wkroczył do komnaty i podszedł do łóża na paluszkach, co kompletnie nie licowało z jego rosnącą posturą. Czule ucałował żonę i z uznaniem zawiesił wzrok na jej nabrzmiałym biuście. Petronela zaśmiała się cicho.

– Jeszcze nie dla ciebie – zapowiedziała.

– Nie mogę się doczekać. – Odwinął kocyk, żeby się lepiej przyjrzeć maleństwu. – Ach, urodą prawie dorównuje dzielnej mamusi.

Alienor podeszła do okna. Zbierało jej się na płacz, bo nigdy nie zazna z Ludwikiem takiej więzi. Byłby wstrząśnięty na samą myśl o przebywaniu w pobliżu komnaty, w której rodziła, nie wspominając o wzięciu jej za rękę i odwiedzeniu w połogu, zwłaszcza gdyby wydała na świat dziewczynkę, gdyż zbrukałoby to jego czystość i uznałby płęć dziecka za porażkę. Ścisnęło ją w gardle od przekomarzania, nieskrywanej zmysłowości i szczerego uczucia łączącego siostrę i Raula. Na przekór licznym przeciwnościom losu Petronela mogła się uważać za szczęściarę, Alienor zaś, piąte koło u wozu, poczuła się jak ostatnia żebraczka.

– Dziewczynka – obwieściła Ludwikowi. – Dali jej na imię Izabela.

Ludwik odchrząknął.

– Dobrze się stało, bo Raul ma syna z pierwszego małżeństwa. Nie będą się kłócić o spadek.

– Ale Petronela może jeszcze urodzić syna. Z pierwszym dzieckiem szybko się uwinęła.

– Za wcześnie o tym mówić. Mamy co najmniej rok spokoju.

Alienor nalala Ludwikowi wina i zaniósła mu kielich. Tego dnia miał na sobie długą, wełnianą tunikę ufarbowaną na granatowo, a na szyi zawiesił duży krzyż ze złota i szafirów. Zachował tonsurę, lecz włosy odrosły mu dookoła i odzyskały dawny srebrzysty odcień. Od powrotu z Szampanii odzyskał nieco równowagę, toteż brudny pustelnik przypominał teraz ascetycznego księcia w służbie Kościoła. Nie prezentował się najgorzej i pomimo trudności Alienor zachowała dla niego ciepłe uczucia, poza tym widok Petroneli i Raula natchnął ją do podjęcia kolejnej próby. Było to konieczne z politycznego punktu widzenia, dla niej, dla Francji i dla jej męża.

– Tęskniłam, kiedy wyjechałeś – powiedziała, kładąc mu dłoń na rękawie.

– Ja za tobą również – odrzekł z czujną nutą w głosie.

– Przyjdiesz do mnie później?

Wyczytała z jego wahania, że obmyśla wymówkę. Stłumiła gniew i zniecierpliwienie. Petronela zapewne nie musiała prosić Raula ani razu.

– Musimy spłodzić dziedzica – dodała. – Od naszego ślubu minęło sześć lat. Bez twojego udziału nie dam Francji następcy tronu. Nie wierzę, że to dla ciebie taki przykry obowiązek.

Ludwik odsunął się od niej i wypił łyk wina, po czym stanął przy oknie i wyjrzał na rzekę. Chwilę odczekała i podeszła do niego.

– Chodź, pomasuję ci plecy – zaproponowała łagodnie. – Widzę, jaki jesteś spięty, od wieków ze sobą nie rozmawialiśmy.

Z westchnieniem pozwolił zaprowadzić się do łoża. Przyniosła małą fiolkę olejku zapachowego ze ściennej wnęki i poprosiła, by zdjął tunikę i koszulę. Miał bladą i gładką skórę, chłodną jak marmur. Powolnymi ruchami przystąpiła do swego zadania.

– Myślisz, że nowy papież usankcjonuje unieważnienie ślubu Raula?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział w złożone ręce. – Wprawdzie zniósł interdykt, lecz pewne kręgi go podjudzają do utrzymania stanowiska poprzednika. Jutro w Saint-Denis Suger spotka się z Bernardem z Clairvaux w tej sprawie.

– A co z La Châtre i Bourges?

Poczuła, jak napiął się pod jej palcami.

– Bez zmian. Złożyłem przysięgę, więc znają moje stanowisko.

Dalej gładziła go i ugniatała.

– Gdybyś uznał Piotra z La Châtre, straciliby argumenty i wyszlibyśmy z impasu.

– Miałbym wycofać się z danego słowa? – Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, w jego oczach błysnął gniew. – Podstępem szukać rozwiązania? Przysięgłem i na tym koniec.

Alienor stwierdziła w duchu, że jest uparty i głupi, ale próbowała go udobruchać.

– Oczywiście zrobisz, co uznasz za stosowne – załagodziła. Pocałowała go w ucho, następnie w kark, a potem coraz niżej.

Odwróciwszy się z jękiem, chwycił ją i obsypał pocałunkami. Odwzajemniła je i rozplotła warkocze, włosy spłynęły złotymi pierścieniami. Poczula napięcie w podbrzuszu i zrozumiała, że tym razem musi się udać. Wyobraziła sobie ziarno w swoim łonie, pełne wyczekiwania i dojrzałe. Ludwik otarł się twarzą o jej policzek, poczuła jego kłujący zarost. Przywarł do niej, po czym rozwiązał tasiemki po bokach i wsunął ręce pod suknię. Tarzali się po łóżku, zrzucając z siebie ubrania, zdyszani między kolejnymi pocałunkami. Alienor zrzuciła suknię, a następnie koszulkę, i została w samych pończochach, z niebieskimi podwiązkami z jedwabiu. Ludwik, jeszcze w spodniach, przesunął po niej wzrokiem i oblizał wargi. Na jego bladej twarzy zakwitł rumieniec pożądania. Położyła się na plecach i rozwarła uda.

– Chodź do mnie, Ludwiku – poprosiła. – Daj nam dziecko.

Opadł na nią, nacierając biodrami. Sięgnęła w dół, aby poprowadzić go we właściwe miejsce, czuła, jaki jest sztywny i twardy. Jęknął pod jej dotykiem, ale zwiotczał w ostatniej chwili.

– Ludwiku?

Odepchnął ją i się odsunął. Kiedy wyciągnęła rękę, zamachnął się na nią.

– Ty i twoje diabelskie sztuczki! – Upchnął swoją porażkę z powrotem w spodnie, niemal z płaczem narzucił tunikę i wybiegł z komnaty.

Alienor usiadła i zasłoniła twarz rękami. Czuła na palcach jego zapach. Co powinna zrobić? Jak do niego dotrzeć? Jeśli taki stan rzeczy potrwa dłużej, utraci swoją pozycję. Kochała Petronelę, szczerze wolałaby jednak, aby to jej dziedzic rządził Akwitanią, a nie potomek Raula z Vermandois. Zrezygnowana sięgnęła po ubranie. A jeśli w żartach Petroneli tkwiło źdźbło prawdy? Może powinna przebrać się za zakonnice... albo templariusza.

– Bóg mnie nie kocha, a zawsze byłem Mu posłuszny – powiedział Ludwik do Sugera, a jego głos poniósł się echem między rzeźbionymi kolumnami nowego ambitu kościoła opactwa Saint-Denis. Za jego plecami światło z przepysznego witrażu usiało płyty posadzki tęczową luminescencją. Usiadł na ławce i potarł

tonsurę palcami.

Gdy zjawił się na spienionym koniu w stanie wielkiego wzburzenia, Suger przerwał kontemplację w swojej celi i przyszedł dotrzymać mu towarzystwa.

– Na jakiej podstawie twierdzisz, że Bóg nie darzy cię miłością, mój synu? Czyżby z powodu jutrzejszego spotkania? Czy to nie daje ci spokoju?

Ludwik zaprzeczył.

– Nie – odpowiedział beznamiętnie. – Nie spodziewam się żadnych rewelacji. – Przełknął ślinę, kolejne wyznania dużo go kosztowały. – Dzieje się tak dlatego, ponieważ... ponieważ nie mogę współżyć z królową. Zostałem przeklęty, ograbiony ze swego celu, jako król i mężczyzna. – Podniósł udręczony wzrok na opata. – Złożyłem publiczną przysięgę, że Piotr z La Châtre nigdy nie przestąpi progu katedry w Bourges jako arcybiskup miasta. Myślisz, że w tym tkwi przyczyna mojego niepowodzenia? Królowa zasugerowała, bym wycofał się z danego słowa, ale jak mógłbym to zrobić, skoro wziąłem Boga na świadka?

Suger spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

– Cóż takiego uniemożliwia ci współżycie z królową?

Ludwik poczerwieniał.

– Nie mogę... nie mogę doprowadzić sprawy do końca – wymamrotał. – Idę do niej ze szczerym zamiarem spółżenia dziecka, ale moje ciało odmawia współpracy... czasami w ostatniej chwili. To kara boska.

Suger stanowczo oparł dłoń na jego ramieniu.

– W takim razie musisz prosić Go o pomoc i łaskę, tak samo królowa. Gdy poprosisz Go z otwartym sercem, na pewno wskaże ci drogę.

– Prosiłem i błagałem. – W głosie Ludwika zabrzmiała nuta pretensji. – Modliłem się i składałem ofiary, ale mnie nie wysłuchał. – Pochylił się naprzód, ściskając ręce. – Może to jej wina – dodał i grymas wykrzywił mu usta. – Może rozłościła coś Boga. W końcu to ona straciła nasze dziecko.

– Nie było w tym twojej winy – rzekł Suger neutralnym tonem. – Tobie radzę, byś ze szczerą pokorą poddał się woli Boga i przyjął Jego naganę, gdyby okazała się słuszna. Uczynię dla ciebie, co w mojej mocy, jak zawsze. – Czującym gestem przeniósł dłoń na jego tonsurę. – Może jednak królowa ma rację. Jeśli okażesz pokorę i przystaniesz na objęcie stanowiska przez Piotra z La Châtre, złagodzi to naciski na ciebie i Francję, dzięki czemu w twoim życiu zapanuje większa harmonia. Pomodlę się za ciebie i poproszę Boga, aby spojrział na was oboje łaskawszym okiem. I nie zaszkodzi – dorzucił po chwili – abyś wraz z królową okazał szacunek abbe Bernardowi. Jest potężnym wrogiem, lecz wpływowym sprzymierzeńcem, i w twoim interesie leży, by odciągnąć go od Tybalda z Szampanii.

Ludwik poczuł się nieco spokojniejszy.

– Święta racja – stwierdził. – Wezmę sobie twoje rady do serca. – Podniósł

wzrok na wspaniałe okna. Ich jasność natchnęła go nadzieją i wolą działania. Suger zawsze umiał znaleźć wyjście z sytuacji.

Alienor trzymała kryształową wazę. Ujęła ją troskliwie, lecz mimo to wyobraziła sobie, jak waza spada na posadzkę i roztrzaskuje się niczym lód na zamrożonej tafli stawu.

Ludwik zaproponował, aby podarowali ją Sugerowi z okazji poświęcenia nowego kościoła opackiego w Saint-Denis. Kipiał entuzjazmem, jakby wczorajszy wybuch nigdy się nie wydarzył.

– Tam będzie pasowała – oznajmił.

– Suger od dawna miał na nią chrapkę.

– To był mój pomysł. – Ludwik zgromił ją wzrokiem. – Ujrzałem światło przenikające przez witraż i zastanawiałem się nad godnym darem. Przyszło mi do głowy, że może dzięki temu Bóg ześle na nas swoje światło i obdarzy nas potomstwem.

Stłumione światło tego pochmurnego dnia malowało wazę odcieniami bieli i jasnej szarości, niebiański płomień nie dawał o sobie znać. Alienor miała przecucie, że już nigdy nie nastąpi to w jej rękach. Nie wierzyła, że jest kochana. Zawsze wiedziała, że waza wpadnie w łapy Sugera, ale czy to ma znaczenie? Przystanie na wszystko, co przywróci Ludwikowi wolę działania w wiadomej dziedzinie. Jeśli waza posiada takową moc sprawczą, proszę bardzo.

– Jak sobie życzysz – odpowiedziała. – Rób, co uważasz za konieczne. – Podała mu wazę jak kiedyś w Bordeaux, z podobną ostrożnością, lecz innym nastawieniem, obojętnym raczej niż pełnym wiary w przyszłość.

Ludwik przejął wazę z namaszczeniem, na chwilę zetknęli się palcami. Cofnął ręce.

– Złamię przyrzeczenie i pozwolę Piotrowi z La Châtre objąć urząd arcybiskupa Bourges – oznajmił.

Spojrzała na niego.

Opuścił kąciki ust.

– To wielki wstyd dla króla, łamać dane słowo, ale nie mam wyboru. Zrobiłem, co mogłem, ale jakbym tłukł gołymi pięściami w mur, aż spłynęły krwią.

– W zamian powinni chociaż zdjąć ekskomunikę z Petroneli i Raula – stwierdziła pospiesznie.

– To się okaże – odpowiedział tonem, który miał pozbawić ją złudzeń. – Oczekuję, że też odegrasz w tym swoją rolę. – I trzymając wazę, jakby trzymał nowo narodzone dziecko, wyszedł z komnaty.

Alienor wyprostowała się z westchnieniem. Nie będzie się uchylać od swojej powinności. Być może Ludwik skończył tłuc pięściami w mur, lecz istnieją

subtelniejsze sposoby, aby go sforsować.

Paryż, czerwiec 1144

Poświęcenie krypty i chóru nowej bazyliki Saint-Denis, miejsca pochówku francuskich królów, odbyło się jedenastego czerwca i ściągnęło tłumy wiernych z każdego zakątka kraju. Z dnia na dzień miasteczko Saint-Denis obrosło namiotami. Wszystkie domy pękały w szwach, a oberże w promieniu dwudziestu mil były pełne przyjezdnych. Każdy pragnął na własne oczy zobaczyć przebudowaną świątynię, której urządzone z przepychem wnętrze przypominało ponoć wysadzany klejnotami relikwiarz, w którym mieszka świętość. Kamienie szlachetne lśniły nawet w zaprawie.

Alienor nocowała w zajeździe opactwa, a Ludwik czuwał wraz z Sugerem, braćmi miejscowego zakonu oraz klerem, w tym trzynastoma biskupami i pięcioma arcybiskupami.

Alienor dzieliła komnatę z teściową, która przyjechała na ceremonię ze swojej posiadłości. Okazywały sobie uprzejmość, acz bez przesadnej serdeczności. Nie widziały się od czasu bożonarodzeniowej kolacji, co zapewne wpłynęło na złagodzenie obyczajów. Adelajda zmierzyła wzrokiem rubinową, jedwabną suknię synowej z grymasem lekkiego niesmaku, jakby uznała ją za tandetną i pstrokatą, ale powstrzymała się od komentarza. Nie wspomniała też ani słowem o Petroneli i Raulu, chociaż samo pominięcie tematu było jawną demonstracją. Petronela i Raul nie przyjechali, zostali bowiem ekskomunikowani i nie mieli prawa wejść do kościoła.

Mglistym rankiem, jeszcze chłodnym i w odcieniu szarzałego błękitu, kobiety opuściły zajazd i udały się do świątyni, na której nowych wrotach ze złoczonego brązu wyryto złocisty napis: „Jasność opromienia szlachetne dzieło, przeto niechaj ono rozjaśni nasze umysły, oby dążyły ku światłu prawdziwemu, którym jest Jezus Chrystus, wrota do zbawienia”. Alienor odczytała te słowa, po czym uniosła wzrok na nadproże, gdzie napisano: „Przyjmij, surowy Sędzio, modlitwy Twego Sugera. Spraw miłościwie, bym znalazł się w szeregach owieczek Twoich”.

Suger wszędzie pozostawił swój ślad, jeśli nie w sensie dosłownym, jak wyżej, to w przepychu klejnotów, złota oraz tęczy barw, sączących się do wnętrza przez witraże. Front złotego ołtarza migotał od ametystów, rubinów, szafirów i szmaragdów. Pośrodku błyszczały wspaniały krzyż, wysoki na sześć metrów, udekorowany klejnotami i złotem, dzieło słynnych lotaryńskich złotników. Ciemność promieniała. Alienor odniosła wrażenie, jakby znalazła się w sercu

kamienia szlachetnego, albo faktycznie relikwiarza, i ucieszyła się, że włożyła strojną suknię z czerwonego jedwabiu, bo dzięki temu poczuła się częścią tej migoczącej sceny.

Ludwik, w szarym odzieniu pokutnika i oparach dymu z kadzideł, osobiście wniósł srebrny relikwiarz ze „świętymi cząstkami” Świętego Dionizego. Suger wraz z resztą duchownych skropili wodą święconą zewnętrzne ściany kościoła, następnie powrócili do wiernych, którzy także zostali obficie zroszeni. Ludwik postawił relikwiarz na drogocennym ołtarzu i padł krzyżem na posadzkę. Był blady jak płótno i miał twarz naznaczoną znużeniem, ale oczy pełne światła i usta rozchylone w uniesieniu. Potężny głos chóru uniósł się wraz z dymem i rozplynał w barwnej światłości witrażowych okien.

Alienor wzruszyła się, ku własnemu zdziwieniu, oczekiwała bowiem kolejnego spektaklu Sugera, tymczasem poczuła oddech i obecność Boga. Łzy napłynęły jej do oczu, przesłoniwszy widok. Obok niej Adelajda wycierała oczy chusteczką, a mąż poklepywał ją po ramieniu. Na koniec uroczystości Ludwik opuścił świątynię wraz z procesją kleru, a wyglądał przy tym na oszołomionego, wręcz pijanego.

Konsekracja zakończyła się przed dwunastą, ale uroczystości trwały przez całe upalne popołudnie. Biedni dostali jałmużnę w postaci chleba i wina. Handlarze rozstawili przed opactwem stragany i oferowali poczęstunek. Część pielgrzymów przybyła z własnym prowiantem i zasiadła w cieniu, aby się posilić. Ludzie stali w kolejce, aby podziwiać zgromadzoną przez Sugera bogatą kolekcję skarbów i relikwii, a także odczytać opowieści zaklęte w witrażach.

Samotnie, ponieważ Ludwik wciąż przebywał z mnichami, Alienor przystanęła przy pulpicie w kształcie orła z rozpiętymi skrzydłami. Opłaciła jego ponowne ozłocenie, gdyż skrzydła były zupełnie wytarte od dotyku wiernych i pielgrzymów, a bądź co bądź, orzeł był jej godłem.

Mnich zbliżył się bezszelestnie i wypowiedział słowa, na które czekała. Poczuła w brzuchu lekki ucisk niepokoju. Pozostawiła swoją świętą i udała się za mnichem do rozmównicy na piętrze zajazdu opactwa. Kiedy zapukał do drzwi i oparł rękę na klamce, wzięła głęboki oddech i zebrała się w sobie.

W środku czekał na nią Bernard z Clairvaux, ubrany w wełniany habit w odcieniu szarawej bieli. Wyglądał na jeszcze bardziej niedożywionego niż zwykle, a na jego twarzy malował się gorączkowy rumieniec. Twarz miał opanowaną, wyczuła jednak, że podziela jej napięcie. Przybyli tu na negocjacje, lecz spotkanie żadnego z nich nie cieszyło.

Była ciekawa jego zdania na temat opactwa, bowiem dla niego uwielbienie Boga sprowadzało się do prostoty, bez udziału zbytku i kosztowności. Kiedyś już zganił Sugera za upodobanie do rzeczy materialnych, a jednak przybył na konsekrację. Być może dało mu to poczucie wyższości, a może po prostu szukał

tematu do kazań o marności tego świata.

Dygnęła, a on się skłonił, chociaż oboje byli w dość bojowych nastrojach.

– Ojczy, cieszę się, że znalazłeś czas na tę rozmowę – zaczęła. – Może dla odmiany zdołamy dziś dojść do porozumienia.

– Istotnie, moja córko – odpowiedział. – Życzyłbym sobie tego samego.

Kiedy Alienor przemierzyła komnatę i usiadła na wyściełanej ławce, czerwona suknia z jedwabiu zaszeleściła na płytach posadzki. Ujrzała, jak mnich rozszerza nozdrza i odwija górną wargę. Częstość wypowiadał się z dezaprobatą o kobietach, które upiększały się futrami zwierząt, chociaż sam nosił przyodziewek z owczej przędzy. Przypuszczała, że seksualna moc kobiet, jakże różna od wpływu ascety, budzi w nim strach.

Złożyła ręce na podołku i usiadła z wyprostowanymi plecami.

– Przyszłam tutaj jako mediator, prosić cię, abyś użył swych wpływów i ubłagał papieża Celestyna w moim imieniu o zniesienie ekskomuniki i uznanie małżeństwa mej siostry Petroneli i jej męża – podjęła. – Mój mąż uzna w zamian Piotra z La Châtre jako arcybiskupa Bourges i zawrze pokój z hrabią Szampanii.

Patrzył na nią w wymownej ciszy.

– Nie masz za grosz współczucia? – spytała. – Czy nie liczą się dla ciebie ich dusze i dusza ich małej córeczki?

– Współczuję porzuconej żonie Raula z Vermandois – odparł niewzruszony.

– Twoja siostra i jej kochanek płacą za swoją chuć. Posłali swe łoża hańbą, ale Bóg widzi wszystko, nie pozwoli z siebie szydzić i nie będzie się z nikim targował.

Zalała ją fala złości. Ludzie zawsze targują się z Bogiem. A o cóż innego chodzi w modlitwach?

– Żona Raula od lat nie była mu żoną – stwierdziła. – Ich małżeństwo umarło dawno temu, pozostała tylko fasada.

– Niemniej jednak zawarli je przed Bogiem i nie może zostać rozwiązane, a już na pewno nie pod takim pretekstem. – Świdrował ją czarnymi oczami. – Jeżeli król pragnie postąpić honorowo z arcybiskupem Bourges, musi to uczynić bezwarunkowo, a twoja siostra i pan z Vermandois powrócą na łono Matki Kościoła, jeśli odpokutują za swoją żądzę i wyrzekną się jedno drugiego. – Wzniósł kościstą rękę jak preceptor. – Nie wnikam w twoje rozmowy z siostrą, lecz winnaś mieć na uwadze własną reputację. Nie godzi się, byś popierała czyny niestosowne.

– Ze wszystkich sił będę wspierała siostrę – odparła sztywno Alienor. – I nigdy nie zachowywałam się niestosownie.

Posmutniał.

– W takim razie sprowadź ją na właściwą drogę. Dobrze ci życzę, ale trapi mnie twoja duchowa kondycja, córko. Jeśli chcesz pomóc siostrze i mężowi, musisz zaprzestać ingerowania w sprawy państwowe i doprowadzić do pogodzenia

męża z Kościołem.

Alienor zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

– Właśnie po to do ciebie przyszedłam, ojczu, aby porozmawiać o rozwiązaniu, które zakończy te spory. Siostra jest moją dziedziczką, a po niej moja siostrzenica. Troszczę się o ich dobro, gdyż jest ono dobrem Akwitanii, a także Francji, ponieważ Raul z Vermandois jest bliskim krewnym mojego męża.

– A zatem może trzeba pilniej prosić Boga, aby obdarzył cię dziedzicem Francji – oznajmił Bernard. – Ten obowiązek winien być dla ciebie sprawą nadrzędną.

– Myśli ojciec, że nie próbowałam? Lecz jak mam tego dokonać bez męzowskiej pomocy? Przecież to również jego obowiązek, prawda? Lecz Bóg karze go niemocą, ilekroć przychodzi do mnie, a często nie przychodzi wcale. Woli spędzać czas na modlitwie lub w towarzystwie ludzi pokroju Teodoryka Galerana. – Spojrzała na swoje zaciśnięte dłonie. – Cóż mam począć? Wszak nie spłodzę dziecka z powietrzem.

Nastąpiła długa cisza. Alienor nabrała tchu, żeby się odezwać, ale powstrzymała ją gestem bladej, chudej dłoni i nieruchomym, władczym wzrokiem. Kąciki ust miał lekko wygięte, prawie, ale nie do końca w uśmiechu, na pozór współczującym, lecz w istocie zadowolonym, bo obnażyła przed nim swoją słabość.

– Bóg ma swoje sposoby, aby Jego trzódka znalazła do Niego drogę – rzekł. – Postępuj jak należy, a przyjmie cię do siebie z powrotem. – Wskazał na jej suknię. – Odrzuć błahostki, które stały się dla ciebie tak ważne. Wyrzeknij się ich i zawierz Jezusowi Zbawicielowi. – Zdjął z szyi drewniany krzyż na rzemieniu i wcisnął jej do ręki. – Tak jak Chrystus umarł dla świata materialnego i znów zmartwychwstał, tak niechaj twoja dusza umrze dla świata doczesnych rozkoszy i powstanie silniejsza. Bóg cię upomni i podda kolejnym próbom, póki nie dowiedziesz swojej wartości. Masz nieść Jego Krzyż i na niego zasłużyć, albowiem niełatwo jest dźwigać ciężar stanu, twój mąż mógłby to potwierdzić. Masz się ukorzyć i żyć podług boskiego planu, a gdy twój duch wyda owoce, wyda je również twoje ciało. Aby się narodzić na nowo, musisz porzucić dawne życie w grzechu i żarliwie głosić chwałę Pana. Czy rozumiałaś?

Alienor poczuła się jak jeleni oko w oko z łowczym gotowym do strzału.

– Tak, ojczu.

– Musisz się zmienić – zaznaczył. – Jeśli to uczynisz, pomodłę się do Ojca Pana Naszego, by obdarzył was oboje wielkim darem i miłościwie zesłał dziecię dla Francji.

Pochyliła głowę nad prostym, drewnianym krzyżem w ręku; rzemień pociemniał, zatłuszczony od karku opata. Mimo obrzydzenia poczuła przypływ osobliwej pokory. Po przepychu, który dziś oglądała, ten przedmiot sprowadził ją

z powrotem na ziemię. Co więcej, podsunął jej rozwiązanie w sprawie Ludwika.

– Dobrze, moje dziecko – podjął Bernard. – Proponuję, abyś spędziła trzy dni i noce na poście i modlitwie, aby uwolnić się od szkodliwych wpływów. Następnie uczyn tak, jak ci przykazałem, idź do męża, a wszystko będzie dobrze.

Polecił, by uklękła wraz z nim i się pomodliła. Czując chłód posadzki przez warstwę jedwabiu, Alienor przymknęła oczy. Złożyła ręce i wstrzymała oddech, by nie wdychać smrodu jego ciała. Jeśli pokora i modlitwa przybliżą ją do celu, zrobi, co do niej należy.

* * *

Po trzech dniach postu i kontemplacji Alienor podeszła do okna swej komnaty i wyjrzała na olśniewający łuk nieba. Miała lekkie zawroty głowy, ale zachowała jasność myślenia. Czyste niebo miało niewiele wspólnego z feerią barw i świateł w Saint-Denis, ale w swojej prostocie stanowiło prawdziwe dzieło Boga, prostota zaś częstokroć bywa tylko pozorna. Bernard z Clairvaux nie mylił się przynajmniej w tym względzie.

Odwróciwszy się od okna, spojrzała na łożo z miękką pościelą i sute kotary z haftami w ognistych odcieniach. Przepadała za nimi, ale w końcu dostrzegła źródło problemu.

– Zdejmijcie pościel i narzuty – poleciła służącym. – Przynieście mi zwykłe kołdry i poszewki, jakich używają mnisi w Saint-Denis.

Kobiety spojrzały na nią z ukosa.

– Róbcie, co mówię – rozkazała. Jej wzrok padł na piękną mosiężną misę przy łóżku, której używała do mycia, z kwiatowym motywem pasującym do zasłon. Zacisnęła zęby i kazała przynieść miednicę bez żadnych ozdób. Zewsząd miała wyzierać prostota. Na jej polecenie usunięto wszystkie bibeloty, pudzera i szkatułki schowano do malowanej skrzyni, skrzynię zaś przykryto szarym pledem. Na wierzchu położyła księgę żywotów świętych, a w otworach strzelniczych zawiesiła krucyfiksy.

Kiedy skończyła, komnata była prawie ogołocona, niemniej jednak tchnęła surowym urokiem. Dwórki zdziwiły się jeszcze bardziej, kiedy kazała im włożyć wełniane suknie i zasłonić głowy czepcami z grubego płótna.

– Pragnę sprawić przyjemność królowi – wyjaśniła. – Nic więcej nie musicie wiedzieć. Ma się tu czuć swobodnie, więc otoczenie musi pasować do jego nastroju.

Sama włożyła suknię z niebieskiej wełny z prostymi rękawami i podobny czepiec. Zawiesiła na szyi krzyż opata Bernarda i zdjęła wszystkie pierścienie prócz obrączki. Następnie sięgnęła po robótkę – szyła koszulkę dla potrzebujących – i wbiła w nią igłę, aby w ten sposób zabić czas oczekiwania. Właśnie przypadał jeden z „obowiązkowych” wieczorów Ludwika, a ponieważ nie miesiączkowała,

nie miał wymówki, żeby się nie zjawić.

Jak zwykle wszedł do komnaty wymuszonym krokiem człowieka, którego piją buty, po czym przystanął i potoczył wokół pytającym wzrokiem. Alienor widziała, że zastanawia się, co myśleć. Odłożyła robótkę i powitała go skromnym dygnięciem. Odprawił swoją świętę, w tym Teodoryka Galerana, który obrzucił ją badawczym spojrzeniem, jakby szacował siły przeciwnika, następnie skłonił się i wyszedł.

– Zmiany? – zapytał Ludwik z uniesionymi brwiami.

– Mam nadzieję, że przypadną ci do gustu, panie.

Wydał niezobowiązujący pomruk i poszedł się przyjrzeć krzyżowi na parapecie.

Czekała, aż do niej wróci i poda jej okrycie. Nad prostą misą umył twarz i ręce, po czym wytarł je szorstkim lnianym ręcznikiem złożonym z boku. Usiadł na skraju łóża i poklepał chropowatą, wełnianą narzutę.

– Owszem, tak jest lepiej – oznajmił. – Chyba w końcu zaczynasz rozumieć.

Alienor powstrzymała się przed ciętą ripostą, gotowa odgrywać uległą, pobożną żonę do upadłego, jeśli od tego zależało poczucie następcy tronu.

– W Saint-Denis spłynęło na mnie olśnienie – odrzekła pokornym tonem. – Pojęłam, że zmiany są konieczne i muszą wyjść ode mnie, gdyż ty już się zmieniłeś. – Szczera prawda. Poślubiła młodzieńca, nie zdając sobie sprawy, iż stanie się on karykaturą mnicha.

Ludwik władczo wskazał jej miejsce obok siebie, nakazując, aby się położyła. Ze złości aż się zagotowała, lecz nie wypadła z roli. Odczuła przy tym smutek, bo chciała, żeby był jak kiedyś, z czułym, nieśmiałym uśmiechem, burzą jasnych włosów oraz całym swym chłopięcym żarem i entuzjazmem. Ale tamten człowiek przestał istnieć.

Pościel drapała i Alienor musiała ukryć grymas. Ludwik za to zdawał się wręcz wniebowzięty, jakby szorstkość czyniła włókno bardziej namacalnym. Odwróciwszy się do niego, położyła mu rękę na piersi.

– Ludwiku... – Oczy miał zamknięte, ale poczuła, że się wzdrygnął. – Czy moja bliskość naprawdę jest ci tak wstrętna? – spytała.

Przełknął ślinę.

– Nie – odpowiedział. – Ale musimy strzec naszego honoru i czynić to z woli Bożej, nie z cielesnego pożądania.

– Naturalnie – przytaknęła z udawanym zdziwieniem. – Mam szczerzy zamiar ściśle jej przestrzegać. Nie całuję cię z żądy, tylko działam w myśl Jego przykazań, aby wydać owoce. – Powoli, jakby nagły ruch mógł go spłoszyć, usiadła i zdjęła czepiec.

Dotknął jej ciasno splecionych włosów.

– Nie pozwolę sobie na przyjemność – rzekł ochrypłym głosem. – Przyjmę

tylko karę, bom nie godzien niczego innego. Piękno to marność i nic ponadto.

Alienor miała na końcu języka, że piękno jest również dziełem Bożym, starczy wspomnieć o Edenie. Ale wołała go nie drażnić.

– Widzę, że jesteśmy poddawani próbie, jak zapowiedział opat z Clairvaux – powiedziała. – I widzę, że Bóg karze nas na wszelkie sposoby, ale prokreacja jest Jego nakazem i musimy spełnić naszą powinność.

Z jękiem przygniótł ją całym ciężarem i zadarł jej suknię. Alienor leżała jak kłoda, nawet nie drgnęła. Kiedyś uniosłaby kolana i rozsunęła uda, oplotła go rękami i nogami, poruszając biodrami w rytm jego ruchów, ale nie tym razem. Ludwik zaciskał powieki, jakby nawet jej widok był dla niego nie do zniesienia. Usłyszała, jak cedzi modlitwę przez zaciśnięte zęby. Rozwarł jej nogi; czuła, jak szamocze się ze spodniami.

– Niech się dzieje wola Boża – stęknął. – Niech się dzieje wola Boża! – Wszedł w nią i jął miotać się jak oszalały, zapewniając Boga, że czyni swoją powinność, następnie wydał okrzyk ni to triumfu, ni to skruchy lub rozpaczy, i przelał w nią swe nasienie.

Na chwilę znieruchomiał, po czym odsunął się, żeby nabrać powietrza. Zacisnęła nogi. Bolało ją – bez ceregieli przeszedł do sedna – ale osiągnęła swój cel, podobnie jak on. Zobaczyła, że Ludwik wciąż leży z zamkniętymi oczami, lecz twarz mu się rozluźniła. Wstał i ukląkł przed krzyżem, który postawiła w nogach łoża, a następnie podziękował Bogu za dobroć, miłosierdzie oraz przywrócenie do łask. Alienor uklękła obok i też podziękowała Bogu, prosząc o pomyślne ukoronowanie swoich wysiłków.

Paryż, jesień 1144

Alienor czuła się trochę nieswojo, gdy przybyła do kościoła opackiego w Saint-Denis. Modlitwą i sprytem osiągnęła swój cel: nie miała wątpliwości, że spodziewa się dziecka. Wołała się upewnić, nim powie Ludwikowi, ale teraz, gdy ta chwila nadeszła, dopadły ją obawy.

Abbé Suger powitał ją z błyskiem w oku.

– Myślę, że ci się spodoba – rzekł, prowadząc ją do zamykanego na klucz kredensu z przyborami do mszy. Na środkowej półce pyszniła się jej waza z górskiego kryształu, jednak zupełnie odmieniona, gdyż Suger kazał przyozdobić jej nóżkę i podstawę płatkami złota, perłami oraz drogimi kamieniami. Wokół podstawy umieszczono inskrypcję z historią jej przekazania.

– Jest piękna – przyznała Alienor zgodnie z prawdą, chociaż nie była to już jej waza. Bernard z Clairvaux wołałby ją w dawnej prostocie, czystą i bez upiększeń. W tej chwili od początku do końca stanowiła własność Sugera, nawet inskrypcja była zbędna. – I doskonale komponuje się z wnętrzem.

– Cieszę się, że przypadła ci do gustu. Chciałem, by twój dar miał należytą oprawę.

– I ma, dzięki tobie. – Prawie lubiła Sugera. Był wytrawnym politykiem, pragmatycznym jak ona. – Chciałabym cię prosić o przysługę, ojcze.

Od razu nabrał czujności.

– Pomogę, jeżeli tylko będę w stanie.

Przyjrzała się czterolistnym ornamentom posadzki.

– Nasze modlitwy zostały wysłuchane – oznajmiła. – Jestem przy nadziei. – Położyła rękę na brzuchu, lekko zaokrąglonym pod paskiem.

Twarz Sugera się rozjaśniła.

– Wspaniałe wieści! Chwała Najwyższemu, że wysłuchał naszych błagań!

Alienor przygryzła wargę.

– Jeszcze nie powiedziałam królowi. Nie chciałam rozbudzać płonnych nadziei po tylu latach i naszej pierwszej stracie. Nie wiem, jak to przyjmie. Byłabym wdzięczna, gdyby ojciec mógł go na to przygotować.

– Zostaw to mnie. – Opat krzepiąco nakrył ręką jej dłoń. – Na pewno będzie wniebowzięty.

Alienor uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale rozterki jej nie opuszczały. Reakcje Ludwika bywały nie do przewidzenia.

Ludwik z nieskrywaną obawą patrzył na Sugera. Niedawno powrócił z modlitwy i był w sielskim nastroju, przynajmniej do czasu, gdy opat poprosił go na słówko. W duchu przygotował się na kolejne wieści o dworskich intrygach i knowaniach prałatów. Sprawa Bourges znalazła zakończenie i triumfujący Piotr z La Châtre umościł się już w arcybiskupstwie, ale to na pewno nie koniec kłopotów.

– Królowa prosiła, bym ci przekazał, że Bóg wysłuchał waszych modłów i zechciał pobłogosławić wasz związek. Twoja żona jest brzemienna, dziecko przyjdzie na świat wiosną – oznajmił Suger.

Ludwik ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Wiadomość omal zwała go z nóg. Nareszcie. Po tylu latach modlitwy, męczarni i zwątpienia. Ich starania doczekały się boskiej aprobaty. Oczywiście, jeśli tym razem dziecko przyjdzie na świat żywe.

– Jest ojciec pewny?

Suger potwierdził.

– Tak pewny, jak sama królowa – odrzekł. – Chciała, żebyś się dowiedział ode mnie, gdyż doszło do tego dzięki radom oraz interwencji Kościoła. Mam cię przygotować na wasze spotkanie.

Ludwik poczuł, jak wzbiera w nim podniecenie. Dziecko! Następca tronu, nareszcie!

– Królowa przebywa obecnie w zajeździe – uzupełnił Suger z uśmiechem.

– Zaraz do niej pójde – odparł Ludwik, gdyż najpierw skieruje kroki do kościoła, gdzie padnie na kolana i wzniesie modły dziękczynne. Może powinien coś jej podarować? Przyszło mu do głowy, że pewnie ucieszyłaby się z broszy lub pierścienia, ale zaraz tę myśl odrzucił. Nie będzie popierał fanaberii, wszak w końcu poczęli dziecko, gdyż od nich się uwolnili. Lepszy datek na Bożą chwałę niż strojenie żony.

Służki Alienor właśnie zapaliły lampy, kiedy wkroczył Ludwik z rumieńcem na bladej twarzy i łzami w oczach, w stanie ożywienia, jakiego żona nie widziała u niego od bardzo dawna.

– To prawda, co powiedział Suger? – Chwycił oburącz jej dłonie.

– Owszem. – Skinęła głową z uśmiechem, lecz wciąż miała się na baczności. Nachylił się i ją pocałował, ale nie w usta.

– Znakomicie się spisałaś. Zyskałaś aprobatę Boga, może zechce obdarzyć nas zdrowym synem. – Ukląkł przed nią i przycisnął czoło i jedną dłoń do jej obrzmiałego brzucha. Alienor popatrzyła na jego tonsurę i spróbowała wykrzesać z siebie czułość. Więż nadal istniała, jednak bardzo nadwątłona.

Wstał.

– Musisz odpoczywać, nie wolno ci się przemęczać. Ufam, że tym razem urodzisz żywego, silnego syna. Dwórki mają cię nie odstępować i natychmiast wezwij akuszerkę. A tak w ogóle – dodał z niezadowoleniem – niepotrzebnie tu dzisiaj jechałaś. Jeszcze zaszkożysz małemu.

Alienor czuła, jak zatrząskują się za nią drzwi celi. Zamknie ją w klatce, żeby włos nie spadł z głowy jego upragnionemu następcy.

– Byłam spokojna, że nic mi nie grozi – odrzekła. – Wymodliliśmy to sobie w tym kościele.

– Owszem, ale nie podejmuj więcej takiego ryzyka, gdy chodzi o dobro naszego syna.

– Wezmę pod uwagę wszystkie mądre rady, bądź spokojny.

– Oby. Nie chcę, żebyś straciła go tak jak poprzedniego.

Alienor zwiesiła ręce i zacisnęła pięści. Kto wie, być może odosobnienie nie będzie najgorszym rozwiązaniem.

Kiedy wreszcie wyszedł, opadła na krzesło z uczuciem bezbrzeżnej ulgi. Tak niewiele pozostało z ich małżeństwa, miejsce dawnej więzi zajęła odraza. Zdawała sobie sprawę, że jej pozycja zależy od jego aprobaty. Teraz ją zyskała, lecz przyszłość była niepewna. Nigdy nie zdoła przewidzieć, jak się wobec niej zachowa, musiała być bez ustanku czujna, a nie miała już na to siły.

Paryż, wiosna 1145

Alienor nabrała tchu i parła, wzywając wszystkie siły, aby to wytrzymać, po czym zdyszana opadła na plecy, kiedy skurcz minął. Poród rozpoczął się poprzedniego wieczoru; obecnie nastał w pełni kwietniowy ranek, a wlewające się przez okna słońce przypomniało jej Akwitanię.

– Już niedługo – pocieszyła siostrę Petronela i wytarła jej czoło szmatką zwilżoną wodą różaną. – Zdaje ci się, że pękiesz, ale nie pękiesz, masz moje słowo.

– Nie bądź tego taka pewna – wykrztusiła Alienor. Rozpuszczono jej włosy, żeby nie oplątały dziecka w łonie, i leżały rozrzucone na poduszce ciężkim, złotym wachlarzem.

– Wiem, co mówię. Dałam sobie radę, choć jestem od ciebie drobniejsza. – Na twarzy Petroneli malowało się samozadowolenie. Raz już rodziła, a druga ciąża niedawno zaokrągliła jej brzuch i piersi, więc czuła się upoważniona do udzielania rad.

– Izabela była mała – zauważyła Alienor.

– Nic się nie bój, twoje też będzie do ciebie pasować. Raul jest dużo wyższy od Ludwika.

Nadszedł kolejny skurcz. Alienor z grymasem zacisnęła dłoń na orlim kamieniu. Był w jajowatym kształcie, skrywał wewnątrz drugi kamień i miał łagodzić bóle porodowe. Adelajda podarowała go synowej w niecodziennym odruchu życzliwości, podobno jej pomógł, kiedy rodziła własne dzieci. Alienor bała się myśleć, czym ból byłby bez niego. Znowu parła ze wszystkich sił. Akuszerki krzątały się wokół niej, trzymały rękę na pulsie i dodawały otuchy, nacierając jej krocze olejem, żeby się nie rozerwało.

Pojawiła się główka, a po niej wysliznęły się barki i reszta ciała. Krzyk dziecka wypełnił przestrzeń wokół łóżka, silniejszy z każdym oddechem, lecz milczenie obecnych mówiło samo za siebie.

– Och, jaka piękna! – Petronela pierwsza ochłonęła. – Alienor, masz córeczkę, doskonałą w każdym calu! – Pocałowała siostrę w policzek. – Izabela będzie miała się z kim bawić!

Alienor wyjrzała ponad jej ramieniem. Snop światła padał na kwilące dziecko nadal połączone z nią pępowiną, i była to rzecz święta. Następnie akuszerka przecięła pępowinę ostrym nożykiem i zabrała dziecko do mycia w mosiężnej misie z ciepłą wodą – suto zdobionej, tej samej, którą w dniu poczęcia

skazano na bezużyteczność.

Obecna przy porodzie Adelajda patrzyła, jak kąpią małą.

– Dziewczynki zawsze się przydają do zawierania aliansów – stwierdziła. – Ja sama miałam jedną córkę oprócz siedmiu synów. Lepiej zacząć od chłopców, aby zapewnić ciągłość rodu, jednakże zdrowe dziecko to powód do wdzięczności. Może uda ci się następnym razem.

Alienor puściła jej słowa mimo uszu; wyobraziła sobie, że tkwi w nieprzepuszczalnej szklanej bańce, gdzie nikt i nic nie zdoła jej osiągnąć.

Starsza akuszerka przyniosła dziecko zawinięte w miękki kocyk. Małą, doskonałą i pulsującą życiem dziewczynkę – całe jej ciało było w ruchu, a twarz się wykrzywiła. Alienor wzięła ją w ramiona, a w jej sercu wezbrała miłość. Nie będzie myśleć o reakcji Ludwika i pozostałych. Nie w tej chwili, bo ona więcej się nie powtórzy. Skóra małości była mięciutka, a każdy paluszek zwieńczony miniaturowym paznokciem.

– Jak dasz jej na imię? – spytała Petronela.

Chłopiec dostałby imię Filip, po dziadku ze strony ojca.

– Maria – oznajmiła Alienor. – Na cześć Najświętszej Pani, w podziękowaniu za Jej łaskę.

Ludwik ucztował wraz z całym dworem w wielkiej sali wybudowanej przez jego przodka, Roberta II. Wiedział, że Alienor rodzi, ale starał się nad tym nie zastanawiać. Abbé Suger i Bernard z Clairvaux wystosowali specjalne modlitwy o żywego następcę tronu. On sam dołożył wszelkich starań, by doprowadzić rzecz do bezpiecznego finału, i dopilnował, by Alienor uczyniła to samo. Oddalił ją nawet dwa tygodnie wcześniej, w celu zapewnienia synowi dodatkowego spokoju przed narodzinami. Troszczył się głównie o dziecko. Jeśli Alienor umrze w czasie porodu, znajdzie drugą żonę, lecz chłopiec odgrywał najważniejszą rolę: był nie tylko jego następcą, ale miał odziedziczyć władzę nad Akwitaniją.

Zjawił się odźwierny, przeszedł przez salę biesiadną i okrążył stół. Ludwik starannie wytarł usta serwetką i przywołał go do siebie. Służący nachylił się i wyszeptał mu coś do ucha. Ludwik poprosił, by pozostali sobie nie przerywali, wstał od stołu i ruszył za odźwiernym do małego przedpokoju, gdzie czekała na niego matka.

– I co? – zapytał zniecierpliwiony, gdy dygnęła i wyprostowała plecy. – Jakie wieści? Czy mój syn bezpiecznie przyszedł na świat?

– Dziecko jest całe i zdrowe – odpowiedziała.

– Chwała Najwyższemu! Niechaj wszystkie kościoły we Francji uderzą w dzwony! Ja... – Spojrzał na dłoń, którą położyła mu na rękawie. Jej żelazny uścisk przypominał mu czasy, kiedy w dzieciństwie go policzkowała

i przywoływała do porządku. – Co się stało? – Przyszło mu do głowy, że być może Alienor faktycznie umarła.

Jej oczy przybrały kamienny wyraz.

– To dziewczynka – oznajmiła. – Masz zdrową córeczkę.

Chrapliwy oddech wyrwał mu się z gardła, jakby dostał kopniaka w brzuch.

– Córeczkę? Jesteś pewna?

Uniosła brwi.

– Byłam przy tym, sama widziałam. – Cofnęła rękę. – Twoja żona dobrze zniosła poród. Gdy tylko zostanie oczyszczona, rozpocznesz starania o syna.

Ludwik przełknął ślinę. Na myśl o ponownych pokładzinach aż go skręcało. Czy kobieta po porodzie może być czysta, skoro powiła córkę?

– Najpierw daję mi krew, a teraz dziewczynę – burknął. – Jak mam to znieść?

– Modlitwą. – W głosie matki zabrzmiało zniecierpliwienie. – I wytrwałością. Król potrzebuje też córek, nie tylko synów. Ciesz się tym, co dostałeś, i módl o powodzenie następnym razem.

Nie odpowiedział. Czuł się zawiedziony przez Boga i Kościół, a najbardziej przez żonę. Cóż miał zrobić, żeby dostać syna? Tyle modlitw, tyle obietnic składanych przez Sugera i Bernarda z Clairvaux. I cóż z tego miał? Dziewczynkę.

– Masz uznać córkę i pójść na jej chrzciny – przykazała mu Adelajda. – Twoja żona chce dać jej na imię Maria na cześć Przenajświętszej Dziewicy, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Ludwik w ogóle nie brał pod uwagę żeńskich imion, był święcie przekonany, że Alienor urodzi syna.

– Jak sobie życzy – odparł.

Po wyjściu matki ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł wrócić na ucztę, nie zniósłby ich wyczekującego wzroku, chociaż wieść już pewnie do nich dotarła. Spodziewał się więc uśmiezków i ukradkowych spojrzeń. Wiedział, jakie opowieści krążą o mężczyznach, którzy płodzą dziewczynki: że są pod pantoflem i mają słabe nasienie. Nie miał nawet ochoty oglądać tego dziecka, ale wiedział, że musi, chrzest też był jego obowiązkiem.

Zabiły pierwsze dzwony na dowód, że wieść rozeszła się już poza murami pałacu. Saint-Barthélemy, Saint-Michel, Saint-Pierre, Saint-Éloi. Ludwik wielbił dźwięk dzwonów wzywających na mszę; zaprowadzały ład, nadawały cel, przypominały o obecności Boga. Lecz teraz, gdy witały księżniczkę, w jego uszach brzmiały jak szyderstwo, i zawładnął nim gniew.

Paryż, listopad 1145

Listopadowy dzień był pogodny, lecz na wskroś przejmował chłodem. Sekwana odbijała błękit nieba, lecz woda tuż pod taflą miała brunatny odcień i wezbrała po niedawnej ulewie. Woskowane płótno we wnękach okiennych wpuszczało mętne światło, ale i przeciąg. Wszędzie migotały świece i napalono we wszystkich kominkach, aby wilgotny ziąb tak bardzo nie dawał się we znaki.

Alienor miała niekiedy wrażenie, że mieszka w klatce. W maju zakończyła odosobnienie, lecz na ogół nie dostrzegała różnicy, prócz tego, że musiała znosić Ludwika i jego głupotę.

Tego ranka czekało ją jednak pewne urozmaicenie, dzięki uprzejmości jej stryja Rajmunda, księcia Antiochii, i jego żony Konstancji, dalekiej kuzynki Ludwika. Na wieść o narodzinach księżniczki Marii przysłali oni moc prezentów swej ukochanej rodzinie we Francji. Komnata Alienor pękała w szwach od skarbów Wschodu. Rolki bezcennego jedwabiu połyskiwały niczym nieruchome wody Garonny w upalny dzień. Księgi o rzeźbionych obwolutach z kości słoniowej, wysadzanych klejnotami, worki kadzidła i kostki białego, pachnącego mydła. Relikwiarz ze złota i górskiego kryształu ze strzępem płaszcza Dziewicy. Miecze z Damaszku i kolczuga cienka jak pajęczyna. Srebrny kubek wysadzany ametystami dla dziecka... A do tego wszystkiego list z gratulacjami, pełen ciepłych słów, ale między wierszami cena tych niezwykłych, drogocennych darów.

Alienor stanęła przy kołysce popatrzeć na śpiącą córeczkę. Maria leżała na plecach, z piąstkami zaciśniętymi jak pączki kwiatów, a jej pierś wznosiła się i opadała w płytkim, przyspieszonym oddechu. Nachodziła ją czuła melancholia, ilekroć spoglądała na dziecko. Narodziny dziewczynki zawiodły cały kraj, ale ona siebie nie zawiodła, i to się liczyło.

Ludwik wszedł do komnaty. Zerknął na kołyskę, ale nie podszedł, tylko pospiesznie skierował uwagę na dary, o których powiadomił go służący.

– Cóż za hojność – powiedział. Przepych wzbudził w nim niesmak, który zaraz zszedł na drugi plan, gdy Alienor podała mu relikwiarz ze strzępem płaszcza. Twarz mu pojaśniała, a oddech przyspieszył.

– Stryj przysłał ci go na przechowanie, gdyż wiedział, iż będziesz go strzegł jak oka w głowie.

Ludwik przejechał palcem po gładkim kryształe.

– Na przechowanie?

Podawała mu list.

– Pisz, że od czasu upadku Edessy jest w coraz trudniejszym położeniu i wdaje się w ciągłe utarczki z Saracenami.

Ludwik podszedł do okna, by światło padło na pergamin.

Alienor pogłaskała Marię po miękkim, różowym policzku. Tuż przed jej porodem do Paryża dotarła wiadomość o podbiciu przez Turków chrześcijańskiego Hrabstwa Edessy; ich przywódca Zanki, atabeg Aleppo i Mosulu, zagrażał obecnie Antiochii, rządzonej przez jej stryja Rajmunda, Trypolisowi i samej Jerozolimie.

Rajmund wyliczał w liście zagrożenia stojące przed królestwami łacińskimi. Wysyłano delegacje do Rzymu celem omówienia ich wsparcia, i Rajmund wyraził nadzieję na pomoc Ludwika i Alienor, z uwagi na łączące ich bliskie pokrewieństwo.

Ludwik zacisnął usta. W ubiegłym roku złożył w Saint-Denis przysięgę, że uda się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej w ramach pokuty za wydarzenia w Vitry oraz złamane słowo w sprawie Bourges, a także po to, by pomodlić się za duszę starszego brata w Bazylice Grobu Świętego. Wieść o upadku Edessy bardzo go poruszyła. Potem trochę ochłonął, ale sprawa wciąż nie dawała mu spokoju.

– Naszym obowiązkiem jest pomóc – oznajmił, wpatrzony w relikwiarz. – Nie możemy pozwolić niewiernym, aby bezczęścili nasze święte miejsca. Musimy okazać nasze pełne wsparcie.

– W jaki sposób?

Odwrócił się od okna.

– Kiedy dwór zbierze się w Bourges z okazji świąt Bożego Narodzenia, wezwę wszystkich do broni. Dotrzymam danego słowa, a przy okazji uwolnię Edesę spod jarzma niewiernych – powiedział, jakby chodziło o prostą czynność, na przykład zorganizowanie polowania.

W pierwszej chwili oniemiała, ale nie czuła zdziwienia, gdyż to do niego pasowało. Będzie pokornym pielgrzymem i pokutnikiem, a zarazem zdobywcą, bohaterskim królem na czele armii pędzącej na ratunek światu chrześcijańskiemu.

W jej sercu zapłonęła iskierka nadziei. Pod jego nieobecność ktoś będzie musiał przejąć stery. Sprostaby temu zadaniu, gdyby pozwolono jej wykorzystać władzę, zamiast nieustannie spychać na drugi plan. Co więcej, nie byłoby go co najmniej dwa lata, a przez ten czas wiele się może zdarzyć.

– Zaiste, wielkie przedsięwzięcie – stwierdziła z ożywieniem. – Ludwik spojrzął na nią ze zdziwieniem, więc szybko pochyliła się nad kołyską. – Czy nie wolno mi być dumną z męża?

Jego twarz złagodniała.

– Duma to grzech – zaznaczył. – Ale jestem rad, że pochwalasz mój pomysł.

– Urządzimy huczną uroczystość... oczywiście z należytą powagą i na Bożą chwałę – dodała na widok jego niezadowolenia. – Niemniej jednak pamiętaj, że gość syty jest bardziej skory do słuchania. Zresztą, niech wszyscy zobaczą, że

jesteś Bożym pomazańcem.

– Jak uważasz – odparł, jakby robił jej wielką łaskę, następnie podszedł do kołyski i połaskotał córkę pod bródką, co też było zaszczytem, bo zwykle w ogóle się nią nie interesował.

Alienor, w koronie na głowie, zasiadła w Bourges wraz z Ludwikiem na czele zgromadzenia panów i biskupów Francji. Nakarmiono ich i przyjęto po królewsku, po czym Ludwik i biskup z Langres wygłosili mowy w sprawie wyzwolenia Edessy i bezpieczeństwa Ziemi Świętej.

– Żebyśmy dobrze się zrozumieli! – wykrzyknął Ludwik z werwą, a oczy rozbłysły mu jak szafiry. – Jeśli nie pojedziemy, padnie Trypolis, potem Antiochia, i kto wie, czy nie sama Jerozolima. Nie możemy dopuścić do tego w miejscu, gdzie Chrystus pod postacią człowieka odcisnął swoje ślady na piasku. Powiadam wam, że jest waszym świętym obowiązkiem ruszyć wraz ze mną na odsiecz naszym udręczonym krewniakom!

Była to piękna przemowa i biskup z Langres wsparł ją jeszcze bardziej płomiennym orędziem, zagrzewającym zgromadzonych do boju. Lennicy walili pięściami w stół i podnieśli nieopisany rwetes, podobnie jak panowie z Akwitanii i Poitou, ale entuzjazm szybko ustąpił miejsca zwątpieniu. Nikt nie kwapił się pozostawiać domu na tak długo, koczować w namiotach i walczyć z Turkami. Z grzeczności okazano zapał, ale większość baronów ociągała się z podjęciem zobowiązania. Abbé Suger stwierdził otwarcie, że Francja potrzebuje Ludwika bardziej niż Ziemia Święta, toteż wyprawa, mimo że oparta na dobrych przesłankach, napotkała dezaprobatę.

Ludwik szalał z wściekłości. W zaciszu swojej komnaty łkał, szalał i kopał meble jak rozkapryszone dziecko.

– Dlaczego oni nie rozumieją?! – zawodził. – Dlaczego nie pójdą za mną? Czy nie dałem im wszystkiego?

Alienor z narastającym rozdrażnieniem patrzyła, jak się miota. Ona także była rozczarowana, lecz ponownie nie czuła zdziwienia. Sprawa przywiodła jej na myśl pędzenie bydła: bez przerwy trzeba je szturchać i smagać, by posuwało się naprzód.

– Niech oswoją się z tą myślą – powiedziała. – Wielu zmieni zdanie, gdy wiosna rozgrzeje im krew w żyłach. Jeszcze nie znamy stanowiska papieża. Dzisiaj, w dzień narodzin Dzieciątka, zasiałeś ziarno. Teraz muszą to rozważyć, a ty w dniu Ukrzyżowania i Zmartwychwstania wrócisz do tematu.

Ludwik rozluźnił pięści i odetchnął.

– Kiedy pomyślę, jak stanęli okoniem...

– Nie zasypiaj gruszek w popiele, a nie będzie to czas stracony – ucięła. – Co

do Sugera: on się starzeje. Nie chce wypuścić cię z Francji, ale to jego słabość, nie twoja.

– Jestem zdecydowany, wyruszę bez względu na sprzeciw. – Na twarzy Ludwika pojawił się upór, który Alienor doskonale знаła.

W zamyśleniu dołączyła do pozostałych dam. Odbywały się tańce, panie zapełniły parkiet, a część młodszych rycerzy poszła w ich ślady. Raul był w swoim żywiole, jak zwykle zaśmiewał się i flirtował. Petronela przebywała w Arras w oczekiwaniu na narodziny drugiego dziecka.

Podchwyciwszy wzrok Alienor, przeprosił towarzystwo i podszedł.

– Śmiało sobie poczynasz pod nieobecność żony – zauważyła.

Wzruszył ramionami.

– To tylko taniec.

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal?

– Nie uczyniłbym nic, co mogłoby zmartwić Petronelę.

– Miło mi to słyszeć, w przeciwnym razie wyrwałabym ci serce oraz część ciała, która zawiniła.

– Twoja siostra uczyniłaby to własnoręcznie – odparował cierpkim tonem i skrzyżował ręce na piersi. – Wezwałaś mnie, by udzielić mi przestrogi?

Posłała mu wymuszony uśmiech.

– Chcę, abyś wykorzystał swój dar przekonywania i wpłynął na tych, którzy odnieśli się z rezerwą do planów Ludwika.

Zerknął na nią z rozbawieniem.

– Nawet jeśli sam należę do ich grona?

– Wątpię – ucięła. – Spryt i ambicja pozwolą ci docenić korzyści. Zważywszy na twoje lata, wolisz zapewne pozostać we Francji.

Nadal spoglądał na nią z rozbawieniem, ale w jego oczach pojawiła się czujność.

– Widzę, że jesteś zdeterminowana. Twoja chęć pomocy stryjowi jest zrozumiała. Mówisz, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, ale być może ta zasada dotyczy również twojej osoby. Nie obchodzi cię, że mąż wyjedzie na co najmniej dwa lata i narazi się na wielkie niebezpieczeństwo?

– Ależ obchodzi, dlatego pragnę, aby towarzyszyło mu należyte wsparcie i zasoby – odpowiedziała. – Wyruszy bez względu na wszystko, wołałabym jednak, aby otrzymał pomoc z każdej strony, w przeciwnym razie, jak pomoże mojemu stryjowi?

– A na czym polegałaby moja korzyść?

– Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, mój panie. Król będzie potrzebował zaufanych ludzi, którzy pod jego nieobecność pomogą rządzić Francją.

– Pomogą komu? – zapytał.

Alienor z uśmiechem podała mu rękę.

– Chodź, zatańczymy i porozmawiamy.

Raul zaśmiał się cicho.

– Zdaje się, że jestem w większym niebezpieczeństwie niż przed chwilą – stwierdził, prowadząc ją w krąg tańczących.

Tydzień po świątecznej uroczystości nadeszła wiadomość z Rzymu, że papież wezwał Francję i wszystkie chrześcijańskie narody do stworzenia armii na rzecz Edessy. Ludwik nie mógł przeboleć, że tyle z tym zwlekano.

– Tydzień wcześniej, a miałbym sankcję papieską – burczał.

Alienor podniosła wzrok znad listu, który podyktowała do jednego z wasali.

– W Wielkanoc zyskasz dodatkowe argumenty. Wówczas zbierze się jeszcze więcej ludzi; jeśli weźmiesz krzyż, pociągniesz za sobą pozostałych. Pod naciskiem Rzymu wielu przemyśli swoją decyzję. Poproś papieża o przysłanie Bernarda z Clairvaux, żeby wygłosił kazanie. O jego orędziach krążą legendy. – Szczerze nie znosiła opata, ale nikt nie potrafił tak porwać tłumu.

– Mnisi nie mogą głosić kazań poza obrębem własnych klasztorów – odrzekł Ludwik, ale się rozchmurzył.

Alienor pociągnęła nosem.

– A od kiedy to stanowi dla niego przeszkodę? Może głosi ideę pokory, karci innych za grzech dumy, lecz kocha dźwięk własnego głosu – i posiada wielu wyznawców.

– Nie powinnaś tak mówić o świętym człowieku – zganił Ludwik.

– Tak, tak, brakuje mu tylko aureoli – odparowała. – Ale nie o to chodzi. Kiedy dwór zbierze się w Wielkanoc w Vézelay, potrzebne ci będą rekwizyty, by pociągnąć za sobą ludzi. Napiszę do mojej ciotki Agnieszki z Saintes i zakonnic z Fontevraud z prośbą o uszycie krzyży dla tych, którzy wyruszą w drogę do Outremeru.

– Doskonały pomysł. – Ludwik zbliżył się do niej od tyłu i położył ręce na jej barkach. Zrobił to niemal czule.

Alienor się nie odsunęła. Jeśli miewała doskonałe pomysły, to dlatego, że im więcej wsparcia dla stryja Rajmunda w Antiochii, tym lepiej, a kiedy Ludwik wyjedzie z domu na co najmniej dwa lata, Francja będzie należała do niej.

Patrzyła, jak Petronela ostrożnie kąpie synka w mosiężnej misie przy kominku, i starała się pozbyć zazdrości. Oto jej siostra, ekskomunikowana i wzgardzona przez Kościół, urodziła zdrowego chłopca, a ona i Ludwik nadal mieli tylko Marię. W styczniu dwukrotnie skłoniła go do współżycia, jednakże dostała krwawienia miesięcznego, potem zaś, przez cały czas trwania wielkiego

postu, stronił od jej łoża, gdyż przeczyłoby to prawu Kościoła. Zwykle przesiadywał w Notre Dame lub Saint-Denis na modlitwie bądź organizował wielkanocną uroczystość w Vézelay, kiedy dwór za dwa tygodnie dotrze tam z Paryża.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziała Alienor. – Bardzo mi cię brakowało.

Petronela wyjęła dziecko z kąpieli i owinęła podgrzanym ręcznikiem. Chłopczyk wierzgał i oponował, ssąc małą piastkę. Petronela cmoknęła go w czółko i podała piastuncę.

– Ja też się cieszę – odrzekła. – Nie lubię, kiedy Raul przebywa na dworze beze mnie. – W jej głosie zabrzmiała pretensja. – W odosobnieniu mogę tylko czekać, szyć i krążyć po komnacie, a on robi, co mu się żywnie podoba. – Wydęła usta. – Ty też nie przyjechałaś.

– Nie mogłam – zapewniła Alienor. – Miałam pilne sprawy do załatwienia.

– Zdaje się, że Raul także.

Alienor stłumiła poirytowane westchnienie.

– Jest królewskim konstabłem i był potrzebny Ludwikowi. I nadal będzie, do werbowania ludzi, a potem rządzenia. Jego życie toczy się na dworze. Przecież wiesz.

Petronela nie wyglądała na przekonaną.

– Dochował mi wierności?

– A skąd mam wiedzieć? – zapytała Alienor, lecz darowała sobie uwagę, jak dobrze ukrywał romans z Petronelą tuż pod jej nosem. – Wiem za to, że cię kocha i bardzo mu na tobie zależy. Na wieść, że urodziłaś syna, chodził dumny jak paw.

– Ale nie przyjechał do Arras, żeby się z nami zobaczyć – zauważyła Petronela. – Ani nie powitał nas w Paryżu.

– Ponieważ Ludwik potrzebował go w Vézelay. Wkrótce się zobaczycie. – Alienor siliła się na cierpliwość. Petronela dąsała się o błahostki, tymczasem gra toczyła się o znacznie większą stawkę. Wierność Raula była sprawą drugorzędną. Jak sobie pościeliła, tak się wyśpi. – Po wyjeździe Ludwika stanie przed ważnym zadaniem i musi być nań przygotowany; ty, jako jego żona, również.

– Chciałaś powiedzieć, konkubina – uściśliła gorzko Petronela. – Już Bernard z Clairvaux tego dopilnował.

– Jeszcze nie dałam za wygraną. Będziesz miała swój kontrakt małżeński, obiecuję.

Petronela z powątpiewaniem zasznurowała usta. Alienor się poddała. Gdy siostra wpadała w taki nastrój, głuchła na wszelkie argumenty. W Vézelay, przy Raulu, wszystko się zmieni. Dla niego będzie błyszczeć, a jej humory staną się jego zmartwieniem. Mimo to Alienor czuła się w obowiązku o nią zatroszczyć, wiedziała bowiem, że Petronela nigdy nie weźmie za siebie odpowiedzialności.

Ludwik spędził pół dnia na modlitwie w bazylice Merowingów Notre Dame, po czym wrócił na kolację do pałacu. Trwał post, więc posiłek składał się z chleba i ryby, posypanych szarą solą.

Alienor sprawiała wrażenie wyciszonej, podobnie jak jej siostra, co zrazu zyskało jego aprobatę, a następnie wzbudziło podejrzliwość, gdyż zastanawiał się, co knują. Wiedział, że żona umie owijać sobie ludzi wokół palca. W przeszłości sam padał ofiarą jej czaru, ale dziś miał się na baczności, gdyż znał na wylot jej sztuczki, uśmiechy oraz uwodzicielskie spojrzenia. O, na przykład to, jak ruszyła ręką i odsłoniła nadgarstek, poprawiając rękaw, jak prezentowała wypielegnowane palce, zdobione pojedynczym, pięknym pierścieniem. Widział, jak zastawia pułapki na mężczyzn, gorszyło go to i doprowadzało do furii. W okresie, kiedy doszło do poczęcia Marii, zmieniła swe postępowanie, stała się spokojna i wyważona, ostatnio jednak powróciła do dawnej manieri. Miał wziąć krzyż, toteż szczególnie mierziło go to i dręczyło. Co jeszcze wymyśli, kiedy go nie będzie?

– Zastanawiam się, co począć z królową – rzekł później w swojej komnacie do opata Sugera i swego doradcy, templariusza Teodoryka Galerana, których poprosił w celu omówienia spraw związanych z wydatkami na podróż.

Suger wsunął dłonie do rękawów.

– Mianowicie? – zapytał z rezerwą.

– Na czas mojego wyjazdu. Zastanawiam się, jakie środki ostrożności powinienem przedsięwziąć w związku z jej osobą. Mam pewne obawy, że wzniesi właśnie i skorzysta z okazji, by zagarnąć władzę dla siebie.

Suger z wolna pokiwał głową.

– Może tak się zdarzyć, panie.

– Wyznaczyłbym hrabiego z Nevers na koregenta, zapewne umiałby się jej postawić, ale uparł się wstąpić do zakonu kartuzów. Oznacza to, że jestem zmuszony polegać na Raulu z Vermandois, a nie wydaje mi się, by stać go było na stanowczość wobec królowej, nawet jeśli pod innymi względami nie budzi zastrzeżeń. Jest zbyt czuły na kobiece wdzięki.

– A do tego został ekskomunikowany – wtrącił posępnie Teodoryk.

– Nie mówimy tu o jego duszy – warknął Ludwik. – Jest za stary na udział w krucjacie, więc muszę mu znaleźć pożyteczne zajęcie. – Przygryzł wargę. – Przyszło mi do głowy, by zabrać królową ze sobą. Miałbym ją na oku. Nie siałaby zamętu w kraju i pociągnęłaby za sobą panów z Poitou i Akwitanii. A ja bym nimi dowodził, rzecz jasna.

Suger potrząsnął głową.

– Sądzę, że to niedobry pomysł – stwierdził. – Zachęci pozostałych

mężczyzn do zabrania żon lub nawet całych rodzin, co znacznie spowolni armię, zważywszy na zastępy służących oraz ilość bagażu. Obecność kobiet rozproszy zbrojnych.

– Kobiety sprowadzają na manowce – poparł go Teodoryk.

Ludwik w zamyśleniu tarł podbródek. Rzeczywiście, miał twardy orzech do zgryzienia. Doskonale wiedział, że Suger najchętniej zatrzymałby go we Francji, jednakże podjął już decyzję. Pozostawała tylko kwestia organizacyjna: czy zostawić Alienor w kraju pod ścisłą kuratelą, czy też wziąć na krucjatę, gdzie sam miałby ją na oku. Może wyprawa do Jerozolimy i pielgrzymka pomogą jej obrać właściwą drogę?

– Zabiorę ją ze sobą, to zagwarantuje mi wsparcie grupy akwitańskiej – oznajmił. – W przeciwnym razie zrobią, co zechcą, i albo nie pójdą wcale, albo zawrócą w pół drogi. Kto wie, ile narobili tu zamieszania.

Alienor szykowała się do snu, gdy do jej komnaty wkroczył Ludwik. Odwykła od jego późnych wizyt, więc minęła dłuższa chwila, zanim ochłonęła i zaproponowała mu wino.

– Cóż za niespodzianka – powiedziała i poleciła Gizeli napełnić kielich.

Usiadł na łożu. Było już rozścielone, kotary opuszczono.

– Zostaniesz?

Po chwili wahania pokiwał głową, co jeszcze bardziej zbiło ją z tropu.

– Tak – odparł. – Na chwilę.

Odprawiła dwórki i usiadła obok niego.

– Pragnę z tobą porozmawiać – oznajmił.

– O czym? – Mimo rezerwy usiłowała nadać głosowi ton zainteresowania.

– O wyprawie na ratunek Edessie – odparł. – Chciałbym, żebyś ze mną pojechała.

Twarz Alienor stężała. Ludwik ujął jej dłoń i ścisnął aż do bólu.

– Jeśli pojedziesz, panowie Akwitanii chętniej pójdą za mną, wiem też, że z radością zobaczysz się ze stryjem Rajmundem, ostatnim żyjącym bratem twego ojca.

Czuła na sobie jego badawcze spojrzenie, badał jej reakcję.

– A co z Francją i Akwitaniją? Jedno z nas powinno zostać i przypilnować bieżących spraw.

– Suger z łatwością temu sprostą. Jest też hrabia z Nevers; a jeśli istotnie wdzieje habit, pan z Vermandois zastąpi go w świeckich sprawach.

Alienor zmartwiała.

– A Maria? Wszak nie zostanie bez matki na dwa lata.

Ludwik machnął ręką.

– Ma cały zastęp piastunek. Nawet nie zauważy, że wyjechałaś. Zdążymy wrócić, zanim się spostrzeże. – Jego twarz nabrała stanowczego wyrazu. – Pojedziesz. Pomodlimy się przy Świętym Grobie i może jeszcze urodzisz mi syna. Chcę cię mieć przy sobie.

Zastanawiała się, na ile ją przejrzał i postanowił pokrzyżować jej plany. Na pewno nie robił tego z miłości. Gdyby odmówiła, z pewnością ubezwłasnowolniłby ją i pozbawił wpływów albo zaciągnął za sobą siłą, jak niewolnicę. Innymi słowy, przyparł ją do muru.

– Jak sobie życzysz – odpowiedziała, spuszczając wzrok. Ścisnął ją jak imadłem, ale nie dała nic po sobie poznać. – Wezmę z tobą krzyż w Vézelay.

– Wspaniale. – Podniósł jej dłoń do ust, ucałował zbiegające palce i dopiero puścił. – Jutro wrócimy do rozmowy.

Po jego wyjściu się położyła, lecz nie zgasła lampy, i masując obolałą dłoń, przystąpiła do obmyślenia nowej strategii.

Miecze słonecznych promieni przeszły obłoki i oświetliły kościół Świętej Magdaleny, wieńczący wzgórze Vézelay. Ci, którzy przybyli tam w wielkanocną niedzielę 1146 roku, uznali je za znak Bożego błogosławieństwa.

Miasto od dawna przeżywało istne oblężenie, a na okolicznych polach wyrosły łany namiotów. Nie dało się uświadczyc wolnego miejsca w żadnym domu ani zajęździe. Ludzie spali na poboczach, z głowami na swych tobołkach. Handel kwitł na straganach z jedzeniem, piekarze nie nadążali z pieczeniem chleba i wręcz bili się o drewno, ażeby mieć czym palić w piecach. Na drogach do opactwa kłębił się tłum zdążający na uroczystości wielkanocne. Mimo dobudowania nowego krytego przedsionka kościół opacki nie pomieściłby aż tylu wiernych, toteż wzniesiono mównice na zewnątrz, aby słowo Boże dotarło do wszystkich w ten sam sposób, jak słuchali Jezusa pierwsi chrześcijanie.

Alienor i Ludwik wypowiedali się przed ołtarzem, otoczonym żelazną balustradą wykutą z kajdan i łańcuchów więźniów, którzy złożyli je w ofierze, gdy wychodzili na wolność. Alienor modliła się żarliwie o uwolnienie z własnych oków.

Po mszy wyszli na zewnątrz za żołnierzami, którzy torowali im drogę wśród pielgrzymów, i zbliżyli się do mównicy pod gołym niebem, ustawionej w pewnym oddaleniu od świątyni. Stały za nią dwa trony wyściełane jedwabiem i poduszkami, po obu stronach umieszczono chorągwie Francji i Akwitanii. Królewska para miała na sobie proste szaty z niefarbowanej wełny, przy czym na piersi Alienor lśnił misterny złoty krzyż wysadzany drogimi kamieniami.

Za tronami i wokół nich zebrali się możni panowie Francji i Akwitanii. Zimny wiatr smagał wzgórze, ale słońce przeświecało przez chmury

i w osłoniętych miejscach było wręcz ciepło.

Do mównicy zbliżyła się procesja ubranych na biało mnichów pod przywództwem wychudzonego Bernarda z Clairvaux. Jego tonsura połyskiwała srebrzyście, a cała jego postać wydawała się przejrzysta, jakby nie z tego świata. Utkwił płonący wzrok w parze królewskiej, następnie wszedł po schodkach na mównicę. Zwrócony twarzą do krzyżowców i pielgrzymów, rozwinął pergamin, który trzymał w dłoni, i pokazał bullę papieską z wezwaniem do wszystkich chrześcijan, aby ratowali święte miejsca przed wpływami niewiernych. Na przekór kruchej posturze głos miał potężny, więc ludzie wysłuchali jego płomiennego wystąpienia jak zahipnotyzowani. Alienor dostała gęziej skórki, a gdy spojrzała na Ludwika, dostrzegła łzy w jego oczach.

Bernard uderzył w skraj mównicy.

– Niechaj więźniowie zostaną uwolnieni! W duchu świętej Marii Magdaleny w Vézelay, niechaj ci, którzy noszą kajdany za swoje grzechy, odrzucą je, wezmą ten krzyż Chrystusowy i poniosą go do Jerozolimy! – Rozłożył ręce. – Wszyscy dostaną rozgrzeszenie, tylko podnieście miecze dla Bożej sprawy i oczyśćcie serca! Złóżcie przysięgę, tu i teraz, uczynicie to dla Jezusa, który umarł na krzyżu za wasze przewinienia i oto zmartwychwstaje!

Ludwik ze szlochem ukląkł u stóp mównicy. Bernard z Clairvaux podał mu krzyż z białej wełny, który miał przyszyć do płaszcza, następnie dźwignął go z ziemi i uściskał. Alienor przyklękła po swój krzyż. Drżała, po trosze ze strachu, ale głównie z przejęcia, albowiem ta chwila otwierała nowy rozdział w jej życiu.

Abbé Bernard wręczył jej strzęp tkaniny, skrzętnie unikając dotyku jej palców. Jego wzrok padł na wspaniały krzyż na jej piersi; Alienor zdjęła go i mu podała.

– Dar na rzecz wyprawy – rzekła.

– Dziękuję, córko. – Czym prędzej podał krzyż jednemu z pomocników, jakby go parzył. Alienor wyjęła spod szaty prosty, drewniany krzyżyk, który Bernard podarował jej w Saint-Denis.

Ludzie jęli się tłoczyć po swoje krzyże i oblegali mnichów, którzy mieli ich pełne worki, uszytych w klasztorach i zakonach, jak Francja długa i szeroka. Ludwik i Alienor też wciskali krzyże w zachłanne, wyciągnięte dłonie, aż nic nie zostało. Tłum się rozproszył; ludzie wrócili do domów lub skorzystali z okazji, aby modlitwą w kościele przypieczętować nowe postanowienie. W drodze powrotnej do zajazdu opackiego Alienor widziała wiele osób, które siedziały na trawie i pieczołowicie przyszywały krzyże do tunik i płaszczy. Ktoś walił w bęben i śpiewał piosenkę.

Qui ore irat od Lovis

*Ja mar d'enfern avrat paur
Cars s'arma en iert en pareis
Od les angles de nostre Segnor.*

Alienor powstrzymała się, aby nie wyśmiać tych słów. „Ktokolwiek wyruszy z Ludwikiem, lękać się nie ma potrzeby, albowiem dusza jego trafi do raju i zamieszka z aniołami oraz Panem naszym”. Wzruszająca wizja, ale może trafią do raju, bo Ludwik poprowadzi ich na pewną śmierć. Musi wytrwać, aby bezpiecznie dotrzeć do Antiochii, pod opiekuńcze skrzydła stryja Rajmunda.

1 Outremer (dosłownie Zamorze) – określenie używane w średniowieczu na oznaczenie pasa nadbrzeżnego, składającego się z czterech państw: Hrabstwa Edessy, Księstwa Antiochii, Hrabstwa Trypolisu oraz Królestwa Jerozolimskiego.

Poitou, jesień 1146

Jak dobrze było wrócić do Poitou, choć na chwilę. Alienor miała poczucie, jakby okręcono ją liną, przez co prawie nie mogła oddychać. Teraz ktoś pociągnął za jeden koniec i poluzował ucisk, okręcając ją wokół własnej osi, aż z radości dostała zawrotów głowy.

Złocisty blask słońca sączył się przez korony drzew, malując liście kasztanowców i dębów pierwszymi barwami jesieni. Nad głowami rozciągało się czyste niebo, pogoda sprzyjała jej i Ludwikowi, gdy przemierzali swoje ziemie w poszukiwaniu wsparcia dla krucjaty. Ludwik koncentrował wysiłki na kościołach i opactwach, Alienor rozmawiała z wasalami, prosząc o pomoc dla Edessy i Rajmunda z Poitiers, jedyne żyjącego, dorosłego potomka w linii męskiej z rodu książąt Akwitanii.

Petronela towarzyszyła jej w podróży, resztki złego humoru rozwiąły się w swojskim otoczeniu. Jej śmiech niósł się echem i dokazywała jak dziecko, na nowo podbijając serce Raula, z którym całowała się po kątach jak w dobrych czasach przed ślubem. Którejś nocy, nie mogąc spać, Alienor wyszła na spacer i podejrziała ich, kiedy się kochali w skąpanym w księżycowej poświacie ogrodzie. Petronela mocno obejmowała Raula nogami w pasie, a słowa, które wychodziły z ich ust, pasowały raczej do portowego zamtuza. Widok był wstrząsający: przeraźliwy i na wskroś pierwotny, a zarazem urzekający. Alienor oddaliła się bezszelestnie, niezauważona, zdjeta żalem, a nawet nieokreślonym smutkiem. Związek Petroneli i Raula był może burzliwy i niedoskonały, lecz na wskroś prawdziwy.

Przybyli do Taillebourga, gdzie odebrała hołd wasali z Charente. Gotfryd z Rancon przykląkł u jej stóp, aby złożyć przysięgę, i zobowiązał się poprowadzić armię Akwitanii z honorem oraz własną piersią bronić królowej po drodze do Antiochii.

Kazała mu wstać i ofiarowała mu pocałunek pokoju, wdychając ciepły zapach jego skóry.

– W takim razie nic mi nie grozi. – Świadomość, że przez tyle miesięcy będą przebywali tak blisko siebie, przyprawiła ją o dreszcz podniecenia przemieszanego z obawą.

Dotarli aż do Bordeaux w poszukiwaniu funduszy i zbrojnych, Alienor

i Ludwik wrócili do Poitiers. Gotfryd z Anjou przybył im się pokłonić, a gdy poprosił Alienor o audiencję, poczuła lekki przyływ zainteresowania. Ostatnio widzieli się na koronacji, gdy była jeszcze dzieckiem. Patrzył na nią tak, że nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Dzisiaj wiedziała już, co w trawie piszczy, i nie brakowało jej pewności siebie. Nauczyła się jego języka i doskonale wiedziała, jak brać go pod włos.

Poprzednim razem przybył oddać hołd jako wasal młodemu królowi Francji. Szczwany rudy lis z Anjou, węszący w obejściu i łąsy na kąski, które mu się nawiną. Jego upór i męstwo zapewniły mu władzę nad całą Normandią, toteż zyskał pozycję i prestiż człowieka, z którym należało się liczyć.

– Myślisz, że przyjechał wziąć krzyż? – spytała Petronela, pozerając go wzrokiem.

– Wątpię – odrzekła Alienor z rozbawieniem. – Jego żona walczy o prawo do angielskiego tronu, a on dorównuje jej ambicjami. Niedawno zdobył Normandię, jest o wiele za sprytnym graczem, aby wypuścić ster z rąk.

Petronela pokazała dołeczki w uśmiechu.

– Na pewno będzie miał dobry pretekst.

– Również tak sądzę – odrzekła Alienor z ożywieniem. Chętnie się z nim zmierzy, była bardzo ciekawa, jakie poczyniła postępy. Wezwała dwórki i podjęła przygotowania do audiencji.

– Uważaj, bo zje cię żywcem – ostrzegła Petronela.

– Przeciwnie, właśnie zakładam zbroję – zapewniła Alienor, patrząc, jak kobiety wsypują różane płatki do dużej misy z ciepłą wodą. – Tysiąc płatków zamiast miecza. Oto kobieca broń.

Petronela oblizwała wargi.

– Co powie Ludwik?

Alienor zadarła podbródek.

– Przestało mnie to obchodzić. Niech mówi, co chce. Potrzebuje mnie, mojego majątku i wasali na tę swoją wielką wyprawę.

Uperfumowała szyję i nadgarstki zapachem róż i gałki muskatołowej. Kobiety zasłoniły jej włosy welonem z przezroczystego jedwabiu, zwieńczonym perłowym diademem. Przywdziała suknię z kremowego adamaszku, ozdobioną złotym pasem, na którym także lśniły perły. Na każdą dłoń założyła po jednym pierścieniu, jeden złoty, a drugi z wielkim topazem, i nic ponad to. Zamiast klejnotów Gotfryd z Anjou miał ujrzeć siłę i pewność siebie kobiety, którą zdobyły.

Gość czekał na nią w sali tronowej, przy palenisku; zobaczyła go, zanim on ją dostrzegł. Właśnie drapał za uszami jedwabistego, szarego charta Raula. Ani śladu Ludwika, który poszedł do katedry się pomodlić, na klęczkach tracił poczucie czasu. Wieść o przybyciu hrabiego Anjou nie skłoniłaby go do pośpiechu, ponieważ Bóg był ważniejszy niż czas poświęcony innym.

Alienor wzięła głęboki oddech i rozkazała sprowadzić hrabiego przed swoje oblicze. Służący przekazał wiadomość Gotfrydowi, który podniósł wzrok i utkwił go w Alienor. Tym razem była na to przygotowana i odpowiedziała mu śmiałym, chłodnym spojrzeniem. Żadne z nich nie ustąpiło pola, dostrzegła tylko w jego oczach coś na kształt rozbawionego zdumienia. Nadal uważał, że panuje nad sytuacją.

– Pani – rzekł, stając na wprost niej, i ugiął kolano.

– Mój panie hrabio – odpowiedziała. – Cóż za nieoczekiwana przyjemność.

– Stwierdzam, że takie przyjemności są najlepsze. – Podniósł głowę i obrzucił ją powłóczyстым spojrzeniem.

– Cóż, miejmy nadzieję, iż tak będzie i teraz. – Posłała mu figlarne spojrzenie. – Zastanawiałam się, czy ze względu na twe powiązania z Jerozolimą przybyłeś zgłosić swój udział w wyprawie na odsiecz Edessie?

– Brałem to pod rozwagę, pani – zapewnił gładko Gotfryd. – Jednak dziś sprowadza mnie inna sprawa, o której pragnę porozmawiać z królem.

– Możesz powiedzieć mi wszystko, co chcesz powiedzieć mojemu mężowi – zapewniła Alienor miodopłynnym głosem, w którym zabrzmiały jednakowoż ostre nuty. – Zwłaszcza w Poitiers, gdzie jestem księżną.

– W rzeczy samej, ale to sprawa, która dotyczy was obojga.

– Tym bardziej. – Wyciągnęła do niego rękę. – Chodź, napijemy się wina i dotrzymasz mi towarzystwa, dopóki król nie wróci ze swych modlitw.

– Będę zachwycony, pani. – Obrzucił Alienor spojrzeniem, od którego przed laty miękły jej nogi. Dziś odnotowała je z zadowoleniem, jak kot chlepczący śmietankę.

Zaprowadziła go do ogrodu i kazała służbie rozstawić stół pod błękitnym niebem. Posłała po muzykantów i swoje damy. Te drugie zjawily się w tęczowym kłębowisku barw, wśród nich Petronela ze swoimi dziećmi, prowadząc za rączkę małą Marię, prawie półtoraroczną, z główką w złotych lokach, z niebieskimi oczami ojca. Petronela dygnęła przed Gotfrydem i posłała mu zalotne spojrzenie. Nie pozostał jej dłużny, na co zachichotała, zasłaniając usta dłonią, i dopiero mina Alienor przywołała ją do porządku. Gotfryd przeniósł wzrok na dzieci i zawiesił go dłużej na księżniczce.

Przybyli muzykanci, nalewano wino i wymieniano uprzejmości. Alienor wzięła córkę na kolana. Świadomość, że zostawi ją na co najmniej dwa lata, była tak trudna, że Alienor próbowała odsunąć się od dziecka. Czasami jej się udawało, ale potem jedno spojrzenie, gest czy wybuch perlistego śmiechu sprawiały, że chwiała się w swoim postanowieniu i miłość do Marii znów brała nad nią górę, miłość prawie nie do zniesienia, bo naznaczona piętnem rychłej rozłąki. Oddałaby jej wszystko, a przy tym rozumiała, jak wiele traci.

– Będzie kiedyś łamać serca, jak matka – zauważył Gotfryd szarmancko.

Alienor była ciekawa, czy kiedykolwiek flirtował tak z żoną, nieugiętą cesarzową Matyldą. Z pogłosek wynikało, że ich małżeństwo przypominało raczej pole bitwy.

– I podobnie jak ona, dozna w życiu niejednej straty, zanim nauczy się mieć na baczności – odparła. Przynajmniej nie zapamięta rozstania z powodu krucjaty. W przeciwieństwie do matki, której nie pozostaje nic innego, jak umieścić swoje serce pod kluczem i udać, że go nie posiada.

Gotfryd nachylił się konspiracyjnie w jej stronę.

– Kiedy mój syn Henryk osiągnie pełnoletniość, uczynię go księciem Normandii – oznajmił. – A z czasem zostanie królem Anglii, nie mam co do tego wątpliwości.

A zatem przeszedł do powodów swojej wizyty. Alienor podała Marię piastunce.

– A ja owszem – odrzekła. – Siostra Ludwika jest siostrą następcy króla Stefana, więc dlaczegóż mielibyśmy popierać twoje starania?

Gotfryd spojrzał jej prosto w oczy.

– Ponieważ papież stoi po naszej stronie i nie poprze sukcesji Eustachego. Ponieważ Normandia należy do mnie, a dam głowę, iż zależy wam na pokoju między Francją, Normandią i Anjou podczas waszej nieobecności. Jeżeli Francja obieca nie wtrącać się w moje sprawy, ja odwzajemnię się tym samym, a opat Suger będzie mógł liczyć na moją pomoc.

Alienor powiodła środkowym palcem po krawędzi pucharu.

– To zależy, co rozumiesz przez wtrącanie.

– Mam dla ciebie propozycję, pani.

– Ciekawe. – Uniosła brwi. – Tylko dla mnie czy dotyczy ona również mojego małżonka?

– Istnieje wiele propozycji, które miałbym ochotę ci złożyć – odparł Gotfryd ze zniewalającym uśmiechem. – W tym wypadku chodzi jednak o sprawę wagi państwowej raczej niż osobistej. Być może w kwestii Anglii zechciałabyś postawić wszystko na jedną kartę?

– Mianowicie?

– Syn Stefana, Eustachy, jest poślubiony jednej francuskiej księżniczce, ale cóż stoi na przeszkodzie, aby mój syn poślubił drugą? W ten sposób, bez względu na to, który z nich zostanie królem Anglii, wygrana będzie po waszej stronie... przy czym oczywiście wiem, że korona przypadnie mojemu synowi.

Palec Alienor znieruchomiał.

– Masz wygórowane ambicje, mój panie.

– Nic w tym złego, zwłaszcza gdy ktoś ceni sobie praktyczne podejście. Kiedy wasza córka osiągnie odpowiedni wiek do zamążpójścia, Henryk będzie jeszcze młodym człowiekiem. Taka różnica wieku nie gra roli. Wszak Maria

zostanie królową Anglii.

Alienor stwierdziła, że jest arogancki, lecz mogła spodziewać się po nim takiego planu. I może warto ów plan rozważyć.

– Śmiało zakładasz, że twój syn zdobędzie koronę, a ja nie urodzę Ludwikowi syna, który odziedziczy Akwitanie.

Gotfryd się uśmiechnął.

– Można rzec, że los mi sprzyja. Henryk ma wielki potencjał i pokładam w nim wielkie nadzieje, lecz przedstawiam jego kandydaturę nie z powodu ziem, które przypadną mu w udziale, lecz z powodu jego wielkiego potencjału.

Przy ogrodowej bramie nastąpiło zamieszanie, to Ludwik wrócił z katedry.

– Liczę na twoje wsparcie – rzekł Gotfryd ściszym głosem, zanim wstał, by oddać mu hołd.

– Rozważę twoją propozycję – odpowiedziała uprzejmie Alienor z łaskawym, tajemniczym uśmiechem, który miał mu uświadomić, kto teraz rozdaje karty. Uznała ten pomysł za całkiem niegłupi, lecz na razie postanowiła się z tym nie zdradzać.

Wieczorem poszła się pomodlić z Ludwikiem do kaplicy Świętego Michała, a później udała się z nim do komnaty. Omiotła przelotnym spojrzeniem krucyfiks na ścianie naprzeciw łóżka oraz cierpiącego na nim zakrwawionego Chrystusa. Bóg Ludwika wszędzie się panoszył, i nie był to Bóg kochający.

– Czy Gotfryd z Anjou przedstawił ci swoją propozycję co do małżeństwa Marii z jego najstarszym synem? – zapytała.

Ludwik łypnął na nią z ukosa, niemal podejrzliwie, i usiadł, po czym nakazał gestem, aby zdjęła mu buty, jak przystało na posłuszną żonę.

– Od kogo się dowiedziałaś?

Alienor uklękała, rozważając ton, jaki powinna przybrać. Ludwik miewał nieprzewidywalne humory. Podczas modlitwy był potulny i spokojny, niemal wyzuty z emocji, ale przeobrażał się w mgnieniu oka. Wyczuła jego wrogość.

– Od hrabiego Gotfryda – odpowiedziała. – Wydaje się, że byłby to korzystny układ.

Wzrok Ludwika ciskał gromy.

– Miał psi obowiązek powiedzieć mnie pierwszemu jako władcy państwa i tego domu. Jest moim lennikiem i nie życzę sobie, by załatwiał coś za moimi plecami i szukał wstawiennictwa kobiet.

Alienor zdjęła mu drugi but.

– Miałam na uwadze jedynie dobro naszej córki – zapewniła. – Nie udzieliłam mu odpowiedzi.

Odwrócił wzrok.

– Ale podjęłaś temat bez mojego upoważnienia.

– Mediacja należy do obowiązków królowej – odparła. – Podobnie jak pomoc w takich przypadkach.

– Na pierwszym miejscu musisz stawiać obowiązki wobec męża – oświadczył kategorycznie. – Nie masz prawa głosu bez mojego upoważnienia. Matka ostrzegła mnie, że nie można ci ufać, bo dbasz wyłącznie o własny interes, i miała rację.

– A twoja matka jest źródłem wszelkiej mądrości, rzecz jasna – odparowała Alienor. – Czyż nie miała sporo do powiedzenia w sprawach państwowych, kiedy twój ojciec zasiadał na tronie?

– Owszem, miała, i nikomu to nie wyszło na zdrowie. – Jego twarz przeciął grymas. – Z tobą nie popełnię tego błędu.

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Nie jestem taka jak ona. Hrabia z Anjou nie powiedział mi nic, czego nie mogłabym tobie powtórzyć, i nie złożyłam żadnych zobowiązań, uważam jednak, że to dobra partia.

Ludwik zmrużył oczy.

– Doprawdy? Dałaś się nabrać na piękne oczy Andegaweńczyka, ale ja nie zamierzam. Przyszedł najpierw do ciebie, za moimi plecami, toteż nie zasługuje, aby stać się częścią naszej rodziny.

– Wcale nie za twoimi plecami.

– Zataił przede mną waszą rozmowę, więc na jedno wychodzi. Zresztą, nie udzieliłem mu jednoznacznej odpowiedzi. Oznajmiłem, że za wcześnie na taką decyzję, a jeśli pod naszą nieobecność dowiedzie swojej lojalności, zastanowię się po powrocie. To utrzyma go w ryzach. Nabrał zbyt wysokiego mniemania o sobie, trzeba go utemperować.

Alienor podzielała zdanie Ludwika, ale była oburzona, że potraktował ją tak, jakby też wymagała utemperowania.

– A jeśli znowu zapyta po naszym powrocie?

Ludwik wzruszył ramionami.

– Nawet gdybym chciał się zgodzić, mam związane ręce. Zdaniem abbé Sugera, są zbyt blisko spokrewnieni.

– Wszak istnieją małżeństwa o jeszcze bliższym stopniu pokrewieństwa. Na przykład nasze. – Alienor uniosła brwi. – Nie przypominam sobie, aby zgłaszał sprzeciw w tej sprawie.

– Dość! – warknął Ludwik. – Jak śmiesz się ze mną spierać? Gdybyś знаła swoje miejsce, mielibyśmy już synów.

– Zapewne, gdybyś ty robił to, co do ciebie należy. Jak mam rodzić dzieci, skoro nie dajesz mi nasienia? Może powinniśmy anulować ślub.

Twarc Ludwika pociemniała.

– Zamilcz! Wywracasz moje słowa na nice. Dostaniesz, czego sobie życzysz, skoro nalegasz. – Zaczął się rozbierać i gestem kazał jej się położyć.

Zemdliło ją, przełknęła ślinę. Tego się nie spodziewała. Wiedziała, że w ten sposób chce ją poniżyć, i że ostatnio tylko gniew bądź religijna żarliwość znoszą jego niemoc. Potrząsnęła głową.

– Rób, co mówię! – Złapał ją za ramię i pchnął na łożo. Próbowwała się szarpać, ale wykręcił jej rękę, ból sprawił, że mu uległa.

Przynajmniej szybko się uwinął. Doradcy mówili mu, że im dłużej mężczyzna przebywa w ciele kobiety, tym więcej sił ona z niego wysysa, aby podgrzać własne humory, więc stosunek poważnie osłabia jego konstytucję. W ciągu paru sekund zadrgał, głos najpierw uwiązał mu w gardle, po czym wydostał się z krtani ciągiem zdławionych pojękiwań.

– Masz – stęknął i wyszedł z niej. – Dałem ci środki, a teraz idź i módl się na kolanach o potomka.

Alienor zdołała wyjść z komnaty wyprostowana i z podniesioną głową, ale za drzwiami zgięła się wpół i zwymiotowała. Gdy dotarła do swojej sypialni, rzeczywiście padła na kolana, żeby się pomodlić. Z lepkiem nasieniem Ludwika na udach, poprosiła Boga o odpuszczenie grzechów i dziecko, a potem legła krzyżem i przysięgła na kości Świętej Radegundy, że za wszelką cenę położy kres temu małżeństwu.

Węgry, lato 1147

Znowu się rozpadało, kiedy wóz na wprost Alienor utknął w gęstym błocie rozbełtanym przez niekończący się ciąg francuskich żołnierzy i pielgrzymów. Niemieccy krzyżowcy wyprzedzili ich jak stado szarańczy, ogołocili rynki z zapasów, nastawili wrogo tubylców i zmienili drogi w zagrodę dla świń.

Żołnierze i pielgrzymi szybko podparli wóz, a pozostali jęli rzucać gałęzie pod koła, aby dać woźnicy punkt oparcia. W trakcie owych zmagani jeden z mężczyzn upadł, a kiedy chwiejnie powstał, wyglądał jak bagienny stwór. Inny zgubił but i musiał gmerać w błocie jak nędzarz szukający ochłapów mięsa w odpadkach.

Gotfryd z Rancon podał Alienor pelerynę i kaptur z woskowanej skóry.

– Rany boskie – wymamrotał. – W tym tempie nie dotrzemy do granicy przed zachodem słońca.

Alienor z grymasem włożyła pelerynę, która nie zdążyła wyschnąć od ostatniego razu. Zapach wosku i skóry mieszał się w niej z wonią wilgotnego dymu. Nim wieczorem rozbiją obóz, będzie pachnieć jak piecyk węglowy, ale lepsze to niż przemoknięcie do suchej nitki i utyłanie się w błocie, jak większość nieszczęśników.

Po wielu przekleństwach i zmaganiach wóz wydostał się ze szlamu i potoczył naprzód, lecz za nim jechały kolejne, skazane na podobny los. Alienor nie miała pojęcia, gdzie podział się Ludwik, prócz tego, że gdzieś z przodu, i prawdę rzekłszy, było jej to obojętne, dopóki nie musiała na niego patrzeć.

Jechali od sześciu tygodni, wyruszyli pod koniec maja z Saint-Denis. W upalny dzień, w obecności papieża Eugeniusza, podczas specjalnej uroczystości Ludwik odebrał z rąk opata Sugera *oryflamme*, czerwono-złoty proporzec, który miał zapewnić francuskiej armii powodzenie w długim marszu na Jerozolimę przez spieczone pola bitewne Edessy, Antiochii i Trypolisu. Alienor topiła się w wielu warstwach odświętnego stroju. Adelajda tak samo, toteż stały obok siebie i chociaż raz coś je łączyło.

Następnie Ludwik wraz z Jego Świątobliwością i resztą duchowieństwa udał się na biesiadę w chłodnym zaciszu opactwa. Reszta musiała czekać na zewnątrz i Alienor dopisała egoizm oraz brak taktu do listy pretensji pod adresem męża.

Przynajmniej nie musiała z nim podróżować. Armię podzielono, w związku z czym jechała pośrodku z cywilami oraz bagażem bądź z Akwitańczykami pod wodzą Gotfryda z Rancon. To drugie szczególnie jej odpowiadało, gdyż wśród

krajanów cieszyła się wielkim szacunkiem.

Usiłowała nie myśleć o pożegnaniach na schodach Saint-Denis, ale wspomnienia uparcie powracały. Uściski Petroneli oraz łzy wzbierające w jej oczach przypomniały Alienor wyjazd ojca do Santiago de Compostela.

– Co ja bez ciebie zrobię? – szlochała Petronela.

– Przetrwasz – odparła Alienor z gardłem zduszonym wzruszeniem i oczami pełnymi łez. – Przetrwasz, moja kochana, i zaopiekujesz się Marią.

– Jak własną córką – załkała Petronela.

Dzieci nie były obecne wśród zgromadzonych. Alienor wycalowała córkę wcześniej w zajeździe. Obiecała, że przywiezie jej klejnoty z Konstantynopola, jedwabie i kadzidło z dalekich krain, a także świecę ze Świętego Grobu w Jerozolimie, aby oświetlała jej bożą drogę. A potem wyszła, zatrzasnęła za sobą drzwi i schowała uczucia głęboko.

W oddali zagrzmiało, a ją przeszedł dreszcz. Przed dziesięcioma dniami na drodze z Passau do Klosterneuburga piorun uderzył w wóz i zabił na miejscu woźnicę wraz z zaprzęgiem.

– Obyśmy zdążyli przeprowić się na drugi brzeg Drawy – mruknął jej konstabl, Saldebreuil z Sanzay, zerkając na niebo spod daszka hełmu. – Tylko potopu nam brakowało.

Alienor przyznała mu rację i pomodliła się w duchu. Ostatnimi czasy temat pogody żywo ją interesował. Kiedy lało, drogi zamieniały się w rwące potoki i przekraczanie rzek stawało się sprawą życia lub śmierci. Pokonanie Renu i Dunaju poszło im sprawnie dzięki przyzwoitym barkom na tej pierwszej i solidnemu mostowi na drugiej. Alienor uważała, że powinni byli obrać drogę morską przez Sycylię, jednakże Ludwik odmówił z powodu wrogich stosunków króla Sycylii Rogera oraz Konrada, króla niemieckiego. Wolał nie rozjuszać Niemców, dlatego ruszyli tradycyjnym szlakiem lądowym do Konstantynopola. Jak dotąd minęli Metz, Worms, Wurzburg, Ratzbonę, Pasawę oraz Klosterneuburg, czekała ich przeprawa dorzeczem Dunaju po drodze do Bułgarii.

Wczesnym popołudniem dotarli do miejsca, gdzie przed tygodniem obozowali Niemcy, zanim przekroczyli Drawę. Grunt był błotnisty i podmokły. Całą okolicę ogołoco z zasobów, konie wyskubały całą trawę, toteż armia Ludwika zmuszona była skorzystać z przywiezionych zapasów. A ponieważ połowa prowiantu znajdowała się na podtopionych wozach rozsianych wzdłuż drogi, wszystko wskazywało na to, że ani człek, ani zwierzę przez dłuższy czas nie zaspokoi głodu.

Kilka statków, barek i tratw na nabrzeżu nie wystarczyło do przewiezienia koni. Koniec końców znaleziono dwie tratwy, które pomieściły naraz po dwa wozy i dwudziestu ludzi, lecz przeprawa szła jak po grudzie. Konie należało przeprowić w pław, i choć rzeka po tej stronie okazała się płytka, drugi brzeg był bardziej

stromy i z każdą chwilą coraz bardziej zryty kopytami.

Alienor patrzyła z drżącym sercem, jak koniuszy prowadzi jej nakrapianego wałacha. Prąd nie był szczególnie wartki, ale rzeka mętna i mulista, toteż wyobraźnia podsunęła Alienor wizję potwora z głębin, który wciąga wierzchowca i jeźdźca. Czytała o takich stworach w bestiariuszach. Jak nie potwór, to na pewno krokodyl. Czy na Węgrzech żyją krokodyle?

Krople deszczu podziurawiły brunatną taflę rzeki w chwili, kiedy Alienor podała rękę Gotfrydowi z Rancon i wsiadła na barkę, by przepłynąć na drugi brzeg. Stajenny, w samej koszuli i spodniach, wprowadził wierzchowca do rzeki, ściskając go za grzywę i przemawiając doń kojącym tonem, po czym na głębokości obaj zaczęli płynąć, silne zwierzę i holowany przez nie człowiek. Siwek zachował spokój, toteż bez przeszkód dotarli na drugą stronę, ale pozostałe rumaki porwał prąd i zniósł daleko. Niektóre zwierzęta płoszyły się i dawały zaciągnąć do wody. Jeden koń spanikował na mieliźnie i kopnął w burtę. Gizela krzyknęła, Alienor zaś chwyciła Gotfryda za rękaw, aby zachować równowagę. Jeździec zaklął i skierował konia z powrotem na brzeg, a stamtąd ponownie w spieniony nurt, wzniecając fontanny błota. Gotfryd czym prędzej zasłonił królową własnym ciałem i woda przemoczyła jego ciężką, wełnianą opończę.

– Dziękuję – powiedziała Alienor, nagrodziwszy go pełnym wdzięczności spojrzeniem.

Na chwilę wzmocnił uścisk, po czym odsunął się i skłonił.

– Spełniłem jedynie swoją powinność.

– Tym bardziej jestem rada, iż wykazałeś się refleksem. – Jej serce zalała fala ciepła. – Dalej – zachęciła swoje dwórki. – Pomódlmy się i zaśpiewajmy. Wszystko będzie dobrze. Wszechmogący zatroszczy się o nas.

– Po co zatem zsyła deszcz? – Gizela pociągnęła nosem. Sterczące spod czepca jasne włosy wisiały jej w smętnych strąkach.

– Nie nam w to wnikać – odparła Alienor ostro. – Nie znamy Jego planu. – Pozostawała tylko nadzieja, że doprowadzi ją szczęśliwie do Antiochii i bezpiecznej przystani dworu stryja Rajmunda.

Trwała błotna przeprawa przez Drawę. Po dotarciu na drugi brzeg Alienor serdecznie podziękowała koniuszemu i obejrzała siwka.

– To dobry wierzchowiec, pani. Nierychliwy, ale spokojny jak baranek. Całkiem jak ja.

– Wiem o tym. – Z uśmiechem wręczyła mu monetę, którą schował za pasek przemokniętych spodni.

Niemieccy krzyżowcy ogołocili również ten brzeg, zjawiała się za to garstka okolicznych mieszkańców z towarem po wygórowanych cenach.

Służący Alienor znaleźli miejsce pod namiot na wzniesieniu nieco ponad poziomem rzeki. Nie był to najprzyjemniejszy zakątek, ale miała chociaż dach nad głową. Wielu uboższych pielgrzymów dysponowało jedynie płachtą woskowanego płótna rozpiętą na kijach. Namiot Alienor zalatywał dymem i pleśnią. Służba usłała ziemię grubą warstwą słomy, również zawilgłej, ale przynajmniej nie musieli brodzić w błocie. Alienor skrzywiła się z niechęcią. Tak się nie godzi żyć, jak świnie w chlewie. Spać pod gwiazdami w balsamiczną letnią noc na własnej ziemi to jedno, ale noc za nocą w rześnym deszczu, o pustym brzuchu i z dala od domu to zgoła odmienna rzeczywistość.

Na kolację podano czerstwy chleb z nadpsutym kozim serem, a do popicia kwaśne wino o octowym posmaku. Po zmroku zjawił się Gotfryd z Rancon, który czuwał nad przeprawą. Nadal padało, z ciężkich krawędzi jego opończy woda kapała na słomę.

– Zostało jeszcze kilku maruderów – oznajmił. – Straciliśmy kolejny wóz, trzeba rozłożyć załadunek. Konie poniosą część bagażu.

– Jak uważasz – odpowiedziała.

– Dysponujemy ograniczonymi zapasami, ale przy oszczędnym gospodarowaniu do granicy powinno wystarczyć. – Jego wzrok wyrażał niepokój. – Musiałem powiesić dwóch mężczyzn za kradzież prowiantu oraz próbę jego sprzedaży. Wiecznie to samo, grasują jak szczury w spiżarni.

– Czy świątobliwy opat z Clairvaux istotnie uwolnił wszystkich więźniów, którzy chcieli odkupić swoje grzechy na krucjacie, w dobrej wierze, że się nawrócą? – spytała Alienor z pogardą.

Gotfryd miał kwaśną minę.

– Odnoszę takie wrażenie.

– A my ponosimy konsekwencje jego idealizmu. Skoro mowa o prowiancie, musimy dopilnować, aby dobra pozyskane z Akwitanii trafiły do jej ludu.

W piwnych oczach Gotfryda błysnęło zrozumienie.

– Dokładam ku temu wszelkich starań, pani.

– Doskonale. Kiedy dotrzemy do Antiochii, żołnierze, którzy mi podlegają, mają być w doskonałej kondycji. – Dała znak Gizeli. – Ręcznik dla hrabiego z Rancon.

Gotfryd wziął podany mu ręcznik i wytarł ociekające włosy.

– Słyszałem pogłoski, że królowi brakuje funduszy.

Alienor wytrzeszczyła oczy w udawanym zdziwieniu.

– Mimo usług roztropnego skarbnika Teodoryka Galerana? Niemożliwe!

– Przypuszczam, że Galeran dysponuje wiarygodną wymówką – odrzekł Gotfryd bez mrugnięcia okiem. – Jak zawsze. – Gdy oddawał ręcznik Gizeli, raz jeszcze wymienili znaczące spojrzenia. Teodoryk Galeran był templariuszem i kanclerzem Ludwika na czas wyprawy, gdyż czuwał nad skarbem jego orszaku.

Alienor szczerze go nie znosiła za wpływ, jaki wywierał na jej męża, i za to, że widział w niej węża w ciele kobiety.

– No cóż, zatem w swoim kolejnym liście Ludwik poprosi Sugera o dodatkowe fundusze. Chciałabym wiedzieć, ile srebra ma nasz tabor, a także ile koni, worków z ziarnem i całej reszty. Wystarczy z grubsza, nie potrzebuję ścisłych wyliczeń.

– Dopilnuję tego, pani. – Skłonił się i wyszedł z namiotu.

Deszcz ustał i zza strzępów chmur przeświecał księżyc w trzeciej kwadrze. Żołnierze tłoczyli się przy ogniskach skleconych z opału uzbieranego po drodze. Zawilgłe drewno dymiło, ale w końcu zajęło się ogniem. Żywica syczała, sęki wypływały snopy iskier. Alienor owinęła się suchym płaszczem i posławszy po muzykantów, wyszła z namiotu, by dołączyć do rycerzy przy ognisku.

Mokre smyczki odmówiły posłuszeństwa, lecz fujarki i flażolety działały jak należy, i gdy rozpoczęły się śpiewy, zebrani jęli wystukiwać rytm. „Wysokie są góry, doliny cieniem spowite, wartko płynie rzeka...”.

Alienor otuliła się płaszczem i nachyliła, by się ogrzać. Gotfryd stanął obok i podał jej kielich z winem.

– Przyzwoite – zawyrokował. – Kupiłem od jednego z kupców, którzy kręcą się na obrzeżach obozu.

Uśmiechnęła się do niego.

– Pewnie się wykosztowałeś.

– Dla mojej królowej wszystko – odpowiedział, wznosząc kielich.

Ostrożnie wypila łyk i przyznała mu rację. Faktycznie nadawało się do picia... a w odpowiedniej ilości pomoże jej przetrwać kolejny dzień podróży, dzień, który przybliży ją do Antiochii.

Gotfryd spojrział w niebo.

– Miejmy nadzieję, że przejaśni się na dobre – oznajmił. – Przydałby się suchszy grunt.

Alienor przytaknęła, rozkoszując się trunkiem.

– Ciekawe, co astrolog wyczytałby z tego nieba. Jaki los przewidziałby dla nas wszystkich? Czy przeznaczenie istotnie zależy od układu gwiazd w chwili narodzin?

– Twój ojciec nie kazał postawić dla ciebie horoskopu? – zdziwił się Gotfryd.

– Owszem. – Skrzywiła się. – Wedle wszelkich znaków na niebie miałam zawrzeć wspaniałe małżeństwo, powić wielu synów i dożyć późnej starości. Mój brat miał równie świetlane prognozy. Szkoda, że ich nie dożył.

– Jednakże ty zawarłaś wspaniałe małżeństwo i możesz jeszcze powić synów.

Posłała mu sceptyczne spojrzenie. Czasami prognozy zapisane w gwiazdach

się nie spełniały albo przeczyły oczekiwaniom. Wymarzyła sobie wspaniałe małżeństwo, lecz nie z Ludwikiem Francuskim.

– A czy to ma znaczenie? – spytała. – Życie jest krótkie, ani się obejrzymy, jak wrócimy do Boga. – Podała mu kielich do napełnienia i na chwilę zetknęli się palcami.

Muzyka na sekundę zamarła, ale zaraz rozbrzmiała na nowo. Alienor uniosła głowę i dostrzegła wpatzonego w nich templariusza Teodoryka Galerana. Natychmiast wzmogła czujność. Próbował wkupić się w jej łaski, ale wiedziała, że chodzi jedynie o szpiegowanie, a nie o chęć poprawienia ich relacji. Interesowały go jej plany i zasoby, jakimi dysponowała. Jego wyrachowana życzliwość napawała ją odrazą.

Skłonił się, a giętki ruch jego szyi z miejsca nasunął jej skojarzenie z wężem. I podobnie jak wąż, nie mrugał oczami.

– Co sprowadza cię do mojego ogniska, panie? – spytała.

– Pani, król poprosił mnie, abym w jego imieniu się upewnił, że obóz jest bezpieczny. Przynoszę ci również wieści od niego.

„Wieści”, czyli „polecenia”.

– Odkąd to król załatwia swoje sprawy za pośrednictwem podwładnych? Dlaczego sam nie wizytuje obozu? – Mierzyła go zimnym wzrokiem ze świadomością, że wróci do Ludwika z opowieścią o królowej, beztrąsko dzielącej pieśń oraz wino z rycerzami przy ognisku.

– Pani, król powrócił do modlitwy i zlecił wizytację mnie, a ja z radością wypełniam polecenie. Mam sokoła oko żołnierza, a sprawa, z którą przychodzę, jest natury pieniężnej.

Alienor zerknęła na Gotfryda. Tego się obawiała.

– Zatem im szybciej powiesz mi, w czym rzecz, tym lepiej. – Posłała służbę po wino ze skwaśniałej beczki dla Galerana, ale wymówił się gestem.

– Dziękuję, nie tym razem. Zostanie więcej na później. – Odgarnął płaszcz, odsłaniając rękojeść miecza. – Kończą się zapasy. Król wzywa do oszczędności. Zamierza posłać do Paryża po więcej srebra i ma nadzieję, że wystosujesz podobną prośbę do panów Akwitanii. Prosi też o przekazanie koni, jeśli masz zapasowe.

Alienor korciło, by odpowiedzieć, że dostanie od niej figę z makiem, ale ugryzła się w język.

– Nie pojmuję, czemu prosi o to wszystko, skoro podążamy tą samą drogą. Sądzi, że mam mniejsze potrzeby? Może powinien dbać o swoje konie i staranniej racjonować zapasy, nie będzie wtedy zmuszony zabierać ich żonie.

Nie wiedziała, czy jej słowa odniosły pożądany skutek, gdyż Teodoryk Galeran nigdy nie okazywał emocji. Wszystko spływało po nim jak woda po kaczce.

– Jaką odpowiedź mam mu przekazać, pani?

– Aby wyświadczył mi tę uprzejmość i zwrócił się do mnie osobiście, zamiast wysługiwać się swoim eunuchem – oświadczyła. – Tymczasem sprawdzę swoje zasoby i dam znać, czy mogę mu coś udostępnić.

– Pani. – Galeran wykonał kolejny gładki ukłon i się oddalił. Alienor spojrzała na Gotfryda, który też miał kamienną twarz.

– Co? – burknęła i poczuła, że czerwieni się nie tylko z powodu żaru, który bił od ogniska.

– Pani, nie mnie oceniać, ale może powinnaś zachować większą ostrożność w kontaktach z Teodorykiem. To templariusz, nie warto mieć w nim wroga.

– Nie – stwierdziła ze wzgardą. – Nie tobie oceniać. On próbuje przeniknąć do mojego obozu. Nagabuje rycerzy, urządza sobie z nimi żarty, wyciąga z nich informacje, a potem donosi królowi. Nie pozwolę na to. Niech trzyma się ode mnie z daleka, jeśli nie chce, by go obrażano, a król powinien sam przyjść do mnie, jeżeli mam spełniać jego prośby. – Spojrzała na niego twardo. – Nie radzę ci zwlekać z tym spisem inwentarza.

Z oczu Gotfryda bił niemy wyrzut.

– Dostarczę go przed poranną modlitwą, pani – obiecał.

– Doskonale. – Odwróciła się do muzykantów, a jemu podstawiła kielich do napełnienia, co uczynił wyćwiczonym ruchem dworzanina. Alienor westchnęła. – Masz rację – dorzuciła cicho. – Ale znasz moje zdanie na temat Galerana. Ludwik nie powinien go przysyłać, ale mogłam się tego spodziewać.

Skwitował jej odpowiedź lekkim grymasem.

– Zabiorę się do liczenia – rzekł, wstając z miejsca.

Przytrzymała go za nadgarstek.

– Prosiłam o pośpiech, ale dokończ chociaż wino przy ognisku.

Po chwili wahania usiadł z powrotem. Muzykanci zagrali kolejną melodię, subtelną i boleśnie melancholijną. Oboje słuchali w milczeniu, a kiedy ostatnie takty uleciały w niebo, Gotfryd podniósł się, skłonił i odszedł. Alienor udała się na spoczynek, obolała, jakby nuty wyszarpano na nagich strunach jej serca.

Nastał ranek i słońce wstało za mgłą, chociaż ziemia była nadal podmokła, a wszystko mokre i zlepione błotem. Posilając się pajdą twardego chleba z miodem, Alienor doszła do wniosku, że zapamięta tę duszącą, ziemistą woń do końca swoich dni. Gotfryd, tego ranka bardzo oficjalny, przyniósł jej spis dobytku oraz listę rzeczy niezbędnych w drodze do Belgradu.

– Zakładając, że nie padnie już żaden koń, a pozostałe wozy wytrzymają podróż – dodał ponuro.

– A więc jeśli to jest minimum, winniśmy zachować nadwyżkę?

– Trzeba zrównoważyć nadwyżkę z kosztami jej pozyskania oraz transportu,

ale tak.

Podziękowała mu i schowała rejestr do małej szkatułki, gdzie trzymała podręczne monety.

– Tak też uczynimy. Polegam na twoim osądzie.

Posłał jej zatroskany półuśmiech.

– Stawiasz mi wysokie wymagania.

– Owszem, jako jednemu z garstki wybrańców.

Utkwił w niej wzrok i przełknął ślinę.

– Moja pani jest zbyt łaskawa.

– Nie sądzę – odparła ściszym tonem.

Przed namiotem rozległ się stukot kopyt i okrzyk obwieszczający przybycie króla. Alienor postąpiła krok w tył, a Gotfryd skłonił się i udał do swoich obowiązków.

Widziała przez rozchylone poły namiotu, jak Ludwik zamasyście zeskakuje z konia, manifestując swoje niezadowolenie. Mars na jego czole, niezmienny od czasu Vitry, obecnie tworzył wręcz koleiny.

– Pani, przekazano mi twoją wczorajszą wiadomość – oznajmił bez ogródek, wchodząc do jej namiotu. – Nie będziesz tak więcej rozmawiać z Teodorykiem Galeraniem. To niegodne królowej.

– Życzyłabym sobie nie zamienić z nim więcej ani słowa – odparowała. – Nie życzę sobie twoich szpiegów u siebie. Jeśli czegoś ode mnie chcesz, bądź łaskaw sam się pofatygować.

Zacisnął usta.

– Nie rozumiem, o co tyle zachodu. Ale słyszałem, że piłaś przy ognisku z żołnierzami. To niestosowne zachowanie.

– Rozmawiałam z moimi dowódcami, nie widzę w tym nic niestosownego. Przysyłaś Galerana z poleceniem, bym dostarczyła ci konie i zapasy. Kiedy wyruszaliśmy, zarzuciłeś mi zbytek: ponoć brałam wszystkiego za dużo, tymczasem sam zostałeś bez pieniędzy i prowiantu, zatem jak świadczy to o twojej i mojej przezorności?

Ludwik spojrzał na nią spode łba.

– Miej się na baczności, pani. Jesteś moją żoną i mnie podlegasz. Bądź rozsądna, bo ukarzę cię aresztem domowym.

Budził w niej taką odrazę, że wprost nie mogła pojąć, co dawniej w nim widziała. Stał przed nią człowiek swarliwy, przedwcześnie postarzały i wiecznie niezadowolony, dręczony poczuciem winy i obrzydzeniem do samego siebie, w związku z czym winę za całe zło tego świata zrzucał na najbliższego kozła ofiarnego. Straciła resztki sympatii, jaką go darzyła. Kiedyś miała nadzieję wyciągnąć go z matni i zmienić, ale teraz tkwił w niej po uszy i pograżał się coraz bardziej.

– Rozsądna – powtórzyła. – Doprawdy, panie, dajesz mi dobry przykład. Zapewne uraduje cię wieść, że mój hrabia z Rancon przygotowuje prowiant i konie, o które prosiłeś, posłałam też po więcej zasobów z Poitou i Akwitanii. – Podała mu zapieczętowany pergamin.

Ludwik chwycił go i wyszedł bez słowa. Zdawała sobie sprawę, że to go nie usatysfakcjonuje, ale miała nadzieję, że zaniecha dalszych nagabywań. Na razie musiała go ścierpieć, lecz im bliżej Antiochii, tym silniejsza się czuła.

Bułgaria, lato 1147

Alienor odwróciła głowę w drugą stronę, przejeżdżając obok kolejnego konia na poboczu. Tym razem był to niemiecki wierzchowiec; nie zniósł sierpniowego upału, jaki towarzyszył im w drodze do Konstantynopola. Od truchła oblepionego larwami bił dławiący smród, więc przycisnęła woal do twarzy. Pobocze usiane było płytkimi grobami rycerzy i pielgrzymów, którzy umarli po drodze. Niektóre ciała zostały wywleczone przez padlinożerców, okaleczone szczątki ciągnęły się, jak okiem sięgnąć. Widok początkowo przejmował ją zgrozą, ale stopniowo przywykła, i tylko odór, ciężki i zawieszony jak w paryskiej dzielnicy mięsa, przypominał ją niekiedy o mdłości.

Jej wierzchowiec też opadał z sił, pot ściekał mu po brzuchu. Jak dotąd mieli wodę, by uzupełniać straty, lecz po przekroczeniu Ramienia Świętego Jerzego i wjeździe do Anatolii będzie o wiele gorzej – konie, mając w nogach setki mil, tracą dotychczasowy animusz.

Pieniądze Ludwika przyjechały z Francji szybkim zaprzęgiem; nie spowolnił go mozolny chód pielgrzymów, który tak bardzo doskwierał armii. Wieści z kraju nie budziły niepokoju: abbé Suger i Raul z Vermandois rządzą roztropnie, a wszelkie pomniejsze problemy rozwiązywane na pniu. Petronela napisała zwięzły list z informacją, że Maria już biega i nosi sukienki zamiast dziecinnych łąszków. „Opowiadam jej o tobie każdego dnia. Nie zapomni o swojej mamie”. Alienor schowała list i nie przeczytała go powtórnie. Bez względu na starania Petroneli już nigdy nie będzie matką dla własnego dziecka.

Nadeszły też inne listy, w tym od cesarzowej Ireny, małżonki cesarza bizantyjskiego Manuela Komnena, z pytaniem o wygody, jakie ma zapewnić Alienor po przybyciu do Konstantynopola, aby podjąć ją jak królowa królową. Alienor wyczekiwała spotkania z cesarzową Greków, Niemką z urodzenia i prawie jej rówieśnicą. Naprawdę miała na imię Berta, ale po ślubie z Komnenem przemianowała się na Irenę. Intrygował ją także Konstantynopol, o którego złotym przepychu, mozaikach i świętych relikwiach krążyły legendy.

Ludwik wykazywał większą powściągliwość z powodu licznych ograniczeń nakładanych na nich przez Greków, którzy kontrolowali szlak przez Bułgarię, i intruzów w postaci armii francuskiej i niemieckiej. Poza tym rozsierdziło go żądanie złożenia hołdu cesarzowi Manuelowi za dawne ziemie imperium odebrane niewiernym. Miałby bić przed kimś pokłony za coś, co sam wywalczył?

Gubernator Sofii, kuzyn cesarza Manuela, dołączył do francuskiej armii

i pomagał w zaprowiantowaniu, lecz stanął przed trudnym zadaniem. Za greckiego miedziaka żądano pięć francuskich srebrników, co stało się załóżkiem wielu niesnasek. Często zdarzało się, że na widok nadjeżdżających Franków Grecy zamykali bramy i dostarczali jedło, spuszczać je w koszach z miejskich murów. W rezultacie wiecznie brakowało prowiantu, ludziom puszczały nerwy i skakali sobie do oczu. Żołnierze łamali szyki i plądrowali okolicę. Niektórzy wracali z ciężkimi sakwami i krwią na rękach. Inni wcale.

W miarę jak upał przybierał na sile, Alienor źle się poczuła. Rano zjadła ziarno z rodzynekami i przyprawami korzennymi, wciąż czuła w ustach jego smak. Jej żołądek wyrzucił się na drugą stronę i chwycił ją nagły skurcz w krzyżu. Zacisnęła zęby. Kolejne dziesięć kroków konia, i następne. Byle do tamtego krzaka. Do tamtej kępy drzew. Byle do...

– Stać! – krzyknęła, rozpaczliwie dając znak służkom. Pomogły jej zsiąść z konia, a jedna z nich, Mamilą, pospiesznie rozłożyła płócienny parawan, zdjęty z konia jucznego, i nakazała pozostałym zasłonić panią.

Alienor zgięła się w pół i zwymiotowała. Skręcało jej wnętrzności. O Boże, Boże. A jeśli to krwawa biegunka? Od Konstantynopola, przyzwoitych medyków i odpoczynku dzieliło ich jeszcze kilka dni drogi. Widziała, jak ludzie padają po drodze, w jednej chwili zdrowi jak ryby, w drugiej skręceni przedśmiertnymi konwulsjami.

Całkiem opadła z sił, ale wciąż ją mdliło.

– Może wolałabyś jechać na wozie, pani?

Alienor spojrzała na Mamilę i potrząsnęła głową.

– Dam sobie radę. Nie rób ceregieli. Przyrowadź mojego konia.

Nim rozbili się na noc, Alienor zrobiła jeszcze trzy przystanki za parawanem. Nie wzięła nic do ust i od razu się położyła, ale biegunka i torsje męczyły ją całą noc.

Tuż przed świtem zapadła w niespokojną drzemkę, ale obudziły ją wrzaski na zewnątrz, niektóre po francusku, inne w chropowatym, obcym języku. Następnie rozległ się szcęk oręża i odgłosy zawziętej walki. Wygrzebała się z pościeli i chwyciła płaszcz. Przybiegła Mamilą, z latarnią w rozdygotanej dłoni i oczami jak spodki.

– Pani, zaatakowano nas.

– Kto?

– Nie wiem... – Ruszyły w stronę wyjścia z namiotu, rwetes przybrał na sile. Kobiety zbiły się w ciasną gromadkę wokół nich, spłoszone jak konie na dźwięk wycia wilków.

– Pomóżcie mi się ubrać – rozkazała Alienor. Przełknęła mdłości, kiedy spełniały jej polecenie. Następnie sięgnęła po nóż myśliwski w pochwie, który trzymała przy łóżku. Gizela jęknęła. Na zewnątrz rozległ się krzyk, po czym

dźwięk urwał się gwałtownie. Odgłosy walki przycichły i dawało się słyszeć głównie język francuski.

Alienor zbliżyła się do wyjścia.

– Nie, pani! – zawołała Mamilą, ale ona już wyszła, trzymając uniesiony nóż.

Jutrzenka zarumieniła horyzont na wschodzie i w bladym świetle obóz przypominał przewrócone mrowisko. Żołnierze wylegli z namiotów, wielu jeszcze w białym, z włóczniami w rękach i twarzami zapuchniętymi od snu. Kilku gasiło płonący namiot, polewając go wodą z dzbanów. Nieopodal rycerz wyszarpywał lancę z piersi trupa. Obok spoczywał martwy koń, a pod nim martwy wojownik w czerwonym turbanie rozwiniętym jak krwawa wstęga. Gotfryd krążył wokół i energicznie wydawał polecenia.

Na widok Alienor pospieszył w jej stronę i wsunął miecz do pochwy.

– Co się dzieje? – spytała słabym głosem.

– Rabusie. – Gotfryd dyszał ciężko z wysiłku. – Usiłowali skraść konie i zapasy. Zabili dwóch strażników i spalili kilka namiotów. Nie żyje trzech naszych, jeden oberwał strzałą w nogę, ale dostali nauczkę. – Skrzywił się z obrzydzeniem. – To ci sami, którzy nękali Niemców, tak twierdzą nasi przewodnicy, w zemście za plądrowanie ich obejść i stad.

– Jesteś cały? – Zmierzyła go pospiesznym spojrzeniem.

Potwierdził.

– Nie zdążyli się zbliżyć. Musimy wzmocnić straż, bo będzie coraz gorzej. Po przekroczeniu Ramienia Świętego Jerzego napotkamy jeszcze większą wrogość. Podwoję wartość, lecz na razie chyba mamy spokój. – Na widok noża w jej dłoni jego spojrzenie nabrało ostrości. – Nie doszłoby do tego. Osłoniłbym cię własną pierśią, pani.

– A potem co? – zapytała. – Przezorny zawsze ubezpieczony.

Nie wyglądał na zadowolonego.

– Lepiej ci?

– Nieco – odpowiedziała nieszczercze.

Długo na nią patrzył.

– Odpocznij dziś, jeśli zdołasz – rzekł, skłonił się i odszedł, wykrzykując rozkazy zwinięcia namiotu.

Huczało jej w głowie, w ustach czuła suchość. Mdlilo ją na myśl o jedzeniu, wypila tylko parę łyków mleka od jednej z kóz, które wiezli. Gdy dosiadała konia, kręciło jej się w głowie, jednakże myśl o tłuczeniu się wozem była nie do zniesienia, na koniu bardziej panowała nad sytuacją.

Atak rozniecił w nich strach, więc toczyli zaniepokojonym wzrokiem, lecz krajobraz migotał w skwarze schyłku lata i nie napotkali żywej duszy przez dwadzieścia mil, które pokonali tego dnia. Miejscowa ludność przezornie zesłała im

z drogi w obawie przed grabieżą, toteż natknęli się tylko na niepogrzebane trupy Niemców, których położenie wyznaczały stada ptactwa i zdziczałych psów. Słyszając pielgrzymów, na chwilę porzucały swoją zdobycz, by wnet do niej wrócić. Nikt nie miał odwagi odłączać się od pozostałych. W południe Alienor zmusiła się do zjedzenia pajdy suchego chleba, lecz ciążył jej ołowiem na żołądku i wcale nie dodał sił. Minęli miasteczko, gdzie łaskawie sprzedano im kilka worków mąki oraz glinianych garnków z jajkami i baranym smalcem, spuszczonej na sznurach i będących ledwie kroplą w morzu ich potrzeb.

Alienor kurczowo trzymała się siodła i myślała o Akwitanii. O miłym wietrzyku w pałacowych ogrodach w Poitiers, szumie oceanu w Talmont. O rozpiętych skrzydłach białozora. La Reina. „Święta Maryjo, idę do Ciebie. Święta Maryjo, wysłuchaj mnie na miłość Boga Ojca i Jezusa Chrystusa, syna Twojego”.

Szcęściem na godzinę przed zachodem słońca znaleźli dobre miejsce na obozowisko opodal strumienia, gdzie służący rozbili jej namiot. Alienor niemal zsunęła się z siodła, znękana i osłabiona. Może tu wyzionie ducha i dołączy do rzeszy strawionych żarem szkieletów pod obcym niebem.

Położyła się w namiocie, ale zjedzony chleb wciąż dawał o sobie znać i znów musiała się rzucić do mosiężnej misy.

– Przyszedł hrabia z Rancon, pani – oznajmił paź przed namiotem.

– Niech zaczeka – wykrztusiła.

Kiedy skończyła, kazała Mamily wynieść miskę. Ale odór pozostał, musiała też zaciskać zęby i kurczowo przetykać ślinę. Słyszała, jak na zewnątrz Mamilia rozmawia z Gotfrydem. Po chwili wszedł bez pozwolenia, a za nim młoda kobieta o oliwkowej cerze, ubrana schludnie w prostą, ciemną suknię i biały czepiec, z dużą torbą, przewieszoną na ukos przez pierś.

Boże, przyprowadził mi zakonnice, przeszło jej przez myśl, gdy kobieta dygnęła.

– To Marchisa – oznajmił Gotfryd. – Potrafi leczyć przypadłości kobiece, ona ci pomoże.

Alienor nie miała siły dyskutować ani troszczyć się o szczegóły. Omdlewającym ruchem kazała młodej kobiecie się podnieść. Marchisa liczyła sobie niespełna lat trzydzieści, miała piękne, ciemne oczy osadzone pod ładnie zarysowanymi czarnymi brwiami. Zachowywała się powściągliwie, lecz kształt jej ust zdradzał poczucie humoru i energiczne usposobienie.

– Hrabia powiedział, że coś ci dolega, pani. – Głos miała melodyjny i miły dla ucha. Przycisnęła dłoń do czoła Alienor. – Ależ rozpalona – stwierdziła, po czym zwróciła się do Gotfryda: – Niech królowa zostanie ze swoimi damami.

– Już wychodzę. – Ociągał się jednak i Marchisa ponagliła go wzrokiem. – Niech wyzdrowieje – rzucił na odchodne i zanurkował pod płachtą namiotu.

Marchisa ponownie skierowała uwagę na Alienor.

– Twoją krew trzeba wystudzić – oznajmiła. – Pozwól. – Delikatnie zdjęła królowej welon i złotą siatkę podtrzymującą włosy. Poleciała kobietom napełnić misę letnią wodą, po czym wyjąwszy z torby zawiniątko, wsypała do wody proszek o zapachu róż oraz przypraw korzennych z czystą nutą imbiru. Ostrożnie rozczesała Alienor włosy, skręciła je w węzeł i spięła na czubku głowy, a następnie przemyła jej szyję i rozpaloną twarz szmatką zwilżoną pachnącą wodą. – Wielu cierpi w podróży – stwierdziła w trakcie tej czynności. – Jedzą i piją rzeczy, których nie powinni, noszą niewłaściwą odzież, wdychają szkodliwe opary. – Cmoknęła cicho. – Trzeba zdjąć suknię. – Odstawiwszy misę, rozwiązała tasiemki i pomogła Alienor zdjąć suknię. – Już dobrze.

Alienor apatycznie wypełniała polecenia. Nie miała siły kiwnąć palcem. Chłód przyniósł ulgę, lecz spotęgował ucisk w żołądku i poczuła się gorzej. Marchisa nadal ją wycierała i przytrzymała jej głowę nad miską, kiedy ponownie zwymiotowała. Po wszystkim kazała Alienor przepłukać usta wywarem z anyżu oraz imbiru i kazała zmienić przepoconą pościel na świeżą.

– Hrabia z Rancon to zacny człowiek – oznajmiła. – Bardzo się o ciebie martwi.

Alienor odmruknęła coś w odpowiedzi. Chciała tylko spać. Marchisa pomogła jej przebrać się w czystą koszulę i zaprowadziła do łóżka. Następnie natarła jej skronie maścią o świeżym zapachu.

– Teraz zaśniesz – oznajmiła. – Potem napijesz się i znów zaśniesz, a potem zobaczymy. – Alienor przymknęła oczy, czując na czole kojącą, chłodną dłoń znachorki. Ponownie śniła o Akwitanii, Bordeaux i Belin, o ryku oceanu w Talmont. O Poitiers i soczyście zielonych puszcach wyżyn Limousin. Szybowała nad nimi na rozpiętych skrzydłach jak białozór, pióra miała zimne jak śnieg. Bojowy okrzyk ptaka świdrował lodowate, błękitne powietrze... przebudziła się, gwałtownie łapiąc dech. Przez chwilę leżała, mrugając oczami, niepewna, gdzie się znajduje, gdyż chłodny, rześki błękit się rozpląnął, a powietrze, którym teraz oddychała, było mroczne i przesycone aromatem korzeni. W miękkim blasku lampki oliwnej widziała, jak młoda kobieta uciera zioła. Kiedy Alienor próbowała usiąść, tamta odłożyła moździerz i zbliżyła się do łóżka.

– Spałaś, gorączka spadła – rzekła, dotknąwszy chłodną dłońią jej szyi i policzka. – Napijesz się teraz?

Alienor czuła się lekka i skołowana, jakby jej kości pozbawiono szpiku, pozostawiwszy je wydrążone jak u ptaka.

– Śniło mi się, że latam – powiedziała i przyjęła kielich od młodej kobiety. Napój raz jeszcze smakował imbirem i anyżem. – Marchisa – dodała. – Pamiętam, jak masz na imię.

– Tak, pani. – Znachorka dygnęła.

– Jak trafiłaś do mojego namiotu? Gdzie hrabia z Rancon cię znalazł? Opowiedz mi o sobie.

– Nazywam się Marchisa z Gençay. Jadę z bratem do Jerozolimy, pomodlić się za dusze naszych rodziców. – Złożyła ręce na podółku. – Mój dziadek w młodości wyruszył na pielgrzymkę i osiadł w księstwie Antiochii, gdzie poślubił moją babkę, która urodziła się tam i wychowała. Dała mu córkę, córka zaś wyszła za mego ojca, który przybył jako pielgrzym do Jerozolimy. Zabrał ją do swego domu w Gençay, gdzie doczekali końca swoich dni. Dziś oboje nie żyją, jedziemy z bratem pomodlić się za nich przy grobie Zbawiciela.

Alienor sączyła swój eliksir.

– A skąd zna cię hrabia?

– Mój brat Eliasz jest rycerzem w jego służbie; pan z Rancon usłyszał, że mam doświadczenie w opiece nad chorymi, i uznał, że mogę być pomocna.

– A zatem nie masz męża? Zrazu wzięłam cię za siostrę zakonną.

Marchisa spuściła wzrok.

– Jestem wdową, pani, i chcę nią pozostać. Mój mąż umarł przed kilkoma laty. Nie mieliśmy dzieci, wróciłam do domu, gdzie opiekowałam się rodzicami aż do ich śmierci.

Alienor wysłuchiwała tego ze współczuciem, ale bez litości, gdyż duma nie pozwoliłaby Marchisie jej przyjąć. Ponownie ogarnęło ją znużenie i potrzebowała snu, lecz w jej głowie wykluwała się pewna myśl.

* * *

O świcie jej stan znacznie się poprawił. Napila się jeszcze kojących ziółek Marchisy i choć zjadła kromkę chleba z miodem, uniknęła torsji.

– Jestem ci wdzięczna za Marchisę, dziękuję, że ją przysłałeś – powiedziała do Gotfryda, kiedy zajął do niej tuż przed wymarszem.

– Mówi też po grecku i arabsku. – W jego głosie zabrzmiał entuzjazm, jakby zachwalał dar dla ukochanej. – Wyglądasz znacznie lepiej, pani.

– I czuję poprawę – przyznała. – Bardzo ci dziękuję.

– Do usług.

Ani słowa od Ludwika, nie zainteresował się jej stanem, choć musiał wiedzieć o jej chorobie, za to Gotfryd zjawiał się niezwłocznie. Zwróciła się do Marchisy, która milczała podczas tej wymiany zdań.

– Jestem twoją dłużniczką – powiedziała. – Chciałabym odtąd mieć cię przy sobie.

– Z ochotą będę ci służyć. – Marchisa z wdziękiem skłoniła głowę, przywodząc Alienor na myśl kota, który chadza własnymi ścieżkami. – Wpródy muszę jednak wypełnić swoją powinność względem rodziców i pomodlić się przy Świętym Grobie.

– Mam podobne plany, zatem postanowione – odrzekła Alienor. – Idź po swoje rzeczy i przenieś je do mojego namiotu.

Marchisa dygnęła i wyszła. Gotfryd ujął dłonie Alienor i musnął ustami kostki. Wymienili spojrzenia, po czym uklonił się i ruszył w ślad za Marchisą.

Trzy kolejne noce, kiedy wracała do zdrowia, śniła o lataniu. Zawsze budziła się ze wstrząsem, że leży w ciemnym namiocie, miast szybować nad światem, lecz z każdym kolejnym razem czuła się silniejsza i nabierała pewności siebie. Ludwik wciąż nie pojawił się zapytać o jej zdrowie, choć przysyłał wiadomości przez Gotfryda, który bywał na codziennych naradach, a potem wszystko jej opowiadał.

– Król jest zachwycony, że wydobrzałaś, i wielce rad, że jego codzienne modlitwy w twojej intencji zostały wysłuchane – oznajmił Gotfryd neutralnym tonem dworzanina.

Alienor uniosła brwi.

– Jakże miło z jego strony. Coś jeszcze?

Rzucił jej pytające spojrzenie.

– W związku z twoją osobą?

Potrząsnęła głową.

– Wątpię, czy jest coś, co chciałabym usłyszeć z jego ust w tym kontekście. Są jakieś wieści z Konstantynopola?

Kąciki ust Gotfryda powędrowały w dół.

– Nadal ani słowa od hrabiów, których wysłał przodem. Emisariusze cesarza przekonują, że wszystko w porządku i wysłannicy szykują się na nasze przybycie, lecz oni sami milczą. Kto wie, czy jeszcze żyją.

– Trzeba to rozważyć. – Alienor chodziła po namiocie. – W kontaktach z Grekami musimy być przebiegli jak oni sami. Znajomość ich zwyczajów to sprawa kluczowa. Musimy się od nich uczyć.

Gotfryd potarł twarz.

– Śnię o Gençay i Taillebourgu. Niedługo zniwa, w lasach pewnie kipi od grzybów. Mój syn urósł, a Burgundia pewnie urodziła mi wnuka.

– Jesteś za młody na wnuki! – parsknęła.

Gorzkie rozbawienie pogłębiło mu zmarszczki w kącikach oczu.

– Czasem myślę, że wręcz przeciwnie – odrzekł.

Lekko oparła mu dłoń na rękawie, a on w odpowiedzi ją uścisnął i ruszył w stronę wyjścia. Na zewnątrz jeden ze starszych giermków Ludwika właśnie zeskakiwał z konia. Uklonił się Gotfrydowi i ukląkł przed Alienor.

– Król przesyła wiadomość, że wrócił Everard z Breteuil.

Alienor i Gotfryd wymienili spojrzenia. Everard był jednym z baronów, których Ludwik wysłał do Konstantynopola. Jego powrót oznaczał wieści.

Gotfryd poprosił o swego konia.

– Ja też jadę – oświadczyła Alienor.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Na pewno dobrze się czujesz? Jeśli wolisz zostać, później przekażę ci wieści.

Alienor rozbłysły oczy.

– Pójdę sama i dowiem się wszystkiego z pierwszej ręki. – Wsunęła rękę w opończę, którą Marchisa jej przytrzymała, i zdecydowanym ruchem zapięła klamrę. – Nie próbuj mnie zniechęcić.

– Nie śmiałybym, pani. – Pomógł Alienor dosiąść siwka i sięgnął po chorągiew z orłem, by wystąpić jako jej herold. – To dla mnie zaszczyt.

Zacisnęła usta, w środku nadal się gotowała. W niczym żadnemu z nich nie ustępowała, a ciągle musiała walczyć o swoje prawa, nawet z przychylnym Gotfrydem.

Obóz armii rozciągał się na ponad milę: skupisko obszarpanych namiotów, prowizorycznych szałasów, zagród dla koni i ognisk, nad którymi gotowano strawę. W części dla pielgrzymów kobiety mieszały w garnkach ziarna z warzywami lub posilały się skromnymi racjami przasnego chleba z kozim serem. Jedna karmiła piersią dziecko poczęte, gdy rodzice mieli jeszcze dach nad głową i ustalony porządek dnia. Jeśli przeżyje podróż, co było mało prawdopodobne, na zawsze pozostanie wybrańcem losu, zrodzonym w czasie podróży do Ziemi Świętej. Niektóre kobiety zaszły w ciążę po drodze. Wielu pielgrzymów ślubowało czystość, lecz uległo pokusie, inni zaniechali przysięg i śmiało sobie poczynali w obliczu śmierci. Alienor była rada, że Ludwik złożył śluby czystości; nie zniosłaby nawet myśli o dzieleniu z nim łoża.

Wjeżdżając do jego obozu, podchwyciła skonsternowane spojrzenia rycerzy i poczuła cień satysfakcji. Sokół z jej snu latał nad głową, dając jej siłę i jasność myśli.

Ludwik krążył po namiocie z dłońmi splecionymi za plecami i zębami zaciśniętymi ze złości. Jego dowódcy i doradcy stłoczyli się w gromadkę z posępnymi minami. Pośrodku stał baron Everard z Breteuil z kielichem w ręku. Miał świeżą szramę na lewej skroni i zapadnięte policzki. Kapelan Ludwika, Odon z Deuil, siedział przy pulpicie, skrobiąc zawzięcie między wierszami na pergaminie.

Na dźwięk kroków Gotfryda Ludwik podniósł głowę.

– Co tak długo? – burknął. Jego wzrok padł na Alienor; gwałtownie nabrał tchu, wydymając nozdrza.

– Przyszłam wysłuchać twoich wieści, panie, gdyż zapewne dotyczą nas wszystkich – Alienor weszła mężowi w słowo. – Oszczędzisz sobie trudu zdawania mi relacji. – Usiadła na niskim, zaokrąglonym krześle przed parawanem

skrywającym królewskie łożę. – Co się stało?

– Mieliśmy wczoraj spotkać się z Niemcami – odpowiedział brat Ludwika, Robert z Dreux. – Ale przeprawili się już przez Ramię Świętego Jerzego.

– Nie taki był plan, mieliśmy wpierw do nich dołączyć – wtrącił Ludwik.

– Komnen nie wpuścił Niemców do miasta – wyjaśnił Everard. – Udostępnił im swój pałac letni poza murami, wyniesiono im jadło, za które musieli zapłacić. Komnen odmówił udania się do niemieckiego obozu, a król Konrad nie wjedzie do Konstantynopola bez swojej armii. Każda ze stron obawia się zdrady drugiej.

Odon z Deuil nad pulpitem mamrotał coś o podstępności Niemców i Greków.

Everard wypił łyk wina.

– My też dostaliśmy rozkaz przebycia cieśniny. Kiedy odmówiliśmy, odcięto nam dostawy żywności i staliśmy się celem ataków pogańskich plemion, a Grecy stali i patrzyli na to z założonymi rękami. W pewnym momencie przyszło mi do głowy, że wyrzną nas w pień. – Dotknął szramy na skroni. – Gdy posłaliśmy delegację do cesarza, zapewnił, że nic nie wie i wszystko naprawi, ale kłamał. To on musiał wydać rozkaz odcięcia nam żywności i nie kiwnął palcem, aby wspomóc nas w walce. Otwarcie daje do zrozumienia, że uważa nas za plagę szarańczy. Naszym zadaniem jest walczyć i ginąć, jego nic to nie obchodzi. – Skrzywił wargi. – Wykorzystują nas ludzie niewiele lepsi od pogan, panie. Cesarz zawarł dwunastoletnie przymierze z plemionami, które nas zaatakowały. Czy to przystoi chrześcijańskiemu władcy?

– Ale to Grecy zapewnią nam bezpieczną przeprawę oraz prowiant i ekwipunek, czy tego chcemy, czy nie – odezwała się Alienor. – Należy rozmawiać z nimi językiem dyplomacji.

Ludwik obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

– Masz na myśli język szachrajstwa i zdrady, pani?

– Mam na myśli język, który uważają za cywilizowany. Traktują nas tak, a nie inaczej, bo widzą w nas barbarzyńców pozbawionych głędy. Nie twierdzą, że nimi jesteśmy, lecz tak nas postrzegają, więc jeśli chcemy coś wskórać, nie wejdziemy do miasta, waląc w drzwi tarczami.

Ludwik się wyprostował.

– Jestem mieczem Boga – oświadczył. – Nie zboczę na manowce.

Odon z Deuil pokiwał głową i skrzętnie zanotował jego słowa.

– Nikt cię o to nie prosi – stwierdziła ze zniecierpliwieniem. – Woda kruszy najtwardszy kamień. I sączy się przez najmniejsze szczeliny. Bądźmy jak ona.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? – spytał Ludwik z pogardą.

– Bo wiem – ucieła. Wstała i podeszła do wyjścia. Na zewnątrz zapadł już zmrok, ogniska migotały w odstępach jak wielkie świetliki w pajęczynie. Spojrzała przez ramię na męża. – Musimy odpocząć i zgromadzić zapasy. Wolałbyś to sobie

darować, gdyż nie ufasz cesarzowi Greków, lecz gdybyś miał się z nim pojednać, pomyśl o tym, co mógłbyś zyskać, a czego nie zyskał Konrad Niemiecki.

– Cóż niby takiego? Mam uścisnąć rękę człowieka, który brata się z niewiernymi i napuszcza ich na moich rycerzy? – zapytał Ludwik z grymasem niechęci.

– Podróżujesz nie tylko jako wojownik, lecz jako pielgrzym – oświadczyła Alienor. – Pomyśl o świątyniach i sanktuariach Konstantynopola, których nie widział Konrad. O bezcennych relikwiach: koronie cierniowej, która kaleczyła skroń Pana naszego, gwoździu z krzyża, splamionym jego świętą krwią. Głazie odsuniętym z Jego grobu. Jeśli pragniesz ujrzeć i dotknąć tych rzeczy, musisz dojść do porozumienia z ich strażnikiem, bez względu na swoje o nim zdanie. – Machnęła ręką, roztaczając wokół zapach kadzidła. – Rzecz jasna, jeżeli nie dbasz o takie sprawy i przewagę, możesz dalej wymachiwać mieczem, proszę bardzo.

Ludwik milczał, drgnął mu tylko mięsień na policzku.

– Królowa ma rację – stwierdził Robert z Dreux. – Zyskamy większy prestiż od Niemców. Mógłbyś porozmawiać z cesarzem o tym, jak potraktował naszych ludzi, i wyjdiesz z tego z tarczą na chwałę Francji.

Alienor uznała, że pora się wycofać. Gotfryd będzie jej oczami i uszami. Wiedziała, że Ludwik ustąpi, lecz nie w jej obecności, albowiem nigdy otwarcie nie przyznałby jej racji. Był skończonym głupcem i błądził jak dziecko we mgle.

Konstantynopol, wrzesień 1147

Potężne mury obronne Konstantynopola zakreślały trójkąt z dwóch stron zamknięty morzem. Po wschodniej stronie rozciągała się cieśnina znana jako Ramie Świętego Jerzego, odgradzona wielkim łańcuchem, który bronił okrętom dostępu.

Upalnego wrześnieowego ranka francuska armia dotarła pod mury i rozbiła obóz. Alienor zamiast siwka dosiadła żywiołowego kasztanka, przysłanego jej przez cesarzową Irenę. Jego maść nosiła metaliczny połysk i poruszał się płynnie jak najgładszy jedwab, stąd jego imię: Serikos, co po grecku oznaczało właśnie tę tkaninę. Ludwik też dostał konia, ogiera, którego sierść połyskiwała niczym śnieg w promieniach słońca. Oba wierzchowce były lśniące i dobrze odżywione, w przeciwieństwie do koni krzyżowców, które bardzo ucierpiały podczas długiej drogi, nienawykłe do skwaru Środkowego Wschodu.

Alienor jechała obok Ludwika, z zadartą głową i plecami wyprostowanymi jak struna. Włożyła suknię z koralowego jedwabiu wyszywanego perłami. Misterny diadem na welonie miał kształt złotych kwiatów wysadzanych szafirami. Ludwik ubrał się skromniej, w tunikę z granatowej wełny, za to z bogato zdobionym pasem oraz pierścieniami na palcach, nie zapomniał też o koronie. Alienor tylko raz omiotła go wzrokiem, bo nie mogła znieść widoku wychudzonego człowieka o zaciśniętych wargach w miejscu uśmiechniętego młodzieńca, który niegdyś brał ją za rękę i patrzył z miłością w oczach.

Powitali ich możni z greckiego dworu, w barwnych tunikach z jedwabiu, noszonych na co dzień. We Francji jedynie magnaci mogli pozwolić sobie na taką odzież i nawet wówczas stanowiło to rzadkość. Mimo wysiłków, aby dobrze wyglądać, Alienor zdawała sobie sprawę, że w oczach Greków uchodzą za łachmaniarzy i potwierdzają ich niskie mniemanie o chrześcijanach z Północy.

Odprawiono ich do pałacu Blacherny, którego część znajdowała się jeszcze w budowie. Klatki rusztowań okalały ściany, a robotnicy uwijali się w pocie czoła, wciągając do góry kamienne bloki i wiadra z zaprawą. Zgrzyt dłuta o kamień, skrzypienie koła wyciągarki i okrzyki murarzy tworzyły nieustanny harmider. Główny pałac był już wszelako ukończony, a jego fasadę, ułożoną z kamieni w różnych odcieniach, zdobiły dekoracyjne łuki w marmurze.

Przybiegli służący zabrać konie i zaprowadzić ich do portyku, gdzie cesarz Manuel Komnen wraz z małżonką Ireną czekali, aby powitać gości. Manuel był w wieku Ludwika i miał jego posturę, na tym jednak kończyły się łączące ich

podobieństwa. Przypominał wspaniałą mozaikę, jego szaty w odcieniu cesarskiej purpury były tak gęsto wysadzone klejnotami, że przypominały kolczugę, a gdy się poruszał, cała jego postać migotała. Ciemnooki i ciemnowłosy, nosił się niczym bóstwo wobec wyznawców. Ludwik prezentował się przy nim blado: ot, istota gorszego gatunku, oślepią blaskiem bijącym od Boga.

Władcy objęli się na powitanie i wymienili pocałunek pokoju. Alienor także doczekała się sztywnego pozdrowienia ze strony cesarza. Dygnęła przed nim głęboko, a on ją podniósł i musnął jej policzek wargami. Wciągnęła w nozdrza woń kadzidła i drzewa sandałowego. Miał nieprzeniknione i chłodne oczy o tak ciemnych tęczęwkach, że zlewały się ze źrenicami.

Następnie pokłoniła się cesarzowej Irenie. Była wysoka i szczupła, wzrostu Alienor, ale miała ciemne oczy w piwnym odcieniu i oliwkową cerę. Poza tym była nieco starsza, lecz skórę wciąż miała młodą i gładką. Włożyła na tę okazję powłóczystą szatę z fioletowego jedwabiu ze złotą lamówką, a z korony zwisały jej sznury pereł, tworząc zasłonę z mlecznobiałych kropel na ufryzowanych włosach. W przeciwieństwie do większości dam dworu nie pomalowała twarzy, nie licząc subtelnego kresek dla podkreślenia oczu.

– Witajcie – rzekła po łacinie. – Wiele słyszałam o królowej Francji.

– A ja o cesarzowej Greków – odrzekła Alienor z wdziękiem.

Wymieniły kurtuazyjne spojrzenia, które miały zamaskować czujność i zaciekawienie.

– Przebyliście długą drogę, lecz jeszcze nie dotarliście do kresu waszej podróży – podjęła Irena. – Wejdźcie do środka i odpocznijcie. Pałac Blacherny jest do waszej dyspozycji, dopóki tu jesteście.

Wchodząc do pałacu, Alienor poczuła, jakby znalazła się w skarbcu. Na ścianach namalowano naturalnej wielkości wielobarwne postaci zdobione płatkami złota. Lazur, szkarłat, ochra. Kryształowe, marmurowe i złote powierzchnie tworzyły wielowarstwowy, akwarelowy efekt, przez co otoczenie zdawało się migotać. Lśniące mozaika podłogowa odbijała dźwięk kroków Alienor, dając wrażenie stąpania po wodzie.

Wreszcie dotarli do wielkiej sali z arkadami. Na marmurowym podeście ustawiono dwa trony, dla Manuela i dla Ludwika. Pozostali mieli stać, również Irena i Alienor.

Pomiędzy królem i cesarzem stanął tłumacz z zakręconą i natłuszczoną brodą, gdyż Manuel nie znał łaciny, w przeciwieństwie do Ludwika. Rozmowa była równie wyszukana, jak otaczające ich architektura i ozdoby: Ludwik udzielał wprawdzie lakonicznych odpowiedzi, ale tłumacz upiększał jego słowa i dodawał im kwiecistości oraz manieryzmów typowych dla greckiego dworu. Przysłuchując się odpowiedziom Ludwika, Alienor zrozumiała, że są świadkami wstępnych uprzejmości. W greckim świecie na poważną rozmowę nie było miejsca

ani dziś, ani jutro, ani nawet pojutrze.

Po ceremonialnym powitaniu zaproszono gości na ucztę w towarzystwie cesarza i jego dworu do innej sali, do której droga raz jeszcze prowadziła malowanymi korytarzami po lśniących, marmurowych posadzkach. Stoły też były marmurowe, różowe i kremowe, misternie rzeźbione i nakryte na biało. Znad potraw, podanych na ceramicznych i srebrnych talerzach, wzbijały się aromaty wody różanej, cynamonu i gałki muszkatołowej. Było tam kruche jagnię w sosie morelowym, upieczone na złoto dzikie ptactwo faszerowane dzikim ryżem, a także półmiski srebrzystych ryb z obfitych wód z zatoki Złoty Róg.

Grecy jedli, używając dwuzębnych przyrządów, którymi nabijali kąski jagnięcia albo owoce, a następnie maczali w pikantnych sosach bądź oliwie z oliwek, bladzielonej jak płynne szkło. Na widok zainteresowania Alienor Irena podarowała jej własny.

– Niebawem się zdziwisz, jak sobie bez niego radziłaś – zapewniła.

Alienor podziękowała i wyraziła zachwyt rączką z kości słoniowej, wysadzaną kwadracikami opalizującej mozaiki.

– Musisz zobaczyć wspaniałości naszego miasta podczas swojego pobytu – dodała Irena. – Sama ci wszystko pokażę, dzięki temu lepiej się poznamy.

– Z wielką chęcią, jesteś bardzo łaskawa – odpowiedziała z uśmiechem Alienor.

Irena odwzajemniła uśmiech, który jednak nie sięgnął oczu, uważnych i pełnych namysłu.

– Słyszeliśmy, że twój mąż jest niezwykle pobożny. Wiemy od naszych kupców, że spędza dużo czasu na modlitwie.

– To prawda. – Alienor sięgnęła po kielich, myśląc, że „kupcy” to wymijające określenie na szpiegów. – Nim zasiadł na tronie, szykował się do stanu duchownego.

– U nas znajdzie wiele źródeł natchnienia. Mamy tu bezcenne świątynie, relikwie i sanktuaria, których cesarze strzegą przed wrogami od tysiąca lat. I oby tak zostało.

Zawołowana groźba oraz zaczepka w pozornie niewinnych słowach nie uszły uwagi gościa. Ludwik może patrzeć, lecz ręce niech trzyma z daleka, a chwilowy sojusz z Francuzami służy nie tyle budowaniu przymierza, ile odwróceniu uwagi wrogów Konstantynopola.

– Możemy sporo się od siebie nauczyć – stwierdziła.

– No właśnie – potwierdziła gładko Irena, unosząc swój kielich. – Z ust mi to wyjęłaś.

Alienor szybko oswoiła się z nową rzeczywistością. Zbytek wciągał.

Umieszczono ją i Ludwika ze świtą w pałacu myśliwskim, przy którym Talmont wyglądał jak wiejska lepianka. Pierwszego wieczora Alienor zmyła z siebie trudy uciążliwej podróży w gorącej wodzie pachnącej różami. Służące natarły jej ciało egzotycznymi olejkami i wymasowały wszystkie bóle, aż zakręciło jej się w głowie. Cesarz przysłał im własną służbę, gotową na każde skinienie.

– Szpiedzy – zawyrokował Ludwik i nozdrza mu się wydęły. Odsunął półmisek migdałowych ciasteczek posypanych kolorowym cukrem. – Szpiegują nas, a my nie możemy odplacić im pięknym za nadobne.

Alienor wzruszyła ramionami.

– I czego się dowiedzą?

– Niczego, bo nic im nie powiemy. – Kiedy go mijala, chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął. – Nie życzę sobie, byś rozmawiała z cesarzową i zdradzała jej różne rzeczy, słyszałaś? Dobrze wiem, jak kobiety potrafią plotkować.

– Nie jestem głupia – odburknęła. – Cesarzowa i ja doskonale się rozumiemy. – Wyszarpnęła rękę i potarła obolałe miejsce, gdzie wpił się palcami. – Powinieneś mnie zachęcać, żebym wyciągała z niej informacje, ale ty nie chcesz, bym miała taką władzę, prawda?

– To męskie sprawy. Zakazuję ci się wtrącać.

Zacisnęła zęby.

– Ostrzegam cię. – Pogroził jej palcem tuż przed nosem. – Nie życzę sobie żadnego knucia.

– A nie przyszło ci do głowy, że próbuję pomóc?

– Nie – uciął. – Nie przyszło. – Wypadł z komnaty i pomaszerował do własnej, umieszczonej naprzeciw. Teodoryk Galeran trzymał przed nią wartę i posłał Alienor wymowny uśmiezek. Raz jeszcze potarła nadgarstek i ze złości na głupotę Ludwika w środku aż się zagotowała. Grecy niezwłocznie dowiedzą się od szpiegów, że król i królowa Franków się pokłócili. Jaki sens w nakazywaniu jej ostrożności, skoro sam był dla wszystkich tak przezroczystry?

Przepych Konstantynopola nadal zapierał jej dech w piersiach. O wschodzie i zachodzie słońca blask bił od miasta, które mieniło się odcieniami srebra, mosiądzu i złota. Irena zaprowadziła ją na dach pałacu Blacherny i tam w słoneczny, bezwietrzny dzień pokazała jej hipodrom, fora cesarza Konstantyna i Teodozjusza oraz świątynię Hagia Sophia. Położona za rzeką w Galacie siedziba włoskich kupców lśniła niczym złota szkatułka. Irena pospiesznie wyrzucała słowa i wskazywała wszystko szybkimi ruchami, jakby wiedziona gościnnością nie chciała niczego pominąć.

Konstantynopol z bliska był wyczerpujący. Ciągana po całym mieście przez

gospodarzy, Alienor odkryła, że efektowne miejsca zlewają się w niewyraźną plamę z kryształu, złota i marmuru. Jakby ktoś ją odurzył lub przytłoczył, gdyż mimo niezemskiej urody miasta czuła się tu jak w potrzasku. Ludwik godzinami przesiadywał w sanktuariach, przy których bladła katedra Saint-Denis.

Francuska armia zmuszona była koczować pod namiotami za murami obronnymi, wpuszczano ją do miasta tylko w małych grupach. Cesarz Manuel nie kwapił się ugościć hałastry. Żołnierze oglądali Konstantynopol z nieco innej strony niż jaśnie państwo, widzieli bowiem dzielnice, których Ludwikowi i Alienor nie było dane zobaczyć. Ujrzeni bowiem cuchnący półświatek nędzarzy, skażony chorobą i grabieżami. W mrocznych, wąskich uliczkach brzucha największego miasta świata chrześcijańskiego, gdzie nie docierał blask dnia w całej jego pełni, ludzie żyli jak szczury. Pielgrzymi i żołnierze donosili współbraciom, że Konstantynopol przypomina wielki, złoty głaz: kiedy go przewrócić, odsłania zgniliznę pod spodem i wijące robactwo, na których tle najpodlejsze zakątki Paryża wydają się istną sielanką.

Minęły dwa tygodnie, a Ludwik wciąż czekał na przybycie swego oddziału, który podróżował inną trasą. Dzień Świętego Dionizego przypadł w przededniu owego wydarzenia i cesarz przysłał Ludwikowi grupę duchownych, aby zaśpiewali na uroczystej mszy z tej okazji. Każdego mnicha wyposażono w wysoką czapkę bogato przyozdobioną złotymi listkami. Wśród Greków byli eunuchowie, wykastrowani, żeby ich głosy nie nabrały męskiego brzmienia. Mieli pulchne, miękkie ciała i śpiewali w wysokiej tonacji, która stapiała się z głębokim barytonem pozostałych. To niebiańskie połączenie doprowadziło Ludwika do płaczu.

Alienor zastanawiała się nad celem tego muzycznego daru, wiedziała bowiem, że Grecy nie są skorzy dawać niczego za darmo, nawet jeśli sami czcili Świętego Dionizego i obchodzili jego święto. Tak czy inaczej, msza była wspaniała, toteż złożyła Irenie serdeczne podziękowania.

Cesarzowa z uśmiechem poprawiła fałdę rękawa, tak aby złota lamówka ułożyła się w idealnie prostej linii. Siedziały w jednej z wielu komnat Ireny w pałacu Blacherny, z bajecznym widokiem na Złoty Róg. Służba przybyła bezszelestnie, by nalać słodkiego wina i podać delikatne ciasteczka z różanym nadzieniem.

– Cesarz i ja chcieliśmy was jak najlepiej ugościć i uznaliśmy to za stosowną kulminację.

Alienor zwróciła uwagę na ostatnie słowo. Sięgnęła po szklany puchar z blatu wyłożonego mozaiką.

– Kulminację?

Irena machnęła wypielęgowaną dłonią.

– Po przybyciu waszego oddziału z Apulii naturalnie zechcecie wznowić

podróż.

– Istotnie – potwierdziła Alienor. – Lecz nasi towarzysze będą musieli wypocząć.

Irena skłoniła głowę.

– Dlatego chętnie ugościmy ich na czas przygotowania statków i prowiantu. Jednakże twój krewniak z Antiochii z pewnością niecierpliwie wyczekuje waszej wizyty. – Udała zatroskaną.

„A zatem cesarz chce się nas pozbyć”, stwierdziła Alienor w duchu, „a mszę na cześć Świętego Dionizego odprawiono na pożegnanie”.

– Mój stryj nas oczekuje – przyznała. – Lecz zdaje sobie sprawę, że podróż jest trudna i wymaga wiele wysiłku, dlatego powinniśmy ją podjąć w pełni sił.

– To prawda, niemniej jednak musicie wyruszyć przed nastaniem zimy. – Irena pochyliła się ku niej, jakby mówiła w zaufaniu. – Ponoć armia niemiecka rozprawiła się z oddziałami wroga. Doszło do bitwy i zabito tysiące Turków. Jeżeli teraz wyjedziecie, nic wam nie grozi.

Alienor się zdziwiła.

– Nie słyszałam o tym.

Irena zrobiła zadowoloną minę.

– Owszem. Niedawno wrócił posłaniec z wieścią. Cesarz powiadomi dziś twojego męża.

– Powinniśmy poczekać na oddział z Apulii i podróżować razem. Tak uzgodniliśmy.

Irena pochyliła głowę.

– Naturalnie, postąpicie wedle własnego uznania, ale cesarz przygotowuje dla was obozowisko po drugiej stronie Ramienia Świętego Jerzego, byście mogli poczynić tam przygotowania.

Alienor podziękowała gospodyni i rozmowa zeszła na inne tematy, lecz przy pierwszej sposobności wymówiła się i pospieszyła do Ludwika.

Przebywał u siebie, ze starszymi baronami i duchownymi, tak zaaferowany, że nie zwrócił na nią uwagi, kiedy weszła, nawet nie próbował jej zbesztać. Był tam również Gotfryd i Saldebreuil z Sanzay; z tym pierwszym wymieniła spojrzenia.

– Właśnie dowiedziałam się od cesarzowej o zwycięstwie Niemców – oznajmiła.

Ludwik miał zaróżowioną twarz i roziskrzone oczy.

– Czternaście tysięcy Turków zabitych – oświadczył.

– Imponująca liczba. Myślicie, że to prawda?

Robert z Dreux wzruszył ramionami.

– Kto wie? Trudno interpretować dane, gdy Grekom nie sposób ufać. Jeśli to prawda, mamy wolną drogę, a Niemcy odnieśli wielki sukces.

– Cesarz twierdzi, że zgodzili się rozliczyć z nim za każde zdobyte miasto – dodał Ludwik. – Tego samego żąda od nas, w zamian za uzupełnianie zapasów. Ale ja uważam to za jego chrześcijański obowiązek. Nie powinien na nas niczego wymuszać.

Odpowiedział mu pomruk aprobaty. Alienor przysiadła na wolnym krześle i oparła ręce na złoconych poręczach.

– Chce, byśmy wyjechali przed przybyciem oddziału z Apulii. Właśnie dowiedziałam się o tym od cesarzowej Ireny. Może doniesienia o zwycięstwie Niemców są nieco przesadzone.

– Obawia się, że wraz z przybyciem posiłków okażemy się dla niego zbyt potężni – stwierdził biskup z Langres. – A jeśli zjednoczymy się z Niemcami i Sycylijczykami, mamy szansę przejąć Konstantynopol i wykorzystać jego bogactwa do sfinansowania naszych celów.

Ludwik podparł ręką podbródek i utkwiał w biskupie spojrzenie przymrużonych oczu.

– W rzeczy samej – rozkręcał się biskup. – Jeśli mądrze to zaplanujemy, przejście miasta nie powinno stanowić problemu. Mury kruszą się miejscami, nie wytrzymałyby ataku. Ludzie są ospali i rozleniwieni, stanowią łatwy cel. Brak im zacięcia do walki. Zaprzęgają do tego innych i żerują na tych, których – jak im się zdaje – łatwo stłamsić, czy to groźbą, czy to podstępem lub zdradą. Wystarczy, że odetniemy im dopływ wody.

Alienor poczuła ukłucie niepokoju. Jeśli Ludwik zwróci armię przeciwko Konstantynopolowi, odejście od pierwotnego planu i nigdy nie dotrą do Antiochii.

– Cesarz nie jest naszym sprzymierzeńcem – ciągnął biskup wojowniczym tonem. – Miasto jest chrześcijańskie tylko z nazwy. Jego władca przeszkadza innym w niesieniu pomocy uciśnionym; ba, sam jest oprawcą. Czy ostatnio nie zagroził Antiochii i nie zażądał hołdu od hrabiego Rajmunda? Czy nie wdaje się w sojusze z niewiernymi? Czy nie wyrzuca katolickich biskupów z podległych mu miast i nie zastępuje ich własnymi? Dzieli chrześcijańskie siły, zamiast je łączyć. – Wycelował w Ludwika pastorałem. – Czy powinieneś oszczędzić człowieka, pod którego władzą Krzyż i Grób Święty nie są bezpieczne?

Były to mocne i niepozbawione racji słowa. Alienor ujrzała, że mężczyźni kiwają głowami.

– Ale nie przybyliśmy tu na podbój Konstantynopola – zaproponował Ludwik. – Jakie świadectwo wystawimy sobie, jeśli przypuścimy atak na najbogatsze miasto świata chrześcijańskiego, aby się wzbogacić? Musielibyśmy zabijać i sami ginąć. Czy splądrowanie tego miejsca odkupiłoby nasze grzechy? – Potoczył wokół wzrokiem pełnym dezaprobaty. – Naprawdę tak uważacie? Napaść cesarza na Antiochię, choć godna ubolewania, nie czyni z niego antychrysta. – Zwrócił się do zaczerwienionego biskupa. – Dotrzymanie ślubów jest ważniejsze niż bogactwa

tego świata. Naszym głównym celem jest obrona Jerozolimy, a nie zniszczenie Konstantynopola. Jak mielibyśmy nad nim zapanować, jeśli nie kosztem utraty sił na dalszą podróż?

– Skoro Niemcom poszczęściło się w Anatolii, powinniśmy niezwłocznie wyruszyć – oznajmił Robert z Dreux. – Inaczej spiją całą śmietankę i podzielą zdobyte terytorium. Jestem za tym, byśmy od razu pokonali cieśninę.

– Popelniasz błąd – odparł biskup. – Nie należy ufać zdrażliwym Grekom. Można owinąć łajno złotem, ale pozostanie łajnem.

– Dość tego, biskupie – burknął ostro Ludwik. – Przyjmuję twoje stanowisko do wiadomości i je rozważę, lecz na razie nie chcemy zachwiania równowagi.

Biskup wymaszerował z komnaty, potrząsając głową i mamrocząc pod nosem, że Ludwik pożałuje swojej decyzji. Baronowie zbili się w grupki, aby to między sobą omówić. Alienor wróciła do siebie, ale wezwała Gotfryda i Saldebreuila.

– Zgadzam się z królem – stwierdził ten pierwszy. – Bez względu na działania Greków atak na Konstantynopol przyniosłby hańbę nam, chrześcijanom.

– Ale ty jesteś szlachetnym człowiekiem honoru, mój panie, a nie chciram biskupem pełnym żółci. – Posłała mu wymuszony uśmiech. – Do tego pochodzisz z Akwitanii, więc posiadasz lepszą ocenę sytuacji. Przyznaję, że król zachował się należycie, lecz Antiochia i mój stryj nic dla niego nie znaczą. To sumienie wobec Boga pcha go do działania. Szczęściem działa na naszą korzyść, ale musimy być czujni. Ludwik potrafi się uprzeć, lecz bywa chwiejny, zwłaszcza pod naciskiem Kościoła.

– Biskup miał rację co do Greków. – Saldebreuil potrząsnął ciemnymi kędziorami. – Oni coś knują. Boję się odwrócić tyłem, żeby nie poczuć ostrza sztyletu między łopatkami.

– A kto nie knuje? – spytała Alienor z gorzkim śmiechem. – Wszyscy szukamy przewagi, tego lub innego rodzaju. Chcą się nas pozbyć, zanim urośniemy w siłę i możemy im zagrozić. Bierzesz im to za złe?

Saldebreuil potrząsnął głową.

– Nie, pani, ale brzydzi mnie, że uciekają się do szemranych metod.

– Istotnie, musimy zachować czujność – stwierdziła. – Co nie znaczy, że mamy od razu wypowiedzieć im wojnę. Naszym obowiązkiem jest doprowadzić armię do mego stryja, aby mógł rozprawić się ze swoimi wrogami. Trzeba dopilnować, by król wytrwał w tym postanowieniu. Bądźcie czujni. Celem jest Antiochia.

– Kiedy przekroczymy Ramię Świętego Jerzego? – zapytała Gizela. Młoda kobieta bawiła się z szarosrebrzystym kotkiem, machając mu czerwoną wstążką

przed nosem.

– Niedługo – zapewniła Alienor. Wkrótce udadzą się na statki, czekali w Blacherny na sygnał. Byli spakowani, zostawili jedynie drobiazgi, takie jak gry i robótki dla zabicia czasu. Mamrocząc pod nosem, Marchisa sprawdzała woreczki ze swoimi medykamentami. Tego ranka uzupełniła zapas syropu z białego maku, co znacznie odchudziło sakiewkę Alienor, ale na najbliższe miesiące lepiej go było mieć, niż nie mieć.

– Czyli kiedy? – Gizela zabrała kotkowi wstążkę tuż sprzed nosa. – Za kilka godzin, kilka dni... czy kilka tygodni?

Jej pełen pretensji ton rozdrażnił Alienor, ale nie dała nic po sobie poznać. Wszyscy byli u kresu wytrzymałości, musiała mieć to na uwadze.

– Raczej kilka godzin, a na pewno nie dłużej niż jeden dzień. – Podeszła do okna. W Złotym Rogu roiło się od okrętów. W październikowy ranek niebo było zachmurzone, a wody zatoki szare i wzburzone. Gdyby nie łaciński takielunek, pomyślałaby, że patrzy na Sekwanę.

Ludwik zaczął już przeprowadzać armię na rynki po drugiej stronie cieśniny. Po części dlatego, że cesarz drastycznie ograniczył dostawy dla istniejącego obozu, a po części z powodu zniecierpliwienia żołnierzy, którzy chcieli czym prędzej wyruszyć, zanim Niemcy zgarną całą chwałę. Cesarz Manuel wspaniałomyślnie udostępnił im statki, toteż przeprawa odbywała się sprawnie.

Gizela westchnęła.

– W Paryżu drzewa pewnie zrzucają liście – powiedziała. – I trwają zbiory jabłek. Ależ napiłabym się młodego cydru.

– Uważaj, bo wezmą cię za barbarzyńcę – zażartowała Alienor. – Czemuż to greckie wino nie służy twojemu podniebieniu?

– Bo wchodzi gładko, a potem uderza do głowy – brzmiała odpowiedź.

Alienor musiała się z tym zgodzić.

Kotek zmęczył się zabawą i zwinął w kłębek na pękatej poduszce z czerwonego jedwabiu. Ostatnia grupa żołnierzy wsiadła na pokład i popłynęła przez zatokę w stronę ujścia dorzecza, pozostawivszy po sobie plac gołej ziemi, usiany czarnymi śladami po ogniskach.

Alienor spodziewała się niezwłocznego wezwania do portu, lecz upłynęła kolejna godzina i nic się nie wydarzyło. Zniecierpliwiona posłała Saldebreuila na zwiady. Wrócił z posępną miną.

– Pani, Grecy znów opóźniają. Podobno czekają na powrót statków z drugiego brzegu i doszło do jakichś problemów na rynku, ale nic więcej nie wiem. Albo nie wiedzą, albo nie chcą powiedzieć.

Podano jedzenie: liście winorośli z nadzieniem z ostro przyprawionego mięsa oraz gąsiorzy ciemnego greckiego wina. Eunuchowie udawali, że nie znają francuskiego ani łaciny, i na każde pytanie kobiet tylko potrząsali głowami, śląc im

tępe spojrzenia uczernionych oczu.

Zachód słońca nadał wodom Złotego Rogu krwisty odcień, a kiedy mrok wsączył się do pokoju i służba wniosła pachnące lampy, Alienor udała się na spoczynek, znużona oczekiwaniem.

Ranikiem nadal nie było żadnych wiadomości. Wyglądając przez okna na świat w bladych promieniach słońca, Alienor zauważyła mniej statków na wodzie; żaden z nich nie zmierzał we wczorajszym kierunku. Jej niepokój przybrał na sile.

Gdy przyszedł Gotfryd z Rancon, wprowadzono go przed oblicze królowej. Ukląkł u jej stóp.

– Przynoszę wieści, pani – powiedział. – Oddział z Apulii powinien zjawić się przed południem.

– Całe szczęście. – Gestem nakazała mu wstać. – Wyruszamy? Dostałeś wieści z głównego obozu?

– Tak, pani, przed chwilą. – Wyglądał na zatroskanego. – Cesarz wstrzymał okręty, zostają po stronie miasta, zakazał też handlu z nami. Musieliśmy przepłynąć się do ciebie łodzią rybacką.

Alienor popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Wczoraj doszło do rozruchów na targu – skrzywił się Gotfryd. – Część flamandzkich rycerzy hrabiego Thierry’ego splądrowała stoły bankierów i wywołała zamieszki. Król wraz z hrabią ukarali winnych i wynagrodzili bankierom straty. Cesarz zapowiedział, że wraz z przywróceniem porządku targ wznowi działalność, ale żąda rękojmi.

– Mianowicie? – Niepokój Alienor przybrał na sile.

Gotfryd zaczerpnął tchu.

– Król i starsi baronowie mają złożyć mu hołd i obietnicę, że wszystkie miasta zdobyte po drodze zostaną mu przekazane.

Alienor machnęła ręką lekceważąco.

– Przecież już to przerobiliśmy. Wiedzieliśmy, że do tego dojdzie. Nie ma o co kruszyć kopii, i tak uczynimy, co uznamy za stosowne.

– Na tym nie koniec – uzupełnił Gotfryd. Jego spojrzenie powędrowało ku Gizeli. – Chce przypieczętować umowę małżeństwem jednego ze swoich bratanków z francuską damą dworu.

Gizela ze zgrozą wytrzeszczyła oczy.

– Przyjechałam jako towarzyszka królowej, a nie towar wymienny.

– Co na to król? – zapytała Alienor.

– Rozważa prośby cesarza – rzekł Gotfryd neutralnym tonem. – Uważa, że cena jest niezbyt wygórowana.

– Nie! – krzyknęła Gizela. – Nie zrobię tego! Wołałabym umrzeć!

Alienor zalała falą gniewu. A jaki ona miała wybór, gdy Ludwik przyjechał do Bordeaux w trzynastej wiosnie jej życia? Czegóż by nie oddała, żeby dać mu

kosza! Czegóż nie oddałyby za ratunek!

– Siedz cicho – burknęła. – Płacz i lamenty tu nie pomogą. Rusz głową, głupia.

Gizela przelknęła ślinę i posłała jej błagalne, przerażone spojrzenie.

– Są gorsze rzeczy, możesz mi wierzyć – dodała ponuro Alienor. – Tutaj będziesz opływać w luksusy, nosić jedwabie i ładnie pachnieć. Niczego ci nie zabraknie.

– Wolalabym zaprzedać duszę, pani – łkała Gizela. – Proszę, ratuj mnie, bo inaczej umrę.

– Nie dramatyzuj. Dziesięć lat temu doświadczyłam tego samego i żyję. – Alienor zwróciła się do Gotfryda. – To dlatego cesarz kazał wczoraj wszystkich przeprowadzić. Jeśli wstrzyma statki, może żądać za nas dowolnego okupu, a przynajmniej tak mu się zdaje. – Zaciśnęła usta w wąską kreskę. – Wstrzymał statki, ale apulijscy kupcy mają własne, można któregoś przekupić i nas przewiezie. Ludwik niech decyduje w sprawie hołdu, ale ja nie dam się wykorzystać. – Położyła dłoń na rękawie Gotfryda. – Znajdź sposób, aby nas stąd wydostać, byle szybko.

Krzepiąco nakrył jej dłoń swoją. Dla niej ten gest oznaczał znacznie więcej.

– Zaufaj mi, pani. – Uściskawszy jej palce, skłonił się i wyszedł z komnaty.

– Mogłam się tego spodziewać – oznajmiła. – Polityka cesarza była do przewidzenia, lecz należało bardziej uważać. – Spojrzała na roztrzęsioną Gizelę. – Nie martw się. Nie zostawię cię na pastwę losu zgotowanego ci przez Ludwika.

Gizela przelknęła ślinę.

– Kiedy powiedziałaś, że opływałabym tu w luksusy, pomyślałam...

– Wiem, co sobie pomyślałaś – ucięła Alienor. – Pozostanie tu w roli żony miałoby pewne plusy, ale nie odjechałabym bez ciebie.

Gizela uklękła przed nią.

– Dziękuję, pani, dziękuję!

– Och, wstań! – warknęła Alienor. – Opanuj się wreszcie, jesteś moją damą dworu. Zajmij się czymś pożytecznym. Bagaż przygotowany, lecz może zajść potrzeba zabrania tylko niezbędnych rzeczy. Zawiąż je w węzełek i przygotuj płaszcz. Kto wie, czy sytuacja nie zmusi nas do pośpiechu.

Gotfryd powrócił w południe z sześcioma rycerzami w strojach służących, ich tuniki zasłaniały kolczugi.

– Wynajęłam statek od Apulijczyków – wyjaśnił. – Nie mamy czasu do stracenia. Jeszcze nie próbowali zatrzymać nas siłą, ale mogą zmienić zdanie. Im szybciej znajdziemy się na drugim brzegu, tym lepiej.

– Jesteśmy gotowe. – Alienor zapięła klamrę płaszcza, po czym dała znak

kobietom i ruszyła za Gotfrydem w stronę wyjścia.

U stóp schodów jeden z cesarskich eunuchów zagroził im drogę, ale Gotfryd pokazał mu miecz i po chwili mężczyzna spuścił wzrok i ustąpił przejścia. Wartownicy też nie chcieli ich puścić i zrazu udawali, że nie rozumieją, nawet kiedy Gotfryd zagroził im mieczem. Alienor zwróciła się do Marchisy.

– Powiedz im, że jadę do nowego obozu porozmawiać z królem o planowanym małżeństwie damy dworu. Nie pożałują, jeśli mnie puszczą.

Marchisa przemówiła do strażników po grecku, z namaszczeniem i zamaszystą gestykulacją, a następnie wsparła swe argumenty łapówką w postaci szkatułki złotych pierścieni, podarunku dla Alienor od cesarzowej Ireny.

Biżuteria w mgnieniu oka zmieniła właścicieli i straż otworzyła przed nimi wrota. Dalej, na przystani, czekały już przycumowane rybackie kutry.

Kiedy Gotfryd podał Alienor rękę i pomógł wsiąść do pierwszej, serce waliło jej jak młotem. Jego stanowczy uścisk ją uspokoił i posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.

Żołnierze chwycili za wiosła i podплыnęli do statku handlowego, którym część armii Ludwika przyplynęła przez Apulię. Na pokładzie zastali jego brata, Roberta z Dreux, pogrążonego w rozmowie z dowódcami.

– Chwała Bogu, pani – rzekł na widok Alienor. Objął Gizelę na powitanie. – Jesteś bezpieczna, kuzynko.

Gizela z jękiem padła mu w objęcia.

– Modliłam się, byś nie rzucił mnie wilkom na pożarcie.

– Nigdy bym na to nie pozwolił – zapewnił. – Wolałbym złożyć hołd psu niż Manuelowi Komnenowi. Niechaj mój brat robi, co chce, ale nie dostaną moich ślubów ani ciebie.

Alienor spojrzała na niego ostro.

– Ludwik zamierza jednak ślubować posłuszeństwo?

Robert wzruszył ramionami.

– Musi, jeśli chce uzyskać obiecane zapasy i przewodników, ale znając ich obietnice, zapewne znów zostaniemy z pustymi rękami. Powiedziałem mu, że odmawiam, a co do ślubu Gizeli z bratankiem cesarza – Ludwik nie może dać tego, czego nie posiada.

Alienor uniosła brwi.

– Porwałbyś Gizelę?

Robert ponownie wzruszył ramionami.

– Nazwałbym to raczej wzięciem jej pod moje skrzydła.

– Rób, co musisz. – Alienor kiwnęła głową. – Mogę ci tylko przyklasnąć, choć narazisz się zapewne na gniew brata.

– Nie lękam się tego – odrzekł Robert ze stalowym błyskiem w oku.

Robert pozostawił swoich pasażerów w obozie francuskim po drugiej stronie

Ramienia, a następnie pospiesznie przygotował wyprawę do punktu zwiadowczego w Nikomedii, oddalonego o dwa dni drogi.

– Najchętniej zabrałbym również ciebie, pani – powiedział, wskazując na konia.

Alienor z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Potrafię toczyć swoje bitwy. Szerokiej drogi, bądź błogosławiony. – Patrzyła, jak spina konia i odjeżdża z Gizelą. Nie po raz pierwszy pożałowała, że Ludwik urodził się pierwszy. Łatwiej zniosłaby swoje brzemię, a może nawet odnalazłaby namiastkę szczęścia jako żona króla Roberta.

Ludwik zjawił się tuż po południu w lokum przydzielonym Alienor i jej damom. Zmęczenie wymalowało mu cienie pod oczami i pogłębiło zmarszczki nad ustami. Omiótł wzrokiem kobiety, które stały łóżka i znosiły wodę do mycia.

– Gdzie Gizela? – zapytał.

– Z Robertem – odpowiedziała Alienor. – Wyruszyli do Nikomedii. Nie zgodziła się poślubić cesarskiego krewniaka, a Robert ją poparł.

– I ty na to pozwoliłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Ucieczka panny młodej nie powinna wpłynąć na twój sojusz z cesarzem.

Twarz mu pociemniała z gniewu.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak trudno wszystkim dogodzić. Jeśli nie spełnię próśb cesarza, odmówi nam dostaw prowiantu i zostawi z niczym. Jeśli się zgodzę, moi ludzie nazwą mnie słabym głupcem. Co powinienem zrobić?

„Bądź mężczyzną”, miała na końcu języka, ale zamilczała.

– Rozumiem, jakie to trudne, ale komu leżą na sercu twoje interesy? Kto stanie po twojej stronie?

– Otóż właśnie – burknął Ludwik. – Mam zaufać cesarzowi, który knuje za moimi plecami i kłamie prosto w oczy, czy mojemu wspaniałemu bratu i żonie, którzy robią dokładnie to samo? Kogo powinienem wybrać?

– Spytaj Boga albo swojego wspaniałego eunucha, może dadzą ci odpowiedź.

Tak mocno uderzył ją w twarz, że zatoczyła się na ścianę.

– Jesteś trucizną! – wrzasnął z twarzą wykrzywioną wściekłością. – Podłą zmiją, ubraną we wszystkie grzechy swojego rodzaju! Brzydę się twoim widokiem! – I obróciwszy się na pięcie, wypadł z komnaty.

Alienor uniosła rękę do policzka. Przygryzła sobie język, w ustach czuła smak krwi. Nienawidziła go, całym sercem go nienawidziła. Pragnęła już tylko jak najszybciej dotrzeć do Antiochii.

Wieczorem wyprawiła suto zakrapianą winem biesiadę z muzyką i tańcem. Było to wyzwanie rzucone zarówno Grekom, jak i Ludwikowi, który nie zaszczylił jej swoją obecnością. Spodziewała się tego, i mimo że jej dusza łkała, zadarła podbródek, gotowa olśnić wszystkich.

Gotfryd i Saldebreuil zakończyli przygotowania do wymarszu do Nikomedii i zastali królową w wirze tańca, z maską wesołości na twarzy. Długie rękawy i spódnica ciemnozielonej jedwabnej sukni wyszywanej gwiazdami falowały wokół niej, kiedy obracała się i wirowała.

– Ktoś nadepnął naszej pani na odcisk – stwierdził Saldebreuil cierpko. – Jutro lepiej miejmy się na baczności.

Gotfryd nie odpowiedział, bo jej widok zaparł mu dech w piersiach. Zawsze ją kochał, odkąd była bystrym, nad wiek rozwiniętym dzieckiem i córką jego seniora, księcia Wilhelma. Był wówczas bardzo młodym człowiekiem, miał żonę i dzieci, Alienor zaś należała do jego otoczenia. Potem jednak Burgundia zmarła w połogu, Alienor zaczęła dorastać i gdy otrząsnął się z rozpaczy, począł marzyć o wspólnej przyszłości. Księżę Wilhelm sam był wdowcem i rozważał drugie małżeństwo, aby spłodzić syna. Gdyby do tego doszło, Gotfryd wiedział, że mógłby pretendować do ręki jego córki. Los zdecydował inaczej i po przedwczesnej śmierci Wilhelma Gotfryd pogodził się z sytuacją, ale dusza romantyka zachowała wspomnienie owego marzenia. Choć Alienor dojrzała i wyrosła, pozostała jego Alienor, roziskrzoną niczym brylant, i tęsknota pozostała.

Podążył za Saldebreuilem i stanął z innymi rycerzami, ale wciąż był dotkliwie świadomy jej obecności. Gdy wirowała w tańcu, widział bladą skórę jej nadgarstka oraz złoty jedwab podszewki rękawa, kształtną kibić i zgrabne ruchy. Następnie zauważył siniak na jej policzku i zmartwił. Tylko jeden człowiek miał prawo uderzyć królową, choć powinien cenić ją nade wszystko, był przy tym panem Gotfryda, upoważnionym do wszystkiego, do czego on, Gotfryd, nie miał prawa.

Odwrócił się i wyszedł. Nie mógł brać udziału w zabawie, nie miał na to siły, cierpiał katusze. Z przymkniętymi oczami oparł się o kolumnę i nabrał powietrza w płuca, aby zapanować nad gniewem, lecz spokój nie nadchodził. Chyba udusiłby Ludwika, gdyby go teraz spotkał.

Usłyszał perlisty śmiech Alienor; zapewniała kogoś, że zaraz wróci. Potem jej lekkie kroki, szelest sukni, i owiały go jej perfumy.

– Alienor... – Wyszedł zza kolumny. Ze zdziwienia wciągnęła powietrze i, rzuciwszy spojrzenie przez ramię, pospieszyła do niego.

– Dlaczego wyszedłeś? – spytała szeptem. – Chciałam z tobą pomówić.

– Wyszedłem, bo nie mogłem dłużej udawać. – Wciągnął ją głębiej w cień, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. – Co on ci zrobił? – Musnął jej policzek

wierzchem dłoni.

– Nieważne – odrzekła. – Jest wściekły o wyjazd Roberta z Gizelą. Szukał kozła ofiarnego i jak zwykle padło na mnie. Ale to się skończy, gdy dotrzemy do Antiochii.

– Wciąż to powtarzasz – zauważył posępnym tonem.

– Ponieważ to prawda. – Poglaskała go po twarzy, odwzajemniając pieśczość. – Gotfrydzie...

Przyciągnął ją do siebie.

– Ważne. – Twarz wykrzywił mu grymas oburzenia. – Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo. Dłużej nie wytrzymam.

– Wytrzymasz, razem wytrzymamy, bo nie mamy innego wyjścia. Tylko to nam pozostało.

Jęknął z rozpaczą i pocałował ją, zaciskając palce na jej kibici. Wsunęła mu palce we włosy i rozchyliła usta, a wtedy coś w nim pękło, tyle słodczy i bólu było w tym pocałunku. Tak długo uważali, trzymali się na dystans, odgrywali role pani i jej wasala, lecz oto podziemna rzeka wystąpiła z brzegów, zalała ich i porwała tam, gdzie istniała tylko ta chwila i oni sami. Przyparł ją do kolumny i, chwyciwszy za biodra, wszedł w nią z impetem długo tajonej miłości i frustracji. Oplotła go nogami i z płaczem wtuliła twarz w jego szyję. W ciągu tych paru chwil przeżyli całe życie, wiedząc, że na to jedynie są zdani.

Anatolia, styczeń 1148

Alienor przewróciła się na drugi bok i nakryła futrem po same uszy, po czym przysunęła do ciepłej Gizeli.

– Deszcz – oznajmiła Marchisa, która wychyliła nos z namiotu i powąchała poranne powietrze. – Może nawet zacznie śnieżyć.

Alienor z jękiem zagrzebała się głębiej pod przykryciem. Wszyscy mówili o skwarze Outremeru, lecz w wyższych partiach panował niewyobrażalny ziąb.

Tego dnia, w drodze na wybrzeże Antalyi, planowali wspiąć się na górę Kadmos i zejść po drugiej stronie. Na myśl o wspinaczce w zacinającej mżawce Alienor nie miała ochoty się ruszyć. Gdybyż tak mogła być teraz w domu w Poitiers lub w Antiochii, zamiast tłuc się taki szmat drogi!

Na zewnątrz obóz budził się do życia: ludzie kasłali, zewsząd dolatywały strzępy rozmów, konie rżały i przestępowały z nogi na nogę, kiedy dostały swoją paszę. Skądś dobiegł złowrogi zgrzyt miecza o osetkę.

Marchisa rozpałała ogień i rozłożyła porcje zimnej baraniny oraz podplomyki na śniadanie. Alienor usiadła z ociąganiem i przetarła zaspane oczy. Nadal czuła na rękach wczorajsze zapachy: wobec bardziej naglącej potrzeby ciepła potrzeba czystości zeszała na drugi plan. Od pięciu dni nie wypakowała lusterka, a jedwabne suknie, które nosiła w Konstantynopolu, wylądowały na dnie kufra.

Zebrała się w sobie i wstała z posłania. Spała w grubych skarpetach, koszuli i wełnianej sukni. Włożyła miękkie, lniane portki, na wierzch zaś męskie skórzane rajtuzy do konnej jazdy. Ubierały się tak od wyjazdu z Konstantynopola, aby łatwiej znieść trudy zimowej podróży na obczyźnie. Rozbawiony Gotfryd z Rancon nazwał je Amazonkami, kiedy po raz pierwszy ujrzał ten strój, sadzając Alienor na konia. Pozostali mężczyźni podchwycili i odtąd nie nazywali już kobiet inaczej, ku niezadowoleniu Ludwika, według którego uchybiało to godności królowej Francji, a jemu przynosiło ujmę. Ale tylko patrzył spode łba i nic nie mówił, ponieważ Alienor i jej damy nakładały suknie na strój jeździecki i nie opóźniały marszu.

Alienor zasłoniła włosy i wyjrzała na zewnątrz. Z ognisk rozpalonych pod markizami namiotów snuł się gryzący dym. Ujrzała w deszczu białe płatki i zrozumiała, że w górach sypnie śnieg. Kiedy tak stała, kontemplując ponurą perspektywę jazdy w takiej pogodzie, wrócili zwiadowcy z nocnej warty.

– Tam są Turcy – usłyszała, jak jeden z nich mówi do mężczyzn przy ognisku. – Będą krążyć jak sępy, czekając sposobności, czorty zatracone. Znowu

znaleźliśmy dwa niemieckie trupy, nieboracy. Mieli czaszki zgniecione jak skorupki jajka.

Przewróciło jej się w żołądku. Zorientowała się, że Marchisa usłyszała, na szczęście Gizelę i pozostałe bez reszty pochłonęło ubieranie. Marchisa była z nich zdecydowanie najbardziej pragmatyczna. W drodze przez niegościnne tereny Anatolii nic nie zdołało wytrącić jej z równowagi, ani pogoda, ani choroby, ani mizerne zapasy. Kiedy zgubili się na pół dnia po ucieczce bizantyjskich przewodników, zachowała spokój, który działał na wszystkich kojąco, nawet wówczas, gdy odkryli, że cesarz Manuel z nich zakpił. Wbrew temu, co im wmawiał w Konstantynopolu, to Turcy roznieśli armię niemiecką, która zawróciła w popłochu, pozostawiając za sobą pasmo trupów. Zmarłych nie było komu grzebać, więc gnili tam, gdzie padli. Dzień po dniu francuska armia mijała te ponure drogowskazy, świadectwo prawdziwego losu ich sprzymierzeńców oraz pajęczyny kłamstw, w którą złapał ich Manuel Komnen. Obiecani przewodnicy ulotnili się po kilku dniach, zapasy się skurczyły. Frankowie musieli szukać prowiantu, gdzie popadnie, co zniechęcało miejscową ludność i narażało ich na tureckie ataki. Każdy dzień przynosił kolejne ofiary i wzmagał niepokój. Mieli świętować Boże Narodzenie w Antiochii, tymczasem od celu nadal dzieliło ich kilka tygodni i czekał ich długi, zdradziecki szlak przez górę Kadmos.

Dowództwo straży przedniej powierzono Gotfrydowi i wujowi Ludwika, hrabiemu de Maurienne. Alienor martwiła się o bezpieczeństwo tego pierwszego, lecz nie dała nic po sobie poznać. Od chwili słabości w obozie w Konstantynopolu mieli się na baczności bardziej niż kiedykolwiek, świadomi zagrożeń.

Zawróciła do namiotu. Gizela wkładała podbijaną futrem pelisę. Dół był cały ubłocony, a niegdyś miękkie skórki z wiewiórek zlepione i sfilcowane.

– Nie widzi mi się wspinąć na tę górę – oznajmiła kapryśnym tonem.

– Mogło być gorzej – ofuknęła ją Alienor. – Mogłaś wyjść za mąż w Konstantynopolu.

Gizela zacisnęła usta i w milczeniu skończyła się ubierać.

Kiedy czekały na konie, zjawił się Ludwik.

– Tylko trzymajcie się razem – pouczył. – Do wieczora wszyscy mają się przeprawić. Żadnych nierozważnych kroków.

Alienor rzuciła mu wściekłe spojrzenie. A co niby miało im strzelić do głowy podczas wspinaczki? I w jakim celu miałyby się rozproszyć, skoro oznaczało to śmierć od tureckiej strzały albo upadek z grani?

– Przykazałem przedniej straży zachować czujność i na szczycie czekać na tabor. – Ludwik kiwnął głową, zawrócił konia i przejechał przez obóz, zamieniwszy tu i ówdzie słowo podnoszące ludzi na duchu. Odprowadziła go wzrokiem i niechętnie przyznała w duchu, że mimo jego wad i postępów, przez które go znienawidziła, pięknie wyglądał na koniu i umiał natchnąć ludzi, kiedy się

postarał. Był silnym i zręcznym fechtmistrem, miał wdzięk i dobrą koordynację. Jeżeli cokolwiek ją w nim jeszcze pociągało, to męskość, z jaką prezentował się na koniu.

Saldebreuil przyprowadził Serikosa, służba przystąpiła do zwijania namiotu. Tego ranka wierzchowiec miał na sobie grubą derkę, pod nią zaś koniuszy schował łuk oraz kołczan ze strzałami. Wszyscy nosili przy sobie broń, nawet najubożsi cywile zaopatrzyli się w noże bądź pałki.

– Gotfryd z Rancon i pan de Maurienne wyruszyli – poinformował Saldebreuil, pomagając Alienor wsiąść. – Tabor musi się pospieszyć, żeby straż nie czekała długo na szczycie.

– Wiemy, co robić – odpowiedziała Alienor i ściągnęła wodze. – Im szybciej znajdziemy się po drugiej stronie, tym lepiej.

Wraz z towarzyszkami ruszyła kamiennym szlakiem, który wiodł stromym, częściowo zalesionym zboczem góry Kadmos. Saldebreuil czujnie trzymał się blisko niej, chociaż czasem musiał jechać przodem lub zostać z tyłu, bo wąska ścieżka nie mieściła dwóch koni obok siebie.

– Z drogi! – wołał. – Przejdźcie dla królowej!

Zrobiło się bardziej stromo i obciążone konie pociągowe z trudem dawały radę. Pielgrzymi wlekli się noga za nogą, podpierając się laskami, i przeklinali pogodę. Alienor spięła Serikosa. Deszcz ze śniegiem zacinał ją w twarz. Zasłoniwszy usta i nos szalem, poczuła na wełnie wilgoć swojego oddechu, zrazu ciepłą, lecz po chwili lodowatą, aż usta i broda zdrętwiały. Kołatała jej myśl, aby jak najszybciej dotrzeć na drugą stronę, gdzie czekał na nią dach nad głową, ogień i wino zaprawione pieprzem oraz imbirem. Każdy z mazołem pokonywany metr przybliżał ją do Antiochii, do stryja Rajmunda i wolności.

Nieznacznie tylko obciążona i dosiadająca dobrych koni straż przednia posuwała się sprawnie ku szczytowi góry. Gotfryd z Rancon i hrabia de Maurienne kazali ludziom podążać w zwartym szyku. Niekiedy słyszeli zawroźnienie Turków, którzy śledzili ich i nekali od przekroczenia Ramienia Świętego Jerzego. Zza drzew wypadło kilka zbłąkanych strzał, nie czyniąc nikomu krzywdy. Mimo to Gotfryd czuł się jak na patelni. Zagrożenie stanowili nie tylko Turcy: w armii nie brakowało ludzi, którzy życzyli mu śmierci. Wiedział, co szepczą za jego plecami: że jest pieskiem królowej i nie można na nim polegać. Cała niechęć francuskich baronów Północy skupiła się na wasalu z Południa, który podlegał kobiecie zamiast królowi Francji. Dlatego przydzielili mu hrabiego de Maurienne, gdyż był on wujem Ludwika i uchodził za doświadczonego.

Gotfryd wiedział, że gdyby odkryto jego zażyłość z Alienor, zostałby skazany na śmierć za zdradę stanu. Ona zaś spędziłaby w więzieniu resztę swoich

dni. Nie dbał o własne bezpieczeństwo, ale musiał zachowywać pozory dla niej, chociaż wiele go to kosztowało. Po incydencie w Konstantynopolu czuł się rozdarty. Naraził ją na niebezpieczeństwo i wstydził się własnej słabości, ale hołubił tamto wspomnienie jak relikwię. Nie zdradził przecież króla, gdyż to Alienor stanowiła część jego duszy na długo przed tym, zanim Ludwik został jej mężem. Wspomniała kiedyś, że po przybyciu do Antiochii wszystko się zmieni. Zastanawiał się, na czym te zmiany będą polegać, ale tak czy inaczej ów dzień się zbliżał, a wraz z nim kres niepewności.

Wiatr cisnął mu w twarz świeżą porcją deszczu ze śniegiem. Im wyżej się wspinali, tym bardziej marzli i łatwiejszym celem się stawali. Dryfujące kotary chmur śniegowych zasłaniały im widok. Niemrawe ataki ustały, lecz pogoda dawała się we znaki aż do szczytu. Gotfryd ściągnął cugle i stanął, nasłuchując pobrzękujących dzwonek przy uprzężach juczych koników oraz dźwięku rogu z niemrawej środkowej części pochodu. W zależności od kierunku wiatru, który sam jęczał jak potępieniec, dźwięk był zmienny i słaby. Trudno było ocenić, kiedy zjawi się trzon armii. Chorąży wbił francuski sztandar w piędź miękkiej ziemi i jedwab, spłowiwały i wystrzępiony na brzegach, załopotał na wietrze. Gotfryd zdjął rękawice z owczej skóry, sięgnął po przytroczony do siodła bukłak i przystawił go do ust. Cierpki, garbnikowy smak wykrzywił mu twarz; wypluł octową ciecz, wychyliwszy się z siodła. De Maurienne kulił się w grubym, podbitym wiewiórczymi skórkami płaszczu. Kościsty, zakrzywiony nos upodabniał go do skwaszonego sępa.

Gotfryd naciągnął kaptur, lecz wicher strząsnął mu go z głowy. Bolały go zęby i musiał zmrużyć oczy, by zobaczyć cokolwiek przez wirujące płatki. Jego wzrok padł na osłonięte miejsce za dużym głazem. Koń spuścił głowę i jakby skulił się w sobie, ogon wisiał mu między tylnymi nogami.

– Jezu Chryste – wymruczał de Maurienne. Oczy miał załzawione. – Nim zjawią się pozostali, zamarzniemy na kość.

Gotfryd zerknął na niego. De Maurienne był niemłodym człowiekiem, i choć kipiał energią, kiedy wyruszali, długa podróż odbiła się na jego zdrowiu.

– Moglibyśmy poszukać schronienia trochę niżej – zaproponował. – Rozbijemy namioty, rozpalimy ogniska i poczekamy na pozostałych.

Twarz hrabiego wyrażała powątpiewanie.

– Król kazał nam tu czekać.

– Chyba nie zdawał sobie sprawy z pogorszenia pogody. To szaleństwo zostać tu i zamarznąć. Wątpię, czy utrzymałbym miecz, gdybym musiał go użyć.

Wicher ponownie zmienił kierunek, niosąc zgrzyt kopyt o skały oraz dźwięk rogów.

– Pewnie są niedaleko – stwierdził de Maurienne. – Gdyby nie pogoda, byśmy ich widzieli.

– Rzecz jasna. Nie zmieścimy się wszyscy na szczycie, lepiej ruszajmy i rozbijmy obóz.

Hrabia pogłaskał się po siwych wąsach.

– Tak... – rzucił niepewnie, lecz kolejny podmuch go przekonał. Wezwał giermka i posłał go na dół, by dołączył do reszty, która szła za nimi.

Gotfryd z westchnieniem ulgi kazał chorążemu wziąć sztandar, po czym skierowali się w stronę wąwozu.

– Przejdźcie! Przejdźcie dla królowej! – Głos Saldebreuila rozbrzmiewał raz po raz, nieco już zachrypnięty. Ścieżka stawała się coraz bardziej kamienista i stroma, więc Alienor i jej towarzyszki ruszyły pieszo, prowadząc spłoszone konie. Widziała już kilka wierzchowców, które przewróciły się z jeźdźcami na grzbietach, co powiększyło tylko szeregi rannych i uprzykrzyło życie pozostałym, którzy musieli przejąć ich bagaż.

Siwek Gizeli usiłował zawrócić, więc pogoniła go batem. Dał za wygraną, lecz ze strachu łyskał białkami. Alienor cmokała na Serikosa i nakłaniała go do dalszej drogi kawałkami chleba i daktylami na zachętę. Czuła jego gorący oddech na ramieniu, a pod stopami twarde kamienie. Mimo pogody, znoju i zimna dało jej to swoiste poczucie bezpieczeństwa. Posuwanie się naprzód stanowiło wyzwanie. W dzieciństwie ścigała się z innymi dziećmi z pałacu, kto pierwszy wbiegnie na szczyt wzniesienia; obecnie przeżywała coś podobnego, jakby jej siła i odwaga zostały poddane próbie.

Nagle świsnęła strzała i utkwiała w piersi mężczyzny przed nią, zwaliwszy go z nóg. Padł na ziemię, w agonii waląc piętami. Jego spłoszony koń zawrócił na ścieżce i pognał z powrotem; potrącił przy tym Serikosa, cudem ominął Alienor. Posypały się kolejne strzały, siejąc obrażenia, śmierć i panikę.

Alienor chwyciła konia za wędzidło i zanurkowała pod jego głową na drugą stronę, aby sięgnąć po przytroczoną do siodła watowaną tunikę ochronną. Wrzaski Turków przybrały na sile. Za skałą mignął jej turban, gdy Saracen wychylił się, aby trafić jucznego kuca. Pierwszy strzał nie powalił zwierzęcia, które zachwiało się na nogach i wpadło na pielgrzymów, powodując zamieszanie. Turek szykował się już do kolejnego strzału.

– Jezu miłosierny! – krzyknął Saldebreuil. – Gdzie, u licha, podziewają się Gotfryd i de Maurienne?

Alienor zadrżała. Wstrząsnęła nią straszna wizja ciała Gotfryda naszpikowanego strzałami na skalistej ścieżce. A jeśli przednia straż padła? Przecież usłyszeliby rwetes bitewny, rogi wzywające pomocy. Gdzież oni się podziali?

Pielgrzymi rozpięrzchli się z krzykiem i padali jak muchy. Serikos szarpnął

się i próbował zawrócić, aż zachwiała się pod jego naporem. Napastnicy wychynęli zza skał z bułatami i małymi tarczami. Zajął się nimi Saldebreuil z drugim rycerzem, skutecznie osłaniając się większymi tarczami. Alienor słyszała postękiwania; miecz przeciął powietrze i chlusnęła krew, kiedy Saldebreuil rozprawił się z pierwszym Turkiem i powalił następnego. Chwyła wodze i wskoczyła na siodło.

– Kierujcie się wyżej! – krzyknęła do towarzyszek. – Byle dalej, w chmury!

Odpowiedział jej krzyk Gizeli. Alienor ujrzała, jak siwek się chwieje, ze strzałą utkwioną głęboko w udzie.

– Wskocz za mnie! – zawołała. – Pojedziemy razem!

Łkając z przerażenia, Gizela postawiła stopę na stopie królowej i wspięła się na grzbiet konia. Alienor dźgnęła piętami boki Serikosa i pogoniła go okrzykiem. Im wyżej wejdą, tym większe mają szanse na przeżycie: lepsze to, aniżeli zawrócić wprost pod tureckie miecze.

Poniżej słyszała przenikliwy szcęk broni oraz krzyki wyrzynanych zwierząt i ludzi. Oblała się zimnym potem. Z tyłu Marchisa i Mamila modliły się do Boga, aby je oszczędził; przyłączyła się do ich błagań, choć głos wiązał jej w gardle.

Po drodze napotkały idącego luzem konia, jego lejce wisały niebezpiecznie blisko przednich nóg, a martwy młody jeździec leżał na skale nieopodal. Alienor ze zgrozą rozpoznała w nim giermka hrabiego de Maurienne. Boże jedyny. Rozejrzała się w popłochu, ale nie ujrzała nikogo więcej z przedniej straży, tylko to jedno ciało. Przełknęła ślinę i skupiła się na bieżących sprawach.

– Bierz konia – poleciła.

Gizela potrząsnęła głową ze wzrokiem utkwionym w zakrwawionym zadzie.

– Musisz! Serikos nie uniesie nas obu! I to już! – Alienor chwyciła wodze wierzchowca.

Gizela, pojękując ze strachu, zsunęła się z grzbietu Serikosa. Turek wyskoczył na nią zza skały z uniesioną buławą i zawodzenie Gizeli przeszło we wrzask. Saracen się zamachnął, ale nie zdążył uderzyć, bo Saldebreuil nadjechał galopem i uśmiercił go jednym ciosem miecza. Towarzyszyło mu trzech rycerzy. Czym prędzej zeskoczył z konia i posadziwszy Gizelę na wierzchowcu zabitego giermka, znalazł się z powrotem w siodle.

– Bóg jeden wie, gdzie podziała się straż przednia – warknął. – Zaraz wyrzną nas wszystkich w pień! – Spiął zdyszanego, krwawiącego wierzchowca i klepnął Serikosa płazem miecza.

Zjazd drugą stroną zbocza mroził krew w żyłach. Konie potykały się i ślizgały na nierównym podłożu; Alienor drżała, że lada chwila runą w przepaść i roztrzaskają się u stóp góry. Chmura była tu gęsta, skały i rumowiska wyrastały przed nimi bez ostrzeżenia. Alienor była pewna, że dobiją zaraz na skraj świata i słuch po nich zaginie. Spodziewała się ujrzeć więcej trupów ze straży przedniej,

lecz nic takiego nie nastąpiło. Może faktycznie znaleźli się w próżni.

Naraz grunt stał się bardziej miękki i płaski, głązy ustąpiły miejsca mniejszym kamieniom. Kamyki uciekały spod nóg, utrudniając koniom zadanie. Saldebreuil prowadził ich szybkim klusem po szlaku usianym świeżymi końskimi odchodami, co oznaczało, że niedawno ktoś tędy przechodził. Wreszcie wyszli na otwartą przestrzeń w dolinie z wartkim potokiem. Żołnierze rozbili tu namioty, konie pasły się spokojnie. Wstęgi dymu wzbijały się ze świeżo rozpalonych ognisk, a widok był tak sielski i upajający, że Alienor nie wierzyła własnym oczom. Wartownicy naprężyli się dopiero na widok szybko nadciągających jeźdźców.

– Trzon armii pod ostrzałem! – ryknął na nich Saldebreuil. – Wracajcie tam, wy zatraceni durnie! Okradają nas i mordują! Królowa cudem ocalała, ale kto wie, co się stało z królem!

Żołnierz pobiegł po hrabiego i Gotfryda, a rycerze rzucili się siodłać konie.

– Dlaczego nie zaczekaliście?! – warknął Saldebreuil na Gotfryda, gdy ten zjawił się biegiem, przypinając miecz. – Turcy wyrzynają nas na górze, zapędzili nas jak owce do zagrody! To twoja wina, ale odpowiedzą za to wszyscy Akwitańczycy!

Oliwkowa twarz Gotfryda pożółkła. Odwróciwszy się bez słowa, wykrzykiwał rozkazy. De Maurienne siedział już na koniu i zwoływał pozostałych.

– Pilnuj obozu! – krzyknął do Gotfryda. – Przygotuj się na atak. Ja się tym zajmę. – I popędził drogą, którą przybyli.

Gotfryd zacisnął pięści, pierś mu falowała. Alienor była na niego wściekła, ale nie miała zamiaru teraz go karcić, zresztą mało nie omdlała z ulgi, że widzi go żywego.

– Rób, co mówi de Maurienne – burknęła. Nie czekając na pomoc, zeskoczyła z konia.

– Przysięgam, że nie wiedziałem. Chciałem schronić się przed pogodą. – Głos mu się łamał. – Gdyby przeszło mi przez myśl, że Turcy zaatakują, nigdy nie wyjechałbym naprzód. Nie naraziłbym twojego życia.

– Lecz naraziłeś. – Cała się trzęsła od tłumionych uczuć. – Twoja decyzja drogo nas kosztowała. Jeśli rozbiłeś namiot, tak jak mówisz, niech twój giermek nas tam zaprowadzi.

– Pani...

Zacisnęła zęby i odwróciła się do niego plecami w obawie, że go uderzy lub padnie mu z płaczem w ramiona.

Giermek Gotfryda zaprowadził Alienor i jej damy do namiotu pośrodku obozowiska. Nad rozżarzonym węglem cicho bulgotał kociołek z gulaszem. Na ziemi i ławach wokół ognia rozłożono owcze skóry. Marchisa, jak zawsze praktyczna, przystąpiła do parzenia ziół i narzuciła jedną ze skór na plecy Gizeli, która szczykała zębami.

Alienor słyszała, jak Gotfryd wykrzykuje rozkazy, a żołnierze w pośpiechu je wypełniają. Próbowwała się opanować, ale nadal miała wrażenie, że pędzi na złamanie karku po kamienistym szlaku. Chwała Bogu, że Gotfryd uszedł z życiem. Chwała Bogu, że się nie zdradzili. Jednakże jego błąd okaże się straszny w skutkach, pod wieloma względami. Zemdliło ją na samą myśl. Wypiła ziółka i wyszła z namiotu, aby pomóc ocalałym pielgrzymom, którzy docierali w rozsypce do obozu.

Zapadła noc i wciąż zjawiały się niedobitki trzonu armii, a po nich rozproszeni ludzie z tylnej straży. Nikt nie widział króla. Ponoć pospieszył na ratunek wraz ze swoim przybocznym, lecz od tamtej pory słuch po nich zaginął.

Przybył Robert z Dreux z tarczą niemal w kawałkach, na pokaleczonym i okulałym koniu. Był z nim hrabia de Maurienne, roztrzęsiony i postarzały.

– Nie mogliśmy znaleźć króla – oświadczył drżącym głosem. – Turcy oblegli całą górę, łupiąc i mordując.

Alienor zrazu przyjęła tę wiadomość ze wstrząsem, lecz gdy ochłonęła, potrząsnęła głową. Ludwik może nie był najlepszym dowódcą, ale w kwestii szczęścia oraz przytomności umysłu w kryzysie niewielu mogło się z nim równać.

– Niech Bóg go chroni. Niech Bóg chroni nas wszystkich. – Robert się przeżegnał. Drżał, oczy mu pociemniały. Jeżeli Ludwik nie wróci, właśnie Robert, tu i teraz, zostanie królem Francji. W powietrzu wisiało napięcie. Alienor знаła jego ambicje, widziała też spojrzenia rzucone w jego stronę, kiedy każdy zachodził w głowę, kto pierwszy uklęknie i odda cześć nowemu panu.

Jeśli Ludwik nie żyje, ona przestanie być królową Francji. To brzemię spadnie na Hawisę, żonę Roberta. Alienor wróci z córką do Akwitanii i tym razem sama wybierze sobie męża. Czuła, że na tę myśl otworzyły się przed nią drzwi celi, ale nie ośmieliła się dopuścić do siebie nadziei i odepchnęła ją jak oparzona.

Wciąż przybywali pielgrzymi. Strażnicy pilnie sprawdzali każdego w obawie, że Turcy pod osłoną mroku otoczą obóz. Chmury po tej stronie zбочa się rozproszyły, a gwiazdy lśniły w górze jak okruchy górskiego kryształu.

Alienor klęczała właśnie przy rannym rycerzu, dodając mu otuchy, kiedy podniósł się krzyk.

– Król, król odnaleziony! Chwalcie Pana naszego! – Zerwała się i owinęła płaszczem. Dotąd trwała w pełnej obawie nadziei. Spodziewała się, że Ludwik przeżyje, lecz jej myśli, choć trzymane na wodzy, balansowały nad przepaścią. Pospieszyła w tamtą stronę, po czym stanęła jak wryta, ponieważ Ludwik, przemoczony, brudny, zachlapany krwią, stał chwiejnie na szeroko rozstawionych nogach, a na klęczkach przed nim, ze spuszczoneymi głowami, tkwili Gotfryd z Rancon i hrabia de Maurienne.

– Gdzie byliście? – pytał. – To wszystko wasza wina. Oddaliliście się dla własnej wygody. Ukryliście się jak tchórze, pozostawiwszy mnie i moich ludzi na

pewną śmierć. De Warenne, de Breteuil, de Bullas zarznięci na moich oczach. To czyn na miarę zdrady stanu!

– Nie wiedzieliśmy, panie – zaklinał się de Maurienne. – Sądziliśmy, że jest bezpiecznie. Gdybyśmy wiedzieli, nie zjechalibyśmy na dół, żeby rozbić obóz.

– Nie wypełniście moich rozkazów i ludzie, których nazwisk niegodni jesteście wymawiać, oddali życie przez waszą nieudolność.

– Pójdę na śmierć, jeśli tego wymagasz, siostrzeńcze – oznajmił de Maurienne.

Ludwik przeszył ich wzrokiem.

– Jestem skłonny przyjąć twoją propozycję – burknął. – Jeden z drugim funta kłaków niewart! Każę was aresztować, a rano zajmę się wami tak, jak na to zasłużyliście. Przygotujcie swe dusze. Moja straż przyboczna poświęciła się dla mnie, ich ciała leżą w górach, poćwiartowane i zbezczeszczone przez Saracenów. – Głos załamał mu się z gniewu i żalu. – Ich krew na wieczność jest na waszych rękach, słyszycie mnie? Na wieczność! – Dla podkreślenia swych słów wznosił brudne, zakrwawione pięści, następnie z wolna je opuścił. – Przynieście mapy – rozkazał. – I znajdźcie mi Galerana, jeśli przeżył. – Wskazał na namiot hrabiego. – Przygotujcie mi namiot, ale już.

Winowajców powleczono przez tłum skandujący, aby powiesić ich od razu, tu i teraz, zwłaszcza Gotfryda. Mężczyźni szturchali ich i opluwali wśród okrzyków „Hańba!” i „Zdrada!”. Serce omal nie wyskoczyło Alienor z piersi. Otuliwszy się płaszczem, pospieszyła do namiotu zarekwirowanego przez Ludwika i przepchnęła się przez straż pilnującą wejścia.

– Mężu – powiedziała do Ludwika, rezygnując z oficjalnych wstępów.

Stał pośrodku z twarzą w dłoniach, wstrząsany łkaniem. Obrócił się gwałtownie w jej stronę i poderwał głowę, łzy płynęły ciurkiem po brudnych policzkach.

– Czego chcesz? – burknął.

Uniosła podbródek. Obyło się bez czułych powitań. Żadnego „Cieszę się, żeś żywy”. Dawno mieli to już za sobą.

– Przykro mi z powodu dobrych ludzi, których straciliśmy, ale nie możesz powiesić jutro swego wuja ani mojego seneszała i powinienes dopilnować, aby nie doszło do tego dziś wieczorem.

– Znowu próbujesz mną rządzić? – Obnażył zęby. – Niedoczekanie!

– Powiadam ci, że jeśli to zrobisz, doprowadzisz do wojny między naszymi wojskami, która dokończy to, co zaczęli Turcy. – Wyprostowała plecy. – Gotfryd z Rancon jest moim wasalem, zatem kara leży w mojej gestii. Nie powiesz go.

– Nie posłuchali rozkazów – burknął Ludwik. – I dlatego moi ludzie, moi przyjaciele, polegli. Uczynię, co uznam za stosowne.

– Sądzi, że postępują słusznie. Popelnili błąd, lecz był to przejaw głupoty,

nie zdrada. Nie masz prawa powiesić Gotfryda, ponieważ jest moim wasalem. Akwitańska część armii powstanie wówczas przeciwko tobie. Naprawdę tego chcesz? A jeśli powiesz Gotfryda, będziesz musiał powiesić także swego wuja, brata własnej matki, jako współwinnego. Chcesz tego, Ludwiku? Będziesz spokojnie patrzył, jak zakładają im pętle na szyje? Co na to twoi ludzie?

– Ty nic nie wiesz! – wyszlochał. – Gdybyś tam była i patrzyła, jak twoich przyjaciół rąbią na kawałki, nie byłabyś taka łaskawa! Moja straż oddała za mnie życie, podczas gdy de Maurienne i Gotfryd z Rancon grzali tyłki przy ognisku i odpoczywali. To wszystko ich wina, nikogo innego. Prawdziwa żona poparłaby mnie w tym postanowieniu, miast rzucać mi kłody pod nogi.

– Nie uważam rozsądku za kłodę, wbrew temu, co zwykłeś sądzić. Jeśli powiesz tych mężczyzn, stracisz dwóch dowódców oraz ich wasali, którzy wypowiedzą ci posłuszeństwo, co oznacza, że poniesiesz winę za rozpad armii.

– Milcz! – Uniósł zaciśniętą, pokrwawioną pięść.

Alienor nawet nie drgnęła.

– Jeśli to zrobisz, będziesz zgubiony – dodała cichym, lecz stanowczym głosem. Następnie odwróciła się i wyszła z namiotu.

Za plecami usłyszała hałas, ktoś w coś kopnął. „Prawdziwy mężczyzna nie urządziłby scen jak chłopiec”, pomyślała, i dźwięk ten wzmógł jej pogardę do niego oraz strach przed jego nieobliczalnością.

Alienor poszła z Saldebreuilem do namiotu, gdzie przetrzymywano Gotfryda i hrabiego de Maurienne. Na zewnątrz zebrała się grupka rycerzy ocalałych z rzezi i rzucała wyzwiska, głównie pod adresem Gotfryda. „Akwitański tchórz!” i „Mięczak z Południa!” były z nich najłagodniejszymi. Wykrzykiwane groźby, by powiesić winnych, milkły i wzbierały, z każdą chwilą zaś przybywało żołnierzy, którzy dołączali do skandujących.

– Znajdź Everarda des Barres. Byle szybko! – rozkazała Saldebreuilowi Alienor.

Wydał pospieszny rozkaz jednemu ze swoich ludzi, po czym z garstką przybocznych rycerzy uitorował jej drogę do namiotu.

– Przejście dla królowej! – wrzasnął.

Żołnierze się cofnęli, lecz Alienor wyczuwała ich niechęć, słyszała pomruki. Owładnęło ją poczucie rzeczywistego zagrożenia. Przed wejściem do namiotu przystanąła, nabrała tchu i weszła do środka.

Gotfryd i de Maurienne siedzieli przy stole, na którym stał gąsior oraz półmisek z bochenkiem czerstwego chleba i krążkiem sera. W napięciu poderwali głowy, po czym zerwali się i uklękli przed nią.

Alienor miała się na bacności, aby nie zdradzić się gestem ani spojrzeniem.

– Rozmawiałam z królem – oznajmiła. – Jest wzburzony, ufam jednak, że gdy przyjdzie co do czego, oszczędzi was obu.

– Zatem nie pozostaje nam nic innego, jak podzielić twą wiarę, pani – odezwał się de Maurienne. – I wierzyć w rozsądek mojego siostrzeńca. Ale co z nimi? – Wskazał na wejście do namiotu. Coś uderzyło w płótno. Kamień, pomyślała, a krzyki wzmogły się jak na komendę.

– Pomoc nadchodzi – zapewniła, modląc się, żeby to była prawda, i żeby Ludwik poszedł po rozum do głowy.

– Jeśli to pomoc francuska, marny nasz los – stwierdził ponuro Gotfryd. – A jeżeli wezwałaś naszych ludzi, wezmą się za łby z ludźmi króla.

– Śmiem twierdzić, że mam więcej pomysłu – warknęła. – Posłałam po templariuszy.

Po twarzach obu mężczyzn przemknął wyraz ulgi, ale zaraz Gotfryd potrząsnął głową.

– Może jednak zasłużyliśmy na stryczek – powiedział.

– Dostyc już narobiłeś głupstw, starczy ci na całe życie – zgaśniła go, złością tuszując strach. – Kiedy dotrzemy do Antiochii, mój panie, odsyłam cię z powrotem do Akwitanii. – Chciał zaprotestować, ale podniosła rękę, żeby go uciszyć. – Już postanowiłam. Ja i Akwitania bardziej na tym skorzystamy, niż gdybyś tu pozostał.

Gotfryd wpatrywał się w nią i łzy zalśniły mu w oczach.

– Przyniesiesz mi hańbę przed wszystkimi.

– Nie, głupcze, uratuję ci życie, które tak nisko cenisz. Posłuchaj ich. – Wskazała na wejście do namiotu. – Zrobią z ciebie kozła ofiarnego. Zanim ta podróż dobiegnie kresu, ktoś wbije ci nóż w plecy. Hrabia de Maurienne jest w innym położeniu. To wuj króla, powiedzą, że poszedł za twoją namową. Może dzisiaj cię nie powieszają, lecz znajdą sposób, abyś długo nie pożył. Nie dopuszczę, aby taki los spotkał... jednego z moich starszych wasali. Poza tym potrzebuję twego silnego ramienia, byś przygotował Akwitanię na mój powrót. Tyle się zmieni. – Znacząco uniosła brwi.

– Błagam cię, pani... – Gotfryd rzucił jej żarliwe spojrzenie, po czym opuścił wzrok i zwiesił głowę. – Nie odsyłaj mnie.

Alienor przełknęła ślinę.

– Muszę. Nie mam wyboru.

Zapadła cisza pełna napięcia.

– Jeżeli takie jest twoje życzenie – rzekł w końcu Gotfryd – nie będę się opierał, ale nie robię tego z własnej woli.

De Maurienne milczał przez całą tę rozmowę i Alienor się zastanawiała, ile dali po sobie poznać.

– Królowa mądrze prawi – zawyrokował starszy mężczyzna. – Mnie się

upiecze, lecz ty jesteś bezbronny, masz wielu wrogów. Najlepiej, byś niezwłocznie wyjechał.

Przed namiotem okrzyki i wyzwiska ucichły, w ich miejsce zabrzmiał miarowy stukot kopyt i brzęk oręża. Alienor zwróciła się do wejścia. Rząd templariuszy uformował szyk naprzeciw tłumowi, z uniesionymi tarczami i dłońmi na rękojeściach mieczy.

– Pani. – Ich dowódca, Everard des Barres, złożył jej sztywny ukłon.

Alienor odwzajemniła uprzejmość.

– Panie, proszę cię, byś strzegł tych ludzi. Obawiam się o ich życie. Jeżeli coś im się stanie dziś, zanim król podejmie decyzję, dojdzie do kolejnego rozlewu krwi. W obozie dosyć mamy problemów i bez tego.

Des Barres posłał jej baczne spojrzenie przymrużonych oczu. Nigdy za sobą nie przepadali, pragmatyzm nakazywał jednak obojgu zachowanie dyplomatycznych pozorów.

– Pani, masz moje słowo, że włos im z głowy nie spadnie.

Wiedziała, że prędzej czy później za to zapłaci, ale des Barres był człowiekiem honoru. Templariusze wchodzili w układy jedynie z Bogiem i byli najlepszymi żołnierzami w świecie chrześcijańskim.

– Dziękuję. Polegam na tobie, mój panie.

Wyszła z namiotu, nie oglądając się przez ramię, żeby nie napotkać wzroku Gotfryda. Tradycyjną rolą królowej była rola mediatora i niech tak zostanie, jakby serce nie pękało jej z bólu.

Po bezsennej, niespokojnej nocy Alienor właśnie skończyła poranne ablucje, kiedy zjawił się Ludwik. W mętym świetle twarz miał bladą i znękaną, a oczy przekrwione ze zmęczenia i płaczu.

– Postanowiłem oszczędzić mego wuja i Gotfryda z Rancon – oświadczył. – Niech żyją ze swoją hańbą, to znacznie surowsza kara.

– Dziękuję – odpowiedziała uległym, pojednawczym tonem. Aż osłabła z ulgi – gdyby jednak wybrał egzekucję, nie mogłaby temu zapobiec. – Gotfryd musi wrócić do Akwitanii.

Ludwik kiwnął głową.

– Istotnie. Nie mam zamiaru go strzec przed moimi ludźmi i nie powierzę mu żadnego zadania strategicznego. Templariusze obejmą straż przednią na resztę podróży.

W pośpiechu opuścił namiot i Alienor wypuściła wstrzymywane powietrze. Nie mogła nawet znieść jego zapachu. Chwyciły ją mdłości i musiała pobiec do misy.

Marchisa przerwała swoje zajęcia i podeszła do niej.

- To nic. – Alienor odprawiła ją ruchem ręki. – Wszystko w porządku.
- W razie gdybyś mnie potrzebowała, jestem – odrzekła Marchisa i posłała jej przeciągłe, zamyślane spojrzenie.

Tego samego ranka templariusze wyruszyli na czele armii. Ludwik trzymał blisko siebie hrabiego de Maurienne, Alienor zaś włączyła Gotfryda do straży przybocznej, chociaż trudno orzec, kto bardziej kogo chronił. W drodze przeżywała katusze. Ilekroć czuła w nozdrzach jego zapach, było to prawie nie do zniesienia, jak w przypadku Ludwika, lecz ze zgoła odmiennych przyczyn. Nie śmiała go dotknąć ani wyróżnić, bo czujnie ich obserwowano. Wszystko musiała ukryć głęboko w środku. Nikt nie mógł się domyślić.

Antiochia, marzec 1148

Alienor i Ludwik przybili do portu Świętego Symeona w słoneczny ranek w połowie marca. Wiał lekki wietrzyk, w górze rozciągało się błękitne niebo, a morze delikatnie falowało. Alienor zeszła na ląd, dziękując Bogu za szczęśliwą podróż. Nie mogła uwierzyć, że rejs z portu w Antalii do Antiochii, w normalnych okolicznościach trzydniowy, zajął im blisko trzy tygodnie, podczas których szalały sztormy i wicher znosił okręty daleko z kursu. Greccy marynarze zażądali za każdego pasażera niebotycznej sumy czterech srebrników. Drugim rozwiązaniem była czterdziestodniowa podróż przez trudny, nieprzyjazny teren, którą musiała odbyć większość konwoju mimo osłabienia głodem i chorobą.

Nudności męczyły Alienor przez cały rejs, nawet kiedy morze było spokojne. Marchisa pielęgnowała ją bez słowa, lecz spojrzenie miała wymowne. Alienor wiedziała, że prędzej czy później będzie zmuszona jej się zwierzyć. Nie zdoła długo ukrywać swego stanu bez czyjejs pomocy.

Antiochia leżała nad rzeką Orontes, jej mury obronne wyrastały na tle wzgórz Silipus. Był to dom Świętego Piotra, pierwszego apostoła Jezusa. Znajdował się tu kościół, w którym po raz pierwszy padło słowo „chrześcijanin”; przetrwał wieki, wbudowany w jaskinię na zboczu górskim, i stanowił miejsce kultu oraz pielgrzymek. Ludwik nie mógł się doczekać, żeby się tam pomodlić i ruszyć śladami niebiańskiego odzwiernego.

Myśli Alienor kierowały się ku spotkaniu ze stryjem, który weźmie ją pod swoją opiekę. Ubrała się na tę okazję w luźną szatę z czerwonego jedwabiu, dar od cesarzowej Ireny, wyszywaną kamieniami szlachetnymi, złotem i perłami. Jej palce zdobiły szafiry i rubiny, włosy zaś przykryła lnem egipskim, delikatnym jak mgiełka. Na przekór trudom podróży i niedawnym dolegliwościom postanowiła powitać stryja z godnością, jak przystało na królową.

Ostatnio widziała go jako dziewięciolatka i zachowała mgliste wspomnienie młodego, wysokiego rycerza o niebieskich oczach i włosach w identycznym ciemnozłotym odcieniu jak ona. Brzuch rozboleł ją z niepewności i przeświadczenia, że niebawem rozpocznie nowy rozdział życia, rozdział bez Ludwika, choć teraz musi jeszcze odgrywać rolę królowej.

Powitał ich tłum z pieśnią na ustach i biało-różowy obłok kwiatowych płatków, którymi ich obsypano. Ludwik zacisnął zęby.

- Miejmy nadzieję, że to nie drugi Konstantynopol – mruknął z niesmakiem.
- Dlaczego tak mówisz? – Spojrzała na niego ostro. – Tutaj rządzi brat

mojego ojca, a jego żoną jest twoja kuzynka.

– Bo Wschód jest skażony, a blichtr ma tylko ukryć jego zdradziecką naturę – odburknął.

Utkwiła w nim wzrok.

– Twierdzisz, że twoja krewna ma złe zamiary?

– Póki nie przekona mnie, że jest inaczej – skwitował ponuro. – Bądź co bądź, zbyt często miałem do czynienia z oszustwem i zdradą nawet we własnych szeregach.

Alienor stłumiła przyływ mdłości. Jeszcze tylko trochę, upomniała się w duchu, jeszcze kilka dni i będzie wolna.

– Antiochia to nie Konstantynopol. Mój stryj i jego żona to sami swoi, nawet jeśli tu mieszkają, zresztą mamy im pomóc: w tym celu tu przybyliśmy.

– Nie tylko w tym celu – zaznaczył. – Najważniejsza jest nasza powinność wobec Boga.

Stryj Rajmund oczekiwał ich przed pałacem wraz z żoną Konstancją, krewną Ludwika. Lata spędzone w palącym słońcu Środkowego Wschodu nadały jego włosom jasnozłoty odcień dojrzałej pszenicy, a wokół oczu miał głębokie zmarszczki od mrużenia ich w ostrym świetle. Był wyższy i postawniejszy niż Ludwik, a do tego tak podobny do jej ojca, że miała ochotę z płaczem paść mu w ramiona, ale się powstrzymała. Konstancja był nieco młodsza od Alienor, smukła i ciemnowłosa, o jasnozielonych oczach i delikatnych rysach. Z kształtu nosa i kości policzkowych przypominała Ludwika, lecz otaczał ją rodzaj egzotycznej aury, jak gdyby ją też przeobraziło to miejsce.

Pobrali się w atmosferze podstępny i skandalu. W wieku dwudziestu dwóch lat Rajmund przybył do Antiochii pod pozorem poślubienia księżnej Alicji, wdowy po zmarłym niedawno Boemundzie, upartej kobiety, która rządziła w imieniu swojej dziewięcioletniej córki Konstancji. Rajmund zjawił się w Antiochii w przebraniu, lecz zamiast matki poślubił córkę, zniweczył tym samym ambicje Alicji i przejął władzę. Mimo poważnego zagrożenia ze strony Seldżukidów cieszył się mocną pozycją, choć dopiero przekroczył trzydziestkę.

– Witajcie – rzekł głębokim, melodyjnym głosem. Zwracając się do Ludwika, mówił językiem Północy, objął go i pocałował, ale nie przykląkł. Następnie zwrócił spojrzenie ku Alienor i w jego oczach pojawiła się serdeczność oraz współczucie. – Bratanico – odezwał się w *lenga romana*. – Dziecię brata mego.

Gdy ucałował ją w policzek, przyłgnęła do niego jak rozbitek, któremu rzucono linę.

– Jesteś taki podobny do mojego ojca – wykrztusiła drżącym głosem.

Rajmund odsłonił w uśmiechu duże, białe zęby.

– Uznam to za komplement. Cieszymy się, że odpowiedzieliście na nasz

apel. Liczę, że wam się tu spodoba.

– Czuję się, jakbym przyjechała do domu – rzekła Alienor z gardłem ściśniętym z emocji. Zwróciła się do młodej żony Rajmunda i też ją objęła. Konstancja roztaczała zapach kadzidła, dymny, a zarazem korzenny. Ludwik stał sztywno, jakby kij połknął, ale nie był wrogo nastawiony, tylko czujny.

– Znaczna część mego konwoju podąży drogą lądową, powinni zjawić się za niespełna dwa tygodnie – oznajmił. – Do tego czasu chętnie skorzystamy z waszej gościnności.

Rajmund uniósł brwi.

– Zostańcie, jak długo chcecie – odparł. – Słyszałem, że zostawiłeś część armii, bo przekonałeś się na własnej skórze, jakimi zdziercami są Grecy.

– A lojalność i zaufanie to zjawiska na miarę rogu jednorożca – dorzucił posępnie Ludwik. – I wszystko ma swoją cenę, która wynosi więcej, niż jest warte.

– Otóż to – potwierdził Rajmund. – Witaj w Outremerze.

Pierwszy raz od miesiący Alienor mogła się odprężyć i rozkoszować poczuciem bezpieczeństwa. Rajmund przypominał jej ojca w barwnej i pełnej rozmachu wersji. Emanował niewymuszonym autorytetem i nie zaznaczał usilnie swojej obecności. Przedstawił swoje dzieci, nonszalancko mierzwiąc im główki. Czteroletniego Baldwina, swego następcę, złotowłosego jak ojciec, i dwie ciemnowłose, prześliczne córki, dwuletnią Marię oraz Filipę, dziecię w kołysce. Na widok Marii serce zakłuło Alienor i pomyślała o własnej córce. Pewnie już biega i mówi „mama” na Petronele i dwórki. To był inny świat – inne życie, do którego nie zamierzała powrócić. Poza tym musiała też brać pod uwagę drugie dziecko, którego życie potajemnie tliło się w jej łonie.

Pałac w Antiochii nie był tak wielki i okazały, jak pałac w Konstantynopolu, lecz mimo to piękny i opływający w luksusy niespotykane na dworach francuskich. Na posadzkach połyskiwały opalizujące kafle i mozaiki. Na pachnących kwiatami dziedzińcach pluskały marmurowe fontanny, a dworzanie nosili jedwabie tak jak w Bizancjum. Alienor i jej damy dostały do dyspozycji komnaty o chłodnych marmurowych podłogach i wysokich oknach, które tworzyły miły przewiew. Na pozór było podobnie jak w Konstantynopolu, ale okoliczności zupełnie inne. Tutaj czuła swoją władzę, i była to władza nie Francji, lecz Akwitanii. Tu miała wpływy i liczono się z jej zdaniem. Jako księżna Akwitanii i bratanica księcia Antiochii cieszyła się powszechnym szacunkiem. Ceniono jej zdanie, a ubiór i sposób bycia uznawano za naturalne i oczywiste. Zdumiewało ją to na każdym kroku, ponieważ w Paryżu i w podróży spotykała się ze zgoła odmiennym traktowaniem.

Doprawdy, Antiochia przypominała Akwitanie pod tyloma względami,

ponieważ stryj tchnął w pałac rodzimą energię i obyczaje. Językiem oficjalnym była *lenga romana*, a kultura i muzyka zdawały się żywcem przeniesione z południowych krain. Mieli wiele do omówienia: on wspominał czasy sprzed jej narodzin, kiedy dorastał z jej ojcem, ona zaś lata po jego wyjeździe z ojczyzny.

– Chciałbym raz jeszcze zobaczyć Poitiers, nim umrę – powiedział Rajmund.
– Ale moje życie jest tutaj i wiem, że nigdy tam nie powrócę. – Ucisnął rękę Alienor i pocałował ją w policzek. – Musisz to dla mnie zrobić, bratanico. Rządź dobrze i roztropnie.

Alienor spojrzała na jego dużą, krzepiącą dłoń na swojej i wzięła głęboki oddech.

– Chcę unieważnić moje małżeństwo z Ludwikiem – oznajmiła. – Bardzo kochałam ojca, ale wyświadczył mi niedźwiedzią przysługę tym ślubem.

Twarz Rajmunda zastygła.

– To poważna decyzja. Czy Ludwik wie o twoich zamiarach?

W napięciu potrząsnęła głową. A jeśli Rajmund weźmie stronę Ludwika i odmówi jej pomocy?

– Jeszcze nie. Pragnęłam zyskać poparcie, zanim poruszę ten temat.

– Dlaczego pragniesz unieważnienia? – Utkwił w niej badawcze spojrzenie.

– Co nie odpowiada ci w twoim małżeństwie?

Nie umiała wyczytać z jego głosu ani twarzy, czy okazał jej zrozumienie.

– Działa na niekorzyść Akwitanii – oznajmiła. – Ludwik ogranicza mnie i kwestionuje moje zdolności. Nie jest moim mężem w żadnym sensie tego słowa.
– Skrzywiła się z goryczą. – Zachowuje się, jakby poślubił Teodoryka Galerana. Przez całą drogę templariusz spał w jego namiocie, a teraz zajmują jedną komnatę. Ludwik działa za podszeptem ludzi, którzy za nic mają mnie i Akwitanie. A ponieważ ty stamtąd pochodzisz i hołdujesz południowym obyczajom, też nie wzbudzisz jego aprobaty.

Rajmund odchylił się na krześle.

– Unieważnienie narazi cię na niebezpieczeństwo.

– Wiem, że będę musiała powtórnie wyjść za mąż, lecz sama wybiorę sobie męża i nikt nie będzie mi niczego narzucał.

Pogładził podbródek.

– Ale musisz brać pod uwagę potrzeby Akwitanii.

– Dlatego mój wybór będzie bardzo przemyślany.

– Czy masz kogoś na uwadze?

Alienor przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy.

– O tym porozmawiamy później.

– Możesz mi ufać, wiesz o tym. – Jego głos rozgrzewał jak słońce.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Wyzbyłam się nawyku ufania komukolwiek.

– I słusznie, zwykle kieruję się tym samym. – Poklepał ją po dłoni. – Liczę na wsparcie twojego męża w kampanii przeciwko Aleppo, lecz gdy sprawa zostanie zamknięta, możesz na mnie polegać.

Nie rozproszył całkowicie jej obaw, ale ucieszyła ją przychylna, aczkolwiek ostrożna odpowiedź.

– I zapewnisz mi schronienie w Antiochii?

Otoczył ją ramieniem.

– Twój dom jest moim domem, dopóki tego potrzebujesz.

Był późny wieczór i większość udała się już na spoczynek, choć lampki oliwne w pałacowych korytarzach nadal płonęły. Alienor długo zabawiła w komnacie stryja, rozmawiali o przeszłości i przyszłych poczynaniach. Ludwik miał dla siebie własne komnaty i wcześniej poszedł spać, wymawiając się pacierzem i zmęczeniem. Dotychczas skutecznie go unikała i występowali razem jedynie na posiłkach i przy oficjalnych okazjach, podczas których zasłaniała się dworską maską kurtuazyjnego uśmiechu.

Dochodziła już północ, gdy Alienor wreszcie udała się do siebie w asyście dam oraz Gotfryda z Rancon i Saldebreuila z Sanzay. Ten drugi skłonił się w drzwiach i pożegnał. Alienor odprawiła kobiety do łóżek, oprócz Marchisy, w obecności której poprosiła Gotfryda, żeby wszedł.

– Marchiso, nalej nam wina – poleciła. – Potem możesz odejść, ale bądź w pobliżu i zostaw uchylone drzwi.

– Pani. – Marchisa sumiennie spełniła prośbę i wyszła, szeleszcząc spódnicą na kafelkach.

– Przyzwoitości stało się zadość – stwierdziła Alienor. – Mamy przynajmniej chwilę na osobności.

Gotfryd uniósł brwi.

– Jesteś optymistką – odrzekł, ale usiadł obok niej na długiej otomanie.

– Nie obawiam się niczego na dworze stryja. On kieruje się tylko moim dobrem. – Patrzyła, jak pije wino, na jego grdykę, kosmyk włosów nad uchem. Wyruszy o świcie, wróci do Akwitanii najkrótszą drogą. Będzie wolny, i ta myśl ją cieszyła, ale pękało jej serce. Położyła mu rękę na dłoni. – Jestem przy nadziei – dodała. – Tamta chwila w Konstantynopolu...

Zmartwiały utkwiał w niej wzrok.

– Boże miłosierny... i dopiero teraz mi mówisz?

Widziała, jak liczy miesiące, i położyła mu palec na ustach.

– Sza. Nie widziałam sensu mówić ci wcześniej. Tak było bezpieczniej.

– Postąpiłem jak głupiec – oświadczył ponuro. – Powinienem być nad sobą panować.

– Ja również. Co się stało, to się nie odstanie... lecz jestem rada. – Przeniosła jego dłoń na lekką wypukłość swojego brzucha. – Niczego nie żałuję.

– Ale ja wyjeżdżam. – Przełknął. – Nie mogę cię z tym zostawić.

– Możesz i musisz.

– Ale...

– Nie – wpadła mu w słowo. – Załatwię to po swojemu, twoja obecność w niczym nie pomoże. Wystarczy jedno nieostrożne słowo, a nikt nie może się dowiedzieć, tu chodzi o nasze życie. – Nabrała tchu. – Zamierzam unieważnić małżeństwo z Ludwikiem, napisałam już w tej sprawie do arcybiskupa Bordeaux. Stryj ugości mnie, jak długo zechcę. Zaczekam do narodzin.

– Czy stryj wie o tym?

Zaprzeczyła.

– Nie, i nie musi wiedzieć. Mam do kogo się zwrócić, a dziecko zostanie wychowane w moim domu i nikt prócz nas się nie dowie. Otrzyma staranne wykształcenie, bez ograniczeń, które stały się naszym udziałem.

Gotfryd przecesał palcami włosy.

– A jeżeli Ludwik odmówi?

– Zrozumie, że to korzystne dla niego rozwiązanie.

– A jeśli nie?

W jej głosie zabrzmiała niezłomna determinacja.

– Przekonam go.

– Czy może pomyśleć, że to jego dziecko?

Alienor parsknęła gorzkim śmiechem.

– To byłby cud. Nie zbliżył się do mnie, odkąd opuściliśmy Francję. – Popatrzył na nią, a ona nie odwróciła wzroku. – Nie żałuję tego, co się stało – dodała z mocą. – Może nie obrałabym takiej drogi, ale się cieszę.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Kładziemy na szali więcej niż kiedykolwiek, a ty odprawiasz mnie tam, skąd nie będę mógł nad tobą czuwać.

Pieszczotliwie odgarnęła mu włosy z czoła.

– Wiem, że to trudne, ale tak będzie najbezpieczniej dla nas i dziecka, zaufaj mi.

Z jękiem otoczył ją ramionami.

– Ufam. Tylko sobie nie dowierzam.

– Niepotrzebnie – stwierdziła. – Nie chcę, żebyś tak mówił. – Gdy nabrał tchu, żeby zaprotestować, zamknęła mu usta pocałunkiem i wyobraziła sobie, że ten oddech płynie w głąb jej ciała, dając siłę oraz ducha ich dziecku.

Był środek nocy, kiedy Gotfryd opuścił w końcu komnatę Alienor, stąpając

jak najciszej. Alienor go odprowadziła, a Marchisa szła przed nimi, osłaniając ręką małą lampkę oliwną. Pozostałe kobiety spały za cienkimi zasłonami. Przy drzwiach Alienor odprawiła Marchisę, która skłoniła się i ulotniła bezszelestnie.

Na dziedzińcu szemrała fontanna, skąpana w blasku gwiazd i półksiężyca.

– Niechaj Bóg ci sprzyja i doprowadzi cię szczęśliwie do domu – szepnęła Alienor. – Będę się za ciebie modliła.

Musnął dłonią jej twarz.

– A ja za ciebie i nasze dziecko. – Głos uwiązł mu w gardle. – Zostałbym...

– Wiem, ale ktoś mógłby wbić ci nóż w plecy nawet w Antiochii. Jedź jak najdalej stąd, w Akwitanii czeka cię dużo pracy. Będziemy razem, póki żyjemy na tym świecie.

Ujął jej dłoń i lekko musnął ustami. Następnie cofnął się o krok, uklonił i poszedł. Odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął, a potem przymknęła oczy i pozwoliła mu odejść.

Kiedy się odwracała, Rajmund wyszedł z cienia bezszelestnie jak gepard, z którym polował i który sypiał w jego komnacie.

– Och, bratanico – powiedział. – Masz szczęście, że tylko ja byłem świadkiem tego czułego pożegnania. Co powiedzieliby inni?

Alienor wyprostowała się i ukryła strach, patrząc mu prosto w oczy.

– Myślę, że „szczęście” to niewłaściwe słowo, stryju, lecz skoro go użyłeś, czy mogę mniemać, że nas nie wydasz?

Rajmund usiadł na ławce naprzeciw fontanny i wskazał Alienor miejsce obok siebie.

– On jutro wyjeżdża, tak? – zapytał.

– Nie masz pojęcia, jak ciężko się żyje z Ludwikiem – zaznaczyła.

– Istnym mnichem – uzupełnił Rajmund. – O mnisich ciągotach i przywarach, tak? – Rozłożył ręce na oparciu ławki i skrzyżował nogi.

– Można tak powiedzieć. Liczę się dla niego tylko z powodu Akwitanii, poza tym traktuje mnie jak piąte koło u wozu. Dawno straciłam dla niego szacunek.

– A ten drugi, Gotfryd z Rancon?

Stryj przemawiał łagodnym tonem, ale nie dała się zwieść.

– Gdyby dano mi wybór, wyszłabym za niego, nie za Ludwika.

– Czyżby? – Zamyślony Rajmund zastygł w pozie rozleniwionego lwa. – Pytanie, co z Akwitanią. Czy ludzie poszliby za nim? Uznali za swojego księcia? Ludwik być może okazał się głupcem, lecz twój ojciec rozegrał to bardzo rozsądnie. Gotfryd z Rancon byłby złym wyborem, nawet gdybyś nie miała związanych rąk. Szczerze odradzam ten krok.

Alienor stłumiła gniew i ukłucie niepokoju. W duchu podziękowała Bogu, że odsyła Gotfryda do Akwitanii. Lubiała wuja, ale nie miała złudzeń: był człowiekiem bezlitosnym, gdyż jedynie bezlitosny człowiek mógł przetrwać w takim otoczeniu.

– Nie jestem głupia – odparła. – Spoglądam dalej aniżeli wówczas, kiedy miałam trzynaście lat. Dobro Akwitanii jest dla mnie najważniejsze.

– Niektórzy mogą uznać Ludwika za zbędnego – rzucił po chwili Rajmund.

Alienor spojrzała na swoje ręce.

– To ich sprawa, lecz został namaszczony na króla, więc moim zdaniem stworzyliby więcej trudności, rozwiązując tę jedną.

– Istotnie – przyznał Rajmund i podjął gładko, jakby właśnie nie poruszył kwestii pozbycia się Ludwika: – Muszę jeszcze zasięgnąć jego zdania co do kampanii przeciwko Aleppo.

– Jego obchodzi tylko Jerozolima – odrzekła. – Wątpię, by poszedł ci na rękę, ponieważ jesteś moim stryjem i pochodzisz z Akwitanii. Ani on, ani jego świta nie zechcą mnie wysłuchać, może prócz jego brata.

– Ach, Roberta. Zdaje się, że on również ma spore ambicje.

– Zostałby królem, ale jest ostrożny. Może przyklasnąłby twoim planom, ale cię nie poprze, jeśli są rozbieżne z jego celami.

Rajmund zabębnił palcami o oparcie ławki.

– A panowie z Akwitanii? Czy oni zostaną?

– Jesteś bratem mojego ojca, podążą za tobą, przecież wiesz. Na pewno woleliby zostać ze mną, niż pójść za Ludwikiem.

Z namysłem pokiwał głową i wstał.

– Na mnie już czas – oznajmił. – Muszę to i owo przemyśleć. Porozmawiać z Ludwikiem o Aleppo... A jeśli się nie zgodzi, będziemy zmuszeni poszukać innego rozwiązania.

Alienor również wstała, a on czule pocałował ją w czoło.

– Wszystko będzie dobrze, masz moje słowo.

Ścisnęło ją w gardle.

– Ojciec też mówił... ale to nie była prawda.

Rajmund posłał jej cierpki uśmiech.

– Mówimy o przyszłości, moja droga, a nie o teraźniejszości.

Nagły szmer w mroku sprawił, że szybko odwrócili głowy, ale odpowiedział im jedynie plusk fontanny i ciche cykanie świerszczy.

– Nocą włóczy się mnóstwo kotów – mruknął z grymasem Rajmund. – Czają się, nadstawiają uszu, a oczy im błyszczą jak lusterka. Zmykaj.

Z sercem mocno bijącym w piersi Alienor umknęła do swojej komnaty. Marchisa czekała na nią z lampką, a Gizela siedziała na posłaniu i wyglądała zza kotary.

– Pani?

– Idź spać – poleciła spokojnie, ale stanowczo Alienor.

Kotara opadła z powrotem.

Alienor położyła się na łóżku. Marchisa wyszła pospiesznie, odwiesiwszy

lampę. Płomień lekko migotał w przeciągu z okna wysoko nad łożem, tworząc wzory na marmurowej podłodze. Długo leżała bezsennie z ręką na brzuchu i obserwowała pełganie światła na ścianach i posadzce, aż lampa zamigotała i zgasła.

Rajmund z Antiochii budził niepokój Ludwika i w jednakowym stopniu wyprowadzał go z równowagi. Jego siła, postura i złocista obecność kazały Ludwikowi nadymać własną pierś i próbować mu dorównać, ale jego starania niezmiennie spełzały na niczym.

– Powinniśmy uderzyć na Aleppo – oznajmił stanowczo Rajmund. – Po upadku Edessy stanowiło największe zagrożenie dla Antiochii. Jeśli się powiedzie, zapewnimy sobie spokój na wiele lat.

– Wątpię, czy to dobry pomysł – odpowiedział Ludwik. – Edessa już jest stracona. Aleppo jest istotne dla ciebie, ale musimy słuchać tego, co mają nam do powiedzenia król Jerozolimy i jego baronowie. Moim zdaniem należy skupić się na Damaszku. – Posłał Rajmundowi wyzywające spojrzenie i z pewną satysfakcją, chociaż nie bez lęku, dostrzegł w niebieskich oczach księcia błysk gniewu.

– To byłoby szaleństwo – warknął Rajmund. – O wiele prościej i rozsądniej będzie najpierw zająć Aleppo, a dopiero później rozprawić się z Damaszkiem.

– Z twojego punktu widzenia owszem, lecz w Jerozolimie mogą mieć inne zdanie. – Ludwik spojrzał ponad jego ramieniem na Teodoryka Galerana i swojego wuja Wilhelma z Montferratu, którzy skwapliwie pokiwali głowami.

– Jesteśmy jak kostki domina: trącisz jedną, a runą kolejne. Edessa upadła, a Antiochia jest następna w kolejce. Jeśli upadnę, upadnie Trypolis, a potem twoja wspaniała Jerozolima. A wystarczyłby jeden zdecydowany ruch.

Ludwik spojrzał na jego zaciśniętą pięść.

– Ty tak twierdzisz – odparł z przewrotnym zadowoleniem. – Niemniej jednak znam sytuację i wolą obrać inną drogę.

Rajmund uniósł brwi.

– Doprawdy? A zatem wiesz ci wnikiwości, gdyż tu nie mieszkasz.

– Czasami wystarczy trochę wyobraźni. – Ludwik odchylił się do tyłu, naśladując rozleniwioną pozę, jaką Rajmund często przybierał. – Zamierzam wyruszyć do Jerozolimy i wypełnić cel mej pielgrzymki. Później rozważę bitewne plany.

– Niektórzy z nas są pozbawieni tego wyboru – stwierdził z rozdrażnieniem Rajmund. – Przybyłeś, aby mi pomóc, ale teraz widzę, że nie zamierzasz tego zrobić.

Ludwik zmierzył go twardym spojrzeniem.

– Zrobię to, co sam uznam za stosowne, nie będziesz mi niczego narzucał.

Rajmund przełknął ślinę i Ludwik prawie usłyszał, jak zgrzyta zębami. Z trudem powściągnął uśmiech. Od początku nie lubił tego człowieka i nie darzył go zaufaniem, a teraz pokazał mu, gdzie raki zimują.

– Mam nadzieję, że ponownie to rozważysz, panie – odpowiedział sztywno Rajmund. – Może wrócimy do tematu przy innej okazji, kiedy się zastanowisz.

Ludwik pochylił głowę.

– Zastanowię, lecz wątpię, bym zmienił zdanie.

Rajmund wyszedł bez słowa, lecz powietrze wokół niego iskrzyło od tłumionego gniewu. Ludwik odprowadził go czujnym spojrzeniem, ale był rad. Świadomość przytarcia nosa Rajmundowi samą odmową dała mu poczucie wyższości. W końcu liczył się tylko z Jerozolimą.

Jego brat Robert odchrząknął i skrzyżował ręce na piersi.

– Uważam, że powinniśmy pomóc mu zdobyć Aleppo – oświadczył. – Trzeba patrzeć w przyszłość, kiedy nas tu nie będzie. Rajmund ma rację.

Ludwik łypnął na niego niechętnie.

– Nie pozwolę się do niczego przymuszać. Nie ufam temu człowiekowi. Jest niewiele lepszy od Greka, już ja znam takich. Mami ludzi pięknymi słówkami i świecidełkami, ale to wszystko jeden wielki fałsz. Ślimak miewa fioletową skorupę, ale wlecze za sobą śluz. – Ludwik przybrał władcą postawę. – Pojadę do Jerozolimy. Honor Jezusa jest ważniejszy od potrzeb i ambicji tego człowieka.

Alienor odczekała, aż Ludwik zostanie sam w komnacie. Po godzinnym pacierzu pisał jeszcze list do opata Sugera.

– Muszę z tobą pomówić – oznajmiła.

Posłał jej wyniosłe spojrzenie.

– A nie masz nic do załatwienia ze swoim kochanym stryjem?

Westchnęła z irytacją.

– To mój najbliższy krewny ze strony ojca. Wiele nas łączy.

– Nie wątpię – prychnął wzgardliwie.

Alienor powstrzymała się, by go nie uderzyć.

– Ma słuszność w kwestii Aleppo. Obiecałeś pomóc, dlaczego więc teraz odmawiasz? Czy nie widzisz, jakie to ważne?

– Nie wtrącaj się, wojna to męska sprawa. – Ludwik zbył ją machnięciem ręki. – Jeśli cię przysłał, żebyś coś u mnie wskórała, mógł sobie darować. Słucham wyłącznie rad zaufanych mężczyzn, na pewno nie twoich.

– Obrażasz jego i obrażasz mnie.

– Nikogo nie obrażam, mówię, jak jest. – Spojrzał na nią wrogo. – Oboje działacie we własnym interesie, nie będę waszym pionkiem.

– Już jesteś – stwierdziła z pogardą. – Twoi doradcy bawią się tobą, ale ty

tego nie widzisz albo nie chcesz widzieć.

– Sam o sobie decyduję – warknął.

– I jesteś sam jak palec. Co z ciebie za mężczyzna, Ludwiku? Co z ciebie za król? Mam poważne obawy, że żaden.

– Dostyc tego! – Rzucił pióro.

Alienor machnęła zamasyście ręką, aż zafalował jej długi, jedwabny rękaw.

– Chcesz jechać do Jerozolimy, jedź beze mnie. Ja zostaję w Antiochii.

– Jesteś królową Francji, pojedziesz wraz ze mną.

– Nie. – Stała jak posąg. – Między nami skończone, Ludwiku. Żądam unieważnienia naszego małżeństwa.

Po jego twarzy przemknął wyraz zdumienia, który wnet ustąpił miejsca furii.

– Stryjek cię przekabacił, co?

– Nie musiał. Sama poruszyłam ten temat. Jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni, o czym oboje wiemy i na co długo przymykaliśmy oczy, lecz Bóg nie pochwałał naszego związku, nie ma co do tego wątpliwości. Rozstańmy się, zamiast to ciągnąć do końca naszych dni.

– O tym rozprawiałaś ze stryjem po nocach? – spytał Ludwik. – Chryste, ależ z ciebie plugawa i wiarołomna kreatura.

– Po co więc trwasz w tym małżeństwie, skoro mnie nienawidzisz? – wybuchła. – Na co ci żona, której nie ufasz ani nie pożadasz? Zwróć mi wolność, a jeszcze zdązysz spłodzić syna. Twój baronowie i kapłani nie będą już musieli psów na mnie wieszać. To najlepszy czas na decyzję. Oddawszy mnie pod pieczę stryja, wybierzesz honorowe rozwiązanie, skoro żona to twoja cioteczna kuzynka. – Ujrzała błysk niepewności w jego oczach, więc kuła żelazo, póki gorące. – Czy naprawdę chcesz ciągnąć tę parodię? Jeśli tak, czemu tego nie okazałeś, odkąd wyjechaliśmy z Saint-Denis?

Odwrócił wzrok.

– Ślubowałem, że się nie splamię.

– Nie splamisz? Czy to nie mówi samo za siebie? – Jej gniew rozgorzał do czerwoności, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Muszę zapytać o zdanie moich doradców – odparł.

– Chcesz powiedzieć, poprosić ich o pozwolenie? – prychnęła Alienor. – Musisz wszystko robić z rozkazu Sugera i templariusza? Czy Teodoryk Galeran rządzi tobą nie tylko w sypialni? Sam o sobie decydujesz, tak? Dowiedz tego!

Ludwik spojrział na nią z obrzydzeniem.

– Jestem sługą bożym, wypełniam wolę Pana.

– W takim razie Jego zapytaj.

– Daj mi spokój – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Kiedy będę gotowy, udzielę ci odpowiedzi.

– Wiedz jedno: nie pojedę z tobą. Już postanowiłam i zostanę w Antiochii.

W drzwiach natknęła się na Teodoryka Galerana, z jego miny odgadła, że podsłuchiwał. Miał na sobie jedwabną szatę haftowaną w srebrne krzyżyki, do tego przepasał się zgoła absurdalnie skórzanym pasem do miecza. Alienor posłała mu nienawistne spojrzenie.

– Tak będzie najlepiej – rzekła. – Powiedz mu to, gdy będziecie się modlić.

Teodoryk odwzajemnił jej spojrzenie, następnie skłonił się wyniośle i wszedł do komnaty.

Rozwalony na krześle Ludwik podniósł na niego wzrok.

– Słyszałeś? – Ścisnął nasadę nosa.

– Częściowo, panie – odrzekł wymijająco Teodoryk.

– Chce unieważnić nasze małżeństwo z powodu zbyt bliskiego pokrewieństwa i zostać w Antiochii. – Ludwik opuścił rękę i podniósł głowę. – Jestem skłonny przystać na jej życzenie.

Teodoryk zmarszczył brwi i podciągnął pas.

– Odradzam ci pośpiech, panie. Zgoda może nadszarpnąć twoją pozycję. Ludzie powiedzą, żeś nie zdołał zatrzymać przy sobie żony i ktoś ci ją odebrał, nawet jeśli tym kimś był jej stryj. Oznaczałoby to, że panowie z Akwitanii mogą chcieć podlegać Antiochii, nie Francji. Wedle prawa jesteś ich suwerenem, lecz odejście królowej utrudni ci zadanie.

– Ona jest cierniem w moim boku. – Twarz Ludwika przeciął grymas. – Tym bardziej uwiera, że zachowałem w pamięci powab róży.

– Szatan zsyła wiele pięknych rzeczy, które nam szkodzą – oznajmił Teodoryk. – Wystarczy wspomnieć lśniąca skórę żmii, której ukąszenie zabija. Czyż wąż nie namówił Ewy do skosztowania owocu z drzewa mądrości, a ona nie skusiła Adama?

– Napiszę do Sugera – powiedział z westchnieniem Ludwik. – On mi doradzi, ale masz rację. Nie powinna zostać w Antiochii.

– Uważam, że ściąganie tutaj twojej armii byłoby niewskazane. Lepiej, by dołączyła do nas po drodze.

Ludwik obrzucił go badawczym wzrokiem.

– Co masz na myśli?

– Doszły mnie niepokojące pogłoski, panie.

– Jakie pogłoski?

Teodoryk się skrzywił, jakby wypił ocet.

– Sądzę, że pan Antiochii knuje przeciwko tobie.

– Sądzisz czy wiesz? – Oddech Ludwika przyspieszył, panika ścisnęła mu pierś.

– Widziałem, jak podburzał naszych. Sączy słodkie słówka do ucha twojemu bratu, a do tego spiskuje z królową. – Głos Teodoryka ociekał odrazą. – Podejrzewam, że Rajmund i królowa zachowywali się niestosownie. Widziałem,

jak siedzieli blisko siebie niczym kochankowie, kiedy inni już spali. – Ślina napłynęła mu do ust i zaczął seplenić. – Widziałem, jak się obejmują. Zachowywała się niestosownie również z innymi mężczyznami. W przeddzień wyjazdu z Antiochii Gotfryd z Rancon zabawił w jej komnacie do późnej nocy, moim szpiedzy donieśli, że czule się pożegnali. To nasuwałoby podejrzenia, czy na pewno wydarzenia na górze Kadmos były zbiegiem okoliczności.

Ludwik wpatrywał się w niego ze zgrozą.

– Na Chrystusa i Świętego Dionizego, czy jesteś pewien?

– Panie, przemilczałbym to, gdybym nie miał mocnych przesłanek do niepokoju. Proponuję, abyśmy opuścili Antiochię, gdy tylko armia znajdzie się w pobliżu, i natychmiast wyruszyli do Jerozolimy, a królową zabrali ze sobą. Wówczas jej stryj nie odważy się wystąpić przeciwko nam, Akwitańczycy zaś pójdą za nią jak w dym.

Ludwik przełknął ślinę.

– Co zatem radzisz?

– Byśmy poczynili plany potajemnego wyjazdu z chwilą przybycia armii. Musimy działać bez zwłoki i wtajemniczyć jedynie zaufanych ludzi. Rajmund nie może cię powstrzymać ani zabronić ci wziąć żonę. Musisz wyrwać ją spod jego wpływu i trzymać u swego boku, gdzie nie będzie miała okazji knuć i spiskować.

Ludwika zemdliło. Nie zdołał ogarnąć ogromu tych wiadomości. Nie chciał w to wierzyć, ale Teodoryk był jego oczami i uszami, a do tego umiał zwąchać pismo nosem jak nikt inny. Ludwika od dawna dręczyło poczucie zagrożenia, więc zamiast zdziwienia odczuwał teraz paraliżujący wręcz strach.

– Pozwól, że się tym zajmę, panie – zapewnił gładko Teodoryk. – Dopilnuję, aby królowa była gotowa do wyjazdu, gdy nadejdzie czas.

Ludwik przytaknął i zalała go fala ulgi.

– Zawsze znajdziesz na wszystko radę – pochwalił.

Antiochia, marzec 1148

Nadchodził wieczór i Alienor kazała służącym zostawić otwarte okiennice, żeby zapewnić choćby odrobinę przewiewu w komnacie. Gdzieś pośród bezkresnej, rozgwieźdzonej ciemności Gotfryd zdążył do domu. Przypomniała sobie ich rozmowę o gwiazdach na równinach Węgier i wyraziła w duchu nadzieję, że podróż Gotfryda przebiega bez zakłóceń.

O poranku poszła do kościoła Świętego Piotra pomodlić się i złożyć ofiarę w intencji jego bezpieczeństwa oraz dobra ich dziecka. Nie mogła się doczekać, aż Ludwik wyjedzie do Jerozolimy. Pod osłoną robótki delikatnie objęła brzuch i szeptem posłała maleństwu słowa miłości i otuchy.

– Mówiłaś coś, pani? – zapytała Gizela.

– Tylko do siebie – odrzekła Alienor. Od pewnego czasu Gizela zachowywała się bardzo dziwnie: podskakiwała z byle powodu jak oparzona, a przy tym często popadała w zamyślenie i zamknęła się w sobie. – Nie zmuszam cię do pozostania ze mną w Antiochii – dodała. – Możesz wyjechać z królem.

– Wiem, pani.

W głos Alienor wkradło się zniecierpliwienie.

– A więc co się z tobą dzieje?

– Nic, pani. Zmęczona jestem. – Gizela spuściła wzrok na swój tamborek i przygryzła wargę. – Od rana boli mnie głowa. Czy mogłabym wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć świeżego powietrza?

– Tak, ale wróć szybko. Chcę się położyć.

Gizela wstała, narzuciła płaszcz i wyszła.

Alienor spojrzała na Marchisę.

– Myślisz, że ma kochanka.

Tamta uniosła brwi.

– Pojęcia nie mam, kim mógłby być. Jedyne młodzieniec, z którym ją widziałam, to giermek Teodoryka Galerana, a on nie wygląda mi na flirciarza.

Alienor przypomniała sobie posępnego wyrostka o ospowatej cerze i wielkiej grdyce.

– Zatem szpieguje – stwierdziła, czując ucisk w żołądku. Czy nikomu nie można ufać?

Marchisa wzruszyła ramionami.

– Niewykluczone.

– Myślisz, że wie o dziecku?

– Może coś podejrzewać, ale nie ma dowodów.

Alienor przygryzła wargę. Odkąd dowiedziała się o ciąży, markowała miesięczne krwawienie, nasączając gałganki kurzą krwią, przemycaną przez Marchisę.

Gizela wróciła rozplómienna i z roziskrzonym wzrokiem. Alienor nie wiedziała, co myśleć. Może faktycznie miała kochanka. Jeśli ona potrafiła ukryć ciążę, może Gizela była równie przebiegła. Może jej wybranek nie był chrześcijaninem lub wywodził się z niższego stanu i dlatego ich romans musiał pozostać w ukryciu. Postanowiła zbadać sprawę nazajutrz.

Marchisa i Mamila pomogły jej w toalecie wieczornej, a Gizela przygotowała sypialnię dwórek, przygaszając lampy i porządkując robótki. Marchisa rozczesała włosy królowej: po każdym pociągnięciu grzebieniem przyglądała jej dłonią, tworząc falę ciężkiego, lśniącego złota.

Na dźwięk zdławionego okrzyku Gizeli Alienor poderwała głowę i ujrzała ze wstrząsem, jak do jej sypialni wkraczają postaci w ciemnych strojach i zamykają drzwi między komnatami.

Żołnierze! Byli uzbrojeni w miecze, pod ich płaszczami lśniły kolczugi. Po komnacie rozniosła się gryząca woń ich potu. Poczuli, jak taksują jej ciało i rozpuszczone włosy. Teodoryk Galeran wystąpił z szeregu; z jego ciemnych oczu biła złośliwa satysfakcja i Alienor struchlała.

– Co to ma znaczyć?! – spytała. – Jak śmiesz?

– Pani, król właśnie opuszcza Antiochię i życzy sobie, byś wyruszyła wraz z nim. Chodźmy. To sprawa najwyższej wagi.

– Niech król robi, co chce – odburknęła. – Ja zostaję w Antiochii.

– To niemożliwe, pani. Król prosił, bym po ciebie przyszedł. – Przez ramię miał przerzucony męski płaszcz z ciemnozielonej wełny, podszyty sobolem.

– Król doskonale wie, że zostaję. – Nie ruszyła się z miejsca. Pozostali spoglądali na nią wrogo, żaden nawet nie spuścił wzroku z szacunku dla królowej. Nie mogła liczyć na ich wsparcie. – A może przyszłście mnie zabić? – W tej samej chwili zrozumiała powagę sytuacji. – Gdzie Saldebreuil?

– Powiedzmy, że jest niedysponowany – odparł Teodoryk i wyciągnął rękę w jej stronę.

Odepchnęła go.

– Precz z łapami! – syknęła, wzburzona na samą myśl, że mógłby jej dotknąć.

Chwycił ją za nadgarstek, a wtedy go ugryzła. Marchisa skoczyła na pomoc i rozorała mu grzebieniem policzek. Uderzył ją na odlew w twarz, aż zatoczyła się na malowaną skrzynię. Mamila zaczęła krzyczeć, na co jeden z pozostałych mężczyzn zatkał jej ręką usta.

– Cicho, panienko – warknął. – Bo wycisnę ci głos z gardła.

Alienor kopnęła Teodoryka w piszczel i rzuciła się do ucieczki, ale drzwi były zamknięte i znalazła się w potrzasku. Mimo to nie dała za wygraną, tylko złapała pogrzebacz i natarła na templariusza. Ze śmiechem zrobił unik, po czym chwycił ją za nadgarstek i wykręcił, więc musiała puścić. Usiłowała wydrzeć mu nóż zza pasa, lecz tylko ją obrócił, z pomocą reszty narzucił na nią płaszcz i okręcił sznurem, aż nie mogła się ruszyć. Walczyła jak lwica, przerażona wizją, że wrzucą ją do Orontes lub wywloką z pałacu, zasztyletują i rzuca wilkom oraz dzikim psom na pożarcie.

Teodoryk cofnął się o krok, krew płynęła mu po twarzy okaleczonej grzebieniem.

– Diablica. – Otarł policzek wierzchem dłoni. – Suka. – Trącił ją nogą.

Gdyby wzrok mógł zabijać, padłby trupem na miejscu.

– Pożalujesz tego. Przeklinam cię, duszę mego ojca biorę na świadka! Puszczaj! – Szarpnęła się, próbując rozluźnić więzy.

– Król zdecyduje, co z tobą zrobić. Niech sam się rozprawi ze swoimi kurwami i zdrajcami. – Pochyliwszy się, ponownie zacieśnił sznur, aż zabrakło jej tchu.

– Widzę tutaj tylko jedną kurwę – wykrztusiła. – Stoi przede mną.

Galeran kopnął ją w podbrzusze.

– Wyjdzie szydło z worka, już wkrótce – warknął.

Nie mogła krzyczeć, dech jej zaparło. Pociemniało jej przed oczami, wiedziała tylko, że tamci pochwycili Marchisę i Mamilę, grożąc im bronią. Galeran i jeszcze jeden rycerz chwycili ją jak zwinięty dywan i wynieśli z sypialni. Gizela już czekała, w płaszczu narzuconym na ramiona i z węzłkiem w ręku. Oczy miała rozszerzone ze strachu, ale minę zaciętą, i Alienor zrozumiała, że oto ma przed sobą zdrajcę pokroju sukinsyna Galerana.

Ponieśli ją bezceremonialnie, po czym rozległ się brzęk sakiewki i rzucono ją jak worek na kamieniste podłoże. Ciężki płaszcz zamortyzował nieco upadek, lecz i tak ją zatkalo. Utwierdziła się w przekonaniu, że umrze, a dziecko wraz z nią. Poczula, że się dusi. Wilgoć wzbierała jej w gardle, zaczęła się dławić.

Teodoryk przeciął sznur. Alienor, krztusząc się i zachłystując, wciągała powietrze haustami.

– Umrzesz za to! – wydusiła.

– Wątpię – odparł. – Ale niewykluczone, że spotka to ciebie. – Złapał ją i z pomocą drugiego rycerza powłókł w stronę konia, który postukiwał kopytami o bruk. Jeden z żołnierzy już na nim siedział, położyli ją przed nim. Kiedy zaczęła krzyczeć, przycisnął zgrubiałą dłoń do jej ust i nosa, aż ponownie straciła dech w piersiach.

– Zamknij się, bo z tobą skończę.

Szpetnie zaklął, gdy próbowała go ugryźć.

– Zaknebluj ją – polecił Teodoryk i podał mu szmatę, którą tamten wepchnął Alienor do ust. – I zasłoń jej oczy. Żeby suka nie wiedziała, co się wokół dzieje.

Szarpała się, ale oni byli silniejsi i nieustępliwi. Żołnierz spiął konia i ruszyli z kopyta. Leżała przerzucona przez siodła i potwornie ścisnęło ją w brzuchu, jakby mięśnie miała napięte do granic wytrzymałości. Rzuciło ją na wszystkie strony, wiatr szczypał w oczy. Była bezsilna i przerażona, w głowie kołatała jej straszna myśl, że wywiozą ją na pustkowie, zabiją bez litości i porzucą zwłoki.

Miała wrażenie, że jadą godzinami. Koń najpierw kłusował, potem zwolnił do stępa, a na koniec włókł się noga za nogą. Poczowała zapach dymu i usłyszała głosy, a porywacz ściągnął cugle. Zeskoczył, następnie szarpnął ją i rzucił na ziemię. Jęknęła mimowolnie.

– Nie ruszaj się – przykazał. Usłyszała, że odchodzi i wita się z mężczyznami przy ognisku, plusnął trunek nalewany do kubka.

– Może byłoby lepiej, gdyby nie żyła – zabrzmiał czyjś głos. – Lepsze to niż skandal, jaki na nas ściągnie.

– Niech król zdecyduje – odezwał się ktoś inny. – Zaczekajmy na jego przyjazd.

– Nie rozumiem dlaczego. Powiemy, że to był wypadek. Baba z wozu, koniom lżej, Bóg jeden wie, co tam knuła ze swoim stryjaszkiem... o ile tylko knuła.

Gdyby nie knebel, zadzwoniłaby zębami ze strachu. Czy zabiliby ją tu i teraz, odmawiając jej spowiedzi i pokuty? Starła się leżeć spokojnie i nadstawiła uszu. Przyczai się i ucieknie przy pierwszej sposobności.

Mężczyźni postanowili zostawić decyzję królowi. Posłyszała zbliżające się kroki i zapach gorącego gulaszu z cebulą i czosnkiem połaskotał ją w nozdrza.

– Proszę – burknął szorstki głos. – Zjesz coś, jeśli cię rozwiążę?

Alienor naprężyła się i szarpnęła; mężczyzna zaklął, gdy gorąca zawartość miski chlapnęła mu na ręce. Bluznął plugawym słowem, usłyszała śmiech pozostałych przy ognisku.

– Zostaw ją! – krzyknął jeden. – Z diabolicą nie da się po dobroci, masz za swoje!

Osunęła się na ziemię, łzy wsiąkły w opaskę na oczach.

Niebawem rozległ się stukot kopyt, jeźdźcy zeskoczyli na ziemię. Następnie posłyszała głos Ludwika, który zapytywał, co się dzieje.

– Mamy tu królową, panie – odpowiedział Teodoryk. – Musieliśmy ją związać, nie chciała jechać z własnej woli. Przewieźliśmy ją po kryjomu.

– Pokażcie – zażądał Ludwik.

Na dźwięk nadchodzących kroków zaczęła się wić i szamotać.

– Nakarmilibyśmy ją, panie, ale ochlapała Szymona, kiedy zaniósł jej strawę. Czując czyjeś palce na twarzy, szarpnęła się ze zdwojoną siłą.

– Sam widzisz – odezwał się Teodoryk. – Diabeł ją opętał, panie.

– Milcz! – warknął Ludwik. – Kazałem ci to robić? Nie sądzę.

Palce rozwiązały opaskę. Potem przyszła kolej na knebel, Alienor rozkaszała się i nabrała potężny haust powietrza.

– Boże miłosierny – szepnął Ludwik. – Boże miłosierny! – Spojrzał na Teodoryka. – Coś ty narobił? Daj mi nóż.

Teodoryk z kamienną twarzą podał mu sztylet.

Ludwik zaczął niezdarnie przecinać więzy i uwolnił żonę. Padła mu w ramiona, ale zaraz się cofnęła.

– Nie kazałem im tego robić. – Był wstrząśnięty do głębi. – Chciałem tylko, żebyś pojechała ze mną, pod osłoną nocy. Nigdy nie pozwoliłbym na to... nigdy! – Obejrzał się na zmartwiałych rycerzy, którzy stali teraz z niewyraźnymi minami. – Posunęliście się za daleko. – Przeniósł wściekły wzrok na Teodoryka. – Nie ma tu żadnej służącej? Gdzie są jej dwórki?

Na znak templariusza przyprowadzono Gizelę. Szła z ociąganiem, łzy płynęły jej po twarzy.

– Tak mi przykro! – załkała.

– Pomóż pani – polecił Ludwik.

Alienor uniosła głowę.

– Przyślij Marchisę – oznajmiła, siląc się na stanowczość. – A ta niech się nigdy więcej do mnie nie zbliża!

Ludwik pstryknął palcami i Gizela odeszła, gorzko płacząc. Marchisa wystąpiła naprzód, miała posiniaczoną twarz i podbite oko.

– Dwórki też sponiewieraliście? – Ludwik nie krył oburzenia.

Teodoryk dotknął krwawych śladów po grzebieniu.

– Jest równie dzika, jak jej pani – mruknął.

Marchisa posłała mu mordercze spojrzenie.

– Wydarłabym ci twoje czarcie serce, gdybym mogła. – Splunęła i uklękła przy Alienor. – Już dobrze, pani. Jestem. Jestem tutaj.

Alienor przywarła do niej. Teraz, kiedy bezpośrednie zagrożenie minęło, zdrętwiała na całym ciele. Marchisa oparła ją o końskie derki i przyniosła kielich wina.

Alienor zwiesiła głowę.

– Zapłaci za to, przysięgam – powiedziała. – Dostanę moje unieważnienie. – Przymknęła oczy. Czowała się zbyt znużona i obolała, żeby myśleć. Wyparła wszystkie uczucia, bo ogarnęła ją czarna rozpacz. Byle do rana, a zaplanuje powrót do Antiochii.

Obudziło ją niebo powleczone mleczną poświatą jutrzeńki, ale wciąż usiane

gwiazdami. Mężczyźni dosiadali koni. Podczas snu zeszywniała i aż jęknęła z bólu, próbując się ruszyć.

– Nie mogę jechać konno – wyszeptała, gdy przyprowadzono jej wierzchowca. – Nie dam rady.

Nadszedł Ludwik i zmierzył ją twardym wzrokiem.

– Nie powinnaś była się opierać, kiedy Teodoryk po ciebie przyszedł – oznajmił. – Sama jesteś sobie winna. Można powiedzieć, że na to zasłużyłaś, niemniej jednak udzieliłem mu reprimendy.

Odwróciła głowę.

– Miałam prawo zostać w Antiochii.

Obrzydzenie przemknęło mu po twarzy.

– Antiochia to siedlisko grzechu. Czy wiesz, co ludzie o tobie mówią? Czy wiesz, jak splamiłaś swoje imię... i moje przy okazji? Wystawiłaś Francję na pośmiewisko!

Ze wzdrgnąciem przymknęła oczy. Nie było sensu strzepić sobie języka.

Ludwik ze świstem wypuścił oddech.

– Musimy być razem. Jak inaczej poprowadzę armię, jeśli będziesz się zamęt i podburzać ludzi przeciwko mnie? Pójdiesz do Grobu Świętego, aby obmyć się z grzechów. I zapamiętaj jedno: nigdy już nie wrócisz do Antiochii. Słyszysz, co do ciebie mówię? Nigdy!

Francuska armia, już w komplecie, ruszyła do Jerozolimy. Podążała przez państwa chrześcijańskie, co znacznie ułatwiało sprawę, lecz nadchodziło upalne lato i minął czas na wiosenną kampanię. Ludwik odwiedzał święte miejsca na odcinku dwustu mil między Antiochią i Jerozolimą. Z tej pierwszej nie nadchodziły żadne wieści, ale samo milczenie paliło jak ostrza żołnierskich włóczni w spiekocie i Ludwik bez przerwy spoglądał przez ramię.

Alienor podróżowała w zasłoniętej lektyce, z dala od ludzkich oczu. Odpowiadało to Ludwikowi, gdyż była z nim, ale nie musiał na nią patrzeć, ona sama też nie narzekała. Nie musiała mieć z nikim styczności, nie licząc przystanków po drodze. Mogła być sama ze swoimi myślami, podczas gdy jej ciało dochodziło do siebie. Ludwik unikał jej jak ognia, wiedziała jednak, że jest pilnie strzeżona na wypadek próby ucieczki, która z każdą kolejną milą stawała się coraz bardziej niemożliwa.

Po siedmiu dniach przebudziła się nocą z poczuciem, że coś złego się z nią dzieje. Śniła o dziecku, jego złocistej, kędzierzawej główce przy piersi, lecz gdy spojrzała na jego twarzyczkę, ta zaczęła się zmieniać, z różowej stała się poszarzała, oczy zaś zmatowiały jak kamyki przy drodze. Małeństwo zwiotczało bez życia w jej objęciach, a gdy spróbowała je przytulić, rozpadło się w pył.

Usiadła przerażona i przycisnęła ręce do brzucha. Był ocieężały i twardy jak kamień. Nic nie czuła, żadnego drgnienia w środku. Próbowwała znowu zasnąć, lecz w końcu się poddała i poszła usiąść przy ognisku, dopóki nie nadejdzie czas, aby ponownie ruszyć w drogę.

Ludwik zamierzał odwiedzić święte miejsca w Libanie, także „dolinę źródeł”, gdzie Święty Piotr otrzymał klucze do Królestwa Niebieskiego. Panowała tam zielona świeżość i mogli odetchnąć od upału. Alienor usiłowała chłonąć otaczający ich spokój dla dobra dziecka i swojego. Ludwik tryskał dobrym humorem, był w swoim żywiole, uwielbiał puszyć się i paradować. Patrzyła z oddali, jaki jest łaskawy, nawet wobec Teodoryka Galerana, któremu najwyraźniej wybaczył. W jego świecie zapanowała harmonia. Rajmund z Antiochii został wyprowadzony w pole, a unieszkodliwiona Alienor siedziała w osłoniętej lektyce, gdzie jej miejsce.

Mijały godziny, a ona czuła się coraz gorzej. Kołysanie lektyki przypominało rejs po wzburzonym morzu, brzuch miała ściśnięty bólem. Zrazu przypominał comiesięczną dolegliwość, ale stopniowo wzmógł się do regularnych skurczów.

– Nie – jęknęła. – Za wcześniej! – Chlusnęła z niej woda zabarwiona krwią i czarnozieloną ciecżą. Odsunęła kotarę i zawołała Marchisę jadącą obok na mule.

– Pani? – Marchisa kazała postawić lektykę i zajrzała do środka. – Najświętsza Panienko – szepnęła i odebrało jej mowę, rzecz u niej niespotykana.

– Nikt nie może się dowiedzieć – rzuciła Alienor. – Pod żadnym pozorem. Marchisa potrząsnęła głową.

– Nie możesz jechać dalej, pani – oznajmiła. – Trzeba zapewnić ci dach nad głową. – Rozejrzała się. Nieopodal drogi stała pasterska chatka, zwykła lepianka, lecz nie mieli wyboru. Święte miejsce Ludwika znajdowało się znacznie dalej.

– Królowa źle się czuje – poinformowała Marchisa mężczyzn, którzy nieśli lektykę. – Zanieście ją do tej chaty, ja się nią zajmę.

– Przecież nie możemy odłączyć się od konwoju, pani – zaproponował jeden.

– Róbcie, co powiedziałam, inaczej ona umrze – burknęła Marchisa. – To będzie wasza wina.

– Ale król...

– Ja się nim zajmę. – Marchisa się wyprostowała. – Choroba mojej pani to pozostałość po gorączce, którą przeszła na Węgrzech. Ostatnie wydarzenia tylko pogorszyły jej stan.

Przekonawszy mężczyzn, posłała giermka do Ludwika z identyczną bajeczką i kazała przyprowadzić Mamilę.

– Nikomu ani słowa – zagroziła szeptem. – Jeśli ktoś zapyta, królowa ma krwawą biegunkę.

Mamila spojrzała na nią ze strachem przemieszonym z urazą.

– Dobrze wiem, co jej dolega – odparła. – Ale nie jestem Gizelą, więc nie martw się o moją lojalność.

Poprowadziły Alienor do chaty. Tragarze ulotnili się na dźwięk słowa „biegunka”, ku aprobachie Marchisy. Przybył posłaniec od Ludwika z wiadomością, że konwój ruszy dalej, a królowa niech zostanie i odpocznie, a gdy odzyska siły, dołączy do taboru. Dla jej bezpieczeństwa zostawił strażę, które rozbiły obóz obok chaty. Posłaniec zażądał widzenia z królową, pewnie celem sprawdzenia, czy rzeczywiście jest chora, czy też planuje ucieczkę z powrotem do Antiochii.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na Alienor wijącą się na sianie, a odszedł jak niepyszny.

Na zewnątrz bulgotało źródło, z którego Marchisa zaczerpnęła w skopek czystej, świeżej wody. Rozpaliła ogień w małym, kamiennym palenisku. Dorzuciła do niego końskiego nawozu, miała też nieco węgla w swoich zapasach. Wypchała lnianą poszewkę słomą, aby zrobić prowizoryczne posłanie, i zaparzyła zioła na uśmierzanie bólu, chociaż wiedziała, że nie uśmierzy tego, co ma nastąpić. Krew w wodach płodowych i zielone smugi odchodów nienarodzonego dziecka zapowiadały tragedię. Marchisa miała podejrzenia, że razy Teodoryka Galerana przed wyjazdem z Antiochii były wymierzone z premedytacją.

Alienor otworzyła oczy i utkwiała wzrok w okopconym suficie. Paliło ją w brzuchu i kroczu; w odróżnieniu od poprzednich skurczów ból był miarowy i jednostajny. Czuła suchość w gardle, jakby nawdychała się dymu albo krzyczała do nieprzytomności. Położyła ręce na zwiotczalym brzuchu. Jej napięte piersi były owinięte płótnem, które miała również między nogami. Była wycieńczona.

– Pani? – Marchisa nachyliła się nad nią i przycisnęła dłoń do jej czoła. – Oho, gorączka wreszcie opadła – stwierdziła. – Byłaś bardzo chora. Proszę, musisz jeszcze trochę wypić.

Alienor napiła się chłodnego, gorzkiego naparu z kubka, który Marchisa przystawiła jej do ust.

– Moje dziecko – wychrypiała. – Gdzie moje dziecko? Muszę je nakarmić. – Rozejrzała się po chatce. Zasłona w drzwiach wpuszczała nieco mętnego światła. Znad paleniska unosiła się smuga błękitnego dymu. Mamiła mieszała coś w kociołku, ale spojrzała na Alienor i prędko odwróciła wzrok. – Co z nim zrobiliście? Pokażcie go!

Marchisa przygryzła wargę.

– Pani... on... urodził się martwy. Właśnie to przyspieszyło poród... bo umarł. Bardzo mi przykro.

– Nie wierzę ci! – Rozpacz i panika wezbrały w niej jak fala za ukruszonym murem. – Pokaż.

– Pani...

– Pokaż! Chcę zobaczyć jego ciało!

Marchisa sięgnęła po koszyk nakryty płótnem, na którym położyła krzyżyk zdjęty z własnej szyi.

– Miałam pochować go o wschodzie słońca – powiedziała. – Naprawdę, nie wiem, czy powinnaś na to patrzeć, pani.

– Muszę.

Marchisa odsunęła płótno i Alienor zajrzała do środka. Wydała krótki skowyt i wchłonęła rozpacz, tuląc ją do siebie zamiast żywego maleństwa. Wraz z dzieckiem zgasły jej kruche marzenia i nadzieje. Zakołysała się, otepiała z bólu.

– Nie dbam o to, co się ze mną stanie – powiedziała. – Dajcie mi umrzeć. To nie jest święta ziemia, tylko moje piekło.

Jerozolima, wrzesień 1148

Na stoliku między Alienor i Melisandą, królową matką i współwładczynią Królestwa Jerozolimskiego, stał ceramiczny półmisek arabskich słodocy z migdałów oraz wody różanej, zwanych przez Arabów *faludhaj*. Melisanda ugryzła jeden z upodobaniem.

– Od nadmiaru bolą zęby i dostaje się kolki – stwierdziła z żalem. – Ale są przepyszne. – Miała złocistą cerę i roziskrzone ciemnobrązowe oczy, pełne humoru, a zarazem przebiegłe i wnikliwe. – To kobiece przysmaki. Mężczyźni pochłaniają je wszystkie naraz, zamiast się delektować, odkryłam jednak, że są doskonale na przynętę.

– Typowe męskie podejście. – Alienor z uśmiechem sięgnęła po smakołyk, odgrywając rolę wytwornej królowej Franków. Była to jej ostoja w strasznych miesiącach po urodzeniu martwego synka w Libanie oraz jedyne wyjście z mroku, który chciał ją pochłonąć. Ilekroć traciła czujność, obezwładniał ją ból, a nocą dręczyły koszmary. Mimo to żyła z dnia na dzień, z nocy na noc, i czas powoli zbliżniał ranę. Przed dwoma tygodniami dołączył do niej Saldebreuil, wciąż osłabiony po batkach, jakie dostał od Teodoryka Galerana i jego pacholców, lecz gotów do podjęcia swoich obowiązków, co trochę podniosło ją na duchu, gdyż miała go za zmarłego.

Siedziały z Melisandą na dachu pałacu, pod otwartym namiotem, którego przejrzyste zasłony falowały na wietrze. Zwyczajem miejscowych Francuzek ubrane były w luźne jedwabne szaty i turbany, i dotrzymywały sobie nawzajem towarzystwa, odpoczywając w trakcie najbardziej upalnej pory dnia.

Melisanda się roześmiała.

– Obawiam się, że masz słuszność, chociaż zdarzają się mężczyźni inni od pozostałych, i powinniśmy na nich chuchać i dmuchać.

Alienor patrzyła na błękitne niebo i falujące w skwarze starożytne złote kamienie.

– Owszem – przyznała ściszym tonem. – Ale zbyt często nie dostajemy ich na zawsze, nieprawdaż?

Czuła na sobie baczny wzrok Melisandy, ale trzymała język za zębami. Dzięki swemu pochodzeniu Melisanda zachowała prawo do jerozolimskiego tronu, lecz jej mąż Fulko próbował za życia odebrać jej władzę, a wtedy musiała zażarcie walczyć o swoje. Oskarżano ją też o romans z Hugonem Le Puisetem, hrabią Jaffy, jednym z jej najbliższych dworzan, ale przetrwała burzę i skandal nie nadwzględiał jej

wpływów.

– Zgadza się – przytaknęła Melisanda. – Taka jest smutna prawda. – Posłała Alienor świdrujące, a zarazem łagodne spojrzenie. – Możesz mi powiedzieć wszystko i zostanie to między nami. Dość wiem o tobie i twojej sytuacji, żeby wysłuchać cię ze zrozumieniem. Potraktuj naszą rozmowę jako chwilę wytchnienia przed dalszą podróżą.

Alienor milczała przez chwilę, po czym nabrała tchu.

– Poprosiłam Ludwika o unieważnienie – wyznała. – Jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni...

– Jak wielu – zauważyła Melisanda. – Większość ludzi jest w większym lub mniejszym stopniu spokrewniona ze swoim małżonkiem, lecz nie unieważniają ślubu. – Przekrzywiła głowę na bok. – Mówisz, że poprosiłaś Ludwika... czyli nie było na odwrót? Dlaczego?

– Ponieważ... – Alienor odwróciła wzrok, ścisnęło ją w gardle i łzy napłynęły do oczu. – Ponieważ to był błąd, od samego początku. Kochałam ojca i szanuję jego pamięć, chciał dla mnie jak najlepiej, ale nie postąpił słusznie. Ludwik jest... – Umysł nasunął jej słowa nie do wypowiedzenia na głos. – Oboje oczekiwaliśmy od siebie czegoś zupełnie innego. Jestem księżną Akwitanii i królową Francji, ale tylko na papierze. Rozwiązanie tego małżeństwa to moje jedyne marzenie. Chcę odzyskać władzę i prawo do podejmowania samodzielnych decyzji. Zmuszano mnie do podążania ścieżkami, jakich nigdy nie obrałabym bez przymusu. – Spojrzała na Melisandę, która wpatrywała się w nią uważnie. – Ludwik jest głupi i słaby. Otacza się złymi doradcami i nie słucha głosu rozsądku. Nie spędzę reszty życia na łasce półgłówka i jego sługusów.

– Ach, tak – westchnęła Melisanda. Klasnęła w dłonie i służąca przysłała napełnić ich kielichy winem, które chłodziło się w zbiorniku. – Doskonale cię rozumiem. To bardzo trudne, kiedy mężczyźni wolą zasięgać rad innych mężczyzn i dokonują niemądrych wyborów. Wystarczy wspomnieć atak na Damaszek.

Alienor się skrzywiła.

– No właśnie – przytaknęła. – Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby na pierwszy ogień poszło Aleppo. – Po przybyciu do Jerozolimy nadal dochodziła do siebie po urodzeniu martwego syna. Nikt o niczym nie wiedział, oprócz Mamili i Marchisy. Pośród baronów i kleryków krążyły obelżywe plotki, ale dotyczyły raczej niedyskrecji między nią i stryjem, a rozpowszechniał je Teodoryk Galeran oraz jemu podobni, by oczernić Rajmunda i zniechęcić do niego tych, którzy byliby skłonni wysłuchać jego apelu i ruszyć na Aleppo. Zwołano naradę i Melisanda uczestniczyła w niej jako współwładczyni Królestwa Jerozolimskiego. Alienor została wykluczona przez Ludwika, zresztą osłabienie i zły stan zdrowia uniemożliwiły jej walkę o wpływy. Melisanda usiłowała przekonać pozostałych, że atak na Aleppo byłby dla nich korzystniejszy, ale ją przegłosowano. Zamiast wziąć

pod uwagę korzyść długofalową, wybrano kuszącą perspektywę Damaszku. Rajmund wymówił się od udziału w zgromadzeniu, twierdząc, że nie będzie narażał życia dla sprawy z góry przegranej.

Armia jerozolimską, wsparta przez Franków, została rozgromiona i kampania zakończyła się klęską. Próba zagwarantowania bezpieczeństwa chrześcijańskiemu królestwu spaliła na panewce, co po raz kolejny mocno nadszarpnęło reputację Ludwika, który na dobre zamienił żołnierską kolczugę na szaty pielgrzyma. Powtarzał, jak wspaniałym doświadczeniem jest oddychać tym samym powietrzem co Zbawiciel, stąpać po tej samej ziemi, w otoczeniu murów tych samych świątyń. Istotnie, Alienor sama odwiedziła wiele tych miejsc i doznała licznych wzruszeń, lecz pielgrzymka stała się obsesją jej męża oraz ucieczką od rzeczywistości. Przebywał właśnie nad Jeziorem Galilejskim, gdzie miał zamiar napełnić ampułki wodą, po której chodził Jezus, a apostołowie zostali nazwani „rybakami ludzi”.

Melisanda machnęła ręką.

– No tak – rzekła. – Strzeż się wszystkich mężczyzn. Ja w końcu pokochałam męża, którego kazano mi poślubić, lecz na początku dokładał wszelkich starań, by pozbawić mnie władzy, do której byłam jego kluczem. Minęło trochę czasu, zanim poznał tutejsze zwyczaje, a gdy doszliśmy do porozumienia, dureń spadł z konia i pogruchotał czaszkę. – Jej oczy zamgliły się bólem, ale zaraz się otrząsnęła i sięgnęła po kielich. – A co na to Ludwik? Przystał na unieważnienie?

– Przystałby, gdyby decyzja zależała od niego, ale inni mu to odradzili – oznajmiła Alienor. – Brzydzi się mną, gdyż według niego jestem zbrukana, nie słucham Boga tak, jak powinnam, i dlatego Bóg odmawia nam syna... choć sama nie wiem, jak miałby go spłodzić, skoro się do mnie nie zbliża. Ale wie, że po unieważnieniu straci Akwitanię, o twarzy nie wspominając. Poniesie klęskę na całej linii. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Nie może żyć ze mną ani beze mnie, dlatego ucieka w swoje śmieszne peregrynacje, gdzie z pompą gra króla Francji i udaje, że problemy nie istnieją. Może zaspokajać swe duchowe potrzeby i zapomnieć o żonie. Poniekąd to już unieważnienie, tylko nieoficjalne. – Jej twarz nabrała twardego, nieustępliwego wyrazu. – W drodze powrotnej do Paryża zajedziemy do Rzymu, więc liczę, że coś wskóram.

Melisanda zrobiła zatroskaną minę.

– Jesteś zdecydowana?

– Mam tam pełnomocników, którzy działają w moim imieniu.

– I co potem zrobisz? – Królowa Jerozolimy potrząsnęła głową. – Staniesz się łakomym kąskiem, ze swoim majątkiem i płodnym łonem. Niejeden baron będzie próbował cię pożreć.

– Ufam w pomoc moich lojalnych obrońców – odrzekła Alienor śmiało.

– Życzę ci zatem powodzenia. Świat to szemrane miejsce, o czym doskonale wiemy, dlatego warto wybiegać myślą w przód i sposobić się na każdą ewentualność.

– Zawsze brałam to pod uwagę – odpowiedziała Alienor. – W Antiochii podeszli mnie z zaskoczenia. Nie doceniłam swoich wrogów i to był mój błąd.

Melisanda spojrzała na nią z ukosa.

– Musisz być świadoma plotek o tobie i twoim stryju. Nie daję im wiary, gdyż wiem, co znaczy oszczerstwo, które ma splamić czyjeś dobre imię, lecz skaza pozostaje.

– Owszem, słyszałam te plotki – odparła sztywno Alienor i zamilkła, bo Melisanda wkroczyła na grząski grunt.

– Powinnaś urodzić syna i owdowieć – oświadczyła jej rozmówczyni. – Dałoby ci to największą władzę, jaką może zyskać kobieta... Chyba że z własnej woli wstąpisz do zakonu. Zresztą, potem synowie dorastają i domagają się swoich praw. A potem pozbawiają cię wpływów, zupełnie jak mąż. Tak zbudowany jest ten świat.

– I to miało mnie pocieszyć? – zapytała Alienor z gardłem ściśniętym od tłumionych emocji.

– Nie próbowałam dodać ci otuchy – odrzekła chłodno Melisanda. – Lecz jeśli chcesz wszystko należycie zaplanować, pamiętaj o tym, co powiedziałam.

– Moją następczynią jest córka – ucięła Alienor. „Moi synowie umarli”.

– Tak jak ja byłam następczynią mego ojca, a ty swego. – Melisanda nachyliła się w stronę gościa. – Młoda jesteś, jeszcze możesz zmienić swoje życie.

Alienor wypła łyk wina i wzięła się w garść.

– Mam taki zamiar – odpowiedziała.

Ludwik obchodził Boże Narodzenie w Betlejem pod zimnym rozgwieżdżonym niebem, klęcząc w sanktuarium wzniesionym w miejscu stajenki, w której narodził się Jezus. Po jego twarzy płynęły łzy uniesienia. Alienor świętowała u jego boku, chociaż radość z powodu narodzin Dzieciątka, gdy jej własny syn leżał w bezimiennym grobie, była trudna do zniesienia. Znużyło ją bycie gościem w Królestwie Jerozolimskim i choć towarzystwo Melisandy było jej miłe, niecierpliwie wyczekiwała wyjazdu. Czuła się ubezwłasnowolniona i wyobcowana, a Ludwik hołdował swojej obsesji pielgrzymowania. Jak dziecko złaknione słodczy domagał się coraz więcej, mimo iż doświadczył przesyty.

We wrześniu armia francuska się rozdzieliła i żołnierze zaczęli wracać do ojczyzny. Robert, brat Ludwika, wyruszył z lwią częścią kontyngentu, pozostawivszy garstkę żołnierzy i służby: w sam raz na orszak, lecz nie armię. Ludwik zapewniał, że wkrótce podąży jego śladem, lecz zamiar ograniczył się do

słów i niebawem popadł w zapomnienie.

Pomimo wszelkich wygod Alienor miotała się w jerozolimskich komnatach niczym więzień w celi. Chodziła do łaźni i na bazy, odwiedzała święte miejsca, modliła się przy Grobie. Czytała, wyszywała, grała w szachy, pisała niezliczone listy i liczyła upływające minuty. A Ludwik nadal nie zdradzał najmniejszej chęci powrotu. Czekąco go jeszcze tyle miejsc do obejrzenia, czasami ponownego, aby lepiej je sobie utrwalić. W natłoku zajęć nie musiał myśleć o tym, co go czeka: trudach rządzenia oraz decyzjach na przyszłość. Schronił się wśród wspaniałości Boga i uczynił z nich swoją jedyną rzeczywistość.

Suger słał listy z błaganiami o jego powrót, lecz król odkładał je na bok, ledwo rzuciwszy okiem. Alienor też dostawała listy od swych baronów i prałatów, i choć Suger nie pisał do niej, doskonale wiedziała, co się dzieje.

– Suger traci kontrolę – oznajmiła, zmuszając męża do rozmowy. – Nic nas tu nie trzyma. Obejrzałeś wszystkie ważne i mniej ważne miejsca. Jeśli nie wrócisz, Francja pograży się w chaosie, a Akwitania razem z nią.

– Przesadzasz – skwitował z niezadowoleniem. – Stary Suger lubi ponarzekać, ale doskonale sobie radzi.

– Nie – oznajmiła Alienor. – Suger jest starcem, który zaczyna podupadać na zdrowiu. Rządzenie Francją jest twoim, a nie jego, obowiązkiem. Ja mam zobowiązania wobec moich ludzi w Akwitanii: jak mam wypełnić je na odległość? Nie możemy tak panować, Ludwiku. Twój brat Robert grozi przejęciem władzy, podjudzany przez matkę. Raul z Vermandois znalazł się między młotem a kowadłem. Nawet jeśli dziś wyruszymy, zanim dotrzemy do Paryża, nasza nieobecność potrwa trzy lata. A nie wyruszymy ani dziś, ani jutro, ani pojutrze, ani nawet w przyszłym tygodniu, tymczasem twoja władza trzęsie się w posiadach. Kiedy otrzymałeś ostatnią wiadomość od Sugera?

– Przestań wiercić mi dziurę w brzuchu – burknął Ludwik. – Mamy dość czasu, a Jezusowi należy się pierwszeństwo.

– A więc kiedy wyruszamy? Chciałabym rozpocząć przygotowania.

– Po świętach – oznajmił. – Spędzę tu Wielkanoc, a potem zobaczymy.

– Przecież to dwa miesiące z okładem!

– Masz zatem dość czasu na przygotowania – uciął chłodno. – Wcześniej nigdzie się stąd nie ruszę. W Betlejem świętowałem Jego narodziny, a teraz będę czcił Jego śmierć i zmartwychwstanie we właściwym miejscu i czasie.

Widząc uparty błysk w jego oczach, Alienor zrozumiała, że sprzeczką niczego nie wskóra.

– Kiedy pojedziemy do Rzymu, dostanę moje unieważnienie – oznajmiła.

Ludwik wzruszył ramionami.

– Jeśli papież wyrazi zgodę, niech tak się stanie. – Mówił obojętnym tonem, ale twarz miał zaciętą. Wiedziała, że Suger odradza mu unieważnienie. Ludzie

powiedzą, że mężczyzna, który nie potrafił utrzymać przy sobie żony i spłodzić syna, jest kiepskim rycerzem i marną namiastką króla, a jeśli król nie dzierży w ręku władzy, cierpi na tym cały kraj. Na jej korzyść działały wątpliwości Ludwika, który nie kwapił się zastosować do rad opata. Unieważnienie oznaczałoby dlań nowy początek, a na pociechę po stracie Akwitanii wzięłby sobie drugą żonę z okazałym posagiem i koneksjami.

Po jego wyjściu poprosiła o pióro i pergamin, by napisać do Gotfryda z Rancon. Listy szły do Akwitanii kilka miesięcy, tak jak odpowiedzi, i musiała zadbać o to, by nie zdradzić się nieostrożnym słowem, podobnie jak on. Pisał jej sprawozdania, będące na pozór relacjami lojalnego wobec swej pani wasala, lecz oboje potrafili czytać między wierszami.

Opowiedziała mu o stracie dziecka, a on je opłakał. Starał się utrzymać w Akwitanii porządek pod jej nieobecność, lecz ingerencje Sugera i Francuzów stanowiły dlań wielkie wyzwanie. Często o niej rozmyślał i modlił się o jej powrót oraz pomyślne rozpatrzenie spraw w Rzymie. Do ostatniego listu dołączył broszkę z orłem o rozpostartych skrzydłach: codziennie ją nosiła, a teraz musnęła dłonią i zanurzywszy pióro w baraním rogu z inkaustem, napisała, że wróci do domu, nim zżęte zboże wypełni stodoły, i z boską pomocą będzie wolna.

Morze Śródziemne, maj 1149

Alienor patrzyła w roziskrzone morze, kiedy sycylijska galera pruła szafirowe fale. Wiatr wyduł żagle i podążali żwawo w stronę portu w Kalabrii. Kucharz smażył na pokładzie świeżo złowione sardynki i podawał je z gorącymi podplomykami doprawionymi czosnkiem oraz tymiankiem.

Zmrużywszy oczy, Alienor dostrzegła pozostałe okręty francuskiej floty. Statek Ludwika był rzecz jasna największy, a na szczycie masztu powiewała niebiesko-złota chorągiew z lilią. Jej własna galera, z flagami Francji i Akwitanii, była mniej imponująca, ale dzięki niej nie musiała podróżować z Ludwikiem. Jego obecność uwierała ją jak kamyk w bucie.

Płynęli od czterech dni i jeszcze dwa tygodnie dzieliły ich od Kalabrii, władanej przez ich sprzymierzeńca, króla Rogera z Sycylii. Stamtąd mieli się udać do Rzymu, gdzie czekało upragnione unieważnienie.

Kucharz zsunął sardynki na półmisek i posypał ziołami. Giermek przyniósł Alienor talerz, a gdy tylko zdążyła skosztować, posłyszeli okrzyk z jednego z pozostałych statków i na wodzie rozbrzmiał dźwięk rogów.

Alienor pospiesznie przeżuła i połknęła kęs strawy.

– Co się dzieje?

Załoga jęła się przekrzykiwać i ustawiła żagle, aby nabrać prędkości. Kucharz chwycił dzban z wodą i zgasił ogień.

– Grecy, pani – wyjaśnił zwięźle.

Zaniepokojona Alienor odstawiła talerz. Grecy byli w stanie wojny z Sycylijczykami, a ponieważ Ludwik opowiedział się po stronie króla Rogera, do którego należały statki, znaleźli się w oku cyklonu. Cesarz Manuel Komnen obiecał nagrodę kapitanowi, który uprowadzi francuską parę królewską i przywiezie ją do Konstantynopola.

Alienor odsunęła się, gdy załoga wciągała żagiel. Znajdowali się na zewnętrznej krawędzi konwoju i mimo wysiłków marynarzy poczęli odstawać od reszty wraz z jeszcze jednym statkiem. Pozostali, zamiast walczyć, chwycili za wiosła i uciekali.

Patrzyła z zaciśniętymi ustami, jak nieprzyjaciel się zbliża. Był szybszy, odległość między nimi zmniejszała się z każdą chwilą. Okręty bizantyjskie lśniły brązem na dziobach wydłużonych na kształt zwierzęcego nosa, które podczas walki miały zabójczy ogień.

– Wolalabym rzucić się do morza, niż wrócić do Konstantynopola –

powiedziała Alienor do Saldebreuila, która stał obok niej z dłonią na rękojeści miecza.

– Tak się nie stanie, pani. Nadejdzie pomoc.

– Oby. – Na chwilę ukryła twarz w dłoniach. Ponownie była bezsilna, gdyż nie mogła niczemu zapobiec.

Grecy wkrótce dogonili mniejszą galerę i zmusili załogę do kapitulacji. Ich kapitan nie krył zachwyty zdobyczą i choć traktował Alienor z szacunkiem, widziała, z jaką satysfakcją „powitał” ich na swoim pokładzie.

– Zapłacisz za to królowi Francji – warknęła. Czuła się jak kot przyparty do muru przez znacznie większego psa.

Był bardzo rozbawiony, kiedy przetłumaczono mu jej słowa.

– Ależ skąd – zapewnił z uśmiechem. – To on mi zapłaci! – I znacząco poklepał się po sakiewce przytroczonej do pasa.

Alienor zesła pod pokład, gdzie ich zapędzono. Część załogi została wzięta do niewoli i zakuta w kajdany, inni pozostali na pokładzie swojego okrętu, którego pozbawiono masztu, z sześcioma wiosłami, gdyż resztę wyrzucono za burtę. Saldebreuilowi zabrano miecz, ale zdołał ukryć sztylet za cholewą.

Rzeczy Alienor przeszły na własność greckiego kapitana. Piękne zwierciadło i grzebień z kości słoniowej od Melisandy zniknęły w jego kufrach, podobnie jak szkarłatna szata haftowana w złote orły.

– Bydlaki – mruknął Saldebreuil. – Poderżnę im gardła, kiedy zasną.

– Ani mi się waź! – syknęła Alienor. – Złapią cię i wszyscy za to zapłacimy. Jesteś mi potrzebny. Zapamiętaj, który co wziął, żebyśmy potem to odebrali.

– Wykastрую tego, który zabrał mój miecz – oznajmił Saldebreuil z błyskiem w ciemnych oczach.

Siedzieli w ponurych nastrojach, kiedy znów podniosły się krzyki, po czym Grecy rzucili się podnieść żagle i chwycili za wiosła. Statek zadrzał, kiedy rozpędzali się długimi pociągnięciami. Alienor wstała i przysłoniła ręką oczy. Byli ścigani i przeciwnik dogonił ich z taką samą łatwością, jak oni wcześniej galerę.

Saldebreuil stanął obok niej.

– A to dopiero ciekawy obrót spraw – stwierdził. – Duża ryba połyka małą, a wieloryb połyka wszystkie.

Spojrzała na niego.

– Chcesz zostać połknięty przez wieloryba?

– Owszem, jeśli jest sycylijski. – Zmrużył oczy i dorzucił szeptem: – Dwadzieścia birem po sto wiosł każda. Ten okręt ma jedynie sześćdziesiąt wiosł, a marynarze stoczyli już dziś jedną walkę. Dopadną nas przed zachodem słońca.

Grecki kapitan kazał nałożyć rycerzom Alienor kajdany oraz przykuć ich łańcuchami do burt, a na straży postawił żołnierza.

– Cóż za pasjonujące przeżycie. Opowiem o nim wnukom, jeśli kiedyś

spłodzę ich ojca – powiedział Saldebreuil i brzęknął żelazną bransoletą. – Do twarzy mi w tym, pani?

– Milcz, głupcze – burknęła.

– Rozumiem, że nie. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Zatem muszę czym prędzej pozbyć się tych błyskotek.

Alienor podchwyciła jego wzrok i dostrzegła lekkie wybrzuszenie w cholewce buta.

Kiedy słońce jęło chylić się ku zachodowi, sycylijskie biremy dogoniły bizantyjskie okręty. Wieczorny wiatr się wzmógł, burząc fale, a chmury niosły zapowiedź sztormu. Ich statek zawrócił, gotowy do walki. Alienor z zaciśniętymi ustami śledziła poczynania załogi: rozpoczęto przygotowania do ataku ogniowego, w nozdrzach poczuła obcy zapach, gryzący i oleisty, od którego zapało jej dech w piersiach.

Okręty natarły na siebie i z mosiężnych rur wystrzeliły słupy ognia. W chaosie wywrzaskiwanych rozkazów galera przechyliła się na bok. Żagle zamieniły się w płonące sztandary czerwieni i złota, pod kolor nieba. Ludzie płonęli jak żywe pochodnie i wskakiwali do morza, które także stało w bizantyjskim ogniu, rozpostartym na wodzie niczym zachód słońca.

Gdy przeciwnicy przystąpili do abordażu, załoga natarła na nich z mieczami, pałkami i toporami. Saldebreuil zanurkował ręką do buta i, chwyciwszy nóż, zręcznym ruchem wbił go strażnikowi w udo. Mężczyzna krzyknął i upadł, a Saldebreuil pociągnął go w dół, wyjął nóż i dokończył dzieła, następnie jego toporem przeciął łańcuch i stanął przed Alienor, żeby ją obronić, co koniec końców okazało się zbyteczne. Walka Greków z Sycylijczykami była brutalna i krwawa, ale szybko dobiegła końca.

Alienor ponownie zmieniła statek, kiedy resztki bizantyjskiej floty zostały zatopione lub przeszły w ręce Sycylijczyków. Lśniła jedynie czerwona smuga na horyzoncie i rozliczne ogniska na wodzie, jak gwiazdy, które spadły, oświetlając ciała oraz szczątki statków.

Sycylijski kapitan, śniady, przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, z szacunkiem odprowadził Alienor ze switą pod dach na rufie statku.

– Tropiliśmy te wilki od kilku dni, pani – oznajmił. – Szukaliśmy waszej floty.

– Szkoda, że nie znaleźliście nas kilka godzin wcześniej – odpowiedziała Alienor. – Ale dziękuję, tak czy inaczej. – Zobaczyła, że spogląda wyczekująco na jej kufry, przenoszone z greckiego statku. – Naturalnie otrzymacie nagrodę. – Postanowiła coś im podarować, nie czekać, aż zaczną przetrząsać jej rzeczy, dobrze też nawiązać z nimi poprawne stosunki. Niemniej jednak raz jeszcze miała do czynienia z piratami i znowu poczuła się jak w potrzasku.

Kapitan skłonił się nisko.

– Pani, starczy, że służę królowej Francji, ale dziękuję za twą hojność.

Alienor uniosła brwi. Nic nie wspomniała o hojności.

Otoczyły ich nieprzeniknione ciemności, a narastający wiatr miotał okrętem na boki. Usłyszała, jak marynarze pokrzykują do siebie, zabezpieczając statek, i stłumiła śmiech. Po wszystkim, co ją spotkało, śmierć podczas sztormu zakrawałaby na ironię losu.

W późnowiosenny pogodny dzień Ludwik stał na cyplu i spoglądał w morze. Sycylijskie słońce grzało mu plecy, a wiatr niósł aromat tymianku i soli.

– Nawet nie wiem, czy żyje – powiedział do Teodoryka Galerana. – Nie ma żadnych wieści, a minęło wiele tygodni. Gdyby została porwana przez Greków, wiedziałbym już o tym. Nie omieszkaliby mnie z satysfakcją poinformować. – Przygryzł kciuk, całkiem już zmaltretowany.

– A zatem tak się nie stało, panie – stwierdził Galeran.

Ludwik się skrzywił.

– Śniło mi się zeszłej nocy, że przyszła do mnie jako topielica, cała w wodorostach, i oskarżyła, że ją zamordowałem.

Teodoryk ściągnął wargi.

– To był tylko koszmar, panie. Pomódl się do Boga o wsparcie i spokój ducha.

– Powinienem był po nią zawrócić, gdy Grecy zaatakowali.

– Czy ona uczyniłaby to samo na twoim miejscu? – zapytał Teodoryk.

– Nie o to chodzi – zachnął się Ludwik. – Nie wiemy, co ją spotkało. Gdyby ów sen był znakiem i faktycznie utonęła, mógłbym ożenić się po raz drugi zaraz po powrocie do Francji i rządzić Akwitanią w imieniu naszej córki. Skąd mam wiedzieć, czego się spodziewać? Jak długo czekać?

Templariusz położył mu rękę na ramieniu w geście pełnym współczucia, a zarazem władczym i poufałym.

– Poczyń przygotowania do wyjazdu, a jeśli królowa do tego czasu nie wróci, uznasz ją za straconą.

Ludwik zacisnął usta. Wprawdzie czasem jej nienawidził, ale dawne uczucia dawały o sobie znać i burzyły jego spokój. Musiał się od nich odciąć, ale nie potrafił się na to zdobyć. Gdyby się okazało, że zginęła na morzu, dźwigałby brzemień winy aż do grobu, bez względu na zapewnienia Teodoryka.

Alienor otworzyła oczy w komnacie wśród nasyconych, subtelných barw. Pod sobą czuła twarde, sprężyste łożo. Żadnego kołysania, żadnego pluskania wody o kadłub, łopotu żagli ani skrzypienia wiosł. Zamiast tego otaczał ją śpiew

ptaków, przyciszone głosy służby i święty spokój. Na wprost łóżka widniało ścienne malowidło przedstawiające nakrapiane lamparty z pełnymi wyższości minami, pośród daktylowców i drzewek pomarańczowych.

Stopniowo przypominała sobie, że jest bezpieczna w sycylijskim porcie Palermo, dokąd w końcu zawinęli poprzedniego wieczora. Zła pogoda zniosła galerę z kursu. Przetrwali dwa sztormy, które rzuciły ich daleko na południe i, naprawiwszy szkody na Malcie, popłynęli na Sycylię. Po drodze sponiewierała ich kolejna burza i znów wdali się w utarczkę z Grekami. Kiedy statek rzucił kotwicę w Palermo, Alienor przebywała na morzu od miesiąca.

Szept służących zabrzmiał głośniejsz. Drzwi się otworzyły i Marchisa weszła na palcach z tacą z chlebem, miodem i winem. Alienor nie była głodna. Ba, czuła się podle. Przez cały rejs trwała w zawieszeniu, ograniczając się do wykonywania najprostszych czynności i zaspokajania podstawowych potrzeb. Teraz znowu musiała przejść inicjatywę, co kosztowało ją sporo wysiłku.

Zmusiła się, aby coś zjeść i wypić, po czym włożyła luźną szatę z jedwabiu, którą jej przyniesiono. Palermo podlegało zwierzchnictwu Rogera z Sycylii, jednego z najpotężniejszych monarchów świata chrześcijańskiego. Podczas nieobecności Rogera powitał ją jego syn Wilhelm, przystojny, ciemnooki osiemnastolatek, który chętnie oprowadził ją po ogrodach i pałacach.

W ogrodach unosiła się intensywna woń kwitnących wszędzie róż w odcieniu głębokiej czerwieni. Pawie zamiatały ścieżki opalizującymi ogonami, z cekinami morskich barw na wypiętej piersi. Wśród kwiatów błyskały motyle, ciemne i miękkie niczym fioletowe cienie.

– Powiem naszym ogrodnikom, aby przyszykowali dla ciebie krzew różany, który będziesz mogła zabrać do domu – zaproponował uprzejmie Wilhelm. – Podobają ci się tamte z kremowymi prążkami?

Alienor uśmiechnęła się z wysiłkiem. Podziwiała piękne otoczenie, lecz myślami błądziła daleko, a wszystkie cuda przesłaniała mgła.

– Jesteś, panie, bardzo uprzejmy – odrzekła. – Będą się pięknie prezentować w ogrodzie w Poitiers.

Przy furtce czekał na nich służący, ukląkł na ich widok.

– Panie, nadeszły wieści od twojego ojca, smutne wieści. – Zerknął przelotnie na Alienor i podał księciu zwój.

Wilhelm złamał pieczęć, odczytał treść i spojrzał na królową.

– Lepiej spocznij, pani – rzekł, wskazując na rzeźbioną ławkę pod ścianą.

Utkwiła w nim wzrok. „Boże jedyny, Ludwik nie żyje”, pomyślała. Usiadła. Róże wisiały nad ławką, ciężkie i czerwone, wciągała w płuca ich zapach.

Na gładkie czoło Wilhelma padł cień.

– Pani – zaczął ostrożnie. – Z żalem donoszę, iż Rajmund, król Antiochii, zginął w bitwie z Saracenami.

Nie odrywała od niego wzroku. Woń róż przybrała na sile i powietrze tak zgęstniało, że ledwo oddychała, z trudem łykając hausty zawiesistej mazi o konsystencji melasy.

– Pani? – Poczula jego dłoń na ramieniu, lecz marna to była pociecha.

– Jak zginął? – zapytała zduszonym głosem.

– W honorowej walce, pani. Jego ludzie rozbili obozowisko, zostali otoczeni przez Saracenów i zaatakowani. Twój stryj mógł uciec i ratować własne życie, ale został z żołnierzami.

Alienor przełknęła ślinę. W gardle wezbrała jej żółć. Stryj znał się na wojaczce, tutaj chodziło o coś więcej: albo został zdradzony przez rzekomych sojuszników – co było na porządku dziennym – albo sprzykrzyło mu się życie rannego lwa, osaczonego ze wszystkich stron. Lepsza szybka śmierć niż stan zawieszenia w coraz ciaśniejszym potrzasku. Ostatnia myśl sprawiła jej taki ból, że zgięła się wpół.

Zaniepokojony ksiązę wezwał dwórki, ale kiedy przybiegły, Alienor odpędziła je ruchem ręki.

– Nigdy mu nie wybaczę – powiedziała z zaciekłością do Marchisy. – Dopóki żyję.

– Komu, pani?

– Ludwikowi – odrzekła Alienor. – Gdyby zgodził się wyruszyć na Aleppo i pomóc mojemu stryjowi, tak jak powinien, nigdy by do tego nie doszło. On i jego doradcy ponoszą winę za to... morderstwo. Nie znajduję innego określenia.

Alienor odpoczęła w Palermo trzy tygodnie, po czym wyruszyła etapami do Potenzy, gdzie czekał na nią mąż. Nie miała ochoty go widzieć ani z nim rozmawiać, lecz musieli wspólnie wystąpić o unieważnienie, toteż nie miała wyboru. Czowała się przez to wręcz chora, a kiedy Ludwik ją objął i wyraził radość ze spotkania, omal nie odepchnęła go przy ludziach.

– Cała moja nadzieja w tym, że pojedziemy razem do Rzymu i dostaniemy unieważnienie – oznajmiła przez zaciśnięte zęby. – Nie będziesz więcej mnie do niczego zmuszał.

Zrobił cierpiętniczą minę.

– Tak się o ciebie zamartwiałem, że prawie oka nie zmrużyłem.

Z powątpiewaniem uniosła brwi. Nie wątpiła w jego słowa, przypisywałyby jednak tę bezsenność powodom innym aniżeli troska o jej bezpieczeństwo. Pewnie bał się o siebie... Stojący obok niego Teodoryk Galeran starał się nie krzywić, ale bez powodzenia.

– Oczywiście wysłuchamy, co papież ma do powiedzenia – oznajmił Ludwik. – Niech rozsądzi nas święte prawo boskie. – Ujął żonę pod ramię

i zaprowadził do sofy, po czym rozkazał służącemu nalać wina do kielicha z górskiego kryształu.

Teodoryk podążał za nim jak cień.

– Wiadomość o śmierci księcia Antiochii wstrząsnęła nami – przemówił układnym, lodowatym głosem. – Ponoć walczył mężnie, choć swoim brakiem rozważi sam skazał się na straszny los.

Alienor czuła, jakby wbijał jej nóż w serce. Czuła nienawiść bijącą spod jego układnej powierzchowności, lecz nie pozostała mu dłużna.

– Gdybyśmy dotrzyмали słowa i udzielili mu pomocy, nie znalazłby się w takim położeniu – odparła. – Ty jesteś za to odpowiedzialny.

– Ja? Ależ, jasnie pani. – Teodoryk skłonił się z wyniosłym uśmiechem. – Wszak nie kazałem mu rozbijać obozu na pustyni, była to nader chybiona decyzja.

– Podobnie jak wasza o ataku na Damaszek. Gdybyście uderzyli na Aleppo, mój stryj byłby teraz cały i zdrowy.

– Alienor, nie znasz się na rzemiośle wojennym – wtrącił Ludwik ostrzegawczym tonem.

– A ty jesteś znawcą? Twoja wojaczka to jedno wielkie pasmo klęsk, bo dajesz wodzić się za nos swoim tak zwanym doradcom. Nie trzeba być mężczyzną, by znać się na strategii. Nie zostawiliście mojemu stryjowi wyboru. Macie na rękach jego krew.

Ludwik poczerwieniał. Teodoryk cofnął się, jakby zmija go ukąsiła.

– Za pozwoleniem – odrzekł. – Twój stryj miał wybór, lecz podjął niewłaściwą decyzję i zapłacił za to głową. Podobno Nur ad-Din strącił mu ją z karku, po czym rozkazał zabalsamować i posłać w darze kalifowi Bagdadu.

Alienor zerwała się na równe nogi i chlusnęła mu winem w twarz.

– Nikczemniku! Zejdź mi z oczu! Nie mogę na ciebie patrzeć! Jak śmiesz!

Teodoryk utkwiał w niej wzrok, który ciskał gromy.

– Wybacz, pani. Sądziłem, że znasz wszystkie okoliczności.

– Mogłeś zatem je przemilczeć.

– Zostaw nas, Teodoryku – poprosił Ludwik. – Wytrzymaj się.

Galeran zacisnął usta, złożył ukłon Ludwikowi i posławszy Alienor wrogie spojrzenie, wyszedł z komnaty, zamiatając posadzkę długim płaszczem.

– Na co ci on? – Alienor dygotała. – Zatrzuwa wszystko, czego się dotknie. Sący ci jad do ucha, spał w twoim namiocie i twoim łóżu, a mnie odsunął.

– Troszczy się o moje dobro – odpowiedział Ludwik niemal bezbarwnym głosem.

– Istotnie – przyznała z goryczą. – A przez to umniejsza cię jako króla i jako męża. Za jego podszeptem ruszyłeś na Damaszek, a inni słono za to zapłacili. Ty straciłeś tylko resztki autorytetu. Mój stryj przetrwa w ludzkiej pamięci jako bohater, a ty jako nieudacznik pod pantoflem samozwańców doradców, którzy

mają cię za nic. I nigdy nie wybaczę ci decyzji, które doprowadziły do jego zguby. Nigdy, póki mi życia starczy.

– Dość tego, pani. – Ludwik zeszywniał. – Dziwisz się, czemu cię odsunąłem... Przyjrzyj się swemu zachowaniu. Sądziłem, że po tym wszystkim, co przeżyliśmy w drodze, zastanę cię w pojednawczym nastroju, widzę jednak, że byłem w błędzie.

– Dlaczego tak sądziłeś? – Nagle poczuła się bardzo zmęczona, znużyła ją daremność tej rozmowy. – Wszak żadne z nas się nie zmieniło. Nie mam ochoty kontynuować tej rozmowy. Pomodłę się za duszę stryja, oby zaznała spokoju. Ja nie zaznam.

Zostawiła go pośrodku komnaty, na przemian zaciskał i rozluźniał pięści. Teodoryk już czekał za progiem. Wytarł twarz, ale nadal miał mokre włosy i roztaczał wokół siebie zapach wina. Bała się go, a zarazem nienawidziła.

– Nie zasługujesz na litość po tym, co uczyniłeś – powiedziała drżącym głosem. – Bóg widzi wszystko, zostaniesz osądzony.

Skłonił się z kpina.

– Jak my wszyscy. Nie obawiam się Jego wyroku, gdyż moim celem było chronić mego króla i służyć Bogu.

– Nikczemny z ciebie człowiek – odparła.

Posłał jej spojrzenie pełne jadu.

– Możesz wierzyć, w co chcesz, pani. Ja wiem, co Bóg mówi o Wężu i dziwce Babilonu. Król słucha mnie i nikogo innego. A ty, jaką masz władzę? – Wszedł do komnaty i zamknął za sobą drzwi.

Alienor zacisnęła pięści. Trzęsła się z gniewu, wstydu i rozpacz. Źle się stało, że usłyszała o stryju z ust templariusza, nigdy nie uwolni się od tego wspomnienia. Nie powinna tak stać, kiedy oni tam rozmawiają. Lecz skoro Teodoryk nie zasługuje na litość, on i Ludwik na pewno zasługują na siebie nawzajem – a ona na coś lepszego.

Pałac papieski w Tusculum, sierpień 1149

Papież Eugeniusz wychylił się w fotelu, splótł blade dłonie i utkwił w niej baczne spojrzenie. Był drobnym mężczyzną, a imponująca szata jeszcze bardziej go przytłaczała.

– Jestem gotowa wysłuchać twojego wyroku, wasza miłość – powiedziała Alienor. Nadeszło długo wyczekiwane zwieńczenie podróży. Ludwik zgodził się na unieważnienie i wcześniej tego ranka rozmawiał z papieżem. Był zdecydowany. Od rozwiązania tego niemożliwego małżeństwa dzieliło ją tylko kilka słów papieża wraz z potwierdzeniem na piśmie.

Eugeniusz potarł kciukiem lśniący szafir swego pierścienia.

– Jak powiedziałem już twojemu mężowi, to sprawa boska, a nie ludzka, a Bóg zabrania rozdzielania tych, których sam złączył, wyjąwszy bardzo poważne i złożone sytuacje, a z takową nie mamy tu do czynienia.

Miał zwyczaj przeciągania wyrazów, toteż z trudem pojmowała, co do niej mówi, domyśliła się jednak, że sprawa przyjmuje inny obrót od spodziewanego.

– Wszak w obliczu prawa kanonicznego jesteśmy spokrewnieni w czwartym lub piątym stopniu. Mamy wspólnych przodków.

– Prawa rzecz jasna trzeba dochować, lecz czasem używa się go jako wymówki bez uzasadnionych podstaw. – Mówił cienkim, chropawym głosem starca, lecz moc biła z jego słów, gdyż święcie wierzył w swoje przesłanie. – Ufam, że zawierzysz Bogu, wszak nie chcesz narażać się na Jego dezaprobatę. Bądź uległa i poddaj się Jego woli. To samo poradziłem twojemu mężowi. – Wycelował ostrzegawczym palcem w sufit. – Poruszyła mnie wieść, że on także domagał się unieważnienia, a nie jest to zachowanie, jakiego oczekiwałbym od prawdziwego syna Kościoła. Zbyt wielu ludzi szuka unieważnienia, choć winni szanować swoje małżeństwo. Poprosiłem go o ponowne rozważenie sprawy, a on wyraził zgodę.

Alienor spoglądała na niego z rosnącą urazą.

Eugeniusz wycelował w nią palcem.

– Nie tobie podważać boski cel. Mówię jedynie, co Pan mi nakazuje. Z całego serca namawiam cię, byś na powrót złączyła się z mężem, a z waszego związku narodzi się następca tronu. – Zmarszczył brwi z konsternacją. – Jesteś jeszcze młodą kobietą i nie musisz posuwać się do takich podstępów. Proś Boga o litość, żeś zbłądziła myślą. – Na jego ustach wykwitł smutny, acz prawie serdeczny uśmiech. – Przybyłaś we właściwe miejsce, ażeby to naprawić. Wystarczy nieco determinacji, a wszystko się ułoży.

Alienor była wstrząśnięta i zdezorientowana, ale słuchała papieża z kamiennym wyrazem twarzy. Z oczu Eugeniusza wycierała troska i współczucie, a także rodzaj przygany, jakby upominał dziecko, które zbłądziło. Nie ulegało wątpliwości, że papież nie ma zamiaru przystać na unieważnienie i ma wobec nich zgoła inne plany.

– Córko, powinnaś przystąpić do świętej spowiedzi i rozważyć moje słowa, z podobną prośbą zwróciłem się do twego męża. Niech dzisiejszy dzień będzie odnowieniem waszej ślubnej przysięgi, a nie zakończeniem. – Wyciągnął rękę, by ucałowała pierścień. – Nie chcę więcej słyszeć tych bredni. Idź, przygotuj się na zaślubiny, a zostaniesz obdarzona synem.

Nie pozostawało jej nic innego, jak posłuchać i wyjść. Nie mogła uwierzyć, że rozmowa z Eugeniuszem przybrała taki finał. Klamka zapadła. Była mocniej niż kiedykolwiek związana z Ludwikiem.

Wieczorem ruszyła boso, w samej koszuli i płaszczu, korytarzem pałacu papieskiego z Tusculum, z prawą ręką wspartą lekko na lewym nadgarstku Ludwika. On był bosi i odziany podobnie jak ona, oboje mieli na głowach złote korony, wiezione w bagażu od początku krucjaty. Włosy Alienor spływały falującą kaskadą do bioder. Kiedy szła, roztaczała wokół siebie woń róż i kadzidła. Ludwik także był czysty i wypachniony. Przed i za nimi chór świec-kich kanoników śpiewał pieśni, a dworzanie sypali płatki różane z pałacowych ogrodów.

Wreszcie dotarli do lśniących dębowych drzwi zdobionych ślimacznikami i okuciami. Odźwierny zastukał w nie ceremonialnie hebanową laską, a gdy kazano im wejść, obrócił gałkę i wprowadził ich do wspaniałej sypialni pełnej kolorów i światła. Wnętrze przypominało Alienor trochę witrażowy przepych Saint-Denis, gdzie też wchodziło się jak do relikwiarza. Budziło nabożny lęk i Alienor poczuła, jak ogarnia ją niepewność i trwoga.

Papież Eugeniusz czekał na nich przy łóżku, jakby celebrował mszę przy ołtarzu. Jego niepozorna postać tonęła pod białą szatą lśniącą od złotych i srebrnych haftów. W prawej ręce trzymał laskę zwieńczoną złotym krzyżem gęsto wysadzany drogimi kamieniami. Biskup stał obok z wodą święconą w srebrnym naczyniu, a drugi trzymał w gotowości olej. Zapach kadzidła przenikał wszystko, szczególnie łoże utrzymane w odcieniach bieli i złota, pod kolor szat papieskich. W każdej wnęce płonęły lampy i świece, wydzielając słodkie aromaty wosku oraz olejków zapachowych, a żar od nich bił na całą komnatę. Krople potu lśniły na pooranym zmarszczkami czole Eugeniusza jak paciorki górskiego kryształu.

– Dzieci moje – odezwał się i rozłożył ręce na powitanie. Z jego roziskrzonych oczu wycierała dobroduszość. – Oto nadeszła chwila odnowy, nadziei i owocnych dążeń pod znakiem boskiej aprobaty. Pobłogosławiłem to łoże,

w którym spoczniecie dziś jako małżonkowie, a teraz was pobłogosławię, byście zostali obdarzeni dziedzicem Francji.

Kazał im uklęknąć i Alienor poczuła, jak drżącym kciukiem namaszcza jej czoło, mamrocząc słowa błogosławieństwa.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, niech się stanie – powiedział.

Duchowni opuścili gęsiego sypialnię ze śpiewem na ustach, wymachując kadzielnicami, z których uniosły się kłęby wonnego dymu.

Alienor i Ludwik stanęli naprzeciw siebie, dwoje nieznanym jak w czasie pierwszej nocy poślubnej, z całą świadomością lat minionych niczym zatruty kielich z mieszanką udręczenia, bólu i zdrady. Eugeniusz chciał, by zaczęli od nowa, lecz Alienor wiedziała, że ludzi się na próżno i każe jej brnąć w ślepy zaułek. Pierwsza noc poślubna stanowiła wstęp do nieudanego małżeństwa. Czy teraz będzie lepiej? Świadomość, czego się spodziewać, jedynie pogarszała sprawę.

Ludwik przytulił ją i ucałował krzyżyk z oleju na jej czole.

– Jeśli taka jest wola Boga, naszym obowiązkiem jest ją wypełnić – oznajmił posępnie. – Papież ma rację. Musimy odłożyć na bok osobiste pragnienia i być królem oraz królową.

Gdy kładła się na wielkim, pobłogosławionym łożu z bezcennymi draperiami i uperfumowaną pościelą jeszcze wilgotną od święconej wody, czuła, jakby prócz serca pękało jej całe ciało. Jak do tego doszło, skoro jeszcze rano spodziewała się unieważnienia? Nie zareagowała na słowa Ludwika, co tylko go podnieciło, gdyż bierna żona to posłuszna żona, wszystko zaś wskazywało na to, że zastosowała się do rady papieża i zdała na wolę Najwyższego.

Ludwik sumiennie odegrał swoją rolę, a ponieważ nic tak nie sankcjonuje małżeńskiego łoża, jak osobisty nadzór papieża, bez trudu sprostął zadaniu na miarę otoczenia i podniosłej chwili. Potem leżał z rękami pod głową i patrzył na draperie, a na ustach błędził mu lekki uśmiech.

– Jeszcze dostaniemy naszego następcę – oznajmił. – I wszystko się zmieni, zobaczysz.

Miała co do tego wątpliwości. Nawet jeśli owocem ich zbliżenia będzie syn, ci sami ludzie stworzą te same problemy i umniejszą jej władzę. Nie sądziła, by Ludwik na stałe zagościł w jej sypialni. Może na krótko, póki papieskie apele nie wywietrzą mu z głowy, ale za dobrze go znała. Kiedy minie urok nowości, dawne przyzwyczajenia wezmą górę.

Nade wszystko pragnęła wolności, tymczasem skuto ją kolejnymi łańcuchami.

Paryż, grudzień 1149

Alienor nie pamiętała równie srogiej zimy. Pod koniec listopada chwycił mróz, a dwa tygodnie później spadł śnieg. Wprawdzie najkrótszy dzień mieli już za sobą, lecz odwilż wciąż nie dawała o sobie znać, a świt budził się późno, w przeciwieństwie do zmroku. Ludzie cierpieli niedostatek. W miarę kurczenia się zapasów żywności i wzrostu cen przykościelna kolejka po jałmużnę coraz bardziej się wydłużała. Biedacy głodowali – i zamarzali, podobnie jak Sekwana, na której ustał wszelki handel. Towar przewożono na saniach i ludzie musieli topić lód, by pozyskać wodę do gotowania. Cena opału tak wzrosła, że ogniska były niemal na wagę złota.

Alienor wspierała potrzebujących i odwiedzała chorych, podobnie jak Ludwik. Trapił ją ich los, lecz taki był im pisany, ona też nie miała wpływu na swój, więc tylko pomagała w miarę swoich możliwości.

Pewnego zimowego wieczora spacerowała z Petronelą po skutych lodem pałacowych ogrodach skąpanych w blasku księżycowej poświaty. Miała na sobie ciężki płaszcz podbity gronostajem, a na nogach trzewiki ocieplone grubym filcem. Petronela niosła rozgrzany kamień zawinięty w kozuch. Ostentacyjny rubin na jej serdecznym palcu przypominał światu, że oficjalnie została żoną Raula z Vermandois. Śmierć jego pierwszej żony usunęła przeszkodę do zawarcia małżeństwa i zostali z powrotem przyjęci na łono Kościoła.

Dzieci harcowały dokoła sióstr, przekomarzały się i rzucały śnieżkami, ich głosiki były ostre jak kryształ w nieruchomym powietrzu schyłku dnia. Czteroletnia córka Alienor pasowała do otoczenia z kaskadą płowych włosów i oczami jak niezapominajki. Była wiotkim dzieckiem, lecz jej kruche ciało skrywało wulkan energii i werwę, którą nie ustępowała kroku kuzynom. Alienor zostawiała ją dzieckiem w kolebce, a po powrocie zastała ruchliwą, wygadaną dziewczynkę. Ale w miejscu macierzyńskich uczuć ziała pustka. Nie czuła więzi z córką, rozłąka była zbyt długa, doskwierało jej tylko uczucie nieokreślonego żalu. Znów była przy nadziei, nosiła pod sercem owoc pobytu w Tusculum w drodze powrotnej. Od niego również się odcinała, sama myśl sprawiała jej ból.

– Będiesz musiała wkrótce powiedzieć Ludwikowi – stwierdziła Petronela, kiedy stanęły przy zaśnieżonej ławce i wyrzały na uśpione klomby. Róże przywiezione z ogrodu w Palermo miały zakwitnąć dopiero w lecie. – Widziałam, jak patrzył dzisiaj na ciebie, kiedy odmówiłaś pstrąga z migdałami.

– A wtedy zamknie mnie pod kluczem – odrzekła Alienor z goryczą. –

Na wieść o ciąży nie pozwoli mi opuszczać komnaty i naśle na mnie kapłanów i lekarzy. Będę pod ciągłą obserwacją. Już teraz jest nie do wytrzymania, co będzie, kiedy się dowie? Myślisz, że pozwoliłby mi spacerować z tobą po ogrodzie? Stwierdziłby, że wieczorne powietrze zaszkodzi dziecku i muszę bardziej uważać. Oskarżyłby mnie o zaniedbanie.

– I tak się dowie – zaznaczyła Petronela. – Choć jest mężczyzną, potrafi liczyć. Zawsze mi radziłaś, abym brała pod uwagę względy praktyczne.

Alienor się skrzywiła.

– Jeszcze nie teraz. Chcę mieć jeszcze kilka dni wolności.

Petronela zmrużyła oczy.

– Dużo przede mną ukrywasz. Kiedy cię nie było, Raul przeglądał korespondencję opata Sugera. W Antiochii zabiegałaś o unieważnienie, tak samo w Rzymie. Raul uważa, że Ludwik byłby największym głupcem w świecie chrześcijańskim, gdyby się zgodził: straciłby wówczas ciebie i Akwitanię.

– Nie oponował jednak – ucięła Alienor. – Tylko papież odmówił unieważnienia, stary, sentymentalny głupiec. Kazał nam dzielić łóżce i obiecał Ludwikowi dziedzicę. – Przycisnęła rękę do brzucha i wydmuchała obłoczek pary.

– A gdyby się zgodził? – spytała Petronela. – Co byś zrobiła? Nie myśl, że byłabyś wolna: sama, bez męskiego potomka, jeszcze młoda. Ktoś zechciałby cię wykorzystać. Raul uważa, że jesteś tak samo niemądra jak Ludwik.

– Zdaje się, że Raul ma wiele do powiedzenia, a ty traktujesz go jak wyrocznię – odcięła się Alienor. – Raul nic nie wie o mojej sytuacji. Nie zdradzam przed nim swoich planów i mam ku temu dobre powody.

W oczach Petroneli błysnął gniew.

– Zawsze był lojalny wobec Ludwika.

– O tak, na pewno dwoił się i troił. I jakim prawem ktoś taki zarzuca mi nieroztropność? Zresztą, wystarczy. Nie chcę się z tobą kłócić.

Dzieci dokazywały w śniegu. Nagle mała Maria poślizgnęła się na lodzie i upadła. Zadrżała jej dolna warga, a po chwili wybuchnęła płaczem. Kuzynka Izabela pomogła jej wstać i Maria pobiegła się wyplakać do Petroneli.

– Ciii, maleńka, już wszystko w porządku – uspokoiła ją Petronela, po czym przyklękła i pogłaskała dziewczynkę po policzku dłonią nagrzaną kamieniem. – Nic takiego się nie stało, prawda? Nie ma powodu do rozpaczki. – Przytuliła małą i pocałowała.

Alienor patrzyła na to bezsilnie i serce jej łkało.

– Chodźmy – rzuciła, kierując się w stronę bramy. – Jest coraz zimniej, musimy się ogrzać.

Tydzień później, gdy mróz nadal doprowadzał ludzi do kresu wytrzymałości,

Ludwik siedział późnym popołudniem w swojej komnacie w Wielkiej Wieży. Było już po kolacji, zapalono świece i wszyscy odpoczywali. Ludwik dla odmiany nie odmawiał pacierzy, lecz rozmawiał z dworzanami. Również dla odmiany nie towarzyszył mu nieodłączny Teodoryk Galeran, którego pilne sprawy wezwały do jego posiadłości w Montlhéry, co przyczyniło się do rozluźnienia atmosfery.

Dzieci grały w kości przy palenisku i wokół niosły się ich przenikliwe okrzyki. Niedługo miały iść spać, piastunki już czuwały w pobliżu. W wyniku nadgorliwości syna i imiennika Raula kości odbiły się od blatu i potoczyły pod stół, przy którym rozmawiali dorośli. Mała Maria ruszyła za nimi na czworaka i pisnęła, gdy pies, wzięwszy to za zachętę, polizał ją po twarzy.

Raul przywołał psa i zajrzał pod stół.

– Co ty tam robisz, malutka?

– Znalazłam kości, panie – wyseplenila i pokazała mu zdobycz na rozwartej dłoni.

– Zatem nie szpiegowałaś? – zapytał Raul z udawaną powagą. Wśród dorosłych zapadło niezręczne milczenie.

– A co to znaczy?

– Podśłuchiwać ludzi, kiedy nie wiedzą, że ktoś ich słucha, a później powtarzać to innym, którzy przy odrobinie szczęścia zapłacą za informacje.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– To plotkowanie.

Raulowi zatrzęsły się ramiona od tłumionego śmiechu.

– Na to wygląda. Pamiętaj tylko, że wiedzy ci nie zabiorą. – Uśmiechnął się przelotnie do Alienor, po czym wstał i poszedł zaprezentować dzieciom jedną ze swoich sztuczek.

Ludwik potrząsnął głową i prychnął z rozbawieniem.

– Głupiec – powiedział.

– Który zna się na rzeczy. – Patrzyła, jak Raul pochylił się nad blatem i sprawił, że kostka znaleziona przez Marię zniknęła. Dziewczynka przywarła do jego nogi jak kotek, a on poklepał ją po głowie.

Alienor spojrzała na swoje kolana. Wiedziała, że nie ma wyjścia. Uśmiech Raula był zarazem ostrzeżeniem.

– Ludwiku – zaczęła. – Jestem przy nadziei. Ponownie zostaniesz ojcem.

Jego twarz stężała, po czym zagrały na niej emocje, jak krople deszczu burzą gładką taflę jeziora.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem. – Jest tak, jak mówisz?

Alienor kiwnęła głową i zacisnęła zęby. Chciało jej się płakać, ale nie z radości.

– Owszem – potwierdziła.

Ludwik ujął oburącz jej dłonie i pocałował ją w czoło.

– Wspaniała wiadomość! Papież postąpił słusznie i mądrze. Istotnie zaczniemy od nowa. Będę cię chronił i zapewnię ci najlepszą opiekę pod słońcem.
– Wypiął pierś. – Jutro poślę po najlepszych medyków. Tobie i naszemu dziecku niczego nie zabraknie. Dołożę wszelkich starań, by zapewnić wam bezpieczeństwo.

Alienor próbowała się uśmiechnąć, ale wiedziała, co się święci. Czuła, że się dusi.

Po długiej i srogiej zimie nastały upały; nieznośny skwar wczesnego lata 1150 roku wykrzywił framugi, tworząc pęknięcia w znękanym drewnie. Nawet w komnacie na szczycie Wielkiej Wieży, przy otwartych okiennicach i pod osłoną grubych, chłodnych murów z kamienia, powietrze miało konsystencję zupy. Dla Alienor, która właśnie rodziła, jedynym źródłem wytchnienia od upału były kolejne warstwy potu schnące na jej ciele.

Akuszerki zapewniały, że wszystko przebiega jak należy, lecz kolejne godziny mijały w bólu i mękach przypisanych córkom Ewy. Nie mogła wyrzucić z pamięci narodzin martwego synka w drodze z Antiochii, i cała jej zgroza, cierpienie i rozpacz odżyły na nowo, kiedy próbowała wyprzeć dziecko z łona i uwolnić się od tego brzemienia.

Ostatni wysiłek i przyszło na świat, różowe, mokre i żywe, z płucami, które rozdarły nieruchome powietrze w komnacie niczym fanfara. Ale wszyscy zgromadzeni zamilkli i wyczekiwanie na ich twarzach ustąpiło miejsca pustce i ukradkowym spojrzeń.

Petronela nachyliła się nad łóżkiem i ścisnęła dłoń siostry.

– To dziewczynka – oznajmiła. – Urodziłaś drugą piękną córkę.

Jej słowa nic dla Alienor nie znaczyły, jakby odcięła się od uczuć wraz z pępowiną. W Tusculum nie miała innego wyboru, jak oddać się Ludwikowi: to dziecko było owocem paktu między nim a papieżem. Ona odegrała tylko rolę naczynia. Narodziny córki nie wyrwały jej z odrętwienia; musiała się z tym pogodzić, nic innego jej nie pozostało. Zwróciła głowę do okna, ku lekkim podmuchom wiatru.

– Następny będzie chłopiec – pocieszyła Petronela. – Nasza matka miała dwie córki i syna, ja tak samo.

Alienor spojrzała na siostrę.

– Nieważne – odpowiedziała. – Niech się dzieje wola boska.

Petronela pogłaskała ją delikatnie po rozpuszczonych włosach. Następnie wstała i ustąpiła miejsca akuszerkom, bo znów pojawiły się skurcze i przyszła kolej na łożysko.

– Nie ma tego złego... – szepnęła. – Teraz możesz być wolna.

Ludwik nie mógł sobie znaleźć miejsca. Rzecz przeciągała się w nieskończoność, jak zawsze. Tym razem wiedział, że to syn. Papież dał mu słowo, a dziecko zostało poczęte w jego pałacu. Wszyscy zapewniali go, że będzie chłopiec. Zapewnił Alienor najlepszą opiekę, dbał o to, żeby włos nie spadł jej z głowy. Da mu na imię Filip i ochrzci przy ołtarzu Świętego Piotra w królewskiej kaplicy. Sporządził już nawet kilka dokumentów w imieniu syna z obietnicą darów dla opactw; pisał sam, własnoręcznie, bez pomocy skryby, z ozdobnym zawijaszem wokół imienia „Filip” i wspaniałym poczuciem spełnienia.

Był z nim abbé Suger. Najpierw razem się pomodlili, a obecnie zajmowali się sprawami królestwa. Mroźna zima odcisnęła swe piętno na opacie, pomarszczył się i wysechł, dokuczał mu też uporczywy suchy kaszel. Jednak mimo słabości ciała umysł wciąż miał bystry, gdy rozmawiali o uciążliwych sąsiadach.

– Korzystniej wynegocjować porozumienie z Gotfrydem z Anjou i jego synem, zamiast toczyć z nimi wojnę, panie – stwierdził opat. – Wsparcie Andegawenów bardzo mi pomogło, kiedy byłem regentem w czasie twojej długiej nieobecności.

– Uważasz, że powinienem nie zważać na ich zuchwałość? – Ludwik się wyprostował. – Trzeba im pokazać, gdzie ich miejsce.

– Twój brat zadarł z nimi, nim powróciłeś z pielgrzymki. Gotfryd z Anjou to potężny wasal. Uznałeś go za księcia Normandii, a teraz przeniósł tytuł na swego syna. Lepiej mieć ich po swojej stronie.

– Gotfryd z Anjou przeniósł tytuł bez mojego pozwolenia, a ten młokos to szczenię, które trzeba nauczyć moresu – warknął Ludwik. – Taki smarkacz nie będzie ze mną pogrywać.

– W rzeczy samej, panie. Powinieneś jednak myśleć o przyszłości. Wielu chętniej ujrzałoby go na angielskim tronie zamiast syna Stefana.

Ludwik wyduł nozdrza.

– Nie życzę sobie, aby któryś z Andegawenów włożył koronę. I tak dostali więcej, niż im się należało.

– Mimo to powinieneś zostawić sobie otwartą furtkę – ciągnął Suger stanowczo, choć z nutą rezygnacji. – I nie nadstawiaj karku w wojnie, póki kwestia twojego następcy nie zostanie rozstrzygnięta. Kraj wciąż podnosi się po trudach zimy i wiosny. Dopiero zazieleniły się pola. Niechaj to będzie czas spokoju oraz mądrych decyzji.

Ludwik dopiero teraz zauważył zapadnięte policzki i cienie pod oczami u swojego mentora. Suger od jakiegoś czasu był stary, Ludwik nigdy jednak nie uważał go za słabego śmiertelnika. Owszem, niejednokrotnie miał go dosyć, lecz oto nagle uświadomił sobie, że ktoś od zawsze obecny w jego życiu i często niedoceniany stoi nad grobem. Wspomniany czas spokoju mógł być pożegnaniem.

– Zastanowię się – obiecał z wymuszonym uśmiechem, choć to odkrycie nim wstrząsnęło.

– O nic innego nie proszę i polegam na twoim rozsądku. – Suger rzucił Ludwikowi chytre spojrzenie. – Jesteś wszak rozsądny, panie, choć twój upór i skłonność do ulegania głupim podszeptom biorą czasami górę nad pomyślunkiem.

„Taki słaby, ale dociać potrafi”, pomyślał Ludwik i na chwilę zapomniał o niepokoju.

Zapukano do drzwi, że przybyły kobiety od królowej.

Ludwik wypiął pierś i kazał je wprowadzić. Zaraz ujrzy syna.

Podeszła do niego położna z zawiniątkiem na rękach. Wzrok miała spuszczonej, jej twarz niczego nie wyrażała.

– Panie – rzekła, po czym uklękła przed nim i rozwinęła kocyk, aby pokazać mu nagiego noworodka. Ludwik spojrzał na maleństwo, które zaczęło się wiercić i zakwiliło, zaniepokojone nagłym chłodem. Ludwik oniemiał, bo była to dziewczynka. Z niedowierzaniem potoczył wzrokiem dookoła. Lecz oczy go nie myliły. Zacisnął zęby.

– Dosyć się napatrzyłem – oznajmił, machając ręką. – Zabierzcie dziecko.

Akuszerka delikatnie zawinęła maleństwo w kocyk i opuściła komnatę wraz ze świtą. Ludwik spojrzał na swoje rozdygotane ręce. W głowie miał pustkę, nie mógł zebrać myśli, jakby pleć dziecka zachwiała jego jestestwem. Czuł, że zapada się od środka.

– Cierpliwości – poprosił Suger. – Przynajmniej dowiodła, że jest płodna.

Ludwik chodził jak lunatyk, dotykając bezwiednie różnych przedmiotów. Stał przy sporządzonych wcześniej dokumentach i imię „Filip” oparzyło go jak pręt rozżarzony do czerwoności.

– Jeszcze przed chwilą miałem syna – wybelkotał. – Teraz zniknął, wyparty przez dziewczynkę, a ja zostałem z niczym. – Chwycił pergamin i zmiął ze złością.

– Panie...

Rzucił Sugerowi spojrzenie pełne udręki i furii.

– Co poddani o mnie pomyślą? Co powiedzą? Że nie potrafię spłodzić z tą kobietą syna nawet z papieskim błogosławieństwem? – Pod powiekami zapiekły go łzy. – To jej wina. Znów mnie zawiodła. Jeśli Bóg nie może jej skłonić do powicia syna, ja tym bardziej. – Nienawiść do żony go zaślepiała, lecz niedowierzanie ponownie dało o sobie znać. Był przecież pewien, że to chłopiec. Kościół go przekonał, że postępuje właściwie. Ba, dostał nawet słowo samego papieża. Oni go do tego zmusili, zrobili z niego ofiarę. – Nie – zwrócił się do Sugera, unosząc rękę. – Nie próbuj mnie pocieszać, że wszystko się ułoży. Dawno powinienem był unieważnić to małżeństwo.

– Rozumiem twoje cierpienie, mój synu – oświadczył opat. – Nie wolno ci jednak negować woli Bożej. Masz zdrową córkę. To powód do radości, znajdziesz

dla niej dobrą partię. Jesteście młodzi, możecie jeszcze próbować.

Ludwik zadrzał.

– Nie z nią – powiedział. – Ostatni raz mnie zawiodła.

– Lecz jeśli unieważnisz małżeństwo, stracisz Akwitanie, co okaże się bardziej dotkliwe aniżeli strata żony. Nie działaj pochopnie, dobrze przemyśl sprawę. Weź pod uwagę, co znaczyłoby to dla Francji, nie tylko twojej osoby.

Ludwik przygryzł policzek od środka. Podjął decyzję, ale wiedział, że Suger nie da za wygraną z powodu bogactw Akwitani. Jemu już nie zależało. Nie mógł ścierpieć żony. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, zobaczył anioła i aż zadrzał z miłości do niej, ale wniosła w jego życie tylko skandal i hańbę. Przez nią czuł się winny i zbrukany, ona sama też musiała być nieczysta, skoro rodziła same dziewczynki. Zdaniem medyków, takie kobiety dominują nad mężczyznami i odbierają siłę ich nasieniu, a co za tym idzie, rodzą wyłącznie córki. Z drugiej strony można by powiedzieć, że nasienie męża jest zbyt słabe, lecz on wypierał podobną ewentualność. To była jej wina, nikogo innego, a on nie będzie dłużej znosił żony z taką skazą. Poszuka sobie odpowiedniej towarzyszk, która obdarzy go synem.

– Tak – zapewnił Sugera. – Rozważę wszystko starannie.

Stary kapłan kaszlnął i upił łyk wina.

– Musisz ochrzcić córkę – oznajmił. – Wybrałeś już imię?

Nie wybrał. Czekał przecież na syna. Na pewno nie da jej na imię Filipa, choć występowało w obu rodzinach.

– Zostawię to żonie – odparł. – Ona ją urodziła. Niech sama zdecyduje.

Opactwo Saint-Denis, luty 1151

Alienor przeżegnała się i wstała z klęczek, mgła jej oddechu zasnuła powietrze. W ponury lutowy ranek w kościele Saint-Denis panował przeraźliwy ziąb. Miecze światła przeszywały wysokie okna i ciężły promieniami płyty posadzki, nie dając ani odrobiny ciepła, w przeciwieństwie do migoczących rzędów świec wotywnych. Alienor zapaliła jedną i umieściła przy pozostałych.

Suger nie żył od kilku tygodni. W kościele, który doprowadził do takiej świetności, podczas pogrzebu rozdzwoniły się dzwony żałobne na cześć ukochanego opata. Umarł pełen strachu o swoją duszę – przekonany, że za dużo czasu poświęcił polityce i światu doczesnemu miast sprawom duchowym. Błagał Bernarda z Clairvaux o modlitwę przy jego łożu śmierci, lecz Bernard, sam słaby i wiekowy, nie mógł przyjechać, przysłał mu tylko płócienną chustkę, którą Suger ścisnął do ostatniej chwili, prosząc o msze i modlitwy za swoją duszę.

Alienor znała Sugera przez wszystkie lata, odkąd została królową Francji. Często wyprowadzał ją z równowagi. Z uporem dążył do swoich celów, lecz nigdy nie wyczuwała w nim złośliwości, co sprawiło, że urósł w jej oczach. Osobiste poglądy nigdy nie wpływały na jego decyzje. Ludwik szlochał jak dziecko po stracie swego nauczyciela i mentora, ale gdy łyzy obeschły, spojrzenie miał twarde jak skała.

Wróciła do zajazdu opactwa, gdzie zatrzymała się przed powrotem do Paryża. Musiała napisać do różnych wasali i prałatów. Śmierć Sugera oznaczała koniec i początek, lecz ten drugi był chwilowo zawieszony, póki nie przebrzmiał echa pierwszego. Zeszłej nocy śniło jej się Poitiers; ciepły, przesycony zapachem tymianku wietrzyk owiał jej powieki, potargał włosy i rozbudził tęsknotę.

Ludwik nie modlił się wraz z nią, wolał to uczynić na osobności, lecz teraz czekał, złoty krzyż na piersi odcinał się na tle prostych, ciemnych szat. Był blady i miał zapadnięte policzki, dreszcz przeszedł ją na ten widok. Natychmiast się odsunęła, byle jak najdalej od niego. Od czasu narodzin córki, której dała na imię Alicja, prawie ze sobą nie rozmawiali i rzadko spędzali razem czas. Alienor urodziła na początku czerwca, pod koniec lipca zakończyła odosobnienie. W dniu oczyszczenia oddała dziecko mamce i ponownie dostała miesięczne krwawienie na początku września. Ludwik nie odwiedzał jej sypialni, a ona go do tego nie zachęcała. Ich małżeństwo było ponure i smutne jak ten zimny lutowy poranek.

– Pragnę porozmawiać z tobą o unieważnieniu naszego małżeństwa – oznajmił z goryczą.

Alienor uniosła brwi.

– Co proponowałam ci wielokrotnie, lecz nigdy nie doszło do skutku.

– Tym razem się uda, osobiście tego dopilnuję.

– Żebyś znalazł sobie drugą żonę i spłodził syna? – Uśmiechnęła się kąśliwie. – Może twoim przeznaczeniem są córki, Ludwiku. Rozważyłeś taką ewentualność?

Zadrgały mu mięśnie twarzy.

– Nie w tym rzecz. Bez względu na postanowienie papieża łączy nas zbyt bliskie pokrewieństwo, co stanowi grzech w oczach Boga. Nie godzi się, abyśmy w grzechu trwali.

– Zdawałeś sobie sprawę z tego pokrewieństwa w dniu naszego ślubu.

Poczerwieniał.

– Wcale nie, nie miałem o nim pojęcia.

– Ale Suger wiedział doskonale, jednak liczyło się tylko przyłączenie Akwitanii do Francji. Wiele małżeństw złączonych takim pokrewieństwem jak nasze żyje razem aż do śmierci i płodzi synów. Pokrewieństwo to jedynie pretekst.

– Rozłożyła ręce. – Niezmiernie cieszy mnie twoja zgoda, Ludwiku, ale gdybyś przystał na moją prośbę w Antiochii, oszczędzilibyśmy sobie trzech zmarnowanych lat.

Posłał jej niechętne spojrzenie.

– Antiochia stanowiła wyzwanie i uwłaczała mojej władzy. Chciałem uzyskać unieważnienie w Tusculum, ale papież miał inne plany. Robiłem, co w mojej mocy, lecz najwyraźniej się pomylił, więc nie pozostaje nam nic innego jak rozstanie.

Alienor poczuła ogromną ulgę, a zarazem gorzki smak w ustach wraz z jałowym poczuciem beznadziejskości. Od początku nie chciała tego ślubu, wierzyła jednak, że między nimi jakoś się ułoży, a przelotna fascynacja przerodzi się w głębokie uczucie. Ale działania osób postronnych wypaczyły ich związek, aż stał się nie do zniesienia. Unieważnienie oznaczało porażkę, a zarazem wolność. Czekali ich wiele miesięcy negocjacji, ale w końcu zapadnie decyzja, a pokrewieństwo stanie się wymówką dla zamydlenia oczu, choć oboje wiedzieli, że prawdziwy powód rozstania jest inny.

– No cóż, jeśli skłonisz papieża do zmiany zdania, nie zwlekajmy. – Spojrzała na niego twardo. – Oczywiście nie będziesz już miał w Akwitanii prawa głosu. Zabierzesz z moich ziem wszystkich swoich urzędników i wojska.

– Zajmę się tym – uciał Ludwik. – Ale nasze córki wciąż są twoimi dziedziczkami, a ja ich pełnomocnikiem. Zostaną ze mną i wychowają się w tym pałacu.

Alienor wahała się tylko chwilę. Prawie nie знаła swoich córek. Kiedy wyjeżdżała do Outremeru, Maria ledwo chodziła, trzy lata się nie widziały. Alicja

to jeszcze osesek. Nic jej z nimi nie łączyło. Doskwierało jej tylko poczucie straty i żal o to, co ją ominęło.

– Zatem jesteśmy zgodni – stwierdził Ludwik. Skłonił się sztywno i wyszedł. Alienor popatrzyła na drzwi, które za sobą zamknął. Czuła się odrętwiała zamiast wolna jak ptak. Tyle czasu spędziła w klatce, tłukąc skrzydłami o pręty, że nie miała siły wzbić się w górę i straciła ducha. Trochę czasu minie, nim zdobędzie się na odwagę i znów wzbije się do lotu.

Mogła mieć teraz Gotfryda, lecz wszystko się zmieniło. Mogła wrócić do Poitiers i poczuć ciepły wiatr we włosach, ale stanie się innym człowiekiem. Utrata niewinności zmienia życie na zawsze. Po odłączeniu Akwitanii od Francji musi znaleźć nowe sposoby na przetrwanie.

Czeka ją wiele pracy, ale dzisiaj ma czas do namysłu. Zacznie od jutra.

Zamek w Taillebourgu, marzec 1151

Gotfryd z Rancon spojrział na list, który trzymał w ręku, a następnie przeniósł wzrok na arcybiskupa Bordeaux. Silny marcowy wiatr gnał po niebie białe obłoki za oknami wieży z widokiem na Charente. Panujący chłód usprawiedliwiłby solidne napalenie w kominku, ale niósł obietnicę wiosny.

– Nasza księżna wraca do domu – oznajmił Gotfryd i coś zatliło się w głębi jego duszy. Szkoda, że musiała wyjechać.

– Tak – potwierdził arcybiskup. – Ale dopiero jesienią, a unieważnienie zostanie zatwierdzone w przyszłym roku.

– Podobno Ludwik znalazł trzech biskupów, którzy tego dokonają – odparł Gotfryd. – Pozostaje pytanie, czy papież się zgodzi.

– Chyba wie, że nic już nie wskóra – rzekł arcybiskup. – I czas na pewne ustępstwa. Obie strony doszły do porozumienia, a sprawa nie dotyczy poprzednich małżonków.

Gotfryd opuścił wzrok na pergamin i staranne pismo skryby, który donosił, że Ludwik i Alienor zjawią się jesienią na objazd swoich ziem i po daninę. Francuscy żołnierze i urzędnicy mają podczas tej wizyt się usunąć, a zadanie Gotfryda polegało na znalezieniu Akwitańczyków na ich miejsce. Alienor dołączyła do listu zaszyfrowaną wiadomość, że nie może się doczekać jesieni, a powrót przepelnia ją nadzieją. Napisała „do Akwitanii”, lecz wiedział, że chodziło o jego imię. Nie chciał jej zawieść, miał jednakże obawy, że jest za późno.

Arcybiskup przyglądał mu się badawczo.

– Czekają nas trudne chwile – oznajmił. – Nasza królowa jest kobietą niezłomną, lecz mimo to kobietą, w dodatku samą jak palec. Wielu spróbuje to wykorzystać, dlatego bez wsparcia sobie nie poradzi.

Gotfryd odwzajemnił jego spojrzenie.

– Nie pozwolimy na to. Będę bronił jej książęcych praw własną piersią.

– Jestem tego pewien. Jako człowiek honoru postąpisz jak trzeba.

Gotfryd zmilczał; zastanawiał się, co wie biskup i na ile można mu ufać. Podejrzewał, że obaj błędzą po omacku. Po powrocie do Akwitanii i objęciu urzędu Alienor będzie potrzebowała lojalnych dworzan i prałatów, należy zawczasu o to zadbać.

Arcybiskup westchnął.

– Miałem nadzieję, że z małżeństwa króla Francji z naszą księżną wyniknie wiele dobrego, jej ojciec tak samo. Marzył, by jego córka zapoczątkowała wielką

dynastię. Skąd mieliśmy wiedzieć, jak się wszystko potoczy?

– W rzeczy samej – przytaknął Gotfryd. Ze znużeniem ścisnął grzbiet nosa. Czuł się jak ginący ślad na piasku, a nie człowiek, który zmierza ku swemu przeznaczeniu.

W pałacu rozpanoszyła się choroba. Ludzie leżeli zmożeni wysoką gorączką, której towarzyszył ból oczu, zapchany nos oraz swędząca wysypka. Zachorowały obie córki Alienor i kuzyni Vermandois, toteż w komnatach dziecięcych roiło się od marudnych dzieci. Ludwik dostał gorączki, kiedy sposobił się do wojny przeciwko młodemu księciu Henrykowi i jego ojcu Gotfrydowi z Anjou. W dniu wyjazdu, gdy miał połączyć siły z Eustachym z Boulogne, który już wyruszył, leżał w łóżku spocony i trząsał się w delirium. Dręczony koszmarami, w których opat Suger groził mu ogniem piekielnym, w strachu przed śmiercią, posłał po spowiednika i kazał się ubrać we włosienicę. Stało się jasne, że nie wyzdrowieje za dzień ani nawet tydzień, a wyprawę przeciwko Rouen trzeba odłożyć.

– Ludwik zdecydował się na zawieszenie broni – powiedział Raul Alienor i Petroneli, kiedy przyszedł w odwiedzinach do dzieci. – Nie poprowadzi wojsk na Normandię w tym stanie. Trudno osądzić, kiedy wyzdrowieje.

Petronela z urazą odwróciła głowę, traktując męża jak powietrze. Wyjęła szmatkę i położyła ją na rozpalonym czole syna. Chłopiec zakwilił i się rozplakał.

Alienor spojrzała na Raula.

– Jak ma się odbyć to zawieszenie broni?

Poirytowany zerknął na żonę.

– Hrabia Anjou i jego syn przyjadą do Paryża na rozmowy i zgodzą się na zaniechanie wrogich stosunków w zamian za pewne ustępstwa.

– Jakże?

– Ludwik uzna syna Gotfryda za prawowitego księcia Normandii, a oni zrzekną się ziem w Vexin.

– I sądzi, że na to przystaną?

Raul wzruszył ramionami.

– Tylko na tym skorzystają. Król jest zbyt chory, aby wyruszyć na Rouen, a kiedy wyzdrowieje, zajmą go pilniejsze sprawy. Jeśli wskóra zawieszenie broni do przyszłego roku i wytarguje przy tym trochę ziemi, tym lepiej. A hrabia Anjou i jego syn w zamian za skrawek gruntu kupią czas na uporanie się z własnymi zmartwieniami. – Uśmiechnął się blado. – Nie będę narzekał, że zostajemy, jestem na to za stary. Rozejm absolutnie mnie satysfakcjonuje.

Alienor przygotowała się w duchu na odwiedzinach i policzyła, ile czasu zostało do przybycia gości. Być może Gotfryd z Anjou to łajdak pełen męskiego czaru, ale dzięki niemu na chwilę zapomni o zmartwieniach. Jego syna nigdy nie

poznała, choć słyszała opowieści o jego niespożytej energii.

Raul popatrzył na swoje dzieci.

– Pójdę się za nie pomodlić – oznajmił. – Nic tu po mnie. Petro... – Dotknął ramienia żony, ale strząsnęła jego rękę.

– Idź – prychnęła. – Już ja znam te twoje modlitwy i ołtarz, przy którym je zmówisz.

– Och, na miłość boską, kobieto, zatruwasz mi życie tymi bezpodstawnymi oskarżeniami. Jak mam z tobą rozmawiać? – Odwrócił się na pięcie i wypadł z komnaty.

Alienor wybałuszyła oczy na siostrę.

– Co się stało?

– Inne kobiety – burknęła Petronela. – U niego zawsze chodzi o inne kobiety. Myśli, że jestem ślepa, ale ja widzę, a on beczelnie zaprzecza. Boże miłosierny, mógłby być moim dziadkiem, a ciągle mu mało.

Alienor przyjrzała się siostrze. Ciemne włosy Petroneli były nieświeże i przylizane, oczy podpuchnięte, a na sukni widniały plamy. Bił od niej skwaśniały zapach niemytego ciała. Do złudzenia przypominała ich babkę Dangerosę, namiętności wypaliły ją do cna. Desperacko łaknęła miłości i pożądania, a Raul nie czuł się na siłach sprostać jej oczekiwaniom. I może się nie myliła: ciągle pogoń za kobietami leżała po prostu w jego naturze.

– Chodź. Musisz zjeść i odpocząć. Jak masz myśleć, gdy jesteś taka przemęczona? Pamiętasz, jak mi doradzałaś, kiedy sama cierpiałam? – Ujęła siostrę pod rękę i dała znak piastunkom, by zajęły się dziećmi.

– Wiesz, że to prawda – stwierdziła Petronela. – Dlatego nic nie mówisz.

– Bo nie ma sensu nic mówić, kiedy jesteś taka.

Petronela wyrwała rękę z jej uścisku.

– To wszystko przez ciebie! – wybuchła. – Gdyby nie twoje unieważnienie, Raul zostałby przy mnie. Gdy wrócisz do Poitiers, odejdzie, bo nie będę mu już potrzebna, stanę się kulą u nogi. Jeśli miesza mi się w głowie, tyś temu winna, nikt inny!

Nie było sensu z nią dyskutować, kiedy się tak unosiła, zresztą trafiła w sedno, więc Alienor zakłúło sumienie. Kiedy jej małżeństwo z Ludwikiem zostanie unieważnione, jedynym argumentem, który zatrzymałby Raula przy Petroneli, byłaby miłość. Ich koneksje prysną i dalszy związek z niezrównoważoną siostrą byłby królówej Francji stanie się bezzasadny.

– Twoje krzyki niczego nie zmieniają. Skoro chcesz zatrzymać Raula, musisz ochłonać.

Petronela zadarła podbródek, ale pozwoliła Florecie i Marchisie wykąpać się i przebrać w czystą koszulę. Odmówiła jedzenia, lecz dała się namówić na wypicie wina ze środkiem nasennym. Jej powieki stały się ciężkie i legła na łożu siostry.

– Jeśli mnie nie chce – szepnęła – nie mam po co żyć.

– Nie pleć głupstw – burknęła Alienor. – Na Raulu z Vermandois świat się nie kończy. Masz troje dzieci, które cię kochają, a w Poitiers krewnych i przyjaciół. Jak śmiesz wygadywać takie rzeczy?

W odpowiedzi Petronela tylko przewróciła się na bok.

Alienor ruszyła na poszukiwanie szwagra i znalazła go, tak jak zapowiedział, w kaplicy Świętego Michała. Uklękła po stronie jego zdrowego oka, żeby ją widział, i w oczekiwaniu, aż skończy, również się pomodliła. Długo zwlekał, jakby nie kwapił się do tej rozmowy. Zauważyła, że gęste, siwe włosy przerzedziły mu się nad czołem, a sprężyste niegdyś policzki obwisły. Ubrany był nienagannie i wciąż roztaczał władczą aurę, lecz wiek ciążył mu ostatnio jak nigdy przedtem.

Wreszcie wstał, ona także.

– Zamierzasz unieważnić małżeństwo z moją siostrą? – spytała bez ogródek.

Twarz Raula zastygła.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dobrze wiesz. Oszczędź mi swoich gierek, Raul.

Westchnął.

– Sama widzisz, jaka ona jest, i tak bez przerwy. Wystarczy, że spojrzę na inną kobietę, a urządza mi sceny zazdrości. Domaga się mojej uwagi i nie przyjmuje do wiadomości, że mam swoje obowiązki. Popada w wisielcze nastroje i całe dni spędza w łóżku. Kapłani mówią, że to kara za nasze postępowanie, ale ja w to nie wierzę. Zawsze była taka, tylko teraz jej się pogorszyło.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Potrząsnął głową.

– Tak, biorę to pod uwagę i muszę zasięgnąć rady króla. Myślę, że skoro wracasz do Poitiers, byłoby lepiej, gdybyś zabrała ze sobą Petronelę. Powrót do kraju dzieciństwa wyjdzie jej na zdrowie, zwłaszcza że pod wieloma względami pozostała dzieckiem.

– Zamierzasz przerzucić odpowiedzialność na mnie?

– Petronela wymaga opieki, tak będzie najlepiej.

– Najlepiej dla niej czy dla ciebie? – zapytała Alienor z pogardą.

– Dla nas obojga, i dla naszych dzieci.

– A kiedy moje małżeństwo zostanie unieważnione i rozstanę się z królem, co wtedy?

– Wtedy podejmę decyzję.

Alienor nabrała tchu, żeby go złajać, lecz powstrzymała ją widok autentycznego cierpienia na jego twarzy.

– Zatem pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że sumienie naprowadzi cię na właściwą drogę – odrzekła. – Przysięgłeś ją chronić. Dotrzymaj słowa.

Angers, sierpień 1151

Henryk, księżę Normandii, świetnie się bawił. Młoda kobieta, która go dosiadała, była piękną o bujnych popielatobrązowych włosach, wielkich szarych oczach i zmysłowych ustach zdolnych dostarczać niebywałych doznań. Henryk miał osiemnaście lat, toteż jego entuzjazm i gotowość wytrzymały próbę kilku miłosnych starć, zainicjowanych poprzedniego wieczora, kiedy to legł w łóżku wraz z Aelburgh, łąką wina i półmiskiem biszkoptów polanych miodem.

– Będzie mi cię brakowało – wydyszał, kiedy go ujeżdżała. Z uznaniem zlustrował jej rozkołysane piersi i poczuł nadciągający spazm rozkoszy, gdy dziewczyna ponownie uniosła się i opadła.

– Zabierz mnie więc ze sobą, panie. – Pochyliwszy się, uszczypnęła zębami jego bark. – Będę ci grzała posłanie.

Henryk przelotnie rozważył tę myśl: mogłaby zaspokajać jego potrzeby, a trudy wyprawy nie były jej straszne, więc nie sprawiałaby problemu. Z żalem odrzucił jednak takie rozwiązanie. Nie chciał drażnić ojca.

– Nie, kochanie – stęknął. – Chętnie wziąłbym cię ze sobą do Paryża, ale to nie uchodzi.

– Ha! Nie wiedziałam, że dbasz o konwenanse.

– Dbam, kiedy trzeba. Mamy z ojcem pewne delikatne sprawy do omówienia z królem Francji. Zamierzamy od niego co nieco uzyskać, więc musimy zachowywać się nienagannie. Proszę cię zatem o... czułe pożegnanie.

Ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu.

– Wycisnę z ciebie ostatnią kroplę, mój panie. Kiedy z tobą skończę, przez miesiąc nie zapragniesz kobiety!

Henryk szczerze w to wątpił, lecz nie zaszkodziło spróbować.

Gdy poranne słońce wspięło się ponad horyzont, Henryk odprawił Aelburgh siarczystym kłapsem w pośladki i sakiewką srebra, które miało jej starczyć pod jego nieobecność. Czuł się rześki, bez śladu zmęczenia: całonocne zapasy nie osłabiły jego niespożytej energii. Potrzebował niewiele snu, a kiedy nie spał, zajmował się kilkoma rzeczami naraz i nigdy nie mógł usiedzieć w miejscu, dlatego msza stanowiła dla niego największe z życiowych wyzwania. Wychodził z założenia, że Bóg przeznaczył go na króla i księcia, przeto nie będzie miał żalu o brak czasu na modlitwę. Od tego są księża i mnisi.

Podszedł do okna, wkładając tunikę z czerwonej wełny, nieco wystrzępioną przy mankietach po zabawach z psem. Przykładał wagę do formalnego ubioru, na co dzień jednak preferował wygodę. Nie szata zdoła człowieka, liczy się tylko on sam oraz jego władza. Według ojca natomiast ubiór stanowił część splendoru.

Na dziedzińcu było gwarno jak w ulu, służba czyniła przygotowania do wyjazdu. Należało podkuć konie, wyczyścić uprząż i sprawdzić ekwipunek, aby po drodze uniknąć przykrych niespodzianek. Król Ludwik zaniechał ataku na Rouen i wystąpił z propozycją rozmów. Podobno zachorował, jednakże w polityce, dopóki nie staniesz z kimś twarzą w twarz, nigdy nie możesz być pewien szczerości zamiarów.

Pogwizdując, Henryk zapiął pas na biodrach, przyglądził rudozłote włosy i ruszył na poszukiwanie ojca.

Gotfryd przebywał w swojej komnacie, przy zaścielonym łóżku i spiętych draperiach. Jego pomocnicy i dworzanie uwijali się już jak w ukropie, skrybowie pracowali zgarbieni nad papierami. Gotfryd zasiadał przy stole ze stopą na wyściełanym podnóżku. Z namysłem spoglądał na dokument, który trzymał w dłoni.

– Oho – mruknął, gdy Henryk wparował do środka. – Próżniak raczył się zjawić.

Henryk nalał sobie wina i wziął chleb z koszyka na stole.

– Już dawno się obudziłem – zapewnił z wymownym uśmiechem.

Ojciec uniósł brwi.

– Czyżby? Miejmy nadzieję, że nie był to czas stracony.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, lecz po twarzy Gotfryda przemknął cień irytacji.

– Bynajmniej. Praktyka czyni mistrza, jak zwykł mi ojciec powtarzać. – Henryk wskazał na podnóżek. – Stopa znów ojcu dokucza?

Gotfryd nadal wyglądał na rozdrażnionego. Domagał się uwagi i poszanowania dla swojej choroby, będącej wynikiem rany odniesionej w bitwie przed ponad dziesięciu laty, lecz nie znosił aluzji, że staje się niepełnosprawny. Jego syn był osiemnastoletnim, przystojnym ogierem, który niecierpliwie czeka na swoją kolej, jednakże Gotfryd ani myślał wyrzec się władzy i dawał to do zrozumienia przy każdej okazji.

– Nie bardziej niż zwykle, ale niech lepiej odpocznie przed długą podróżą. – Wskazał synowi, żeby usiadł. – Musimy omówić pewne sprawy.

Przedyskutowali już negocjacje z Francuzami. Ludwik domagał się zwrotu ziem Vexin na granicy Francji z Normandią w zamian za uznanie Henryka za księcia Normandii. Pozostawała jeszcze kwestia zbuntowanego kasztelana Montreuil, ale ponieważ Giraud Berlai siedział skuty łańcuchami w ich lochach, a Montreuil zostało zrównane z ziemią, stanęła pod znakiem zapytania. Berlai

zwrócił się do Ludwika o pomoc przeciwko Andegawenom, mógł posłużyć zatem jako karta przetargowa. Henryk opowiadał się za rozejmem i przekupieniem bądź udobruchaniem Ludwika; odwracając uwagę Francuzów od Normandii, mógłby skupić cały wysiłek na Anglii. Kilka pochlebstw, skrawek ziemi na odczepne i już. Przy innej okazji wszystko może się zmienić.

– Jakie sprawy? – Usiadł na krześle naprzeciw ojca.

– Król Ludwik jest w trakcie rozwodu – oznajmił Gotfryd. – Potrzebuje męskiego potomka, lecz niestety, ma za słabe nasienie. Żona rodzi mu tylko córki.

Henryk zmarszczył brwi, niepewny, dokąd zmierza ta przemowa. Na pewno nie chodziło o małżeństwo z najstarszą córką Ludwika. To zostało przesądzone dawno temu.

– Z jego winy, rzecz jasna. Twoja matka jest większą sekutnicą niż Eleonora Akwitańska, a mimo to udało mi się spłodzić trzech synów. Ty nie będziesz miał takich problemów.

Henryk wytrzeszczył na niego oczy. Chleb, który przeżuwał, utknął mu w gardle.

– Tylko pomyśl, ile zyskalibyśmy prestiżu i władzy z takiego układu. I jaki byłby to cios dla Francji.

Henryk zakrztusił się i musiał popić. Nigdy nie brał pod uwagę ślubu ze starszą kobietą – w dodatku resztkami po innym mężczyźnie.

– Nic nie powiesz?

– Nie spodziewałem się tego, ojcze – wydusił Henryk. Oczami wyobraźni ujrzał siebie w łożu obok zużytej raszpli. Pamiętał jak przez mgłę, że ojciec pertraktował z Ludwikiem i Alienor, kiedy on dreptał jeszcze za mamką z ulubionym kocykiem pod pachą. Zawsze wyobrażał sobie swoją oblubienicę jako niewinną panienkę młodszą od siebie, lecz polityczna rzeczywistość przedstawiała się w zgoła innym świetle. Ów rozdźwięk pomiędzy jego ideałem a brutalną prawdą na chwilę odebrał mu mowę, co samo w sobie zbiło go z tropu.

– Proponuję, abyś ochłonął i oswoił się z tą myślą – poradził mu oschle Gotfryd. – Liczę na twoje posłuszeństwo.

Henryk zeszywniał.

Gotfryd pogroził mu palcem.

– Musisz zrozumieć, jakie to ważne. Po ślubie dostaniesz Akwitanie, twoja władza będzie rozciągać się od Limousin po Pireneje i ułatwi działania w Anglii i Normandii. Jeśli nie skorzystasz z okazji, ktoś cię ubiegnie i zostaniesz z niczym.

Henryk się skrzywił.

Gotfryd poczerwieniał.

– Nie patrz na mnie, jakbym podsunął ci zepsutą rybę! Taka sposobność już się nie nadarzy. Nasz ród zapanuje w Akwitanii, wiele lat o to zabiegałem. Skoro odmawiasz, któryś z twoich braci chętnie cię zastąpi.

Henryk spojrział na niego spode łba.

– Nie powiedziałem, że odmawiam. Ma ojciec rację. To niepowtarzalna sposobność, ojciec mnie po prostu zaskoczył. Nie myślałem jeszcze o ożenku.

– W twoim wieku od trzech lat byłem już żonaty z waszą matką.

– I nie wiódł ojciec życia usłanego różami, prawda? Co powiedziałaś swojemu ojcu?

– To nieistotne, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę – uciał Gotfryd i oczy rozbłysły mu gniewem. – Alienor stanowi dla ciebie wymarzoną partię i nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu, zrozumiano?

– Tak, ojczu – odrzekł Henryk. – Mogę odejść?

Gotfryd machnął ręką.

– Tymczasem możesz, ale jeszcze wrócimy do tej rozmowy. Musimy należycie przygotować się do pertraktacji.

Henryk skłonił się ojcu, po czym zdążył dopaść latryny i zwymiotował chleb, którym mało się nie udławił. Nie cierpiał, kiedy traktowano go jak dziecko i rozstawiano po kątach. Bądź co bądź, był księciem Normandii i dorosłym mężczyzną. Chciał robić, co sam uznał za stosowne, zamiast dać się kierować ojcu jak smarkacz. A jednak ojciec miał rację, taka okazja więcej się nie nadarzy. Otarł usta wierzchem dłoni i z furią grzmotnął w ścianę zaciśniętą pięścią.

– Co się stało? – Amelin, jego brat przyrodni, stanął w drzwiach. Przystojny, krzepki młodzieniec o płowych włosach i piwnych oczach miał trzy lata więcej od Henryka. Jego matka była przez krótki czas kochanką Gotfryda, dopóki nie umarła w połogu. Emma, siostra Amelina, mieszkała w świeckim domu dla kobiet przy klasztorze w Fontevraud.

– Nic – burknął Henryk. Żyli jak pies z kotem, lecz w razie potrzeby stanęliby za sobą murem. Bitwy Henryka były bitwami Amelina, a gdy zdarzały się bójki z pozostałymi dwoma synami Gotfryda z prawego łóża, Amelin zawsze brał stronę Henryka – możliwe, że dla własnej korzyści.

– Ładne mi nic.

– To sprawa między mną a naszym ojcem – uciał Henryk. Wiedział, że nie może puścić pary z ust. – Wkrótce się dowiesz.

Amelin stał z niezdecydowaną miną, jakby się zastanawiał, czy się obrazić.

– Boże, muszę stąd wyjść. – Henryk wyskoczył z latryny. – Chodźmy pojeździć.

Amelinowi rozbłysły oczy.

– Nie masz już nic do omówienia z ojcem?

– Nie – odpowiedział kategorycznie Henryk. – Dostyc się nagadaliśmy, jak na razie.

Amelin wzruszył ramionami, bo niewiele rzeczy cieszyło go na równi z galopem na złamanie karku i wiatrem we włosach. Poza tym mogą się ścigać.

Zwykle to Henryk wygrywał, czasami jednak Amelinowi udawało się go pokonać i był wówczas wniebowzięty.

Ale tego dnia Henryk gnał tak, jakby goniły go ogary piekielne, więc Amelin został daleko z tyłu. Wiedział, że jego brata przyrodniego coś gnębi, nie miał jednakże pojęcia, w czym rzecz.

Paryż, sierpień 1151

Henryk krążył niespokojnie po komnacie w Wielkiej Wieży, którą przydzielono jemu i ojcu. Arrasy na ścianach były grube i ciężkie, z tkaniny przedniej jakości, a same ściany udekorowano freskami w ozdobne liście. Między wyściełanymi siedziskami we wnękach okiennych stał stół z szachownicą, nie zabrakło też iluminowanej księgi psalmów, gdyby naszła ich ochota na lekturę. Wszystko to świadczyło o nienagannym, a zarazem wykwintnym smaku, wbrew temu, czego Henryk spodziewał się po Ludwiku, lecz wedle wszelkiego prawdopodobieństwa komnatę gościnną urządziła królowa, toteż dzięki temu mógł lepiej ją poznać.

Gotfryd siedział na łóżku i masował obolałą stopę.

– Pamiętaj, nikomu ani słowa. Musimy to rozegrać delikatnie.

Henryk sięgnął po lutnię i brzdęknął w struny.

– Czy ojciec uważa mnie za niedelikatnego?

– Przypominam tylko, co kładziemy na szali – skwitował Gotfryd z rozdrażnieniem.

– Wiem, ojcze. Nie jestem dzieckiem, które trzeba upominać, tak jak ojciec nie jest zdziecinniałym starcem.

Gotfryd oblał się purpurą i jego wzrok przez chwilę nie wróżył nic dobrego. Ale poczucie humoru wzięło górę i parsknął śmiechem.

– Co nie zmienia faktu, że jesteś bezczelnym gnojkiem. Masz spuścić uszy po sobie. Weźmiemy Ludwika pod włos.

– Będę potulny jak baranek – obiecał z prześmiewczym ukłonem Henryk.

Ojciec tylko prychnął z niedowierzaniem.

Ludwik siedział na rzeźbionym krześle w swojej komnacie, a na posadzce rozwinięto gobelin, aby ci, którzy klękając, składali mu hołd, mieli wygodnie. Henryk przyjrzał się człowiekowi, którego zastąpi w łożu księżnej Akwitanii, jeśli wszystko ułoży się po ich myśli. Ludwik był przystojny, miał niewiele ponad trzydzieści lat, włosy w niespotykanym jasnym odcieniu, ciemnoniebieskie oczy, a twarz, pozornie życzliwą i otwartą, o nieprzeniknionym wyrazie. Bóg jeden wie, co mu chodziło po głowie – być może nic. Wychudł po niedawnej chorobie, wyglądał na bladego i zmęczonego, ale budził respekt. Jego prawa dłoń spoczywała na berle z ozdobną gałką ze złota i górskiego kryształu, a na środkowym palcu miał

pierścień do kompletu.

Henryk ukląkł przed Ludwikiem, który był jego suzerenem i królem na dodatek, ale uczynił to z obojętnością. Ludwik może i był władcą Francji, ale nadal człowiekiem, krępowanym przez własne ograniczenia i słabości.

Ludwik wstał i ucałował ich na powitanie. Henryk baczył, aby nie zdradzić się z uczuciami, a gdy wargi Ludwika musnęły jego policzek, szczęściem opanował dreszcz. Była to fascynująca, a przy tym niemiła chwila; wiedział, że udaje, nie tylko w sensie dyplomatycznym. Zachował dystans, by nie dać nic po sobie poznać.

– Mam nadzieję, że wydobrzałeś. – Gotfryd z troską zwrócił się do Ludwika, choć chwilę wcześniej spekulował, co by się stało, gdyby Ludwik umarł na *la rougeole*², jak wielu zarażonych.

– Dziękuję, panie – odpowiedział Ludwik. – Z pomocą boską wróciłem do zdrowia.

– Bardzo mnie to cieszy – zapewnił Gotfryd. – Ale przynajmniej twoja niedyspozycja dała nam okazję do rozmów.

– Istotnie – przytaknął Ludwik. – Lepiej mieć plony w stodole, niż puścić je z dymem na polach.

Henryk silił się na cierpliwość, aby wysiedzieć spokojnie podczas tej wymiany uprzejmości. W Anglii plony jego sojuszników nieustannie puszczano z dymem. Musi tam jechać i dopilnować porządku, lecz najpierw czeka go przeprawa z królem Francji.

Przyprowadzono jeden z powodów ich waśni, Girauda Berlaia z Montreuil, nadal skutego łańcuchami, które otarły mu nadgarstki aż do krwi. Cuchnął lochami Angers, gdzie pozostała jego rodzina.

Ludwik usiadł prosto, uprzejmy uśmiech znikł z jego ust.

– Co to ma znaczyć? – zapytał. – Dlaczego stawiacie przede mną tego człowieka w kajdanach?

Gotfryd wzruszył ramionami.

– To mój wasal, ale knuł, żeby mnie obalić, i obrabował mnichów z mojego kolatorstwa w Saint-Aubin. Przyprowadziłem go tobie, gdyż jest jedną z przyczyn naszych zatargów.

Bernard z Clairvaux stał dotąd za Ludwikiem, patrząc i nasłuchując, lecz teraz wystąpił naprzód i stuknął laską w podłogę.

– Mściwością wystawiasz sobie świadectwo. Poniżasz tego człowieka z powodu własnej dumy i gniewu.

Gotfryd posłał mu wzgardliwe spojrzenie.

– Gdybym był mściwy, ten człowiek już dawno by nie żył. Zawisłby na stryczku, a jego rodzina umarłaby z głodu. Nie pouczaj mnie, mój panie opacie.

Giraud z Montreuil pokuśtykał w stronę Bernarda i ze zwieszoną głową padł

mu do nóg.

– Błagam o litość – jęknął bliski płaczu. – Jeśli wy, ojczy, i mój król nie wstawicie się za mną, szczenę w kajdanach wraz z moimi dziećmi i żoną.

– Daję ci słowo, że nie dojdzie do tego – zapewnił opat, a jego wychudzona twarz przybrała zacięty, ponury wyraz. – Nie wolno drwić sobie z Boga.

– Powiedz to mnichom z Saint-Aubin – odparował Gotfryd. – Czekam na propozycje, jeśli chcecie go zatrzymać, w przeciwnym razie wraca ze mną i zgnije w Angers.

Bernard krzepiąco oparł dłoń na ramieniu Girauda Berlaia i utkwiał świdrujące spojrzenie w Gotfrydzie.

– Nie wraca z tobą, mój panie. Twoje dni na tej ziemi są policzone, o ile się nie ukorzysz.

Gotfryd zmrużył oczy.

– Nie przemawiasz w imieniu Boga ani w imieniu króla, starcze – odparł. – Swoje dni policz, jeśli łaska. Nie zamierzam z tobą rozmawiać, jesteś dla mnie nikim. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł ku osłupieniu zebranych. Henryk skłonił się przed Ludwikiem i, nie zważając na Bernarda z Clairvaux oraz nieszczęsnego byłego kasztelana Montreuil w kajdanach, pospieszył za ojcem.

Gotfryd czekał z ponurą miną w stajni, aż koniuszy osiodła mu konia.

– Dobrze poszło – zauważył ironicznie Henryk.

– Cysterski sęp nie będzie mi groził czarnymi prorocत्वami ani wtrącał się w moje sprawy – warknął Gotfryd. – Przyjechałem pertraktować z Ludwikiem, a nie opatem Cîteaux.

– Przecież Ludwik zrobił to umyślnie.

– Tak umyślnie, jak ja teraz się stąd zabieram – oświadczył. – Niech podduszają się we własnym sosie. Przybyliśmy negocjować, a nie bić przed kimś czołem. Mają czas, aby ściągnąć cugle „świętemu” Bernardowi, i wszyscy wiedzą, na czym stoją.

Obaj Andegawenowie, ojciec i syn, wrócili już z przejażdżki. Alienor maskowała zniecierpliwienie i czekała z pozornym spokojem, aż kobiety skończą ją ubierać. Prezencja i strój to ważne narzędzia dyplomacji, zwłaszcza w starciu z hrabią Anjou. Nie poznała jeszcze jego syna, młodego księcia Normandii, i była go bardzo ciekawa.

Zjawili się wcześniej tego dnia i już rozpętali burzę. Nie zdążyła ich powitać, kiedy ojciec z synem wyszli po ostrej wymianie zdań z Bernardem z Clairvaux. Alienor nie przywiązywała do tego wagi: dramatyczne porywy stanowiły częsty wybieg w politycznych negocjacjach. Podobno opat udał się na modlitwę wraz z kasztelanem Montreuil, już oswobodzonym, natomiast Gotfryd z synem wrócili

do pałacu i wznowili rozmowy.

Marchisa przytrzymała lustro, żeby Alienor mogła się przejrzeć. Spojrzenie odwzajemniła piękna, opanowana kobieta i Alienor dodała do jej arsenału ponętny półuśmiech. Tak dalece opanowała sztukę noszenia masek, że czasem z trudem znajdowała pod licznymi warstwami swoje prawdziwe ja: roześmiane dziecko w Poitiers w obliczu świetlanej przyszłości usianej możliwościami.

– A zatem – powiedziała do Marchisy i uśmiech stwardniał jak szkło. – Do boju.

Tego dnia obyło się bez konkretów. Wszyscy nadal mieli się na baczności po porannej burzy, lecz nie kryli zadowolenia z poczynionych postępów i zawartego porozumienia. Kiedy zakończono oficjalne rozmowy, fanfary obwieściły przybycie królowej. Serce zabiło Henrykowi mocniej w piersi, choć na zewnątrz zachował spokój. „Wygląd i wiek są nieistotne”, przekonywał się w duchu. Jest tylko środkiem do osiągnięcia celu; wszak mógł brać sobie kochanki, byle się z nimi nie obnosił.

Była wysoka, smukła i zapewne długonoga, o czym świadczyło falowanie sukni, kiedy szła. Zwrócił uwagę na jej pantofle, niezwykle piękne i haftowane w drobne kwiatki. Kiedy go mijala, zgiął się w głębokim ukłonie i chwycił w nozdrza cudowny zapach, świeży i odurzający jak ogród po deszczu. Jego obawy rozwiały się w jednej chwili. Stanowczo nie wyrzuciłby jej z łoża.

Oficjalnie pokłoniła się Ludwikowi, jak nakazywał obyczaj, po czym wyprostowana jak struna powitała ojca Henryka, podając mu szczupłą dłoń z jednym pierścieniem z szafirem na palcu. Ów gest podkreślił krój rękawa i odsłonił fragment nadgarstka, ponownie roztaczając cudną woń pachnidła.

– Cieszę się z naszego spotkania, mój panie – powiedziała z serdecznym, ale władczym uśmiechem. – Zawsze jesteś tu mile widziany.

– To zaszczyt znaleźć się w obliczu takiego piękna i finezji – odrzekł Gotfryd z szarmanckim ukłonem. Skinął na Henryka. – Nie poznałaś jeszcze mego syna. Pani, pozwól, że ci przedstawię Henryka, księcia Normandii, syna cesarzowej, wnuka króla Jerozolimy i przyszłego króla Anglii.

Przeniosła uśmiech na młodzieńca, może nieco chłodniejszy, lecz równie swobodny. Jej oczy zdradzały zaciekawienie i bystrość umysłu.

– Ojciec ma wobec ciebie niemałe oczekiwania – stwierdziła. – Witaj w Paryżu.

Henryk się uklonił.

– Postaram się nie sprawić mu zawodu – odpowiedział.

– Z pewnością.

– Nigdy nie sprawia – zapewnił Gotfryd. – Jest stworzony do wielkich

rzeczy, sama się przekonasz.

Ponownie się uśmiechnęła i lekko uniosła brew na znak, że przyjmuje do wiadomości ojcowską dumę, lecz nie daje się złapać na lep pochwał.

– Nie wątpię, lecz wiesz, że wolę sama wyrobić sobie zdanie. – Raz jeszcze zwróciła się do Henryka. – Powinieneś odwiedzić przy okazji Saint-Denis. Jestem pewna, że świątynia i skarby świętej pamięci opata cię zainteresują.

– Istotnie, pani, mam taki zamiar – odpowiedział Henryk i złożył jej oficjalny ukłon. Z bliska była bardzo piękna. Cerę miała gładką i nieskazitelną i wszystko było w niej wysmakowane i oszlifowane do perfekcji. Rachował, ile kosztowałoby utrzymanie takiej żony – a musiała mieć spore wymagania – nawet jeżeli środki pochodziłyby z jej posagu.

Widział, że też poddaje go ocenie, choć na inną niż on modłę. Zastanawiał się, jak byłoby im razem w alkowie, i czy jest doświadczona. Jak wyglądałaby z rozpuszczonymi włosami? Spuścił wzrok, by oczy go nie zdradziły. Ojciec stanowczo mu nakazał mieć się na baczności, żeby Akwitania nie przeszła im koło nosa, pod żadnym pozorem więc nie mógł zniechęcić Alienor bądź zdradzić się nieostrożnym gestem lub słowem, że przyjechali tu w celu innym niż rozejm.

Przeszła dalej, gładko odgrywając swoją rolę. Doskonale wiedziała, co mówić i jak się zachować, choć rzucało się w oczy, że wyraźnie stroni od męża i oboje nie chcą mieć ze sobą do czynienia więcej aniżeli to absolutnie konieczne.

Henryk podziwiał jej opanowanie, lecz zachował czujność. Tak olśniewająca kobieta mogła być dla niego wielkim atutem, a zarazem źródłem problemów, gdyby okazała się zbyt narowista. Z pogłosek wynikało, że król Francji nie zdołał jej okiełznać, zatem należy wnikliwie przemyśleć sprawę.

– Widzę, że stopa wciąż ci dokucza – zagadnęła Alienor, gdy na chwilę połączyła się z Gotfrydem w tańcu, który nastąpił po popołudniowym bankiecie. Przenosił ciężar na lewą nogę z grymasem bólu na twarzy.

– Nic takiego. – Machnął lekceważąco ręką. – Dawna rana po włóczni. Ból zaraz minie, jak zawsze, lecz jeśli zechcesz dotrzymać mi towarzystwa, chętnie usiądę.

Alienor posłała służbę po wygodne krzesło, poduszki oraz podnózek i usiadła obok.

– Może partyjka szachów? – zaproponował Gotfryd.

Spojrzała na niego bacznie. Coś knuł. Może w istocie dokuczała mu stopa, ale wykorzystał sytuację.

– Jak sobie życzysz, mój panie – odpowiedziała i kazała przynieść szachownicę. – Podobno wasze rozmowy przybrały pomyślny obrót.

Gotfryd uśmiechnął się lekko.

– Odkąd ustaliliśmy zasady, a kościotrup z Clairvaux przestał wtrącać swoje trzy grosze, owszem. Jestem pewien, że doprowadzimy sprawę do zadowalającego dla wszystkich finału.

Alienor odwzajemniła uśmiech. Cieszyło ją wszystko, co psuło szyki Bernardowi z Clairvaux. Zastanawiała się, czy Gotfryd będzie zabiegał o jej wstawiennictwo; jako królowa mogła odegrać rolę mediatora w negocjacjach. Zmienił pozycję i wygodniej ułożył nogę.

– Mój syn jest doskonałym tancerzem, nieprawdaż? – spytał, wskazując na Henryka, który wywijał z werwą i wdziękiem. Jego gładka, młoda twarz promieniała, a uśmiech czarował każdą kolejną partnerkę.

– Jestem przekonana, że celuje we wszystkim, mój panie – odrzekła ze spokojem Alienor. Przyniesiono szachownicę i zajęła się rozstawianiem figur.

– Zapewne sądzisz, że wychwalam go pod niebiosa, ponieważ jest moim synem – odezwał się Gotfryd ściszonego tonem. – I poniekąd to prawda, gdyż wszyscy ojcowie pragną być dumni z synów, którzy zapewnią im ciągłość rodu. Lecz ja widzę również mężczyznę, którym się staje. Dobrze rządzi Normandią.

– Z pomocą matki i twoją – uściśliła Alienor.

Gotfryd zawahał się, jakby chciał zaproponować, ale wzruszył ramionami.

– Wykazuje do tego talent i szybko się uczy.

– Jakie to ma znaczenie dla mnie? – spytała. – Przed naszym wyjazdem do Jerozolimy podjąłeś temat małżeństwa Marii z twoim synem i Ludwik odmówił. Teraz na pewno nie zmieni zdania.

Gotfryd przyjrzał się szachownicy i wybrał jedną figurę.

– Nie o twojej córce myślałem – odparł i przygwoździł ją przenikliwym spojrzeniem.

Alienor poczuła ucisk w żołądku, lecz nie dała po sobie poznać, jak bardzo zbił ją z tropu.

– Interesujące. – Wiele ją kosztowało, aby nie zerknąć w stronę Henryka. – Dla hrabiego Anjou byłoby to korzystne, ale co ja bym z tego miała?

– Zostałabyś księżną Normandii i włożyłabyś koronę Anglii.

– Dzielisz skórę na niedźwiedziu, mój panie. Normandia być może, lecz losy Anglii jeszcze się ważą. Dlaczego miałabym pragnąć tam rządzić, skoro nie znam ani kraju, ani jego mieszkańców?

– Ponieważ zaczęłabyś od nowa wśród ludzi, którzy cię nie oceniają – odpowiedział gładko Gotfryd. – Zostanie królem, wspomnisz moje słowa. Jest do tego stworzony. Ten ślub nie przyniósłby ci wstydu.

– Bardzo możliwe, powtarzam jednak, że nie przyniósłby mi też żadnych korzyści. – Przesunęła swoją figurę i odchyliła się do tyłu. – Wiem od arcybiskupa Bordeaux, że próbowałaś zeswatać mnie ze swoim synem, kiedy był jeszcze w powijakach.

Usta mu drgnęły.

– Dawno z nich wyrósł. – Rzucił jej znaczące spojrzenie. – Z chwilą zatwierdzenia rozwodu staniesz się łakomym kąskiem dla wielu potężnych wilków. Lepiej trzymać z tymi, których znasz i którzy cię poważają. Może myślisz, że zdołasz się sama ochronić, ale przyda się rycerz u twego boku, i nie mówię o najemniku ani lojalnym wasalu. Powie ci to nawet moja żona sekutnica.

– Masz tupet, by przedstawić mi taką propozycję.

– Tupet zawsze się przydaje, lecz nie działam pochopnie, podobnie jak Henryk. Prosimy tylko, byś to rozważyła.

– Tak zrobię – ucięła Alienor z obojętną miną i pobiła go w szachach. Przyjął to ze smętnym uśmiechem.

– Zechcesz teraz zagrać z Henrykiem? – zapytał.

– Często z tobą wygrywa? – Spojrzała na młodzieńca, który zbliżył się na znak ojca.

– Powiedzmy, że jesteśmy równymi sobie przeciwnikami.

– A zatem oczekiwałabym podobnego wyniku.

Gotfryd nie krył rozbawienia.

– Nie wszystko odpowiada naszym oczekiwaniom – odparł i ustąpił miejsca synowi, po czym pokuśtykał do francuskiego barona, którego ziemie graniczyły z Andegawenią.

Alienor spojrzała świeżym okiem na młodego człowieka, który zasiadł na krześle ojca. Jak byłoby zostać żoną tego ponoć nieprzeciętnego młodzieńca, który zachowywał się dotąd jak wzór wszelkich cnót? Była zaledwie dziewięć lat starsza od niego, co mogło stanowić przepaść, lecz nie musiało, jednakże biła go na głowę pod względem doświadczenia. Był czystą kartą, młodym chłopakiem, którego mogła lepić jak glinę. Musi go poznać bliżej, zanim rozważy równie radykalny krok.

Miał bystre spojrzenie i opanował już sztukę zachowywania kamiennej twarzy. Jego usta nosiły jeszcze młodzieńczy wyraz, lecz mocno je zaciskał, podobnie jak szczękę. Jak byłoby dzielić z nim łóżce? Urodzić mu rudowłose, szarookie córki i synów? Mieć za teścia Gotfryda z Anjou? Omal się nie wzdrygnęła. Włożyć północną koronę, w razie gdyby ambicja i łut szczęścia posadziły go na angielskim tronie? Niewiele wiedziała o tym kraju, zawsze leżał na obrzeżach jej świadomości, zamglony, zielony i chłodny. Jeśli w Paryżu czuła się obco, Anglia znajdowała się jeszcze dalej.

Henryk z szerokim uśmiechem wskazał jej szachownicę.

– Twoja kolej, pani – oznajmił.

– I co? – spytał Gotfryd, kiedy wrócili wieczorem do komnaty. – Nie było

tak źle, prawda?

Henryk potrząsnął głową i uśmiechnął się z rezygnacją. Szykował się na spotkanie leciwej, zużytej niewiasty, a zobaczył wciąż młodą i piękną, obdarzoną wdziękiem i charyzmą, na miarę żony monarchy. Przywykł do kobiet o silnych osobowościach, takich jak jego matka, lecz ona była chropowata w swoich poglądach niczym niehartowana stal, Alienor zaś jawiła mu się niczym płynne złoto.

– Jest bardzo piękna – przyznał. W szachach doprowadzili do pata. Wmawiał sobie, że mógł wygrać, tylko powstrzymywał się ze względów dyplomatycznych, ale coś mu podpowiadało, że ona uczyniła podobnie.

– Ludwik jest skończonym idiotą, że wypuszcza z rąk ją i Akwitanie, ale to nie nasz problem – ciągnął Gotfryd. – Księżna należy do kobiet, które mają swoje zdanie i czynią to, co same uznają za słuszne. Nie musimy przedzierać się przez gąszcz doradców i wątplię, by zwierzyła się komuś w zaufaniu.

– Zatem wszystko w jej rękach?

– Właśnie – przyznał Gotfryd. – Znakomicie się dziś zaprezentowałeś. Myślę, że wywarłeś na niej dobre wrażenie, bez narzucania się i wzbudzania podejrzeń Ludwika i jego dworzan. Mam absolutną pewność, że nikt niczego nie podejrzewa. Gadają tylko o tym, że przywiozłem Girauda Berlaia w kajdanach.

Henryk podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Zgodzi się – powiedział bardziej do siebie niż do ojca, po czym pomknął myślami do bogatych ziem Akwitanii i siebie jako miłościwie tam panującego. W ciągu kilku godzin całkowicie zmienił pogląd na sprawę.

Gotfryd napełnił winem kryształowe czary i podał synowi.

– Za powodzenie – wznosił toast.

Henryk wziął kielich z rąk ojca.

– Za dynastię – dodał.

Alienor siedziała na łóżku, podciągnięte pod kódrą kolana tworzyły pulpit, na którym położyła otrzymany o zmierzchu zapieczętowany list z Poitiers. Nawinęła na palec kosmyk rozpuszczonych włosów. Uchodziła za uwodzicielkę, tymczasem jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek widział ją z rozpuszczonymi włosami, był Ludwik. Oglądając kosmyk, wyobraziła sobie spojrzenie młodego Andegawena, gdyby przyjął jego propozycję i zgodziła się zostać jego żoną. Była to oferta ciekawa i kusząca, ale musiała ją starannie przemyśleć, gdyż tym razem decyzja należała do niej, pomimo ograniczeń wynikających z jej pozycji.

Puściła kosmyk, po czym wygładziła list na kolanach i przygryzła wargę. Jej serce wrywało się do autora listu, lecz względy polityczne i dobro Akwitanii czyniły ich związek niemożliwym. W wieku trzynastu lat wierzyła, że wszystko

jest możliwe, jednakże czas zesłał jej mądrość i oduczył pochopnych kroków. Ojciec i jego doradcy się nie mylili: ślub z Gotfrydem spowodowałby chaos w Akwitanii i bezpardonową walkę o wpływy.

Na Ziemi Świętej marzyła o unieważnieniu małżeństwa z Ludwikiem i podążaniu własną drogą, lecz nawet to stanowiło mrzonkę. Związek z Gotfrydem musiał pozostać tajemnicą: jej obowiązkiem było chronić Akwitanię i działać na rzecz jej świetności. Czy osiągnie ów cel za sprawą ślubu z Henrykiem, księciem Normandii, to już zupełnie inna sprawa. Ze wspólnej partyjki szachów wyczytała jedynie, że jest wybitnie inteligentny oraz uczynny bez nadskakiwania. Trochę przypominał jej giermków, których przyuczała do służby w swoim orszaku. Jeśli okaże się równie pojętny, wszystko dobrze się potoczy.

Z głębokim westchnieniem złamała pieczęć na liście Gotfryda. Blask lampy olejnej zalśnił na atramencie, lecz przyćmione światło zamazywało wyrazy. Na pozór było to sprawozdanie z bieżącej sytuacji w Akwitanii. Francuscy kasztelani Ludwika szykowali się do opuszczenia warowni, które zajmowali; nadchodził czas rozliczeń przed unieważnieniem. Lecz treść listu była też zaszyfrowana, a w wiersze wpisano prywatną wiadomość, odpowiednio powiększając lub pomniejszając litery. Gotfryd pisał, że nie może się doczekać jej powrotu. Cierpi na chorobę, którą zaraził się na Ziemi Świętej, ale już mu lepiej, a jej widok przywróci mu zdrowie.

– Niech Bóg cię strzeże, najdroższy – szepnęła i, ucałowawszy opuszki palców, musnęła nimi pergamin, który następnie schowała do szkatułki. – Niedługo będziemy razem.

2 *La rougeole* (franc.) – odra (przyp. red.).

Anjou, 4 września 1151

Wczesnowrześniowe słońce piekło niemiłosiernie orszak hrabiego Anjou i świeżo zatwierdzonego młodego księcia Normandii. Droga kurzyła się pod spłowiałym niebem, konie człapały ze zwieszonymi łbami i sierścią pociemniałą od potu. Proporce zwiotczały na drzewcach, gdyż zabrakło choćby tchnienia wiatru, który mógłby nimi załopotać. Rycerze jechali bez zbroi, kolczugi i grube tuniki wylądowały w sakwach na grzbietach zwierząt jucznych. Wyciągnięto za to słomkowe kapelusze z szerokim rondem i ludzie wycierali twarze oraz karki szmatkami zwilżanymi wodą z bukłaków.

Rudowłosy, bladolicy Henryk cierpiał katusze, ale się nie skarżył. Spotkanie w Paryżu okazało się nadzwyczaj udane. W zamian za skrawek ziemi i kilka chwil uległości król Francji oficjalnie uznał go za księcia Normandii. Dostali swój rozejm, co oznaczało, że mógł skupić się na podbijaniu Anglii, a jeśli już musi ożenić się z księżną Akwitanii, przynajmniej jest miła dla oka i zapewni mu wielkie bogactwo oraz prestiż. Nikt nie zabroni mu kochanek na boku, gdyby chciał. Na myśl o ziemiach, które weźmie w posiadanie, nanizanych jak klejnoty na rzemień, uśmiech cisnął mu się na usta.

Poprzedniego dnia spali w Le Mans, dziś planowali nocleg w Le Lude, a potem podróż do Angers na naradę z baronami.

– Ależ skwar – odezwał się ojciec. – Czuję, jakby kości płonęły mi żywym ogniem.

Henryk zerknął na niego. Od pewnego czasu jechali w milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Ojciec miał rozpaloną twarz i błyszczące oczy.

– Miłe stąd jest wspaniałe miejsce do kąpieli – rzucił. – Ochłodzimy się i wrzucimy coś na ruszt.

Gotfryd kiwnął głową.

– Nie czuję głodu – stwierdził. – Ale chętnie rozprostuję nogi.

Za to Henryk był głodny jak wilk. Upał nie osłabił jego apetytu; marzył o chlebie i serze od ładnych paru godzin.

Dotarli do piaszczystego brzegu, gdzie rzeka tworzyła turkusowe mielizny, a wierzby rzucały cień wymarzony na piknik. Henryk rozebrał się do kalesonów i z wesołym okrzykiem skoczył do wody. Ręce i twarz miał ogorzałe od ciągłego przebywania na powietrzu, ale resztę ciała białą jak mleko. Gdy woda sięgała mu powyżej kolan, rzucił się na plecy, rozpryskując ją na wszystkie strony. Ojciec również rozebrał się do bielizny i poszedł za jego przykładem, lecz gdy Henryk

próbował podtopić go dla kawału, Gotfryd odpędził go jak natrętną muchę i warknął, żeby dał mu spokój.

Henryk wzruszył ramionami i podpłynął do Amelina.

Gotfryd w końcu wyszedł z wody i, dzwoniąc zębami, odmówił zjedzenia posiłku, który giermek przyniósł mu owinięty serwetką.

– Boże jedyny – burknął. – Miałbym jeść coś takiego? Cuchnie, jakbyś trzymał to w gaciach.

Ktoś rzucił żart o wielkiej kiełbasie, co spowodowało wybuch rubasznego śmiechu, lecz Gotfrydowi nie udzieliła się ogólna wesołość. Przycupnął zawinięty w koc, z kielichem wina, którego prawie nie tknął.

– Co mu się stało? – spytał Amelin.

Henryk potrząsnął głową.

– Pewnie za dużo słońca. Stopa dokucza mu od paru dni, a sam wiesz, jak marudzi, kiedy coś go boli. Zostawmy go, niech dojdzie do siebie.

Odświeżeni, wypoczęci rycerze byli gotowi do dalszej drogi. Gotfryd z trudem dosiadł konia, nadal się trząsał. Po niedługim czasie ściągnął cugle i zwymiotował, wychyliwszy się nad siodłem.

– Ojciec? – Henryk stanął, zaniepokojony. Ojciec wciąż miał rozpaloną twarz i szkliste oczy.

– Co się tak gapisz? – wybuchł Gotfryd. – To nic takiego. Jedźmy, bo nie dotrzemy do Le Lude przed zmrokiem.

Henryk z Amelinem spojrzeli po sobie, ale w odpowiedzi kazali tylko orszakowi przyspieszyć.

Dotarli do Le Lude o zachodzie słońca, gdy niebo nosiło odcień podszytego fioletem szkarłatu. Żołnierze otworzyli bramę, żeby ich wpuścić, wjechali na dziedziniec. Gotfryd chwilę siedział na koniu, zbierając się w sobie. W drodze zwymiotował jeszcze dwukrotnie, cały dygotał. Gdy wreszcie spróbował zeskoczyć z siodła, kolana odmówiły mu posłuszeństwa, w ostatniej chwili Henryk i Amelin podtrzymali go i uchronili przed upadkiem. Henryk poczuł, jaki jest rozpalony, i ogarnęły go złe przeczucia.

W ciągu kolejnych trzech dni stan Gotfryda bardzo się pogorszył. Rzęziło mu w płucach, a ciało pokryło się czerwoną wysypką, co stanowiło dowód, że zaraził się *rougeole* w Paryżu. Medyk kręcił głową, kapelan przyszedł wysłuchać spowiedzi chorego. Henryk miotał się po ojcowskiej komnacie jak lew w klatce. Ojciec od zawsze był obecny w jego życiu, wspierał go cierpliwie, nawet gdy syn stanął już na własnych nogach. Często działali sobie na nerwy, a męska ambicja pchała ich do ciągłej rywalizacji, lecz więź, która ich łączyła, była nierozzerwalna. Ojciec za synem, syn za ojcem, zawsze lojalni. Henryk pragnął się uniezależnić od

swego patriarchy, lecz nie wyobrażał sobie trwałej rozłąki.

– Wydepczesz dziurę w podłodze – mruknął Gotfryd słabym, poirytowanym głosem. Siedział na łóżku, podparty licznymi poduszkami. W ciągu ostatnich kilku godzin spadła mu gorączka, lecz oddychał z trudem i palce mu zsiniały.

Henryk podszedł do łóżka i wziął go za rękę.

– A cóż innego mam robić? – zapytał.

– Ha, nigdy nie umiałeś usiedzieć w jednym miejscu – wychrypiał Gotfryd. – Powinieneś nauczyć się tego od Amelina. – Wskazał głową na swojego bękarta, który siedział na krześle przy palenisku z głową zwieszoną nad zaciśniętymi dłońmi, a jego rozpacz była wręcz namacalna.

– Posiedzę, jak umrę.

Gotfryd zarechotał ponuro.

– Jesteś dla mnie wielką pociechą.

– Nie chciałbyś, żebym czekał z założonymi rękami.

– Czasami trzeba. Siadaj. Chcę z tobą pomówić, póki mam jeszcze siłę i wszystkie klepki.

Henryk przysiadł z ociąganiem na skraju łoża. Jego obowiązkiem było czuwać przy ojcu, choć najchętniej osiodłałby konia i stanął w szranki z kostuchą.

Gotfryd zebrał swoje wątłe siły i zaczął, robiąc częste przerwy na oddech.

– Jesteś moim dziedzicem. Anjou będzie twoje, tak jak Normandia.

Henryk poczerwieniał. Chciałby zobaczyć minę młodszego brata, który od dawna rościł sobie prawa do ojcowizny. Odetchnął, że Gotfryd podziela jego, Henryka, punkt widzenia.

– Będę nim mądrze zarządzał – obiecał.

– Trzymam cię za słowo. Nie spraw mi zawodu. – Gotfryd ze zmęczenia przymknął oczy i milczał długą chwilę. – Twój bracia też nie mogą zostać z niczym. Obdaruj Wilhelma wedle własnego uznania, lecz Gotfryd ma dostać, co mu się należy.

Henryk zeszywniał. Niedobrze. Gotfrydowi należał się co najwyżej kopniak w tyłek.

– Mianowicie, ojczu?

– Zamki w Chinon, Loudun i Mirebeau. Zgodnie z obyczajem mają przypaść młodszemu synowi.

Henryk zacisnął wargi. Ani mu się śniło oddać młodszemu bratu te zamki, były zbyt cenne pod względem strategicznym. Wiedział doskonale, że smarkaczowi marzy się całe Anjou. Nie zadowolili się takim spadkiem, wykorzystają go jedynie do wszczęcia buntu.

– Słyszysz, co mówię? – wyrzęził Gotfryd.

– Tak, ojczu – zapewnił Henryk.

– Przysięgnij zatem, że tak uczynisz.

Henryk przełknął ślinę.

– Przysięgam – wycedził przez zęby. Na szczęście nie pętał się tam żaden kapelan. Umierający nie powinien wywierać nacisku na żywych.

Gotfryd obnażył zęby.

– Masz dotrzymać słowa, bo cię przeklnę zza grobu – wykrztusił. – Opiekuj się też Amelinem i wspieraj go. Jest twoją prawą ręką, jeden ojciec was spłodził. Zawsze o tym pamiętaj. Będzie twoim największym sprzymierzeńcem.

Henryk przytaknął, z tym był skłonny się zgodzić.

– Zatrószczę się o niego, ojczu – zapewnił, zerkając przez ramię. – Gdy Anglia będzie moja, znajdę mu dziedziczkę i dobre ziemie.

– I pamiętaj o swojej siostrze przyrodniej w Fontevraud. Niech Emma też ma zapewnioną dobrą opiekę.

– Tak, ojczu. Uczynię wszystko, co należy.

– Dobrze. – Gotfryd ponownie umilkł, żeby odpocząć. Wydało się Henrykowi, że zasnął, ale kiedy chciał zabrać rękę, palce Gotfryda się zacisnęły. – Twoje małżeństwo. – Przygwoździł syna spojrzeniem przekrwionych oczu. – Zrób, co należy, żeby księżna Akwitanii cię nie odtrąciła.

– Obiecuję, ojczu.

– Kobiety są niestałe, sprowadzą cię na manowce, jeśli dasz im ku temu sposobność. Masz być zawsze na gorze, w każdym znaczeniu tego słowa, bo będą cię ujeżdżać, jak to kobiety mają w zwyczaju.

Henryk uśmiechnął się w duchu na tę analogię, lecz powściągnął rozbawienie, gdyż ojciec mówił zupełnie poważnie.

– Nie ufaj kobietom. Ich bronią jest nie klinga ani pięść, lecz spojrzenie, czule słówko w alkowie oraz kłamstwo. Miej zaufanych ludzi, którzy nie spuszczą jej z oka w dzień i w nocy, inaczej nigdy nie będziesz panem swego domu. – Pierś Gotfryda wezbrała, gdy z wysiłkiem dobierał słowa. – Niech rodzi dziecko za dzieckiem i niech twoje nasienie będzie silniejsze, aby dała ci synów, w przeciwnym razie żadna z niej żona. Ty będziesz rządził, a ona da ci ku temu środki. – W nagłym przyplywie sił ścisnął synowi rękę jak w imadle. – Tak nakazuje Bóg, więc bądź łaskaw mieć to na uwadze. Czyń, jako i ja czyniłem.

Henryk zrozumiał, że to ostatnie słowa mądrości, które usłyszy od ojca. Straci ten drogowskaz, wsparcie, które w nim miał, dlatego skupił na nich całą swoją uwagę.

– Nie zawiodę cię, przyrzekam.

– Wiem, że nie zawiedziesz. Dobry z ciebie syn, byłeś moją radością od dnia swoich urodzin. Pamiętaj o mnie, kiedy sam doczekasz się synów... Nazwij jednego z nich moim imieniem.

– Będzie to dla mnie zaszczyt, ojczu.

Gotfryd wydał tchnienie, które wstrząsnęło jego ciałem.

– Jestem taki zmęczony – szepnął. – Teraz odpocznę.

Chęć, aby zerwać się i działać, w toku ojcowskiej przemowy gdzieś wyparowała. Nastąpiła chwila napięcia przed nieuniknionym. Czas między jednym mozolnym oddechem a kolejnym. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną: świat jest zbyt pełen okazji i obietnic, kapiących jak sok z dojrzałego owocu, który aż się prosi, żeby go zjeść. Ale cóż więcej miał teraz do zaoferowania ojcu, prócz swego czasu i słowa?

Amelin przysunął się do łóżka.

– Słyszałem, co powiedział. – Zerknął uważnie na brata. – I co ty powiedziałaś, słowo w słowo.

– Mówiłem poważnie o dziedzicze i ziemiach – odrzekł Henryk. – Jeśli złożysz hołd mnie jednemu.

Amelin zacisnął zęby.

– Nie złożę ci hołdu, póki żyje nasz ojciec, uczynię to, gdy zostaniesz hrabią Anjou. Nie kocham cię, bywa, że cię nienawidzę, lecz nic nie stoi na przeszkodzie, abym poprzysiągł ci wierność w zamian za to, co masz do zaoferowania.

– Ja ciebie też nie kocham – odparł Henryk. – Ale mam do ciebie bezgraniczne zaufanie i hojnie cię wynagrodzę.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i uklękli obok siebie, aby czuwać dalej.

Paryż, jesień 1151

Raul z Vermandois spędził miły wieczór na grze w kości z Robertem z Dreux i garstką dworzan. Większość, w tym Ludwik, wcześniej udała się na spoczynek, gdyż następnego dnia skoro świt dwór wyruszał do Akwitanii. Załadowano wozy, spakowane sakwy złożono w kącie wielkiej sali, gdzie strażnik strzegł ich niczym smok skarbów. Podróż miała stać się początkiem końca małżeństwa królewskiej pary. Następnie Ludwik powróci do Francji, a reszta będzie formalnością do zatwierdzenia przez Kościół.

– Będiesz wolnym człowiekiem, kuzynie, bez stukniętej siostry królowej na karku – odezwał się Robert. Twarz miał zaróżowioną od wina. – Pewnie żałujesz, żeś w ogóle na nią spojrzał.

– Żałuję tylko tego, co nastąpiło później. – Raul zgarnął swoją wygraną.

– Przyznaj się, uwiodłeś ją, bo jest siostrą królowej; myślałeś, że zapewnisz sobie wpływy przez drzwi do alkowy.

Raul wzruszył ramionami.

– Jeśli nawet, nie jestem w tym odosobniony. – Wstał i wsypał garść monet za dekolt kurtyzany, która podniosła się razem z nim. Tej nocy nie chciał być sam, a piersiasta, dobroduszna Felicja miała wszystko, czego było mu trzeba. – Idę spać – oznajmił.

Robert uniósł brwi.

– Właśnie widzę. I masz wygodny siennik.

– Trzymam tu moje skarby. – Raul zanurkował palcami między piersi kurtyzany, która pisnęła. – W moim sienniku.

Zaprowadził ją do swej komnaty, całując i pieszcząc po drodze. Był lubieżny i nienasycony, ale nie na miarę potrzeb Petroneli, którą akt miłosny miał utwierdzić w poczuciu atrakcyjności, przekonać, że jest kochaną. Lecz efekt był zawsze ulotny: im więcej dawał, tym więcej pragnęła, i wciąż czuła niedosyt. Gdy odmawiał, wpadała w gniew i oskarżała go, że marnuje czas na inne kobiety. Cóż, teraz właśnie to robił, choć nie nazwałby tego marnotrawstwem, lecz przyjemnością. Świadomość rychłego wyjazdu Petroneli pozwoliła mu nareszcie rozwinąć skrzydła.

Otworzył drzwi komnaty i wciągnął Felicję do środka. Zachichotała, kiedy przycisnął ją do ściany, całował w szyję i pocierał między nogami. Naraz wrzasnęła i zaczęła się wrywać z oczami wybałuszonymi z przerażenia. Odwróciwszy się, zobaczył Petronelę, która nacierała na nich z uniesionym nożem,

gotowa zadać cios.

Uratował go żołnierski refleks: zrobił unik i chwycił żonę za nadgarstek, wykręcając go dopóty, dopóki nie puściła noża, który następnie kopnął na bezpieczną odległość.

– Łajdaku! – krzyknęła. – Nikczemniku! Wiedziałam, że to prawda. Wszyscy powtarzali, że sobie wmawiam, ale ja wiedziałam! – Szarpnęła się, próbując dosięgnąć go paznokciami. – Wolisz dziwkę od własnej żony! Jak mogłeś mnie tak poniżyć?!

– Sprowadź mojego szambelana – rozkazał Felicji, nie przestając szamotać się z Petronelą. – Obudź giermków, niech Jan biegnie po królową.

Felicja nie dała sobie dwa razy powtarzać.

– Nienawidzę cię, nienawidzę! – szlochała Petronela, kopiąc i wymachując pięściami.

– I dlatego musimy się rozstać – wydyszał z twarzą wykrzywioną ze zgrozy i wysiłku. – Tylko siałabyś zniszczenie. Chciałaś mnie zabić.

Odsłoniła zęby.

– Tak, i zatańczyłabym w kałuży twojej krwi!

Na jedno uderzenie serca ogarnęło go podniecenie, mroczne i obrzydliwe, wiedział jednak, że ulec mu byłoby podłym gwałtem na nich obojgu, i zmierziała go reakcja własnego ciała. – Jesteś chora. – Chwycił ją mocno i odsunął. – Ja umyвам ręce. Niech zajmą się tobą ci, którzy się do tego nadają.

Przybiegł szambelan i giermkowie, tuż za nimi Alienor. W Petronelę wstąpił demon: szarpnęła się ze zdwojonym wysiłkiem, po czym nagle zwiotczała jak pod wpływem śmiertelnego ciosu.

– Zanieś ją do mojej komnaty – rozkazała szorstko Alienor. – Marchisa się nią zajmie.

Raul ruszył za nią z Petronelą na rękach, giermkowie szli na czele, oświetlając kręte schody pochodnią. Alienor poleciła mu położyć Petronelę na łożu, a Marchisa pospieszyła do jej boku.

– Próbowała mnie zabić – oznajmił Raul z mieszaniną litości i odrazy. – Zaczaiła się z nożem.

Alienor posłała mu pełne wzdargi spojrzenie.

– Byłeś z kurtyzaną, prawda?

Rozłożył ręce.

– Cóż z tego? Więz z Petronelą dawno umarła. Przestałem z nią sypiać z obawy o swoje życie, żeby nie wbiła mi noża w serce, kiedy zasnę. Oskarżała mnie o konszachty z innymi kobietami, nawet kiedy sobie na to nie zasłużyłem. – Odwinął górną wargę. – W końcu się doigrała.

– Od początku wiedziałeś, że jest nieobliczalna.

Nadął policzki.

- Bywała wybuchowa, lecz, na miłość boską, tego się nie spodziewałem.
- Wiedziałaś też, że jest siostrą królowej, i stwierdziłaś, że gra jest warta świeczki. Zerwałeś owoc i się nim nasyciłeś, a teraz twierdzisz, że jest trujący.
- Bo jest! Na nią nie ma siły. – Wykonał zamaszysty gest. – Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać. Przestała odróżniać jawę od snu.
- Ja się nią zajmę. Idź, nie chcę już na ciebie patrzeć.
- Na twoim miejscu pochowałbym wszystkie ostre przedmioty.

Alienor przymknęła oczy.

- Idź, Raul.
- Będę się za nią modlił, ale między nami skończone. – Wyszedł ciężkim krokiem, zgarbiony.

Felicja czekała w komnacie, ubrana tylko w jego płaszcz z futrzaną podszewką, ale ją odprawił. Odechciało mu się wszystkiego.

Ukląkł przy ołtarzyku w kącie, zapalił świecę i pochylił głowę. Kiedy wstał, kolana miał zeszywniałe, a policzek niepokryty bliznami śliski od łez.

Przygryzając wargę, Alienor spojrzała na Petronelę, która odwróciła się twarzą do ściany i przymknęła oczy.

– Nic nie mogę dla niej zrobić, pani – szepnęła Marchisa. – Jest w Bożych rękach.

– Dwór dostarcza jej zbyt wielu wrażeń, z kolei na wsi popada w melancholię i jest jeszcze gorzej. Przyszło mi do głowy, aby zawieźć ją do ciotki Agnieszki w Saintes. Jako mniszka może nie zaznałaby ukojenia, ale miałyby tam dobrą opiekę.

– Myślę, że stały porządek dnia i modlitwa przyniosłyby jej ukojenie, pani – przytaknęła Marchisa.

Alienor westchnęła.

– Omówię sprawę z Raulem i napiszę do ciotki z prośbą o schronienie dla Petroneli. W dzieciństwie często tam jeździłyśmy. – Posmutniała na wspomnienie gonitw po słonecznych korytarzach, kiedy jej ojciec odwiedzał Saintes. Ze śmiechem chowały się za kolumnami w podkasanych sukienkach i z rozwianymi warkoczykami, jasnymi i brązowymi, związanymi kolorowymi wstążkami. A potem klęczały w kościele ze złożonymi rękami i wymieniały psotne spojrzenia. Może w Saintes dobry Bóg przegna mrok z duszy Petroneli i wypędzi z niej demony.

– Och, Petro – szepnęła i przyglądała zmierzwiłone włosy siostry kochającą, zatroskaną dłonią.

W złocisty wrześnieowy ranek Alienor stała w pałacowym ogrodzie i patrzyła na bawiące się dzieci. Były w różnym wieku, począwszy od maluchów, które ledwo zaczynały chodzić, aż po długonogich nastolatków wchodzących w okres dojrzewania. Wśród nich było troje dzieci Petroneli, Izabela, Raul i mała Alienor. Rozłąka z matką nie będzie łatwa, ale ponieważ ostatnio nie czuła się na siłach nimi opiekować, złagodzi to nieco rozstanie. Powiedziano im już, że jest chora i jedzie do klasztoru w Saintes się wykurować.

Obok piastunki siedziała złotowłosa dziewczynka pochłonięta robótką. Jasne kosmyki wymknęły się z warkocza, tworząc aureolę wokół głowy. Z przejęcia przygryzła dolną wargę. Inna kobieta trzymała za rączkę drugą dziewczuskę o identycznych blond włosach i pomagała jej utrzymać równowagę, gdy chwiejnie, lecz z determinacją stawiała pierwsze kroki na trawie.

Alienor stała nieco z boku, będąc pozornie częścią sceny, a zarazem w oderwaniu, jak margines rękopisu. Wieczorem pożegnała się z córkami, a gdy całowała ich chłodne, różane policzki, w sercu czuła tylko smutek podszyty żalem. Nie знаła tych dzieci. Łączyła ją z nimi więź, zanim przyszły na świat, która została przerwana wraz z przecięciem pępowiny. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa już nigdy ich nie zobaczy.

Utrwaliła w myślach ich widok, bo tylko on jej zostanie, następnie odwróciła się i dołączyła do orszaku, który niebawem wyruszał w drogę do Poitou.

Trzeciego dnia podróży Alienor z Ludwikiem nocowali w zamku Beaugency, dziewięćdziesiąt mil od Paryża i sto dziesięć od Poitiers. Gdy siedzieli obok siebie na uczcie wyprawionej przez jego pana, Eudesa de Sully, stanowili jedność jako król i królowa Francji, ale między nimi ziała przepaść i szalał w niej tajfun. Nie mogli już na siebie patrzeć, ale łączył ich węzeł prawa. Ludwik obwinał Alienor za to, że Bóg za karę odmówił im syna: wina leżała po jej stronie, lecz on za to płacił. Przeżuwał jadło w posępnym milczeniu i odpowiadał półsłówkami.

Alienor też była małomówna, starała się dotrwać do końca wieczoru. Każdy dzień przybliżał ją do końca tej farsy, lecz unieważnienie niosło ze sobą wachlarz dylematów zgoła odmiennego rodzaju. Unosząc kielich, dostrzegła posłańca, który nadchodził korytarzem w stronę wielkiej sali; ten widok ją zaniepokoił, gdyż nie zakłócano uczyty z błahego powodu. Posłaniec zerwał czapkę z głowy, ukląkł i podał zapieczętowany pergamin odźwiernemu, który czym prędzej zaniósł go Ludwikowi.

– Z Anjou – mruknął Ludwik i złamał pieczęć. Zapoznawszy się z treścią, spoważniał. – Gotfryd le Bel nie żyje – oznajmił. Podał żonie list i jął wypytywać posłańca.

Alienor przeczytała wiadomość, która została podyktowana przez Henryka i choć uprzejma w tonie, zawierała tylko najważniejsze szczegóły. Posłaniec dopowiedział resztę: Gotfryd zachorował po kąpeli w Loarze i zostanie pochowany w katedrze w Le Mans.

– Nie do wiary. – Alienor potrząsnęła głową. – Zauważyłam w Paryżu, że czuje się gorzej, ale w głowie mi nie pozostało, że stoi nad grobem. – Wezbrał w niej smutek, łzy napłynęły jej do oczu. Ona i Gotfryd stali po przeciwnych stronach barykady, a zarazem sobie sprzyjali. Lubiła ścierać się z nim słowem i grzała się w blasku jego uznania. Flirt z nim stanowił jedną z jej największych przyjemności, a przy tym hrabia był miły dla oka. – Świat stanie się bez niego uboższy – rzekła, ocierając oczy. – Panie, świeć nad jego duszą.

Ludwik odprawił posłańca i wymamrotał stosowną formułkę, ale miał błysk w oku.

– Zatem – powiedział – przekonamy się, na co stać młodego hrabiego Anjou, i czy podoła swoim obowiązkom. Sprawiał wrażenie dość pospolitego młodzieńca.

Alienor milczała; po części oswajała się ze smutną wieścią, a po części miała świadomość zmian, jakie z sobą niosła. Wątpiła też, aby Henryk w istocie był pospolity.

– Francja może tylko zyskać na kontaktach z równie niedoświadczonym młokosem.

– Bardzo kochał ojca – stwierdziła Alienor. – To rzucało się w oczy, kiedy razem przyjechali. Na pewno gorzko opłakuje jego stratę.

– I słusznie. – Ludwik zwrócił się do swoich baronów. Alienor udała się do swojej komnaty. Poprosiła o przybory do pisania, po czym usiadła i skreśliła kilka słów do Henryka z wyrazami współczucia. Pochwaliła go za hart ducha i wyraziła nadzieję, że będzie mogła osobiście złożyć mu kondolencje w niedalekiej przyszłości. Treść była uprzejma i nikt nie uznałby jej za niestosowną, nawet ludzie pokroju Teodoryka Galerana, który ani chybi dobrałby się do jej korespondencji, gdyby zyskał ku temu sposobność. Zapieczętowała list i poleciła szambelanowi przekazać go posłańcowi z Anjou. Nalała sobie wina i wpatrzyła się w ogień z myślą, że gdyby wyszła za Henryka, Ludwik stałby się jej politycznym przeciwnikiem, a to wymagałoby od niej ogromnych zasobów sprytu oraz szczęścia, aby nie pójść na dno.

Alienor wjechała do Poitiers na koniu nakrapianym jak kolczuga. La Reina siedziała jej na nadgarstku, z białymi piórami połyskującymi w słońcu, które wciąż przygrzewało na przekór nadciągającej jesieni. Rozpierało ją cudowne poczucie wolności i radości z powrotu do domu, gdy wasale wylegli jej na spotkanie. Zrazu nie zauważyła wśród nich Gotfryda z Rancon, widziała jednak kilku baronów

z Taillebourga i Gençay. Nagle dostrzegła go w kręgu zebranych; natychmiast rozpoznała ciemne, falujące włosy i strzelistą, wyprostowaną sylwetkę. Odwrócił się ku niej i z rozczarowaniem stwierdziła, że to wcale nie Gotfryd, lecz znacznie młodszy mężczyzna – niemalże chłopiec.

Podszedł do niej i przykląkł ze spuszczoną głową.

– Pani, mój pan ojciec prosi o wybaczenie, gdyż drobna przypadłość zatrzymała go w domu, dlatego mnie, swojego imiennika, przysłał w zastępstwie. Ma jednakże nadzieję wkrótce ujrzeć cię osobiście.

Alienor wiedziała, że Gotfryd nie wymówiłby się „drobną” przypadłością: jedynie coś bardzo poważnego mogło powstrzymać go od przyjazdu, toteż poczuła ukłucie niepokoju. Niestety, miała związane ręce, stojąc oko w oko z młodzieńcem nieświadomym więzi między nią a swoim ojcem.

– Życzę mu szybkiego powrotu do zdrowia z nadzieją na rychłe spotkanie – odrzekła i poleciła mu wstać.

Skłonił głowę, ale dostrzegła w jego oczach błysk zwątpienia. Ich rozmowa pełna była pustych słów i oboje doskonale o tym wiedzieli.

Alienor ponownie zasiadła w sali tronowej w Poitiers. Nad tronami, na których siedzieli z Ludwikiem obok siebie, rozciągał się jedwabny baldachim w złote gwiazdy. La Reina przycupnęła na wysokiej żerdzi obok królowej jako symbol jej władzy. Alienor ostatnio zasiadała tu przed długą podróżą do Jerozolimy, i choć salę udekorowano z przepychem, całość wymagała renowacji. Część zaprawy pamiętała lepsze czasy, a po cudach Jerozolimy i Konstantynopola zamek robił wrażenie prowincjonalnej ciasnoty. Alienor obiecała sobie, że gdy wypłacze się już z małżeństwa, postawi nowy, by wyróżniał Akwitanię spośród dworów świata.

Skwaszony Ludwik wcześniej udał się na modlitwę. Alienor złożyła to na karb zazdrości – wasale zgotowali jej wspaniałe powitanie, a on czuł się odsunięty na dalszy plan. Radość, z jaką rozmawiano o unieważnieniu, boleśnie nadszarpnęła jego dumę. Zazdrość męża wzbudziła w niej pełną rozbawienia wzdargę, pławiła się wręcz w jego niezadowoleniu. Im częściej chmurnie spoglądał, z tym większą ochotą flirtowała, brylowała i wznosiła się na towarzyskie wyżyny. Wiedziała, że jej wasale zachodzą w głowę, co będzie, gdy dostanie rozwód. Część rywalizowała już o stanowiska kasztelanów warowni opuszczanych przez francuskie garnizony Ludwika. Alienor bawiły awanse czynione jej przez baronów, którzy chcieli coś dla siebie ugrać, nie składała jednak pochopnych obietnic i zachowała czujność. Jeśli Gotfryd rzeczywiście niedomagał, nie mogła polegać na nim tak, jak tego oczekiwała. Postanowiła jak najszybciej udać się do Taillebourga.

Alienor i Ludwik zjawili się w Taillebourgu w deszczowy poranek na początku października. Ogromna warownia na straży przeprawy przez Charente lśniła jak w kolczudze, zachmurzone niebo odbijało się w stalowej tafli rzeki. Mżyło i gdy wjeżdżali pod sklepieniem bramy na dziedziniec, wilgoć osnuła twarz Alienor jak pajęczyna. Syn Gotfryda wyruszył dzień wcześniej, aby przygotować wszystko na ich przyjazd; teraz wybiegł im na spotkanie i zaprosił do środka. Jego siostry, Burgundia i Berta, nadeszły ze swoimi mężami, pierwsza wysoka jak ojciec, a druga wesoła i pulchna, z dołeczkami w policzkach, choć gdy uklękła przed Alienor, wyglądała na nieco zgaszoną.

Wielka sala budziła zachwyt. Ogień trzaskał w kominku, sieczka, którą wysypano posadzkę, wydzielala czysty, słodkawy aromat. Świece rozpraszały szarość zza okien. Alienor potoczyła wzrokiem dokoła i poczuła, jak wspomnienia napierają zewsząd, dopominając się o swoje prawa. Grywała tu z Gotfrydem w szachy, radowała się muzyką i tańczyła z nim oraz jego rodziną. Widziała jego dzieci w kołysce i płakała nad nimi, kiedy żona Gotfryda umarła w połogu. Później za sprawą pączkującej kobiecości ujrzała go w nowym świetle, a on wziął ją za rękę. A potem umarł ojciec i jej świat legł w gruzach. Poprzednio przybyła do Taillebourga jako oblubienica Ludwika.

Tym razem dostali oddzielne sypialnie, zaniechano nawet pozorów. Alienor z ulgą przyjęła fakt, iż nie była to komnata z ich nocy poślubnej, tylko mniejsza, z czerwonymi draperiami i rozpalonym kominkiem, który odpędzał chłód znad rzeki. Miękkie światło nadawało wnętrzu przytulną atmosferę. Na skrzyni do siedzenia, ustawionej w najjaśniejszym kącie, ułożono stosik książek. Gdy Marchisa pomagała królowej zdjąć płaszcz, najstarsza córka Burgundia przyniosła mosiężną misę ciepłej, pachnącej wody do mycia.

– Bardzo mi przykro z powodu choroby waszego ojca – zagadnęła ją Alienor. – Czy mogę mieć nadzieję, że czuje się lepiej?

Burgundia spuściła wzrok, bacząc pilnie, by nie uronić ani kropli.

– Twoja wizyta podniesie go na duchu, pani – odrzekła. – Wyczekiwał jej niecierpliwie i rad jest niezmiernie.

Alienor umyła twarz i ręce, po czym starannie się ubrała. Pod spód włożyła koszulę z najdelikatniejszego płótna w misterne hafty, a na nią suknię z zielonego jedwabiu z rozszerzanymi rękawami wyszywanymi perłami i szmaragdami oraz złoty pas przystrojony w podobny sposób. Marchisa schowała jej włosy pod złotą siatką, następnie uperfumowała nadgarstki, szyję i skronie olejkiem zapachowym, prezentem od Melisandy. Na koniec przypięła do sukni broszę z orłem, prezent od Gotfryda. Tak wystrojona, wzięła głęboki oddech, zebrała się w sobie i poszła do niego.

W komnacie zastała synów Gotfryda wraz z garstką domowników. Sam

Gotfryd siedział na krześle przy oknie; on też wystroił się na tę okazję w zdobioną tunikę z czerwonej wełny. Kiedy weszła, zaparł się o poręczę i dźwignął ciężko.

Z trudem ukryła wstrząs na widok tego szkieletu obleczonego cienką niczym pergamin żółtawą skórą. Ledwie mógł ustać na nogach, cały aż drżał z wysiłku.

– Pani – odezwał się słabym głosem. – Wybacz, że nie mogę przyklęknąć.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Między nami zbyteczne są takie prośby – oznajmiła. – Zbyt długo się znamy. Usiądź, proszę.

Gotfryd opadł z powrotem na krzesło, przytrzymując się stołu, i odetchnął. Jego syn przyniósł wyściełany fotel dla Alienor i ustawił naprzeciw ojca.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – spytała.

Wykonał nieokreślony gest.

– Bo miałem nadzieję, że mi się polepszy. Wciąż mam nadzieję, że nastąpi to z pomocą Bożą, gdyż przychodzi czas, gdy człowiekowi nie zostaje nic prócz nadziei, na wyzdrowienie lub uwolnienie od męki. Bez niej pozostaje nam tylko nicość, prawda? Wiedziałem, że przyjedziesz, i modliłem się o łaskę, aby tego doczekać.

Ścisnęło ją w gardle. To było nie do zniesienia. Pragnęła zarzucić mu ręce na szyję, lecz przy tylu świadkach nie mogła.

– Zatem jestem. – Nakryła dłonią jego rękę w pozornie serdecznym, współczującym geście, który znaczył o wiele więcej.

– Mój syn będzie dobrze ci służył. Przyuczałem go od czasu powrotu z Antiochii, jest pojętny i pracowity.

Alienor spojrzała na młodzieńca, który skłonił się zakłopotany.

– Jestem pewna, że przyniesiesz chlubę ojcu i Akwitanii – oświadczyła, po czym ponownie zwróciła się do Gotfryda i ściszyła głos. – Chciałabym pomówić z tobą w zaufaniu.

Gotfryd dał znak synowi.

– Zostaw nas – polecił. – Wezwę cię w razie potrzeby.

Pańska komnata była w ciągu dnia otwarta dla wszystkich, więc młodzieniec tylko się odsunął poza zasięg słuchu, lecz pozostał wewnątrz.

– Brak mi słów. – Nadal mówiła ściszym głosem, dotkliwie świadoma wszędobylskich uszu. – Jestem zdruzgotana. Pragnęłam mieć cię przy sobie jeszcze długie lata.

Uśmiechnął się blado.

– Zawsze będziesz mnie miała – odrzekł. – Nic się nie zmieniło. Spędzaliśmy w sumie więcej czasu osobno niż razem, prawda?

– Nie z wyboru.

– Ale taki jest porządek świata.

Zwróciła uwagę na jego lodowate dłonie i wysiłek, z jakim oddychał.

– Co wcale niczego nie ułatwia. – Spuściła wzrok i przygryzła wargę. – Dostałam propozycję małżeństwa z chwilą unieważnienia pierwszego. – Urwała, żeby się uspokoić, po czym uniosła głowę i rzekła: – Henryk, książę Normandii, poprosił mnie o rękę.

Gotfryd spojrział na nią zażółconymi oczami, jego twarz się nie zmieniła.

– Udzieliłaś mu odpowiedzi?

– Jeszcze nie. Chciałam to z tobą omówić, ale powinieneś teraz odpocząć.

Gotfryd zebrał się w sobie.

– Mam dosyć sił na rozmowę z tobą, mimo że gasnę – oznajmił z godnością i odchylił się do tyłu. – Jest od ciebie znacznie młodszy.

– Owszem – przytaknęła. – Ledwie stał się mężczyzną, chociaż już zdążył się wykazać. Przyjechał z ojcem do Paryża. – Świadomość, że ten ostatni już nie żył, przybliżyła jeszcze widmo śmierci. – Jeszcze nie wyrobiłam sobie o nim zdania. Na ogół był milczący i powściągliwy, przypuszczam jednak, iż celowo, gdyż przeczy to pogłoskom na jego temat, wedle których jest rzutki i pewny siebie. Nie mam co do niego pewności i dlatego się waham. – „I pomyślałam, że zostaniesz moim doradcą, lecz nie było nam to pisane”. – Jego ojciec bardzo o to zabiegał, ale zawsze chciał połączyć Anjou z Akwitanią, do tego musiał działać ostrożnie, jak się domyślasz. Gdyby Ludwik zwęszył pismo nosem, kazałby ich obdrzeć ze skóry.

Gotfryd chrapliwie nabrał tchu.

– Jeśli poślubisz tego młodzieńca, Ludwik nie daruje wam tego, dopóki żyje.

Alienor zadarła podbródek.

– Nie obchodzi mnie pogląd Ludwika. Jako jego żona często obawiałam się jego nastrojów i byłam zniesmaczona jego traktowaniem, ale nie przeraża mnie jako polityczny przeciwnik. Nie uważam go za równego sobie.

– I słusznie. – Gotfryd uśmiechnął się nieznacznie. – Masz czas, żeby to przemyśleć i ocenić postępy księcia.

Przytaknęła. Słowo „czas” też wzbudziło w niej żal.

– Musisz wyjść za mąż – dodał. – A godnych kandydatów jest niewielu.

Przełknęła ślinę.

– Znasz moje zdanie.

– Owszem, lecz oboje wiemy, że byłaby to mało korzystna droga dla Akwitanii, a zresztą teraz to już nieistotne. – Zwiesił głowę, jakby ciążyła mu na szyi, a jego ziemista skóra poszarzała jeszcze bardziej.

– Dopilnuję, aby twój syn otrzymał należyte wsparcie – oznajmiła, z trudem panując nad głosem. – Zrobię dla niego, co w mojej mocy, gdyż wiem, że on uczyni to samo dla mnie i dla swego ojca. – Powoli odsunęła rękę. – Myślę, że powinieneś chwilę odpocząć.

Gotfryd z wysiłkiem podniósł głowę.

– Odwiedzisz mnie jeszcze przed wyjazdem?

– Naturalnie, uważam to pytanie za zbyteczne. – Wstała i dotknęła lekko jego policzka, jak księżna wiernego wasala w trudnym położeniu, ale w sercu miała głęboką ranę. To nie było miejsce na pożegnanie.

Ujął jej dłoń i przytrzymał w swojej.

– Gdybym mógł skraść ze swej młodości jeden wiosenny poranek i porwać cię tam na zawsze, zrobiłbym to bez wahania – zapewnił ochrypłym szeptem.

– Przestań... – Głos jej zadrżał.

– Zachowaj tę myśl i przekazuj ją we wspomnienie, którym nigdy nie była, lecz zawsze będzie.

Krwawiło jej serce.

– Tak – powiedziała. – Zawsze.

Urwał, by nabrać tchu.

– Idź już. Niebawem się zjawię. Odkąd cię zobaczyłem, już mi lepiej. – Puścił jej rękę i Alienor wyszła z komnaty z podniesioną głową, ale w korytarzu oparła się o mur i piekące łzy popłynęły jej z oczu.

Gotfryd nie miał siły ukryć własnej rozpacz, kiedy odchodziła, jakby naprężyła się nić między jego sercem a jej dłonią. Nie dbał, kto widzi jego łzy, bo wiedział, że inni wezmą je za słabość chorego, który nie może już służyć swej pani i Akwitanii. Zabierze prawdę do grobu i ona będzie dla niego pociechą.

Beaugency, marzec 1152

Alienor chwyciła poręcz krzesła i, nabrawszy głęboko tchu, uniosła podbródek. Znajdowała się ponownie w Beaugency i siedziała na podwyższeniu w wielkiej sali, gdzie oczekiwała, aż zebrani biskupi unieważnią jej małżeństwo z Ludwikiem. Dokument był już gotowy, wystarczyło jedynie, by tusz obsechł na pergaminie, a całość opatrzyła pieczęć.

Dzień wcześniej przyjechała z Poitiers, aby wysłuchać wyroku Kościoła i otrzymać potwierdzenie. Były to jej ostatnie godziny w roli królowej państwa Franków i zakończenie piętnastoletniego małżeństwa, które od początku stanowiło pomyłkę. Ludwik siedział na tronie obok z beznamiętną miną. Nieśmiały, srebrnowłosy chłopiec stał się zgryźliwym trzydziestodwuletnim dewotem z głęboką zmarszczką między brwiami. Ale w półcieniu nadal był przystojny, a do tego miał władzę. Alienor wiedziała, iż żądni awansu ojcowie będą podsyłać mu swoje córki, lecz Boże dopomóż nieszczęsnej, na którą padnie jego wybór.

Biskup z Langres powstał ze swego miejsca wśród zgromadzonych duchownych. Pierś miał wypiętą jak paw, oczy błyszczały mu jak dwa sztylety. Wbił je w pergamin, który trzymał w dłoni, pieczęć dyndała na plecionym sznurku. Alienor podejrzewała, że to tylko notatki, ale wszyscy mieli je uważać za ważny dokument.

– Zastanawiam się – zaczął, drapiąc się po brodzie – czy poruszyć kwestię niewierności królowej. – Z tymi słowy potoczył dokoła wzrokiem. – Stwierdzono ją kilkukrotnie, mamy ludzi, którzy mogą o tym zaświadczyć.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Alienor poczuła, że żołądek przykleja się jej do kręgosłupa. Przywdziała na twarz nieruchomą maskę, lecz jej myśli gnały jak oszalałe. Co on wie? Co powie?

Biskup wziął ze stołu złotą klamrę, jedną z tych, którymi Alienor zwykła spinać suknię.

– To zostało znalezione w sypialni stryja królowej, w Antiochii... nie tyle w sypialni, ile w jego łożu! – Uniósł brwi, żeby to zaznaczyć. – Na dowód mam zeznania świadków!

Alienor zdjęła maskę i skrzywiła się z odrazą. Osobiście podarowała klamrę żonie Rajmunda. Doprawdy niespodzianka, że odkryto ją w sypialni stryja. Niedorzeczna była za to informacja o łożu, bo któż oddawałby się miłosnym igraszkom w takiej biżuterii, na pewno nie leżałaby też w pościeli. Widziała jednak, do czego to prowadzi. Jeśli napiętnują ją jako wiarołomną i przedstawią na

to dowody, przepadła z kretesem.

Gotfryd z Bordeaux wstał i głośno odchrząknął.

– Czcigodny biskupie, unieważnienie ma zostać rozstrzygnięte z powodu bliskiego stopnia pokrewieństwa królewskiej pary i niczego innego. Wiesz o tym.

Duchowny zwrócił się w jego stronę.

– Wiem także, iż prawda winna ujrzeć światło dzienne, miast kryć się pod znową i kłamstwem.

– Znową? – Gotfryd płonął oburzeniem. – Ta dama musi wiele znieść – zagrział. Zamaszyście wskazał na Alienor, która natychmiast spuściła głowę i wbiła skromne spojrzenie w swoje dłonie, w których ścisnęła różaniec. – Wziąć na siebie stek bzdurnych i kłamliwych oszczerstw, z których żadnego nie można dowieść, bez względu na twoje zapewnienia. Widzicie przed sobą pobożną kobietę – ciągnął. – Przestrzega ona boskich praw i szanuje wytyczne Kościoła. Jestem jej przyjacielem i mentorem, odkąd była dzieckiem, i ręcę za jej cnotę. Tak podle zarzuty z ust rzekomego sługi bożego są nie tylko niesprawiedliwe, lecz przeczą naukom Jezusa Pana naszego. Prawda wypłynie na wierzch. Wyjdzie na jaw na Sądzie Ostatecznym, gdzie wszyscy odpowiemy za swoje grzechy, bo kto, pyta Bóg, pierwszy rzuci kamień? Nie nam osądzać w tej sprawie; poprzestańmy na tej, którą rozstrzygnąć możemy. Dziś interesuje nas kwestia pokrewieństwa i żadna inna. – Jego głos przetoczył się przez salę jak grzmot. – Nie osądzamy dziś tej kobiety!

Za jego plecami rozległy się pomruki aprobaty. Alienor uniosła rękę i ukradkiem wytarła oczy. Nie musiała nic udawać.

Ludwik gestem nakazał ciszę.

– Słusznie prawisz, arcybiskupie – oznajmił. – Poprzestańmy na jednej kwestii. – Skinął głową żonie. W jego oczach nie było życzliwości, zresztą nie liczyła na nią, odwzajemniając skinienie. Nie leżało w interesie Ludwika odwracać trupa Antiochii i obnażać pełzające robactwo: on również wolał, aby pewne rzeczy nie ujrzały światła dziennego.

Stojąc we wnęce okiennej swojej komnaty, Alienor wręczyła plik korespondencji młodemu Gotfrydowi z Rancon. Nowy hrabia Taillebourga i Gençay przybył do Beaugency jako członek jej świty i po wszystkim miał odtransportować ją bezpiecznie do Poitiers.

– Dopilnujesz, aby dostarczona je Saldebreuilowi? – spytała. – On będzie wiedział, przez kogo je wysłać.

– Pani. – Skłonił się i wyprostował, brwi miał zmarszczone. – Nie wierzę w ani jedno słowo biskupa z Langres.

– Mam nadzieję.

Spiekł raka i zaczął się tłumaczyć, ale litościwie mu przerwała.

– Biskup musiał coś powiedzieć. Zarzut zdrady bardziej mu odpowiadał. Nigdy nie doszliśmy do porozumienia, więc skoro mógł mi zaszkodzić, nie omieszkał spróbować. Ale to nieistotne. Wkrótce przestanie mnie dotyczyć.

Młodzieniec ponownie skłonił się i wyszedł. Na jej ustach zamajaczył smętny uśmiech. Postawą i mimiką tak bardzo przypominał ojca, a przy tym tak wiele ich różniło. Nadal był chłopcem, stawiającym pierwsze kroki w dorosłość, ale jego obecność pomogła jej po śmierci starszego Gotfryda. Wraz z Bertą i Burgundią stanowił część, która po nim została, część, dzięki której mogła iść naprzód i przetrzymać rozpacz.

Zaraz po wyjściu chłopca zjawił się arcybiskup Bordeaux. Miał na sobie szaty liturgiczne, ale mitrę zastąpił małą piuską. Jego wysoka postać się zgarbiła, a twarz obwisła ze zmęczenia.

Alienor ucałowała jego pierścień, on zaś położył jej rękę na głowie w geście błogosławieństwa. Wskazała arcybiskupowi stół, na którym czekała już strawa złożona z gotowanego łososa i świeżo upieczonego chleba. Spojrzał na nią z wdzięcznością i usiadł. Umył ręce w misce z wodą różaną przyniesionej przez giermka, następnie pobłogosławił posiłek i przystąpił doń z apetytem.

Alienor dyplomatycznie odczekała chwilę i zwróciła na gościa wyczekujące spojrzenie.

– Sprawy idą po mojej myśli. – Gotfryd przepłukał usta winem i przełknął. – Frankowie usiłowali zatrzymać Akwitanię, dlatego biskup z Langres zastosował swój wybieg, ale im się nie powiodło.

– Jak w ogóle mógł insynuować coś takiego? – rzuciła z pogardą. – Przybyliśmy do Antiochii po burzliwym rejsie i spędziliśmy tam niespełna dwa tygodnie. Szukałam pomocy u stryja, bo już wówczas zabiegałam o unieważnienie, o czym ci wiadomo. – Skrzywiła usta. – Słyszałam również plotki, jakoby sypiałam z poprzednim hrabią Anjou. Do czego to podobne? To wszystko brednie, mające szargać moje dobre imię i ograbić z włości.

– Zawsze znajdą się tacy, którzy plują jadem – odpowiedział Gotfryd. – Bądź spokojna, biskup z Langres nie dopnie swego. Sam cieszy się wątpliwą reputacją, a pozycję zawdzięcza Bernardowi z Clairvaux, który jest jego kuzynem i pomógł skompromitować drugiego kandydata. Unieważnienie ma zostać orzeczone na podstawie pokrewieństwa.

– Miejmy nadzieję. – Alienor zadrzała. – W przeciwnym razie będą mnie sądzić za morderstwo, a nie zdradę.

Gotfryd posłał jej skwaszony uśmiech.

– Obejdzie się bez tego. Sprawy zabrnęły za daleko, Ludwikowi też zależy na unieważnieniu. – Dokończył posiłek i ponownie obmył ręce wodą.

Alienor napełniła kieliszki winem.

– Chciałabym pomówić o przyszłości... o decyzji, którą muszę podjąć.

Arcybiskup wytarł ręce serwetką i przygwoździł ją nieruchomym spojrzeniem, aż poczuła się znów jak uczennica, poddawana surowej, choć życzliwej krytyce.

– Wiem, że muszę wyjść powtórnie za mąż. – Kręciła podstawą kielicha. – Moją powinnością wobec Akwitanii jest urodzić dziedzica, który mnie zastąpi.

– Tak jest, moja córko – odpowiedział czujnie.

– Powinieneś wiedzieć, że dostałam propozycję małżeństwa... od Henryka, księcia Normandii.

Uniósł brwi.

– Kiedy?

– W Paryżu, przy okazji pertraktacji w sprawie rozejmu. Myślę, że ta propozycja ma swoje zalety.

– Czy księżę Henryk sam poruszył ten temat?

Potrząsnęła głową.

– Zdaje się, że inicjatywa należała do jego ojca. Prawie nie rozmawiałam z młodym księciem, sprawiał wrażenie bardzo ostrożnego. Akwitania stanowi dla niego nie lada gratkę, ale czy ja mogę powiedzieć to samo? Na pewno rozumiesz mój dylemat.

Gotfryd upił wina, aby dać sobie czas do namysłu. Wybór męża spośród jej baronów byłby dla Alienor nieroztropny. Lepiej, by poślubiła człowieka spoza Akwitanii. Henryk z całą pewnością spełniał ten warunek. Piętnaście lat wcześniej Gotfryd kazał jej wyjść za Ludwika Francuskiego. Wciąż widział tamtą przerażoną dziewczynkę w stanowczej młodej kobiecie i serce mu pękało. Ufała mu, a on chciał jak najlepiej dla niej i Akwitanii.

– Nie znam tego człowieka, ale pochodzi on ze znakomitego rodu, a jego sława rośnie z dnia na dzień. Dobrze, byś poślubiła kogoś, kto ma widoki na królewską koronę.

– Też tak sędzę – odrzekła. – Jednakże waham się przed podjęciem decyzji. Jest młody i może da się urobić, ale będzie podatny również na wpływy zewnętrzne, jak Ludwik. Po ślubie musiałam toczyć prawdziwe boje z jego matką. Cesarzowa Matyllda jest ponoć silną kobietą, a także wielkim autorytetem dla syna. Czy wytrwam na takim placu boju?

Gotfryd z namysłem pogładził brodę.

– Słusznie masz się na baczności, ale nie sędzę, byś napotkała podobne problemy. Jesteś dorosłą kobietą w pełnym rozkwicie, a cesarzowa Matyllda ma już swoje lata i mieszka w opactwie Bec. Może i rządzi Normandią, lecz nie będzie łapać kolejnej sroki za ogon. Natomiast Henryk nie uczył się na mnicha, choć zdobył gruntowne wykształcenie, zatem tym lepiej dla ciebie.

– Podzielam twoje odczucia. – Poczuła, że opuszcza ją napięcie. Po jej

twarzy przemknął cień smutku. – Ale jeśli przyjmę tę propozycję, będzie to poniekąd wybór zrodzony z braku wyboru.

Przybycie Saldebreuila z Sanzay przerwało im dalszą rozmowę.

– Pani. – Musiał biec po schodach, bo ciężko dyszał. Przyklął.

Alienor kazała mu wstać.

– Jakie wieści?

Skrzywił się, ciemne loki opadły mu na twarz.

– Doszły mnie słuchy, że szykuje się na ciebie zasadzka: chcą cię porwać, gdy wyjedziesz stąd z unieważnieniem.

– Porwać? – Struchlała. – Kto?

– Moi informatorzy donoszą, że powinnaś uważać na Tybalda z Blois. Strzeż się, podróżując po jego ziemiach, i odrzucaj wszystkie zaproszenia z jego zamków.

Zabrakło jej tchu. A więc to już, chcą ją porwać, uwięzić i zmusić do małżeństwa, by zagarnąć jej ziemie i spłodzić dziedzica, który zyska prawo do Akwitanii. Tybald, hrabia Blois i Châtres, był starszy od Henryka z Normandii i Anjou, lecz niewiele. Ot, kolejny ambitny młody myśliwy, dla którego stanowi bezcenną zdobycz.

– Zatem musimy przedsięwziąć stosowne środki ostrożności – stwierdziła. – Saldebreuil, ufam, że mogę na tobie polegać, rób, co trzeba. Za jednym „zalotnikiem” pójdą w ślady następni. Dopilnuj, aby nasze wierzchowce były dobrze podkute i rącze, a miecze naostrzone... i dobrze opłać informatora.

– Pani. – Skłonił się i wyszedł. Arcybiskup również wstał.

– Jestem nagrodą, ojcze – oznajmiła posępnym tonem. – Jeszcze nie dostałam rozvodu, a ambitni mężczyźni już próbują decydować o moim losie.

Gotfryd pocałował ją w czoło.

– Bóg czuwa nad tobą i cię chroni – zapewnił.

– Z pomocą czujnego konstabla i hojnie opłaconych ludzi, którzy mają oczy dokoła głowy – odrzekła przytomnie. – Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie.

Beaugency, kwiecień 1152

Stało się i Alienor była wolna, cokolwiek to słowo oznaczało w nowej sytuacji. Gotfryd z Louroux ogłosił unieważnienie i mogła wrócić do Poitiers. Stojąc w otwartym oknie komnaty, która była jej domem na czas trwania synodu, zapięła klamrę płaszczu i wyjrzała na świeży kwietniowy poranek.

Widziała odjeżdżających ludzi: orszaki przeróżnych biskupów na czele wyładowanych wozów. Bernard z Clairvaux jechał na białym mule, z dobytkiem zawiniętym w węzełek przytroczony do zadu. Alienor się wzdrygnęła. Przynajmniej nie będzie już musiała mieć z nim do czynienia. Podejrzewała, że to on stał za napaścią biskupa z Langres. Jak na człowieka, który rzekomo ukochał Boga, wręcz dyszał nienawiścią.

Wolność, zamiast cieszyć, wprawiała ją w popłoch: po tylu zmarnowanych latach nie zostało jej nic prócz goryczy i poczucia straty. Grunt, że sprawa dobiegła końca, można było ją odciąć jak kawałek sukna, zwinąć i więcej nie oglądać.

– Konie osiodłane, pani – oznajmił od progu młody Gotfryd z Rancon. – Jeśli się pospieszymy, miniemy Blois nocą.

Alienor odwróciła się od okna.

– Jestem gotowa – odrzekła. – Wracajmy do domu.

Czekała na dziedzińcu, aż przyprowadzą jej wierzchowca, kiedy zjawił się Ludwik, też gotowy do odjazdu. Na jej widok zamarł.

– To już koniec – rzuciła pojednawczo, bez cienia emocji. – Szczęśliwej drogi, mój panie.

– Życzę ci tego samego – odparł sztywno.

– Więcej się nie spotkamy. – Już ona tego dopilnuje. W trakcie ich małżeństwa bywały chwile, kiedy kochała Ludwika, i liczniejsze, kiedy wzbudzał jej nienawiść i odrazę, lecz teraz nie czuła nic. Było, minęło. Odjedzie i nie obejrzy się za siebie ani razu.

Nadszedł Teodoryk Galeran z dłonią na rękojeści miecza. Popatrzył na Alienor, jakby była plamą na jego tunice. Nie pozostała mu dłużna. Bez tego człowieka, który zatruł życie i łożę Ludwika, bez Bernarda z Clairvaux i jego szkodliwych kazań, bez wszystkich pomniejszych, spragnionych władzy sługusów Kościoła, którzy toczyli boje o duszę króla, ich małżeństwo miałoby szansę na przetrwanie.

– Pani. – Galeran oddał jej uprzejmy, a przy tym na wskroś obelżywy ukłon.

Saldebreuil przyprowadził jej konia, kasztanowego wałacha, który wręcz

płynął nad ziemią i bez wysiłku poniesie ją w dal. Jego skóra aż lśniła, nie był też nadmiernie objuczony. Szarmancka postawa Saldebreuila, gdy podsadzał Alienor, wynagrodziła jej zuchwalstwo Galerana. Czekala ją długa podróż, więc postanowiła jechać okrakiem zamiast w damskim siodle. Suta spódnica zasłoniła jej wstyd, a pod spodem miała skórzane nogawice wsunięte w buty z cholewami. Nie było w tym zdrożności, ale wyczuła dezaprobatę Ludwika i aż się zagotowała. Jego przyszła żona będzie musiała być zakonnica, żeby go zadowolić.

Młody Gotfryd z Rancon rozwinął jej chorągiew z orłem. Poranny wietrzyk uwiązał w jedwabiu, który załopotał jak w tańcu. Spięła konia, cmoknęła i klusem wyjechała z Beaugency. Od Poitiers dzieliło ją sto trzysta mil, ponad trzy dni intensywnej jazdy. W zwykłych okolicznościach ów czas mógł przeciągnąć się do prawie tygodnia, lecz Alienor chciała jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznych murach własnego zamku i z chwilą zakończenia tej podróży rozpocząć nową.

Kasztanek w równym tempie pokonywał kolejne mile. W południe zrobili popas, rozłożyli białe płótno na trawie i zjedli prosty posiłek złożony z chleba i marynowanej wołowiny, popity lekko skwaśniałym czerwonym winem. Potem znów ruszyli w drogę i jechali przed siebie, aż zapadł zmrok i Loara marszczyła się niczym ciemnoszary jedwab w wieczornych podmuchach. Z północy nadciągały chmury i pokropiły deszczem. Alienor włożyła kaptur i z rozkoszą wciągnęła w płuca zapach wilgoci. Kos śpiewał jak szalony, a inne mu wtórowały, walcząc po ciemku o swoje prawa. Deszcz przybrał na sile, siekł rzekę grubymi kroplami.

– Słyszycie? – spytał nagle Saldebreuil.

Alienor przechyliła głowę. Ptaki podniosły ostrzegawczy wrzask, gdy z ciemności wynurzyło się czterech jeźdźców. Byli zwyczajnie ubrani, ale ich wierzchowce wyglądały na silne i lśniące.

Towarzysze Alienor sięgnęli po miecze, na co przygotowała się w duchu do ucieczki. Jeździec na czele tamtych podniósł rękę i zrzucił kaptur, ukazując złocistobrazową czuprynę.

– Pokój wam wszystkim. Nie chcemy waszej krzywdy – oznajmił. – Przybyliśmy z pomocą. Jestem Amelin, przyrodni brat Henryka, księcia Normandii i hrabiego Anjou. Wyprowadzimy was bezpiecznie za Blois.

Alienor utkwiała w nim zdumiony wzrok. Był przystojny i podobny do Henryka, tylko mniej wyrazisty. Za to usta miał identyczne i był rozłożysty w barach.

– Chwalebne z waszej strony – odrzekła. – Ale dlaczego mam wam ufać?

Rozłożył ręce.

– Jest nas tylko czterech. Po pierwsze, macie przewagę liczebną, a po drugie, przeczyłoby naszym interesom wchodzić w konszachty z Blois. Służę mojemu

bratu i jestem lojalny wobec niego. – Zeskoczywszy z konia, skłonił się głęboko, ale nie ukląkł. – W Blois czeka na was komitet powitalny, z którym, jak sądzę, wolelibyście się rozminąć. Rozesłali też zwiadowców, którzy was poszukują, nie zdołacie ich zmylić. Mają cię porwać, pani, i wydać za hrabiego Tybalda jeszcze dziś.

Alienor nie wątpiła w te rewelacje, lecz wciąż wahała się, czy mu zaufać.

– I co zrobicie? Poprowadzicie nas po ciemku inną drogą? – Wskazała na jego ludzi. – Nie jesteście przygotowani do walki.

– Nie drogą, tylko rzeką, aż do Tours – odpowiedział Amelin gładko. – Umówiłem się z flisakami, że kogoś zabiorą, ale nie wiedzą, o kogo chodzi. Musisz się przebrać, pani, lub trzymać na uboczu. Najlepiej, żeby nie skojarzyli cię z osobą królowej Franków. – Rozejrzał się dokoła. – Czas nagli.

– Co z końmi?

– Wybrani ludzie zabiorą je do Tours inną drogą, tam się spotkamy.

– Mamy się rozdzielić? – Saldebreuil potrząsnął głową.

Amelin potwierdził.

– To jedyne rozwiązanie.

Alienor przyjrzała się czterem jeźdźcom. Instykt podpowiadał jej, aby zaufać Amelinowi, gdyż nie mógł nic zyskać, a straciłby wszystko, gdyby ją zdradził. Podjęła decyzję i zwróciła się do Saldebreuila.

– Pożycz mi tunikę i zapasowy kaftan.

Ciemne brwi Saldebreuila powędrowały do czoła.

– A jeśli to pułapka? – mruknął.

Pokręciła głową.

– Kłamstwo nie leży w interesie przyrodniego brata Henryka z Anjou. To bastard bez koneksji i środków, aby toczyć wojnę, którą wywołałaby jego zdrada. Zabierz większość ludzi, będziecie przynęta. Jeśli Tybald z Blois nas tropi, niech goni was, a nie mnie.

Z miną, która wciąż wyrażała wątpliwość, Saldebreuil sięgnął do sakwy i wyjął odzież, o którą prosiła.

Alienor zeskoczyła z konia. Otoczona świtą, która stanęła do niej tyłem, przebrała się z pomocą Marchisy. Luźny ubiór zamaskował jej krągłości. Całość uzupełnił skórzany pas ze sztyletem w pochwie i krótka szara peleryna z oddzielnym wełnianym kapturem, który zakrył jej włosy i zasłonił twarz. Zdjąwszy pierścienie, schowała je do sakiewki przytroczonej do pasa i przykucnęła, aby ubrudzić ręce. Suknię wepchnięto do wełnianej sakwy, którą przywiązano do włóczni. Alienor się skrzywiła.

– Z daleka może ujdzie, lecz wątpię, byśmy nabrali kogoś, kto spojrzy z bliska – stwierdziła.

– Odsuniemy się na bezpieczną odległość, poza tym jest ciemno – odparł

Amelin.

Większość świty wraz z dwórkami przygotowała się do odjazdu z Saldebreuilem, który nie był zachwycony, ale trzymał język za zębami. Jechał przy niej, kiedy Amelin prowadził ich błotnistą ścieżką nad rzekę, gdzie cumowały dwie barki; resztki dziennego światła lśniły na mokrych listwach, flisacy czekali na pasażerów. Aby nie zwracać na siebie uwagi, Alienor pomogła wnieść część bagażu, odwrócona tyłem do flisaka, kryjąc twarz pod kapturem. Usłyszała, jak Amelin tłumaczy cicho właścicielom, że to tajna misja w imieniu króla; brzęknęły przekazywane z rąk do rąk monety.

Usiadła w pierwszej barce na stercie sakw, z kolanami pod brodą, owinięta płaszczem. Załoga ujęła wiosła i wpłynęli do kanału. Saldebreuil i reszta odjechali w przeciwnym kierunku z zapasowymi końmi oraz dwórkami w charakterze przynęty. Alienor ukryła twarz w dłoniach, usiłując przegnać strach. Amelin przysiadł się do niej i głęboko odetchnął.

– Odprowadzę cię bezpiecznie do granicy, pani – oznajmił szeptem, z twarzą zwróconą w jej stronę, by nikt inny go nie usłyszał. – Jesteś bardzo cenna dla mojego brata.

– Dla twojego brata cenna jest Akwitania – odrzekła ostro, ale zaraz złagodniała. – Ty również musisz być dla niego cenny, skoro cię przysłał.

Amelin wzruszył rozłożystymi ramionami.

– Nie darzymy się miłością, ale obaj jesteśmy praktyczni. On wie, że może na mnie polegać, a ja wiem, że spośród trzech prawowitych synów mego ojca warto iść tylko za nim.

– Dlaczego?

– Ponieważ widzi horyzont, a pozostali tylko czubek własnego nosa. Ja także widzę horyzont, a jeśli mu zaufam, nie będę musiał martwić się o swoją przyszłość.

– Przynajmniej jesteś szczery – zauważyła.

– A cóż innego ma do zaoferowania bękart? – zapytał z krzywym uśmiechem i znów wzruszył ramionami.

Załoga rozpięła płócienny żagiel, a że mieli wiatr w plecy, ślamazarne barki rozpruły taflę srebrzystą szramą.

Niebawem usłyszeli na brzegu krzyki, stukot kopyt i brzęk uprzęży. Alienor skuliła się z duszą na ramieniu i głębiej nasunęła kaptur, ale jeźdźcy nie zwrócili uwagi na barki, pognali dalej z rozkołysanymi latarniami.

– Ruszyli w pościg za twoją świtą – ostrzegł Amelin. – Nie zorientowali się, by szukać na rzece. A kiedy pójdą po rozum do głowy, dawno nas tu nie będzie.

Alienor nadstawiła ucha, ale nie posłyszała odgłosów walki, jednakże tętent ucichł i zapadła cisza. Saldebreuil i reszta na pewno ruszyli z kopyta i zyskali znaczną przewagę. Przymknęła oczy i zadrżała, lecz nie pozwoliła, by owładnął ją strach, za to dała upust napięciu i parsknęła śmiechem.

Amelin spojrział na nią z ukosa.

– Nie dalej jak pół dnia temu siedziałam w wielkiej sali w Beaugency jako królowa Francji, ubrana stosownie do okazji, a teraz w dżdżystą noc płynę Loarą w zapasowej tunice seneszala, brudna jak nieboskie stworzenie i ścigana jak rabuś.

Usta mu drgnęły.

– Które położenie bardziej odpowiada tobie, pani?

– Byle nie w zawieszeniu – odrzekła i na tym poprzestała.

Dalej lało, krople zacinały ją w twarz z uwagi na kierunek wiatru. Znalazła owczą skórę do przykrycia i zasnęła, mocno obejmując się rękami.

O świcie dotarli do Tours, gdzie dołączyli do Saldebreuila i reszty. Alienor była przemarznięta i zeszywniała, a do tego zmęczona, gdyż prawie nie zmrużyła oka, ale rozpieiała ją radość. Postanowiła pozostać w męskim przebraniu aż do granic swojego księstwa, w ten sposób łatwiej się podróżowało. Wymyślili bajeczkę, że odwożą Marchisę z Mamilą do klasztoru, gdzie ta pierwsza miała odtąd pędzić czas wdowieństwa wraz ze służącą.

– Chwała Bogu, żeś bezpieczna, pani – mruknął Saldebreuil, kiedy dali odpocząć koniom i posilili się w przydrożnej oberży przed dalszą drogą.

– Było zimno i mokro, ale bez kłopotów – odpowiedziała. – Martwiłam się o was. Widzieliśmy zwiadowców, którzy puścili się za wami w pościg.

Saldebreuil uśmiechnął się ponuro.

– Głupcy z Blois musieliby bardziej się postarać, by przechytrzyć takiego wygę jak ja, pani. Ścigali nas pół nocy, ale w końcu dali za wygraną.

– Odetchnę, kiedy dotrzemy do Poitiers – stwierdziła i zadrżała. – Marzę, aby przespać się we własnym łóżku i robić, co mi się żywnie podoba.

Wczesnym popołudniem dotarli do przejścia przez rzekę Creuse w Port-de-Piles. Alienor zachowała czujność, gdyż było to oczywiste miejsce, aby zastawić pułapkę na tych, którzy kierowali się na południe do Poitou. Grupa zwiadowców wraz z Amelinem ruszyła przodem, a reszta została na poboczu drogi, aby posilić się chlebem i serem.

Zwiadowcy niebawem wrócili klusem.

– Słusznie podejrzewaliśmy, pani – oznajmił posępnie młody Gotfryd z Rancon. – Obok brodu czeka grupa zbrojnych. Osaczą nas, kiedy się zbliżymy.

Jeden z jej towarzyszy krzyknął i wskazał na drogę. Nie tylko oni wysłali zwiadowców: dwóch jeźdźców zawróciło galopem do pozostałych, aby wszcząć pościg. Saldebreuil zaklął.

– Zawracamy. Skręcamy w lewo na rozstaju! – I klepnął jej konia w zad.

Gdy wierzchowiec pocwałował naprzód, Alienor uczepiła się grzywy. Boże jedyny, kiedy to się skończy? Była prawie u siebie, a wciąż groziło jej

niebezpieczeństwo.

Przez kolejne kilka godzin Alienor i jej świta gnali co koń wyskoczy. Bez przerwy oglądała się przez ramię, lecz nawet widok pustej drogi podsuwał jej wizję uzbrojonych jeźdźców na niezmordowanych rumakach.

– Kim byli? – zapytała, kiedy w końcu przeszli do stępa, aby konie mogły odetchnąć. Czuła mrowienie między łopatkami.

Saldebreuil potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia, pani.

– Ja wam powiem – oznajmił niechętnie Amelin. – To Gotfryd, mój brat przyrodni. Dzieli nas niespełna dzień drogi od Chinon, które zgodnie z ostatnią wolą ojca należy do niego. Henryk przewidział, że wykorzysta sytuację.

Alienor się skrzywiła.

– Dla młodych mężczyzn jestem drogą do spełnienia ich ambicji – stwierdziła z pogardą. – Lecz warta jestem znacznie więcej. To hańba, że nie mogę spokojnie dojechać do domu.

Próby porwania utwierdziły ją w przekonaniu, że musi mieć męża. Gdziekolwiek się ruszy, rzesze zagorzałych absztyfikantów będą czatować, by ją porwać i zaciągnąć do ołtarza. Prawdę powiedziawszy, nie miała wyboru.

Poitiers, kwiecień 1152

Alienor ścisnęła w rękę zapieczętowany list z poczuciem, że to ostatnia chwila na zmianę zdania. W oczekiwaniu na posłańca stanęła przy oknie i wyjrzała na cudny wiosenny dzień. Wszystko zieleniło się, pączkowało lub kwitło. Minęło kilka dni od rocznicy śmierci ojca, wciąż o nim myślała. Myślała też o Gotfrydzie z Rancon, choć pogrzebano go ponurą jesienią. Zostały jej tylko przejmujące wspomnienia; musi stawić czoło rzeczywistości, miast żyć marzeniami. Nastąpiła idealna pora na nowy początek – a cóż może być lepszego od poślubienia młodzieńca w kwiecie wieku?

Szambelan zapowiedział posłańca, więc z westchnieniem odwróciła się od okna. Mężczyzna o imieniu Sanczo zdjął czapkę i przykląkł. Wybrała go do tego zadania, gdyż był bystry, dyskretny i niezawodny, sam list zaś sformułowała tak, aby w razie jego przechwycenia przypadkowy czytelnik nie wyczytał prawdziwego sensu, chociaż Henryk na pewno zrozumie, w czym rzecz. Jeszcze chwilę się wahała, po czym nakazała mu wstać i wręczyła przesyłkę.

– Przekaż Henrykowi, hrabiemu Anjou, do rąk własnych – poleciła.

– Pani. – Sanczo skłonił głowę.

– I jeszcze to. – Podała mu rękawicę sokolniczą z miękkiego zamszu. – Powiedz, iż mam nadzieję, że w przyszłości mu się przyda. Masz tu srebrnika na wydatki. Jedź szybko, ale nie ryzykuj. Wyruszysz natychmiast.

Patrzyła z okna, jak odjeżdża galopem na grzbiecie ognistego rumaka; będzie zmieniał konie po drodze i spał tylko w razie potrzeby. W zależności od miejsca pobytu Henryka wiadomość dotrze do adresata najpóźniej za dziesięć dni, co znaczyło, że miała niespełna trzy tygodnie na przygotowanie weselnej uczyty.

Henryk przebywał w Lisieux i doglądał przygotowań do najazdu na Anglię. Odgłosy rąbania drewna i gryzący zapach gorącej smoły wypełniały wiosenny poranek. Szykowano statki, żołnierzy i zapasy na letnią kampanię za Wąskim Morzem.

Henryk miał zaledwie dwa lata, kiedy zmarł jego dziadek, król Henryk I, i Stefan z Blois ukradł tron. Obecnie liczył sobie lat dziewiętnaście i był księciem Normandii oraz hrabią Anjou, gotowym naprawić sytuację. Wiedział, że jego zwolennicy w Anglii ledwo dyszą po siedemnastu ciężkich latach zawieruchy, ale wiedział też, że Stefan się starzeje, a jego baronowie spoglądają w przyszłość. Paru

z nich już ostrożnie zwróciło się do Henryka w tej sprawie, widząc w nim potencjalnego przywódcę zamiast Eustachego, syna Stefana, człowieka powszechnie znienawidzonego. Henryk gotów był dołożyć wszelkich starań, aby przeciągnąć ich na swoją stronę.

Podniósł wzrok znad rejestru ostatnio dowiezionych koni i ujrzał szambelana, za którym zmierzał posłaniec, ogorzały od słońca i z twarzą ściągniętą wyczerpaniem, ale z błyskiem w oczach.

– Panie – przemówił z akcentem Poitou i zgiął kolano. – Moja pani, księżna Akwitanii, kazała cię pozdrowić.

– A tyś jest? – spytał Henryk. Kojarzenie twarzy i nazwisk zawsze się przydawało.

– Sanczo z Poitiers, panie.

Henryk kazał mu wstać.

– Zakładam, że przywozisz coś więcej aniżeli pozdrowienia, Sanczo?

Mężczyzna wyjął list i rękawicę ze sfatygowanej sakwy.

– Panie, księżna poleciła mi przekazać, że gdybyś zechciał odwiedzić ją w Whitsuntide, z ochotą zabierze cię na polowanie w celu omówienia wspólnych interesów.

Henryk obrzucił posłańca badawczym spojrzeniem, po czym przeniósł je na pieczęć na jedwabnym sznurku, którą opatrzony był dokument. Widniał na niej wizerunek smukłej kobiety w sukni z wiszącymi rękawami, odciśnięty w wosku. Na lewym nadgarstku miała sokoła, a w prawej ręce trzymała lilię.

Przeczytał, co napisała, po czym rozejrzał się po gwarным obozie. Nieco krzyżowało to jego plany, ale musiał zastosować się do jej listu. Obejdzie się bez sentymentów, wszakże chodzi o dynastię i władzę. Raz jeszcze z satysfakcją odczytał wiadomość. Był niemalże pewien, że go poprosi, ale dręczył go cień wątplenia: kobiecych decyzji nie sposób przewidzieć. Amelin opowiedział mu o żalosnej próbie Gotfryda, mającej na celu porwanie Alienor w drodze powrotnej do Poitou. Nauczy młodszego brata moresu, gdy tylko załatwi pilniejsze sprawy.

Nie ma potrzeby opóźniać przygotowań do podboju Anglii. Pojedzie i ożeni się z Alienor, a jego podkomendni niech robią swoje. Z namysłem włożył rękawicę, naprężył dłoń i zwinął ją w pięść. W nozdrza połaskotał go zapach świeżej skóry, lekko metaliczny i intensywny, i nie wiedzieć czemu zgłodniał, jakby nie jadł od tygodnia.

Posłał po Amelina, który właśnie nadzorował test nowej maszyny obłączniczej, a kiedy brat się zjawił, poinformował go o planowanym wyjeździe do Poitiers.

– Żenię się i potrzebuję wsparcia – oznajmił.

Amelin skrzyżował ręce na piersi.

– A co z Anglią?

– Wsparcie Akwitanii bardzo się przyda. Anglia tylko na tym skorzysta.

– Ludwik nie będzie zachwycony – stwierdził Amelin.

Henryk machnął ręką, jakby odpędzał muchę.

– Dam sobie radę z Ludwikiem, już ja go znam.

– W świetle prawa powinienes go prosić o pozwolenie, jest twoim suzerenem.

– Kpisz sobie! – Henryk trzepnął go w ramię urękawiczoną dłonią. – Gdy stanie przed faktem dokonanym, chcąc nie chcąc, wyrazi zgodę. Musiałbym postradać rozum, aby go prosić z góry. Grunt to wybiegać myślą naprzód. – Ocenił położenie słońca na nieboskłonie. – Dziś już za późno, ale jutro ruszymy skoro świt co koń wyskoczy.

Wieczorem Henryk dokonał przeglądu małego bagażu, który zamierzał zabrać do Poitiers. Miał jechać szybko i bez obciążeń, ale zrobił miejsce na odświętny ubiór do ślubu i prezent dla narzeczonej. Spojrzał na dwie bransolety lśniące w skórzanym puzderku. Wysadzone szafirami, szmaragdami i górskim kryształem pochodziły z niemieckiego skarbu jego matki. Podarowała mu je na opłacenie kampanii, uznał wszakże, iż będą idealne na prezent ślubny.

Aelburgh weszła do komnaty z włosami związanymi czerwoną wstążką. W rękach tuliła niemowlę; usiadła na stołku, rozwiązała tasiemki sukni i koszuli, następnie przystawiła dziecko do piersi.

Henryk spojrział na jej białą pierś i różanobrzowy sutek, który wnet zniknął w łąpczywych ustach małego.

– Ten dzieciak to istny opój – stwierdził z rozbawieniem i w przyplwywie czułości, gdyż było to jego pierworodne dziecię, a zarazem niezbity dowód, iż jest zdolny płodzić swoim nasieniem zdrowych synów. Chłopiec urodził się przed siedmioma tygodniami i otrzymał na imię Gotfryd. Kościół zabraniał mężczyźnie współżycia z karmiącą kobietą, lecz Henryk nie miał czasu na głupie nakazy, które uważał za wymysł zacofanych księży, a nie Boga, poza tym zabrał Aelburgh z dzieckiem dla towarzystwa podczas kampanii.

Aelburgh się uśmiechnęła. Miała prześliczne białe zęby i zmysłowe usta.

– Zachłanny jak wszyscy mężczyźni – stwierdziła i pogłaskała synka po złotych włoskach.

Henryk parsknął śmiechem.

– Przyznam, że też zgłodniałem – odrzekł. – Lecz mam apetyt na coś innego.

Kiedy skończyła karmić i odłożyła dziecko, zaciągnął ją do łoża i zatopił twarz w jej cudownych włosach. Miłosny zapach i rozkosz kulminacji uspokoiły go na chwilę i pozbawiły nadmiaru energii, więc ukontentowany legł obok niej z rękami pod głową. Oparła mu rękę na brzuchu i pociągnęła za kędzierzawe

pasmo włosów biegnące od pępka do krocza.

– Zmuszony jestem na chwilę cię zostawić – powiedział. – Ale grzej mi łożo.
Uniosła głowę.

– Sądziłam, że jadę z tobą.

– Nie mówię o Anglii, najdroższa. Najpierw muszę załatwić coś w Poitiers. Odwiedzę cię i dziecko, kiedy będę mógł, ale pewnie dopiero za czas jakiś. Nie martw się, niczego wam nie zabraknie.

– Ale ja myślałam... – Usiadła i spojrzała na niego w osłupieniu.

– Żenię się, kochana, z dawną królową Franków i księżną Akwitanii – oznajmił. – Złożyła mi propozycję nie do odrzucenia.

W jej głos wkradły się nuty niedowierzania i urazy.

– Żenisz się?

Henryk przewrócił oczami. Nie pojmował kobiecej obsesji na punkcie takich drobiazków i nie miał do niej cierpliwości.

– Przecież obiecałem, że niczego wam nie zabraknie. Nie masz powodów do obaw.

Aelburgh przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

– Ładna?

Nieznacznie wzruszył ramionami.

– Jej wygląd nie ma tu nic do rzeczy. Sęk w tym, kim jest i czym dysponuje. Ciebie wybrałem za to, jaka jesteś – rzekł poniekąd szczerze, ale z wyrachowaniem, żeby ją udobruchać. Zaspokoił żądzę i myślami był już w Poitiers. Lubił Aelburgh i kochał dziecko, lecz w jego ambicjach odgrywali poślednią rolę. – Teraz śpij – dodał, obejmując jej kibić. – Może się żenię, ale nie myśl obowiązku z przyjemnością.

– I jestem matką twojego pierworodnego – dodała z dumą.

– No właśnie. – Pogłaskał ją po włosach, ale oczami wyobraźni widział już drogę na szczyt, którą otworzył mu list księżnej Akwitanii.

– No i? – Alienor zwróciła się do Marchisy i rozpostarła ramiona, aby zaprezentować przepyszną suknię z czerwonego adamaszku z orłem utkanym złotą nicią. Właśnie otrzymała wiadomość, że Henryk przybył z niewielką świtą i zaprowadzono go do przygotowanej komnaty.

Marchisa dygnęła.

– Może nie jesteś już królową, ale wyglądasz jak ona: nie Francji, tylko Akwitanii.

Alienor zmusiła się do uśmiechu.

– I może w przyszłości Anglii. Sprawdźmy, co ma do powiedzenia mój przyszły mąż.

Jej wasale i służący przyklękli, kiedy weszła. Raul z Faye i Hugon z Châtellerault odprowadzili ją do krzesła na wysokim podeście, gdzie dołączył do niej Gilbert, stary biskup Poitiers, i arcybiskup Gotfryd z Bordeaux. Poprosiła o wprowadzenie Henryka i jego orszaku.

Henryk miał zaróżowioną twarz od niedawnej kąpieli. Umył też włosy, wilgotne przybrały odcień cynamonu. Włożył tunikę z granatowej wełny ze szkarłatnym brzegiem wysadzany drogimi kamieniami. U jego boku stał mężczyzna, w którym rozpoznała Amelina, odzianego dziś jak dworzanin.

Henryk wystąpił naprzód, ukląkł przed nią i pochylił głowę.

– Pani – rzekł. – Przybyłem tak szybko, jak tylko mogłem.

– Za co ci dziękuję – odpowiedziała oficjalnie. – Witaj w Poitiers, panie.

Podniósł na nią wzrok i po raz pierwszy ujrzała jego oczy w jasnym świetle dnia. Były szare z przeblaskami zieleni, przejrzyste jak kryształ i zdradzały żywą inteligencję. Jego rzęsy wyglądały jak obsypane złotym pyłem. Miał gładką, jasną cerę, kanciastą szczękę i młodzieńczą brodę w ciepłym odcieniu rudego złota. Roztaczał wokół siebie aurę młodości i choć nie miała już do czynienia z chłopcem, nadal był bardzo młody, co napełniało ją obawą.

– Mam nadzieję uczynić cię nie tylko księżną Normandii i hrabiną Anjou, ale w swoim czasie królową Anglii – oświadczył śmiało.

Alienor uniosła brwi.

– Ja nie ograniczam się do nadziei, że uczynię cię księciem Akwitanii.

Wymienili baczne spojrzenia. Nie wstając z kolan, Henryk ujął jej dłoń i przycisnął ją do ust, po czym włożył na nadgarstek bransolety, które ze sobą przywiózł.

– Oto pierwszy z darów, który ci ofiarowuję. Nie będą to jedynie złoto i klejnoty, lecz władza i prestiż. – Jego podniosły głos rozszedł się echem po wielkiej sali. Wasale odpowiedzieli pomrukiem aprobaty. To chcieli usłyszeć. Poczwała zadowolenie, ale zachowała czujność. Nie życzyła sobie męża, który zagarnie jej ziemie, potrzebowała silnego mężczyzny, który wykaże się czynem. Nic jej po samochwale, który rzuca słowa na wiatr. Ale w oczach Henryka nie było przechwałki, tylko mądrość i dojrzałość ponad wiek.

Spojrzała na bransolety. Królewskie ozdoby czy może nowe kajdany? Nachyliła się i go pocałowała.

– Trzymam cię za słowo – rzekła, a gdy się podniosła, wybuchły owacje.

Uroczystości trwały aż do wieczora. Alienor zauważyła, że Henryk się wierci, jakby ciało nie radziło sobie z nadmiarem energii, jednak był przy tym czarujący i dobrze wychowany. Z każdym umiał znaleźć wspólny temat i chłonał wszystko na temat danej osoby, niczego nie przeoczył i ze wszystkiego robił użytek. Jakim cudem miał dopiero dziewiętnaście lat? Gdy łamał chleb, spojrzała na jego dłoń. Na palcu lewej nosił pierścień z wielkim szafirem. Na wierzchu

prawej biegła podłużna szrama i czarny ślad na paznokciu, zapewne od uderzenia. Były to ręce człowieka, który zwykł chwytać za wodze i kierować konia tam, gdzie chciał.

– W Paryżu byłeś znacznie bardziej powściągliwy – stwierdziła.

Sięgnął po kielich.

– Miałem powody. Nie chciałem wzbudzać podejrzeń, gdyż przyjechaliśmy negocjować rozejm, co samo w sobie nie było łatwym zadaniem.

– Zatem wilk w owczej skórze?

– Raczej lew udający baranka.

Rozśmieszył ją. Może był młody, ale w każdej sytuacji umiał się odnaleźć, w przeciwieństwie do Ludwika.

Odchylił się na krzesło i oparł kielich o złotą klamrę pasa.

– Żałuję jedynie, że nie mogę zostać w Poitiers, jak przystało na małżonka. Wzywają mnie pilne sprawy w Normandii, a tron angielski czeka na nowego właściciela.

– W istocie szkoda – odrzekła Alienor, pomyślała jednak, iż może władać swoim księstwem i nie lękać się o swoje bezpieczeństwo jako kobieta zamężna. Taka wolność bardzo jej odpowiadała.

– Wrócę do ciebie, gdy dokończę dzieła, którego się podjąłem, wtedy lepiej się poznamy. – Uśmiechnął się do niej. – Ale nie chciałem odkładać tego przyjazdu na dogodniejszy czas.

– Gdybyś nie przyjechał, nie byłoby dogodniejszego czasu – zaznaczyła szorstko.

– Wiem o tym. – Posłał jej bystre spojrzenie. – Ale odpowiedziałem na twoje wezwanie i świadomy jestem rangi tego układu... dla nas obojga.

Później nadeszła pora na tańce i gdy Alienor złączyła ręce z Henrykiem, przeszła między nimi iskra, którą oboje poczuli. Był wybornym tancerzem, pełnym werwy, a przy tym zwinny i nieznacznie tylko od niej wyższym; okazali się świetnie zgrani, a spojrzenia, które sobie słali, wystawiały ich na pokuszenie i podsycaly obopólny żar.

Wasale Alienor, mocno już upojeni winem, zademonstrowali z przytupem kilka tradycyjnych tańców, a Henryk wnet się ich nauczył. Alienor widziała przyjemność, jaką mu to sprawiało, a przy tym wcale się nie krępował. Umiał się z siebie śmiać, kiedy pomylił krok, i kłaniał się w pas, kiedy mu wychodziło i publiczność klaskała. Ludwik nawet by nie spróbował. Dobry humor Henryka udzielał się wszystkim; w pewnej chwili aż złapała się za boki ze śmiechu. Natłok emocji aż ją przeraził, od dawna tak się nie czuła. Nie mogła przestać i łzy zapiekły ją pod powiekami. Gdy taniec dobiegł końca, postanowiła się położyć.

Henryk się uklonił.

– Dobrej nocy, pani. – Oczy mu rozbłysły. – Wkrótce nie będziemy musieli

sobie tego życzyć.

Alienor poczerwieniała.

– To prawda – odrzekła i odeszła z dwórkami, skrzętnie ukrywając zakłopotanie. Jego dotyk rozniecił w niej ogień, którego nie przewidziała, lecz od bardzo, bardzo dawna sypiała samotnie, on zaś sprawiał wrażenie szczerze nią zainteresowanego. Jeśli nie okaże się kompletną kłodą w alkowie, nie będzie tak trudno przebrnąć przez noc poślubną.

Gdy kobiety rozścieliły jej łóżko i opuściły draperie, uklękła przy ołtarzyku i wyraziła nadzieję, że zadowolila Boga i wybrała dla Akwitanii najlepszą drogę. Pragnęła małżeństwa opartego na wspólnocie, wsparciu i jedności, przy udziale obu stron. Pragnęła mieć dzieci: synów oraz córki, które kiedyś przejmą jej rolę.

Zanim wstała z kolan, przysięgła uczynić to małżeństwo jak najlepszym. Tym razem jej się powiedzie.

Henryk, który potrzebował niewiele snu, położył się znacznie później. Nadal zawierał znajomości, szukał wspólnych tematów i ustalał, komu można ufać, a przed kim mieć się na baczności, zaznaczał swoją obecność i słał ostrzeżenie, iż nie wolno go lekceważyć mimo młodego wieku.

Kiedy w końcu udał się na spoczynek, jego pacierz był krótki, acz konkretny. Podziękował Bogu za dobroć, że zesłał mu taką mannę z nieba. Alienor pociągała go mimo różnicy wieku, był nią zaintrygowany. Bardzo różniła się od Aelburgh, ale w końcu jedna była kochanką, a druga żoną, relacje z nimi opierały się na innych zasadach.

Uśmiechnął się na wspomnienie swej początkowej rezerwy. Ślub z Alienor i rola księcia Akwitanii mogły mu przynieść wiele korzyści – pod każdym względem.

45

Poitiers, maj 1152

Alienor i Henryk zawarli małżeństwo w katedrze Saint-Pierre w Poitiers. Kolumny głównej nawy opleciono wiosennymi kwiatami wiosny. Woń lilii, róż oraz kapryfolium mieszała się z zapachem kadzidła, płynącym w kłębach dymu do nieba. Raz jeszcze Alienor włożyła obrączkę, raz jeszcze złożyła śluby. Na lepsze lub na gorsze...

Przed katedrą Henryk stanął na wprost niej i uniósł jej dłonie do ust.

– Żono – powiedział. – Razem siądziemy na tronie i damy początek dynastii.

Jego słowa mogły zabrzmieć jak czcze przechwałki niedojrzałego chłopca, lecz tak nie zabrzmiały. Wyrażały szczerzy zamiar i Alienor zadrżała z podniecenia, bo gdy tak stali u wejścia do katedry, nie było dla nich rzeczy niemożliwych.

Na jej znak podszedł sługa i wsunął jej rękawicę na dłoń, a sokolnik zbliżył się z białozorem z Talmont.

– Przywiozłeś swoją rękawicę? – zapytała Henryka.

Rozejrzał się i Amelin podał mu rękawicę, którą dostał od Alienor wraz z listem. Nałożył ją, a wtedy ona ostrożnie usadziła ptaka na jego nadgarstku.

– To Izabela – oznajmiła. – Ofiarowuję ci jako symbol naszego małżeństwa. Tylko władcy Akwitanii mają prawo do tych ptaków.

Henryk delikatnie pogładził palcem pierś białozora.

– Izabela – powtórzył i spojrzął na ptaka z zachwytem i pożądaniem. Kiedy przeniósł wzrok na Alienor, jego oczy wyrażały to samo.

– Samice są potężniejsze od samców – dodała, nie dając po sobie poznać, jak to spojrzenie ją poruszyło.

– Czyżby? Dobrze zatem, że mam sposób na tak szlachetne istoty – odparł z półuśmiechem.

Uniosła brwi.

– Chciałabym poznać ten twój sposób.

Henryk się skłonił.

– Mam nadzieję, że cię nie zawiodę.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Podzielam twe nadzieje.

Usługiwał jej przez całą ucztę. Kiedy jedli z jednego talerza, wprawnie dzielił mięso i dał dowód nienaganych manier. Dla każdego miał uśmiech i serdeczne słowo, ale zachowywał powściągliwość możnego pana. Pił z umiarem, co bardzo ją ucieszyło. Widywała już młodych mężczyzn, którzy tonęli w kielichach, i wołała tego uniknąć w noc poślubną.

– Jaka jest Anglia? – spytała. – Zawsze uważałam ją za skąpaną we mgle zimną krainę.

– I taka bywa – odpowiedział. – Gdy nadciąga mgła znad morza, którą zwa *haar*, czujesz się jak na końcu świata, ale wszystko jest zielone i bujne od deszczu i wilgoci.

– I to ma mnie zachęcić?

Potrząsnął głową ze śmiechem.

– To również ziemia króla Artura. Według legendy, sam Chrystus bywał tam w młodym wieku. Anglia pachnie świeżością i morską bryzą. Ludzie są wytrzymali, ale nie jest tam chłodniej niż u nas zimą. Anglicy mają silną administrację i sądownictwo, a do tego spore zasoby wełny. Za panowania mojego dziadka Henryka kraj opływał w bogactwa. Stefan z Blois wszystko zaprzepścił,

ale przy umiejętnym zarządzaniu można przywrócić dawną świetność. – Jego twarz nabrała twardego wyrazu. – Rodzice latami zabiegali o moje prawo do Anglii i Normandii. Nie zmarnuję ich starań i pokonam uzurpatorów.

Jeszcze nie widziała w nim takiej zawziętości, zawsze trzymał emocje na wodzy, więc zaintrygowała ją ta zaskakująca cecha.

– Wielkie to przedsięwzięcie – stwierdziła.

– Owszem. – Nieco ochłonął i na powrót stał się szarmancki. – I dlatego potrzebuję wyjątkowej żony, która stanie u mego boku i da mi synów, którzy zapewnią trwałość rodu.

– Ludwikowi dałam tylko córki.

Potrząsnął głową.

– On się do tego przyczynił. Ja dam ci synów i nie ma co do tego wątpliwości, nasze królestwo rozciągnie się od granic Szkocji aż do Pirenejów, a nasze wpływy sięgną znacznie dalej, gdyż moi krewni zasiadają na wielu tronach, także w Jerozolimie.

Odnosiła jego arogancję, lecz dała wiarę jego słowom i wyczekiwanie zaszumiło jej w żyłach jak grzane wino.

Ceremonia pokładzin przebiegła z powagą i bez hałaśliwych błazeństw. Odprowadzono do alkowy księcia i księżną, ważyły się losy rodu i państwa. Jeden czy dwóch głośnych pijaków zostało przywołanych do porządku. Pościel usłano blad różowymi płatkami róż, na kolumnach łoża zieleniły się girlandy. Na przykrytym obrusem stoliku przy łóżku postawiono wino i przekąski, komnata była jasno oświetlona świecami i lampami olejnymi, które roztaczały odurzającą woń.

Nowożeńcy rozebrali się za parawanami i stanęli naprzeciw siebie w samych koszulach. Biskup ponownie związał ich ręce stułą, jak w kościele, w dowód łączącej ich więzi, i nakreślił krzyże na ich czołach wodą święconą, którą obficie skropiono łożo. Gdy Alienor i Henryk położyli się obok siebie, goście wyszli, pozostawiając ich samych.

Henryk odwrócił się do niej i dotknął jej włosów.

– Mają odcień rzymskich monet – stwierdził i sięgnął po kosmyk, żeby powąchać. – Pachną jak ogród kwiatowy usiany przyprawami. Cały dzień marzyłem, aby to zrobić.

Alienor przysunęła się bliżej.

– Nie znajdziesz tych perfum nigdzie indziej – szepnęła. – Przyjechały aż z Jerozolimy.

Prawie dotykali się wargami. Puścił jej włosy i musnął szyję.

– Jestem odurzony – oznajmił. – Twoja uroda zapiera mi dech.

Te słowa były jak balsam na jej duszę. Powoli rozwiązała tasiemki jego koszuli.

– A ty jesteś młodym lwem – odrzekła ściszone głosem.

Odsunął się, żeby zdjąć koszulę, i po raz pierwszy ujrzała jego ciało. Był gibki, lecz teraz rozumiała, skąd czerpał siłę, by okiełznać potężnego rumaka i podporządkować sobie ludzi. Zaiste był młodym złocistym lwem o szerokich barkach i płaskim, rzeźbionym brzuchu. Meszek rudozłocistych włosów tworzył pektorał na jego piersi i znikał miękką kreską pod odwiniętym brzegiem kalesonów, które miał pod koszulą. Alienor poczuła suchość w ustach, ciało jej płonęło. To była żądza, nie miłość, a jednak nie tylko, gdyż otrzymali błogosławieństwo Kościoła i zadaniem obojga było dążyć do pełnego zespolenia.

Ujął twarz Alienor w dłonie i ją pocałował. Miał miękką brodę i jeszcze miększe wargi. Odwzajemniła pocałunek i zarzuciła mu rękę na szyję, na co sięgnął po skraj jej koszuli i ściągnął ją przez głowę. Czowała żar i siłę jego podniecenia przez cienką tkaninę spodni.

Na chwilę przejęła inicjatywę, gdyż miała dosyć bierności z Ludwikiem i pragnęła zaznaczyć, że są sobie równi. Pocałowała jego klatkę piersiową i lekko przygryzła sutek. Henryk chwycił powietrze i otarł się o nią; było to niezwykle zmysłowe, albowiem dzielił ich jedynie cienki materiał. Przeniosła się na drugi sutek, a potem na szyję. Znowu ją pocałował, tym razem mocniej, bardziej natarczywie. Rozwiązała mu kalesony i zsunęła je z bioder, a potem tchu jej zabrakło, bo był ogromny, bez porównania z niemrawymi podrygami Ludwika.

Parsknął zduszonym śmiechem.

– Jestem gotowy spełnić mój obowiązek, jeśli ty jesteś gotowa. – Połaskotał ją brodą w szyję i przysła jego kolej na pieszczoty, aż poczuła, że tonie. Położył się na niej i objęła go dłonią, a wtedy zadrżał i przymknął oczy, i zadała sobie pytanie, czy jest blisko, i czy wytrzyma. Potem bez dalszych ceregieli poprowadziła go do swego ciała.

Nabrał tchu, kiedy zamknęła się wokół niego, poczuła, że drży. Na chwilę uniósł się na przedramionach i znieruchomiał, po czym opuścił głowę i obsypał pocałunkami jej twarz oraz szyję. Powiodła dłońmi wzdłuż jego boków, czując zarys żeber i muskularną wypukłość pośladków.

Zaczął się poruszać. Spodziewała się, że zaraz skończy, ale długo się powstrzymywał. W końcu wpił się w jej usta i napierał ze wszystkich sił, raz za razem, aż do utraty zmysłów, a gdy wbiła paznokcie w jego barki i oplotła go nogami, dał jej swoje nasienie.

Odsunął się zdyszany i pocałował ją delikatnie.

– Nie przewiduję żadnych problemów w alkowie – oznajmił ze śmiechem.

Podparła się na łokciu i musnęła wargami jego ramię.

– Ja także. – Był zmysłowy, nie wstydził się własnego ciała: pod tym względem również stanowił zaprzeczenie Ludwika. Kochając się z Henrykiem, ponownie stała się kobietą; nie zgłębiała emocji w obawie, że się rozplacze,

a wołała tego uniknąć. Niech pozostaną na równych prawach.

Henryk wstał i obszedł komnatę jak pies, który bada nowe terytorium. Blask świec lśnił mu we włosach; wziął daktyl ze srebrnego półmiska i go zjadł, wpatrzony w tkaninę przedstawiającą polowanie z sokołem.

– Ta komnata należała do mojej babki – wyjaśniła Alienor i się przeciągnęła.
– Pamiętam, jak tu urzędowała, kiedy byłam mała.

– Słyszałem o niej i twoim dziadku. – Spojrzał na nią z błyskiem rozbawienia w oku. – Naprawdę miała na imię Dangerosa?

Narzuciła pled na ramiona i poszła napełnić kielichy winem. Wzmianka o babce nasunęła jej myśl o Petroneli, jakże podobnej do Dangerosy. Przesada w uczuciach to rzecz bardzo niewskazana.

– Dziadek tak ją nazywał i posługiwała się tym przydomkiem, ale naprawdę miała na imię Amalberga.

– Skąd ten przydomek?

– Bo była dzika i nieprzewidywalna. Ona i dziadek świata poza sobą nie widzieli, kochali się do szaleństwa. W dzieciństwie przychodziłyśmy tutaj tańczyć. Kiedy była w dobrym humorze, porywała nas swoimi opowieściami, ale trochę się jej bałyśmy... tej ciemności, którą w sobie nosiła.

Henryk spojrzał na nią zamyślony, ale nic nie powiedział.

– Dziadek postawił tę wieżę, a ta komnata zawsze należała do niej. Moja druga babka wróciła do opactwa w Fontevraud.

– Moja ciotka jest tam opatką – oznajmił. – Siostra mego ojca, Matylda. A moja siostra Emma mieszka tam w świeckim domu dla kobiet.

– Twoja siostra?

– Przyrodnia. Z tej samej matki, co Amelin, ale wychowała ją ciotka Matylda.

– Złoży śluby?

Henryk zaprzeczył.

– Nie sądzę, chyba że poczuje nagłe powołanie. Chciałbym, żebyś tam pojechała, kiedy będę w Anglii.

– Naturalnie.

– I rozważ, proszę, włączenie Emmy do swojej świty. Jest uległa i ma ręce stworzone do szycia. Myślę, że dojdziecie do porozumienia.

– Skoro sobie życzysz – odrzekła zaintrygowana. Chętnie pozna ciotkę i przyrodnią siostrę Henryka: jednym z jej obowiązków była dbałość o kontakty z jego rodziną i faworyzowanie jej członków.

– Tak, bardzo proszę. – Dopił wino, wziął drugiego nadziewanego daktyla i ją nakarmił. Delikatnie oblizwała mu palce, żeby się nie kleiły. Wsunął ręce we włosy Alienor i ją pocałował, a potem znów był gotowy. Podniósł ją i zaniósł z powrotem na łóżko.

Drugi raz był wolniejszy, ale dostarczył im więcej doznań. Na koniec Henryk prawie szlochał, a ona uczepliła się go kurczowo, czuła się jak w oku cyklonu. Kiedy się rozłączyli, przyciągnął ją blisko, opasał ręką i po chwili już spał.

Bijące od niego ciepło i uścisk silnych ramion dały jej poczucie bezpieczeństwa po raz pierwszy, odkąd dorosła. Na samym początku Ludwik garnął się do niej z samolubnych pobudek, a z Gotfrydem nigdy nie miała okazji tak leżeć, lecz Henryk czuł się swobodnie we własnym ciele, byli mężem i żoną, i już nie musiała się bać.

Henryk obudził się wczesnym rankiem zadowolony, serce rozpieierała mu radość. Przez otwarte okiennice do środka wpadało białe, południowe światło. Draperie były podniesione, tak jak je zostawili, a on leżał skulony przy swojej oblubienicy. Oddychała spokojnie, ze złotymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Podniósł się, żeby na nią spojrzeć. A więc się stało. Akwitania należy do niego wraz z piękną księżną. Układ okazał się lepszy, aniżeli zakładał. Umiała go zadowolić i sama też doznała rozkoszy, a do tego okazała się ciasna jak dziewica, choć nią nie była. I ta gładkość jej ramion, długie, chłodne palce... Zachwyciła go blada skóra na jej szyi, to zagłębienie tuż poniżej ucha, doskonały zarys czoła, zuchwy i policzka. Nie miał żadnych zastrzeżeń. Lekko przesunął rękę od jej barku aż po dłoń i podziwiając bladą jedwabistość skóry, przypomniał sobie, co powiedział jego ojciec – aby się przed nią strzegł i zawsze był górą. No i dobrze. Będzie trzymał rękę na pulsie i użyje wszelkich dostępnych środków, by utwierdzić się co do jej lojalności i chęci współpracy.

Alienor sennie rozwarła powieki i uśmiechnęła się do niego. Henryk cofnął się odruchowo, zakłopotany, że go przyłapała. Na przekór minionej nocy wciąż byli sobie obcy, poza tym nie miał do czynienia ze zwykłą kobietą z obozu, z którą mógł wytarzać się na sianie w biały dzień. Usiadł i zaczął się ubierać.

Nie odrywając od niego wzroku, odgarnęła włosy na ramię.

– Nie musimy się dzisiaj spieszyć.

Henryk pokręcił głową.

– Mam sporo do omówienia z moimi ludźmi, wzywają mnie pilne sprawy. Zobaczymy się później... wybierzemy się razem na przejażdżkę. – Pocałował ją w usta i policzek, i już go nie było.

Alienor z niezadowoleniem opadła na poduszkę. Henryk z pewnością nie lubił się wylegiwać. Gdy nie spał, musiał być w ciągłym ruchu, a jej nie pozostawało nic innego, jak to zaakceptować, co zapewne było łatwiejsze, niż zmusić go, by zwolnił. Podziwiała jego niespożytą energię, wolałaby jednak, żeby chwilę z nią został. W nocy się przebudziła i jego bliskość dodała jej otuchy. Ta

złocista siła. Musieli się bliżej poznać, ale pogodziła się z myślą, że sprawa Anglii jest na pierwszym miejscu.

Później, zgodnie z obietnicą, odbyli konną przejażdżkę, Henryk z białozorem Izabelą na nadgarstku. Alienor zostawiła La Reine w zamku; nie chciała robić Henrykowi konkurencji, aby mógł się w spokoju nacieszyć prezentem. Jak się okazało, świetnie sobie radził z ptakiem, który był mu posłuszny i szybował dlań w całej krasie. Henryk śmiał się z radości, obserwując jego poczynania, i pękał z dumy, gdy Izabela złowiła kilka gołębi skalnych, a potem dorodnego bażanta. Henryk wyrwał mu pióro z ogona i z szerokim uśmiechem przystroił nim czapkę. Aż ją w sercu zakłuło na ten widok. Był tak na wskroś żywy, górował nad wszystkimi, lecz nie pychą, tylko pewnością siebie i charyzmą.

Zatrzymali się na piknik nad strumieniem i Henryk oddał Izabelę sokolnikowi, który ją spętał.

Alienor wręczyła mężowi kielich wina do popicia chleba i sera, które pałaszował z apetytem.

– Co zrobimy z Ludwikiem? – spytała.

Przełknął i rzucił jej pytające spojrzenie.

– A cóż mielibyśmy zrobić?

– Według prawa powinniśmy byli zapytać go o zgodę na małżeństwo.

Prychnął.

– Jeszcze czego.

– Zgadzam się z tobą, ale ma prawo wyciągnąć wobec nas sankcje... nawet zbrojne.

Henryk wzruszył ramionami.

– Niech spróbuje.

– Przecież się nie rozdwoisz.

– A kto tak powiedział? – Wyglądał na rozbawionego. – Wegecjusz, rzymski strateg, twierdził, że odwaga jest warta więcej niż liczebność, a szybkość jest warta więcej niż odwaga. Moja armia stacjonuje w Barfleur, ale w razie potrzeby mogę ją przekierować. Mam przy sobie lepszych ludzi, niż ma Ludwik, i umiem nad nimi zapanować. W moim obozie jeździec dosiada konia, a nie na odwrót. Znałem ryzyko – dodał – ale je podjąłem, gdyż korzyści znacznie przewyższały szkody. – Posłał jej drapieżne spojrzenie. – Przyznasz mi rację, pani?

Wzniosła kielich.

– Jeszcze nie wiem – odrzekła.

Henryk odstawił swój i przyciągnął ją do siebie.

– Ale jesteś otwarta na perswazję?

Alienor wybuchnęła śmiechem.

– Zawsze.

Henryk był gotowy do wyjazdu. Gdy świt oblekł niebo perłową poświatą, jego orszak czekał już na dziedzińcu. Zapiął pelerynę i niecierpliwie przerzucił połę przez ramię, jak miał w zwyczaju.

– Jedź z Bogiem, mój mężu – powiedziała. – Będę się modlić o twoje powodzenie i szybki powrót.

– Ja także – odrzekł z uśmiechem. – Czuję się, jakbym został zaproszony na ucztę i skosztował tylko pierwszego dania.

Alienor uniosła brwi.

– To zaostrzy ci apetyt – stwierdziła.

– Nie wątpię. – Objął ją władczo. W ciągu ostatnich dwóch dni nabrał pewności siebie, lubił jednak, kiedy tak demonstrował swoją męskość. Miło czuć się dla odmiany pożądaną, zamiast budzić odrazę jako istota, która wodzi na pokuszenie.

Patrzyła, jak zwinnie wskakuje na konia z jej stajni; jego zmęczony wierzchowiec jeszcze odpoczywał. Ten był jabłkowity, z kruczym ogonem i grzywą. Wszyscy ludzie Henryka dosiadali jej koni.

Henryk ściągnął cugle i podjechał do żony.

– Przywiozę ci koronę. – Sprawił, że koń stanął dęba na pożegnanie, młócąc kopytami, następnie odjechał galopem w tumanach kurzu.

Ogarnęła ją pustka. Wróciła do komnaty; służące jeszcze nie sprzątnęły, pościel była zmięta. Na poduszce Henryka nadal widniało zagłębienie. Na widok złotorudego włosa oddech uwiązał jej w gardle. Wczorajsza koszula i kalesony leżały ciśnięte obok łóżka. Henryk z pewnością nie dorównywał schludnością i pedantycznością Ludwikowi. Podniosła odzież, wtuliła w nią twarz i wdychała ostry, męski zapach.

Po chwili zganiła się w duchu za to zachowanie i odrzuciła rzeczy na bok.

Paryż, lato 1152

Ludwik spojrzał na swoją siedmioletnią starszą córkę, która z zaciśniętymi powiekami modliła się na klęczkach. Jej warkoczyki miały odcień jego włosów, w niebieskiej sukience, ze spuszczoną głową, wyglądała jak aniołek. Ciężkie podobieństwo do matki w zarysie policzka oraz postawie wzbudził w nim ukłucie zaniepokojenia i żalu.

Nie czuł do niej nic na miarę miłości, ale trochę go rozczulała. Była grzeczną dziewczynką, która odmawiała pacierz, nauczyła się ładnie haftować i nie odzywała się bez pytania. Niemniej jednak rzadko znajdowała się w zasięgu jego wzroku. Wizyty w komnacie dziecięcej stanowiły bolesny dowód, że Alienor nie dała mu syna; dwie córki to przejaw jawnej dezaprobaty Boga. Były wszelako dziedziczkami Akwitanii, do której mógł rościć sobie prawa.

– Amen – powiedziała Maria. Przeżegnawszy się, wstała ze spuszczonym wzrokiem. U jego boku stał Henryk z Szampanii, z którym właśnie się zaręczyła. Jego brat Tybald, który podjął nieudaną próbę porwania Alienor, kiedy wracała do Poitiers, zaręczył się z małą Alicją. Dopiero zaczynała stawiać pierwsze kroki i mówić pojedyncze słowa, piastunka przyniosła ją do kościoła.

Z Notre Dame królewski orszak wrócił uroczyście do pałacu, gdzie wyprawiono ucztę z okazji zaręczyn. Henryk serdecznie odnosił się do Marii, pocałował ją w policzek, a następnie przykazał jej, żeby była grzeczną dziewczynką i szybko urosła, aby mógł powitać ją w swoim domu jako hrabinę Szampanii. Potem została odprowadzona do komnaty razem z siostrzyczką. Przyszli mężowie odetchnęli i pławili się w świadomości zaręczyn z francuskimi księżniczkami, dzięki którym mieli Akwitanie w zasięgu ręki.

– Moje córki wyjadą jutro do klasztoru w Aveney – oznajmił Ludwik. – Zostaną wychowane w czystości, na dobre żony.

Jego słowa przyjęto uroczystym potakiwaniem. Klasztory stanowiły ostoję dla szlachetnie urodzonych dziewczynek, sprzyjały zachowaniu czystości duszy i ciała.

– Jak się miewa pan z Vermandois? – zapytał Henryk. – Z przykrością usłyszałem o jego chorobie.

– Wraca do siebie – odparł zwięźle Ludwik. – Nie wątpię, że wkrótce przybędzie na dwór. – Od czasu unieważnienia małżeństwa z Petronelą ubiegłej jesieni i niezwłocznego zawarcia ślubu z Loretą, siostrą hrabiego Flandrii, Raul poważnie niedomagał. Krążyły niewybredne żarty, że Loretta wysysa z męża

wszystkie soki, jednakże Ludwik nie przyjmował ich do wiadomości.

Wszedł odźwierny z listem, a Ludwik przywołał go z drżącym sercem. Wiadomości przynoszone do stołu, zawsze niecierpiące zwłoki, zazwyczaj zawierały złe wieści. Wziął list, złamał pieczęć, przeczytał i usta mu zbieleły.

– Co się stało? – Robert z Dreux z niepokojem nachylił się ku niemu.

Twarz Ludwika stężała w grymasie.

– Moja była żona wyszła za Henryka z Anjou.

Przy stole zapadła głucha cisza.

– Przecież on jest w Normandii! – wybełkotał Robert. – W Barfleur!

– Jak widać, nie. – Ludwika zemdliło, przełknął ślinę. – Jest w Poitiers, a moja żona... była żona... za niego wyszła.

– Dobry Boże.

Ludwik z niedowierzaniem wpatrywał się w list. Z odrazą wspomniawszy wizytę młodzieńca w Paryżu. Spuszczony wzrok, ostrożna, ale pełna szacunku postawa: wszystko dla niepoznaki. Myśl o Alienor i rudzielcu razem w łóżu omal nie zwała go z nóg. Jak mogła, zaledwie dwa miesiące po unieważnieniu, w dodatku z dziewiętnastolatkiem? I za jego plecami. Dziwka, suka!

– Nie mogą tego zrobić – zaproponował Robert z wściekłością. – Są wasalami, potrzebują twojej zgody na ślub. Nie prosili o nią, więc muszą zostać ukarani.

Henryk z Szampanii i jego brat skwapliwie pokiwali głowami, gdyż stawiało to pod wielkim znakiem zapytania ich plany wobec córek Ludwika.

– Każę im przyjechać, żeby się wytłumaczyli – oznajmił król.

– I sądzisz, że posłuchają? – Robert prychnął z niedowierzaniem. – Nie możesz na tym poprzestać. Są zbyt blisko spokrewnieni. Powinieneś napisać do Rzymu i pociągnąć ich do odpowiedzialności.

Ludwik kiwał głową, ale w środku się gotował. Dlaczego to uczyniła? Żądza ją do tego popchnęła? Myślała, że pokieruje dziewiętnastolatkiem, jak niegdyś sterowała nim? A Henrykowi pewnie roiała się władza.

– Jeśli nie odpowiedzą na moje wezwanie, podejmę bardziej stanowcze kroki.

– Wierz mi, nie odpowiedzą – orzekł Robert. – Należy podjąć natychmiastowe kroki.

– Podjęmę, w swoim czasie – warknął Ludwik. I wyszedł, bo chciał zostać sam ze złością i upokorzeniem, że Alienor dzieliła teraz łóżę z Henrykiem z Anjou. Pocieszał się myślą, że skoro jemu nie urodziła synów, na pewno nie urodzi ich Henrykowi, ponieważ Bóg ukarze ich bezpłodnością. Ileż przez nią wycierpiał!

Kłęczał przy przenośnym ołtarzyku, gdy zapukał jego szambelan.

– Co znowu? – wybuchł Ludwik. – Mówiłem przecież, by zostawić mnie w spokoju!

– Wybacz, panie, nadeszła wiadomość, że Raul z Vermandois umarł. –

Mężczyzna podał mu list.

To było do przewidzenia, ale Ludwik aż się zachwiał. Raul był obecny w jego życiu od chwili, gdy jako przerażony chłopiec został zabrany z klasztoru i osadzony na tronie. Czasami się nie zgadzali, lecz na ogół dobrze mu służył; był niezawodny, choć gubiła go słabość do kobiet. Pozostawił troje małych dzieci, które rzecz jasna zostaną pod opieką Ludwika. Nie mogą wrócić do obłąkanej matki, trzeba coś z nimi począć.

Odprawił szambelana i ponownie ukląkł, by pomodlić się za zmarłego. Jutro każe odprawić mszę i uderzyć w dzwony. Czuł się jak leśne drzewo, nagle pozbawione wsparcia innych drzew i targane bezlitosnym wiatrem.

– Jak umarł Vermandois? – Agnieszka, ciotka Alienor i opatka Notre-Dame de Saintes, utkwiała w niej współczujące, ale zaciekawione spojrzenie. Jej jasnobrązowe oczy zdawały się niemal złote i nic im nie umykało.

Alienor uraczono kielichem wina i półmiskiem przepysznych kasztanów w miodzie, które uwielbiała, lecz była zbyt zaaferowana, żeby jeść. Przyjechała zobaczyć się z ciotką i Petronelą, by opowiedzieć im o świeżo zawartym małżeństwie.

– Od pewnego czasu niedomagał i usunął się z dworu, dostał wylewu w łóżku z nową żoną, mimo że zalecano mu wstrzeźliwość. – Alienor się skrzywiła. – Chętnie ulegał tym skłonnościom, choć w oskarżeniach Petroneli było sporo przesady.

Agnieszka potrząsnęła głową.

– Świeć, Panie, nad jego duszą.

– Moja siostra nie musi znać okoliczności jego zgonu – dorzuciła Alienor ściszym tonem.

– Ma się rozumieć – przytaknęła ciotka. – Taka wieść przysporzy więcej złego niż dobrego.

– Jak ona się miewa?

Agnieszka musiała chwilę się zastanowić.

– Nastąpiła znaczna poprawa. Służą jej msze i codzienne modlitwy. Nie powiem, że jest szczęśliwa, ale nie wygląda już na zdruzgotaną. Nie sądzę, że jest gotowa nas opuścić, być może nigdy to nie nastąpi, ale nie wydaje mi się też, aby złożyła śluby. Zaraz cię do niej zaprowadzę.

Alienor przeczuwała, co się święci. W zamian za opiekę nad Petronelą Agnieszka zażąda szczegółów małżeństwa z Henrykiem. Przedstawiła ciotce rzetelną, acz nieco okrojona wersję.

– I jesteś zadowolona?

Alienor wygładziła suknię na kolanach i spojrzała na obrączkę.

– Nie narzekam, ale z drugiej strony ledwo go znam. Wyjechał do Normandii prawie natychmiast.

– Podobno jest inteligentny i wykształcony.

Alienor się uśmiechnęła.

– Chłonie wiedzę niczym mech wodę i wciąż mu mało. Jest w ciągłym ruchu, chyba że śpi; wówczas leży jak kłoda i prawie nie oddycha. – Poczzerwieniała. We śnie wyglądał tak młodo i bezbronne, że prócz pożądania budził w niej coś na kształt macierzyńskiej czułości.

– Stoicie przed trudnym zadaniem. I bierzecie na siebie ogromne ryzyko.

– Dokonałiśmy najlepszego wyboru. On ma zadatki na króla. – Uniosła podbródek. – Oboje mamy.

– Owszem. Zawsze tak uważałam. Już jako mała dziewczynka wszystkich wyprzedzałaś o krok.

Gdy zjadła kasztany i wypłała wino, Agnieszka poprowadziła ją na cichy, skąpany w słońcu krużganek, gdzie wyszywały dwie kobiety, zakonnica i Petronela w czepcu i granatowej sukni.

– Petro? – Alienor podeszła do niej z otwartymi ramionami.

Petronela uniosła głowę znad robótki. Twarz miała ściągniętą, ale wzrok bystry.

– Jak miło cię widzieć! – Alienor ucałowała siostrę w oba policzki i mocno przytuliła. – Słyszałam, że dobrze ci się wiedzie!

Petronela odwzajemniła uścisk.

– Podobno. – Potoczyła wzrokiem wokół siebie. – Przy takim świetle nie zostaje wiele miejsca na ciemność, a kiedy jednak nadciąga, zwracam się o pomoc do Najświętszej Panienki.

– Bardzo mnie to cieszy.

Petronela ponownie sięgnęła po robótkę.

– Nie chciałam tu przyjeżdżać – oznajmiła. – Ale teraz wiem, że miałas rację. Gdybym wróciła na dwór, wszystko ległoby w gruzach. Tutaj jestem bezpieczna.

Agnieszka z zakonnica wyszły, siostry zostały same. Alienor wzięła głęboki oddech.

– Mam ci tyle do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. Dwa tygodnie temu ponownie wyszłam za mąż, za Henryka, hrabiego Anjou.

Petronela znieruchomiała i spojrzała na nią w dawny, znaczący sposób.

– Uknuliście to, prawda? Kiedy przyjechali do Paryża. Wiedziałam! Wiedziałam, że coś ci chodzi po głowie!

– Owszem, chodziło, lecz podjęłam ostateczną decyzję dopiero po otrzymaniu unieważnienia – odparła Alienor na swoją obronę. – To decyzja taktyczna, poza tym nie miałam innego wyboru, bo stałam się celem wszystkich

kawalerów z ambicjami.

Petronela sięgnęła po igłę.

– Fakt – przyznała. – Klasztor nie był ci pisany. – W jej głosie pojawiła się gniewna nuta.

– Nawet w klasztorze nie zaznałabym spokoju: zostałamby porwana przez jakiegoś żądnego władzy durnia, który zmusiłby mnie do małżeństwa. Jaki los czekałby wówczas Akwitanię? Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz. – Przygryzła wargę. – Petro... muszę ci powiedzieć coś o Raulu.

Siostra zacisnęła zęby.

– Nie chcę tego słuchać – odparła. – Wyrzuciłam go z siebie jak demona. Przez niego byłam chora. Kochałam go nad życie, a potem znienawidziłam. Teraz jest dla mnie nikim.

– Petro, on... on... nie żyje. Od pewnego czasu niedomagał. – Z lękiem spojrzała na siostrę.

Petronela ukuła się igłą i na białe płótno spłynęła jaskrawoczerwona kropla. Patrzyła, jak wsiąka.

– Zawsze przynosisz mi wiadomość o czyjejś śmierci – stwierdziła drżącym głosem. – Najpierw ojciec, a teraz mój mąż. Powinnam uciekać na sam twój widok.

Serce mało nie pękło Alienor ze współczucia.

– Nie chciałam, żeby tak było, ale ktoś musiał ci powiedzieć i na mnie spadła ta odpowiedzialność. Mogłam przysłać list i poprosić ciotkę o przeczytanie, lecz tak postąpiłby tchórz.

Petronela wpatrywała się przed siebie pustym wzrokiem.

– Nic mnie to nie obchodzi – rzekła. – Nie dbam o to. – Spojrzała na ukłuty palec. – Ostatni raz krwawię przez niego. – Zostawiwszy robótkę, wstała z ławki, zrobiła kilka kroków, po czym nagle osunęła się na kolana i poczęła z wyciem bić pięściami w ziemię. Alienor pospieszyła ją podnieść, ciotka z zakonnicej nadbiegły z drugiej strony.

– Tak – powiedziała Alienor, kołysząc ją w ramionach. – Ostatni raz cię zranił. Ciii, siostro. Wreszcie zaznasz spokoju.

Tydzień później pojechała do opactwa Fontevraud, tym razem odwiedzić ciotkę Henryka i odebrać nową podręczną.

Fontevraud leżało w obrębie terytorium andegaweńskiego, nieopodal granicy z Poitou. Klasztor wzniesiono na ziemi przekazanej przez jej dziadka ze strony ojca, Wilhelma IX Akwitańskiego. Wstąpiły doń jego żona i córka; babka Filipa zmarła na długo przed narodzinami Alienor. Było to opactwo benedyktyńskie, klasztor męski oraz żeński w tym samym miejscu, oddzielone surową klauzurą, oba podlegające władzy opatki, którą w owym czasie była ciotka Henryka, Matylda.

Była przystojną kobietą w średnim wieku, o gładkiej, młodzieńczej cerze i bystrych, szarych oczach bratanka. Brwi i rzęsy miała złocistopiaskowe, co pozwalało się domyślać, że włosy pod kornetem, gdyby dano im odrosnąć, zamiast golić je trzy razy w roku, nosiłyby odcień andegaweńskiego złota. Przebywała w Fontevraud od czasu śmierci swojego młodego męża, który zginął na morzu przed trzydziestu laty.

– Miło mi cię powitać, przyjmij powinszowania z okazji ślubu z moim bratankiem – rzekła z oficjalną uprzejmością.

Alienor dygnęła.

– Z radością nazwę cię swoją krewną, matko wielebna. – Spojrzała na blade mury, które lśniły w słońcu. – Przepięknie tu.

– Owszem – przyznała Matylda. – W Fontevraud panuje szczególny spokój, który udziela się wszystkim obecnym. Ja z pewnością go zaznałam, gdy przybyłam tutaj jako młoda wdowa.

Poszły do kościoła i gdy znalazły się w otoczeniu białych kolumn nawy, na Alienor spłynął zachwyty i spokój. Z wysokich okien na nagrobek założyciela, Roberta z Arbrissel, spływał rzęsy blask początku lata, cała przestrzeń zaś lśniła niczym przedświatło niebios. Na ścianach namalowano sceny z życia Najświętszej Dziewicy, ale nie odwracały uwagi od czystości wnętrza, tylko ją podkreślały. Nie był to relikwiarz na podobieństwo Saint-Denis, lecz świątynia żywej, nieskalanej światłości. Alienor poczuła, że gdyby stanęła pośrodku i rozłożyła ręce, miłość Boga wsączyłaby się w nią jak blask słońca. Wzięła głęboki oddech i wciągnęła w nozdrza wszechobecny zapach kadzidła, a wraz z nim spłynęła na nią błogość i harmonia.

– Czujesz, prawda? – Matylda uśmiechnęła się z aprobatą. – Dzień w dzień czerpię siłę z tego miejsca.

Z kościoła udały się do świeckiego domu gościnnego dla kobiet, które z różnych powodów poszukiwały tu schronienia przed światem, lecz nie pragnęły złożyć ślubów. Wiele z nich było wdowami, które przybyły, by spędzić tu ostatnie lata życia, lecz trafiały się też młodsze kobiety, przysłane przez rodziny na naukę i dla bezpieczeństwa.

– Emmo? – wezwała Matylda jedną z nich, siedzącą z robótką przy oknie. Musiała oczekiwać ich przyjscia, gdyż pospiesznie odłożyła tamborek i podeszła.

– Czcigodna ciotko – rzekła, a potem: – Pani – pod adresem Alienor, i dygnęła. Matylda je przedstawiła. Emma była smukła i nie tak wysoka jak Alienor, lecz ładnie zbudowana. Przypominała ojca kształtem twarzy i wdziękiem, z jakim się nosiła. Widoczne spod woalu włosy nosiły złocistobrązowy odcień z połyskiem rudości, a do tego miała śliczne piwne oczy.

– Twój brat życzy sobie, abyś dołączyła do mojego orszaku – oznajmiła Alienor. – Teraz, kiedy się ożenił, znajdziemy dla ciebie odpowiednie miejsce poza

klasztorem, jeśli oczywiście zdecydujesz się go opuścić. Wybór należy do ciebie.

Emma posłała jej spojrzenie, które Alienor zrazu wzięła za nieśmiałe, po chwili jednak zrozumiała, że szwagierka odwzajemnia jej zaciekawienie.

– Jest tak, jak mówię – dodała. – Posiadanie wyboru to dar cenniejszy od złota. Nie musisz od razu odpowiadać.

– Z chęcią pojedę z tobą, pani – przemówiła Emma spokojnym, ale stanowczym głosem. – Dobrze mi tu, lecz z chęcią przysłużę się swojej rodzinie. Dziękuję, że zapytałaś, zamiast rozkazywać, co uczyniłby na twoim miejscu mój brat.

Alienor spodobała się jej odpowiedź. Wyglądało na to, że Emma oprócz wdzięku posiada też charakter.

– Jesteś siostrą mego męża, który decyduje o twoim losie – odrzekła. – Lecz sama dobieram sobie dwórki. Mam nadzieję, że wkrótce się poznamy i zaprzyjaźnimy. – Posłała jej konspiracyjny uśmiech, a Emma odpowiedziała jej tym samym.

Opatka Matylda zawiodła Alienor na cmentarz zakonnicy, położony za kościołem, i wskazała jej prosty, kamienny nagrobek, otoczony zadbaną i krótko przyciętą trawą. W powietrzu unosił się zapach dzikich róż z sąsiedniego treliazu.

– Tu spoczywa hrabina Filipa, twoja babka – oznajmiła. – Umarła, zanim się pojawiłam, ale część zakonnicy dobrze ją znała i opowie ci o niej.

Alienor uklękła przy grobie, aby się pomodlić, i oparła dłoń na rozgrzanym kamieniu.

– Jak dobrze, że znalazła tu spokój. – Istotnie byłoby łatwo żyć w harmonii tego miejsca. Ptaki śpiewały, słońce pieściło jej plecy. „Kiedyś...”, pomyślała, „ale jeszcze nie teraz”.

Zjadły razem obiad w celi opatki, prosty posiłek złożony z pstrąga i świeżego chleba.

– Ostatni raz widziałam Henryka na pogrzebie mojego brata, świeć, Panie, nad jego duszą. – Matylda się przeżegnała. – Bardzo wydoroślał, jednakże nie miał innego wyjścia. Dźwiga na barkach brzemień wielkich nadziei i oczekiwań.

– To prawda – mruknęła Alienor. Emma w milczeniu siedziała ze spuszczonym wzrokiem, co pozwalało mniemać, że z przyrodnim bratem nie łączą jej najcieplejsze stosunki.

– Ale nadal się wierci – dorzuciła z humorem Matylda. – Nie usiedzi w jednym miejscu, nawet w kościele.

Alienor ze śmiechem przyznała jej rację.

– Szkoda, że się nie obraca, bo gdyby dać mu wrzeczono i motek przędzy, zaraz uwinąłby się z tuniką. – Zamyśliła się. – Lecz zawsze jest skupiony.

Przypomina koło o wielu szprychach, każda czemuś służy. Przypuszczam, że zawładnąłby wszystkim, co mu wpadnie w ręce.

– Słuszne spostrzeżenie – przyznała Matyllda. – Mój bratanek to fenomen, choć mówię to, bo mam do niego słabość. Jest dla mnie jak syn. – Nachyliwszy się, uścisnęła dłoń Emmy. – A ty jesteś dla mnie jak córka. Pora, byś wróciła do świata, ale będzie mi Ciebie brakowało.

Przerwała im siostra Małgorzata z listem dla Alienor na zabrudzonym pergaminie.

Alienor złamała pieczęć i przeczytała.

– Kłopoty, moja droga? – zapytała z niepokojem Matyllda.

– Frankowie najechali Normandię – odrzekła Alienor, unosząc wzrok znad listu. – Zaatakowali i przejęli Neufmarché, Ludwik, Robert z Dreux i bracia z Blois. Henryk nie zdążył dojechać na czas z Barfleur. – Przygryzła wargę. – Również Eustachy z Bolonii i Gotfryd, brat Henryka. – Zdawało się, że cały świat sprzysiągł się przeciwko nim. Poczuli ukłucie strachu, ale gniew i pogarda przeważały. – Szczury wypełzły ze swych nor. Nie dziwi mnie to, nie zdziwi Henryka.

Matyllda okazała niesmak, ale zachowała przytomność umysłu.

– Przykro mi to słyszeć, ale też nie jestem zaskoczona.

Alienor zwinęła pergamin.

– Udaję się do Poitiers i poczekam na Henryka, tak jak się umówiliśmy. Trzeba zachować czujność, ale bez paniki: nasi wrogowie są nieudolni, w przeciwieństwie do mojego męża. – Pomimo śmiałych słów miała nadzieję, że Henryk nie wzięł na siebie więcej, aniżeli mógł udźwignąć.

– Usiłują go zniszczyć, bo jeśli teraz nie zdążą, na zawsze zaprzepaszczą swoją szansę – dodała Matyllda z wojowniczym błyskiem w oczach. – Ten jego brat to próżny, pozbawiony rozumu chłopak. Walczy do upadłego, by Henryk uczynił go hrabią Anjou i Maine, lecz nigdy do tego nie dojdzie. – Potrząsnęła głową. – Familia Anjou nie potrafi się dzielić. Mój brat Eliasz uparcie trafiał do lochów za bunt, bo nie umiał się pogodzić ze swoim losem. Mają to we krwi, moja droga, o czym się niechybnie przekonasz, kiedy urodzisz Henrykowi synów.

Alienor się skrzywiła, na co Matyllda uśmiechnęła się ponuro.

– Przewrotny zawsze ubezpieczony. Masz siłę, aby zmierzyć się z przeznaczeniem.

„Ładna mi pociecha”, pomyślała Alienor.

– Za późno na powrót do Poitiers – oświadczyła Matyllda. – Kilka godzin nie zrobi różnicy.

„Dobrze chociaż, że nie wypłynął do Anglii, a jego armia czekała w gotowości”.

Tamtej nocy śniła o karmazynowych różach ociekających krwią, a rankiem

odkryła, że nasienie Henryka jednak nie uczyniło jej brzemienną. W sumie nie oczekiwała tego po jednej nocy, lecz jej obawy przybrały na sile. Przed wyjazdem z Fontevraud raz jeszcze pomodliła się w kościele i uklękła przed Matyldą, prosząc o błogosławieństwo. Potem, z Emmą u boku, wyruszyła wraz ze świtą na południe, ku bezpiecznej przystani Akwitanii.

Poitiers, sierpień 1152

Alienor spędziła rano zajętą urzędowymi sprawami. W wielkiej sali i na dziedzińcu Poitiers wrzało jak w ulu, krążyli posłańcy, petenci, skrybowie i służący. Otrzymała wiadomość od Henryka: postanowił zrezygnować z otwartej walki i nękać przeciwnika w strategicznych miejscach, z zaskoczenia. Musiała dopilnować bezpieczeństwa własnych granic, gdyż zbuntowany brat Henryka, Gotfryd, opanował kilka zamków w pobliżu Poitou, co budziło pewne obawy.

Spojrzała na nową srebrną pieczęć po swojej prawicy. Zamówiła ją zaraz po ślubie, napis na obwódce tytułował ją Alienor, hrabiną Poitou, księżną Normanów i hrabiną Andegawenów. Należała do niej i na pewno nie trafi w ręce uzurpatorów. Każdy wychodzący spod jej ręki dokument nosił symbol jej władzy, co napawało Alienor dumą i satysfakcją.

Przed kolacją postanowiła przewietrzyć głowę i kazała osiodłać konia. Nastąpiło piękne popołudnie babiego lata, wierzchowiec palił się do galopu. Alienor popuściła mu cugli, a kiedy przeszedł do cwału, frunęła jak na skrzydłach, rozkoszując się poczuciem wolności oraz złudzeniem, że pozostawiła za sobą wszystkie kłopoty. Część dworzan zarzucała jej lekkomyślność, lecz nie o to chodziło w tym wyścigu z wiatrem. Doskonale знаła granicę między lekkomyślnością a świadomym ryzykiem.

Zwolniła do stępa i poklepała konia po spoczonej szyi. Dotarli do obrośniętego mchem rzymskiego legionisty, który zmienił się nieco, odkąd przed piętnastu laty przejeżdżała tędy z arcybiskupem Gotfrydem i usłyszała, że ma poślubić Ludwika Francuskiego. Wciąż spoglądał tak samo, tylko jego przyodziewek z mchu jakby się rozrósł. Posłała mu znaczący uśmiech. Będzie tu stał nawet wtedy, gdy ona dawno obróci się w proch.

Nagle ujrzała jeźdźca zbliżającego się w tumanie białego kurzu. Garstka mężczyzn podążała za nim, lecz wyprzedził ich o sto jardów. Jej strażnicy chwycili za broń, ale ich powstrzymała.

– To mój mąż – oznajmiła. Serce zabiło jej mocniej w piersi. Czemu tak się spieszył? Czy stało się coś złego? Czyżby uciekał i wezwie do obrony Poitiers?

Stanął tuż na wprost niej. Kary wierzchowiec ciężko dyszał, chrapy miał czerwone jak najcenniejszy aksamit. Ociekał potem, podobnie jak sam Henryk, purpurowy na twarzy, z oczami niczym szare, błyszczące kryształami.

– Moja pani. – Skłonił się w siodle. – Zostawiłem cię w pośpiechu i w pośpiechu do ciebie wracam. – Jego uśmiech wręcz oślepiał. Urosła mu broda,

włosy też wymagały przycięcia. Alienor ucieszyła się na jego widok, zwłaszcza że wyglądał na uradowanego, lecz ostrożnie badała grunt.

– Miło, że wróciłeś cały i zdrowy – odrzekła. – Schlebia mi twój pośpiech, lecz gdzie reszta twoich ludzi?

– Zostali z tyłu. Wyprzedziłem ich – obwieścił radośnie.

– Z jakiego powodu?

– A z takiego, że nie nadążali, a mnie było spieszno cię powitać. – Rzucił jej błagalne spojrzenie. – Poza tym jestem spragniony, muszę się umyć, przebrać i coś zjeść.

– Jednocześnie? – Popatrzyła na niego figlarnie.

– A po cóż tracić czas? – odpowiedział pytaniem.

Alienor zawróciła konia i wrócili razem do miasta, a pozostali za nimi.

– Mniemam, że nie przywozisz złych wieści?

– Nie dla nas – oświadczył z satysfakcją Henryk. – Za to Ludwik czmychnął do Paryża z podkulonym ogonem pod pretekstem nawrotu gorączki, a bracia z Blois za nim. – W jego głosie zabrzmiały triumfalne nuty. – Wszak ci mówiłem, że szybkość liczy się bardziej niż odwaga i liczebność.

Alienor dowiedziała się po drodze, że Ludwik próbował zdobyć Pacy, lecz Henryk przez noc zajeździł konie i zajął pozycje dwa dni przed spodziewanym atakiem. Udaremnił plany Ludwika, spaliwszy Vexin, odbił zamek Bonmoulins i przeszedł tamtędy jak huragan.

– Nie docenili mojego tempa i furii – dodał z drapieżnym śmiechem. – Spodziewali się zapalczywego chłopca, co nie mierzy sił na zamiary, a dostali mnie.

Alienor kazała służbie zatroszczyć się o jego ludzi i przygotowała młodemu mężowi kąpiel w komnacie na szczycie wieży Maubergeon. Przyniesiono chleb i kurczaka, aby mógł się przy tym posilić.

– Co z twoim bratem?

– Masz na myśli Gotfryda? – Henryk się skrzywił. – Zawsze wyciągał rękę po moją własność, nie zawahał się nawet przed spiskiem z Francuzami. I źle na tym wyszedł, głupiec. Zabarykadował się w moich zamkach, więc mu je odebrałem. On nie ma pojęcia, jak zaskarbić sobie lojalność, a do wojaczki się nie nadaje. Otoczyliśmy go w Montsoreau, choć nie nazwałbym tego oblężeniem, i się poddał. Słabeusz.

– Podjąłeś decyzję co do jego przyszłości?

– Przyjąłem jego kapitulację i rozmieściłem ludzi w jego zamkach, a samego Gotfryda posłałem do matki w Rouen. Zatrzymałbym go przy sobie, ale nie mam ochoty patrzeć na tę naburmuszoną gębę. – Przerwał, aby napić się wina i zjeść kurczaka z chlebem.

– Ciotka Matyllda wspomniała, że nie przepadacie za sobą.

– I miała rację. Gotfryd zawsze był rozpuszczonym bachorem i nie znosił mnie.

– A twój drugi brat?

– Will? – Henryk przełknął. – Drugi bachor. Od dziecka marudzi i kłamie, ale jest nieszkodliwy. Chętnie podbierze Gotfrydowi to, co tamten upuści z głupoty. Może się przydać, tak jak Amelin.

Przeżuwając kolejny kęs, zaczął się myć, a woda z przezroczywej zmieniała barwę na mlecznoszarą. Widok jego mokrych, miedzianych kędziurów na tle bladej skóry karku wzbudził w niej czułość i lekki przyływ żądy.

– Co bracia myślą na twój temat?

Prychnął z rozbawieniem.

– Amelin najchętniej stałby się świadkiem mojego upadku, lecz wie, że mam najwięcej do zaoferowania, więc dochowa wierności i nie kęsa ręki, która go karmi. Gotfryda i Wilhelma lubi jeszcze mniej, a oni rzucaliby mu tylko ochłapy. Gotfryd udusiłby mnie gołymi rękami i gdybym nie przysiągł ojcu na moją duszę, że nie zrobię mu krzywdy, podzielałbym jego odczucia. Wilhelm dopiero staje na własnych nogach. Nie przyłączy się do Gotfryda z tych samych powodów co Amelin: ze względu na ryzyko, a tak przynajmniej wie, z kim ma do czynienia.

Ściągnęła wargi.

– Braterska miłość, jednym słowem?

– Otóż właśnie!

Alienor zabrała talerz i Henryk wstał. Służący polali go ciepłą wodą z dzbanów, po czym wyszedł z balii na filcowy dywanik, gdzie wytarto go do sucha i przebrano w czystą odzież.

– Przekonałem się dawno temu – podjął – że aby w pełni wykorzystać to, co się ma, trzeba się zaznajomić z jego działaniem, niezależnie od tego, czy chodzi o młyn, okręt, konia czy o człowieka.

Spojrzała na niego z przekorą.

– A ja?

Henryk uniósł brew.

– Z rozkoszą się dowiem.

Alienor odprawiła służbę stanowczym gestem i usiadła na łóżku.

– Życia ci nie wystarczy. Młyny, okręty, ludzie, konie łatwo rozgryźć, ja jestem większym wyzwaniem.

– Chcesz powiedzieć, że mężczyźni są łatwiejsi w obsłudze?

W powietrzu dało się wyczuć erotyczne napięcie. Alienor musnęła palcami szyję, przesunęła nimi po warkoczach i zatrzymała na wysokości kibici, skierowane w dół.

– Mężczyznami rządzą apetyty – odpowiedziała.

– Kobietami również – uściślił. – Kościół naucza nas, że kobiety są

nienasycone.

– Kościołem władają mężczyźni o nieposkromionym apetycie na władzę. Wierzysz we wszystko, co mówią?

Ze śmiechem usiadł obok niej.

– Nie jestem naiwny. – Zdjął jej woal i rozpuścił włosy, rozplątując palcami kosmyki i wdychając ich zapach. – Zatem jeśli mną rządzi mój apetyt, a ty jesteś nienasycona, może nigdy stąd nie wyjdziemy.

Zawtórowała mu śmiechem.

– Mój dziadek napisał o tym wiersz.

– O dwóch kobietach, ich rudym kocie i wędrownym rycerzu?

– Znasz?

– Ha, nie zliczę, ile razy słyszałem go przy ognisku. Sto dziewięćdziesiąt dziewięć razy w ciągu ośmiu dni? – Zdjął broszkę, którą spinała suknię pod szyją. – Twój dziadek zdradzał pewną skłonność do przesady. Ani myślę paść trupem, wcielając w życie jego fantazje. Nie ilość, lecz jakość, zawsze to powtarzam!

Alienor pochyliła się nad Henrykiem. Pierś jeszcze mu falowała po niedawnych igraszkach, miał rozanielony uśmiech na twarzy.

– Mój panie – rzekła – coś mi się zdaje, że jednak wzięłeś sobie do serca wiersz mego dziadka.

Henryk się zaśmiał.

– A cóż poradzę? Mamy wino? Umieram z pragnienia.

Alienor wstała i poszła nalać. Henryk usiadł, wytarł się koszulą i wziął kielich, który mu podała.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytał.

– Myślałam o tym, że kiedy ostatnio dzieliliśmy łożo, nie mogłeś się doczekać, by wstać i wrócić do swoich spraw.

Wyszczrzył zęby.

– Ponieważ nastał ranek i wzywały mnie pilne sprawy. Nie potrzebowałem snu i dopełniłem zarówno przyjemności, jak obowiązku. – Spojrzał na nią przytomnie. – Nie oczekuj, że będę przestrzegał stałych pór.

– Nie oczekuję, ale chciałabym wiedzieć, jak długo zabawisz tym razem. Tylko mi nie mów, że znowu wybierasz się do Barfleur.

Pokręcił głową.

– Po Bożym Narodzeniu. Tutaj mam sporo do zrobienia. – Popatrzył na nią z błyskiem w oczach. – O Akwitanii i Poitou wiem mało, prócz tego, że to ziemie o bogatych zasobach i zmiennym krajobrazie. Chciałbym je obejrzeć i poznać... tak jak ciebie i twoich wasali. A ty nigdy nie byłaś w Normandii. Też musisz się z nią zaznajomić... i poznać moją matkę.

Serce zabiło jej mocniej na myśl o spotkaniu z przerażającą cesarzową Matyldą. Zamierzała dowiedzieć się o niej wszystkiego, żeby się przygotować. Wiedziała, jak radzić sobie z ojcem Henryka, lecz kobieta pokroju cesarzowej Matyldy stanowiła zupełnie inne wyzwanie. Alienor wciąż nosiła rany po starciach z matką Ludwika, która zatruwała jej życie tuż po ślubie. Jak bardzo Henryk jest zżyty z matką?

– Słusznie – odpowiedziała ostrożnie.

– No i musimy być razem, aby płodzić dziedziców. Masz urodzić mi córki oraz synów, a ja muszę ci ich dać.

– Robimy, co w naszej mocy – odrzekła z uśmiechem, lecz pogrzyła się w namyśle. Powinna dopilnować, by nie zbliżył się zanadto do jej ludzi, choć wyręczyłaby się nim, gdyby musiała ich poskromić.

Henryk dopił wino, ponownie ją ucałował i wstał, żeby się ubrać.

– Twoja siostra okazała się bardzo pomocna – dodała. – Jak mówiłeś, ma smykałkę do szycia, i lubię jej towarzystwo.

– Znakomicie. – Henryk pokiwał głową. – Ojciec pragnął, bym się nią zajął, a w Fontevraud szyla tylko obrusy na ołtarz. Tu będzie z niej lepszy pożytek.

Spojrzała na niego badawczo.

– Myślałam, że jedyną siostrę darzysz większym sentymentem.

Wzruszył ramionami.

– Czasami bawiliśmy się w dzieciństwie, spędzała też święta na ojcowskim dworze, lecz każde z nas wiodło oddzielne życie. To moja krewna, mam obowiązki względem niej i dopełniam ich. Zapewne teraz lepiej się poznamy, odkąd ci służę.

– Wzniósł kielich. – A twoja siostra? Jest jeszcze młoda, mogłaby opuścić klasztor i ponownie wyjść za mąż. Weźmiesz ją do siebie?

Alienor potrząsnęła głową.

– To byłoby nierozsądne – odrzekła i w sercu zakłuło ją na myśl o Petroneli.

Rzucił jej pytające spojrzenie.

– Ona... – Urwała z wahaniem. Wszyscy słyszeli o skandalu wokół jej małżeństwa, lecz niewiele osób spoza francuskiego dworu wiedziało o jej problemach psychicznych. Postanowiła je przemilczeć. – Lepiej, by na razie została w klasztorze – uzupełniła. – Dworskie życie tymczasem stanowi dla niej zbyt wielkie wyzwanie. Nie myśli o powtórny zamążpójściu, a ja nie zamierzam jej zmuszać.

Henryk wzruszył ramionami.

– Jak uważasz. – Nie przywiązywał do tego większej wagi. Usiadł przy kominku i jął przeglądać listy na stole. – Dokąd najpierw? Talmont? – Oczy mu rozblęły. – Chciałbym zapolować.

Alienor zmusiła się do uśmiechu, choć smutek z powodu siostry nadal targał jej duszą.

– Ja również – odpowiedziała, po czym włożyła koszulę i zasiadła obok niego przy stole.

Rouen, Normandia, Boże Narodzenie 1152

Przez wysokie okna opactwa w Bec przenikało szare, ale mocne, zimowe światło. Powietrze było chłodne i czyste, prawie lodowate. Gdy Alienor przyklęła na schodach wiodących na wysoki podest ustawiony w nawie, na krzyżach połyskiwało złoto i drogie kamienie, a chór śpiewał *Te Deum*. Powyżej, na wyściełanym, marmurowym tronie siedziała matka Henryka, cesarzowa Matylda. Suknia pod gronostajowym płaszczem aż lśniła od ciemnych klejnotów, a złotego diademu nie powstydzilby się pałac w Konstantynopolu. Wydawało się, jakby to ozdoby nosiły kobietę, a nie na odwrót. Lata zmagania o dziedzictwo odcisnęły piętno na twarzy cesarzowej, władczej i pięknie zarysowanej. Powitała Henryka i wskazała mu miejsce po swej prawicy.

Alienor weszła po schodach ze spuszczoną głową i ponownie uklękała, by wręczyć cesarzowej dar w postaci złotego relikwiarza w kształcie berła, wysadzanego rubinami i szafirami. Wewnątrz uchwytu, za drzwiczkami ze skalnego kryształu, znajdował się fragment kości palca Świętego Marcjalisa.

– Moja pani, moja matko, królowo i cesarzowo – powiedziała Alienor tonem pełnym szacunku, lecz bez cienia służalczości. – Oddaję ci cześć.

Cesarzowa łaskawie przyjęła dar z wyrazem szczerego zadowolenia i aprobaty. Oburącz ujęła dłonie Alienor i ucałowała ją na powitanie.

– Córko – rzekła. – Odtąd jesteś moja, dołożę wszelkich starań, aby chronić ciebie oraz to, co ci się słusznie należy. – Wskazała synowej miejsce po swojej lewej stronie i msza się rozpoczęła. Henryk zerknął na żonę z uśmiechem przepełnionym dumą, a ona go odwzajemniła, podniesiona na duchu i pełna wiary w przyszłość.

Podczas uczty wydanej na cześć księżnej Normandii obie kobiety usiłowały się nawzajem wybadać. Alienor uznała teściową za sztywną i oficjalną, ale nie sekutnicę, której się obawiała. Nie ulegało wątpliwości, że cesarzowa jest niezmiernie dumna z Henryka. Oczy jej błyszczały, kiedy na niego patrzyła, nie próbowała jednak zepchnąć Alienor na margines – przeciwnie, sprawiała wrażenie pogodzonej z wyborem najstarszego syna.

– Kobiety możnego stanu nie mają lekkiego życia – odezwała się do synowej, gdy raczyli się kruchą wołowiną w sosie z pieprzem i kminem. – Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

– Tak, pani – przyznała Alienor z goryczą.

Matyldzie uwydatniły się zmarszczki wokół ust.

– Walczyłam, ile sił, o swoje prawo do Anglii i Normandii. Obecnie rolę Henryka jest podjąć tę walkę i zdobyć koronę, która należy mu się tak, jak mnie się należała. – Utkwiła wzrok w Henryku. – A naszym obowiązkiem jest mu w tym pomóc.

Alienor nie dała się zastraszyć jej władczyim tonem. Dopóki Matylda nie wtrącała się w sprawy Akwitanii i nie wchodziła między nią a Henryka, była gotowa na wszelkie dyplomatyczne ustępstwa.

– Zawsze może na mnie polegać – odpowiedziała.

Po obiedzie przeszli do prywatnej komnaty cesarzowej na mniej formalne rodzinne spotkanie. Wnętrze przypominało paryskie komnaty Ludwika z powodu licznych dewocjonaliów, krzyży oraz modlitewników. Teściowa była pobożną kobietą i służyła Bogu nie tylko słowem.

Przybyli również bracia Henryka. Gotfryd złożył broń i wszyscy byli bardzo uprzejmi, co wcale nie znaczyło, że Alienor puściła w niepamięć próbę porwania czy też zapalała do niego sympatią. Raz się sparzyła i to wystarczyło. Nikt nie wspominał o jego dawnych zakusach, lecz panowała napięta atmosfera, a Gotfryd z Henrykiem patrzyli na siebie wilkiem. Najmłodszy Wilhelm odnosił się do niej serdecznie, lecz on także znajdował się w cieniu charyzmatycznego najstarszego brata. Było tak, jakby cały żar rodzicielskiej miłości spłynął na pierwsze, wspaniałe dziecko, a pozostałym przypadły jedynie resztki.

– Podobno nie spędzałaś wiele czasu z przyrodnimi braćmi? – zagadnęła Emmę. Coraz bardziej lubiła tę młodą kobietę, która na przekór spokojnemu usposobieniu była obdarzona poczuciem humoru i niebywale wnikliwa.

Emma potrząsnęła głową.

– Jedynie Wielkanoc i Boże Narodzenie, zresztą na ogół nie zwracali na mnie uwagi, a kiedy zwracali, starałam się ich unikać.

Alienor uniosła brwi.

– Jako jedyna córka naszego ojca, mimo że z nieprawego łoża, bywałam wyróżniana. Dlatego ciągnęli mnie za włosy i dokuczali, gdy papa nie widział. – Skrzywiła się lekko. – A kiedy ich przyłapywał, dostawali za swoje, a ja znów musiałam schodzić im z drogi.

– Biada im, gdyby teraz spróbowali ci dokuczać – oznajmiła Alienor stanowczo.

Emma poczerwieniała.

– Tylko proszę nie myśl, że kłamię lub narzekam... albo nie potrafię walczyć o swoje.

– Nic takiego nie pomyślałam. Zawsze bronię tych, którzy mi służą, a przy tym lubię twoje towarzystwo.

– Nie chcę powodować napięć między tobą a moim bratem – zapewniła Emma. – Zaznałam nie tylko przykrości, ale i wiele dobra z jego strony.

– Jedno nie wyklucza drugiego – odparła Alienor, ale się uśmiechnęła, by dodać Emmie otuchy. – Nie sprzeczymy się z twojego powodu. Znam mężczyzn, chociaż nie mam braci.

– Znasz mężczyzn? – Podszedł Henryk i lekko ujął jej łokieć. – O czym rozmawiacie? – Mówił przyjaznym tonem, ale wzrok miał czujny.

– Pytałam twoją siostrę, jak przebiegało jej dzieciństwo wśród gromady braci.

Henryk się uśmiechnął.

– Jak po maśle – skwitował. – Była małą księżniczką.

– Szarpałeś mnie za włosy – przypomniała Emma. – I rzucałeś we mnie żabami.

– I wozilem cię na swoim kucyku, a także zabierałem na jarmark do Angers, po wstążki i ciastka.

– Teraz Emma jest pod moją opieką – oznajmiła Alienor. – Może liczyć na wstążki i ciastka, lecz nie musi się obawiać szarpania za włosy ani żab.

Henryk zerknął na nią z rozbawieniem.

– Czy to ostrzeżenie?

Spojrzała na niego spod uniesionych brwi.

– Sam zdecyduj, mężu.

Chciał odpowiedzieć, ale jego wzrok padł na strudzonego mężczyznę w sile wieku, który wszedł za odźwiernym do komnaty. Jego podszyty futrem płaszcz ociekał od deszczu.

– A któż to? – spytała Alienor.

– Mój wuj Reginald, hrabia Kornwalii. – Dobry humor Henryka wyparował, zastąpiony przez czujność. – Co on tu robi?

Henryk niejedną raz wypowiadał się serdecznie o wuju, swoim największym sojuszniku w Anglii. Był synem jednej z niezliczonych konkubin króla Henryka i popierał sprawę cesarzowej. Jeśli mimo fatalnej aury ryzykował niebezpieczną przeprawę przez morze, musiało chodzić o coś ważnego.

Hrabia podszedł prosto do swojej siostry przyrodniej i ukląkł przed nią. Alienor natychmiast dostrzegła łączące ich podobieństwo: oboje mieli przenikliwe szare oczy i wystające podbródki.

Matylda ucałowała go i kazała wstać. Następnie powitał swoich siostrzeńców i Alienor, drapiąc ją szorstkim zarostem. Był lodowaty.

– Co się stało? – zapytał bez ogródek Henryk.

Reginald wziął od służącego kielich z winem korzennym i stanął przy kominku.

– Obrońcy Wallingford tracą ducha – oznajmił. – Jeśli nie przyjedziesz, stracimy oparcie w Anglii. Nic nam nie zostało, wiosną będzie za późno. Nawet najwierniejsi, a wśród nich Jan Marshal, zaczynają się wahać. Niewiele dzieli nas

od zwycięstwa, lecz stoimy w obliczu utraty tego, o co walczyliśmy. Po śmierci żony, która była jego opoką, Stefan jest wyobcowany i bezbronny, lecz oznacza to również, że podjął ostatnią próbę, żeby nas zmieść. Potrzebujemy cię. Nie płynąłbym tutaj o tej porze roku, gdyby chodziło o błahostkę. Sam wiesz, jak nienawidzę wody.

Henryk bez wahania skinął głową.

– Przyjadę – obiecał. – Niezwłocznie rozpocznę przygotowania i wyruszę jak najszybciej.

Alienor poczuła się dumna z młodego męża. Dostrzegł problem i natychmiast podjął się jego rozwiązania. Zauważyła też, jaki wzbudzał respekt wśród starszych mężczyzn. Polegali na nim, co zawdzięczał nie tylko swojej postawie, ale czynom.

Twarz Reginalda z Kornwalii powoli odzyskiwała rumieńce i zatraciła wyraz zniechęcenia.

– Hrabia Leicester pragnie z tobą porozmawiać; można go przekonać, by nie mieszał się w konflikt lub zmienił stronę. Arundel podobnie, ale palcem nie kiwną, póki nie zjawisz się we własnej osobie. Dziedzic Stefana budzi niemałe wątpliwości.

– I nic dziwnego – stwierdził z odrazą Henryk.

– Musisz raz na zawsze wykazać, że stanowisz lepszy wybór – odrzekł wuj.

– Od tego zależy twój sukces albo klęska.

– Do klęski mi daleko – uciął Henryk. – Przewiduję inną przyszłość dla mojej dynastii.

Henryk długo w noc snuł plany ze swymi podwładnymi i rycerzami. Alienor poszła do sypialni i zapadła w ciężki sen, ale przebudziła się, kiedy wrócił o świcie. Natychmiast ją zemdlilo i musiała pobiec do latryny, gdzie stanęła nad otworem i zwymiotowała żółcią.

Ubrany w samą koszulę i kalesony, Henryk pospieszył do niej i odgarnął jej włosy z twarzy.

– Co się stało? – zapytał. – Zawołać dwórki?

– Nic się nie stało – wykrztusiła, kiedy głos jej wrócił. – Wszystko jest w jak najlepszym porządku. – Nadal przewracało jej się w żołądku, ale zdołała się wyprostować. – Przyniesiesz mi wino?

Spełnił jej prośbę i nalał też sobie, w blasku jedynej lampy. Powoli piła łyk za łykiem. Henryk patrzył na nią z wyczekiwaniem, choć już się domyślał.

– To dopiero początek, ale chyba jestem brzemienna – rzekła. – Nie miałam dwóch krwawień, od kilku dni źle się czuję. Zdaje się, że w przededniu twojego wyjazdu modlitwy o dziedzica zostały wysłuchane. W każdym razie mam nadzieję,

że nie zaniemogłam z innego powodu.

Henryk odstawił wino, zabrał żonie kielich i ją objął.

– Wspaniała wiadomość. Czy już wiesz kiedy?

– Koniec lata lub początek jesieni, nie jestem pewna.

– Jestem z ciebie dumny. – Ucałował ją czule. – Cieszę się, że mi powiedziałaś.

– Lepsze to, niż słać ci listy do Anglii.

– Cudowny dar. – Uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Tym bardziej mam o co walczyć dla syna.

Alienor przygryzła wargę. Nie wszystkie dzieci rodzą się chłopcami, lecz każdy mąż domaga się tego od żony.

– Co może pomóc ci na mdłości?

– Strawa – odpowiedziała. – Zwykła strawa. Odrobina suchego chleba z miodem.

Henryk podszedł do drzwi i ryknął. Zaspany giermek popędził do kuchni i po chwili wrócił z bochenkiem i garnuszkiem miodu na tacy, którą Henryk mu wyrwał i zaniósł żonie. Następnie usiadł ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, karmił ją małymi kąskami i patrzył, jak żuje i przelyka. W miejsce mdłości pojawił się wilczy apetyt i Alienor pochłonęła wszystko do ostatniego okruszka.

– Połóż się. – Podekscytowany poklepał łóżko.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale zrobiła, o co poprosił.

Zdjął z szyi łańcuszek ze złotym krzyżykiem, po czym zawiesił nad brzuchem, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym.

– Jeśli krzyżyk zakołysze się w przód i w tył, będzie chłopiec, a jak na boki, dziewczynka.

Alienor się roześmiała.

– Gdzie słyszałaś takie bajeczki?

– Matka mi pokazała przed narodzinami Wilhelma. Byłem bardzo mały, ale pozwoliła mi to zrobić, przy czym miała znacznie większy brzuch.

– Sprawdziło się? – Utkwiła wzrok w łańcuszku.

– Owszem. – Posłał jej zboląły uśmiech. – Oczywiście wolałbym, aby moi bracia byli dziewczynkami, lecz to jedynie przepowiednia, nie wpływa na płęć dziecka.

Krzyżyk zakołysał się w przód i w tył, najpierw powoli, a potem coraz mocniej.

– Chłopiec – obwieścił triumfalnie Henryk. – Silny i zdrowy chłopiec. Nie wątpił w to ani przez chwilę.

Alienor uniosła brwi.

– Czyżby?

Potrząsnął głową.

– Ludwik nie miał takiej mocy w lędźwiach, aby spłodzić synów, ale ja owszem... całą dynastię!

– A gdyby zakołysał się w inną stronę? – spytała. – Gdyby wskazał na dziewczynkę?

Henryk zbyt nie przejął.

– Chłopiec byłby tylko kwestią czasu. Dziewczynki też są cenne. Jedynie człowiek słaby przywiązuje do tego wagę. – Zawiesił jej krzyżyk na szyi. – Noś go i myśl o mnie – poprosił, po czym ułożył się obok niej, nakrył ich oboje piernatem i zasnął, czule obejmując jej brzuch.

Alienor głaskała go po ramieniu i rozmyślała o rodzinie, którą stworzą. Potem z uśmiechem sięgnęła do krzyżyka na szyi.

Poitiers, sierpień 1153

Ostre sierpniowe słońce odarło z błękitu niebo i chwyciło Poitiers w bezlitosne szpony upału. Na szczycie wieży Maubergeon, w komnacie niewieściej za grubymi murami panował miły chłód. W oknach wisiały lniane zasłony, które wpuszczały powietrze, ale zapewniały cień. Gdy przebrzmiał ostatni okrzyk Alienor, rozległo się kwilenie.

Z włosami zlepionymi od potu, w koszuli zadartej do bioder, podparła się na łokciu i patrzyła, jak wyjmują dziecko spomiędzy jej zakrwawionych ud. Ujrzała drobne ciało usmarowane krwią i śluzem, pępownina zasłaniała widok. Akuszerka odsunęła ją na bok i się rozpromieniła.

– Syn, pani. Masz pięknego syna, Bogu niech będą dzięki!

Kwilenie przeszło we wrzask, gdy przetarła usta noworodka i położyła go na matczym brzuchu. Krzywił się i wierzgał, lecz ucichł, kiedy poczuł bijące od niej ciepło. Objęła go rękami. Taki żywy, taki doskonały.

Akuszerka ostrożnie zdjęła go z brzucha Alienor, przecięła pępowninę ostrym nożykiem z modlitwą na ustach, po czym zaniósła dziecko na stół, gdzie przygotowano już miskę z pachnącą wodą na pierwszą kąpiel.

– Nie zawijajcie go – poleciła Alienor. – Najpierw chcę zobaczyć.

Kobieta delikatnie obmyła ciało dziecka i zaniósła je do matki w miękkim ręczniku. Alienor przytuliła synka, obejrzała jego paluszki, małe uszka, pomarszczoną twarz. Włosy lśniły mu jak złoto, podobnie jak koniuszki rzęs. Będzie rudy jak ojciec. Między nogami miał niezbity dowód swojej płci. Przełknęła ślinę. Ścisnęła ją w gardle i wiedziała, że się rozplacze, po trosze z radości, po trosze z żalu, ale będą to łzy ulgi. Przystawiła dziecko do piersi i obsypała pocałunkami.

– Nazwiemy go Wilhelm – oznajmiła. – Po książętach Akwitanii i Normandii, na cześć króla zdobywcy.

Rozdzwoniły się dzwony na cześć dziedzica Akwitanii, pozostałe kościoły w Poitiers podchwyciły i wieść rozeszła się do wszystkich wiosek i miast. Skrybowie pisali w pocie czoła, a posłańcy ruszyli galopem, głosząc dobrą nowinę jak kraj długi i szeroki.

Alienor siedziała w łóżku z kielichem wina i patrzyła z triumfalnym uśmiechem na dziecko posapujące przez sen. Teraz Ludwik odszczeka, że nadaje się tylko do rodzenia dziewczynek. Bóg patrzy na nich łaskawym okiem, skoro obdarował ich synem już za pierwszym razem. Żałowała tylko, że nie ma z nią

Henryka, lecz on wkrótce się dowie, a radość była słodka i bez niego.

* * *

Henryk przyjrzał się białemu ogierowi, zakupionemu niedawno przez koniuszego. Nadawał się bardziej na paradę niż do codziennej jazdy. Henryk, pełen niespożytej energii, zawsze zajeżdżał swoje rumaki, a ten nie wyglądał na wytrzymałego.

– Do niczego – oznajmił i nozdrza mu się wydęły. – Dałem pięć funtów srebra za konia, który zajmuje tylko miejsce w stajni. I to ma być korzystny zakup?

Koniuszy spąsował.

– Wydawało się, że będzie dobrze służył, panie.

– Może i wydawało, ale dałeś się naciągnąć. – Henryk ponownie obszedł konia, spojrzawszy na jego drżący zad, zajrzał pod powiekę. – Do rozrodu też się nie nadaje. Może na żarcie dla psów. Zabierzcie go z moich oczu. – Niecierpliwie odprawił koniuszego wraz z nabytkiem. Wszystko musiało być na miarę jego oczekiwań, w przeciwnym razie dostawał białej gorączki.

Przebywał w Anglii od zimy i w międzyczasie podjął dwie poważne kampanie, które zakończyły się impasem, gdyż baronowie jak ognia unikali walki pozycyjnej. Wszyscy mieli dość wojny, marzyli o pokoju i mimo przepychanek oraz zawirowań trwały negocjacje. Wszystko to wymagało wysiłku i czasu, toteż Henryk silił się na cierpliwość, na której mu zbywało, a nieudolność koniuszego w sprawie równie błażej jak zakup konia dołała jeszcze oliwy do ognia.

Udał się do donżonu w Wallingford, aby przeczytać ostatnie wiadomości i wydać kolejne rozkazy. Zwiadowca donosił, że Stefan przebywa w Norfolk, gdzie usiłuje zmusić do posłuszeństwa barona Hugona Bigota, pieniacza i renegata. Henryk nie miał zamiaru go ścigać. Może i dobrze się stało, że uwziął się na Bigota. Henryk uważał barona za przydatnego sprzymierzeńca, co nie znaczyło, że darzył go sympatią lub zaufaniem. Ten człowiek okazał się przebiegłym, interesownym łotrem.

Przerwał lekturę, aby dać sobie chwilę do namysłu, i jego wzrok padł na Aelburgh i małego Gotfryda. Patrzył, jak dziewczyna bawi się z dzieckiem, które właśnie zaczynało chodzić; uśmiechnął się na widok determinacji małego. Lubił tę namiastkę rodziny na wyjeździe – dodawała mu otuchy, ale nie poświęcał jej większej uwagi, jeżeli nie chciał.

Kiedy sięgnął po wino, Amelin wprowadził w pośpiechu kolejnego posłańca.

– Powtórz księciu, co mi powiedziałeś – rozkazał, z trudem kryjąc ekscytację.

– Panie. – Mężczyzna ukląkł przed Henrykiem. – Eustachy, hrabia Boulogne, nie żyje.

Henryk z rozmachem odstawił kielich i wytrzeszczył oczy.

– Słucham?

– Zadławił się jedzeniem, kiedy gościł w opactwie Saint Edmunds. Mówią, że sam święty rozgniewał się na niego, bo najechał klasztorne ziemie. Wiozą go do Faversham, gdzie zostanie pochowany.

Henryk odchylił się w krześle i trawił nowiny. Bóg to sprawił: usuwa mu z drogi wszelkie przeszkody. Eustachy uniemożliwił zawarcie pokoju, a teraz nagle zmarł. Stefan musi być w rozsypce; nawet jego dotychczasowi popiecznicy rozglądają się za nowym sojuszem, który właśnie się nadarzył. Henryk uosabiał młodość i wigor, dwie cechy, na których Stefanowi zbywało, musiał jedynie podkopać jego cokół. Po śmierci najstarszego syna Stefan zapewne tracił wpływy. Sprawa białego ogiera natychmiast poszła w niepamięć.

– Pokój jego duszy i chwała świętemu Edmundowi – oznajmił z powagą na twarzy i złośliwym chochlikiem w oczach.

– Stefan ma jeszcze synów – przypomniał Amelin. – Na przykład Wilhelma.

– Który, w przeciwieństwie do Eustachego, nie będzie nam wadził – skwitował Henryk. – Da się urobić, za co wszyscy będą dziękować Bogu. Wątpię, by stanął nam na drodze. A jeśli nawet... – Wzruszenie ramionami mówiło samo za siebie.

Tydzień później do obozu Henryka przybył kolejny posłaniec na spienionym koniu, tym razem z Akwitanii, przywiózł wieść, że Alienor urodziła zdrowego chłopca, któremu dała na imię Wilhelm, tak jak oboje wcześniej uzgodnili.

Henryk nie posiadał się ze szczęścia. Oczywiście wiedział, że będzie miał syna, lecz wiadomość potwierdziła tylko przychylność Boga, zwłaszcza że syn urodził się w dniu, może nawet w tej samej chwili, kiedy Eustachy śmiertelnie się zadławił. To musiała być sprawka Boga, no bo czyja?

Ludwik złamał pieczęć listu od Henryka, księcia Normandii i hrabiego Anjou. Zrobił to bez pośpiechu, tocząc ukradkowym spojrzeniem po sali, czy nie obserwuje go żaden z dworzan. Czuł się dziś nieswój. Medyk orzekł, że nosi w sobie za dużo melancholii, i nakazał upuszczenie krwi dla równowagi, ale tylko rozboleła go po tym ręka i głowa. Wieść o śmierci Eustachego z Boulogne też nie przyczyniła się do poprawy humoru: Henryk Plantagenet był coraz bliżej angielskiego tronu. Oznaczało to również, że jego siostra Konstancja owdowiała, więc będzie musiał odebrać jej posag od Stefana i poszukać dla niej drugiego męża.

Powoli rozwinął pergamin i przeczytał zwyczajowy nagłówek, po którym go zemdliło. Henryk z radością donosił mu o narodzinach silnego, zdrowego syna. Ludwik siedział jak ogłuszony i te słowa paliły mu duszę. Jak to możliwe?

Dlaczego Bóg nagrodził rudego Andegawena zamiast niego? Czym zgrzeszył, że Bóg go tak pokarał?

– Złe wieści? – spytał jego brat Robert, sięgając po list.

Ludwik cofnął się jak oparzony i wcisnął pergamin do rękawa. I tak wszyscy się dowiedzą, lecz pragnął jak najdłużej zachować te nowiny dla siebie.

– Później porozmawiamy – odparł. – To ciebie nie dotyczy.

Robert spojrział na brata ze zdziwieniem.

– To sprawa między mną a Bogiem – zbył go Ludwik i wyszedł. Żałował, że posłaniec nie zbłądził na bagna i nie utonął, wtedy on, Ludwik, nie musiałby teraz dźwigać tego ciężaru.

Po powrocie do komnaty odprawił wszystkich i padł na łożo. Rozpaczał nad synem, którego nie miał – nad synem, którego przed laty poroniła Alienor, kiedy była jego młodą oblubienicą. Miał urodzić dziedzica, dała mu tylko córki. Samotny, porzucony i pogrążony w żalu nad sobą, nakrył głowę poduszką i załkał. Nie mógł przeboleć, że opuścił klasztor i został królem.

Angers, marzec 1154

Pani, przyjechał książę, twój mąż – oznajmił szambelan.

Alienor utkwiała w nim bezsilne spojrzenie.

– Co, już?

Zdziwił się nieco.

– Tak, pani.

– Przecież miał wrócić dopiero... zresztą, nieważne. Zatrzymaj go, dopóki zdołasz.

Zerknął z powątpiewaniem, ale się uklonił.

– Co za człowiek! – wybuchła Alienor, rozdarta między gniewem a euforią. Rano otrzymała od niego wiadomość, że zjawi się bliżej zmroku, a tu słońce świeciło w najlepsze i do zachodu słońca zostało jeszcze kilka godzin. – Nie widziałam go ponad rok, a teraz się zjawił, kiedy jestem nieprzygotowana.

– To jeszcze chwilę potrwa – stwierdziła Marchisa, jak zawsze praktyczna i pełna optymizmu. – Pan na pewno nie zwróci uwagi, czy masz dwa czy sześć warkoczy.

– Ale ja zwracam – narzekła Alienor, dając upust rozdrażnieniu. W głębi serca wiedziała, że to bez znaczenia. – Pospiesz się zatem – dodała. – Nie zdołają go długo zatrzymać.

Kobiety schowały jej włosy pod złotą siatką i zasznurowały suknię z płowego jedwabiu, podkreślającą smukłą znów kibić. Piastunka zajęła się małym Wilhelmem, który w wieku siedmiu miesięcy nie leżał już w powijakach, lecz był ubrany w białą, haftowaną sukienkę. Włożyła mu czapczkę i Alienor poleciła wyjąć kosmyk, aby zaprezentować ich rudozłocisty odcień.

Alienor dała za wygraną i pospieszyła do wielkiej sali, gdzie zasiadła na podwyższeniu z dzieckiem na kolanach. Emma i Marchisa udrapowały jej suknię w efektowne fałdy i Alienor nabrała powietrza w płuca.

Po chwili usłyszała, jak Henryk krzyczy, że nie, nie będzie się przebierał, i nie, nie chce włożyć diademu, ani uczesać się, ani zjeść, w ogóle nie zamierza już nic robić, co dłużej go zatrzyma. Z hukiem otworzył drzwi i wparował do środka dziarskim krokiem, a płaszcz powiewał za nim jak chorągiew. Był zaczerwieniony na twarzy i bliski gniewu, ale naraz stanął jak wryty i zdyszany utkwiał wzrok w Alienor.

Z dumą odwzajemniła spojrzenie, nie zdradzając żadnych emocji, po czym spuściła wzrok na syna, który koniecznie chciał stanąć i poskakać na jej kolanach.

– To jest twój tatuś – oznajmiła donośnym głosem, żeby Henryk usłyszał. – Przyjechał cię zobaczyć. – I triumfalnie spojrzała na męża.

Henryk wziął głęboki oddech i ruszył naprzód. Złość gdzieś wyparowała, teraz rozpierała go radość.

– Wyglądasz jak Madonna – rzekł ochryplym głosem.

Alienor uśmiechnęła się skromnie.

– Poznaj swojego syna – powiedziała. – Wilhelma, hrabiego Poitiers, przyszłego księcia Normandii i króla Anglii.

Henryk wziął dziecko w ramiona i bacznie mu się przyjrzał. Następnie uniósł syna wysoko i mały Wilhelm zachichotał, a z ust spłynęła mu ślina na ojca.

– No ładnie, dziedzic mnie opluł. – Henryk z uśmiechem wsadził dziecko pod pachę i wytarł czoło rękawem.

– Ma twoje oczy i włosy – oświadczyła Alienor. Wezbrała w niej czułość i szczęście. Ludwik nigdy nie zajmował się córkami, a Henrykowi przychodziło to naturalnie.

– Ale twoje rysy – zauważył. – Wspaniałe młody mężczyzna.

Chłopczyk wierzgnął mu w ramionach i chwycił za klamrę płaszcza, która zwróciła jego uwagę. Henryk ostrożnie odczepił jego tłuste paluszki i oddał go piastunce.

– Żywe srebro, zupełnie jak ty – podjęła Alienor. – Głośno domaga się swoich praw, wszyscy muszą go słuchać.

Henryk uniósł brwi z rozbawieniem.

– Zupełnie jak ja, rzeczywiście.

Alienor wstała i dygnęła, ale on podbiegł i ją pocałował.

– Tęskniłem – oznajmił.

Otoczył ją ramieniem.

– Ja także. Minęło tyle czasu. – Jego dotyk palił ją przez suknię. – Mamy wiele do omówienia. Listy nie zastąpią rozmowy.

– Istotnie. Pisałaś, że wszystko dobrze, lecz dopiero teraz mogę się o tym przekonać.

Pomyślała, że mąż ma powody do radości, bo gdyby umarła w połogu, nie otrzymałby nic z jej bogatego posagu. A zważywszy, że syn skończył już siedem miesięcy, z powodzeniem mogli starać się o drugie dziecko.

– Tak – potwierdziła z uśmiechem. – Wszystko w najlepszym porządku.

Po oficjalnym powitaniu udali się do pańskiej komnaty w wieży zamkowej. Giermkowie tymczasem przenieśli bagaż, a na stołach przykrytych obrusem czekał poczęstunek.

Alienor spojrzała na sakwy, które przywiózł na swoim koniu. Reszta bagażu została na wozach, które dojadą później. Jej uwagę przykuł podłużny skórzany zwój.

Dostrzegł jej spojrzenie.

– Nie przybywam z pustymi rękami – oświadczył. – Mam dla ciebie dary godne królowej.

– Mam nadzieję, po takiej długiej rozłące. – Wskazała na dziecko w ramionach piastunki. – Moim darem dla ciebie jest syn.

Na twarz Henryka wystąpiły rumieńce.

– A moim dla ciebie i dla niego jest królestwo – odrzekł. – Tak jak obiecałem, kiedy braliśmy ślub.

Zabrakło jej tchu. Otrzymała wprawdzie wieści z Anglii, lecz były to strzępy chaotycznych informacji.

– Królestwo?

Henryk gestem odprawił służbę łącznie z piastunką

– Stefan uznał mnie za swojego następcę, ale musiałem zostać jego przybranym synem i dziedzicem. – Zrobił skwaszoną minę. – Teraz mam trzech ojców. Mężczyznę, który mnie spłodził, Ojca w niebie i Stefana uzurpatora, niech Bóg ma mnie w swojej opiece. Inaczej nie dało się tego rozwiązać. Wszyscy widzą we mnie następcę tronu, ale mają dosyć walki, by mnie na nim posadzić. Baronowie Stefana uznali moje racje, ale nie dostanę korony, póki żyje Stefan. Cóż, moi baronowie też nie lubią nadstawiać karku. Długo to trwało, ale już po wszystkim. Jestem dziedzicem Stefana i mam to na piśmie, wszyscy przysięgli mi posłuszeństwo. – Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, a następnie połaskotał brodą w szyję. – Co oznacza, że mogę zatroszczyć się o nasze włości i spędzić więcej czasu z wami. – Zręcznie rozwiązał tasiemki z boku sukni i ujął jej pierś przez koszulę.

Alienor zadrżała z pożądania. Wreszcie się doczekała. Chciała mu zadać mnóstwo pytań, ale mogły poczekać. I tak nie otrzyma odpowiedzi, jeśli teraz spyta. To, jak się o nią ocierał, jego dłonie na jej ciele, jego zapach i dotyk rodziły palącą potrzebę. Odwzajemniła pieszczoty i Henryk zaklął pod nosem. Z kałesonami na wysokości kolan pchnął ją na łóżko.

– Teraz – wykrztusił, klękając nad nią. – Mów teraz, jeśli nie jesteś gotowa spłodzić drugiego dziecka, bo zaraz wybuchnę!

Zaśmiała się bez tchu.

– Czy to ma być jeden z twoich darów?

– O tak – odparł przez zaciśnięte zęby i napiął wszystkie mięśnie. – Czy możesz wyobrazić sobie coś wspanialszego?

Wszedł w nią z rozmachem, a ona opłotła go nogami i rozkoszowała jego wigorem, nieskrępowaną potrzebą i przyjemnością, inaczej niż z Ludwikiem. Pozwalał jej na to samo, nie wymagał bierności. Był młodym złocistym lwem, a ona w niczym mu nie ustępowała.

Po wszystkim leżał i głaskał ją po brzuchu.

– Za chwilę jeszcze raz i jeszcze, do upadłego – zapowiedział. – Stworzymy piękną dynastię córek i synów.

Alienor, wciąż w jego objęciach, obróciła się twarzą do niego.

– W twojej roli nie ma nic skomplikowanego – stwierdziła. – Kobiety mają trudniej.

– Na pewno, lecz każdy robi to, do czego został stworzony.

Uniosła brwi.

– Owszem, ale rodzenie dziedziców nie zwalnia mnie z roli księżnej. Ostrzegam cię, że nie jestem klaczą rozplodową.

Wyglądał na trochę zdziwionego.

– Oczywiście, że nie jesteś, to się rozumie samo przez się.

– Trzymam cię za słowo – odparła, gotowa kuć żelazo, póki gorące. – Mogę nosić i rodzić dzieci, lecz domagam się uszanowania moich praw na każdym polu.

Znow ją ucałował.

– Zostaną uszanowane, daję ci słowo.

Alienor odwzajemniła pocałunek, poczuła jednak, że ją zbywał. Już wiedziała, że jej młody mąż jest żywiołem, który wszystkich i wszystko porywa. Ludzie naginali się do jego potrzeb, on do niczych się nie naginał. Dotrzyma słowa, jeśli będzie mu to na rękę. Musi liczyć się dla niego w każdej sprawie, nie tylko jako klucz, który otworzył mu drogę do Akwitanii, czy matka jego następców.

– Nie składaj pochopnej obietnicy – ostrzegła. – Będę bowiem przypominać ci o niej przez wszystkie dni naszego małżeństwa.

– Bardzo proszę, dotrzymam słowa. – Dalej pieścił ją i całował. Chciał jej wyznać prawdę o Aelburgh i małym Gotfrydzie, ale przebywali tak daleko w Anglii, że na razie nie musiała wiedzieć.

Usiadła na nim okrakiem, przejmując ster.

– Powtórzmy to jeszcze raz – powiedziała. Lekko kołysała się na nim, jej włosy muskały jej pierś i brzuch. – Jestem twoją żoną, kochanką, matką twoich dzieci. – Rzuciła głową, uniosła się i opadła; zobaczyła, że Henryk zaciska ręce na pościeli. – Jestem panią tej ziemi i wasali, ze starego rodu. Byłam królową i będę nią znowu, dostanę wszystko, co mi się należy.

Henryk przełknął ślinę i zgrzytnął zębami.

– Jezusie, kobieto...

– Przysięgnij. – Uniosła się i opadła.

– Już przysięgałem – wykrztusił. – Ale powtórzę, jeśli trzeba.

– Musisz – odparła. – Bo do trzech razy sztuka. – Nachyliwszy się, przygryzła lekko jego sutki, tak aby poczuł rozkosz na granicy bólu.

Jego twarz przeciął grymas.

– Przysięgam! – Chwycił jej biodra i wbił się do środka, a rozkosz prawie odebrała mu zmysły i udzieliła się Alienor, która zrozumiała, że cała władza należy do niej.

– Co powie twoja matka na wieść o tym, że Stefan cię usynowił? – spytała, kiedy oboje ochłonęli i posilali się ciastkami z kremem oraz winem.

Henryk chrząknął z rozbawieniem.

– Na pewno będzie zachwycona. Najpierw musiała ścierpieć, że Gotfryd z Anjou jest moim ojcem, a teraz zostałem usynowiony przez człowieka, który skradł jej koronę. – Wzruszył ramionami i ugryzł ciastko, którym karmiła go Alienor. – Ale się z tym pogodzi, jest pragmatyczna i nie ma wyboru. Postaram się nie nazywać Stefana „papą” w jej obecności.

– Jak przyjął tę decyzję jego drugi syn?

– Początkowo nie był zadowolony, ale pogodził się z tym. Nikt by go nie poparł, łącznie z własnym ojcem. Odbyliśmy długą rozmowę przy grobie mego dziadka w Reading i Wilhelm zgodził się ustąpić. Minął szmat czasu, nikt nie chce ciągnąć sporu, skoro nasunęło się rozwiązanie.

Wyjął skórzany zwój ze swego bagażu.

– Trzeba uroczyście zaprezentować go przed wszystkimi. – Wewnątrz futerału, owinięta purpurowym jedwabiem, leżała pochwa z wytłaczanej skóry. Miecz był nordycki, pięknie wykuty i grawerowany. Rękojeść okręcono czerwonym, jedwabnym sznurkiem, a jej końce miały kształt zwierząt z otwartymi paszczami. – To miecz mego prapradziadka, Roberta z Normandii – wyjaśnił. – Pozostawił go swemu synowi Wilhelmowi, który przyjechał z nim na podbój Anglii. Blisko dwadzieścia lat wisiał przy grobie mego dziadka w opactwie w Reading, a teraz należy do mnie. – Oczy lśniły mu niczym stal, ostre jak klinga. – Stefan dokona żywota jako król, a po jego śmierci korona przypadnie mnie.

Alienor poczuła jego siłę i w sercu wezbrała jej duma i radość, lecz zachowała trzeźwość umysłu.

– Co z twoimi wrogami, którzy od początku wojny stawiali zamki i stworzyli sobie małe królestwa w Anglii?

– Wydano rozkaz zburzenia rebelianckich zamków i przywrócenia wszystkiego do stanu z czasów mojego dziada. Ten miecz symbolizuje powrót sprawiedliwości i pokoju sprzed lat. Jest moim celem, aby je przywrócić.

Pokiwała głową z aprobatą. Była to wizja praktyczna, a nie utkana z fantazji. Konkretna i namacalna, która spełni się w swoim czasie. Tymczasem rządzą Normandią, Anjou i Akwitanią – i radowali się sobą nawzajem.

Opactwo Fontevraud, maj 1154

Henryk ściągnął cugle i na widok murów opactwa Fontevraud na jego twarzy wykwitł uśmiech.

– Jak dobrze tu wrócić – powiedział. – Często przyjeżdżaliśmy z ojcem w odwiedziny do ciotki Matyldy i czasami zostawiał nas pod jej opieką, gdy jechał w swoich sprawach.

Alienor nie kryła rozbawienia.

– I uprzykrzaliście życie zakonnicom?

– Ciotka trzymała nas w ryzach, ale folgowaliśmy sobie na świec-kich kobietach. – Przez jego twarz przemknął cień nostalgii. – To jedyne miejsce, które nazwałbym domem.

Jego słowa dały jej do myślenia. A zatem to było jego ulubione miejsce. Nie Rouen, nie Angers ani nawet Le Mans, tylko Fontevraud. Na pewno z powodu uczuć, które wzbudzało.

Opatka Matylda porzuciła wszelkie konwenanse i przycisnęła Henryka do piersi z całą serdecznością ciotki, która widzi ulubionego bratanka.

– Tak długo cię nie widziałam! – zawołała. – Ależ wyrosłeś! – Zwróciła się do Alienor i objęła ją z czułością. – I twoja piękna żona. Witajcie, witajcie. A gdzie mój cioteczny wnuk? Pokażcie go!

Alienor wzięła Wilhelma od piastunki i podała Matyldzie.

– Wypisz wymaluj Henryk w dzieciństwie! Spójrzcie na te włosy. Wykapany Andegawen. – Głośno ucałowała chłopca w policzek.

– Mam nadzieję – odpowiedział Henryk. – Lew z lwa.

Zaprowadziła ich do domu gościnnego, kazała przynieść poczęstunek i usiadła przy kominku z dzieckiem na kolanach.

– A więc – rzekła, zwracając się do Henryka. – Zostałeś następcą Stefana.

– Bóg tak chciał – odpowiedział Henryk.

Matylda podrzucała Wilhelma na kolanie ku jego wielkiej radości.

– I pomyśleć, że gdyby mój mąż nie utonął, byłabym królową Anglii, a mój syn następcą tronu. – Cmoknęła ciotecznego wnuka w policzek. – Macierzyństwo nie było mi pisane, ale moi bratankowie i bratanice zapewnili mi wiele satysfakcji, podobnie jak praca tutaj; nigdzie nie zaznałabym podobnego zadowolenia. Nic nie dzieje się bez powodu.

Alienor poczuła przelotne ukłucie zazdrości.

– Mieć jednocześnie siłę i zadowolenie to rzadkość.

– Owszem, lecz trzeba sobie na to zapracować. – Matyllda obrzuciła ją bystrym spojrzeniem. – Kiedy przybyłam do Fontevraud, moje serce przepelniały gorycz i żal. Dopiero po wielu latach poszukiwania i modlitwy odkryłam radość w smutku i pogodziłam się z tym, co mnie spotkało, zamiast wyrzekać na swój los. Tutaj zostałam uzdrowiona i na powrót znalazłam szczęście. Gdyby nie Fontevraud i Bóg, nadal błędziłabym w ciemnościach.

W opactwie Alienor poznała Henryka z innej strony. Nadal był żywiołowy i kipiał energią, lecz w kościele odnajdywał w sobie cierpliwość, by spokojnie wysiedzieć, i jakby złagodniał. Dłużej sypiał w nocy i nie zrywał się z samego rana. Duchowość opactwa wpływała kojąco na jego osobowość, to miejsce od dzieciństwa było jego ostoją.

– Kiedy wybije moja godzina, chciałbym tu spocząć – oznajmił, gdy spacerowali któregoś ranka po chłodnej, wilgotnej trawie cmentarza.

– A nie w Angers albo Le Mans? – spytała.

Zaprzeczył.

– Ani Reading lub Westminsterze. Kiedyś będę je miał na wyciągnięcie ręki i bywać tam, jak często zechcę. Lecz to miejsce... – Posłał jej niepewny uśmiech, jakby zdradzał wstydlivy sekret, który obnaża jego słabość. – To miejsce noszę w sercu jak relikwię. I nawet gdybym tu nie przyjeżdżał, wiem, że czeka na mnie.

Ścisnęło ją w piersi i w gardle.

– To wspaniałe przeświadczenie.

– Tak – potwierdził. – Ponieważ stale noszę je w sobie, a przy tym odkładam na bok i skupiam się na innych sprawach.

„Pragmatyzm nade wszystko”, pomyślała. Jakże to do niego pasowało. Życ w świecie i kroczyć przezeń z mocą i werwą, a po wszystkim zaznać spokoju w specjalnie wyznaczonym do tego miejscu.

Czuła silny uścisk jego ręki i chłodne muśnięcie trawy pod stopami: rzeczywistość konkretną i namacalną, z której utka wspomnienie i zachowa do czasu, aż sama spocznie w grobie, gdziekolwiek to będzie – może tutaj, u jego boku.

Cesarzowa Matyllda trzymała w objęciach wierzgającego wnuka.

– Doskonale się spisałaś, córko – pochwaliła. – Piękny, zdrowy chłopiec, który zapewni ciągłość rodu, a w przyszłości da nam powody do dumy, miejmy nadzieję.

– Jeśli Bóg zechce, pani – odpowiedziała uprzejmie Alienor. Z Fontevraud pojechała z Henrykiem do Normandii i spędziła już trzy tygodnie w Rouen

z cesarzową. Uległość powoli zaczynała jej ciążyć.

Cesarzowa miała dobre intencje, lecz Alienor nie zawsze się z nią zgadzała, a protekcyjny ton teściowej niejednokrotnie wyprowadzał ją z równowagi. Matylda uważała, że synowa musi się wiele nauczyć od starszej i mądrzejszej mentorki, toteż służyła jej radą na każdym kroku. Alienor zrozumiała, dlaczego Gotfryd z Anjou stronił od domu. Rozstawiała po kątach nawet Henryka, swego ulubieńca i pierworodnego, który spełniał wszystkie pokładane w nim nadzieje. Ukochany syn także musiał skorzystać z nieprzebranych pokładów matczynego rozumu.

– Kiedy zostaniesz królem, nie powinieneś spoufalać się z poddanymi – pouczyła Henryka, kiedy siedzieli przy kominku. – Zachowaj godność i utrzymaj dzielący was dystans.

Henryk przytaknął. Grał w szachy ze swoim rycerzem Manassem Bissetem.

– Ale muszę też ich poznać. Odległego króla łatwo oszukać lub zaskoczyć, gdyż nie wie, kiedy zachować czujność.

– Ma swoje sposoby, aby się dowiedzieć. Powtarzam ci, żebyś się nie spoufalał.

– Jesteś bardzo mądra, matko – odrzekł, nie podnosząc głowy.

– Żądaj szacunku, a go dostaniesz. Nie pozwól sobą dyrygować. Tak nie postępuje prawdziwy król. – Matylda się rozpędzała. – Ty masz rządzić nimi, a nie odwrotnie. Są jak dzieci, które biorą się za łby. Podzielisz ich, a zostaną pokonani, i mają zostać podzieleni. Dużo obiecuj, mało dawaj. Niechaj nigdy nie jedzą do syta, jak twój sokół. Tak postępują znamienicy księżęta. Pilnuj, by swoje ubłocone buciska zostawiali w sieni.

Alienor ugryzła się w język. Teściowa utraciła swą jedyną szansę na koronację właśnie z powodu arogancji. Rozeźliła mieszkańców Londynu, którzy zbuntowali się przeciwko niej i zmusili do ucieczki. Traktowała z góry wszystkich i zraziła do siebie więcej ludzi, aniżeli zjednała. Gadatliwy, pocziwy Stefan rządził dziewiętnaście lat i zachował przy sobie wiernych zwolenników. Pozostanie królem Anglii do końca życia. To również było znamienne.

– Zapewniam cię, matko, wezmę sobie do serca wszystkie twe rady, gdy będę miał do czynienia z angielskimi baronami – zapewnił gładko Henryk. – Bardzo cenię sobie twoje zdanie, wiesz o tym.

Cesarzowa obrzuciła go twardym, podejrzliwym spojrzeniem.

– Cieszy mnie to niezmiernie – odrzekła.

– Twoja matka jest mądrą i doświadczoną kobietą – zagaiła Alienor, kiedy wieczorem udali się na spoczynek. – Ale czy ma słuszność co do Anglii? –

Przyjrzała się krzyżykowi na łańcuchu, który podarowała jej Matylda. Było to krzykliwe okropieństwo wysadzone klejnotami o różnych kształtach. Matylda zapewne się spodziewała, że Alienor będzie go nosić. Wcisnęła go synowej w dłoń i nazwała ją córką, której nigdy nie miała.

– Zawsze słucham rad mojej matki – odpowiedział Henryk. – Co nie znaczy, że się do nich stosuję. – Stał przy stole i przeglądał korespondencję. – Często mówi mądre rzeczy, ale minęło sześć lat, odkąd wyjechała z Anglii, i od tamtej pory wiele się zmieniło. Poza tym nie potrafiłaby się nagiąć. Prędzej pęknie na dwoje.

Alienor schowała krzyżyk do szkatułki, żeby na niego nie patrzeć.

– Tak, odniosłam podobne wrażenie. – Nadała głosowi neutralny ton. Mimo zniecierpliwienia darzyła teściową wielkim szacunkiem i uważała na słowa przy Henryku, bo jeszcze nie wybadała, jak silna więź łączyła go z matką.

– Nie ustała w dążeniach o prawo do tronu, a jej związki z Kościołem i Cesarstwem Niemieckim są bezcenne. – Uważnie przyjrzał się żonie, jakby czytał w jej myślach. – Jestem jej synem, lecz myślę samodzielnie.

– Godne pochwały – odrzekła spokojnie.

Bez słowa sięgnął po kolejny list, którego lektura wyraźnie go poruszyła.

– Co się stało?

– Twój były mąż prosi o spotkanie w celu omówienia przyszłości, by nastąpiły między nami przyjaźń i pokój.

Alienor wzięła od niego pergamin. Wyszedł spod ręki skryby, lecz było tak, jak powiedział Henryk. Ludwik chciał rozstrzygnąć sprawę Akwitanii, gotów zrzec się swoich praw.

– Zabiegaliśmy o to od chwili narodzin Wilhelma, uparcie odmawiał – stwierdziła. – Dlaczego właśnie teraz?

– Podobno wybiera się do grobu Świętego Jakuba w Santiago de Compostela, i w tym celu prosi o rozejm.

– To do niego podobne – skrzywiła się Alienor. – Pielgrzymki są jego obsesją. Suger błagał go o powrót z Outremeru, lecz on nie posłuchał, pochłonięty relikwiami.

Henryk wznosił oczy do sufitu.

– W końcu coś sobie wymodli, a tymczasem jego obsesja może obrócić się na naszą korzyść.

Alienor zasznurowała usta.

– Możliwe, ale musimy uważać. Ludwik jest płytki, ale bywa podstępny.

– Zupełnie jak ja – odpowiedział z błyskiem w oku Henryk.

Henryk spotkał się z Ludwikiem w Vernon, w połowie drogi między Rouen a Paryżem, pod osłoną markizy namiotu, chroniącej przed sierpniową sierpną.

Alienor od kilku dni źle się czuła i podejrzewała, że znów jest brzemienna. Wspomniała o tym Henrykowi poprzedniego dnia. Był zachwycony, wręcz się puszył. Stanowiło to kolejny dowód jego męskości, a przy tym mogło posłużyć jako argument w sporze z francuskim przeciwnikiem. Zostawili syna w Rouen z babką; podróż byłaby dla niego zbyt męcząca, a zresztą małe dziecko zawadzałoby tylko podczas pertraktacji. Alienor trzymała się na uboczu, aby nie zaognić sytuacji, ale czuwała w pobliżu, aby podpisać dokumenty w razie potrzeby i opatrzyć je swoją pieczęcią.

Po stronie francuskiej była Konstancja, siostra Ludwika, wdowa po Eustachym, synu króla Stefana; odwiedziła dawną bratową, gdy mężczyźni przystąpili do rozmów. Z upływem czasu upodobiła się do matki, nosiła się tak jak ona i miała identyczny zarys szczęki, włosy jasne jak Ludwik i cienki, długi nos. Powitała byłą królową z ostrożną uprzejmością.

– Przykro mi z powodu śmierci twojej matki – powiedziała Alienor. – Była szlachetną, zdecydowaną kobietą, niech odpoczywa w pokoju.

– Mam nadzieję, że przyniosę jej chlubę – odrzekła Konstancja. Głos miała cichy, ale pobrzmiwały w nim twarde nuty, co też nasunęło Alienor skojarzenie z Adelajdą.

– Przyniesiesz. – Starła się, by zabrzmiało to szczerze.

Konstancja przyjęła komplement skinieniem głowy.

– Wkrótce ponownie wyjdę za mąż – oznajmiła.

Jej słowa wzbudziły czujność Alienor, która wiedziała, że narzeczony będzie zapewne sprzyjał francuskim interesom.

– Winszuję. Czy mogę spytać, za kogo?

Konstancja zmierzyła ją badawczym spojrzeniem.

– Za hrabiego Tuluzy.

Alienor zamarła. A więc to dlatego Ludwik wystąpił z propozycją negocjacji. Zrzekł się praw do Akwitanii, ale przymierzem z Tulużą wywrze na nią nacisk z dwóch stron i utrzyma wpływy na Południu. Wiedział doskonale, że odzyskanie Tuluzy jest celem Alienor. Wydając siostrę za hrabiego, otwierał drogę do Tuluzy swoim następcom, jeśli Konstancja urodzi dzieci.

– Życzę ci wszystkiego najlepszego. – Alienor zdobyła się na spokój. Mówiła szczerze, ostatecznie Konstancja nie miała nic do powiedzenia; Alienor wiele wycierpiała, będąc w podobnym położeniu. Niemniej jednak pękało jej serce.

– Tuluza należy do Akwitanii – oznajmiła Henrykowi, gdy zostali sami w namiocie. Zmrok posiniaczył niebo odcieniami fioleto. Zabiła komara, który brzęczał jej nad uchem. – Nie dopuszczę, aby Ludwik położył na niej rękę za pośrednictwem swojej siostry.

– Wyda siostrę za mąż i nic na to nie poradzisz – odparł Henryk. – Przyznaję, że to denerwujące, lecz jako król ma obowiązek powetować sobie utratę Akwitanii.

Alienor nie kryła niezadowolenia. Prawda wcale nie czyniła tego łatwiejszym do zaakceptowania.

Henryk położył się na pościeli i wsunął ręce pod głowę.

– Celem jego „pielgrzymki” do Santiago de Compostela jest coś więcej niż modlitwa przy grobie Świętego Jakuba i wydanie Konstancji za mąż. On sam chce się wżenić w Kastylię: poślubi najstarszą córkę króla Alfonsa.

Wytrzeszczyła oczy.

– Powiedział ci o tym?

– Z uśmiechem na twarzy. – Henryk się skrzywił, ale nie wyglądał na poruszonego. – Narzeczona ma trzynaście lat. Będzie miał szczęście, jeśli urodzi mu żywe dziecko. Tak czy inaczej, zanim doczeka się następcy, upłynie sporo czasu. I nigdy nie wiadomo, czy urodzi mu się syn.

– A Konstancja?

Wzruszył ramionami.

– Też mamy czas. Zawsze możemy przejąć Tuluzę na mocy porozumienia małżeńskiego w przyszłym pokoleniu.

Zastanawiała się, czy Henryk przypadkiem nie żartował. Chyba to zauważył, ponieważ dodał: – Nie mówię o tym, co będzie jutro, ale może za dziesięć lat. Przyznaję, że musimy obserwować rozwój sytuacji, ale grunt, że odstąpił od roszczeń do Akwitanii. Co do Tuluzy, w niedalekiej przyszłości zastanowię się nad kampanią. – Posłał jej senny uśmiech i zmienił temat. – Powiedziałem mu, że znów spodziewasz się dziecka. W życiu nie widziałem człowieka, który próbuje się uśmiechnąć, przełykając ocet. – Poklepał łóżko i skinął na nią. – Cokolwiek knuje, przewaga leży po naszej stronie, najdroższa.

– I oby tak zostało – odpowiedziała i położyła się obok niego. – Ludwik często ma pecha, lecz tak się składa, że zawsze wypływa na powierzchnię.

– Już ja go znam – odparł buńczucznie Henryk. – On zaś nie wie o mnie nic. Dlatego zachowaj spokój. – Sięgnął po złoty krzyżyk na łańcuszku i zakołysał go nad jej brzuchem. Oboje patrzyli, jak kołysze się w przód i w tył, coraz szybciej. – Znowu chłopiec – oznajmił z uśmiechem.

Pierwszego wieczora po powrocie z Rouen Henryk był cichszy niż zazwyczaj i oczy mu się zamykały, kiedy odwiedzili w opactwie jego matkę, aby opowiedzieć jej o spotkaniu w Vernon i przekazać wieść o ciąży Alienor. Też była zmęczona po podróży, toteż nie zwróciła na to uwagi. Matylda nie dopuszczała nikogo do głosu i wymądrzała się na każdy temat, począwszy od tego, jak nosić

płaszcz gronostajowy, a skończywszy na tradycyjnych utyskiwaniach pod adresem nieudolności Stefana. Poskarżyła się również, że cesarz niemiecki Henryk zażądał od niej zwrotu relikwii, klejnotów oraz insygniów, które przywiozła do Normandii na mocy swego wdowieństwa.

– Należą do mnie – stwierdziła z gniewnym błyskiem w oku. – Dostaną je moi synowie. – Zwróciła się do Henryka. – Żąda nawet korony, którą masz włożyć na koronację, ale obejście się smakiem. Nie dostanie choćby odprysku złota ani ukruszonego klejnocika.

– Na pewno – skwitował Henryk, lecz bez zwykłego sobie poczucia humoru. Wstał i pocałował ją w policzek. – Rano porozmawiamy, matko.

Okazała zdziwienie, a następnie niepokój.

– Co się stało?

– Nic, matko. – Henryk zbył ją machnięciem ręki. – Jestem zmęczony, przecież mówiłem. Nawet ja muszę czasami się zdrzemnąć.

Uśmiechnęła się surowo, lecz w oczach wciąż miała obawę.

– Zatem odpocznij – odpowiedziała. – I niech Bóg nad tobą czuwa.

* * *

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytała Alienor, kiedy przybyli do pałacu.

– Oczywiście – warknął. – Jezusie na krzyżu, po co wy, kobiety, robicie zawsze tyle hałasu? Jestem zmęczony i to wszystko, święty nie wytrzymałby z moją matką. Nie bierz z niej przykładu!

Alienor uniosła głowę.

– Robimy hałas, bo zawsze po was sprzątamy, ale przyjmuję do wiadomości. Więcej nie zapytam.

Poszli spać źli na siebie. Henryk usnął prawie natychmiast, ale rzucał się przez sen i jęczał jak potępieniec.

Nad ranem obudził się ze skargą, że boli go gardło; twierdził, że mu zimno, chociaż skórę miał rozpaloną jak węgiel. Świeca wypaliła się do ogarka. Alienor narzuciła koszulę i podeszła do drzwi wezwać służbę. Usłyszała, że Henryk wymiotuje.

– Księżę zachorował – oznajmiła. – Przynieście świeżą pościel i czystą wodę.

Ubrała się pospiesznie, a służący przygotowali świeże posłanie. Henryk kulił się przy kominku w płaszczu narzuconym na ramiona i cały dygotał. Alienor uklękła obok, ujęła jego dłonie i poczuła, jak krew pulsuje mu pod skórą. Nawet w półmroku widziała, że ma szkliste oczy.

– Jeszcze raz mnie zapytaj, po co kobiety robią tyle hałasu – powiedziała.

– To nic takiego – wychrypiął. – Zwykłe przeziębienie. Przejdzie do rana.

Ale rano majaczył w gorączce, z trudem łapał powietrze. Miał tak spuchnięte i obolałe gardło, że ledwie zdołał przełknąć lekarstwo. Medycy upuścili mu krwi, aby ostudzić ciało, ale bez rezultatu.

Alienor siedziała przy łóżku, sama go obmywała i sączyła w jego otwarte usta wodę z miodem. Podparli go na poduszkach, bo każdy oddech kosztował go wiele wysiłku. Widziała, jak jego przepona unosi się i opada, tworząc zagłębienie pod żebrami, jak u Chrystusa ukrzyżowanego, który wisiał na ścianie.

O świcie przybyła cesarzowa. Nastąpiła jesienna pogoda i Matyllda wniosła do komnaty zapach deszczu i dymu.

– Henryku? – Pospieszyła do łóżka i na jej twarzy odmalował się wyraz zgrozy. – Jak to możliwe? Jak do tego doszło? – Spojrzała na synową niemal oskarżycielsko.

– Pewnie zaraził się czymś na francuskim dworze – odrzekła Alienor i przygryzła wargę. Powietrze na francuskim dworze okazało się też zgubne dla jego ojca. Strach ogarnął ją na myśl, co będzie, jeśli Henryk umrze. Wybuchnie kolejna wojna, a ona i jej dzieci znajdą się w oku cyklonu. Zostanie zmuszona do kolejnego małżeństwa, bo ambitni zalotnicy nie dadzą jej spokoju.

– Tylko nie mój kochany chłopiec – powiedziała Matyllda. – Nie po tym wszystkim. – Potoczyła ostrym wzrokiem po służbie, gotowa wydawać polecenia. – On nie umrze. – Odepchnęła służącą i przyłożyła dłoń do czoła syna. Jęknął i machnął na oślep ręką. – Cały rozpalony – stwierdziła. – Trzeba ostudzić mu krew.

– Już to zrobiliśmy, matko – odrzekła Alienor.

– Spróbujcie jeszcze raz, aż do skutku. Musi mieć wodę źródlaną do picia i kleik, ale niech ktoś spróbuje go przed podaniem. – Cmoknęła niecierpliwie, jakby dając do zrozumienia, że sama musi o wszystkim myśleć; Alienor z trudem zachowała spokój, lecz stały po jednej stronie i kłótnia osłabiłaby je tylko, zamiast wesprzeć.

Przez kolejną godzinę cesarzowa krzątała się po komnacie, obwinała wszystkich i rozstawiała po kątach, czyli zachowywała się jak sekutnica, za jaką uchodziła. Naraz jednak przystanęła i przejechała po oczach drżącą ręką, a wtedy uraza Alienor stopniała, gdyż dostrzegła pod maską przerażoną twarz osamotnionej matki.

Na zmianę czuwały przy łóżku Henryka, wycierały jego rozpalone czoło, zmieniały mu koszulę i pościel, karmiły go łyżką. Mocno wychudł, a jego ciało się trzęsło, jakby serce miało wnet wyskoczyć mu z piersi. Kapelani i księża wchodzili i wychodzili, lecz zawsze trzymali się w pobliżu. W całym Rouen odmawiano modlitwy za obłożnie chorego młodego księcia Normandii. Matyllda, kiedy akurat

nie czuwała przy Henryku, klęczała przy ołtarzu w Bec, błagając Boga, aby oszczędził jej syna. Zdzieriała kolana na kamiennych płytach, ale wcale na to nie zważała.

Kiedy nastał wieczór trzeciej doby, Alienor siedziała przy łóżku męża. Jeszcze żył, a raczej trwał przy życiu, bez widoków na poprawę. Ujęła jego dłoń, opaloną od letniego słońca, ale bledszą powyżej nadgarstka i pokrytą piegami oraz złocistym meszkiem.

– Jak zbudujesz królestwo i pozostawisz swój ślad, leżąc tutaj? – spytała. – Chcesz patrzeć, jak rosną twoi synowie? Spłodzić córki?

Nie wiedziała, czy ją słyszy, ale pierś zadrżała mu spazmatycznie.

– Będiesz prawie królem – dorzuciła gorzko. – A to gorsze niż żadnym. Nawet Stefan więcej osiągnął... nawet Ludwik. – Głos odmówił jej posłuszeństwa. Po chwili puściła jego rękę i podeszła do skrzyni, która stała w nogach łóżka. Otworzywszy ją, wyjęła miecz prapradziadka, owinięty purpurowym jedwabiem, i wysunęła go z pochwy. Klinga lekko lśniła, chłodna jak zimowy poranek. Zniosła mu miecz i włożywszy mu w dłoń, zacisnęła jego palce na rękojeści. – Jest twój – oznajmiła. – Chwyć go i używaj, bo jeśli tego nie zrobisz, zardzewieje w rękach tych, którzy na niego nie zasłużyli.

Jego drugą dłoń przycisnęła sobie do brzucha, gdzie rosnęło nowe życie. Następnie skłoniła głowę i gorąco się pomodliła.

Zbudziła się po kilku godzinach, kiedy jutrzeńka sączyła się przez okna i muskała miecz szarym światłem, aż klinga rozbłysła stalowym blaskiem. Miała wyschnięte usta i piasek pod powiekami. Czując lodowaty dotyk dłoni Henryka, przeraziła się, że być może dusza wyfrunęła nocą z ciała. Miał otwarte oczy i patrzył prosto na nią.

– Prawie król – wychrypiał. – Cóż to za obelga?

Alienor odetchnęła, jakby niewidzialna siła wydarła jej powietrze z piersi. Dotknęła jego policzka, był lekko ciepły.

– Najgorsza – odpowiedziała drżącym głosem, gdy już zdołała zaczerpnąć tchu. – Obym nigdy nie musiała cię tak nazwać. – Przystawiła mu do ust kielich z rozwodnionym winem. – Napijesz się?

Pociągnął niezdarny łyk, wino chlusnęło mu na pierś. Wytarła je serwetką. Serce przestało łomotać mu o żebra, odsłonięta skóra była chłodnawa. Nakryła go piernatem.

– Boże miłosierny – zaświszczał. – Czuję, jakbym miał zardzewiałe gwoździe w piersi.

– Napędziłeś nam stracha – powiedziała. – Myśleliśmy, że umrzesz.

– Śniło mi się, że tonę w morzu ognia – odparł. – Orzeł rozrywał mnie na strzępy i karmił mną swoje młode, które były także moimi. – Ponownie się napił, tym razem spokojniej, po czym spojrzął na miecz po swojej prawicy. – Co on tutaj

robi?

– Przyniosłam ci w nocy, żebyś miał czym walczyć, bo nic innego nie pomagało, ani modlitwy, ani błagania. Widziałam, że mi się wymykasz, a nie chciałam cię stracić. Miecz mi cię przywrócił. – Zadrżał jej podbródek. – Tak niewiele brakowało, najdroższy. Nie wiesz o tym, ale wiedzą ci, którzy nad tobą czuwali.

Wiedziała, że to jeszcze nie koniec walki. Chwila przytomności nie oznaczała wyzdrowienia. W najbliższych dniach będą musieli mieć się na baczności, on zaś nie będzie łatwym pacjentem.

Gdy przyszła cesarzowa, Henryk znowu spał, lecz Alienor doniosła, że zjadł trochę chleba z mlekiem i spadła mu gorączka. Miecz wrócił do skrzyni, a Henryk spokojnie oddychał w pościeli.

– Chwała Bogu! – Matylda się przeżegnała i opadła na stołek przy łóżku. – Całą noc modliłam się do Najświętszej Pani, a ona się zlitowała i wysłuchała matczynych błagań! – Alienor ugryzła się w język i nie wspomniała o mieczu. – Jakże człowiek jest kruchy. – Cesarzowa wytarła oczy długim rękawem, po czym wyprostowała się, a jej twarz na powrót przybrała dumny i władczy wyraz. – Ja przy nim posiedzę. Odpocznij, córko.

Alienor spojrzała na jej podkrążone oczy i blade, wyschnięte usta.

– Też nie spałaś, matko – odrzekła.

– To dla mnie nie pierwszozna. Ty musisz dbać o siebie i dziecko. Teraz moja kolej.

Kiedy Henryk wracał do zdrowia, Alienor nie odstępowała jego łóżka. Jak na kogoś tak żywotnego i kipiącego energią, dobrze znosił odpoczynek. Przynosiła mu jedzenie, kusila smakowitymi kaskami mięsa, kruchym plackiem i kremem z mleka i żółtek. Opowiadała mu zabawne historie i sprowadziła muzykantów, ażeby mu grali na jego ulubionej harfie. Czytała na głos z przeróżnych ksiąg, zarówno z dziedziny sądownictwa i prawa, jak i lżejsze, mity i kroniki. Był odczytany, toteż wiele spośród nich znał, lecz chętnie znów ich wysłuchał, utrzymywał bowiem, że kocha brzmienie jej głosu i egzotyczny akcent z Poitou. Grali w szachy i żadne z nich nie wygrywało częściej niż drugie. Opowiadała mu, co się dzieje na dworze, i omawiali przyszlą kampanię przeciwko Tuluzie, planując strategię niczym przedłużenie partii szachów.

Z dnia na dzień czuł się lepiej. Odzyskał apetyt i ponownie zajął się sprawami księstwa, wezwał do siebie baronów i rycerzy, po czym debatował z nimi dopóty, dopóki starczyło mu sił. Któregoś ranka go nie zastała, służba ścieliła łoże i sprzątała okruchy ze stołu.

– Pan oznajmił, że wybiera się na przejażdżkę – oznajmił szambelan. –

Wróci na kolację.

Zrozumiała, że wszystko wraca do normy, i choć bardzo ją to radowało, wiedziała, że brak jej będzie wspólnych chwil w komnacie, gdy on ponownie rzuci się w wir życia.

Rouen, październik 1154

W zimny październikowy ranek Alienor popijała przygotowany przez Marchisę imbirowy napar, gdy kobiety ubierały ją w ciepłą odzież. Po raz pierwszy od kilku miesięcy nie mdliło jej po wstaniu z łoża. Miała lekko zaokrąglony brzuch, a zebrane z przodu fałdy nowej brązowej sukni jeszcze to podkreślały.

Henryk późno się położył i wcześniej wstał, tak pełen wigoru, jakby przed sześcioma tygodniami nie otarł się o śmierć. Tego dnia wyruszał rozprawić się z krnąbrnym wasalem z Torigny i choć najchętniej zatrzymałaby go przy sobie jeszcze co najmniej tydzień, wiedziała, że to niemożliwe.

Posłała Emmę po małego Wilhelma i piastunkę.

– Książę go zabrał, pani – przybiegła po chwili. – Wspomniał coś o stajni.

Alienor poprosiła o płaszcz i wyszła na dziedziniec, gdzie Henryk jeździł na swojej Gryzeldzie, trzymając przed sobą Wilhelma. Mały radośnie się zaśmiewał, usiłując złapać wodze, a twarz ojca jaśniała ze szczęścia i dumy. Henryk był ubrany do wyjazdu, na tunice miał wywatowaną odzież, którą zwykle nosił pod kolczugą, ale dzisiaj włożył ją dla osłony przed wiatrem. Małego Wilhelma owinął swoim płaszczem. Na widok żony spiął konia i podjechał bliżej.

– Udzieliłem dziedzicowi pierwszej lekcji – oznajmił. – Szybko się uczy.

– No ba – odrzekła Alienor. – Wkrótce będzie jeździł jak dorosły, zanim wrócisz... Chyba że zamierzasz go wziąć ze sobą?

– Najpierw niech nauczy się wiązać pasek, stawiać namiot i milczeć, gdy zachodzi taka konieczność – odparł ze śmiechem Henryk i podał jej dziecko. Wilhelm zaczął wrzeszczeć i się wrywać. Alienor pocałowała go, ale czym prędzej oddała piastunce.

Henryk zeskoczył z konia i wziął ją za rękę.

– Mam nadzieję zjawić się z powrotem przed świętym Marcinem – rzekł.

– Uważaj na siebie. – Pogładziła wierzch jego dłoni, gdzie przed dwoma dniami skaleczył się o cierń na polowaniu. – Będę się za ciebie modlić.

– A ja za ciebie i naszych synów. – Dotknął jej brzucha, po czym oburącz ujął jej twarz i pocałował. Było to szczere, widziała jednak, że myślami wybiegł już na drogę i ją opuścił.

* * *

Odwiedzała teściową w Bec raczej z obowiązku niż chęci spędzania z nią czasu, ale jak dotąd było znośnie. Mały Wilhelm stawiał pierwsze kroki, a Matylda

go do tego zachęcała, puchnąc z dumy, gdy kolebał się pomiędzy babką i matką.

Alienor moczyła stopy w wodzie z ziołami i pachnącym olejkiem. Synek koniecznie chciał się w niej chlapać, lecz babcia zwabiła go kromką chleba z miodem.

– Wykapany tatuś – stwierdziła z ironią Alienor i położyła rękę na brzuchu.
– Myślałam, że Wilhelm był ruchliwy, ale ten chyba nigdy nie śpi.

Cesarzowa z uśmiechem posadziła sobie wnuka na kolanach, żeby zjadł.

– Kiedy wyszłaś za mojego syna, zastanawiałam się, czy korzyści są warte ryzyka – zaczęła. – Wiele o tobie słyszałam, zapewne plotek, i miałaś tylko dwie córki z pierwszego małżeństwa, lecz dobrze się spisałaś... jak na razie.

Alienor poczuła przyływ irytacji. Wrażliwość tej kobiety była dla niej zagadką. zaproponowała jej kojącą kąpiel dla stóp, następnie przekreślała ów gest drażniącą, protekcyjną manierą.

– Ja też się zastanawiałam – odrzekła – czy przypadkiem nie mam do czynienia z chłopcem, który porywa się z motyką na słońce, ale na szczęście moje obawy zostały zażegnane, podobnie jak twoje.

Cesarzowa w pierwszej chwili zrobiła obrażoną minę, lecz przebłysk niechętnego humoru rozjaśnił jej twarz.

– Chyba doszliśmy do porozumienia, córko – odpowiedziała.

„To nie to samo, co sympatia”, pomyślała Alienor, „ale wystarczy”.

Przy drzwiach wybuchło zamieszanie i Emma wpuściła zdyszanego posłańca, który oznajmił, że przynosi ważne nowiny.

Wymieniły zalęknione spojrzenia. Cesarzowa oddała wnuka piastunce, Alienor zaś pospiesznie wytarła stopy i włożyła buty. Boże, a jeśli Henryk znowu zachorował? Jeśli został ranny... albo znacznie gorzej?

Posłaniec, wysmagany wiatrem i ubłocony, podszedł bliżej i ukląkł przed nimi.

– Przynoszę wieści od mojego pana arcybiskupa Canterbury – rzekł, zwracając się do nich obu. – Przełknął ślinę i zebrał się w sobie. – Król Stefan zmarł w Dover przed czterema dniami. – Wyciągnął list opatrzony pieczęcią Teobalda z Canterbury.

Cesarzowa wyrwała mu pismo i otworzyła. Kiedy przeczytała, pergamin zadrżał w jej dłoni.

– Tak długo na to czekałam – rzekła, zasłaniając usta. – Bardzo długo. Wiedziałam, że nadejdzie ten dzień, lecz teraz... – Drżał jej podbródek. – Henryk był nieco starszy od mojego wnuka, gdy podjęłam walkę. Te wszystkie lata... te wszystkie długie, długie lata. – Łzy spłynęły jej po twarzy.

Alienor oniemiała. Spodziewała się, że Stefan żyje jeszcze kilka lat – a przynajmniej zdążą załatwić sprawę Tuluzy i wychować dzieci w ciepłej radości Południa. Tymczasem los zdecydował inaczej. Nie znała Anglików. Nie znała ich

zwyczajów ani języka, nie licząc paru słów. Myślała, że doczeka wieku Matyldy, że wówczas będzie gotowa. Z trudem przełknęła ślinę i zacisnęła zęby. Dziecko w jej łonie wywinęło koziołka. Posłaniec wciąż klęczał, kazała mu wstać.

– Czy mój mąż wie o tym? – spytała. – Posłano mu wiadomość?

– Tak, pani. W tym samym czasie co tobie.

– Zjedz i odpocznij, wkrótce znów wyruszysz w drogę.

– Pani. – Skłonił się i wyszedł.

Kobiety spojrzały po sobie w obliczu wielkiej zmiany. Na twarzy Matyldy wciąż lśniły łzy, podkreślając popękane żyłki i spustoszenia poczynione upływem czasu.

– Tak długo o to zabiegałam – podjęła. – Mam wrażenie, jakbym pchała unieruchomiony wóz, który nagle ruszył, a ja tracę punkt oparcia. – Podeszła do okna i rozwarła okiennice. – Mój syn został królem – dodała. – Nareszcie włoży koronę, którą zrabowano, kiedy miał dwa lata.

Alienor wciąż nie mogła w to uwierzyć. Ponownie zostanie królową. Kiedy wyszła za Henryka, po nocy poślubnej rozmawiali o królestwach i oto słowo stało się ciałem.

Poszły podziękować Bogu w katedrze w Rouen. Na ołtarzu lśniła królewska korona, przywieziona przez Matyldę z Niemiec przed blisko trzydziestu laty – ciężki przedmiot z polerowanego złota, wysadzany mozaiką klejnotów w różnych kolorach i rozmiarach, począwszy od szmaragdów wielkości dziecięcego paznokcia, a skończywszy na szafirze rozmiarów piąstki.

– Miałam ją włożyć na swoją koronację – powiedziała Matylda. – Lecz teraz należy do mojego syna, a po nim do Wilhelma.

Koronę otaczała taka aura potęgi, że Alienor zadrżała. Udźwignie ją tylko silny mężczyzna, a u jego boku stać będzie silna kobieta.

Kiedy wyszły z katedry, rozdzwoniły się dzwony i odpowiedziały im wszystkie kościoły w Rouen, aż pod niebo wzbił się radosny zgiełk.

Barfleur, 7 grudnia 1154

Alienor stała w rybackim szałasie na przystani; otuliła się futrzanym płaszczem i wyjrzała na morze w stalowym odcieniu kolczugi. Mżyło, fale były wzburzone i zwieńczone pianą. Niewielka flota Henryka kołysała się na kotwicach, na pokłady wnoszono beczki i pudła, sakwy oraz skrzynie, które podawano sobie z rąk do rąk po trapie i składano na pokładzie. Na maszcie statku, dłuższym od pozostałych, *esnecca* o sześćdziesięciu wiosłach, powiewał czerwono-złoty sztandar. Służba kończyła stawiać namiot, który miał posłużyć jako osłona w czasie przeprawy. Patrzyła, jak Henryk biega po pokładzie, tu sprawdza, tam zagląda, czy wszystko jest jak należy.

Utknęli w Barfleur na sześć tygodni, wiał niepomyślny wiatr, a zimowe sztormy czyniły rejs bardziej ryzykownym od pozostawienia Anglii własnemu losowi. Teraz wiatr się zmienił i morze, choć nadal wzburzone, wreszcie umożliwiała przeprawę. Mieli wyruszyć w ciągu godziny wraz z odpływem.

Zamieszanie w porcie wskazywało na przybycie cesarzowej. Ubrała się z królewskim rozmachem, jak na ważną uroczystość; efekt robił wrażenie, ale nie pasował na tle rozległego wybrzeża i bezlitosnej pogody. Wiatr targał woalem i przyciskał wysadzaną klejnotami suknię do szczupłego, wyprostowanego ciała.

– Pani. – Alienor dygnęła.

Cesarzowa pochyliła głowę.

– A więc już czas – powiedziała. Z jej twarzy wyzierało napięcie.

Alienor w milczeniu pokiwała głową. Kiedy czekali na poprawę pogody, Matylda jasno dała do zrozumienia, że jej noga więcej nie postanie w Anglii. Kosztowałoby ją to zbyt wiele bólu.

– Ty nie wiążesz z Anglią żadnych wspomnień – powiedziała do Alienor. – Twoja kolej, by tam jechać i je gromadzić. Oby wszystkie były dobre. – Nie uśmiechnęła się. – Ludzie chcą młodego króla z jego płodną żoną. Pragną lata zamiast zimy. Mam dosyć oleju w głowie, aby to wiedzieć i posłać im zielone sadzonki z moim błogosławieństwem, lecz bez mojej osoby.

Wrócił Henryk i otrzepał ręce. Wiatr zmierzwił mu rude włosy; mrużył oczy przed zacinającym deszczem, w kącikach tworzyły mu się zmarszczki, których czas jeszcze nie utrwalił. Płynąca od niego energia była równie żywiołowa, jak fale. Nadeszła jego chwila i chwycił ją każdą cząstką swojej istoty.

– Gotowa? – zwrócił się do żony. – Odpływ długo nie potrwa.

– Tak – odrzekła i zadarła podbródek. – Jestem gotowa.

Henryk spojrział na cesarzową.

– Moja matko. – Ukląkł i pochylił głowę.

W czułym geście błogosławieństwa oparła dłoń na rudych lokach, następnie schyliła się, ucałowała go w oba policzki i podniosła.

– Bezpiecznej podróży – powiedziała. – Wróc do mnie jako namaszczony król.

Alienor też przyklękła i otrzymała to samo.

– Bóg z tobą i twoim dziecięciem – rzekła Matylda, a jej pocałunek był ciepły i matczyzny.

Henryk i Alienor weszli na pokład, on przodem, by pomóc jej zejść z trapu. Świeży zapach morza kręcił ją w nosie, woda kołysała statkiem i trudno było ustać na nogach. Horyzont zasnuł się mgłą.

Hugo z Boves, arcybiskup Rouen, stanął na brzegu obok Matyldy i uniósł ręce, aby pobłogosławić statek i jego pasażerów. Zrzucano ostatnią cumę. Wioślarze ujęli wiosła, wiatr załopotał żaglem i odległość między lądem a morzem zwiększyła się do jardu szarej wody, dziesięciu jardów, a potem stu.

Kiedy wybrzeże Normandii kurczyło się coraz bardziej, a postać cesarzowej wyglądała jak punkcik w oddali, Alienor wypuściła z ust obłoczek pary.

Henryk przyciągnął ją do siebie.

– Dobrze się czujesz? – Poglaskał wypukłość jej brzucha, licząc już sześć miesięcy.

– Tak. – Uśmiechnęła się, aby rozproszyć jego obawy. – Nie boję się żeglugi.

– Ale coś cię martwi.

Odsunęła się, żeby na niego spojrzeć.

– Jedziesz do Anglii jako jej prawowity król. To twoje przeznaczenie. Znasz tę ziemię, znasz ludzi, mieszkałeś tam i walczyłeś o prawo do swojej własności. Anglia jest moja, bo należy do ciebie, dopiero przyjmę ją do swego serca. – Powiodła wzrokiem dokoła. Otaczała ich tylko woda. – Ale jadę w nieznane, z wiarą, którą w tobie pokładam, i dla naszych dzieci, narodzonych i nienarodzonych.

Popatrzył na nią oczami pod kolor morza. Bijąca od niego energia zakolysała nią prawie jak fale.

– Nie zawiodę twojego zaufania – oznajmił. – Przysięgam. Co nieznane, nie zostało jeszcze zapisane. Z Bożą pomocą uczynimy to sami.

Pocałował ją i poczuła na jego ustach smak soli, oburącz ujął jej brzuch. Miał rację. Nieznane dopiero czekało, a oni stali przed największą szansą w swoim życiu.

Od autorki

Alienor (Eleonora) Akwitańska to jedna z najświetniejszych królowych w historii oraz bohaterka licznych biografii, sztuk i powieści historycznych. Osiemset lat po śmierci wciąż budzi fascynację, która przechodzi z pokolenia na pokolenie. Można wręcz zaliczyć ją do grona najstarszych celebrytów!

Od pewnego czasu chciałam dorzucić swoje trzy grosze do tego tematu, gdyż mimo licznych i różnorodnych prac, jakie jej poświęcono, postać Alienor wciąż osnuta jest mgłą tajemnicy i niedopowiedzeń.

Jej historię często przerabiano na potrzeby kolejnych pokoleń, nierzadko w niezwykle interesujący sposób. Szczególnie zaciekał mnie artykuł *Czy wiemy, co myślimy, że wiemy? Założenia na temat Eleonory Akwitańskiej* autorstwa RáGeny C. DeAragon. Zainteresowanych informuję, że jest dostępny w internecie. W myśl głównej tezy, na przekór wszystkiemu, co napisano o Alienor, tak naprawdę wiemy o niej bardzo niewiele i mnóstwo jedynie zakładamy, co dotyczy również historyków.

Pisząc *Pieśń królowej*, słyszałam zewsząd, że Alienor „wyprzedzała swoje czasy”. Ale ja jestem zdania, że była raczej kobietą swojej epoki i usiłowała stanąć na wysokości zadania w obrębie obowiązujących wówczas ram. Każda próba wyjścia poza te ograniczenia była natychmiast tłumiona, niekiedy brutalnie, Alienor jednak wykazywała niebywały wręcz hart ducha.

Nazwałam ją Alienor zamiast Eleonorą, gdyż sama określiłaby się właśnie tym mianem i widnieje ono w źródłach anglonormańskich. Uznałam, że należy to uszanować.

Dawniej podawano rok 1122 jako datę jej urodzin, ale współcześni historycy skłaniają się raczej ku temu, że przyszła na świat w 1124 roku i wyszła za Ludwika VII w wieku lat trzynastu – dwunastolatek nie uważano za gotowe do zamążpójścia. Jej ojciec wiedział, jak mniemam, że nie wróci z pielgrzymki do Santiago de Compostela, toteż zabezpieczył przyszłość córki (tak mu się zdawało!) i Akwitanii, zanim wyruszył w drogę. Czasami uważa się, że Alienor była już wówczas świadomym politycznym graczem, ale wzięwszy pod uwagę fakty, nie ulega wątpliwości, że władza spoczywała w rękach baronów i duchowieństwa Francji i Akwitanii, zatem to oni rozdawali karty.

Wiemy, że rok przed śmiercią ojciec Alienor uczestniczył w kampanii z Gotfrydem z Anjou, i zastanawiam się (to jedynie czyste domysły), czy poruszyli temat zaręczyn Alienor z małym Henrykiem. Wiemy natomiast z historycznych

źródła, że hrabiowie Anjou od dawna dążyli do zjednoczenia swoich ziem z Akwitanią. Gotfryd w myśl owych dążeń miał nadzieję zeswatać Henryka z Marią, córką Alienor – brano ten związek pod uwagę, ale koniec końców odrzucono taką możliwość z powodu zbyt bliskiego pokrewieństwa (czyli sztandarowej dwunastowiecznej wymówki). Gotfryd nie porzucił jednak marzeń o Akwitanii. Jestem święcie przekonana, że jako patriarcha rodu był on siłą napędową rozmów Alienor z osiemnastoletnim wówczas Henrykiem w Paryżu w 1151 roku. Szkoda, że nie dożył ich ślubu.

Starannie zbieram materiały i staram się nie szkalować zmarłych, próbuję też ukazywać moich bohaterów w granicach prawdopodobieństwa historycznego, w myśl tego, jak zapisali się w annałach. Lecz *Pieśń królowej* to powieść historyczna, toteż z uwzględnieniem wyżej wymienionych zasad, których przestrzegam, mam prawo badać rejony, w które historycy się nie zapuszczają.

Jedną z największych zagadek Alienor jest domniemany kazirodczy romans ze stryjem Rajmundem w Antiochii podczas Drugiej Krucjaty. Kilku kronikarzy zarzuciło jej niestosowne zachowanie w czasie tej podróży, istnieją też niejasne wzmianki na temat pewnych poczynań w Antiochii, ale kiedy się wczyta w owe teksty, nikt nie oskarża jej o cielesne kontakty ze stryjem. Część biografów poszła na całość i orzekła, że Alienor miała jednak romans z Rajmundem, lecz według mnie przesłanki są niewystarczające. Oboje byli wytrawnymi graczy, którzy znali się na polityce. Spędzili razem dziewięć dni i chociaż mam pewność, że knuli w najlepsze, nie sądzę, aby zapalali do siebie żądzą w tak krótkim czasie, zwłaszcza że Rajmund był podobno oddanym i wiernym mężem.

Przypuszczam natomiast – choć źródła tego nie potwierdzają – że Alienor miała romans ze swoim wasalem, Gotfrydem z Rancon. Wytropienie Gotfryda w annałach w ogóle stanowi niemały problem. Istnieją różne, niejednokrotnie sprzeczne drzewa genealogiczne i doniesienia, w myśl których tenże sam Gotfryd żył jeszcze w czasach Ryszarda Lwie Serce, gdy dobijałby setki! Wspomniany Gotfryd musiał być synem bądź wnukiem mężczyzny znanego Alienor.

Według Waltera Mapa, jednego z mniej wiarygodnych kronikarzy o mentalności dziennikarza prasy brukowej, Alienor miała romans z Gotfrydem z Anjou, gdy był on seneszalem Poitou. Wątpliwe jest, że Gotfryd kiedykolwiek otrzymał ten tytuł i że miałby okazję, czas i samobójcze ciągoty do igraszek z żoną swego pana. Doznałam swoistego olśnienia, gdy natrafiłam na artykuł Sidneya Paintera *Kasztelani Poitou w XI i XII wieku*, opublikowany w „Speculum” w 1956 roku, w którym opisuje on kariery panów z Rancon na stanowiskach ważnych kasztelanów książęcych. Mam podejrzenia, iż była to woda na młyn kronikarzy, którzy przypisali skandal niewłaściwemu Gotfrydowi. Przypuszczam też, iż właśnie zażyłość Alienor z Gotfrydem z Rancon stała się źródłem domniemanego skandalu w Antiochii – w każdym razie uważam to za znacznie bardziej

prawdopodobne aniżeli namiętne figle ze stryjem. Aż do tego momentu hrabia Rancon był filarem postępującej armii, tymczasem w Antiochii został odesłany do domu. Historycy nie mogą dojść do porozumienia, czy popadł w niełaskę po incydencie na górze Kadmos (obecnie góra Honas na północy Turcji), czy też zakończył swoją misję i pilne sprawy zmusiły go do powrotu do Akwitanii. Być może istniał jeszcze inny powód. Kwestia nie została rozstrzygnięta, podobnie jak romans Alienor ze stryjem. Na podstawie wniosków wysnutych z moich badań i popartych logiką oraz wyobraźnią uważam, że królowa miała z Gotfrydem potajemny romans, który umknął historykom, acz znajduje pewne potwierdzenie w komentarzach części kronikarzy. Nie ulega wątpliwości, że Alienor spędzała ze stryjem dużo czasu, choć według mnie zajmowali się wtedy planowaniem strategii czy wręcz knuciem przeciwko Ludwikowi, a nie romansowaniem. Na pewno Alienor poprosiła o unieważnienie, a wytrącony z równowagi Ludwik miał wszelkie podstawy, by opuścić Antiochię nocą i uprowadzić żonę siłą, kiedy odmówiła dobrowolnego wyjazdu.

Kolejną zagadkę stanowiła siostra Alienor. W niektórych źródłach widnieje jako Aelis, w innych jako Petronela. Wybrałam opcję drugą, gdyż jest to imię rodem z południowej Francji, związane być może z katedrą Saint-Pierre w Bordeaux. Petronela w istocie wyszła za człowieka kilkadziesiąt lat starszego od siebie, podobno z miłości. Według kronikarza Jana z Salisbry zmarła około 1151 roku, lecz istnieją również późniejsze wzmianki na jej temat. Zastosowałam pewien wybieg, który tłumaczy jej zniknięcie ze sceny, gdyż nie wykluczam, że miała wiele wspólnego ze swoją babką od strony matki, osławioną Dangersą. Możemy się tylko domyślać, czemu zawdzięczała swój przydomek!

Postać Aelburgh zmyśliłam, Henryk miał jednakże kochankę o imieniu Hikenai, niezbyt lubianą przez kronikarzy domniemaną matkę Gotfryda, jego pierworodnego syna. Przypuszczam, że Hikenai pochodzi od *hackney*, mało pochlebnego określenia konia, dlatego nadałam jej imię zaczerpnięte z *Kroniki Akaszy*.

W *Pieśni królowej* uczyniłam Alienor niebieskooką ciemną blondynką na podstawie alternatywnej metody badawczej w postaci *Kroniki Akaszy*, przy pomocy której wypełniam luki i eksploruję przeszłość z duchowej perspektywy. Więcej na ten temat znajdziecie na mojej stronie internetowej. Konwencjonalne źródła informacji dają nam mgliste pojęcie co do jej wyglądu. Zdaniem jednego ze współczesnych historyków miała czarne włosy, oliwkową cerę i kobiecą figurę, którą zachowała aż do późnej starości, lecz żadne dowody tego nie potwierdzają i uważam to za wytwór wybujałej męskiej fantazji. Inny historyk przypisuje jej „roziskrzane czarne oczy”, co stanowi kolejny wymysł. Długo uważano, że fresk w Chignon przedstawia rudowłosą Alienor w koronie jadącą na koniu, ale z czasem to zakwestionowano; najprawdopodobniej są to dzieci Henryka, w tym młody król

w koronie. Tak czy inaczej wiemy, że przodkowie Alienor byli blondynami, gdyż jeden z książąt Akwitanii miał przydomek Jasnowłosa.

Badanie młodości Alienor, przypadającej na lata 1137–1154, było dla mnie źródłem wielu przeżyć, począwszy od fascynacji aż po frustrację i uniesienie. Nabrałam wielkiego podziwu dla jej hartu ducha, godności i wytrwałości w nieraz trudnych i wymagających czasach. Byłam również pod wrażeniem jej sprytu, inteligencji oraz determinacji. Niejednokrotnie wściekałam się w jej imieniu i ubolewałam nad kłamstwami, którymi przez stulecia obrosła jej postać, ale wydobyć jej z mroku wieków stało się jednym z najbardziej satysfakcjonujących przeżyć w mojej literackiej karierze.

Była kobietą swojej epoki, i to kobietą niezwykłą.

Czekam z niecierpliwością, by uzupełnić dalszy ciąg jej historii w drugim tomie zatytułowanym *Winter Crown*.

Podziękowania

Z całego serca dziękuję wspaniałym ludziom zaangażowanym w proces powstania niniejszej powieści. Złożenie wszystkiego w całość spoczęło oczywiście na moich barkach, ale żaden pisarz nie jest samotną wyspą i w tej drodze pomagało mi wiele osób.

Dziękuję zespołowi z Little, Brown UK, przede wszystkim mojemu wydawcy Rebecce Saunders, która zawsze mnie wspiera i dzielnie znosi wybuchy mojego „entuzjazmu”. Dziękuję redaktorkom Richenzie Todd i Hannah Green za ich sokole oczy i bezcenne rady. Jakiegokolwiek błędy to tylko i wyłącznie moja wina.

Moja agentka Carole Blake i wszyscy w Blake Friedmann są niezrównani. To pewne, że mam najlepszą agentkę na świecie.

Serdeczne podziękowania dla Thei Vincent z Phoenix Web Designs za moją fantastyczną stronę, która ciągle się przeobraża.

Dziękuję moim stałym czytelnikom i rozmówcom z Facebooka i Twittera za codzienne dyskusje na tematy historyczne i średniowieczne, zwłaszcza na temat rodu Marshal! Nie sposób wymienić was wszystkich z imienia, ale wiem, kim jesteście. Szczególne pozdrowienia dla mojego australijskiego fanklubu; dzięki za koszulkę!

Dziękuję również mojej serdecznej przyjaciółce po piórze, Sharon Kay Penman, która jest wzorem do naśladowania dla wszystkich przedstawicieli gatunku.

Gdyby nie wnikliwość i wyjątkowy talent Alison King, mojej drogiej przyjaciółki i współpracownicy, *Pieśń królowej* nigdy by nie powstała.

I szczególne podziękowania dla mojego męża Rogera, który został pasowany na rycerza za swoje nieocenione usługi i dbał o stałe dostawy ciasteczek z herbatą.

Wybrana bibliografia

Uważam, że najlepsze biografie to pozycje autorstwa Ralpa Turnera i Jean Flori, a seria artykułów Wheeler i Parsonsa stanowi doskonale streszczenie aspektów życia Alienor.

Abbot Suger on the Abbey Church of St.-Denis and its Art Treasures, pod redakcją Erwina Panofsky'ego, Princeton University Press, ISBN 0 691 003 14 9.

Baldwin, John W. *Paris, 1200*. Stanford University Press, 2010, ISBN 978 0 8047 7207 5.

Boyd, Douglas. *Eleanor April Queen of Aquitaine*. Sutton, 2004, ISBN 978 0750 932905.

Eleanor of Aquitaine: Lord and Lady, pod redakcją Bonnie Wheeler i Johna C. Parsonsa, Palgrave Macmillan, 2003, ISBN 978 0 230 60236 6.

Flori, Jean. *Eleanor of Aquitaine, Queen and Rebel*. Edinburgh University Press, 2004.

Gobry, Ivan. *Louis VII 1137–1180*. Pygmalion, 2002, ISBN 978 2 7564 0391 5.

Grant, Lindy. *Abbot Suger of St-Denis: Church and State in Early Twelfth-Century France*. Longman, 1998, ISBN 0 582 051508.

John of Salisbury's Memoirs of the Papal Court, przełożona z łaciny ze wstępem i adnotacjami Marjorie Chibnall D. Phil. Thomas Nelson & Sons, 1956.

Kelly, Amy. *Eleanor of Aquitaine and the Four Kings*. 1950, ISBN 978 067424254 8.

King, Alison, konsultantka *Kronik Akaszy*.

Meade, Marion. *Eleanor of Aquitaine: A Biography*. Frederick Muller, 1978, ISBN 0 584 10347 6.

Odon z Deuil. *De Profectione Ludovici VII in Orientem* w angielskim przekładzie Virginii Gingerick Berry, Columbia University Press, 1947.

Owen, D. R. *Eleanor of Aquitaine: Queen and Legend*. Blackwell, 1993, ISBN 0 631 17072 3.

Painter, Sidney. „Castellans of the Plains of Poitou in the Eleventh and Twelfth Centuries”, artykuł ze *Speculum*, 1956.

Pernoud, Régine. *Eleanor of Aquitaine*. Collins, 1967.

Sassier, Yves. *Louis VII*. Fayard, 1991, ISBN 978 2213 027869.

Seward, Desmond. *Eleanor of Aquitaine: The Mother Queen*. David & Charles, 1978, ISBN 0 7153 7647 0.

Turner, Ralph. *Eleanor of Aquitaine*. Yale, 2009, ISBN 978 0 300 11911 4.

Weir, Alison. *Eleanor of Aquitaine: By the Wrath of God, Queen of England*. Pimlico, 2000, ISBN 978 0 7126 7317 4.

The World of Eleanor of Aquitaine: Literature and Society in Southern France between the Eleventh and Thirteenth Centuries pod redakcją Marcusa Bulla i Catherine Léglu. Boydell, 2005, ISBN 1 84383 114 7.

Spis treści

Do Czytelnika: 1. Pałac w Poitiers, styczeń 1137 2. Bordeaux, luty 1137 3. Zamek Béthizy, Francja, maj 1137 4. Bordeaux, czerwiec 1137 5. Bordeaux, lipiec 1137 6. Bordeaux, lipiec 1137 7. Pałac Poitiers, lato 1137 8. Paryż, wrzesień 1137 9. Bourges, Boże Narodzenie 1137 10. Paryż, wiosna 1138 11. Poitiers, jesień 1138 12. Paryż, wiosna 1140 13. Paryż, wiosna 1141 14. Poitiers, lato 1141 15. Talmont, lato 1141 16. Poitiers, schyłek lata 1141 17. Paryż, jesień 1141 18. Szampania, lato 1142 19. Paryż, lato 1142 20. Zamek w Arras, październik 1143 21. Paryż, czerwiec 1144 22. Paryż, jesień 1144 23. Paryż, wiosna 1145 24. Paryż, listopad 1145 25. Poitou, jesień 1146 26. Węgry, lato 1147 27. Bułgaria, lato 1147 28. Konstantynopol, wrzesień 1147 29. Anatolia, styczeń 1148 30. Antiochia, marzec 1148 31. Antiochia, marzec 1148 32. Jerozolima, wrzesień 1148 33. Morze Śródziemne, maj 1149 34. Pałac papieski w Tusculum, sierpień 1149 35. Paryż, grudzień 1149 36. Opactwo Saint-Denis, luty 1151 37. Zamek w Taillebourg, marzec 1151 38. Angers, sierpień 1151 39. Paryż, sierpień 1151 40. Anjou, 4 września 1151 41. Paryż, jesień 1151 42. Beaugency, marzec 1152 43. Beaugency, kwiecień 1152 44. Poitiers, kwiecień 1152 45. Poitiers, maj 1152 46. Paryż, lato 1152 47. Poitiers, sierpień 1152 48. Rouen, Normandia, Boże Narodzenie 1152 49. Poitiers, sierpień 1153 50. Angers, marzec 1154 51. Opactwo Fontevraud, maj 1154 52. Rouen, październik 1154 53. Barfleur, 7 grudnia 1154 Od autorki
Podziękowania Wybrana bibliografia

